

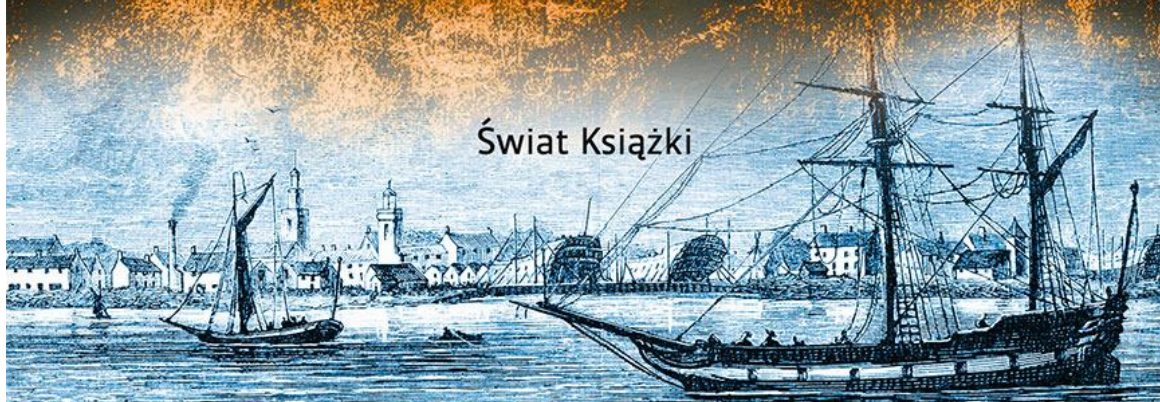


DIANA
GABALDON



LORD JOHN
i Bractwo Ostrza

Świat Książki



DIANA
GABALDON

LORD JOHN
i Bractwo Ostrza

Z angielskiego przełożył
Jan Kabat


Świat Książki
wydawnictwo

*Książkę tę dedykuję Barbarze Schnell,
mojej drogiej przyjaciółce i niemieckiemu głosowi*

Część I
Gdy spotykają się krewniacy

Rozdział 1

Wszystko zostaje w rodzinie

Londyn, styczeń 1758
Stowarzyszenie Angielskiego Befszyka,
Klub Dżentelmenów

Jeśli lord John Grey dobrze się orientował, macochy, tak jak przedstawiano je w literaturze, były na ogół sprzedajne, złe, podstępne, niebezpieczne, czasem skłonne do kanibalizmu. Ojczymowie natomiast jawili się jako osobnicy bez znaczenia czy wręcz nieszkodliwi.

– Dziedzic Allworthy, jak sądzisz? – zwrócił się do swojego brata. – Czy też Klaudiusz?

Hal stał niespokojnie, bawiąc się globusem. Nagle przestał nim kręcić i popatrzył na Greya; w jego oczach malowało się niezrozumienie.

– Co?

– Ojczymowie – wyjaśnił Grey. – Wydaje się, że w porównaniu z ich kobiecym odpowiednikiem niewielu ojczymów można znaleźć na stronicach ksiązek. Zastanawiałem się po prostu, jaki będzie wybór naszej matki w sensie charakterologicznym.

Halowi nerwowo zadrzały nozdrza. Jego lektura ograniczała się do Tacyty i nieco bardziej szczegółowych, zarówno greckich, jak i rzymskich, opisów osiągnięć militarnych. Czytanie powieści uznawał za objaw słabości moralnej; rzecz wybaczalna, a nawet zrozumiała poniekąd w przypadku ich matki, która była ostatecznie kobietą. Trudniej przychodziło mu akceptowanie faktu, że młodszy brat też oddawał się temu występкови, teraz jednakże spytał tylko:

– Klaudiusz? Ten z *Hamleta*? Z pewnością nie, Johnie, chyba że wiesz o matce coś, o czym ja nie mam pojęcia.

Grey szczerze wierzył, że zna matkę o wiele lepiej niż Hal, ale nie był to odpowiedni czas ani miejsce, by o tym wspominać.

– Przychodzą ci do głowy inne przykłady? Może ojczymowie znani z historii?

Hal wyduł wargi, marszcząc w zamyśleniu czoło. Dotknął odruchowo kieszonki na zegarek.

Grey też dotknął swojej kieszonki, gdzie spoczywał czasomierz identyczny jak Hala.

– Jeszcze nie ma dwunastej. Nasz gość jeszcze się nie spóźnia.

Hal spojrzął nań z ukosa, bez cienia uśmiechu – nie był w nastroju skłaniającym do wesołości – a mimo to figlarnie.

– Jest przynajmniej żołnierzem.

Jak wynikało z doświadczeń Greya, przynależność do bractwa ostrza niekoniecznie gwarantowała punktualność – ich przyjaciel Harry Quarry był pułkownikiem i spóźniał się notorycznie – teraz jednak skinął potakująco głową. Hal i tak już zdradzał niepokój. Grey nie chciał wszczynać niemądrej kłótni, która mogłaby wpłynąć niekorzystnie na rychłe spotkanie z kandydatem na trzeciego męża ich matki.

– Mogłoby być gorzej, jak przypuszczam – oznajmił Hal, znów skupiając uwagę na globusie. – Przynajmniej nie jest jakimś przeklętym kupcem. Ani handlowcem. – Sama myśl o tym była obrzydliwa.

Prawdę powiedziawszy, generał George Stanley posiadał tytuł szlachecki, który zawdzięczał służbie w wojsku, nie zaś urodzeniu. Jego rodzina zajmowała się handlem, choć w szacownych dziedzinach bankowości i przewozów morskich. Benedicta Grey jednakże była księżną. Przynajmniej niegdyś.

Spokojny jak dotąd wobec rychłego zamążpójścia matki, Grey poczuł gwałtowne ściskanie w żołądku, wywołane świadomością, że ich matka nie będzie już nosiła nazwiska rodowego, tylko stanie się lady Stanley – kimś całkowicie obcym. Było to, ma się rozumieć, śmieszne. Odczuł nagle głębszą solidarność z bratem.

Zegarek w jego kieszonce zaczął wydzwaniać południe. Czasomierz Hala odezwał się niespełna pół sekundy później i bracia uśmiechnęli się do siebie, dotykając zgodnym ruchem kieszonek, jakby niespodziewanie połączeni wspólnym losem.

Zegarki były identyczne i stanowiły podarunek od ojca na dwunaste urodziny. Księżę – w przypadku Greya – zmarł dzień później, co sprawiło, że ów gest uznania męskości nabrał szczególnego charakteru. Grey zaczerpnął powietrza, chcąc coś powiedzieć, ale w tym momencie z korytarza dobiegły jakieś głosy.

– Zjawił się. – Hal uniósł głowę znad globusa. Widać było, że nie może się zdecydować, czy wyjść na spotkanie sir George'a, czy też przyjąć go w bibliotece.

– Święty Józef – oznajmił niespodziewanie Grey. – Jeszcze jeden godny uwagi ojczym.

– W samej rzeczy – odparł jego brat, patrząc porozumiewawczo. – A który z nas ma według ciebie...

Na turecki dywan padł cień służącego, który skłonił się w drzwiach.

– Sir George Stanley, milordzie. Wraz z osobą towarzyszącą.

*

Widok generała sir George'a Stanleya sprawił pewną niespodziankę. Choć Grey nie spodziewał się ujrzeć ani Klaudiusza, ani też świętego Józefa, rzeczywistość okazała się nieco bardziej... zaokrąglona, niż należało oczekiwać.

Pierwszy mąż matki był wysoki i pełen wigoru, jak mówiono, podczas gdy drugi, jego ojciec, odznaczał się taką samą drobną sylwetką, jasnością skóry i silnym umięśnieniem, jakie przekazał swym synom. Grey pomyślał z rozbawieniem, że sir George przywraca wiarę w rachunek prawdopodobieństwa.

Nieco wyższy niż on sam i jego brat, korpulentny, generał miał twarz, która pod nieco wytartą peruką jawiła się jako krągła, pogodna i prostoduszna. Rysy były w najwyższym stopniu nijakie, z wyjątkiem podłużnych brązowych oczu, w których malowało się uprzejme wyczekiwanie, jakby nie istniało nic przyjemniejszego niż spotkanie z osobą, do której się zwracał.

Skłonił się na powitanie, a potem uściśnił mocno dłoń obydwu Greyom.

– Jestem niezmiernie rad, że zaprosiliście mnie na lunch – oznajmił, obdarzając uśmiechem obu braci. – Trudno mi nawet wyrazić, jak bardzo to doceniam. I czuję się w najwyższym stopniu niezręcznie, zmuszony od razu przeprosić, że narzucam wam swą wolę, przyprawiając tu pasierba. Przybył niespodziewanie tego ranka ze wsi, w chwili gdy wybierałem się tutaj. A założywszy, że w pewnym sensie będziecie braćmi... pomyślałem, że wybaczycie mi, iż pozwoliłem sobie zabrać go ze sobą i przedstawić. – Roześmiał się nieco zakłopotany i zaczerwienił.

To dziwna rzecz u człowieka w jego wieku i o takiej randze, ale dość ujmująca, pomyślał Grey, też uśmiechając się wbrew sobie.

– Oczywiście – powiedział Hal, siląc się na kordialny ton.

– Jak najbardziej – zawtórował mu Grey, który stał najbliżej sir George'a, i zwrócił się do jego towarzysza, wyciągnąwszy rękę. Zobaczył przed sobą wysokiego, szczupłego, ciemnookiego młodego człowieka.

– Lordzie Melton, lordzie Johnie – odezwał się generał, kładąc dłoń na ramieniu młodzieńca. – Czy wolno mi przedstawić pana Percivala Wainwrighta?

Hal był odrobinę dotknięty; Grey wyczuwał te nieznaczne wibracje, które dowodziły irytacji – Hal nie znosił niespodzianek, zwłaszcza tych natury towarzyskiej – ale nie mógł poświęcać w tej chwili uwagi dziwactwom brata.

– Do usług, sir – powiedział, ujmując dłoń pana Wainwrighta i odnosząc jednocześnie dziwne wrażenie, że już się kiedyś spotkali.

Tamten też to wyczuł. Grey dostrzegł cień zdziwienia na twarzy młodego człowieka, nieznaczny ruch wąskich ciemnych brwi, jakby ich właściciel zastanawiał się, gdzie...

Owa świadomość odezwała się w nich jednocześnie. Grey ścisnął odruchowo rękę młodzieńca dokładnie w chwili, gdy Wainwright uczynił to samo.

– Ja również jestem do usług, sir – mruknął młodzieniec i cofnął się, kasłając

cicho. Wyciągnął dłoń do Hala, jednakże ponownie obrzucił Greya przelotnym spojrzeniem. Oczy miał brązowe, ale nie przypominały oczu jego ojczyma, jak przyszło do głowy Greyowi, gdy zdumienie wywołane myślą o poprzednim spotkaniu już zbladło. Odznaczały się stonowanym, wyrazistym brązem i wyjątkową ekspresją. W tej chwili tańczyły w nich iskierki rozbawienia sytuacją i zdradzały to samo intensywne i osobiste zainteresowanie, jakie Grey dostrzegł w nich wcześniej, podczas ich pierwszego spotkania... w bibliotece Lavender House.

Percy Wainwright przedstawił się i podał dłoń także przy tamtej okazji, ale Grey był wówczas anonimowym nieznajomym, zatem spotkanie siłą rzeczy trwało krótko.

Hal też przywitał się uprzejmie z nowo przybyłym, choć jednocześnie obdarzył go chłodnym i taksującym spojrzeniem, jak w przypadku nowego oficera przyjmowanego do pułku.

Grey pomyślał, że Wainwright nieźle zdał ten egzamin. Był dobrze zbudowany, ubierał się starannie i ze smakiem, odznaczał się jasną karnacją i wyrazistością rysów, jego zachowanie zaś świadczyło zarówno o poczuciu humoru, jak i wyobraźni. Obie te cechy mogły w przypadku oficera uchodzić za niebezpieczne, ale na płaszczyźnie prywatnej...

Wainwright zdawał się panować dyskretnie nad własnym zainteresowaniem osobą Greya, zerkając nań z odrobiną zdziwienia. Grey uśmiechnął się do niego, bawiąc się zaskoczeniem tego nowego „brata”.

– Dziękuję – powiedział Wainwright, gdy Hal zakończył swe powitanie, skłonił się. – Wasza Książęca Mość... jest niezwykle łaskawy.

Zapadła niezręczna cisza po tym ostatnim, niemal stłumionym słowie wypowiedzianym w chwili, gdy Wainwright uświadomił sobie nieco za późno, co właśnie wyrzekł.

Hal znieruchomiał na moment, ale zaraz odzyskał panowanie nad sobą i skłonił się w odpowiedzi.

– Ależ skąd – odparł z wyszukaną grzecznością. – Zasiądziemy do stołu, panowie?

Obrócił się w stronę drzwi, nie patrząc za siebie. I chwała Bogu, pomyślał Grey, dostrzegając pospieszną wymianę gestów i spojrzeń między generałem i jego pasierbem – pełną przerażenia irytację u tego pierwszego, podkreśloną przewracaniem oczu i chwytnością się za sfatygowaną perukę; przeprosiny ze strony drugiego, skierowane bezgłośnie pod adresem Greya, ku któremu Wainwright zwrócił się z grymasem na twarzy.

Grey wzruszył tylko zdawkowo ramieniem. Hal nawykł do takich sytuacji – ostatecznie ponosił konsekwencje swojego postępowania.

– Mamy szczęście, jeśli chodzi o porę – powiedział i uśmiechnął się do

Percy'ego, po czym dotknął lekko jego pleców, kierując młodzieńca ku drzwiom. – Jest czwartek, a kucharz w Befsztyku przyrządza w czwartki doskonałe wołowe ragoût. Z ostrygami.

*

Sir George był na tyle rozważny i mądry, by nie przeproszać za gafę pasierba, wdał się natomiast z obydwoma Greyami w rozmowę o kampaniach minionej jesieni. Percy Wainwright wydawał się początkowo odrobinę zmieszany, szybko się jednak opanował, słuchając z niekłamaną uwagą.

– Był pan w Prusach? – spytał na wzmiankę Greya o manewrach niedaleko Odry. – Ale wszak Czterdziesty Szósty Pułk stacjonował ostatnio we Francji... czy może się myłę?

– W najmniejszym stopniu – odparł Grey. – Przydzielono mnie czasowo do pruskiego regimentu jako oficera łącznikowego z oddziałami brytyjskimi, po Kloster-Zeven. – Uniósł brwi i spojrzał na Wainwrighta. – Wydaje się pan dobrze poinformowany.

Wainwright się uśmiechnął.

– Ojciec myśli o patencie oficerskim dla mnie – przyznał szczerze. – Ostatnimi czasy nasłuchałem się licznych rozmów dotyczących spraw militarnych.

– Nie wątpię. I doszedł pan do jakichś wniosków, określił jakieś preferencje?

– Nie – wyznał Wainwright, wbijając spojrzenie żywych oczu w twarz Greya. – Aż do dzisiaj.

Grey poczuł nieznaczne drgnienie serca. Próbował wcześniej zapomnieć ten ostatni raz, kiedy widział Percy'ego Wainwrighta, miękkie ciemne pukle w nieładzie, rozpięte odzienie... Dzisiaj jego włosy były starannie przyczesane, spięte w kucyk i upudrowane, tak jak włosy Greya; miał na sobie strój o stonowanej niebieskiej barwie – dżentelmen w każdym calu. Jednakże zapach Lavender House zdawał się unosić między nimi w powietrzu – zapach wina i skóry, zmieszany z ostrą i głęboką pizmową wonią męskiego pożądania.

– Spokojnie, Percy – zwrócił się do niego generał z nutą przygany w głosie. – Nie bądź w gorącej wodzie kąpany, mój chłopcze. Czeką nas jeszcze rozmowa z pułkownikiem Bonhamem, a także Pickeringiem, jak wiesz.

– W samej rzeczy – zauważył lekkim tonem Grey. – No cóż, pozwoli pan, że oprowadzę go po kwaterach Czterdziestego Szóstego Pułku, niedaleko Cavendish Square. Jeśli mamy współzawodniczyć z innymi pułkami, by zaskarbić sobie honor pańskiego towarzystwa, to musimy wykazać się nad nimi niejaką wyższością.

Percy uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Będę nad wyraz zobowiązany, milordzie – odrzekł.

Przy tych słowach zaszła jakaś nieokreślona zmiana w przestrzeni, która ich rozdzielała.

Rozmowa trwała, ale przybrała teraz formę precyzyjnego menueta kurtuazji. I tak jak para w zalotach może wymieniać się niezliczonymi znaczeniami za sprawą jednego dotyku, tak i oni to czynili, nie dotykając się wszakże; ich bezgłówna konwersacja toczyła się niezakłócona pod płaszczykiem zwyczajowych grzeczności.

– Lubi pan psy, lordzie Johnie?

– Ogromnie, choć obecnie nie mam żadnego. Rzadko bywam w domu, pojmuje pan.

– Och. Zatrzymuje się pan u swego brata, przebywając w Anglii? – Percy zerknął w stronę Hala, po czym znów skierował pytający wzrok na Greya.

Czy twój brat wie?

Grey pokręcił głową, skupiając z pozoru uwagę na bułce, od której właśnie odrywał kawałek. To, czy Hal wiedział, było kwestią zbyt złożoną, by omawiać ją tutaj. Wystarczyło, że Hal nie miał pojęcia o Lavender House ani o jakichkolwiek związkach swego brata z tym przybytkiem.

– Nie – odparł obojętnie. – Przebywam w domu matki przy Jermyn Street. – Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Percy’ego. – Ale być może, poszukam lokum gdzie indziej, zwłaszcza teraz, gdy w jej domostwie zajdą zmiany.

Percy uśmiechnął się nieznacznie, ale sir George, przerwawszy rozmowę, by przeżuć kęs wołowiny, usłyszał ową uwagę i nachylił się nad stołem, a jego krągła twarz emanowała szczerą gorliwością.

– Drogie lordzie Johnie! Nie musi pan z mego powodu zmieniać swych nawyków! Benedicta pragnie zachować dom przy Jermyn Street, ja zaś byłbym wielce skonfundowany, gdyby moja obecność pozbawiła ją towarzystwa własnego syna.

Grey zauważył, że wargi jego brata zacisnęły się na wieść o bytności sir George’a w domostwie przy Jermyn Street. Hal rzucił mu ostre spojrzenie, jakby chciał dać bratu do zrozumienia: O, nie, nie uczynisz tego! Masz tam być i mieć oko na tego osobnika.

– Jest pan zbyt uprzejmy, sir – zwrócił się Grey do sir George’a. – Niedługo i tak wracam do swego pułku.

– No tak. – Sir George okazał wyraźne zainteresowanie sprawami wojskowymi i obrócił się do Hala. – Czy otrzymał pan najnowsze rozkazy dotyczące wiosny, milordzie?

Hal skinął głową, trzymając w górze widelec z okazałą ostrygą.

– Powrót do Francji, gdy tylko pozwoli na to pogoda. Pańskie oddziały zaś...

– Och, w naszym przypadku to Indie Zachodnie – odparł sir George, dając znak, że chce więcej wina. – Choroba morska, moskity i malaria. Choć muszę rzec, że w moim wieku owa perspektywa jest mniej zniechęcająca niżli błoto i odmrożenia. No i z zaopatrzeniem jest mniej kłopotu, ma się rozumieć.

Hal odprężył się nieco na wiadomość, że sir George nie zabawi zbyt długo w Anglii. Pieniądze Benedicty należały do niej i były w przeważającej części bezpieczne lub też na tyle, na ile gwarantowało to prawo i osoba jej syna. W tej chwili przedmiotem jego największej troski okazało się zdrowie matki. Stanowiło przypuszczalnie cel owego obiadu: dać sir George'owi dobitnie do zrozumienia, że synowie Benedicty Grey interesują się żywo sprawami matki i zamierzają czynić tak nadal po jej zamążpójściu.

Nie przypuszczasz chyba, że będzie ją bił? – spytał bezgłośnie Grey swego brata, unosząc brwi. Albo sprowadzi na Jermyn Street kochankę?

Hal przybrał kamienny wyraz twarzy, co miało dowodzić, że Grey nie rozeznaje się w grzesznych postępkach bliźnich. Na szczęście on, Hal, nie jest aż tak naiwny!

Grey przewrócił wymownie oczami, po czym, kiedy służący przyniósł półmisek gorących śliwek do baraniny, odwrócił wzrok.

Sir George i Hal wdali się w ożywioną dyskusję o problemach rekrutacji i zaopatrzenia, ponownie pozostawiając Greya i Percy'ego Wainwrighta samym sobie.

– Lordzie Johnie? – odezwał się Wainwright ściszym głosem. – Nosi pan tytuł lorda?

– Tak – odparł Grey z westchnieniem.

– Ale... – Percy znów spojrzał na Hala, który odłożył widelec i kreślił na obrusie skomplikowany wzór ruchów wojsk, posługując się srebrnym ołówkiem, który zawsze miał pod ręką. Zarządca klubu przyglądał się temu z dość posepnym wyrazem twarzy.

Czy nie jest zatem księciem? „Lord John” był właściwym tytułem dla młodszego syna księcia, podczas gdy młodszego syna hrabiego po prostu określano by mianem „szlachetnego Johna Greya”. Ale jeśli ojciec Greya był księciem, to...

– Tak – powtórzył Grey, który na dowód swej bezradności skierował spojrzenie ku sufitowi.

Najwidoczniej sir George nie miał czasu oświecić pasierba w tej kwestii poza ostrzeżeniem, by nie zwracał się do Hala per „Wasza Książęca Mość” – co było zarezerwowane dla księcia.

Grey zdobył się na nieznaczny gest, nieledwie wzruszenie ramion, dając do zrozumienia, że wyjaśni owe zawiłości nieco później. Rzecz sprowadzała się do tego, że był równie uparty jak jego brat – przyszło mu nagle do głowy. Myśl ta sprawiła mu nieoczekiwaną przyjemność.

– Zamierza więc pan ubiegać się o patent oficerski w Czterdziestym Szóstym Pułku? – spytał Grey, zgarniając kawałkiem chleba sos z talerza.

– Być może. Jeśli spotka się to z aprobatą... wszystkich stron – odparł Wainwright, zerkając na ojczyma i Hala. Potem znów spojrzał na Greya.

Czy i z twoją?

– Sądzę, że to doskonałe rozwiązanie – przyznał Grey. Uśmiechnął się do Wainwrighta. – Bylibyśmy braćmi w pułku, jak i braćmi z racji małżeństwa pańskiego ojczyma.

Wziął kieliszek, by wznieść za to toast, po czym łyknął wina, które smakował przez chwilę, czerpiąc przyjemność ze spojrzenia Percy'ego; młodzieniec nie odrywał oczu od jego twarzy.

Percy również się napił i oblizwał wargi. Były miękkie i pełne, czerwone od trunku.

– Lordzie Johnie... proszę mi powiedzieć, jak pan znajduje naszych pruskich sprzymierzeńców? Czy przydzielono pana do pułku artylerii, czy też do piechoty? Wyznaję, że nie jestem zorientowany w sytuacji na wschodnim froncie tak, jak by należało.

Owo pytanie sir George'a od razu oderwało uwagę Greya od osoby Percy'ego i rozmowa znów zeszła na tematy ogólne. Hal odprężył się z wolna, choć Grey dostrzegał, że jest jeszcze daleki od tego, by ulec do końca czarowi sir George'a.

Jesteś podejrzliwym draniem, sam wiesz – oznajmił spojrzeniem swemu bratu po jakimś szczególnie dociekliwym pytaniu.

Owszem, i porządnym człowiekiem – odwzajemnił mu się milcząco Hal, nim zwrócił się ku Percy'emu Wainwrightowi wraz z uprzejmym ponowieniem zaproszenia do odwiedzenia kwater pułku.

Nim jednak podano pudding, wydawało się, że serdeczne relacje nawiązano ze wszystkich stron. Sir George odpowiedział zadowolająco na pytania Hala, najwidoczniej niezrażony ich niejednokrotnie wścibskim charakterem. Grey na dobrą sprawę odnosił wrażenie, że sir George w głębi duszy traktuje jego brata z rozbawieniem, choć stara się za wszelką cenę nie uświadamiać tego Halowi.

Jednocześnie obaj: Grey i Wainwright, odkryli, że dzielają zamiłowanie do wyścigów konnych, teatru i francuskich powieściopisarzy – dyskusja na ten ostatni temat sprawiła, że Hal mruknął pod nosem: „O Boże” i zamówił kolejną porcję brandy.

Na dworze zaczął padać śnieg. Gdy rozmowa ucichła na chwilę, Grey usłyszał, jak płatki śniegu obijają się o okna, choć zaciągnięto ciężkie zasłony z myślą o zimowym chłódzie, a komnatę rozświetlały świece. Na ów dźwięk poczuł na plecach przyjemny dreszcz.

– Czy uważa pan, że w pokoju jest zimno, lordzie Johnie? – spytał Percy, dostrzegając nieznaczny odruch Greya.

Nic podobnego, pomyślał Grey. W kominku huczał wspaniały ogień podsycany bezustannie przez służących w Befsztuku, nie wspominając już o tym, że gorące potrawy, wino i brandy zapewniały dostatecznie dużo ciepła. Zarządca

klubu zjawił się właśnie z grzany winem i w powietrzu rozeszła się woń karaibskiego cynamonu.

– Nie – odparł, biorąc kieliszek z podsuniętej tacy. – Nie ma jednakże nic miłszego, niż przebywać w czterech ścianach, rozkoszując się ciepłem i dobrym jadłem, podczas gdy na zewnątrz szaleją żywioły. Zgodzi się pan ze mną?

– O, tak. – Powieki Wainwrighta stały się ciężkie. Odchylił się na krzesło i w blasku świec jego skóra wydawała się zarumieniona. – Tak... to nad wyraz przyjemne. – Długie palce dotknęły bezwiednie fularu, jakby zbyt ciasno związanego.

Obaj byli świadomi, że coś unosi się między nimi w powietrzu, równie odurzające jak woń wina i cynamonu. Hal i sir George zaczęli wypowiadać słowa sugerujące rychłe pożegnanie, czemu towarzyszyły zapewnienia o wzajemnym szacunku.

Przez chwilę długie ciemne rzęsy Percy'ego dotykały policzków, potem uniosły się gwałtownym ruchem; oczy młodzieńca napotkały spojrzenie Greya.

– Być może, zechciałby pan pójść ze mną do salonu lady Jonas... Będzie tam Diderot. W sobotę po południu, jeśli pan zechce?

Więc zostaniemy kochankami?

– O, tak – odparł Grey i przytknął serwetkę do ust. Poczł pulsowanie krwi w koniuszkach palców. – Tak sędzę.

No cóż, to chyba nie jest kazirodztwo, pomyślał i odsunął krzesło, by wstać.

*

Tom Byrd, kamerdyner Greya, polerował kawałkiem chleba złote epolety na mundurze i słuchał z żywym zainteresowaniem relacji swego pana z obiadu w towarzystwie generała Stanleya i jego pasierba.

– Zatem generał zamierza zamieszkać w tym domostwie, milordzie? – spytał. Grey dostrzegł, że Tom zastanawia się, co owa zmiana może oznaczać dla jego świata. Generał bez wątpienia zamierzał sprowadzić tu swoich służących, również kamerdynera i ordynansa. – Syn też się zjawi... ten pan Wainwright?

– Och, nie sędzę.

Na dobrą sprawę owa możliwość nie przyszła Greyowi do głowy i teraz się nad nią przez chwilę zastanawiał. Wainwright nadmienił, że ma gdzieś w Westminsterze własne lokum. Dostrzegłszy jednak serdeczne relacje łączące sir George'a z pasierbem, zakładał, że obecny stan rzeczy ma związek z ciasnotą obecnego mieszkania, które zajmował generał, albo też z pragnieniem prywatności Wainwrighta.

– Nie wiem – wyznał szczerze. – Może i tak. – Była to niepokojąca myśl, choć jednocześnie przyjemna. Grey uśmiechnął się do Toma i okrył szczelniej banyanem[1]. Pomimo płonącego ognia w pokoju panował chłód. – Nie sędzę

natomiast, by przywiódł ze sobą kamerdynera, nawet gdyby się tu zjawił.

– Hm – mruknął w zamyśleniu Tom. – Czy chciałby pan, bym usługiwał też panu Wainwrightowi, milordzie? Nie miałbym nic przeciwko temu – dodał pospiesznie. – Czy to jednakże dandys?

W tym ostatnim pytaniu pobrzmiwała tak wyraźnie nuta pełna nadziei, że Grey parsknął śmiechem.

– To niezwykle miłe z twojej strony, Tomie. Ubiera się przyzwoicie, ale nie jest strojnisiem. Zamierza zdobyć patent oficerski. Obawiam się, że trafią ci się wyłącznie mundury.

Byrd nie wyraził tym razem swego zdania, ale spojrzenie, jakim obrzucił buty Greya, które stały przy kominku oblepione błotem, słomą i nawozem, było aż nadto wymowne. Pokręcił głową, zerknął na mundur trzymany w rękach i uznał, że już wystarczy, po czym wstał, strzepując do ognia okruchy chleba.

– Doskonale, milordzie – oznajmił zrezygnowany. – Mógłby pan stanąć w takim stroju do ślubu, niech mnie kule biją. A skoro już o tym mowa, jeśli wracamy w marcu do Francji, to lepiej, by odwiedził pan jak najszybciej swego krawca.

– Tak sądzisz? W porządku. Wobec tego sporządź listę wszystkiego, co potrzebne. Z pewnością kalesony.

Obaj się skrzywili, przypominając sobie, co uchodziło na kontynencie za tego rodzaju odzienie.

– Tak, milordzie. – Tom schylił się, by dorzucić zarzających się węgli do szkandeli. – I para skórzanych bryczesów.

– Czyżbym nie posiadał takowych? – spytał zaskoczony Grey.

– Posiada pan – odparł Byrd, prostując się. – I Bóg jeden wie, na czym pan siedział, kiedy je pan akurat nosił. – Obrzucił Greya spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Tom miał osiemnaście lat i odznaczał się twarzą krągłą jak księżyc, ale takich karcących spojrzeń nie powstydzilby się osiemdziesięcioletni starzec. – Robiłem, co w mej mocy, milordzie, proszę jednakże pamiętać, że jeśli pójdzie pan dokądś w tych bryczesach, to radzę nie zdejmować płaszcza, bo ludzie sobie pomyślą, że się pan sam zapaskudził.

Grey wybuchnął śmiechem i odsunął się na bok, by Tom rozgrzał łóżko. Zrzucił banyan i pantofle i wsunął się pod pościel, czując z ulgą ciepło na przemarzniętych stopach.

– Masz kilku braci, prawda, Tomie?

– Pięciu, milordzie. Nigdy nie miałem własnego łóżka, nim przyszedłem do pana na służbę. – Pokręcił głową, zdumiony swoim szczęściem, po czym uśmiechnął się szeroko do Greya. – Nie przypuszczam, by musiał pan dzielić łożę z tym panem Wainwrightem?

Nagle Grey ujrzał oczami wyobraźni Percy'ego Wainwrighta leżącego przy

nim na prześcieradle i poczuł niezwykłą falę ciepła, niewspółmiernego do gorąca skandeli.

– Wątpię – odparł, nie zapomniawszy się uśmiechnąć. – Możesz zgasić świecę, Tomie. Dziękuję.

– Życzę dobrej nocy, milordzie.

Drzwi zamknęły się za Tomem Byrdem, Grey zaś leżał i wpatrywał się w refleksy blasku ognia. Nie przywiązywał się szczególnie do miejsc, bo jako żołnierz nie mógł tego czynić, ani też nie uważał, by ten dom stanowił ważką część jego przeszłości; hrabina kupiła go zaledwie kilka lat wcześniej. On jednak odczuł osobliwą tęsknotę, lecz nie potrafił określić jej źródła.

Chłodna noc, choć cicha, mimo to wydawała się pełna niespokojnego ruchu: migotania ognia i migotania płonącego w jego ciele podniecenia. Czuł, jak coś się porusza, drga, i odnosił nieodparte wrażenie, że nic już nie będzie takie jak dawniej. To oczywisty nonsens, ma się rozumieć. Bo nic nigdy nie było takie jak dawniej.

Mimo wszystko długo nie mógł zmrużyć oka i pragnął, by czas zatrzymał się w miejscu. Jednakże ogień też zamarł, a on zasnął, świadom wzmagającego się na zewnątrz wiatru.

1 Banyan – męski strój domowy, rodzaj długiego szlafroka.

Rozdział 2

Człowiek, który się nie zakłada

Grey spędził poranek w przewiewnej sali w Whitehall, doświadczając nieuniknionej nudy, jaką stanowiło spotkanie pułkowników w departamencie uzbrojenia i rozwlekła przemowa pana Adamsa, pierwszego sekretarza Ministerstwa Uzbrojenia. Hal, powołując się na jakąś sprawę, która nie cierpiała zwłoki, wysłał w swym zastępstwie brata – co oznaczało w gruncie rzeczy, jak pomyślał Grey, mężnie tłumiąc ziewnięcie, że Hal najprawdopodobniej przebywa wciąż w domu, racząc się śniadaniem, albo w White's Chocolate House, rozkoszując się słodkimi bułkami i plotkami, podczas gdy on sam musi tu tkwić całe godziny i słuchać nudnych dyskusji o przydziale prochu. No cóż, ranga miała swoje przywileje.

Nie uważał jednakże owej sytuacji za niesprzyjającą. Na szczęście 46 Pułk dobrze zaopatrzono w proch; przyrodni brat Greya, Edgar, był właścicielem jednej z największych wytwórni prochu w kraju. A ponieważ Grey odznaczał się niższą rangą niż większość obecnych oficerów, rzadko wymagano od niego, by coś powiedział, a zatem mógł spokojnie rozmyślać o Percym Wainwrightcie.

Czy mylił się co do zauroczenia? Nie. Wciąż czuł niezwykle ciepło oczu Wainwrighta i ciepło jego dotyku, gdy uścisnęli sobie na pożegnanie dłonie.

Możliwość, iż Percy Wainwright wstąpi do jego pułku, była intrygująca, rozważana zaś w jasnym świetle dnia, jawiła się także jako niebezpieczna.

Nic nie wiedział o tym człowieku. Fakt, że to pasierb generała Stanleya, gwarantował przynajmniej niejaką dyskrecję – Grey znał jednak kilku dyskretnych z pozoru łajdaków. Nie wolno mu też było zapominać, że do pierwszego spotkania między nimi doszło w Lavender House, w miejscu, które skrywało liczne sekrety.

Czy wtedy Wainwrightowi ktoś towarzyszył? Grey zmarszczył czoło, próbując przypomnieć sobie tamtą scenę, ale szczerze powiedziawszy, wydawał się wówczas tak rozkojarzony, że dostrzegł zaledwie kilka twarzy. Odniosł wrażenie, że Percy był sam, ale... tak. Nie inaczej, gdyż nie tylko się przedstawił, lecz pocałował też dłoń Greya.

Zapomniał o tym i teraz jego ręka zacisnęła się bezwiednie, a przez ramię przebiegł lekki dreszcz.

– Owszem, ja też chętnie bym go udusił – mruknął mężczyzna siedzący obok niego. – Przeklęty gaduła.

Przestraszony Grey zerknął na oficera, pułkownika piechoty o nazwisku Jones-Osborn, który skinął głową i wbił gniewny wzrok w pana Adamsa. Wysoki

głos pierwszego sekretarza rozbrzmiewał już od pewnego czasu.

Grey nie miał pojęcia, o czym Adams mówi, ale mruknął zgodnie w odpowiedzi i też, przez solidarność, spojrział złym wzrokiem. Sprowokowało to człowieka u jego boku, który zachęcony owym objawem wsparcia zaczął głośno i krzykliwie zaprzeczać Adamsowi, okraszając swą przemowę epitetami.

Sekretarz, Irlandczyk z urodzenia i osobnik zaprawiony w konfrontacjach, odpowiedział mu zapalczywie w tym samym duchu i po kilku chwilach spotkanie przerodziło się w coś, co bardziej przypominało sesję parlamentu niżli rzeczowe rozważania strategii wojskowych.

Wciągnięty siłą rzeczy w ową awanturę, po której czekał go pełen serdeczności obiad w towarzystwie Jones-Osborne'a i pozostałych członków frakcji przeciwnej Adamsowi, Grey nie myślał już o Percym Wainwrightcie, dopóki nie znalazł się po południu w gabinecie swego brata w dowództwie pułku.

– Jezu – powiedział Hal, śmiejąc się z relacji Greya dotyczącej porannych wydarzeń. – Dobrze się stało, że poszedłeś tam za mnie. Twelvetrees też był?

– Nie znam go.

– A zatem go nie było. – Hal machnął lekceważąco ręką. – Zauważyłbyś, jak wbija sztylet w plecy Jones-Osborna. To ulubiony piesek Adamsa. Co myślisz o naszym nowym bracie? Przyjmiemy go?

Choć Grey przywykł do tego, że Hal potrafi przeskoczyć nagle z tematu na temat, upłynęła chwila, nim się zorientował, o co chodzi.

– Wainwrighta? Wygląda na porządnego gościa – odparł, siląc się na zdawkowość. – Słyszałeś o nim cokolwiek?

– Nie więcej niż to, czego dowiedzieliśmy się wczoraj. Pytałem Quarry'ego, ale ani on, ani Joffrey nie wiedzą niczego o tym człowieku.

Mówiło to wiele, bo Harry Quarry, jeden z dwóch pułkowników w pułku, i jego brat przyrodni lord Joffrey wiedzieli o wszystkim istotnym, co działo się w kręgach wojskowych i politycznych.

– Polubiłeś go? – spytał Grey, a Hal zmarszczył czoło.

– Tak – odparł z namysłem. – I byłoby niezręcznością go odtrącić, gdyby zapragnął służyć z nami.

– Nie ma oczywiście doświadczenia – zauważył Grey.

Nie stanowiło to jakiejś szczególnej przeszkody, ale było warte rozważenia. Patenty nabywało się za pieniądze i wielu oficerów przed objęciem służby nie widziało na oczy żołnierza ani nie trzymało w ręku broni. Jednak starsi oficerowie z 46 Pułku byli w większości weteranami o znacznym doświadczeniu bitewnym i Hal wybierał nowych kandydatów starannie.

– Prawda. Sugeruję, by zaczął jako podporucznik, może nawet chorąży. Żeby nauczył się fachu, nim zajdzie wyżej.

Grey rozważał to przez chwilę, po czym skinął głową.

– Podporucznik – powiedział. – Albo nawet porucznik. Trzeba pamiętać o relacjach rodzinnych. Nie byłoby chyba właściwe, gdyby został chorążym.

Chorążowie stanowili najniższy szczebel korpusu oficerskiego; musieli być na każde skinienie.

– Może masz słuszość – przyznał Hal. – Przydzielimy go Harry’emu, ma się rozumieć, przynajmniej na początek. Zechciałbyś nim pokierować?

– Z pewnością. – Grey poczuł żywsze bicie serca i narzucił sobie ostrożność. – To znaczy, jeśli zechce wstąpić do naszego pułku. Generał mówił, że się jeszcze nie zdecydowali. A wiesz, że Bonham przyjąłby go bezzwłocznie jako kapitana w pięćdziesiątym pierwszym.

Hal parsknął pogardliwie na samą myśl, że ktokolwiek mógłby przedkładać służbę w piekle nad służbę w niebie, by się tak wyrazić, ale potwierdził z niechęcią ten fakt.

– Tak, może będę gotów zrobić z niego kapitana, jeśli okaże się zdolny. Jednakże wyjeżdżamy do Francji za niespełna trzy miesiące. Wątpię, czy zdoła się go dostatecznie sprawdzić w tak krótkim czasie. Myślisz, że potrafi władać szablą?

Wainwright jej nie nosił, tak jak większość dżentelmenów, którzy nie służyli w wojsku.

Grey wzruszył ramionami.

– Mogę się dowiedzieć. Chcesz, żebym poruszył sprawę patentu bezpośrednio z Wainwrightem, czy też omówisz to z generałem?

Hal bębnił przez chwilę palcami po biurku, potem się zdecydował.

– Spytaj go wprost. Jeśli ma być członkiem zarówno rodziny, jak i pułku, to sądzę, że musimy od samego początku tak go traktować. Poza tym jest ci bliższy wiekiem. Sądzę też, że trochę się mnie lęka.

Hal zmarszczył czoło, wyrażając tym zdziwienie, Grey zaś się uśmiechnął. Jego brat lubił myśleć o sobie jako o kimś skromnym i nieszkodliwym i udawał, że nie wie o tym – że choć podwładni go uwielbiają, to jednocześnie budzi w nich przerażenie.

– Wobec tego z nim pomówię.

Zaczął się podnosić, ale Hal zatrzymał go gestem dłoni, wciąż marszcząc czoło.

– Zaczekaj. Jest jeszcze... jedna sprawa.

Grey spojrzał ostro na brata, dosłyszawszy nutę napięcia w jego głosie. Zaabsorbowany myślami o Percym Wainwrightcie, nie patrzył w gruncie rzeczy na Hala; teraz dostrzegł jednak zmarszczki wokół jego oczu i ust. Zatem kłopoty.

– O co chodzi?

Hal skrzywił się, lecz nim zdążył odpowiedzieć, z korytarza dobiegł odgłos kroków, a po chwili ktoś zapukał nieśmiało we framugę otwartych drzwi. Grey obrócił się i zobaczył młodego huzara o twarzy zaczerwienionej od zimnego

wiatru.

– Milordzie? Wiadomość z ministerstwa. Kazano mi poczekać na odpowiedź – zameldował służbiście.

Hal zwrócił mroczne oblicze na posłańca, potem jednak skinął niecierpliwie i wziął czym prędzej papier.

– Zaczekaj na dole – nakazał, odsyłając huzara ruchem dłoni. Rozerwał pieczęć i przeczytał szybko wiadomość, później wymamrotał coś nieprzyzwoitego pod nosem i chwycił gęsie pióro, żeby nakreślić u dołu kartki odpowiedź.

Grey odchylił się na krześle. Rozejrzał się po gabinecie, zadając sobie pytanie, co mogło się wydarzyć od dnia wczorajszego. Hal podczas obiadu z generałem i Percym nie okazywał śladu troski. Sam nie potrafiłby powiedzieć, co przyciągnęło jego wzrok do skrawka papieru. Gabinet Hala przypominał jaskinię jakiejś wyjątkowo niechlujnej bestii i podczas gdy on sam i jego starszy sekretarz, pan Beasley, potrafili znaleźć w ciągu jednej chwili wszystko, czego potrzebowali, nikt inny nie umiałby niczego odszukać w tym chaosie.

Papier leżał pośród mnóstwa innych, rozrzuconych po całym biurku, wyróżniając się jedynie postrzępionym brzegiem, jakby wyrwano go z jakiejś książki. Grey wziął go do ręki, zerknął od niechcenia, po czym zeszywniał, nie mogąc oderwać od niego oczu.

– Zostaw moje dokumenty w spokoju, Johnie – nakazał Hal, kończąc zamaszystym podpisem odpowiedź na otrzymaną wiadomość. – Pomieszasz wszystko. Co tam masz? – Rzucił pióro na biurko i wyrwał niecierpliwym ruchem papier z dłoni Greya. Już chciał go odłożyć, ale spojrzął i znieruchomiał.

– To właśnie to, prawda? – spytał Grey, czując się dziwnie. – Pismo ojca? – Nie musiał zresztą pytać, bo od razu rozpoznał krój liter i styl ojca.

Hal jednak nic nie usłyszał. Krew odpłynęła mu z twarzy, kiedy czytał tekst na kartce z dziennika – bo o nią chodziło – jakby zapoznawał się z obwieszczeniem o własnej egzekucji.

– Spalił go – wyszeptał Hal i przełknął z wysiłkiem. – Powiedziała, że go spalił.

– Kto? – dopytywał się z niepokojem Grey. – Matka?

Hal spojrzął na niego uważnie, ale pominął pytanie milczeniem.

– Skąd się to tu wzięło? – rzucił z gniewem, nie czekając nawet, aż Grey wzruszy choćby ramionami, i ryknął: – Panie Beasley! Proszę do mnie!

Pan Beasley, który niezwłocznie wyłonił się ze swego nieskazitelnego sanktuarium, zaprzeczył, jakoby wiedział cokolwiek o kartce, i wyznał, że nie potrafi w żaden rozsądny sposób wytłumaczyć, jak się znalazła w gabinecie Hala. Mógł jednak przekazać użyteczną informację, że z pewnością nie leżała na biurku we wczesnych godzinach dnia.

– Skąd, u licha, pan to wie? – spytał Grey, obrzucając pogardliwym

spojrzeniem biurko i wszystko, co się na nim znajdowało.

Sekretarz i Hal popatrzyli na niego spod przymrużonych powiek. Wiedzieliby. Grey odchrząknął nerwowo.

– W takim razie... – zaczął i urwał. Miał zamiar ustalić, kto wchodził w ciągu dnia do gabinetu, ale od razu uświadomił sobie trudność tej indagacji. Każdego dnia pojawiały się tutaj dziesiątki ludzi: urzędnicy, oficerowie, posłańcy królewscy, sierżanci zbrojmistrze, konstruktorzy broni... Kiedyś wszedł tu i zastał człowieka z tańczącym niedźwiedziem na łańcuchu i małpą na ramieniu; ten osobnik zjawił się, by odebrać wynagrodzenie za pokaz dla wojska z okazji urodzin królowej. Mimo to Grey uznał, że powinien pomóc bratu w śledztwie. – Jak długo tu siedziałeś, nim się zjawiłem? – dociekał.

Hal potarł się po twarzy.

– Przyszedłem tuż przed tobą. Inaczej od razu by mi się to rzuciło w oczy.

– Czy nie należałoby wezwać wartownika przy wejściu i ludzi przebywających w budynku? – zasugerował Grey. – Przepytać każdego z nich, by ustalić, kto mógł wejść do gabinetu, gdy nikt w nim nie przebywał.

Hal zacisnął usta i zapanował nad sobą; Grey niemal widział gorączkową pracę jego umysłu.

– Nie – odparł Hal i wzruszył ramionami. – Nie, nie trzeba. – Zmiał papier w kulkę i wrzucił ją z nieskrywaną niedbałością do ognia. – To byłoby wszystko, panie Beasley.

Sekretarz skłonił się i wyszedł. Papier zaczął się tlić i zapłonął. Grey zacisnął odruchowo dłoń, chcąc ocalić kartkę przed zniszczeniem, ale ta już zniknęła, atrament jeszcze przez chwilę był wyraźny na tym czerniejącym papierze, który niebawem zamienił się w popiół. Niespodziewane poczucie straty sprawiło, że przemówił ostrzejszym tonem, niż miał w zwyczaju.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– To bez znaczenia. – Hal zerknął w stronę drzwi, sprawdzając, że Beasley nie może ich usłyszeć, po czym ujął pogrzebacz i wepchnął go w palenisko, aż iskry wzbity się ku górze niczym rój ognistych pszczoł. Chciał mieć pewność, że nie pozostanie nawet skrawek papieru. – Zapomnij o tym.

– Wcale nie chcę zapomnieć. Co miałeś na myśli, mówiąc: „Spalił go”.

Hal z udawaną precyzją odłożył pogrzebacz do stojaka.

– To nie była sugestia – oznajmił cicho. – To rozkaz... majorze.

Grey zacisnął szczęki.

– Nie zamierzam pana słuchać... sir.

Hal wyraźnie poruszony się obrócił.

– Co to ma znaczyć, u diabła? Że nie zamierzasz posłuchać...

– Znaczy, że nie posłucham – odwarknął Grey. – I doskonale o tym wiesz. Co mi zrobisz? Zakujesz mnie w kajdany? Każesz mi zamknąć o chlebie

i wodzie?

– Nie prowokuj mnie, do licha. – Hal popatrzył na niego z gniewem, ale było dla obu jasne, że na tym poprzestanie. – I nie podnoś głosu.

Podszedł do drzwi, ale wyrzawszy na korytarz, wcale ich nie zamknął. To ciekawe, pomyślał Grey. Czyżby Hal przypuszczał, że pan Beasley może się podkraść i podsłuchiwać, gdyby gabinet był zamknięty?

– Tak, ta kartka pochodziła z jednego z dzienników – wyjaśnił Hal bardzo cicho. – Z ostatniego.

Grey skinął głową. Data na tej stronie została umieszczona na dwa tygodnie przed śmiercią ich ojca. Książę był niezwykle sumiennym pamiętnikarzem. W domu przy Jermyn Street znajdowała się mała biblioteczka pełna dzienników prowadzonych przez ponad trzydzieści lat. Grey zapoznał się z ich treścią i odczuwał wdzięczność dla ojca za to, że je zachował. Pozwoliły mu dowiedzieć się o nim czegoś jako o człowieku, kiedy sam osiągnął już wiek męski. Ostatni tom kończył się na trzy miesiące przed zgonem księcia; musiał być jeszcze jeden wolumen, Grey jednak nigdy go nie widział.

– Matka ci powiedziała, że ojciec go spalił? Mówiła dlaczego?

– Nie – odparł Hal zwięźle. – Nie dopytywałem się, zważywszy na okoliczności.

Hal wciąż bacznie obserwował otwarte drzwi. Grey nie umiał skonstatować, czy brat wykazuje się czujnością, czy też unika jego wzroku. Hal potrafił kłamać, kiedy było to konieczne, lecz Grey znał go nad wyraz dobrze – Hal znał zaś jego. Wziął głęboki oddech, starając się uporządkować myśli. Czuł ostrą woń spopielonego papieru.

– Najwyraźniej nie spalono go – rzekł powoli Grey. – Musimy więc zakładać, że po pierwsze, został skradziony, a po drugie, że ktokolwiek wziął dziennik, przechowywał go aż do dziś. Kto i w jakim celu? I dlaczego ten człowiek – kimkolwiek jest – daje ci teraz do zrozumienia, że jest w jego posiadaniu? I dlaczego matka...

– Niech mnie diabli porwą, jeśli wiem. – Hal spojrzał na niego.

Grey poczuł, jak gniew w nim przygasa; dostrzegł, że jego brat mówi prawdę. Zauważył jeszcze coś, co zaniepokoiło go wielce – Hal się bał.

– Czy to jakaś groźba? – ściszył głos nieco bardziej.

Strona, którą przeczytał, nie zawierała nic, co mogłoby sugerować podobne przypuszczenie. Była to relacja ze spotkania ojca ze starym przyjacielem i z ich dyskusji o astronomii, całkowicie nieszkodliwej. Tym samym owa kartka miała jedynie dać do zrozumienia Halowi, że dziennik istnieje i co może jeszcze zawierać.

– Bóg jeden wie – odparł Hal. – A co, u diabła, może... no cóż. – Przesunął kłykciami po ustach i spojrzał na Greya. – Nie rozmawiaj o tym z matką. Ja to

zrobię – dodał, widząc, że Grey zamierza się sprzeciwić.

Kroki i głosy na korytarzu przerwały dalszą rozmowę... To nadchodził kapitan Wilmot ze swoim sierżantem i urzędnikiem kompanijnym. Hal wyciągnął rękę i zamknął cicho drzwi; czekali w milczeniu, aż zapanuje cisza.

– Znasz człowieka, który się nazywa Melchior Ffoulkes? – spytał niespodziewanie Hal.

– Nie – zaprzeczył Grey, zastanawiając się, czy ma to coś wspólnego z omawianą sprawą, czy chodzi o zmianę tematu. – Jestem przekonany, że bym go zapamiętał.

Wywołało to cień uśmiechu na ustach Hala.

– Tak, pamiętałbyś go. Albo szeregowego Harrisona Otwaya. Z Jedenastego Pułku Piechoty?

– Cóż za śmieszne nazwisko. Nie, nie znam go. Kto to taki?

– A kapitana Michaela Batesa?

– No cóż, o nim przynajmniej słyszałem. Straż Konna, tak? Eleganciki, jak określa to Tom Byrd. Jaki, jeśli wolno mi spytać, jest cel tej spowiedzi? Proszę, usiądź, Hal.

Sam też usiadł, Hal zaś po chwili wahania uczynił to samo.

– Poznałeś kiedykolwiek kapitana Batesa?

Grey odczuwał coraz większą irytację, odpowiedział jednak nonszalancko:

– Nie pamiętam, i to z całą pewnością. Oczywiście, nie mógłbym przysiąc, że nigdy nie dzieliłem z nim łóżka w zajęździe...

Hal chwycił go za przedramię dostatecznie mocno, by zabolalo.

– Przestań – rzucił cichym głosem. – Nie żartuj sobie.

Grey spojrzał w oczy brata i zauważył, że zmarszczki na jego twarzy się pogłębiły. Kartka z dziennika zszokowała Hala, ale już wcześniej wydawał się poruszony.

– Puść – poprosił spokojnie Grey. – Co się właściwie stało?

– Nie wiem. Na razie.

– Kim są ci ludzie, o których mówiłeś? Czy mają coś wspólnego z... – Spojrzał na kominek, lecz Hal pokręcił głową.

– Nie wiem. Nie sądzę... ale to możliwe.

Z korytarza dobiegło echo kroków i Hal urwał raptownie. Dźwięk był charakterystyczny – człowiek o znacznej wadze, zdecydowanie utykający. Ewart Symington, drugi pułkownik w regimencie, odpowiednik Harry'ego Quarry'ego.

Hal się skrzywił, John zaś skinął porozumiewawczo głową. Żaden z nich nie pragnął w tym momencie rozmawiać z Symingtonem. Czekali w milczeniu. Oczywiście, tak jak się spodziewali, kroki ucichły, a w drzwi załomotała pięść. Symington odznaczał się równie topornymi manierami co wyglądem; przypominał cierpiącego na niestrawność dzika.

Kolejny szturm do drzwi, chwila ciszy; wreszcie Symington zaklął pod nosem i pokuśtykał dalej.

– Wróci – powiedział Hal ściszym głosem i zdjął z kołka przy wyjściu swój płaszcz. – Chodź ze mną do White’a. Porozmawiamy po drodze.

Grey też włożył płaszcz i chwilę później obaj wymknęli się na ulicę. Wcześniej Hal poinstruował pana Beasleya, by przekazał pułkownikowi Symingtonowi, że lord Melton udał się do Bath.

– Do Bath? – zdziwił się Grey, kiedy wychodzili. – O tej porze roku?

Nie wybiło jeszcze wpół do czwartej, a mimo to zmierzch zbliżał się nieubłaganie. Trotuar był ciemny od wilgoci, a w powietrzu wyczuwało się wyraźny zapach rychłych opadów śniegu.

Hal odprawił swój powóz, dając woźnicy znak ręką, i skręcił na rogu ulicy.

– Gdybym tylko znalazł się w pobliżu, zaraz by za mną podążył. Mów o tym człowieku, co chcesz, ale jest cholernie uparty. – Wypowiedział te słowa z pełnym niechęci uznaniem, upór bowiem był główną zaletą Symingtona jako oficera, i to nie byle jaką. W sytuacjach towarzyskich jednakże bywał uciążliwy.

– Czego chce?

Grey spytał tylko po to, by odwlec czekającą ich rozmowę, i nie zdziwił się, gdy Hal wzruszył wymownie ramionami. Jego brat wydawał się równie niechętny podjęciu wcześniejszej konwersacji jak on sam. Szli przez jakiś czas w milczeniu, każdy zatopiony we własnych myślach.

W przypadku Greya były one chaotyczne: od zaciekawienia osobą Percy’ego Wainwrighta po głęboką troskę wywołaną nieklamany poruszeniem brata. Nad tym wszystkim majaczył obraz kartki, którą przez tak krótką chwilę trzymał w dłoniach.

Odsunął od siebie wszelkie inne myśli i skupił się na zapamiętaniu słów, które zdołał przeczytać. Wciąż przeżywał szok, jakiego doznał, gdy Hal wrzucił papier do ognia, i trudno było mu się pogodzić z faktem, że słowa jego ojca, choć na pozór prozaiczne, zostały na zawsze utracone. Dzienniki księcia nie stanowiły sekretu, a jednak czytywał je w tajemnicy, wyjmując po jednym z półki i przemycając każdy tom do swojego pokoju, a potem odkładał na miejsce ostrożnie, by nikt tego nie zauważył.

Nie potrafił powiedzieć, dlaczego tak mu zależało na tym, by ta pośmiertna relacja z ojcem pozostała sprawą osobistą. Ale taka właśnie była.

Zdołał, w mniejszym lub większym stopniu, odtworzyć w pamięci choćby sens słów na nieistniejącej już kartce, kiedy Hal skulił ramiona i odezwał się niespodziewanie:

– Mówi się... o spisku.

– A kiedy się nie mówi? Który to konkretny spisec tak cię niepokoi?

– Nie mnie, w każdym razie nie tak bardzo. – Hal naciągnął kapelusze

mocniej na głowę i pochylił się pod naporem wiatru. – Nie przerodził się jeszcze w otwarty skandal, ale z pewnością tak się stanie... i to niebawem.

– Nie wątpię – przyznał zgryźliwie Grey. – Nie było przyzwoitego skandalu od czasu świąt Bożego Narodzenia. A kogo ten dotyczy?

– To spisek pederastów zawiązany w celu doprowadzenia do zmiany rządu poprzez zgładzenie wybranych ministrów.

Grey poczuł ściskanie w żołądku, ale zdobył się na niedbałą odpowiedź. Nie po raz pierwszy słyszał o takiej koncepcji; podobne stowarzyszenia i spiski zawsze stanowiły pożywkę ulicznych krzykaczy i pismaków z Fleet Street, ilekroć nie mieli na podorzędziu czegoś ciekawego.

– I dlaczego ma cię to dotyczyć?

Hal wbił wzrok w oślizgły bruk.

– Nas. Chodzi o to, co powiadano. O... o ojcu.

Słowo „ojciec” uderzyło w Greya niczym kamień ciśnięty z procy. Nie był nawet pewien, czy słyszał je w ciągu minionych piętnastu lat w ustach Hala.

– Że był zbrojeńcem? – dociekał z niedowierzaniem.

Hal odetchnął głęboko, ale wydawało się, że trochę się uspokoił.

– Nie. W każdym razie nie wprost. I dzięki Bogu, nie krążyły takie pogłoski. Jedynie sporadyczne oskarżenia w chwili jego śmierci, wysuwane przez członków Stowarzyszenia. Były powszechne i wymierzone w niemal każdego znanego człowieka powiązanego z bańką spekulacyjną Kompanii Mórz Południowych. Winą za ten skandal obarczano „kompanie pederastów”, choć Bóg wie, że wskazywano też wszelkie inne ugrupowania i każdego, kto się tylko nawinał. Ale Stowarzyszenie odgrywało wówczas znaczącą rolę, a rzekome spiski pederastów stanowiły jego szczególną obsesję.

– Stowarzyszenie? – spytał tępo Grey. – Co to za Stowarzyszenie?

– No tak, zapomniałem... byłeś wtedy za mały, by cokolwiek słyszeć...

– Diabelnie mały... w Aberdeen. – Grey nie starał się nawet ukryć goryczy w swoim głosie, brat zaś spojrział na niego ostro.

– Właśnie dlatego cię tam odesłano – odparł spokojnie. – Tak czy owak, mam na myśli Stowarzyszenie Odnowy Obyczajów. Słyszałeś o nim?

– Tak, słyszałem. – Rozgniewany i wytrącony z równowagi Grey nie starał się ukryć uczuć i nie zamierzał tłumić w głosie obrzydzenia i pogardy. – Zarozumiałcy i purytanie, którzy nie przyznają się do własnych popędów, lecz znajdują przyjemność – wyzywają się, bez wątpienia – w oskarżeniach o zepsucie, w oczernianiu niewinnych ludzi. Są...

Hal delikatnie położył mu dłoń na ramieniu, by go uciszyć, kiedy obok nich przebiegli klusem dwaj lektykarze. Ich głowy spowijała biała para oddechu.

Chłód i zmierzch zatrzymały wielu ludzi w domach, ale można było napotkać tych, których źródło utrzymania wyгнаło na ulice, i gdy Grey i Hal

zbliżali się do St. James Street, tłum zgęstniał. Roilo się tu od balladzystów, sprzedawców kasztanów, kobiet handlujących jabłkami i zachwalających pomarszczone owoce. Grey zauważył, że jego brat przygląda się bacznie każdej mijanej osobie, jakby o coś ją podejrzewał.

– Uważa się, że kapitan Michael Bates jest w to uwikłany – oznajmił w końcu Hal. – Generał powiedział mi o tej sprawie wczoraj po waszym wyjściu, twoim i Wainwrighta. Ojciec Batesa to generał Ezekial Bates... od dawna na emeryturze, ale jest w zażyłych stosunkach z generałem Stanleyem.

– Ach – mruknął Grey. – Rozumiem. – Wciąż czuł niepokój, strach, bezsensowny gniew, jednak owe informacje przyniosły mu pewną ulgę. Wiedział przynajmniej, dlaczego ta sprawa rozbudziła uwagę Hala. – A ci pozostali, o których wspominałeś... Otway i Ffoulkes?

– Otway to szeregowiec w piechocie, innymi słowy, nikt, a Ffoulkes – dobrze znany adwokat w Lincoln's Inn.

– Co łączy tych ludzi?

– Osoba Batesa.

Kapitan Bates i Ffoulkes spotkali się, jak twierdził generał Stanley, kiedy ten drugi prowadził pomniejszą sprawę w imieniu rodziny kapitana. Otway, jak wszystko na to wskazuje, poznał Batesa w tawernie niedaleko Temple Stairs i nawiązał z nim zakazany związek, potem zaś został przedstawiony Ffoulkesowi, choć generał nie znał okoliczności tego wydarzenia.

– W samej rzeczy – odparł Grey, rozmyślając o wygodkach niedaleko Lincoln's Inn, miejscu często odwiedzanym przez prawników i zbrojców. – To... towarzystwo jest zwane „kompanią pederastów”? Wydaje się, że nie obowiązują w nim wymogi członkostwa ani jakieś zasady zrzeszenia.

Hal parsknął nieznacznie; jego oddech kłębił się w zimowym powietrzu białą.

– To nie wszystko. Nasz przyjaciel Ffoulkes, jak się zdaje, ma francuską żonę. Która z kolei ma dwóch braci. Jeden z nich jest notorycznym pederastą – notorycznym nawet wedle obyczajów francuskich – podczas gdy drugi to pułkownik w armii francuskiej.

Grey mruknął zdumiony.

– Czy istnieją jakieś dowody... Przypuszczam, że chodzi o zdradę?

– Owszem. Doszło do zdrady. Ministerstwo Wojny dowiedziało się o czymś i po cichu badało przez kilka miesięcy tę sprawę. Bates, tak przy okazji, przez jakiś czas, zanim wstąpił do Straży Konnej, był głównym adiutantem generała Stanleya...

– Chryste.

– Właśnie. Jak wszystko wskazuje, przekazywał tajne materiały Otwayowi, który z kolei przekazywał je Ffoulkesowi podczas schadzek. A dalej, oczywiście...

Grey wciągnął powietrze głęboko w płuca. Płomień gniewu, jaki odczuwał, przygasł, pozostawiając po sobie jedynie chłód. Wszystko to jawiło się jako sprawa osobista – choć nie bezpośrednio. Hal, oczywiście, troszczył się głównie o generała i o swoją rodzinę, by dawne pogłoski nie ożyły w świetle nowego skandalu, podsycane przez rychłe małżeństwo matki.

– Co dotychczas uczyniono? – spytał Grey. – Na ulicy nic się o tym nie mówi, w gazetach też niczego nie znalazłem.

Hal przygarbił nieznacznie ramiona. Przechodzili właśnie przez bramę, gdzie płonęły pochodnie, i Grey dostrzegł cień swego brata, pomniejszony i skurczony niczym obraz starego człowieka.

– Starano się trzymać wszystko w tajemnicy. Bates i Otway zostali jednak wczoraj aresztowani.

– A Ffoulkes?

Hal uniósł głowę, z jego ust dobyła się biała para oddechu.

– Ffoulkes zastrzelił się dzisiaj rana.

Grey szedł dalej, mechanicznie stawiając krok za krokiem, nie czując chłodu ani twardości bruku.

– Niech Bóg ulituje się nad jego duszą – powiedział w końcu.

– I nad naszymi – dodał Hal poważnie.

*

Hal nie mógł i nie chciał mówić nic więcej; resztę drogi przebyli w milczeniu. Głęboko poruszony Grey ocknął się z zamyślenia, gdy skręcili w St. James Street.

Z okien White'a wylewała się struga ciepłego i przyjaznego światła, zalewając swym blaskiem coś, co okazało się ciałem mężczyzny, który leżał na trotuarze przy drzwiach. Kiedy zbliżyli się do budynku, Grey zobaczył, jak przez otwarte drzwi klubu ktoś wysuwa głowę, przygląda się z uwagą ciału, po czym chowa się, a po chwili ktoś inny czyni to samo.

– Znasz go? – spytał Grey brata, kiedy podeszli do człowieka leżącego na ziemi. – Był członkiem klubu?

Grey też był członkiem White'a, ale rzadko tu bywał, uznając, że swojska atmosfera i znakomita kuchnia w Befsztuku bardziej mu odpowiadają.

Hal popatrzył przymrużonymi oczami na ciało i pokręcił głową.

– Nigdy go nie widziałem.

Człowiek ten leżał twarzą w dół, z szeroko rozrzuconymi nogami, okryty dobrej jakości płaszczem. Kapelusz też nie był pośledni; spadł i potoczył się pod ścianę, gdzie znieruchomiał niczym pijany żebrak.

– Nie żyje? Jak myślisz?

Peruka mężczyzny przekrzywiła się, zasłaniając połowę twarzy. Zaczął

prószyć śnieg i w migotliwym świetle i wirujących płatkach trudno było dostrzec, czy w ogóle oddycha.

– Niech się przyjrzę. Może... – Hal pochylił się, by dotknąć leżącego, ale powstrzymał go krzyk od strony drzwi.

– Nie dotykaj go! Jeszcze nie! – Z klubu wyłonił się podekscytowany młody człowiek i chwycił Hala za ramię. – Nie wpisaliśmy się do księgi!

– Co, księgi zakładów? – spytał Hal.

– Tak... Rogers twierdzi, że ten tutaj to już trup, a ja twierdzę, że nie. Stawiam dwie gwinee! Przyłączysz się do mojego zakładu, Melton?

– Jest martwy jak kłoda, Melton! – ktoś krzyknął z otwartych drzwi, zapewne Rogers. – Whitbread i Gallagher trzymają ze mną!

– Nie jest martwy, powiadam. – Młody człowiek uderzył dłonią we framugę drzwi. – Nie potrafilibyście odróżnić zwłok od kołdry!

– Hej! – Grey dostrzegł kątem oka jakiś ruch i obrócił się błyskawicznie z dłonią na rękojęści swego rapiera, ale nie dość szybko, by chwycić obdartego chłopca, który sięgnął po kapelusz leżącego na ziemi człowieka.

Zza zasłony gęstego śniegu dobiegło triumfalne pohukiwanie.

– Wezwijcie straż, na litość boską. Nie możemy go tu zostawić, martwego czy żywego – rzucił niecierpliwie Hal. – Oskubią go do czysta.

Grey ruszył posłusznie w głąb ulicy, w stronę Fount of Wisdom, gdzie odszukał dwóch członków Straży Londyńskiej, którzy przełknąwszy grzany jabłecznik, włożyli z wyraźną niechęcią płaszcz i kapelusz, po czym ruszyli wraz z Greyem do White'a, gdzie jego brat pilnował ciała, wspierając się na swym rapierze.

– W samą porę – powiedział, chowając broń do pochwy. – Są już tutaj! – krzyknął w stronę otwartych drzwi, gdzie pan Holmes, zarządca klubu, kręcił się niespokojnie.

Holmes zniknął natychmiast i po chwili ze środka dobiegło głośnie:

– Księga jest zamknięta, panowie!

Po kilku chwilach ciało zostało otoczone przez tłum podnieconych hazardzistów, którzy wylegli na śnieg, wciąż spierając się ze sobą.

– Co powiesz? – mruknął Grey do Hala. Pociągnął nosem, ale nie potrafił wyczuć jakiegokolwiek odoru śmierci ponad wonią dymu, kawy i jadła, napływającą z wnętrza klubu. – Dziesięć do jednego, że żyje – oznajmił pod wpływem impulsu.

– Wiesz, że nigdy nie obstawiam niczego prócz kart – odmruknął w odpowiedzi Hal. Wciąż jednak stał z przodu grupy, równie ciekawy jak wszyscy pozostali, kiedy jeden ze strażników odsunął ostrożnie perukę z twarzy leżącego mężczyzny.

Zapadła cisza, gdy odsłonięto oblicze o zamkniętych oczach, szare i miękkie

niczym glina garncarska. Jeden ze strażników nachylił się nisko, obejmując dłonią opadłą szczękę, po czym wyprostował się gwałtownie.

– Żyje! Poczuję na ręku jego oddech!

W grupie nastąpiło nagłe ożywienie, rozległy się głosy, kilku mężczyzn pospieszyło, by dźwignąć ofiarę i wnieść do środka, inni wołali o gorącą kawę, lekarza, brandy. Czy miał pugilares, jakieś dokumenty? Gdzie doktor, na litość boską?

Z pokoju karcianego wyłonił się wysoki, siwowłosy mężczyzna, spoglądając ze złością na całe zamieszanie.

– Kto wołał lekarza?

– Och, tu pan jest, Longstreet. Ma pan pacjenta, sir – Hal powitał doktora, którego najwidoczniej znał, po czym wskazał mężczyznę w płaszczu, leżącego na kanapie i otoczonego troską ludzi, którzy kilka chwil wcześniej zakładali się o to, czy żyje, czy też już umarł.

Doktor Longstreet skrzywił się, zrzucił surdut i zaczął podwijać rękawy.

– No dobrze. Obejrzę go. Niech wszyscy wyjdą. Holmes, bądź tak dobry i przynieś miskę z kuchni – powiedziawszy to, wyciągnął z kieszeni składany lancet, który następnie z wielką wprawą otworzył.

Pan Holmes się zawahał.

– Nie zamierza pan nic... pobrudzić, prawda? Dopiero co kazaliśmy obić tę kanapę nowym materiałem.

Longstreet obdarzył go pozbawionym wesołości uśmiechem.

– Zamierzam puścić mu krew, owszem, ale postaram się nie zaplamzić twojego adamaszku. Miska!

Grey, który stał najbliżej i nie ulegał łatwo słabości, pomógł dźwignąć mężczyznę – wysokiego i jednocześnie krępego – i zdjęć z niego wierzchnie okrycie. Człowiek ten zatrzepotał powiekami i poruszył ustami, lecz zaraz znów stracił przytomność i nie drgnął nawet, gdy Longstreet ujął jego obnażoną rękę i zrobił nacięcie pod łokciem.

Do miski skapnęła krew, a wówczas jeden ze świadków wyszedł czym prędzej na zewnątrz, skąd po chwili dobiegły przez otwarte drzwi odgłosy torsji. Pan Holmes rzucił pełne rozpaczy spojrzenie na splamiony krwią dywan i ruszył po pomoc.

– Przypuszczam, że nie ma pan przy sobie soli trzeźwiących – zwrócił się Longstreet do Greya, patrząc ze zmarszczonym czołem na nieprzytomnego człowieka. – Miałem nadzieję, że upuszczenie krwi go ocuci, ale...

– Mój brat ma. Jedną chwilę...

Hal zniknął wcześniej w pokoju karcianym wraz z pozostałymi członkami klubu, którzy stracili zainteresowanie zakładem, gdy został już rozstrzygnięty. Grey udał się tam czym prędzej i niemal natychmiast powrócił z emaliowanym

pudełkiem brata, które, jak się po otwarciu okazało, skrywało nie tabakę, tylko małą zakorkowaną fiolkę z solami.

Doktor Longstreet wziął ją, skinąwszy w podzięcie głową, wyciągnął korek i przesunął fiolkę tuż przy nozdrzach nieprzytomnego mężczyzny.

– Dlaczego pański brat... Melton to pański brat, jak mniemam? Podobieństwo jest uderzające... więc dlaczego nosi przy sobie sole trzeźwiące?

– O ile wiem, jego żona ma skłonność do omdleń – odparł Grey od niechcena.

Hal w rzeczywistości cierpiał od czasu do czasu na dziwne zawroty głowy. Straciwszy raz w upalny dzień przytomność na placu paradnym, postanowił nigdy więcej nie narażać się na podobną przygodę i zaczął nosić przy sobie sole trzeźwiące, choć zdaniem Greya nie uciekał się do ich używania. Brat był przekonany, że Hal wolałby, żeby ta jego ostrożność nie wyszła na jaw.

– Ach! – mruknął doktor z zadowoleniem, kiedy twarz pacjenta drgnęła.

Czynności, jakie przedsiębrano, nie pozwalały na dalszą rozmowę. Po nieprzerwanym stosowaniu soli, przyłożeniu namoczonych w ciepłej wodzie i wyżętych szmat do kończyn i – gdy delikwent zdradzał już niejakie oznaki życia – podaniu rozsądnej dawki brandy dżentelmen począł odzyskiwać przytomność, mimo że nadal nie był zdolny się odezwać, a jedynie marszczył ze zdziwieniem czoło, gdy doń przemawiano.

– Sądzę, że miał atak apopleksji – oznajmił Longstreet, obserwując z zainteresowaniem swego pacjenta. – To często spotykane w przypadku cholerycznego usposobienia. Proszę zauważyć pęknięcia drobnych naczyń krwionośnych na policzkach, a szczególnie na nosie.

– Rzeczywiście. – Grey przyjrzał się mężczyźnie. – Czy odzyska według pana zdolność mowy?

Longstreet wzruszył ramionami, ale wydawało się, że jest w dobrym nastroju. Bądź co bądź, pacjent przeżył. Cóż więcej można było oczekiwać po lekarzu?

– Przy odpowiedniej opiece możliwe. Wiemy, kto to taki?

Grey przetrząsnął kieszenie płaszcza i znalazł wśród ich zawartości otwarty list zaadresowany do doktora Henryka van Humperdincka zamieszkałego przy Great Ormond Street pod numerem 44. Dżentelmen zdradził pewne ożywienie na dźwięk tego nazwiska, tak więc odprawiono posłańca na rzeczoną ulicę, samego zaś pacjenta przeniesiono pod nadzorem anielsko cierpliwego pana Holmesa do jednej z sypialni na górze, gdzie miał pozostać do chwili ustalenia jego tożsamości.

– Postawił pan na niego jakieś pieniądze? – dopytywał się doktor. – Mam nadzieję, że ratując mu życie, nie zubożyłem pana. Ani pańskiego brata, skoro już o tym mowa.

– Nie – zapewnił Grey. – Wygrałbym, gdybym zdążył się założyć. A mój

brat nie ma w zwyczaju się zakładać.

– Nie? – Longstreet sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Nie. Stawia jedynie przy grze w wista, ale tylko dlatego, że jak twierdzi, wierzy w swe umiejętności, nie zaś w szczęście.

Longstreet popatrzył na niego pytająco.

– Nie ma w zwyczaju się zakładać? – powtórzył i roześmiał się cynicznie. Dostrzegając niezrozumienie, które malowało się na twarzy Greya, spowaźniał i ułożył wargi, jakby się zastanawiał, czy ma coś rzec. – Nigdy nie był pan tego świadkiem? – spytał w końcu, patrząc spod szarych brwi na Greya. – Naprawdę? – Nie otrzymawszy odpowiedzi, przeszedł przez pokój i wziął do ręki leżącą na podręcznym stoliku księgę zakładów, którą pozostawiono tam po tym, jak pan Holmes zaznaczył w niej starannie, kto i jak obstawiał w przypadku doktora Humperdincka.

Longstreet zaczął wertować kartki wstecz, posługując się szybko długimi palcami, aż wreszcie znalazł to, czego szukał, i wydał cichy pomruk satysfakcji.

– Proszę – rzekł i podał księgę Greyowi, wskazując zapisek u góry stronicy, poza tym pustej, a pomijając podpisy świadków zakładu na marginesie.

Hrabia Melton oświadcza, iż księżę Pardloe nie był zdrajcą. I zakłada się o dwadzieścia tysięcy funtów, że to prawda. Oponenci mile widziani.

Pod spodem widniał duży i czarny podpis Hala. Grey poczuł się tak, jakby zabrakło mu nagle tchu.

Na sąsiedniej stronicy znajdowały się trzy wpisy, pierwszy sporządzony małymi, równymi literami, jakby w kontraście do pełnej pasji powagi zakładu Hala:

Przyjmuję. Nathaniel Twelvetrees, kapitan, 32 Pułk Piechoty.

Poniżej były jeszcze dwa nazwiska, nakreślone niestarannie:

Potwierdzam słowa hrabiego Meltona. Arthur Wilbraham, członek parlamentu.

Potwierdzam słowa hrabiego Meltona. George Longstreet.

Grey poruszał nerwowo językiem, by zwilżyć usta, i machinalnie zanotował sobie datę zakładu – 8 lipca 1741 roku. Miesiąc po śmierci ojca. Nie zamieszczono wzmianki o rozstrzygnięciu owego zakładu.

– Naprawdę pan nie wiedział? – Longstreet przyglądał mu się z pewną dozą współczucia połączonego z ciekawością.

– Nie – odparł Grey, odzyskawszy wreszcie mowę. Zamknął z niejakim wysiłkiem księgę i ją odłożył. – George Longstreet... to pan?

Doktor pokręcił głową.

– Mój kuzyn. Choć byłem świadkiem tego zakładu. – Usta medyka, długie i ruchliwe, skrzywiły się w kąciku. – To pamiętna noc. Niewiele brakowało, by pański brat wyzwał na pojedynek Twelvetreesa, i został od tego odwiedzony

jedynie przez pułkownika Quarry'ego – naówczas porucznika, oczywiście – który wykazał słusznie, że nie zachowałby się honorowo, ryzykując pozostawienie matki i młodszego brata bez opieki, gdyby przyszło mu zginąć. Musiał być pan wtedy nieledwie dzieckiem?

Grey poczuł uderzenie gorąca; jego policzki płonęły. Nie pił wcześniej, ale szumiało mu w uszach, doznawał też tego dziwnego wrażenia, jak po spożyciu nadmiernej ilości wina, jakby nie był odpowiedzialny za to, co czyni jego ciało.

– Panie Holmes! – zawołał głosem zaskakująco spokojnym. – Pióro i inkaust, jeśli łaska.

Otworzył księgę, po czym wzięwszy do ręki pióro dostarczone pospiesznie przez Holmesa, który stał obok, zaniepokojony i milczący, skreślił starannym piśmem pod słowami brata:

Lord John Grey przystępuje do zakładu pod tymi samymi warunkami.

Nie miał dwudziestu tysięcy funtów, ale wydawało się to bez znaczenia.

– Zechcecie, panowie, podpisać się pod tym jako moi świadkowie?

Podał poplamione inkaustem pióro Longstreetowi, który je wziął, sprawiając wrażenie rozbawionego. Holmes odkaszlnął chrapliwie, Grey zaś odwrócił się i ujrzał swego brata stojącego w drzwiach i przyglądającego się tej scenie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Z pokoju karcianego za jego plecami dochodziły odgłosy śmiechu i okrzyki konsternacji.

– Co się z tobą dzieje, na litość boską? – spytał z niezwykłym spokojem.

– To samo, co z tobą – odparł Grey, który zdjął swój kapelusz i płaszcz ze stojaka, po czym się skłonił. – Dobranoc – rzekł uprzejmie. – Wasza Książęca Mość.

Rozdział 3

Ulubiony przestępca

Gdy Grey znalazł się w domu, nie mógł zasnąć i po niespokojnej godzinie, kiedy to kotłował niemiłosiernie pościel, wstał, rozniecił ogień w kominku i usiadł przy oknie, okrywszy ramiona kocem, a potem patrzył na padający śnieg.

Lodowate kryształki pokrywały szybę niczym niewyraźna koronka, jednakże Grey ledwie uświadamiał sobie chłód – płonął. I to nie ogniem niespodziewanego pożądanego tym razem, ale raczej pragnieniem, by ruszyć przez miasto do domu brata, wyciągnąć Hala z łoża i się na niego rzucić.

Mógł – jak przypuszczał – zrozumieć, dlaczego Hal nigdy nie wspomniał mu o tamtym zakładzie. Po skandalu związanym ze śmiercią ojca on, Grey, został odesłany czym prędzej do dalekich krewnych matki w Aberdeen. Spędził dwa posępne lata w szarym kamiennym mieście i w tym to czasie widział swego brata tylko dwukrotnie.

I gdy powrócił do Anglii, Hal jawił mu się w samej rzeczy jako ktoś obcy, tak zajęty sprawą ponownego sformowania pułku, że nie miał czasu ani dla przyjaciół, ani dla rodziny. A potem... no cóż, poznał Hectora i w tym kataklizmie, jakim było dla niego odkrycie swej prawdziwej natury w wyniku owego spotkania, też nie zamierzał poświęcać nikomu uwagi.

Bracia poznali się lepiej dopiero wtedy, gdy Grey wstąpił do pułku i zrozumiał, że podziela rodzinne zamiłowanie oraz talent do żołnierki. Hal nie zapomniał z pewnością o zakładzie, ale ponieważ, jak wszystko na to wskazywało, nie został on rozstrzygnięty, można było pojąć, że Halowi nigdy nie przyszło do głowy o nim napomknąć, zwłaszcza po tylu latach.

Nie, irytowało go nie to, że Hal nie wspomniał o zakładzie, ale fakt, że jego brat nie powiedział mu otwarcie o jednym: że uważa, iż ich ojciec nie był zdrajcą. Grey żywił w głębi duszy przekonanie, że tak właśnie było, ale tej kwestii wcale nie poruszali – przypadkowy zaś obserwator wyciągnąłby zgoła odmienne wnioski z poczynań Hala, biorąc je za wysiłki człowieka, który stara się zmazać skazę wstydu i skandalu, odrzucając ojcowiznę.

Grey zakładał – był zmuszony to przyznać – że Hal podziela jego wiarę w ich ojca, ponieważ nie zniósłby myśli, że jest inaczej. Gdyby on, Grey, okazał się uczciwy wobec siebie, musiałby przyjąć teraz do wiadomości, że jeśli Hal nie rozmawiał z nim o tej sprawie, wynikało to w takim samym stopniu z faktu, że nigdy nie poruszył owego tematu, jak i z tego, że unikał jakiegokolwiek dyskusji. Grey bał się usłyszeć prawdę, jakiej się obawiał: że Hal wie o księciu coś

nieprzychylnego i niepodważalnego – o czym on sam nie ma pojęcia – ale że z życzliwości oszczędza bratu tej wiedzy.

Choć z radością odkrył prawdziwe uczucia Hala, wszelka ulga była skażona oburzeniem. To, iż wiedział, że owo oburzenie jest nieusprawiedliwione, potęgowało je jeszcze bardziej.

A najgorsze było obrzydzenie do samego siebie, świadomość, że skrzywdził Hala podejrzeniami i brakiem zaufania – chociażby jedynie w myślach – i gniew wynikający z przekonania, że został niejako przymuszony do tego przez okoliczności.

Wstał, nie mogąc zapanować nad niepokojem, i zaczął krążyć po pokoju, starając się stąpać jak najciszej. Pokój matki znajdował się na dole.

Nie mógł się nawet rozmówić z Halem, gdyż oznaczałoby to przyznanie się do wątpliwości, które wolał zachować głęboko ukryte, zwłaszcza teraz, kiedy zostały rozwiane. Przynajmniej te wątpliwości, które dotyczyły Hala. Jeśli zaś chodzi o ojca... o czym, u diabła, świadczyła ta kartka z zaginionego dziennika? Kto ją pozostawił? I dlaczego jego matka powiedziała Halowi, że księżę spalił dziennik, podczas kiedy najwyraźniej tego nie uczynił?

Popatrzył na posadzkę pod stopami, zastanawiając się, czy byłoby mądrze zejść na dół i obudzić matkę, by ją spytać. Hal jednak pragnął z nią pomówić sam na sam; Grey uważał, że również ma do tego prawo.

Mimo wszystko, jeśli obaj sądzili, że matka uraczy ich wymijającymi odpowiedziami czy zdawkowymi zapewnieniami... Uświadomił sobie, iż zaciska dłonie, i rozprostował palce.

– Mylicie się – powiedział cicho. – Oboje.

Zostawił wcześniej na biurku swój zegarek, który wydzwonił teraz godzinę, on zaś podniósł go i przysunął do twarzy – wpół do trzeciej, wyczytał na cyferblacie. Położył go z powrotem obok dziennika, który też tam leżał, jednego z ojcowskich. Wziął wcześniej z biblioteki tom na chybił trafił i zaniósł na górę bez określonego powodu. Z wyjątkiem pragnienia, by go dotknąć.

Położył delikatnie dłoń na okładce. Surowo barwiona skóra, zszyte stronic. Wolumin, jak wszystkie dzienniki księcia, sporządzony tak, by przetrwał trudy rozlicznych podróży i zmienne losy kolejnych kampanii.

...obserwowaliśmy wraz z V. i Johnem, jak w mroku poranka spadają perseidy. Leżeliśmy na trawniku i naliczyliśmy w ciągu godziny ponad sześćdziesiąt meteorów, co najmniej tuzin bardzo jasnych, z widocznym odcieniem błękitu i zieleni.

Powtórzył sobie to zdanie w myślach, upewniając się, że tak właśnie brzmiało – jedyne, które na spalonej przez Hala stronie wymieniało go z imienia; istna perełka.

Nie pamiętał tej nocy, dopóki ów przypadkowy zapiszek nie przywołał jej na

powrót: chłodna wilgoć trawnika przenikająca odzienie, podniecenie silniejsze niż pragnienie snu i tęsknota za ciepłym łóżkiem. A potem głośne „ach” wypowiedziane przez ojca i Victora – tak, V. to Victor Arbuthnot, jeden z ojcowskich przyjaciół astronomów. Czy Arbuthnot wciąż żyje? – zastanawiał się. Nagłe drgnienie serca na widok pierwszej spadającej gwiazdy – krótki, bezgłośny i budzący lęk błysk światła, jakby gwiazda rzeczywiście spadła niespodziewanie ze swego stałego miejsca.

Najbardziej utkwiała mu w pamięci cisza. Mężczyźni początkowo rozmawiali, gawędząc od niechcienia, ale nie zwracał na to uwagi, pogrążony w półśnie. Potem jednak ich rozmowa zanikła. Leżeli we trzech na plecach, zwróceniem twarzami ku niebiosom. Czekali bez słowa.

Poeci mówili o pieśni niebios, muzyce sfer – i Bóg jeden wiedział, że to prawda.

Przystanął przy oknie, spoglądając w lawendowe niebo i przywierając palcami do lodowatego szkła. Noc była bezgwiezdna; z ciemności spadały płatki śniegu, pędząc ku niemu bez końca, niezliczone. Podobnie milczące, ale nie jak gwiazdy. Padający śnieg szeptał do siebie sekretnie.

– A ty jesteś bujającym w obłokach idiotą – oznajmił głośno i odwrócił się od okna. – Zaczynaj pisać wiersze.

Położył się z niechęcią i leżał, wpatrując się w sufit. Wspomnienie tamtej obserwacji gwiazd uspokoiło go, choć nie sądził, że zdoła zasnąć. Zbyt wiele myśli kłębiło mu się w głowie, równie nieskończonych i zagmatwanych jak płatki śniegu. Dzienniki, które zniknęły, pojawiające się nagle kartki, pradawne zakłady – czy ten właśnie zakład stanowił trzon animozji między jego bratem a pułkownikiem Twelvetreesem? I czy ów tak zwany spisek pederastów miał coś wspólnego ze sprawami jego rodziny? Równie dobrze mógł podjąć próbę ułożenia spadających śnieżynek w jakiś sensowny wzór.

Dopiero gdy zamknął oczy, uświadomił sobie, że choć płatków śniegu nie da się dopasować, to jednak się gromadzą. Jeden na drugim – aż sama ich masa tworzy skorupę, po której człowiek może stąpać albo się w niej zapaść.

Postanowił, że zaczeka i przekona się rankiem, jak głębokie są zasy.

*

Rankiem jednakże nadszedł list.

– Geneva Dunsany nie żyje. – Benedicta, księżna wdowa Melton, położyła bardzo delikatnie list w czarnej obwódce obok swego talerza; twarz miała bladą. Lokaj zastygł, podając następną grzaną.

Przez chwilę słowa te nie dotarły do Greya. Gorąca herbata w filiżance ogrzewała jego palce przez porcelanę, wonna para w nozdrzach mieszała się z zapachem smażonych śledzi, gorącego chleba i marmolady. Potem usłyszał to, co

powiedziała matka, i odstawił filiżankę.

– Niech spoczywa w pokoju – odparł. Poczul, że drętwieją mu wargi. – Jak odeszła?

Księżna zamknęła na chwilę oczy; teraz wyglądała na swój wiek.

– W położu – wyjaśniła, po czym westchnęła głęboko i uniosła powieki. – Dziecko na razie żyje. Syn, jak donosi lady Dunsany. – Twarz księżnej powoli odzyskiwała normalną barwę. Znów wzięła do ręki list. – Jest tu coś dziwnego i okropnie smutnego – powiedziała. – Mówi, że ojciec dziecka, czyli Ellesmere, stary Ludovic, jak wiesz, zmarł tego samego dnia co jego żona.

– O Boże! – Kuzynka Greya, Olivia, spjrzała na ciotkę ze łzami w oczach.

Olivia zawsze była dziewczyną o miękkim sercu, a jej skłonność do ulegania sentymentom tylko się pogłębiła podczas ciąży. Ale Grey przypuszczał, że wiadomość, iż Geneva Dunsany zmarła podczas położu, zrobiłaby posępne wrażenie na każdej młodej kobiecie w podobnym stanie.

Odkaslnęła, próbując zwrócić na siebie uwagę kuzynki i jednocześnie zapanować nad własnymi emocjami.

– Przypuszczam, że hrabia nie umarł z powodu złamanego serca – powiedział. – Szok, jak mniemam?

– Skąd wiesz, że nie? – spytała z wyrzutem Olivia, przykładając chusteczkę do oczu. – Gdyby coś miało się stać mojemu drogiemu Malcolmowi, to jestem pewna, że nie przeżyłabym takiej wiadomości! – Na myśl o swym nowym mężu służącym obecnie w amerykańskiej dziczy uroniła jeszcze więcej łez.

Księżna rzuciła synowi cyniczne spojrzenie. Olivia zamieszkała u ciotki po wyjeździe Malcolma Stubbsa do Albany, Grey zaś przypuszczał, że żywa wyobraźnia kuzynki i huśtawka emocji zaczynały, być może, irytować jego matkę, która, choć serdeczna, nie zaliczała się do osób zbyt cierpliwych.

– Wydaje mi się, że Ellesmere był od niej starszy o dobre pięćdziesiąt lat – oznajmił Grey, próbując się zrehabilitować. – I aczkolwiek jestem przekonany, że ją lubił, sądzę, iż jego śmierć została spowodowana apopleksją albo atakiem wywołanym przez szok, a nie nadmierny smutek.

– Och... – Olivia pociągnęła nosem i wytarła go chusteczką. – Biedne maleństwo, osierocone w samym dniu narodzin! Czy to nie straszne?

– Straszne – przyznała księżna i kontynuowała lekturę listu. – Nie była to jednak apopleksja ani żal po stracie żony. Lady Dunsany pisze, że zginął w jakimś tragicznym wypadku.

Olivia popatrzyła z tępym wyrazem twarzy.

– W wypadku? – powtórzyła i wytarła odruchowo nos, po czym złożyła chusteczkę na kolanach. – Co się stało?

– Lady Dunsany nic o tym nie wspomina – odparła księżna, patrząc ze zmarszczonym czołem na list. – Osobliwe. Są bardzo przygnębieni, ma się

rozumieć.

– Czy Ellesmere miał jakąś rodzinę? – spytał Grey. – Czy też Dunsany przygarnął dziecko?

– Już je przygarnęli. Główną troską lady Dunsany poza tym, co się wydarzyło, jest Isobel. Była zżyta ze swoją siostrą, a jej smutek... – Księżna odłożyła list, kręcąc głową, potem wydeła wargi i utkwiała pełne zamyślenia spojrzenie w Greyu. – Pyta, czy uznałbyś za stosowne ich odwiedzić, Johnie. Isobel tak bardzo cię lubi. Lady Dunsany uważa, że być może zdołasz jakoś ulżyć jej w bólu. Pogrzeb – czy raczej pogrzeby? Sądzisz, że zostaną pochowani razem? – jest wyznaczony na następny czwartek. Przypuszczam, że zechcesz w każdym razie udać się wcześniej do Helwater, by się upewnić, że z twoim ulubionym przestępcą jest wszystko w porządku, nim pułk wyruszy do Francji, ale...

– Z ulubionym przestępcą? – Olivia, która posmarowała już sobie grzanekę, zastygła z otwartymi ustami i widelcem w powietrzu. – Co...?

– Doprawdy, matko – oznajmił łagodnie Grey, mając nadzieję, że jego twarz nie zdradza gwałtownego skurczu serca, który poczuł. – Pan Fraser jest...

– Jakobitą, skazanym zdrajcą i mordercą – przerwała mu energicznie matka. – Doprawdy, Johnie, nie pojmuję, dlaczego zadałeś sobie tyle trudu, by trzymać w Anglii takiego człowieka, kiedy zgodnie z prawem powinien być wydalony z kraju. Nie mogę wręcz uwierzyć, że go od razu nie powiesili!

– Miałem powody – odparł Grey, panując nad głosem i spojrzeniem. – I obawiam się, że musisz ufać w tej sprawie mojemu sądowi, matko.

Na policzkach księżnej wykwitł nagle rumieniec, nie odwróciła wzroku, lecz zacisnęła mocno wargi. Potem coś pojawiło się w jej oczach, jakaś myśl.

– Oczywiście – odrzekła już spokojniejszym tonem głosu. – Ma się rozumieć. – Wciąż wbijała wzrok w Greya, ale nie patrzyła już na niego, raczej na coś, co znajdowało się gdzieś daleko za nim. Westchnęła przeciągle, a potem odsunęła się od stołu, jakby podjęła niespodziewanie jakąś decyzję. – Wybaczycie mi, moi drodzy. Mam tego ranka mnóstwo spraw do załatwienia.

– Ale ledwie tknęłaś cokolwiek, ciciu Bennie! – zaprotestowała Olivia. – Może zjesz rybę albo trochę owsianki...

Jednakże księżna, szeleszcząc suknią, już się oddaliła.

Olivia przeniosła spojrzenie na Greya.

– O co chodzi?

– Nie mam pojęcia – wyznał szczerze Grey.

– Zaniepokoiło ją coś, co ma związek z tym twoim nieszczęsnym panem Fraserem – oznajmiła Olivia, spoglądając ze zmarszczonym czołem w stronę drzwi, za którymi zniknęła księżna. – Kto to taki?

Chryste, jak miał odpowiedzieć na takie pytanie? Wybrał jedyną możliwą drogę, innymi słowy, ograniczył się do faktów.

– Jest, tak jak zauważyła moja matka, jakobickim oficerem, Szkotem. Był jednym z więźniów w Ardsmuir. Tam go poznałem.

– Ale teraz przebywa w Helwater? Jak się tam znalazł? – spytała Olivia, zbita z tropu.

– Ardsmuir zamknięto, więźniów przeniesiono – wyjaśnił, zwracając szczególną uwagę na swojego śledzia. Wyjął ości i odłożył je starannie na bok. – Frasera zwolniono warunkowo, nie pozwolono mu jednakże na powrót do Szkocji. Pracuje w Helwater jako stajenny.

– Hm! – Olivia wydawała się zadowolona. – No cóż, zasłużył na to bez wątpienia, koszmarny osobnik. Ale dlaczego ciocia Bennie nazywa go twoim ulubieńcem?

– To tylko niewinny żart z jej strony – odparł zdawkowo Grey, nabierając na widelec kawałek ryby. – Jako że jestem wieloletnim przyjacielem rodziny Dunsanych, odwiedzam Helwater regularnie, a ponieważ byłem gubernatorem Ardsmuir, wypada mi sprawdzić, czy pan Fraser zachowuje się właściwie i czy nic mu nie dolega.

Olivia skinęła głową, przeżuwając. Przełknęła kawałek grzanki, a następnie, rzucając na lokaja ukradkowe spojrzenie, nachyliła się w stronę Greya i ściszyła głos:

– Czy naprawdę jest mordercą?

To zbiło Greya z pantałyku; był zmuszony udać niegroźny atak kaszlu.

– Nie wydaje mi się – rzekł w końcu, odchrząkując. – Sądzę, że matka mówiła retorycznie. Ma bardzo złe zdanie o wszystkich jakobitach, pojmujesz.

Olivia skinęła głową ze zrozumieniem. Miała nie więcej niż pięć–sześć lat w chwili powstania jakobitów, ale musiała słyszeć echa tej powszechnej hysterii, kiedy siły Karola Stuarta parły niepowstrzymanie na Londyn, jak się zdawało. Nawet król szykował się do ucieczki, a ulice były zasłane płachtami papieru, na których przedstawiano górali szkockich jako okrutnych dzikusów przebijających dzieci na wylot, plądrujących i gwałcących bez litości, i puszczających z dymem całe wioski.

A co do matczynej wrogości wobec jakobitów... Nie wiedział, czy Olivii cokolwiek powiedziano; zapewne nie. Wszystko wydarzyło się na długo przed jej narodzinami i ani matka, ani Hal nigdy o tym nie mówili, jak wiedział z doświadczenia. No cóż, nie do niego należało, by oświecać Olivię w kwestii krwawych szczegółów rodzinnego skandalu. Matka i brat byli zdecydowani pozostawić całą sprawę przeszłości grzebiącej swych zmarłych i z pewnością...

Przestał jeść, a nadzwyczajny niepokój sprawił, że zjeżyły mu się włosy na karku.

Nie. Z pewnością nie. Lecz to wzmianka o Fraserze i słowo „jakobita” przyprawiły matkę o bladość. Przecież wiedziała o tym człowieku – Grey

odwiedził Helwater kilkakrotnie od czasu, gdy Fraser został tam zesłany. On sam nie robił z tego jednakże jakiejś wielkiej sprawy, nigdy nie wspominał o tamtejszej obecności Frasera jako głównej przyczynie swych wizyt. Nie, matce przyszła nagle do głowy jakaś zupełnie nowa myśl. Czy możliwe, że zaczęła nagle sądzić, iż powody, dla których przetrzymywał Frasera w Anglii, mają coś wspólnego z...

Odnosił wrażenie, że w jego trzewiach wije się jakiś zimny mały stwór.

Olivia straciła zainteresowanie szkockim więźniem i teraz z radością nakreślała plany dotyczące stroju, który Grey miał włożyć na matczynej ślub.

– Żółty aksamit, jak mniemam – rzekła, patrząc nań krytycznie ponad dzbankiem herbaty okrytym pokrowcem. – Będzie wyglądał uroczo na tle błękitu ciotki Bennie. Podkreśli twoją karnację i wydaje mi się też, że będzie odpowiedni dla pasierba generała. Ciocia twierdzi, że jest ciemnowłosa... poznałeś go?

– Tak, poznałem, i owszem, jest ciemnowłosa – potwierdził Grey, którego wnętrzości wykonały niezwłocznie *volte-face*. – Pragniesz, byśmy byli ubrani jednakowo? Na żółto? Olivio, będziemy wyglądać jak, nie przymierzając, para śpiewających kanarków. – Mówił poważnie, ale jego uwaga przyprawiła ją o chichot i Olivia parsknęła przez nos herbatą, co jego też spowodowało do śmiechu.

– No cóż – odezwała się, kiedy zapanowała nad rozbawieniem. – Jeśli naprawdę zamierzasz wybrać się do Krainy Jezior, radzę, byś zrobił to szybko i mógł zdążyć na ślub. Żółty czy nie żółty, będziesz miał nowy strój, a przymiarki...

Grey jednak przestał już słuchać. Chryste, powinien jechać natychmiast, jeśli zamierzał to w ogóle uczynić. Pomijając pogrzeb i pragnienie Isobel Dunsany, by się z nim zobaczyć, ślub wyznaczony był na koniec lutego. Gdyby zwlekał, nie zdołałby wrócić przed odpłynięciem pułku do Francji, co miało nastąpić w marcu.

Po raz pierwszy jego zadowolenie na myśl o odwiedzeniu Helwater skażone było niejakim lękiem. Percy Wainwright... no cóż, ta sprawa nie wymagała pośpiechu, czyż nie? Zwłaszcza jeśli Wainwright rzeczywiście wstąpiłby do pułku. I miał spotkać się z tym człowiekiem jeszcze tego popołudnia; nadarzała się okazja wyjaśnienia. Może nawet...

Jego wzrok przyciągnął jakiś ruch przy drzwiach; zobaczył tam matkę. Wspierała się dłonią o framugę.

– Jedź, jeśli musisz – rzekła niespodziewanie. – Ale na litość boską, Johnie, bądź ostrożny. – Potem się odwróciła i znów zniknęła.

Głęboko zaniepokojony, podniósł filiżankę i stwierdził, że herbata wystygła, ale i tak ją wypił.

Rozdział 4

Plucha

Był to ten niejednoznaczny rodzaj opadów wyglądających po części na śnieg, a niezupełnie jak mżawka. Bezkształtne śniegowe płatki spadały wolno, rozproszone; wirowały w szarym powietrzu i muskały mu twarz – drobnutkie zimne dotknięcia, tak rzadkie, że nie pozostawiały nawet po sobie wrażenia wilgoci. Suche łyzy, pomyślał. Stosownie do jego poczucia odległej żałoby.

Grey zatrzymał się na skraju Haymarket, czekając, aż nadarzy się okazja i będzie mógł precyzyjnie się między powozami, karetami, końmi i wózkami. Odbył długi spacer. Mógł co prawda skorzystać z lektyki albo wziąć powóz matki, ale czuł się niespokojny, spragniony powietrza i ruchu, bliskości ludzi, z którymi nie miał potrzeby rozmawiać. Chciał zyskać na czasie, by się przygotować przed ponownym spotkaniem z Percym Wainwrightem.

Był oczywiście zszokowany. Znał Genewę od jej narodzin. Uroczą dziewczyną o czarującym usposobieniu i świetlistych oczach. Nieco zepsuta, choć w sposób budzący sympatię, także do pewnego stopnia lekkomyślna. Wspaniała amazonka. Nie zdziwiłby się ani trochę, gdyby się dowiedział, że skręciła sobie kark podczas jakiegoś wypadku na polowaniu albo zginęła w trakcie skoku konia nad jakąś niebezpieczną rozpadliną. Sama zwyczajność śmierci w połogu... wydawała się w jakiś sposób niewłaściwa, osobliwie niepasująca do tej kobiety.

Wciąż pamiętał, jak wybrała się z nim na przejażdżkę, rzuciła mu wyzwanie, proponując wyścig, a gdy odmówił, spokojnie odpięła kapelusz, nachyliła się i smagnęła nim jego konia po zadzie, po czym spięła wierzchowca i pogalopowała, on zaś musiał poskramiać swojego przerażonego wałacha, a potem gonić za nią na złamanie karku po skalistych wzgórzach nad Helwater. Był dobrym jeźdźcem, lecz nigdy jej nie dogonił.

Jakby to wspomnienie wciąż stanowiło swoiste wyzwanie jeździeckie, rzucił się w ruch uliczny i pobiegł po bruku, nurkując pod głowę wystraszonego konia ciągnącego dorożkę, i dotarł na drugą stronę; waliło mu serce, a w uszach rozbrzmiewały przekleństwa dorożkarza.

Skręcił w St. Martin's Lane, czując w palcach i uszach pulsującą krew, czemu towarzyszyło niemal wstydlive wrażenie przyjemności, które daje świadomość, że się żyje, będące reakcją na wieść o czyjejs śmierci albo na jej widok.

Wciąż nie potrafił myśleć o Genevie jako osobie martwej. Może dotarłoby to do niego dopiero wtedy, gdyby zjawił się w Helwater i znalazł pośród jej bliskich,

a potem przemierzał miejsca, w których pamięć o niej się zachowała. Próbował sobie ją wyobrazić, ale stwierdził, że twarz zatarła się w jego pamięci, choć przetrwał niezwykle wyrazisty obraz jej gibkiej postaci, w brązowej sukni, z kasztanowymi włosami, szybkiej jak lis.

Zupełnie niespodziewanie zaczął się zastanawiać, czy mógłby sobie przypomnieć twarz Percy'ego Wainwrighta. Przedwczoraj podczas dwugodzinnego lunchu wpatrywał się w nią, ale bardziej niż twarz Percy'ego zachował w wyobraźni postać kryjącą się pod zgrabnym niebieskim garniturem; tego był bardziej pewien. Niespokojne wyczekiwanie przyprawiło go o żywsze bicie serca.

Miał jednak inne oblicze przed oczami, inną postać, wyrazistą niczym płomień pośród głębokich zieleni i szarości wzgórz. Ujrzał ją, ten długi nos, zmrużone oczy, wrogie jak ślepiec leoparda, jakby ten człowiek stał przed nim, a wtedy owo przyjemne pulsowanie krwi zmieniło się od razu w coś głębszego i bardziej emocjonalnego.

Uświadomił sobie, że ta wizja pojawiła się już raz zniechęca, w chwili gdy jego matka wypowiedziała słowa: „Geneva Dunsany nie żyje” – choć on instynktownie przestał o tym myśleć. Geneva Dunsany oznaczała Helwater. A Helwater to nie tylko wspomnienia o niej, nie tylko smutek jej rodziców i siostry, lecz też Jamie Fraser.

– Niech to diabli – mruknął do nawiedzającej go wizji. – Nie teraz. Odejdź! – I ruszył na spotkanie, nie zwracając uwagi na mokry śnieg; czuł, jak burzy się w nim gorąca krew.

*

Postanowili spotkać się wcześniej i pójść razem do salonu lady Jonas. Nie znając ani zasobów Wainwrighta, ani jego upodobań, Grey wybrał Balboy, skromną kawiarnię odwiedzaną głównie przez armatorów i brokerów.

Było tu zawsze wesoło i gwarno. Goście zbierali się w małe grupki, omawiając strategię, spierając się o kontrakty, rozważając szczegóły biznesu w wonnej i ożywczej atmosferze palonej kawy. Od czasu do czasu wpadał ogarnięty paniką czeladnik albo kancelista, by wyciągnąć któregoś z gości w związku z jakąś pilną sprawą – lecz w sennej i poobiedniej porze większość kupców wracała do swych biur i magazynów; można wtedy było przynajmniej spokojnie porozmawiać.

Grey zgodnie z nawykiem zjawił się punktualnie, w chwili gdy jego zegarek wybił trzecią. Okazało się jednak, że Percy Wainwright już tam jest i siedzi przy stole na tyłach pomieszczenia.

Od razu go rozpoznał. W samej rzeczy, twarz jego ewentualnego przybranego brata zdawała się wyłaniać z półmroku, ożywiona uśmiechem i wyrazista, jakby człowiek ten siedział przy płomieniu świecy, niepokojące zaś

widmo Jamiego Frasera od razu zniknęło z umysłu Greya.

– Jesteś niezwykle punktualny – zauważył, dając Wainwrightowi znak, by się nie podnosił, i usiadł naprzeciwko. – Mam nadzieję, że nie musiałeś pokonać zbyt długiej drogi?

– Och, nie. Mam lokum całkiem niedaleko, przy Audley Street. – Skinął głową, wskazując kierunek, choć jego oczy wpatrywały się uparcie w Greya, przyjaźnie, lecz z intensywną ciekawością.

Grey był równie zaciekawiony, ale starał się nie sprawiać wrażenia, że przygląda się swemu towarzyszowi zbyt uważnie. Zamówił kawę i skorzystał z okazji, by uczynić to ukradkiem, kiedy Wainwright rozmawiał z kelnerem. Dobry styl, elegancki, ale spokojny fason, materiał nieco znoszony, lecz dobrej jakości. Fular wyszukany i nieskazitelny – podobnie jak długie palce o mocno zaznaczonych kłykciach, ujmujące szczytce do cukru. Wainwright uniósł przy tym pytająco brwi.

Grey pokręcił głową.

– Nie przepadam za cukrem, ale lubię śmietankę.

– Tak jak ja.

Wainwright odłożył bezzwłocznie szczytce i obaj uśmiechnęli się niespodziewanie, stwierdziwszy, że dzielają to drobne upodobanie – po czym uśmiechnęli się jeszcze szerzej, by wreszcie roześmiać się na cały głos, nie mając nic sensownego do powiedzenia.

Grey podniósł filiżankę i przelał trochę kawy na spodek, by ostygła, zastanawiając się, o czym ma teraz mówić. Bardzo pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o Percym Wainwrightcie, nie był jednakże pewien, jak daleko może się posunąć, nie obrażając rozmówcy.

Dowiedział się już co nieco od matki: Percy Wainwright to syn zubożałego duchownego, który zmarł młodo, pozostawiając chłopcu i jego matce niewielką rentę. Żyli przez kilka lat w ubóstwie, zachowując pozory dobrobytu, ale pani Wainwright była piękną kobietą i w końcu poznała i poślubiła generała Stanleya – też pozostającego od długiego czasu we wdowieństwie.

– Sądzę, że byli całkiem szczęśliwi – rzekła matka Greya beznamiętnie. – Zmarła zaledwie kilka miesięcy po ślubie... na suchoty, jak mniemam. – Patrzyła zamyślona w lusterko, kiedy rozmawiali, i obracała głowę to w jedną, to w drugą stronę, oceniając krytycznie swe odbicie spod przymrużonych powiek.

– Ty też jesteś bardzo piękna, matko – powiedział, rozbawiony i jednocześnie wzruszony tym, co uważał za oznakę matczynej niewiary.

– No cóż, owszem – odparła szczerze, odkładając lusterko. – Jak na swój wiek jestem nadzwyczaj przystojna. Choć uważam, że generał ceni mnie bardziej za zdrowie niż za to, że wciąż mam wszystkie zęby i nadobną skórę. Pochował dwie chorowite żony, co było dlań niezwykle bolesne.

Jego matka, oczywiście, też pochowała dwóch mężów, nie wspomniała jednakże o tym, podobnie jak on.

Zadał teraz zwyczajowe pytania natury towarzyskiej – czy Wainwright często odwiedza salon lady Jonas? Grey nie miał jeszcze tej przyjemności. Jak Wainwright znajduje owo towarzystwo w porównaniu z innymi tego rodzaju zgromadzeniami? – myśląc jednocześnie, że zmarła lady Stanley musiała doprawdy być piękna, sądząc po jej synu.

I wątpię wielce, czy jestem pierwszym mężczyzną, który to dostrzegł, pomyślał. Czy jest ktoś...?

Gdy się wahał, Percy popatrzył na niego i wprost zadał pytanie, które i jemu cisnęło się na usta.

– Często pan tam bywa? W Lavender House?

Grey odczuł niejaką ulgę, gdyż samo pytanie stanowiło jednocześnie odpowiedź, o ile o niego chodziło. Jeśli Wainwright miałby w zwyczaju odwiedzać Lavender House, to wiedziałby, że Grey tego nie czyni.

– Nie – odparł i znów się uśmiechnął. – Nie byłem tam od wielu lat przed owym spotkaniem z tobą.

– Była to moja pierwsza i jedyna wizyta – wyznał Percy. Wbił wzrok w swoją kawę. – Pewien... przyjaciel postanowił wprowadzić mnie do tego towarzystwa, sądząc, że mogę uznać obecne tam osoby za sympatyczne.

– I tak się stało?

Percy Wainwright miał długie ciemne rzęsy. Uniosły się powoli, pozwalając Greyowi dojrzeć te ciepłe brązowe oczy, tym cieplejsze, że malowało się w nich rozbawienie.

– O, tak – odparł Percy. – A pan?

Grey poczuł, jak krew uderza mu do twarzy, i podniósł filiżankę do ust, aby gorąco napoju ukryło jego zmieszanie.

– Poszukiwanie... osób sympatycznych nie było moim celem – zaczął rozważnie, opuszczając filiżankę. – Udałem się tam, by zapytać właściciela o pewną osobistą sprawę. Mimo wszystko – dodał bez namysłu – należałoby uznać za głupca kogoś, kto nie zwraca uwagi na funt leżący na drodze obok jego stopy tylko dlatego, iż go nie szukał. – Zerknął na Percy'ego, który roześmiał się z zadowoleniem. Nagle Grey poczuł przyływ ożywienia. Nie mógł już dłużej znosić przebywania w czterech ścianach i siedzieć beczynn timer. – Pójdziemy?

Percy dopił pospiesznie kawę i wstał, jedną ręką sięgając po płaszcz, drugą zaś odstawiając filiżankę.

Na ścianach Balboy rozwieszono kwasoryty przedstawiające *Modne małżeństwo* Hogartha, otaczały je jednak – gdzieniegdzie zakrywały – grube arkusze gazet, prywatne *communiqués* i ogłoszenia z nagłówkiem „Poszukiwane”, wyrażające zapotrzebowanie na dosłownie wszystko: począwszy od sześciu ton

surowego ołowiu albo całego statku Murzynów, a skończywszy na zwierzchniku firmy, człowieku o dobrym imieniu i solidnych zasobach finansowych, który mógłby przejąć zarządzanie nową spółką zajmującą się sprzedażą nieodzownych artykułów dla dżentelmenów. Czy chodziło o tabakierki, pończochy czy też kondomy – nie wyjaśniono.

Zerkając od niechcienia na nowy wysyp anonsów, kiedy zmierzali do wyjścia, Grey dostrzegł znajome nazwisko w nagłówku świeżej szpalty. ŚMIERĆ UJAWNIONA, było napisane dużymi literami. Przystanął gwałtownie, wyławiając z mniejszego druku nazwisko Ffoulkesa.

– Co? – Percy też się zatrzymał siłą rzeczy, patrząc z ciekawością to na Greya, to na stronicę gazety.

– Nic. Nazwisko, które znam. – Grey poczuł, jak jego uniesienie nieco przygasa, choć był zbyt podekscytowany, by zostało do końca stłumione. – Czy słyszałeś kiedykolwiek o adwokacie Ffoulkesie? Melchior Ffoulkes? – spytał Percy'ego.

Młodzieniec spojrział ponuro i pokręcił głową.

– Obawiam się, że nikogo nie znam za dobrze – odparł przeprasząco. – Powinienem być kiedykolwiek słyszeć o panu Ffoulkesie?

– Ależ skąd.

Grey wiedział, że niebawem przestanie myśleć o Ffoulkesie, ale czuł się w obowiązku sprawdzić, ile z tego, co powiedział mu Hal, trafiło do prasy. Rzucił srebrną półpensówkę właścicielowi kawiarni, wziął stronicę, złożył ją i wepchnął do kieszeni, mówiąc sobie, że znajdzie na to dość czasu później.

Na dworze przestało padać, lecz niebo było zasnuwane ciężkimi chmurami, w powietrzu zaś panował bezruch; ziemia czekała na więcej śniegu. Gdy zostali sami, z dala od gwaru kawiarni, pojawiło się między nimi niejasne poczucie intymności.

– Muszę przeprosić – odezwał się Percy, gdy zmierzali w stronę Hyde Parku.

– Za co?

– Za moją wczorajszą gafę. Generał powiedział mi, bym pod żadnymi pozorami nie zwracał się do pańskiego brata per „Wasza Książęca Mość”, nie zdążył jednakże wyjaśnić dlaczego... w tamtym czasie.

Grey parsknął.

– A wyjaśnił od tamtej pory?

– Nie wdawał się w szczegóły. – Percy zerknął na niego z zaciekawieniem. – Powiedział tylko, że doszło do jakiegoś skandalu i że pański brat wyrzekł się w konsekwencji swego tytułu.

Grey westchnął. Wiedział, że rzecz jest nieunikniona. Mimo wszystko pragnął to pierwsze spotkanie zachować wyłącznie dla siebie i Percy'ego, wolne od brzemienia przeszłości i teraźniejszości.

– Niezupełnie – odparł. – Coś w tym rodzaju.

– Jednakże pański ojciec był księciem? – Wainwright popatrzył na niego nieufnie.

– Tak. Księciem Pardloe. – Czuł się dziwnie, wymawiając ten tytuł; nie robił tego od ilu... piętnastu lat? Dłużej. Tyle czasu... Poczul znajomą pustkę na myśl o swym ojcu. Lecz gdyby miało dojść do czegoś między nim a Percym Wainwrightem...

– Ale pański brat jest teraz księciem Pardloe?

Grey uśmiechnął się odruchowo, aczkolwiek smętnie.

– Owszem, jest. Nie posługuje się jednakże tym tytułem ani się nie posługiwał w przeszłości. – Zdobył się na nieznaczny gest przeprosin. – Mój brat to bardzo uparty człowiek.

Wainwright uniósł brwi, jakby sugerując, że według niego Melton nie jest jedynym w rodzinie Greyów, który odznacza się taką cechą.

– Nie musi mi pan o tym opowiadać – rzekł, dotykając ramienia Greya. – Jestem pewien, że to bolesna sprawa.

– I tak się prędzej czy później dowiesz, a masz prawo wiedzieć, jako że wchodzisz do naszej rodziny. Mój ojciec się zastrzelił – powiedział niespodziewanie, a Percy zamrugał gwałtownie, nie kryjąc szoku.

– Och – rzucił ściszym głosem i znowu dotknął ramienia Greya. – Przykro mi.

– Mnie również. – Grey odchrząknął. – Zimno, prawda? – Włożył rękawiczki i podrapał się pod nosem. – Słyszałeś o jakobitach? I o bańce spekulacyjnej?

– Owszem, słyszałem. Ale co jedno ma z drugim wspólnego? – spytał Percy, nie kryjąc zaskoczenia.

Grey poczuł, jak drgają mu wargi, choć nie w uśmiechu.

– Nic, o ile się orientuję. Ale obie te sprawy miały związek ze... skandalem.

Gerard Grey, hrabia Melton, był mądrym człowiekiem wywodzącym się ze starej i szanowanej rodziny, wykształconym, przystojnym, zamożnym i odznaczającym się niespokojnym, ciekawym umysłem. I był też znakomitym żołnierzem.

– Mój ojciec odziedziczył tytuł jako młody człowiek, ale nie wystarczało mu zajmowanie się rodzinnymi włościami. Miał bardzo dużo pieniędzy – moja matka wniosła w posagu jeszcze więcej – i gdy Starszy Pretendent przeprowadził pierwszą inwazję w roku tysiąc siedemset piętnastym, uformował pułk i poszedł walczyć za króla i kraj.

Jakobici byli źle zorganizowani i kiepsko wyposażeni. Starszy Pretendent, Jakub Stuart, nie dotarł nawet na ląd, by poprowadzić swe oddziały, mógł tylko pienieć się bezradnie ze złości z dala od brzegu, napotkawszy niesprzyjającą

pogodę. Inwazja, tak jak wyglądała, została z łatwością stłumiona w zarodku. Jednakże młody i śmiały hrabia dał się poznać pod Sheriffmuir jako bohater.

Niemiec, Jerzy I Hanowerski, czując się pomimo zwycięstwa nieswojo na nowym tronie i pragnąc pokazać parom korzyści płynące z militarnego wsparcia jego osoby, nadał Gerardowi Greyowi tytuł księcia Pardloe.

– Nie przynosiło to żadnych pieniędzy, pojmujesz, a co się tyczy ziemi, jedynie kilka wiosek, lecz takie nadanie robiło wrażenie – wyjaśnił Grey.

– Co... się stało? – dopytywał się Percy, którego ciekawość przewyższała nieskazitelne maniery.

– No cóż. – Grey wziął głęboki oddech, zastanawiając się, od czego najlepiej zacząć. Nie chciał tak od razu mówić o ojcu, postanowił więc wyjaśnić wszystko niejako od końca. – Matka mojej matki była Szkotką. Nie z pogórza – dodał pospiesznie. – Z pogranicza, a to nie to samo.

– Tak, mówią tam po angielsku, prawda? – Wainwright skinął głową, ściągając w zamyśleniu brwi.

– Mniemam, że to kwestia opinii – odrzekł Grey. Potrzebował tygodni, by przywyknąć do okropnego akcentu szkockich kuzynów na tyle, by móc zrozumieć, co do niego mówią. – Ale nie są przynajmniej barbarzyńcami, jak Szkoci z pogórza. I nie przyłączyli się do powstania katolickiego, jako że są w większości protestantami i nie łączą ich ze Stuartami czy klanami z pogórza ani szczególna sympatia, ani wspólne interesy.

– Sądzę jednakże, iż wielu Anglików nie czyni rozróżnienia między jednym Szkotem a drugim – wtrącił Percy.

Grey skrzywił się nieznacznie na potwierdzenie tych słów.

– Nie pomagało, że jeden z wujów mej matki i jego synowie otwarcie wspierali sprawę Stuartów. Ze względu na profity – dodał z niesmakiem. – Nie religię.

– To lepiej czy gorzej? – spytał Percy, którego uśmiech pozbawił owe słowa uszczypliwego charakteru.

– Wybór był niewielki – przyznał Grey. – I zanim wszystko dobiegło końca, wplątało się w to jeszcze więcej ludzi z rodziny mojej matki. Jeśli nie znani jakobici, to z pewnością splamieni powiązaniem z tą sprawą.

– Rozumiem. – Wainwright spjrzał na niego z zaciekawieniem. – Wspomniał pan, że pański ojciec był uwikłany w tę historię z bańką spekulacyjną. Czy to oznacza, że miało to związek z tym nastawionym na zys wujem?

Grey zerknął na niego, zaskoczony bystrością młodzieńca.

– Tak – odparł. – Dziadek cioteczny Nicodemus. Nicodemus Patricius Marcus Armstrong.

Percy parsknął pod nosem.

– Jest powód, dla którego ochrzczono mnie imieniem John, a moi bracia

noszą tak pospolite imiona, jak Paul, Edgar i Harold – oznajmił cierpko Grey. – Imiona ze strony rodziny mojej matki... – Pokręcił głową i podjął opowieść: – Mój ojciec zainwestował dość dużą sumę w pewną firmę – Kompanię Mórz Południowych – za namową wuja Nicka, co miało miejsce po bitwie pod Sheriffmuir. Zważ, że działo się to kilka lat przed krachem. Wtedy wydawało się to tylko nieco ryzykownym przedsięwzięciem. I przemawiało, jak sądzę, do ojcowskiego niezwykle silnego ducha przygody. – Uśmiechnął się bezwiednie, przypomniawszy sobie niektóre z owych przygód. – Była to spora suma, ale w żadnym razie nie stanowiła znaczącej części jego majątku. Przekazał ją więc z zadowoleniem, powierzając czuwanie nad interesem wujowi Nickowi, sam zaś poświęcił się innym, bardziej interesującym sprawom. Ale potem jakobici zagrozili... – urwał, spojrzawszy na Percy'ego. – Ile masz lat, jeśli zechcesz wybaczyć mi ciekawość?

Percy zamrugał zdziwiony, ale się uśmiechnął.

– Dwadzieścia sześć. Dlaczego pan pyta?

– Ach, więc jesteś dostatecznie dojrzały, by pamiętać atmosferę podejrzliwości i hysterii otaczającą jakobitów w czterdziestym piątym?

Percy pokręcił głową.

– Nie – odparł z żalem. – Mój ojciec, duchowny, postrzegał świat i jego sprawy jedynie jako zagrożenie dla pobożnych dusz. Niewiele docierało do nas wieści, my zaś i tak nie przywiązywalibyśmy wagi do pogłosek politycznych. Jeśli chodzi o mego ojca, jedynym liczącym się królem był Pan. Ale to bez znaczenia – dodał pospiesznie. – Proszę mówić dalej.

– Zamierzałem powiedzieć, że histeria, choć wielka, stanowiła zaledwie echo tego, co wydarzyło się wcześniej. Tak przy okazji, nie masz nic przeciwko temu, że idziemy na piechotę? Moglibyśmy z łatwością wziąć powóz.

Zrobiło się znacznie zimniej i po ulicach hulał przenikliwy wiatr. Percy był ubrany lekko jak na taką pogodę, pokręcił jednakże głową.

– Nie, wolę iść. Jest o wiele łatwiej rozmawiać... jeśli ma pan na to ochotę – dodał odrobinę wstydliwie.

Grey zdawał sobie sprawę, że jego propozycja wynajęcia powozu wynikała z nagłej chęci porzucenia na chwilę tej rozmowy, jak i oszczędzenia Percy'emu zaziębienia. Ale czuł, że Wainwright miał prawo wiedzieć i byłoby lepiej, gdyby usłyszał szczegóły od niego niż od kogoś, kto mniej poważał zmarłego księcia.

– No cóż, dowiesz się, jak mniemam, że sformowanie, wyekwipowanie i utrzymanie pułku to kosztowne przedsięwzięcie. Mój ojciec miał pieniądze, ale by powiększyć regiment, kiedy w tysiąc siedemset dziewiętnastym groźba jakobicka pojawiła się ponownie, sprzedał akcje Kompanii Mórz Południowych. Wbrew radzie Nicodemusa, muszę dodać.

W ciągu pięciu lat cena owych akcji wzrosła znacznie, z dziesięciu funtów

do stu, potem zaś, oszalemiająco, ze stu funtów do tysiąca w ciągu roku, podbijana plotką i chciwością, a także niemałą dawką szachrajstwa ze strony zarządzających kompanią. Książę sprzedał akcje w samym szczycie owego szaleństwa.

– A tydzień, zaledwie tydzień później zaczął się spadek. Musiał upłynąć niemal cały rok, by rozmiar krachu stał się w pełni widoczny. Kilka wielkich rodzin popadło w ruinę; ludzi pośledniejszego pochodzenia niemal zmiotło z powierzchni ziemi. A publiczne oburzenie wobec tych, których uważano za winnych...

– Mogę to sobie wyobrazić. – Percy zerknął na Greya. Nie nosił kapelusza i koniuszki jego uszu stały się czerwone z zimna. – Ale pański ojciec nie był winien, prawda?

Grey pokręcił głową.

– Widziano, że dorobił się znacznie, podczas gdy inni zbankrutowali – powiedział po prostu. – Nie potrzeba było niczego więcej, by ogół go skazał.

Głos ogółu zaś, w Izbie Gmin, rozbrzmiewał wyjątkowo donośnie w oskarżeniach.

– Ale był księciem. – Grey patrzył, jak te słowa dobywają się z jego ust pod postacią pary niczym biały dym. – Nikt nie mógł go sądzić, z wyjątkiem tych, którzy byli mu równi. A Izba Lordów odmówiła jakichkolwiek działań w tej sprawie.

Nie z poczucia sprawiedliwości – wiele ze szlacheckich rodzin ucierpiało z powodu krachu i pałało podobnie irracjonalną wściekłością jak gmin, lecz książę Pardloe starannie dobierał przyjaciół i tłum rzucił się drapieżnie na łatwiejszą ofiarę.

– Takie rzeczy jednak pozostawiają piętno. Rodzą wrogów, uporczywą niechęć. Niefortunnym zrzędzeniem losu ojciec był dobrym przyjacielem Francisa Attebury'ego. Biskupa Rochester – dodał Grey, dostrzegając pytanie w oczach Percy'ego. – Skazanego za to, że znalazł się w centrum spisku jakobickiego, którego celem było wykorzystanie powszechnych odczuć dotyczących bańki spekulacyjnej, by dokonać inwazji na rzecz Stuarta i zdetronizować króla w dwudziestym drugim. Skazanego na banicję, nie zgładzonego.

Ścieżka zaprowadziła ich do Hyde Parku, gdyż wiodła tędy najprostsza droga do domu lady Jonas. Znajdowali się teraz w obrębie parku i Grey wskazał rozległe i wyludnione przestrzenie, które ich otaczały.

– Kiedy rozeszły się wieści o spisku z dwudziestego drugiego, Jego Wysokość, zdjęty paniką, wezwał do Londynu oddziały liczące dziesięć tysięcy ludzi, by strzegły miasta. Żołnierze zostali rozlokowani tutaj, w tym parku. Ojciec mi powiedział. Mówił, że dym z ich ognisk był gęstszy niż poranna mgła, a smród nie do opisania. Jednakże miejsce to okazało się dlań korzystne, gdyż jego rodzinny dom stoi w pobliżu, tuż za tamtymi drzewami. – Wskazał ręką,

uśmiechając się przelotnie na owo wspomnienie, a potem mówił dalej: – Ojciec grał jedynie w szachy z biskupem, nic więcej. Nie żywił jakichkolwiek sympatii jakobickich. No ale znów...

– Opinia ogółu. – Percy skinął głową. – No i rodzina pańskiej matki. Zatem postrzegano go jako sympatyka jakobitów? Uważano, że doprowadził w jakiś sposób do krachu, by umożliwić inwazję, choć wcale do niej nie doszło.

Grey skinął głową, czując ucisk w piersi. Nigdy wcześniej nie opowiadał nikomu tej historii i teraz był zaskoczony i jednocześnie zaniepokojony tym, jak łatwo przychodzą mu słowa. Doszedł jednak do najtrudniejszej części i się zawahał.

– Potem, dziesięć lat później, znów pojawił się strach przed jakobitami, choć wszystko sprowadzało się do pogłosek. Stało się to za sprawą lorda Cornbury. Nikt zapewne by tego nie zauważył, tyle że człowiek ten był dziedzicem hrabiego Clarendona. Ostatecznie wszystko rozeszło się po kościach. Cornbury nie został nawet uwięziony, a jedynie odsunięty od spraw politycznych.

Percy zagryzł wargę i pokręcił z wolna głową.

– Tylko proszę mi nie mówić, że... Cornbury też zaliczał się do znajomych pańskiego ojca.

– Och, nie, do znajomych matki. – Spojrzał na Percy'ego posępnym wzrokiem. – Czy raczej powinienem powiedzieć, że Cornbury był bliskim przyjacielem jej pierwszego męża. Tym samym Cornbury został ojcem chrzestnym mojego najstarszego przybranego brata. To żadne pokrewieństwo, ale jednak powinowactwo i to niekorzystne, gdy w tysiąc siedemset czterdziestym pojawiły się plotki o kolejnym powstaniu Stuartów. – Odetchnął przeciągle, wpatrując się w gęstą parę, która dobyła mu się z ust. – Były też... inne wpływy jakobickie. Rodzina mej matki, jak rzekłeś. A potem jeden z najbliższych przyjaciół został zdemaskowany jako spiskowiec jakobicki i aresztowany. Zabrano go do Tower i przesłuchano starannie – nie wiem, czy to eufemistyczne określenie tortur, bo nikt o tym nie mówił – ale pod presją owego śledztwa ujawnił pewne nazwiska. Osób, jak twierdzono, które zaangażowały się w spisek mający na celu zgładzenie króla i jego rodziny. – Kiedy to teraz mówił, tyle lat po bitwie pod Culloden, pomysł ten wydawał się niedorzeczny. Pomyślał, że wydawał się też śmieszny rodzicom – ale na początku.

– Ten człowiek... ten spiskowiec... obwiniał pańskiego ojca?

Grey skinął głową nieco pocieszony tym, że Percy sprawia wrażenie zarówno zszokowanego, jak i sceptycznego.

– Tak. Nie było bezpośrednich dowodów, w każdym razie żadnych nie przedstawiono. Sprawa nawet nie trafiła do sądu. Wydano nakaz aresztowania mego ojca, lecz w noc poprzedzającą jego wykonanie... on zmarł.

– O dobry Boże – rzekł cicho Percy. Nie dotknął tym razem Greya,

przysunął się jednak bliżej, idąc powoli, tak że ich ramiona niemal ocierały się o siebie. – Oczywiście – dodał po chwili – śmierć pańskiego ojca uznano za przyznanie się do winy? – zadał to pytanie delikatnie, lecz na samo wspomnienie tamtego wydarzenia Grey poczuł w gardle smak żółci.

– Tak. Wydano akt pozbawiający mego ojca tytułu, lecz nie wszedł on w życie. – Uśmiechnął się cierpko. – Ojciec miał licznych wrogów, ale też nie mniej przyjaciół. I odznaczał się znacznie lepszym instynktem w wyborze ojców chrzestnych dla swych synów niż pierwszy mąż mojej matki. Ojcem chrzestnym Hala został sam Robert Walpole.

– Co, premier? – Percy sprawiał wrażenie odpowiednio przejętego.

– No cóż, nie stał się nim w chwili narodzin Hala, ma się rozumieć. A gdy dwadzieścia kilka lat później wybuchł skandal, Walpole był już bliski śmierci, ale wciąż dysponował ogromną władzą. I – dodał – bez względu na osobiste odczucia w tej sprawie reputacja Walpole’a mogłaby znacznie ucierpieć, gdyby się okazało, że ojciec jego chrześniaka został publicznie napiętnowany jako zdrajca. Nie w tak trudnym momencie kariery. Zatem akt pozbawienia tytułu anulowano. Mojemu ojcu nie udowodniono ostatecznie zdrady. Lecz sprzeczniw, tak ze strony ogółu, jak i poszczególnych osób, okazał się dostatecznie wielki, by Hal oświadczył, że nigdy nie będzie nosił splamionego tytułu, i od tamtej pory nim się nie posługuje. Pragnął wyrzec się go całkowicie, jednakże zgodnie z prawem nie mógł tego uczynić. – Parsknął śmiechem. – No, bardzo długa historia, jak się obawiam, ale nie lękaj się, już doszliśmy do jej końca.

Dwa lub trzy lata po śmierci księcia Karol Jakub Stuart zaczął być dla wszystkich utrapieniem, a jakobicka histeria jeszcze raz przetoczyła się przez kraj, osiągając szczyt w chwili przybycia na szkockie pogórze Ślicznego Księcia Karolka.

– Po czym Hal bezzwłocznie przejął sztandar starego pułku naszego ojca, wydał fortunę na jego ponowne powołanie i wyruszył w szkockie góry w służbie króla. Ten zaś nie mógł jej odmówić, tak jak jego ojciec, gdy mój uczynił to samo przed trzydziestu laty. – Nie wspomniał słowem o ogromie wysiłków Hala. W tamtym czasie miał zaledwie piętnaście lat i nic nie wiedział nie tylko o rzeczywistych rozmiarach skandalu, ale i o tym, co uczynił wtedy brat. Dopiero teraz, patrząc wstecz, potrafił docenić niebywałą energię i niemal maniackalne skupienie na jednym celu, pozwalające Halowi dokonać tego, czego dokonał. – Melton, pragnący zawzięcie odzyskać utracony honor rodziny, spotkał szkockich góralsi pod wodzą Johna Cope’a pod Prestonpans i poniósł klęskę. Potem utrzymał pozycję w mniej decydującej bitwie pod Falkirk... wreszcie było Culloden. – Grey poczuł, jak zasycha mu w gardle; urwał, starając się zwilżyć usta śliną.

– Słynne zwycięstwo! – oznajmił Percy głosem, w którym pobrzmiwał szacunek. – Czytałem o tym przynajmniej w gazetach.

– Mam nadzieję, że nigdy takiego nie zobaczysz – odparł Grey i zacisnął lewą dłoń, czując, jak szafirowy pierścień Hectora napiera na materiał rękawiczki. Hector zginął pod Culloden, nie zamierzał jednak o nim mówić.

Percy spojrzał nań, zaskoczony jego tonem, ale się nie odezwał. Grey oddychał głęboko, tak że powietrze ziębiło mu płuca. Szli cały czas niespiesznym krokiem, ale przemierzyli już park i teraz ich oczom ukazał się dom lady Jonas. Grey widział gości nadchodzących pojedynczo i parami, witanych w drzwiach przez kamerdynera.

Zatrzymali się na mocy milczącego porozumienia w pewnej odległości od budynku. Wainwright obrócił się do Greya; w jego oczach wciąż malowało się ciepło, ale też powaga.

– Pańska matka nie każe się tytułować księżną? – spytał, a Grey pokręcił głową.

– Wraz ze śmiercią mego ojca to brat stał się głową rodziny. Matka nie uczyni nic, co podważałoby jego autorytet. Posługuje się tytułem hrabiny wdowy Melton.

– Rozumiem. – Wainwright przyglądał się Greyowi z nieskrywaną ciekawością. – A jednak nazywa pan siebie lordem Johnem...

– Lordem Johnem. Tak, to prawda.

Wainwright skrzywił kącik ust w nieznacznym uśmiechu.

– Jak widzę, nie tylko pański brat jest uparty.

– To rodzinne – odparł Grey. – Wchodzimy?

Rozdział 5

Geniusz i podgeniusz

Grey od razu zauważył, że Percy nie czuje się swobodnie. Młodzieniec był zarumieniony i gdy oddawał kamerdynerowi swój płaszcz, rozejrzał się szybko po salonie, do którego ich zaprowadzono, jakby szukał znajomej twarzy, potem zaś spojrział na Greya niepewnie. Jego twarz rozjaśniła się jednakże, gdy dostrzegł gospodynię i pospieszył ku niej. Grey podążył za nim.

Uklonił się lady Jonas; powitała ich grzecznie, ale wyraźnie wyczekiwała bardziej dystygowanych gości. Ucałowali jej dłoń i wycofali się ku stolikowi z trunkami.

– Nie robisz tego zbyt często? – mruknął Grey do Percy’ego.

– A to widać? – Wainwright spojrział na niego z niemal komicznym przerażeniem i Grey się roześmiał.

– Ależ skąd – uspokoił obawy młodzieńca. – Chodzi tylko o to, że od chwili, gdy się tu zjawiliśmy, nikt, z wyjątkiem lady Jonas, nie odezwał się do ciebie. Jak ją poznałeś?

Wyraźnie zakłopotany, Wainwright wzruszył nieznacznie ramionami.

– Nadepnęła mi na stopę podczas tańca. W domu sir Richarda Joffreya. Generał zabrał mnie tam, bym poznał pułkownika Quarry’ego. Jednakże lady Jonas przeprosiła mnie nad wyraz grzecznie, spytała o nazwisko – знаła generała, oczywiście – i koniec końców zaprosiła do swego salonu, pozwalając mi przyprowadzić ze sobą każdego przyjaciela, jakiego mi się spodoba. – Percy zarumienił się, unikając wzroku Greya. – Oznajmiła, że piękni chłopcy są zawsze u niej mile widziani.

– Przekonałem się, że to rzecz zwyczajna w towarzystwie – odparł Grey, ignorując taktownie zarówno rumieniec, jak i jednoznaczny komplement. – Bez względu na płeć. – Wskazał głową czcigodną Helenę Rowbotham, której łabędzia szyja i sarnie oczy wzbudzały jak zwykle podziw, kiedy tak stała obok okna, by korzystać w pełni z bladego zimowego słońca. – Zresztą – ciągnął swobodnym tonem – przyjęcia, na których wszyscy goście odznaczają się jednakowym pięknem, są zazwyczaj nudne, ponieważ ludzie ci nie oddają się rozmowom nieodnoszącym się do nich samych. Udane spotkanie wymaga uczestnictwa pewnej liczby osobników niezbyt urodziwych, lecz inteligentnych. Piękni stanowią jedynie ozdobę... pożądaną, ale nie niezbędną.

– W samej rzeczy – przyznał sucho Percy. – A do jakiego obozu pan się zalicza? Pięknych i nudnych czy pospolitych i inteligentnych?

– Och – odparł Grey lakonicznie i dotknął nadgarstka Percy’ego. – Będę wszędzie tam, gdzie będziesz ty, bracie...

Rumieniec, który już zniknął z twarzy Wainwrighta, powrócił z całą intensywnością. Nie miał on jednak szans odpowiedzieć, nim Grey zauważył, że zmierza w ich stronę lady Beverley, na której obliczu na widok Percy’ego pojawiło się wyraźne zaciekawienie.

– Lekka fregata od dziobu przy sterburcie – szepnął Grey.

Zaskoczony Percy zmarszczył czoło, po czym powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Naprawdę? Wygląda na godną szacunku – mruknął; najwidoczniej spędził dostatecznie dużo czasu wraz z generałem Stanleyem w kręgach wojskowych, by zapoznać się z takimi wyrażeniami jak „lekka fregata” na określenie kobiety lekkich obyczajów.

– Nie idź z nią do alkowy – odmruknął w odpowiedzi Grey, który już kiwał głową i uśmiechał się do nadchodzącej damy. – Wsadzi ci rękę w spodnie, nim zdążysz cokolwiek powiedzieć... Lady Beverley! Pani sługa, madame. Czy mogę przedstawić pana Percivala Wainwrighta?

Dostrzegając w oczach Percy’ego cień wahania, ujął czym prędzej wyciągniętą dłoń i ucałował, dając tym samym swemu towarzyszowi do zrozumienia, że, owszem, kobieta jest pomimo swej reputacji zamężna, a następnie z wdziękiem ustąpił miejsca Wainwrightowi, by i on mógł okazać owej damie szacunek.

– Panie Wainwright. – Lady Beverley obrzuciła młodzieńca spojrzeniem pełnym aprobaty, po czym obdarzyła siłą swego niemałego czaru osobę Greya. – Jesteśmy panu niezwykle zobowiązani, lordzie Johnie! To wręcz niebywale miłe z pańskiej strony, że przywiódł tu pan taki klejnot dla ozdoby naszego nudnego towarzystwa. Proszę pozwolić i napić się ze mną ponczu, panie Wainwright, i przy okazji powiedzieć mi, co pan sądzi o nowej roli pana Garricka... z pewnością zobaczy go pan na scenie. Jeśli o mnie chodzi...

Nim któryś z obu mężczyzn zdołał zaczerpnąć oddechu, by udzielić odpowiedzi, unieruchomiła dłoń Percy’ego między łokciem a żółtym jedwabnym gorsetem i zaczęła go prowadzić nieubłaganie w stronę stołu z przekąskami, nie przestając mówić.

Wainwright popatrzył szeroko otwartymi oczami na Greya, a ten zasalutował nieznacznie, tłumiąc uśmiech. Wainwright został przynajmniej ostrzeżony. A gdyby udało mu się przebywać bezustannie z lady Beverley na widoku publicznym, wtedy z pewnością stanowiłaby dlań miłe towarzystwo. Już wiodła go ku kręgowi otaczającemu gościa honorowego, który to krąg rozstępował się przed nią niczym wody Morza Czerwonego, i po chwili przedstawiała młodzieńca francuskiemu filozofowi.

Odprężył się nieco, widząc, że Percy daje sobie radę, i celowo się odwrócił, by nie peszyć swego nowego znajomego nadmierną uwagą.

– Lordzie Johnie! – powitał go czysty głos, on zaś dojrzał swoją przyjaciółkę Lucindę, lady Joffrey, która uśmiechała się do niego, trzymając w dłoni małą oprawioną w skórę książkę. – Jak ci się wiedzie, mój drogi?

– Znakomicie, dziękuję. – Zamierzał pocałować ją w rękę, ona jednak wybuchnęła śmiechem i przyciągnęła go do siebie, po czym wspięła się na palce i ucałowała w policzek.

– Zależy mi niezwykle na twojej przysłudze, jeśli się zgodzisz – wyszeptała mu do ucha i spojrzała na niego wyczekująco.

– Wiesz, że niczego nie potrafiłbym ci odmówić – zapewnił z uśmiechem. Zawsze mu przypominała kuropatwę: małą, zgrabną i nieco pulchną, o ładnych oczach. – Jakie jest twoje życzenie, lady Joffrey? Filizanka ponczu? Sardynki na grzance? Czy też może chodzi ci o kość słoniową oraz małpy i pawie, jak powiedziano w Pierwszej Księdze Królewskiej?

– Może być, że rzucę perły przed wieprze – odparła, ukazując dołeczki w policzkach, i wręczyła mu książkę. – Chodzi wszakże o to, że mam... krewnego... który napisał kilka wersów... nieistotnych, jak jestem przekonana, ale niepozbowionych pewnego czaru. Pomyślałam sobie, że pokażę je monsieur Diderotowi... – Spojrzała w stronę okna, gdzie w otoczeniu tłumu wielbicieli stał cieszący się sławą pisarz, po czym znów obróciła się do Greya, ukazując nieznaczny rumieniec na policzkach. – Lecz brakuje mi śmiałości.

Grey spojrzał na nią z nieukrywanym niedowierzaniem. Mogła się z pozoru wydawać drobna i spokojna, jednak z usposobienia odznaczała się przebiegłością węża i uporczywością przylepca.

– Naprawdę – upierała się, a dołeczki w jej twarzy i rumieniec pogłębiały się coraz bardziej. Rozejrzała się, by zyskać pewność, że nikt ich nie podsłuchuje, i nachyliwszy się, wyszeptała: – Czy słyszałeś przypadkiem o *Les bijoux indiscrets*?

– Owszem, lady Joffrey – przyznał z udawaną surowością. – I jestem zszokowany do głębi jestestwa, że kobieta twego charakteru zapoznała się z tak skandaliczną książką. Przeczytałaś ją? – dopytywał się, tym razem z powagą.

– Ba! Wszyscy ją czytali – odparła, uciekając się do wygodnej dla niej pogardy. – Twoja matka przesłała mi ją zeszłego roku.

– Rzeczywiście.

Nie był zaskoczony. Jego matka czytała wszystko i utrzymywała przyjacielskie stosunki z kilkoma innymi, równie bezkrytycznymi damami wymieniającymi się bezustannie książkami – które w większości zaszokowałyby ich mężów, gdyby tylko owi szanowni dżentelmeni zechcieli się interesować, jak małżonki spędzają wolne chwile.

– Czytałeś ją? – spytała.

Pokręcił głową. *Les bijoux indiscrets* była powieścią erotyczną, napisaną przed kilku laty przez monsieur Diderota dla Madeleine le Puisieux, jego kochanki w owym czasie. Wydano ją w Holandii i przez jakiś czas przemycane kopie stanowiły w Anglii przedmiot namiętnych poszukiwań. Widział tę książkę, oczywiście, ale tylko przewertował egzemplarz, szukając ilustracji – których nie wykonano zbyt starannie. Może tekst przedstawiał się lepiej.

– Pruderyjna – oznajmiła.

– Jak najbardziej. Czy mam wnioskować, że te... wersy... czerpią natchnienie z tego konkretnego tomu? – Zważył książeczkę w dłoni. Była mała i cienka, jak przystało na poezję.

– Sądzę, że zostały zainspirowane przez pewne wydarzenia tam opisane – odparła lady Joffrey ostrożnie. – Autor... hm... tych wersów pragnął je pokazać monsieur Diderotowi jako dowód inspiracji... coś w rodzaju hołdu, jeśli wolisz.

Uniósł brwi i odchylił okładkę tomiku. „Pewne wersy na temat...”.

– Jezu – rzucił bezwiednie i czym prędzej zamknął książkę. Natychmiast otworzył ją znowu, ale z rozwąga, jakby obawiając się, że może na niego splunąć.

„Spisane przez tego, który jest wielbicielem dzieł owego Geniusza, monsieur Denisa Diderota, i w swej pokorze zwie się podgeniuszem”.

– Nie ty to napisałaś, prawda? – spytał, patrząc na nią. Lady Joffrey otworzyła usta w zdumieniu, potem się uśmiechnęła. – Nie, oczywiście, że nie. Przyjmij moje przeprosiny. – Przerzucał z wolna kartki, zatrzymując się gdzieniegdzie, by rzucić okiem na tekst. Pomyślał, że wersy są całkiem zgrabne – miejscami nawet niezłe. Choć materia... – Tak – orzekł, zamykając tomik. – Rozumiem, dlaczego się wahasz, by przedstawić owe wiersze osobiście... to Francuz i sądę, że jest wierny swej obecnej kochance, jak powiadają. Podejrzewam, że nie zapoznałaś się wcześniej z treścią?

Pokręciła głową, a pawie pióra w upudrowanych włosach musnęły jej ramię.

– Nie. On... ten krewny, o którym wspominałam, przyniósł mi je na początku tygodnia, nie miałam jednak okazji do tego zajrzeć. Czytałam te wersy w powozie, jadąc tutaj, potem zaś nie wiedziałam, co zrobić, dopóki cię na szczęście nie dostrzegłam. – Spojrzała przez ramię na grupkę ludzi stojących przy oknie, później skierowała wzrok na Greya. – Obiecałam to pokazać. Wyręczysz mnie? Proszę.

– Nie rozumiem, dlaczego twój mąż nie bije cię regularnie – rzekł, kręcąc głową. – Albo przynajmniej nie trzyma zamkniętej bezpiecznie w domu. Czy ma choć marne pojęcie...?

– Sir Richard to niezwykle doświadczony dyplomata – wyjaśniła z samozadowoleniem. – Odznacza się wielkim talentem, jeśli chodzi o nieznamość rzeczy, o których nie wypada wiedzieć.

– Zapewne – odparł Grey zwięźle. – A skoro już mowa o znajomości... znam twego krewniaka?

– No cóż, trudno doprawdy powiedzieć, mam ich tak wielu – wyznała obojętnie. – Ale skoro mówimy o pokrewieństwach... słyszałam, że masz zyskać nowego brata? Podobno jest niebywale przystojny.

Usłyszawszy, że Percival Wainwright jest nazywany jego bratem, doznał osobliwego uczucia, jakby w samej rzeczy rozważał popełnienie kazirodztwa. Zignorował to jednak i wskazał głową jeden ze stołów.

– Sama możesz to ocenić. Tam stoi.

Wainwright odsunął się od tłumu otaczającego filozofa i sam, jak Grey zauważył z zadowoleniem, tkwił teraz w środku niewielkiej grupki mężczyzn i kobiet, wszyscy zaś wydawali się rozbawieni prowadzoną rozmową, zwłaszcza lady Beverley, która chłoneła każde jego słowo, opierając mu się na ramieniu. Wainwright opowiadał jakąś historię, twarz miał rozjaśnioną i nawet stojący w pewnym oddaleniu na drugim końcu pokoju Grey był świadom jego obecności. Jakby wyczuwając, iż jest bacznie obserwowany, Percy spojrział nagle na Greya i obdarzył go uśmiechem takiego zadowolenia, że ten odwzajemnił się tym samym, kontent, iż młodzieniec świetnie sobie radzi.

Lucinda Joffrey wydała z siebie pomruk aprobaty.

– O, tak – orzekła. – I odznacza się dobrym stylem. Czy sam go ubrałeś? – spytała.

Nie, ale z chęcią bym go rozebrał, pomyślał i odchrząknął.

– Nie. Ma doskonały smak.

– I pieniądze, które mu na to pozwalają?

Grey nie poczuł się obrażony. Zasoby finansowe mężczyzny wzbudzały na ogół większe zainteresowanie niż jego oblicze i wszyscy zastanawiali się nad tym w przypadku nowicjusza – choć nie każdy pytałby o to tak obcesowo. Lucinda jednakże miała rzeczywiście wielu krewnych, z których połowę stanowiła płeć piękna, i uważała za moralny obowiązek pomóc siostrze i kuzynkom wyjść odpowiednio za mąż.

– Niestety, nie. Jego ojciec – pojmujesz, że jest pasierbem generała? – był jakimś duchownym. Rodzina biedna niczym mysz kościelna, jak sądzę. Generał przekazał mu jakąś sumę, lecz on sam nie posiada żadnego majątku.

Lucinda znów mruknęła, ale tym razem z nie tak gorącą aprobatą.

– Zatem szuka bogatej żony? – orzekła z nutą rezygnacji w głosie. Pochodziła ze starej i szacownej rodziny, pozbawionej jednakże majątku.

– Za wcześnie jeszcze, by o tym wyrokować. – Grey miał nadzieję, że mówi od niechcenia, ale popatrzyła na niego ostro.

– Ho, ho! – odpowiedziała. – Czyżby był zakochany w kimś nieodpowiednim?

Grey poczuł się tak, jakby pchnęła go nagle w pierś. Zapomniał, jaka potrafi być złośliwa. Sir Richard Joffrey zaiste był dobrym dyplomatą, ale swój sukces w niemałej mierze zawdzięczał towarzyskim koneksjom żony i jej umiejętności wyszukiwania informacji, które wypadało znać.

– Jeśli tak, to mi nie powiedział – odrzekł Grey, udając obojętność z powodzeniem, jak mu się zdawało. – Poznałaś wielkiego człowieka osobiście? Czy też mam cię przedstawić?

– Och, chodzi o monsieur Diderota? – Lucinda obróciła się, by obrzucić gościa honorowego taksującym spojrzeniem. – Poznałam go kilka lat temu w Paryżu. Bardzo dowcipny człowiek, choć sądzę, że nie chciałabym być z nim zamężna.

– Bo utrzymuje kochankę?

Sprawiała wrażenie zdziwionej, potem machnęła od niechcienia wachlarzem.

– Och, nie. Trudność z dowcipnymi ludźmi polega na tym, że czują się zmuszeni prezentować swój dowcip cały czas, co jest niezwykle nudne przy śniadaniu. Sir Richard – dodała z satysfakcją – nie jest w najmniejszym stopniu dowcipny.

– Przypuszczam, że w przypadku dyplomaty to nie przystoi – zgodził się Grey. – Czy mam ci coś przynieść?

Lady Joffrey wyraziła życzenie, on zaś zaczął przeciskać się przez tłum gości, wciąż trzymając w dłoni książkę, którą mu dała. Wszędzie rozbrzmiewał gwar rozmów i panował nastrój pełen ekscytacji typowy dla modnego salonu, ale za sprawą jakiegoś fenomenu akustycznego dotarł doń wyraźny głos Diderota – nosowy, jak w przypadku wszystkich Francuzów, ale jednocześnie dźwięczny i przyjemny. Zdawało się, że mówi o swojej żonie.

– Powzięła przekonanie, rozumiecie, że wszystkie powieści to wulgarna tandeta, i pragnie, bym czytał jej tylko rzeczy wzniosłego ducha – komentarze do Biblii, dzieła, ha, ha, Burke’a i temu podobne.

Kilku słuchaczy zawtórowało mu śmiechem, choć Edmund Burke był popularny.

– Tak więc – Diderot mówił dalej wyraźnie rozbawionym głosem – zacząłem jej czytać najbardziej sprośne opowieści, jakie udało mi się zdobyć. Wartość tej lekcji jest zatem podwójna, jako że moja żona nie tylko słucha owych historii, ale też potem powtarza je ze zgrozą swoim przyjaciółkom, i to niezwykle szczegółowo!

Wywołało to salwę śmiechu, Grey zaś skinął na służącego przy stole z przekąskami, a ten podał mu srebrną filiżankę z ponczem i mały talerzyk pełen smakowitości. Balansując nim i trzymając jednocześnie tomik poezji, ruszył z powrotem na koniec pokoju, by stwierdzić, że Lucinda Joffrey została już odpowiednio obsłużona przez nowego towarzysza, w którym rozpoznał

wpływowego członka parlamentu.

Lucinda zerknęła na Greya ponad ramieniem posła i dała mu dyskretny znak wachlarzem, on zaś pojął w lot, że jego przyjaciółka załatwia jakąś poufną sprawę. Pokiwał ze zrozumieniem głową i wycofał się w stronę okna, gdzie znalazł sobie schronienie pośród adamaszkowych draperii i zajął się jedzeniem smakołyków, obserwując jednocześnie z zainteresowaniem towarzystwo.

Nie uczestniczył w londyńskim życiu przez jakiś czas i teraz odczuwał przyjemność, siedząc i słuchając najpospolitszych błahostek przeplatanych najwznioślejszymi ideami filozoficznymi, przyglądając się owym towarzyskim targom, które rozgrywały się pod samym jego nosem – niedoszłe związki małżeńskie kojarzone i zrywane, interesy wykuwane i niweczone, usługi wyświadczone i potwierdzone. I oczywiście polityka – zawsze polityka – omawiana do upadłego przy akompaniamencie oburzenia lub aprobaty, w zależności od rozmówców.

A jednak wiedział, że prawdziwa władza jest właśnie tutaj, czuł jej puls tętniący pod paplaniną. Dla większości obecnych takie salony były tym, czym się na pierwszy rzut oka wydawały: w najgorszym razie źródłem zabawy i rozrywki, a w najlepszym szansą bycia dostrzeżonym, uznanym za bohatera chwili. I to w tych najdyskretniejszych zakątkach mówiono o tym, co mogło zmienić czyjeś życie – może nawet wpłynąć na bieg historii.

Czy w takich właśnie miejscach przypieczętowano los jego rodziców? To w trakcie wieczoru muzycznego matka, młoda wdowa, została przedstawiona ojcu, jak wiedział. Dlaczego się tam znalazł? Gerard Grey nie miał słuchu. Czy zjawił się z powodu polityki i napotkał nieświadomie miłość? Czy też matka była częścią owej polityki, nawet wówczas?

Jako dziecko często słyszał historię spotkania rodziców; doszło do niego w domu jej brata. Matka miała ich trzech i niezliczonych kuzynów, takich czy innych, a także dalszych kuzynów i osoby, które, choć niezwiązane krwią, uchodziły za braci wziętych na wychowanie na zasadzie osobliwego obyczaju szkockiej arystokracji.

Jeden wuj już nie żył, drugi przebywał na wygnaniu we Francji. Trzeci wycofał się na pogranicze do swej fortecy, leżącej z dala od spojrzeń ogółu. Niektórzy kuzyni przetrwali skandal, inni nie. Polityka była ryzykowną grą, a stawki wysokie – czasem śmiertelne.

Poczuł dreszcz i wzdrygnął się, ale po chwili zapanował nad sobą, pochłaniając poncz jednym haustem. Od lat nie rozmyślał o tych sprawach, i to celowo. Lecz Percy powinien był poznać dzieje jego rodziny, przede wszystkim dla własnego bezpieczeństwa, jeśli miał obracać się w towarzystwie – a najwyraźniej tego pragnął. Jeśli istniał jakiś związek między nim samym a Greyem... Niektórzy ludzie długo przechowywali wspomnienia.

Przebiegł wzrokiem po twarzach w tłumie, na szczęście nie dostrzegł nikogo, przed kim należałoby przestrzec Percy'ego.

Wyłaniając się ze swej kryjówki, niemal zderzył się z Diderotem zmierzającym zdecydowanie w stronę *pissoirs* za parawanem w głębi pokoju.

– Proszę wybaczyć, monsieur...

Chwycili jeden drugiego za ramiona, by podtrzymać się nawzajem, uśmiechnęli się, wypowiadając te słowa jednocześnie, po czym parsknęli śmiechem.

Twarz filozofa lśniła od potu; otarł niedbale czoło rękawem. Grey wyjął chusteczkę z kieszeni i podsunął mu, czując jednocześnie, jak coś spada na posadzkę u jego stóp.

– Ach. – Schylił się, by to podnieść. – *Permettez-moi, monsieur. Un petit cadeau... pour madame votre épouse*[2].

Diderot nieznacznie uniósł brwi, przyjmując chusteczkę i książkę. Przecierając sobie odruchowo policzki, otworzył książkę kciukiem, rzucił okiem na stronę tytułową, po czym skrzywił usta w zaraźliwym uśmiechu, którego czaru nie ujmował brakujący zęb.

– Do usług, sir – rzekł. – Moja żona będzie panu niezwykle zobowiązana, monsieur! – Machnąwszy ręką, oddalił się, wciąż z otwartym tomikiem w dłoni, a chwilę później zza ozdobnego parawanu dobiegły salwy śmiechu.

Grey dostrzegł, że obracają się ku niemu głowy, i uświadomił sobie, że stanął obok niego Percy Wainwright wyraźnie zaniepokojony.

– Co takiego mu pan dał?

– Ach... – Greyowi przyszło do głowy, że chcąc jak najszybciej spełnić prośbę Lucindy, zapomniał poinformować monsieur Diderota, że nie jest autorem wierszy, które w tej chwili wywoływały w pokoju pomruki rozbawienia.

Nie mógł w żaden sposób podejść do Diderota, by całą sprawę wyjaśnić, nie w sytuacji, gdy wszystkie spojrzenia były skierowane ku końcowi pokoju – Diderot deklamował właśnie jeden z wierszy, najwidoczniej ku oświeceniu innego dżentelmena, którego głowę Grey dojrzał ponad krawędzią parawanu. W salonie wywołało to salwy śmiechu, Grey zaś dostrzegł Lucindę Joffrey przyciskającą rozłożony wachlarz do ust i rozwierającą szeroko oczy z rozbawienia czy też przerażenia. Nie chciał zgadywać, czy chodzi o jedno, czy o drugie.

– Chodźmy. – Chwycił Percy'ego za ramię, po czym obaj, skłoniwszy się nieznacznie lady Jonas, umknęli bez zwłoki.

*

Na dworze śnieg rozpadał się na dobre. Przystanęli bez tchu, by włożyć płaszcze i peleryny pod osłoną drzew na skraju Hyde Parku.

– Nie miałem pojęcia, lordzie Johnie. – Percy Wainwright był czerwony

z zimna i śmiechu. – Wiedziałem, że jest pan człowiekiem dowcipnym, ale nie, że jest pan pisarzem. Treść jednakże...

– Nie sądzisz chyba, że wyszło to spod mojej ręki! I na litość boską, mów mi John – dodał.

Percy popatrzył na Greya – spod cienkiej warstwy śniegu, który zdążył przyprószyć mu głowę, wзираły ciemne włosy, ponieważ utracił większość pudru w gorącu i ciżbie salonu – i obdarzył go uśmiechem niebywale słodczy.

– A więc John – oznajmił cicho.

Był już prawie wieczór. Okna domu po przeciwnej stronie ulicy jarzyły się blaskiem świateł, białe płatki śniegu spadały w absolutnej ciszy, szybko skrywając bruk uliczny, bezlistne drzewa i wszechobecny londyński brud.

Pomimo zimna Grey czuł w sobie pulsowanie ciepła. Czy było to widać? – zastanawiał się.

– Jest wcześniej – oświadczył, strzepując śnieg z ubrania. – Co byś powiedział na kolację w Befszytku i ze dwie partyjki? Albo, jeśli chciałbyś, grają nową sztukę...

Grey podniósł wzrok i zobaczył, jak twarz Percy'ego posępnieje.

– Miałbym ochotę na to wszystko bez wyjątku, lecz generał zaplanował na dzisiaj obiad z generałem Benhamem. Nie mogę się zwolnić z tego obowiązku, gdyż chodzi o moją osobę.

– Nie, oczywiście – przyznał pospiesznie Grey, irracjonalnie rozczarowany. – Innym razem...

– Jutro? – Percy spojrział mu w oczy. – Może... w mojej skromnej izbie? Obawiam się jednak, że mieszkam bardzo pospolicie. Mimo wszystko to... – Grey dostrzegł, jak Percy porusza krtanią, przelękając nerwowo – ...spokojne miejsce. Nikt by nam nie przeszkadzał w rozmowie.

Blżej nieokreślone ciepło, które Grey wcześniej odczuwał, nagle skupiło się w dole brzucha.

– Byłoby... och, do diabła!

– Przypomniałeś sobie nagle jakieś zobowiązanie? – Percy uśmiechnął się krzywo. – No cóż, nie jestem zaskoczony. Powinienem wiedzieć, że często bywasz w towarzystwie.

– Nie o to chodzi – zapewnił go Grey. – Muszę rankiem wyjechać do Krainy Jezior. Pogrzeb... przyjaciółki – mówiąc te słowa, zastanawiał się, jak odłożyć wyjazd... jeden dzień nie zrobiłby jednak różnicy. Mógł nadrobić czas w drodze.

Pragnął za wszelką cenę zostać; miał wrażenie, że czuje gorąco ciała Percy'ego nawet przez barierę zaśnieżonego powietrza, które ich rozdzielało. A jednak... byłoby znacznie lepiej, gdyby mieli więcej czasu. Percy nie był jakimś tam nieznanym – czy raczej był, lecz nieznanym, który miał wejść do rodziny i który, jak się spodziewał, zostanie jego przyjacielem; nie, to nie było kuszące,

anonimowe ciało, którego więcej by nie ujrzał. Bardzo pragnął pozostać – ale jeszcze bardziej pragnął, by jego znajomość z Percym rozwijała się należycie.

– Muszę iść – powtórzył z niechęcią. – Żałuję niezmiernie. Wrócę jednakże, by zdążyć na ślub.

Percy patrzył na niego przez chwilę badawczo, potem uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie i uniósł dłoń. Jego nagie palce, zimne i delikatne, dotknęły policzka Greya.

– Szczęśliwej podróży – powiedział. I dodał: – Johnie.

*

Mogło być gorzej, jak przyszło Greyowi do głowy. To, iż Percy Wainwright był zajęty, oznaczało, że on sam ma wolny wieczór. Co z kolei oznaczało, że może iść i stawić czoło Halowi, zamiast czekać do rana, a tym samym nie opóźnić swego wyjazdu do Helwater. Gdyby śnieg padał nadal równie obficie, mogłoby się okazać, że i tak nie zdoła opuścić Londynu.

Skierował się do parku, pochylając głowę przed wirującymi płatkami śniegu. Dom lady Jonas stał obok placu paradnego, tuż za Grosvenor Gate, podczas gdy siedziba rodowa Greyów, Argus House, znajdowała się niemal po skosie, na obrzeżach parku niedaleko koszar. Miał do pokonania półtora kilometra otwartej przestrzeni, bez osłony przed wiatrem, jaką stanowiły budynki, ale mógł dotrzeć na miejsce szybciej, niż gdyby wybrał drogę okrężną. Nie mówiąc już o tym, że jego krew rozgrzana dostatecznie winem i podnieceniem chroniła go przed zamrożeniem.

Wspomnienie przyjemności, jaką sprawiało mu towarzystwo Percy'ego Wainwrighta, i domniemania oparte na ich dalszej znajomości niemal wystarczyły, by nie myślał o czekającej go rozmowie z Halem – lecz niezupełnie.

Ujawnienie Percy'emu dawnego skandalu, który doprowadził do śmierci ojca, było bolesne, ale w sposób, w jaki bolesne jest przecięcie ropnia; czuł się teraz zadziwiająco lepiej. Dopiero gdy użył owego skalpela, uświadomił sobie, jak głęboko i jak długo ta sprawa go zatruwała.

Wrażenie ulgi dodało mu odwagi. Nie był już mimo wszystko dwunastoletnim chłopcem, którego należy dla jego dobra ochraniać i okłamywać. Cokolwiek stało bratu ością w gardle, mógł to bez trudu wykrztusić.

W powietrzu unosiła się ostra i podnosząca na duchu obietnicą ciepła woń dymu. Zaskoczony, zaczął szukać jego źródła i dostrzegł niewyraźny blask w gęstniejącej ciemności. W parku było teraz mniej ludzi – biedacy, którzy ledwie wiąźali koniec z końcem, zebrząc i kradnąc w pobliżu, poszukali sobie schronienia w alejkach i przytułkach, tłoczyli się w brudnych tawernach albo na poddaszach, jeśli mieli pensa na zbyciu, albo w kruchtach kościołów i pod ścianami, jeśli nie mieli. Kto jednak przy zdrowych zmysłach koczowałby pod gołym niebem podczas

śnieżycy?

Zboczył nieco z drogi, by to sprawdzić, i przekonał się, że blask bije z glinianego naczynia znajdującego się pod osłoną prymitywnego szałas opartego o drzewo. Szalas był opustoszały – zbyt mały na dobrą sprawę, by mógł osłonić cokolwiek większego od psa. Przez chwilę myślał, że to dziwne, gdy instynkt kazał mu się odwrócić.

Było ich dwóch: jeden z pałką, drugi nieuzbrojony. Krępe sylwetki, czarne i obdarte, przygarbione pod rozdartymi workami spoczywającymi na głowach i ramionach i kryjącymi ich twarze.

– Oddawaj, co masz! – odezwał się gardłowy głos z irlandzkim akcentem.

– Bo jak nie, to rozkwasimy ci łeb niczym zgniłą rzepę – oznajmił od niechcienia drugi.

Grey nie wziął swego rapiera idąc do salonu lady Jones. Miał jednak jak zwykle sztylet, który nosił pod kamizelką.

– Precz – rzucił zwięźle, rozpinając płaszcz i dobywając ostrza. Zataczał nim niewielkie kręgi; stal połyskiwała blado w słabym świetle.

Sztylet nie był skuteczną bronią w starciu z kimś uzbrojonym w pałkę, ale Grey nie miał przy sobie niczego innego. Cofał się powoli, machając nożem w ich stronę. Żywił nadzieję, że oddali się na tyle, by odwrócić się i uciec, nim zdążą się na niego rzucić.

Zobaczył zdumiony, że na dźwięk jego głosu znieruchomieli niczym gład.

– To on! Nie inaczej! – syknął jeden do drugiego. – Major!

– O’Higginsowie? – spytał, prostując się z niedowierzaniem. – O’Higginsowie! – ryknął po chwili.

Oni jednak zdążyli już uciec, rzucając irlandzkie przekleństwa, które doleciały do niego z oddali.

Schował sztylet i zapiął z trudem płaszcz; palce drżały mu od szoku wywołanego tym spotkaniem.

Przekłęci bracia O’Higginsowie. Ich pobożna matka wybrała dla nich wysoce niewłaściwe imiona dwóch archaniołów, Raphaela i Michaela, co dla wygody zdrabniano Rafe i Mick. Nie byli bliźniakami, ale odznaczali się takim podobieństwem, że jeden często udawał drugiego, by uniknąć kłopotów. I obaj pakowali się w nie zgodnie.

Był przekonany, że to dezertery z brygady irlandzkiej, jednak sierżant werbunkowy dał im żołd i mundury, zanim Grey zdążył ich w ogóle zobaczyć. Nie byli najgorszymi żołnierzami, choć w większym stopniu niż inni przejawiali niepokojącą skłonność do indywidualnych przedsięwzięć.

Wpatrywał się w mrok, w miejsce, w którym zniknęli. Nie ulegało wątpliwości, że właśnie tam znajdują się koszary, mimo że nie widział ich między drzewami, bo było już za ciemno. Domyślał się, że O’Higginsowie przyszli, by

pograć w kości i napić się ze swymi przyjaciółmi, którzy stali tu na kwaterze, albo wziąć udział w jakiejś zabawie w rodzaju walki kogutów, a uświadomiwszy sobie nagły brak gotówki, postanowili ją zdobyć w typowy dla siebie sposób – prymitywny, ale zazwyczaj skuteczny.

Kręcąc głową, kopnął gliniane palenisko i rozrzucił wokół rozżarzone węgle, które zasyczały i zgasły w śniegu. Postanowił, że rozliczy się z O'Higginsami rano.

Nim dotarł do ulicy Serpentine, był porządnie obsypany śniegiem. Przemarzył i zaczął żałować, że nie zabrał ze sobą glinianego naczynia, choć nie pasowało do jego prezencji. Pomimo rękawiczek stracił czucie w palcach, twarz miał zupełnie zziębniętą, a sztywność policzków przypominała mu człowieka leżącego poprzedniej nocy na chodniku pod klubem White'a.

Królewscy opiekunowie łabędzi zabrali już ptaki przed zimą i jezioro było zamrożone, ale nie tak bardzo, by zaryzykować przejście przez pokrywą lodową. Przykryte śniegiem cieńsze fragmenty lodu stały się niewidoczne, on zaś nie miał najmniejszej ochoty wpaść pod lód i zanurzyć się w lodowatej wodzie i gnijącej rzęsie. Westchnął i skręcił w lewo, żeby obejść jezioro.

No cóż, może przypomniałby sobie, by spytać Hala, czy tożsamość i los tamtego człowieka zostały w jakiś sposób wyjaśnione. Wydarzenia popołudnia niemal kazały mu zapomnieć o dziwnym zachowaniu matki przy śniadaniu. Poruszony wieścią o śmierci Genevy, ani razu nie pomyślał o powiązaniu jej reakcji na wzmiankę o Jamiem Fraserze z pojawieniem się stronicy dziennika w gabinecie Hala, ale teraz wydawało się to nie tylko możliwe, ale wręcz prawdopodobne.

Czyżby więc Hal rozmawiał z nią wcześniej? Jeśli rzeczywiście udał się na Jermyn Street, uczynił to skrycie: albo późnym wieczorem dnia poprzedniego, albo wcześniej rano. Nie. Nie późno, bo on, Grey, rozmyślając przy oknie, zobaczyłby go. I nie wczesnym rankiem, bo matka przy śniadaniu miała na sobie szlafrok, mrugała i ziewała, zgodnie z porannym obyczajem podniósłszy się dopiero z łóżka.

Uderzyła go inna myśl. Może matka też dostała stronicę z ojcowskiego dziennika, który zaginął? Może poranną pocztą? Zwolnił kroku, jego buty skrzypiały w warstwie śniegu pokrywającego ziemię. Czy otworzyła inny list, gdy już dostała ten pierwszy, od lady Dunsany? Nie potrafił sobie tego przypomnieć, bo skupiał uwagę na osobie Olivii.

Myśl o innej stronicy przyprawiła go o niepokój i podniecenie. Tłumaczyłoby to nagłe ożywienie matki, jej gwałtowną reakcję na wzmiankę o jakobickim więźniu. I jeśli coś takiego nadesłano tego ranka, Hal najprawdopodobniej o tym jeszcze nie wiedział.

Poczuł przyływ gorącej krwi w przemarzniętych policzkach. Strzepnął śniegowe płatki, które przylgnęły do rzęs, i ruszył z determinacją po śniegu.

*

Niepokój i zakłopotanie Greya wzrosły niepomierne, gdy został powitany w drzwiach przez kamerdynera wiadomością, że Hal wyjechał do Bath.

– Naprawdę – zapewniła go szwagierka, pojawiając się za plecami służącego. Uśmiechnęła się na widok uniesionych brwi Greya. – Przeszukaj dom, jeśli chcesz.

– Po kiego diabła pojechał do Bath? – spytał poirytowany. – Przy tej pogodzie?

– Nie powiedział mi – odparła Minnie spokojnie. – Proszę, wejdź, Johnie. Wyglądasz jak bałwan. Jesteś pewnie przemoczony do nitki.

– Nie, dziękuję. Muszę...

– Powinieneś wejść i zjeść kolację – oznajmiła zdecydowanie. – Twój bratankowie tęsknią za tobą. Burczy ci w brzuchu. Sama słyszę.

Rzeczywiście, burczało. Oddał wierzchnie okrycie kamerdynerowi z większą wdzięcznością, niż chciał to okazać.

Kolacja jednak nieco się opóźniła z powodu wizyty w pokoju dzieciennym. Sześćoletni Benjamin i pięcioletni Adam okazali tak hałaśliwą radość na jego widok, że obudzili trzyletniego Henry'ego, który przyłączył się ochoczo do rejdach. Pół godziny zabawy w rycerzy i smoka – Greyowi pozwolono być tym drugim, dzięki czemu mógł ryczeć i ziać ogniem, ale musiał też umrzeć niegodnie na dywaniku pod kominkiem, ugodzony w serce linijką – poprawiło mu niebywale humor, ale i przyprawiło o wilczy apetyt.

– Jesteś aniołem, Minervo – powiedział, zamykając oczy, by lepiej rozkoszować się wonią unoszącą się nad rybną zapiekanką, którą postawiono przed nim na stole.

– Zmienisz zdanie, jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie Minervą – oznajmiła, nakładając sobie na talerz. – Mam znakomite reńskie wino do posiłku... a może wolisz francuskie?

Grey miał pełne usta, ale dał do zrozumienia ruchem brwi, że napije się chętnie tego, co sama wybierze. Roześmiała się i poleciła kamerdynerowi przynieść obie butelki.

Przyzwyczajona najwidoczniej do męskich potrzeb, nie zwracała mu głowy rozmową, dopóki nie skończył zapiekanki, a także talerza zimnej szynki z marynowaną cebulką i korniszonami, doskonałego sera i dużej porcji puddingu, na koniec zaś kawy.

– Minnie, ocaliłaś mi życie – powiedział po pierwszym łyku wonnego czarnego napoju. – Jestem twoim pokornym sługą.

– Tak? Doskonale – odparła, rozsiadając się wygodnie z władczą miną. – Możesz mi teraz wszystko powiedzieć.

– Wszystko?

– Wszystko – powtórzyła zdecydowanym tonem. – Od miesiąca nie wyszłam z domu. Twoja matka i Olivia są zbyt zajęte przygotowaniem do ślubu, by mnie odwiedzić, a twój okropny brat nic mi w ogóle nie mówi.

– Nie? – Grey nie krył zaskoczenia. Minnie była drugą żoną Hala poślubioną po dziesięciu latach wdowieństwa, on zaś zawsze sądził, że małżonkowie są ze sobą bardzo zżyci.

– Twój brat, oczywiście, rozmawia czasem ze mną – przyznała z przebłysem rozbawienia. – Żywi jednak osobliwe przekonanie, że kobiet przy nadziei nie wolno narażać na coś, co jest bodaj w najmniejszym stopniu ożywcze. Od tygodni nie słyszałam żadnej przyzwoitej plotki, a on chowa przede mną gazety, obawiając się bez wątpienia, że zapoznam się z jakimiś drastycznymi szczegółami spod szubienicy w Tyburn i że dziecko urodzi się z pętlą na szyi.

Grey wybuchnął śmiechem, choć przypomniawszy sobie poniewczasie o kartce w kieszeni płaszcza, uważał, że jego brat może słusznie wykazuje się roztropnością, przynajmniej w wypadku gazet. Jednakże zrelacjonował z obowiązku wydarzenia w salonie lady Jonas, nie pomijając incydentu z tomikiem wierszy podgeniusza, co tak rozbawiło Minnie, iż zakrztusiła się kawą, a kamerdyner musiał walić ją po plecach.

– Nie obawiaj się – powiedziała, ocierając oczy serwetką. – Kiedy spotkam się następnym razem z Lucindą Joffrey, wydobędę od niej tożsamość autora i podzielę się z tobą tą nowiną. Zatem poszedłeś tam ze swym nowym bratem? Jaki on jest?

– Och... jest bardzo miły. Dobrze wychowany, biegły w mowie. Co Hal o nim sądzi? – spytał z ciekawością.

Minnie wyduła wargi w zamyśleniu. Była raczej ładna niż piękna, ale ciąża dodawała jej uroku, nadając myszowatym włosom połysk, a bezbarwnym policzkom blask.

– Hm. Aprobuje go z grubsza, ale jak to Melton, jest skłonny przyglądać się z uwagą, by twój nowy brat nie napchał sobie kieszeni srebrnymi łyżeczkami, a potem nie sprzedał ich z myślą o nałogu opium albo trzech kochankach.

– Widzę, że Hal zwlekał za długo z tym zakazem czytania gazet – powiedział Grey niezwykle zadowolony z faktu, iż Hal aprobuje Percy'ego pomimo drobnej niezręczności dotyczącej tytułu książęcego, jaka pojawiła się przy ich pierwszym spotkaniu. – Ale musiałaś mieć ostatnio jakichś gości. Kto cię odwiedził?

– Moja babka, dwie ciotki, sześcioro kuzynów, bardzo miła i drobna kobieta zbierająca datki dla ulżenia doli żon wytwórców cegieł. Ta jednak rzeczywiście zwałowała jedną łyżeczkę, ale Nortman przyłapał ją i wytrząsnął z niej przedmiot kradzieży. Zabawne, ile rzeczy zdołała ukryć pod swoim gorsetem. – Uśmiechnęła się do kamerdynera, który skłonił z szacunkiem głowę. – Och, no i lady kapitana

Batesa zjawiała się dziś po południu. Przyszła zobaczyć się z Halem, oczywiście, ale nie było go akurat, a ponieważ się nudziłam, postanowiłam zaprosić ją na herbatę.

– Lady kapitana Batesa? – powtórzył zdziwiony Grey. – Nie wiedziałem, że jest żonaty.

– Nie jest. To jego kochanka – odparła szczerze, a potem, widząc minę Greya, wybuchnęła śmiechem. – Tylko mi nie mów, że jesteś zszokowany, Johnie.

Owszem, był, ale nie z powodów, o jakich myślała.

– Skąd wiesz? – spytał.

– Sama mi powiedziała... mniej więcej.

– Czyli?

Minnie przewróciła z przesadnym zniecierpliwieniem oczami.

– Czyli była tak poruszona, że nie potrafiła ukryć pragnienia, by porozmawiać z Meltonem, i zwierzyła się ze swej troski o kapitana. Podobno został aresztowany. Wiesz o tym?

– Coś mi się obilo o uszy. – Grey odstawił filiżankę i odesłał ruchem ręki Nortmana, który był gotów pospieszyć z dzbankiem. – Ale...

– Wiem też, że musiała być jego kochanką, a nie żoną, ponieważ spotkałam ją wcześniej... z mężem. – Napiła się herbaty ze świeżo napełnionej szklanki, zerkając na niego.

– A ten mąż to...? – rzucił zachęcająco.

– Niejaki pan Tomlinson. Bardzo zamożny. Członek parlamentu z jakiegoś okropnego małego miasta, którego nazwy zapomniałam, chyba gdzieś w Kent. Spotkałam go jeden raz na balu karnetowym. Jest gruby i nie potrafi sklecić dwóch zdań. Nic dziwnego, że jego żona wzięła sobie kochanka.

– Nic dziwnego – mruknął Grey, rozmyślając gorączkowo. Tomlinson, Tomlinson... To nazwisko nic mu nie mówiło. Czy ten człowiek mógł mieć cokolwiek wspólnego ze spiskiem, o którym powiedział Hal? – Na czym polegała jej troska? – spytał. – I dlaczego przyszła z tym do Hala?

– No cóż, kapitana aresztowano we czwartek – odparła Minnie. – Pragnie, by go uwolniono, co rozumiiałe. A Hal jest, jak się wydaje, jego dobrym przyjacielem. Choć oczywiście nigdy mi o nim nie mówił.

Mnie również, pomyślał Grey cynicznie. I co nasz przypuszczalnie lubiący mężczyzn kapitan robił z kochanką? Hal jednakże, co nie ulegało wątpliwości, nie wspomniał Minnie o tym aspekcie sprawy, więc kilka kolejnych pytań nie zaowocowało konkretnymi informacjami. Pani Tomlinson była wzburzona, ale nie wiedziała nic, pomijając fakt samego aresztowania.

– Nie ma pojęcia, biedactwo, gdzie go trzymają. – Minnie zmarszczyła szerokie jasne brwi. Na jej twarzy malowało się głębokie współczucie. – Myślisz, że mógłbyś się dowiedzieć, Johnie? Wysłałabym jej przynajmniej list. Anonimowo – dodała. – Melton nie chciałby chyba, żebym go podpisała.

– Bardzo rozsądna supozycja. Dowiem się jutro, co da się zrobić... Och, zapomniałem na śmierć. Rano wyjeżdżam do Krainy Jezior. Ale sprawdzę, czy uda mi się coś wcześniej ustalić.

– Do Krainy Jezior? – Minnie popatrzyła na niego zdziwiona, potem na zaciągnięte zasłony; szyby okien pobrzękiwały cicho pod naporem wiatru za warstwami koronki i niebieskiego aksamitu. – Przy tej pogodzie? Co to ma być, jakiś rodzinny obłęd? Za chwilę twoja matka obwieści o swoim wyjeździe do Tierra del Fuego w samym środku huraganu.

Grey uśmiechnął się do niej, uświadamiając sobie, że byłoby rzeczą nierozważną wspominać kobiecie brzemiennej o śmierci Genevy Dunsany.

– Przebywa tam na zesłaniu mój więzień z Ardsmuir. Muszę go przepytąć w kwestii kilku rzeczy natury porządkowej. – Określenie „porządkowy” skutecznie tłumilo ciekawość nawet u najbardziej dociekliwych osób. Nie ulegało wątpliwości, że oczy Minnie błysnęły tylko nieznacznie. – I powinienem wyruszyć natychmiast, żeby zdążyć na ślub, ponieważ pułk zostanie krótko potem wysłany do Francji.

– Chodzi o pana Frasera? Melton opowiadał mi o nim. Tak, będziesz się musiał pospieszyć. – Westchnęła, przyciskając odruchowo dłoń do brzucha.

Hal mówił, że dziecko ma przyjść na świat jesienią; według Greya istniało duże prawdopodobieństwo, że się narodzi przed jego powrotem.

Starał się za wszelką cenę zająć Minnie opowieścią o spotkaniu z O’Higginsami w Hyde Parku i znów udało mu się ją rozbawić.

Kiedy zebrał się w końcu do wyjścia, wspięła się na palce przy drzwiach, żeby pocałować go w policzek, a potem popatrzyła nań z niezwykłą dla niej powagą.

– Będziesz uważał, Johnie? Wiesz, że moja córka potrzebuje ojca chrzestnego?

– Córka? – Popatrzył odruchowo na jej wciąż płaski brzuch.

– Nie inaczej. Nie zniosłabym, gdyby przyszło mi zamartwiać się o jeszcze jednego mężczyznę, który wyruszy na kraniec ziemi, żeby ktoś porąbał go na kawałki albo żeby umarł z powodu biegunki lub jakiejś zarazy. Jesteście koszmarni.

Wciąż się uśmiechała, ale dosłyszał w głosie Minnie drzenie i dotknął delikatnie jej ramienia.

– Ojciec chrzestny? – spytał.

– Nie wspominaj Meltonowi. Jeszcze mu nie powiedziałam.

– Twój sekret jest moim sekretem – zapewnił ją, a ona uśmiechnęła się szczerze.

– Dobrze. Ale będziesz na siebie uważał, Johnie?

– Będę – obiecał i wyszedł na wirującą biel, zastanawiając się jednocześnie,

czy to James Fraser, czy też on sam uosabiał jakieś fatum, co skłoniło zarówno jego matkę, jak i Minnie do przestróg, by był ostrożny.

*

Grey zamierzał spytać matkę właśnie o to, pomijając inne sprawy, odkrył jednak po powrocie na Jermyn Street, że Minnie wykazała się większą, niż sądził, bystrością, jeśli chodzi o rodzinną manię podróżowania. Hrabina w samej rzeczy wyjechała. Co prawda nie do Tierra del Fuego, a jedynie do teatru przy Drury Lane na sztukę – tę, którą miał nadzieję obejrzeć z Percym Wainwrightem, co uznał za ironię losu – potem zaś z powodu śniegu planowała spędzić noc w domu generała Stanleya.

Nie zmieniło to jednak jego zamiarów i był zmuszony zadowolić się napisaniem krótkiego listu do Hala, w którym powiadał go o swej nieobecności i dacie powrotu; dodał też, że spodziewa się konkretnych informacji na temat ustaleń dotyczących wiadomego dokumentu – innymi słowy, kartki z dziennika.

Rozwagał możliwość, że hrabina otrzymała podobną stronicę, ale nie przywiązała do tego wagi. Hal obiecał, że porozmawia o tym z matką. Jeśli dostała drugą, to przypuszczalnie by mu powiedziała, Grey zaś był gotów pomówić z hrabiną po powrocie z Helwater.

Właśnie odkładał pióro, kiedy przypomniał sobie o sprawie O'Higginsów, więc ujął je z westchnieniem ponownie, tym razem po to, by skreślić krótki list do kapitana Wilmota, któremu bracia formalnie podlegali, choć, prawdę mówiąc, uważał ich w głębi duszy bardziej za element sił natury niż zdyscyplinowaną część maszyny militarnej.

– Przestało padać, milordzie! – dotarł do niego z oddali głos Toma Byrda.

Grey spojrział w bok i zobaczył swego kamerdynera, który wychylał się do połowy przez otwarte okno. Poczuł, jak wokół jego kostek owija się chłodny podmuch niczym upiorny kot, ale wiatr już zamarł. Najwyraźniej burza śnieżna przeminęła.

Staął za Tomem, który wsunął głowę z powrotem do pokoju; jego policzki zaczerwieniły się z zimna. Cały świat na zewnątrz był okryty nieruchomym, czystym i spokojnym całunem bieli. Grey zgarnął trochę świeżego puchu z parapetu i wziął go do ust, rozkoszując się jego gruzłowatością na języku, kiedy się roztapiał, a także nieznacznym posmakiem sadzy i metalu. Warstwa śniegu miała nie więcej niż trzy–cztery centymetry, a niebo nabrało barwy czystego, głębokiego i zimnego fioletu pełnego gwiazd.

– Rano zaświeci słońce, niech mnie diabli wezmą – oznajmił z satysfakcją Tom. – Drogi staną się w okamgnieniu czyste!

– Drogi staną się w okamgnieniu błotniste, chciałeś powiedzieć – odparł Grey, ale uśmiechnął się bezwiednie. Pomimo ponurego charakteru tej misji

podzielał radosne ożywienie Toma na myśl o czekającej ich podróży. To była długa zima zmuszająca często do pozostawania w domu.

Uporawszy się z pakowaniem, Tom wziął porzucony płaszcz Greya i kamizelkę i teraz wywracał kieszenie na swój metodyczny sposób; wkładał luźne monety do pugilaesu, rzucał zmięte chusteczki na stos brudnej bielizny, odkładał guziki przeznaczone do przyszycia i patrzył podejrzliwie na inne przedmioty, które się tam znajdowały.

– To przebijak – podsunął usłużnie Grey, widząc, jak Tom przygląda się ze zdumieniem małemu, ostro zakończonemu narzędziu z metalu. – Albo jego część. Coś, czym robi się otwory w podkowach.

– Oczywiście, że tak – powiedział Tom, odkładając przedmiot i patrząc jednocześnie na Greya. – Czy ten, komu pan to zabrał, chce to z powrotem, jak pan sądzi?

– Nie wydaje mi się. To jest złamane.

Narzędzie miało zwykle około trzydziestu centymetrów długości; kawałek leżący na biurku mierzył tylko sześć–siedem centymetrów, czubek zaś był odłamany.

Grey zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć, skąd u licha wytrzasnął ten kawałek metalu. Musiał to przyznać: miał w zwyczaju wpychać nieświadomie do kieszeni różne rzeczy, a także, rozmawiając z ludźmi, brać do ręki drobne przedmioty i obracać je w palcach. Skutkiem tego wracał niejednokrotnie do domu z łupami będącymi wynikiem nieumyślnej kradzieży, potem zaś był zmuszony za pośrednictwem Toma zwracać owe rzeczy właścicielom.

Służący obejrzał z krytyczną uwagą niewielki, przypominający kamyk przedmiot, powąchał go i uznał, że to kostka cukru z Balboy, zjadł ją zapobiegliwie, po czym wziął do ręki kolejną rzecz, która spoczywała na zgniecionych papierach.

– No, to należy do lorda Meltona – oznajmił, pokazując pierścień masoński. – Widziałem, jak go nosił. Był pan dziś u niego?

– Nie, wczoraj. – Przypomniawszy sobie, spojrzął Tomowi przez ramię. – Masz rację, należy do Meltona. Odeślę ten pierścień przez jednego z lokajów. Och... i zatrzymam jeszcze to. Resztę możesz spalić.

Zauważył złożoną stronę gazety, zabraną z kawiarni, i wydobył ją z pliku papierowych skrawków.

Kiedy rozłożył stronicę, dobieł się z niej lekki zapach kawy i nagle powróciło do niego wspomnienie twarzy Percy'ego Wainwrighta, zarumienionej od gorąca napoju, którym się raczył. Zamyślił się na chwilę, ale zaraz opanował rozkojarzenie i skupił uwagę na artykule dotyczącym Ffoulkesa.

Jego treść pokrywała się zasadniczo z tym, co powiedział mu Hal. Znany prawnik Melchior Ffoulkes, znaleziony bez życia w swoim gabinecie przez żonę,

zginął, jak wszystko na to wskazuje, z własnej ręki... odpowiednio dobrane uwagi osób, które знаły zmarłego, ogólny szok i konsternacja... dochodzenie przyczyny zgonu... ale jedynie niejasne aluzje co do powodów samobójstwa i ani słowa na temat zdrady czy jakichkolwiek spisków związanych przez pederastów, także żadnej wzmianki o kapitanie Michaelu Batesie, nie wspominając już o innym człowieku, o którym mówił Hal... Otway? Na razie, pomyślał cynicznie Grey, mnąc gazetę w kulkę i ciskając ją w ogień.

Przypomniał sobie, co Minnie powiedziała o wizycie kochanki kapitana Batesa. Nie było to niemożliwe, jak przypuszczał. Trafiali się mężczyźni, którzy cieszyli się względami zarówno innych mężczyzn, jak i kobiet, ale nie zdarzało się to jednakże często i znane mu osoby o takich skłonnościach zdradzały na ogół niewybredność, która zdawała się kłócić z koncepcją stałego związku, sugerowaną przez pojęcie „kochanki”.

No cóż... i co z tego, jeśli Bates naprawdę miał inklinacje do mężczyzn? Jak powiedział Halowi, spiski pederastów stanowiły powszechną pożywkę każdej gazety spragnionej wiadomości. Ludzie uwielbiali czytać o deprawacjach i gdy zwyczajowe doniesienia o aresztowaniach, procesach i pręgierzu za ów występki zaczynały powszednieć...

– Potrzebuje pan czegoś jeszcze, milordzie? – głos Toma przerwał jego myśli i Grey zobaczył służącego, który wciąż stał z naręczem brudnej bielizny. Oczy miał czerwone ze zmęczenia i najwyraźniej pragnął się już położyć.

– Och, nie, Tom, dziękuję. Może coś jeszcze... – Wziął z biurka tom ojcowskich dzienników. – Odłóżysz to na półkę w bibliotece?

– Oczywiście, milordzie. Dobranoc panu. – Tom z wprawą ułożył odpowiednio naręcze ubrań, by móc wziąć do ręki książkę, i wyszedł.

Grey zamknął za nim drzwi i przeciągnął się, też zapragnąwszy nagle położyć się do łóżka. Nachylił się, by zdmuchnąć świecę, i znieruchomiał.

Do diabła, zapomniał o obietnicy złożonej Minnie, że spróbuje wywiedzieć się o miejsce pobytu kapitana Batesa. Tłumiąc jęk, otworzył kałamarz i usiadł ponownie. Pomyślał, że najlepiej zaangażować do tej sprawy Harry’ego Quarry’ego; Harry znał wszystkich i lubił Minnie. No i był na tyle bliskim przyjacielem, że można go powiadomić o tej kwestii bez ogródek, bez zbędnych uprzejmości i podchodów.

„Mnie również prześlij słowo o swych ustaleniach, jeśli mogę cię prosić” – napisał i podał namiary na Helwater.

Przyciskając noszony na prawej ręce sygnet w kształcie półksiężyca do laku na kopercie, zauważył masoński sygnet Hala i złamany przebijak do podków, wciąż leżące na biurku. Wziął sygnet i zaczął obracać go leniwie w dłoniach, zastanawiając się, czy zanim się położy, przyjdzie mu coś jeszcze napisać.

Przez głowę przemknęła mu myśl o wysłaniu listu Percy’emu

Wainwrightowi – tylko jedna linijka wyrażająca żal z powodu jego nieobecności, ponowne pragnienie spotkania po powrocie – jednakże dzwony kościelne wybiły północ, on zaś czuł takie znużenie umysłu, że wątpił, czy uda mu się ułożyć nawet tę krótką wiadomość w miarę spójnie.

Rozluźnił ręce, a sygnet masoński spadł na lewą dłoń, uderzając dźwięcznie o jego pierścień. Szafir Hectora.

Hal podzielał z bratem nawyk obracania w palcach przedmiotów, kiedy mówił, ale najczęściej miał w zwyczaju zdejmować i wkładać sygnety – nie po raz pierwszy zgubił jeden z nich. Grey natomiast nigdy nie ściągał pierścienia, chyba że przed kąpielą.

Obrócił zaciśniętą dłonią, by szafir błysnął w blasku świecy prawdziwym błękitem. Barwą oczu Hectora.

Przejmujesz się? – pomyślał niespodziewanie. – Percym? Był to impuls; nie spodziewał się żadnej odpowiedzi i żadnej nie otrzymał.

Czasem żałował żarliwie, że nie wierzy w Boga miłosiernego i świat pozagrobowy, w którym martwi mogą dalej żyć. Jamie Fraser odznaczał się taką wiarą; płonął nią niemal, co wzbudzało w Greyu zarówno ciekawość, jak i zazdrość. On sam jednakże był racjonalistą. Akceptował istnienie Boga, ale nie potrafił określić natury takiej istoty, nie miał też poczucia, że Stwórca przejawia jakiegokolwiek zainteresowanie jego osobą. I bardzo dobrze, zważywszy na wszystko.

Wsunął bezwiednie sygnet Hala na palec środkowy, ten zaś się zsunął, zwisając luźno na kłykcium.

Przyglądał się przez chwilę pierścieniowi ze zmarszczonym czołem, prześladowany przez jakieś niejasne poczucie niewłaściwości, nie wiedział jednakże dlaczego. Potem zacisnął odruchowo dłoń.

Jego brat miał niemal takie same dłonie jak on; obaj bezustannie wymieniali się przez omyłkę rękawiczkami. Hal nosił sygnet na środkowym palcu. Ergo, nie był to pierścień Hala.

Zdjął go i obrócił, mrużąc oczy w blasku świecy, lecz nie dostrzegł żadnej inskrypcji, żadnej oznaki właściciela. Sam nie był masonem, ale miał wielu przyjaciół masonów; ten klasyczny sygnet niczym się nie wyróżniał.

– Skąd wobec tego cię wystraszałem, u licha? – powiedział głośno do owego przedmiotu.

2 Permettez-moi, monsieur. Un petit cadeau... pour madame votre épouse (franc. – Pozwoli pan. Mały podarunek... dla pańskiej małżonki.

Część II
Helwater

Rozdział 6

Szkody

Grey za każdym razem sądził, że będzie inaczej. Z dala od zwykłych codziennych spraw, tkwiąc na przemian w nudzie i koszmarze żołnierskiego życia, postrzegał Jamiego Frasera jako kogoś niezwykłego. Posługiwał się wyobrażeniem tego człowieka jak talizmanem, miernikiem własnych odczuć.

Z pewnością owo wrażenie powinno przygasać, znikać całkowicie, kiedy widział go na żywo. Fraser był Szkotem, jakobitą, ułaskawionym więźniem, teraz tylko zwykłym stajennym – kimś, na kogo normalnie nie zwróciłby uwagi, a już bez wątpienia nie traktował jako kogoś szczególnego.

A jednak za każdym razem było tak samo, do diabła. Jakim cudem? Dlaczego?

Wiedział, że podąży krętą drogą prowadzącą do Helwater, czując przyspieszone pulsowanie krwi w uszach. Ze powita Dunsany'ego i jego rodzinę, rozmawiając serdecznie o tym i owym, że przyjmie poczęstunek, będzie podziwiał suknie i ostatnie malowidła lady Dunsany. Wszystko w narastającym bólu niecierpliwości, pragnienia – potrzeby – udania się do stajni, by popatrzeć, zobaczyć.

A potem ujrzeć go z daleka – jak ćwiczy konia, jak pracuje przy ogrodzeniu pastwiska – lub spotkać się z nim niespodziewanie twarzą w twarz, gdy wyłoni się z siodlarni albo zejdzie po drabinie ze stryszku, na którym sypiał. Wówczas za każdym razem Greyowi waliło serce w piersi.

Linie szyi i pleców, krągłość twardej pośladków i mocne uda przypominające kolumny, ogorzała skóra szyi, splewiałe od słońca włosy ramion i rąk – nawet drobne niedoskonałości, blizny znaczące jedną dłoń, ślad po ospie w kąciku ust – i ciemne skośne oczy, wrogie i czujne. Nic zatem dziwnego, że odczuwał fizyczne podniecenie; ten człowiek był piękny, a w swym pięknie groźny.

A jednak to podniecenie przygasało natychmiast, gdy tylko znalazł się w pobliżu Frasera. Ogarniał go wtedy spokój i odczuwał dziwne zadowolenie.

Kiedy już spojrział w te oczy, kiedy one go dostrzegły – mógł wrócić do domu, zająć się swoimi sprawami, prowadzić rozmowy z innymi ludźmi. Jakby się obawiał, że świat zmienił się pod jego nieobecność, a potem się upewniał, że nie; Jamie Fraser wciąż tkwił w centrum tego świata.

Czy miało być tak również teraz? Nie powinno. Bo mimo wszystko istniał teraz Percy Wainwright, który przyciągał jego uwagę, budził ciekawość.

A jednak... Skinął głową Tomowi, po czym obrócił konia ku krętej drodze wiodącej do Helwater, czując w piersi ból, jakby napierało na nią zimne powietrze.

Nie powinno tak być, powtarzał sobie w duchu.

A jednak...

*

Lord Dunsany był przybity zgonem córki. Śmierć syna podczas powstania postarzyła go nagle, a na jego twarzy pojawiły się bruzdy niczym suche doliny wyrzeźbione przez nieprzelane łyzy. Jednak ten stary arystokrata trwał wówczas jak skała, uosobienie mocy i oparcie dla żony i córek.

Teraz zaś... Dunsany podniósł się z fotela, by powitać Greya, który był tak zaniepokojony jego wyglądem, że upuścił kapelusz na podłogę biblioteki i pospieszył objąć swego przyjaciela w obawie, iż ten złamie się i upadnie pod brzemieniem smutku.

Szorstka i nieupudrowana peruka starego człowieka musnęła go w policzek. Greyowi wydawało się, że Dunsany był wcześniej wyższy. Ręce lorda wciąż odznaczały się siłą; chwyciły Greya z tak rozpaczliwą mocą, że ten poczuł jakiś podskórny dreszcz przebiegający przez wysuszone ciało, które doń przywierało.

– John – wyszeptał Dunsany, co dla Greya było szokiem, gdyż ojciec Genevy nigdy wcześniej nie zwracał się do niego po imieniu. – Niechaj Bóg mi wybaczy, Johnie. To wszystko moja wina.

– Nonsens, nonsens – wymamrotał. Nie wiedział, co Dunsany ma na myśli, ale poklepał go delikatnie po plecach, wdychając zastarzałą woń jego surduta i nieznaczną kwaśność niemytej skóry. Podniósł dyskretnie wzrok; kamerdyner, który otworzył mu drzwi, stał w odległości kilku kroków. Miął w dłoniach podniesiony z podłogi kapelusz, a twarz zdradzała zaniepokojenie stanem jego pana. – Może odrobinę brandy?

Kamerdyner zniknął ochoczo pomimo słabych protestów Dunsany'ego, że jest dopiero południe.

– Południe cholernie zimnego, mokrego i paskudnego dnia – oznajmił zdecydowanym tonem Grey, prowadząc starca z powrotem na fotel, z którego się wcześniej podniósł. Odchrząknął, ponieważ łyzy, których jeszcze nie przelał z powodu śmierci Genevy, teraz wezbrały na widok żalosnego stanu jej ojca. Zamrugał kilka razy i schylił się po pogrzebacz. – To ma być ogień?

– Tak mi się wydaje. – Dunsany podjął godny podziwu wysiłek, by zapanować nad sobą, i zdobył się na niepewny uśmiech. – A co ty myślisz?

– Mizerny.

Był to marny ogień, niemal skąpy, choć nie brakowało zarówno suchego drewna, jak i kosza z torfem. Pod wpływem nagłego impulsu pogrzebał energicznie w palenisku, po czym dorzucił do rozbudzonego płomienia dwie bryły torfu. Po

pokoju od razu rozeszła się charakterystyczna woń – piżmowa, mroczna, pradawna. Woń Szkocji. Po ciele Greya przebiegł dreszcz, który nie miał nic wspólnego z chłodem dnia.

– No, teraz lepiej – oznajmił i przysunął do kominka drugi fotel, po czym usiadł na nim, zacierając z udawanym wigorem dłonie i zastanawiając się, co ma powiedzieć, u licha.

Dunsany wybawił go z kłopotu.

– Tak dobrze, że przyjechałeś, Johnie. – Ponownie spróbował się uśmiechnąć, tym razem z lepszym skutkiem. Niemal wbrew sobie wyciągnął suche dłonie w stronę ognia. – Czy była to okropna podróż? Ten bezustanny deszcz...

– Ależ skąd – odparł Grey, choć drogi na dobrą sprawę przemieniły się w płynne błoto, tam gdzie wciąż istniały, i to, co zazwyczaj było czterodniową podróżą, teraz zabierało niemal tydzień. Siedział w pończochach, zostawiwszy oblepione zaschniętym brudem buty wojskowe w holu wraz z równie brudną i przemoczoną peleryną, jednak Dunsany zdawał się tego nie zauważać. – Pańska żona... jest...?

Niewyraźne oznaki ożywienia, które wcześniej ociepliły policzki starego człowieka, zniknęły od razu niczym zdmuchnięty płomień świecy.

– Och, tak. Jest... jak skała – zapewnił Dunsany cicho ze wzrokiem utkwionym w ogień, który począł tlić się niskim niebieskim płomieniem, tak charakterystycznym dla torfu. – Skała – powtórzył mocniej. – Jej hart ducha podtrzymuje nas wszystkich.

Czyżby? – pomyślał Grey. Działo się tu coś dziwnego. Lady Dunsany nigdy nie omieszkała go powitać w chwili przyjazdu, ale teraz nigdzie nie było jej widać. Nigdy też wcześniej nie zauważył, by oddalała się od boku męża – jednak w czasie tej rozmowy uświadomił sobie, że atmosfera przygnębienia i pustki panująca w pokoju jest spowodowana nie tylko mizernym ogniem. Pokój wydawał się czysty i uporządkowany, ale brakowało w nim drobnego bałaganu i ozdób, które lady Dunsany rozstawiała zazwyczaj wszędzie.

– Pragnę złożyć lady Dunsany wyrazy szacunku – powiedział ostrożnie Grey.

– Będzie niezwykle zadowolona... Och! – Stary arystokrata uświadomił coś sobie nagle i zaczął dźwigać się z fotela. – Jestem dziś taki głupi, lordzie Johnie, proszę mi wybaczyć. Zapomniałem na śmierć posłać Hanksa, by powiadomił ją o pańskiej obecności!

Gdy tylko Dunsany wstał, Grey usłyszał głosy dochodzące z korytarza i też się podniósł. Hanks najwidoczniej wziął sprawy w swoje ręce. Kamerdyner otworzył drzwi, kłaniając się lady Dunsany i jej córce, które weszły do pokoju, i podążył za nimi z tacą brandy.

– Lordzie Johnie! Lordzie Johnie!

Przybycie obu dam odniosło niemal taki sam skutek jak wcześniej rozniecenie ognia; pokój od razu wydał się cieplejszy, jakby za sprawą pojawienia się kobiet rozplynęła się gdzieś przytłaczająca atmosfera samotnej kryjówki Dunsany'ego.

Były oczywiście w żałobie, a mimo to niczym stadko szpaków wniosły ze sobą atmosferę ożywienia.

Isobel łkała. Pomyślał, że z wdzięczności za jego obecność, ale też z żalu. Rzuciła mu się w ramiona, a on objął ją delikatnie, ciesząc się, że ma sposobność przysłużyć się jej chociażby w tak prosty sposób. Obawiał się, że rodzicom Isobel ma znacznie mniej do zaoferowania.

Lady Dunsany klepała go po ramieniu, uśmiechając się serdecznie, choć twarz miała bladą i ściągniętą. Dostrzegł żal kryjący się w jej oczach i pod wpływem impulsu wyciągnął rękę i ją też przyciągnął do siebie.

– Moje drogie – zwrócił się cicho do kobiet. – Tak mi przykro.

Był dotkliwie świadom, jak i one zapewne, że ta niewielka rodzina pomniejszyła się jeszcze bardziej. Naszły go nagle wspomnienia poprzednich spotkań, kiedy to byli z nimi Gordon i Geneva, ich przyjaciele wypełniali dom, a jego przybycie stanowiło okazję do radości, niekończących się rozmów i śmiechu.

Hanks wziął na siebie obowiązek nalania brandy, po czym z łagodnym uporem wsunął kieliszek w dłoń lorda Dunsany'ego. Stary człowiek stał i patrzył zdziwiony na trunek, jakby nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widział. Nie spoglądał na swą żonę i córkę.

Grey uświadomił sobie w całym tym zamieszaniu, że słowa lorda Dunsany'ego dotyczące żony nie miały nic z podziwu czy metafory; człowiek ten stwierdzał pewien konkretny fakt – lady Dunsany była skałą. Przyjęła ramiona Greya, ale nie odwzajemniła uścisku.

– Ma pani jednak wnuka, jak rozumiem, lady Dunsany? – powiedział, odsuwając się trochę, by na nią spojrzeć. – Mam nadzieję, że dziecko czuje się dobrze.

– O, tak. – Jej wargi drgały leciutko, lecz mimo wszystko się uśmiechnęła. – Tak, to krzepki kochany chłopiec. Jest... niezwykle pociechą.

Dostrzegł krótkie wahanie. Miała suche oczy i nie patrzyła na męża – choć lord John nie potrafił przypomnieć sobie momentu, kiedy to dobro lorda Dunsany'ego nie stanowiło głównego przedmiotu jej troski. Tak, działo się tu coś złego, coś, co wykraczało poza tragedię, jaką była śmierć Genevy.

„To wszystko moja wina”, wyrwało się wcześniej lordowi Dunsany'emu.

Zaczął z wolna pojmować rolę, jaką tutaj odgrywał. Stanowił neutralny grunt, ziemię niczyją. Albo ziemię dostępną dla każdego.

*

Isobel nie pojawiła się później na herbatę.

– Jest zdruzgotana, biedactwo – wyjaśniła lady Dunsany, której wargi drżały.

– Była bardzo przywiązana do siostry, a okoliczności... ta koszmarna pogoda, my zaś przybyliśmy niemal za późno. Okropnie nią to wstrząsnęło. Wierzę, że pańska obecność podniesie ją na duchu. Jak to dobrze, że pan przyjechał. – Próbowwała się do niego uśmiechnąć, lecz skończyło się na upiornym grymasie. – Jestem pewna, że gdy już będzie po pogrzebie... – urwała i wydawało się, że jej twarz zapada się w sobie, jakby myśl o pochówku przygniatała ją wręcz fizycznie.

Zaczął wraz z nadejściem wieczoru doznawać osobliwego wrażenia. Państwo Dunsany zawsze stanowili bliską i pełną wzajemnej serdeczności rodzinę, nie był więc zdziwiony, że są tak głęboko poruszeni śmiercią Genevy. Widział już ich w podobnej sytuacji, kiedy umarł Gordon. Wtedy jednak dzielili się swym smutkiem, wszyscy chcieli być razem i wspierać się w żałobie.

Teraz było inaczej. Siedział przy stole między gospodarzem i gospodynią, ale równie dobrze mógłby siedzieć na równiku między dwoma zamarzniętymi biegunami lodu. Oboje przemawiali do niego bardzo grzecznie i z wielkim szacunkiem. Przyglądając im się uważnie, pomyślał, że owa wstrzemięźliwość, jaką sobie okazują, wynika z wyrzutów z jej strony i najwidoczniej winy z jego strony – ale dlaczego?

Uświadomił sobie, że od samego przyjazdu odczuwa zimno. Oczywiście płonął porządny ogień w kominku, podano gorącą herbatę, kawę, podpieczony chleb – jednakże chłód dnia, domu i tego towarzystwa przenikał go do szpiku kości.

– Och! – zaczęła lady Dunsany, co zabrzmiało tak, jakby usiadła na szpilce.

– Zapomniałam, lordzie Johnie. Mam dla pana list, przyszedł tego ranka.

– List? – spytał Grey zaskoczony. Nikt prócz jego najbliższej rodziny nie wiedział, że wybiera się do Helwater. Jaka to pilna sprawa zmusiła ich do natychmiastowego wysłania za nim listu? Musiał wyprzedzić go w drodze.

W głowie Greya pojawiła się myśl o Hалу, stronie z dziennika, spisku. Cóż się jednak takiego wydarzyło, że nie mogło poczekać do jego powrotu? Wziął z rąk lady Dunsany złożoną kartkę, spodziewając się zobaczyć niestaranne pismo Hala albo bazgraninę matki – nikt w rodzinie nie pisał ze starannością i wdziękiem – ale adres, napisany zgrabnie i wyraźnie, skreślony był nieznaną dłonią.

Zwyczajna pieczęć; przełamał ją, marszcząc czoło – po chwili zaś poczuł niezwykle przyływ ciepła, które dotarło nawet do jego przemarzniętych palców u stóp.

Nie było pozdrowień, a jedynie krótki tekst:

Pragnąłem przesłać Ci sonet, nie jestem jednakże poetą, a nie posłużyłbym się czymiś słowami – nawet wersami Twego przyjaciela podgeniusza, choć pełne

są znaczeń.

Życzę Ci powodzenia w Twojej misji współczucia. Mam nadzieję, że szybko się z nią uporasz, a jeszcze szybciej powrócisz do domu.

Nie przestaję o Tobie myśleć.

Patrzył na ową treść ze zdumieniem, z którego się otrząsnął dopiero wtedy, gdy lord Dunsany schylił się, pomrukując nieznacznie, i podniósł coś z dywanu u swych stóp.

– Co to takiego? – Słaby uśmiech na twarzy lorda na chwilę złagodził surowość smutku. Zadał pytanie retoryczne, gdyż nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że to, co trzyma w ręku, jest krótkim zakręconym kosmykiem ciemnych włosów przewiązanych czerwoną nitką. – Wypadło, gdy otworzył pan list – wyjaśnił, podając znalezisko Greyowi ze znaczącym spojrzeniem, które mówiło: „Cicha woda”. – Nie wiedziałem, że ma pan ukochaną, lordzie Johnie.

– Ukochaną? – Lady Dunsany, której oczy zdradzały zaciekawienie, nachyliła się, by przyjrzeć się dokładniej kosmykowi w dłoni Greya. – Ciemnowłosa dama, jak widzę. Czy nie chodzi przypadkiem o pannę Pendragon, o której pisała pańska matka?

– Sądzę, że to wysoce nieprawdopodobne – zapewnił ją Grey, tłumiąc nieprzyjemny dreszcz na myśl o Elizabeth Pendragon, walijskiej dziedzicze o bardzo donośnym głosie i wielkich stopach. – Obawiam się jednak, że wykazuję się w tym przypadku całkowitą ignorancją, ponieważ list jest niepodpisany.

Mignął jej przed oczami kartką, nie dając czasu na zapoznanie się z treścią, po czym ukrył papier w kieszonce kamizelki.

– Pan się rumieni, lordzie Johnie! – zauważyła lady Dunsany odrobinę rozbawiona.

Była to prawda, do diabła.

*

Grey zrezygnował z usług służącego, który chciał po herbacie odprowadzić go do pokoju, bo znał ten dom bardzo dobrze. Musiał jednak przejść obok pokoju dziecinnego i ze zdumieniem zobaczył otwarte drzwi, i poczuł silny przeciąg, który niepokoił zasłony w oknie po drugiej stronie korytarza.

Zajrzawszy do środka, sądził w pierwszej chwili, że pokój jest pusty. Drzwi prowadzące do wewnętrznego pomieszczenia, gdzie bez wątpienia spało dziecko i jego niania, były zamknięte; to zewnętrzne wciąż zachowało ślady izby szkolnej dzieci państwa Dunsanych. Pod jedną ścianą stał długi, porysowany stół, pod drugą znajdowały się półki pełne podniszczonych ukochanych książek, a na spłowiejących mapach świata, Anglii i jej kolonii migotał przyćmiony blask kapiącej świecy obok drzwi. Okno po przeciwległej stronie pokoju stało otworem, więc pospieszył, by je zamknąć.

Podmuch wiatru odsunął na chwilę kotary, on zaś ujrzał drobną postać stojącą przy oknie.

– Isobel! – Poczł z miejsca przyplłw paniki, bojąc się, że młoda kobieta zamierza wyskoczyć. Rzucił się do przodu i chwycił ją za rękę tak mocno, że krzyknęła. – Isobel – powiedział już łagodniej. – Chodź. Przeziębisz się na śmierć.

– Chcę tego – odparła stłumionym głosem, nie patrząc na niego, choć pozwoliła wciągnąć się w głąb pokoju.

Odzienie dziewczyny było mokre od deszczu, włosy okalały w nieładzie twarz, ciało tchnęło chłodem. Grey zerknął na kominek, ale ognia w nim nie rozpalono. Zdjął bez słowa surdut i okrył jej ramiona.

– Tak mi przykro, moja droga – rzekł cicho i wyciągnął rękę, by zamknąć okno. Wiatr zamarł i na wpół nasiąknięte wodą kotary znieruchomiały. Isobel stała bez słowa, niczym małe, brudne stworzenie, niczym mysz ocalona przed kotem – być może, zbyt późno. Dotknął jej barku. – Pozwól, bym zaprowadził cię na dół. Powinnaś się napić czegoś gorącego, przebrać w suche rzeczy...

Powinnaś przede wszystkim być z matką, pomyślał. Ale Isobel postanowiła ukryć swój ból tutaj, by nie przydawać rodzicom zgryzoty.

Uniosła nagle ręce, a na jej twarzy pojawił się grymas żalu.

– Moja siostra jest martwa – powiedziała słabym, zdławionym głosem. – Jak mam żyć?

Otoczył ją ramieniem i mocno przytulił, wydając ciche kojące dźwięki, jakimi uspokaja się ranne psy albo przestraszone konie. Z jej ust dobywał się z kolei dźwięk przywodzący na myśl zaniepokojone zwierzę: coś jakby skomlenie, przerywane głębokim i urywanym oddechem. Gdyby była koniem, widziałby dreszcz cierpienia przebiegający po bokach zwierzęcia. Wyczuwał go, napływający falami, które uderzały w jego ciało.

Nie przypominała w ogóle Genevy – była niska i nieco zaokrąglona, jasnowłosa jak matka. Geneva natomiast odziedziczyła aparycję po lordzie Dunsanym, odznaczała się wysokim wzrostem i gęstymi kasztanowymi włosami. Głowa Isobel sięgała Greyowi ledwie do podbródka.

– Będzie lepiej – wyszeptał do niej. – Ból nie przemija, ale staje się znośniejszy. Naprawdę.

Wyrwała się gwałtownie z jego objęć, twarz miała wykrzywioną.

– Ale co mam robić teraz? Jak mam żyć, dopóki tak się nie stanie? – Zakrztusiła się, wytarła ciekący nos rękawem i obróciła na niego gniewne spojrzenie. – Jak? Co mogę uczynić?

Zawahał się, pragnąc żarliwie powiedzieć jej coś kojącego, choć wiedział, że nic takiego nie istnieje.

– Ja... rozbijałem przedmioty – oznajmił z wahaniem. – Kiedy umarł mój ojciec. Pomagało. Trochę.

Zamrugnęła, drżąc, po czym wydała z siebie cichy histeryczny chichot od razu stłumiony dłonią przyciśniętą do ust. Potem powoli cofnęła rękę.

– Och, mam taką ochotę coś roztrzaskać – wyszeptała. – Proszę, proszę. – Szeroko otwarte oczy o sklejonych łzami rzęsach błagały go, by znalazł coś odpowiedniego.

Nieco wzburzony, rozejrzał się po dawnej izbie szkolnej w poszukiwaniu czegoś, co dałoby się zniszczyć bez wielkiej straty. Nie dzban ani umywalka... świecznik był zrobiony z ołowiu... Z braku lepszej koncepcji wziął lampkę oliwną znad drzwi i zapalił od niej świecę w lichtarzu. Zdmuchnąłby płomień, ale zanim zdążył to uczynić, Isobel wyrwała mu z rąk nieduże gliniane naczynie, po czym, otworzywszy okno, cisnęła nim z całej siły w ciemność.

Wychylając się za nią, zobaczył, jak pojemnik roztrzaskuje się na mokrych płytach w budzącej satysfakcję eksplozji fragmentów. Smuga oleju paliła się jeszcze przez chwilę, niewielki język ognia podrygiwał krótko w gnany wiatrem deszczu, potem zgasł.

Silniejszy blask świecy zapalanej w pokoju pozwolił mu się przyjrzeć twarzy Isobel. Jej jasna skóra była pokryta wypiekami, oczy zamknięte, usta rozwarte w grymasie ulgi. Zatoczyła się, gdy kolana się pod nią ugięły, on zaś złapał ją pospiesznie za rękę, odciągając od okna.

– Dziękuję – powiedziała i odetchnęła przeciągle. – Teraz... lepiej. Odrobinę. Ale nie mogę bezustannie rozbijać przedmiotów, prawda?

Szukał gorączkowo jakiejś inspiracji i po chwili znalazł.

– Twój ojciec ma dwa dobre flowery. Wybierzemy się z tobą jutro, Tom Byrd i ja. Nauczę cię strzelać do rzutków. Pięknie się rozpryskują.

Przesunęła dłonią pod nosem jak małe dziecko. Wydobył z rękawa chusteczkę i jej podał.

– Nie jutro – odparła i wytarła nos. Jutro jest po... pogrzeb. – Zamknęła na chwilę oczy i wydawało się, że się zachwiała. – Myślę... myślę, że jeśli uda mi się to przetrwać, może będzie... – urwała, jakby mówienie sprawiało jej zbyt wielką trudność.

– Będzie lepiej – oznajmił zdecydowanie.

Musi tak być, pomyślał. Bo inaczej nikt z tej rodziny nie przetrwa.

*

Isobel przystała w końcu na to, by Grey zaprowadził ją do komnaty, gdzie zajęła się nią pokojówka o wystraszonej minie, a on ruszył do siebie, żałując, że poczucie obowiązku nie pozwala mu przekazać gospodarzom, iż jest niedysponowany i pragnie zjeść kolację na gorze.

Jego złych przeczuć nie rozwiał Tom Byrd, który jak zwykle uosabiał źródło niepokojących informacji wydobytych przy herbacie od służby.

– Nie dziwię się – oświadczył, kiedy Grey zrelacjonował mu pokrótce, jak Isobel zareagowała na śmierć siostry. – Lady Ellesmere była umierająca, kiedy tu dotarli, a panna Elspeth powiedziała, że całe łóżko przesiąkło krwią, tak jak cały dywan wokół niego. Powiedziała też, że krew wlewała się do butów, jak się na niego nastąpiło.

Grey stłumił dreszcz wywołany tym obrazem.

– I draperia, cała zachlapaną, jak u rzeźnika – ciągnął Tom, najwidoczniej gotów zdać wyczerpującą relację. – Mówiła, że...

– Kto to taki panna Elspeth? – przerwał mu Grey, nie chcąc już wysłuchiwać makabrycznych szczegółów. – Była na miejscu?

– Tak, milordzie. To dawna niania lady Ellesmere i panny Isobel. Odeszła, kiedy lady Ellesmere wzięła ślub, ale jak ta umarła, wróciła zając się dzieckiem. Miła staruszka. – Tom kręcił się przy szafie, oceniając jej zawartość. – Będzie pan niósł trumnę hrabiny, milordzie?

– Tak. Ciemna szarość wystarczy, nie sądzisz? Czarny aksamit wydaje się raczej przesadny.

– O, nie, milordzie. – Tom pokręcił zdecydowanie głową. – Może w Londynie, ale tutaj jest wieś. Oczekują czerni i im więcej przesady, tym lepiej.

Grey uśmiechnął się przelotnie.

– Przypuszczam, że masz rację. Nabrałeś dużej wprawy, jeśli chodzi o służbę, Tomie.

Tom, słysząc ten komplement, skinął tylko odruchowo głową.

– Owszem, milordzie. Żeby nie nosił pan czerwonego jedwabiu i diamentu w nosie jak hrabia Sandwich. Będą gadali o tym pogrzebie miesiącami.

Grey wychwycił nacisk położony na słowo „tym” i popatrzył ostro na Toma.

– Z powodu tragicznego charakteru śmierci hrabiny, chcesz powiedzieć?

– Tak, owszem, ale bardziej z powodu hrabiego. Wiedział pan, milordzie, że gada się o tym, jakoby... hm... zabił się? – Tom mówił z rozważą, nie patrząc na Greya, przez co ten pojął, jak dokładnie plotkująca służba w domu przy Jermyn Street poinformowała jego lokaja o skandalu rodzinnym. Od jak dawna Tom o nim wiedział?

– Nie, nie miałem pojęcia. – A zatem to tłumaczyło, przynajmniej w jakimś stopniu, poruszenie panujące w domu lorda Dunsany’ego. – Wszyscy wiedzą? Czyli ludzie w ogólności, nie tylko służba?

– O, tak, sir! Lokaj Jack powiada, jak to wszyscy stawiają w Bells pięć do trzech, że pastor się wścieknie, jak go sprowadzą. Nie pozwoli pochować go w poświęconej ziemi.

– Pastor... Co, hrabiego też mają chować jutro? – Był zszokowany. Nie mógł zrozumieć, jakim cudem przeoczył śmierć hrabiego – czy, przeciwnie, mógł zrozumieć. Nikt tu nie wspominał słowem o zmarłym ani o jego przedwczesnym

przecież zgonie. Mówiono wyłącznie o Genevie. Nikt też w tym domostwie nie napomknął o pogrzebie hrabiego, a Grey zakładał podświadomie, że pochówek już się odbył.

– Tak, milordzie. – Tom czuł się doskonale w roli posiadacza interesujących wieści. – Hrabia nie miał żadnych krewniaków, a lord Dunsany życzył sobie, żeby pogrzebać go po cichu i pochować pod posadzką kaplicy w Ellesmere. Ale lady Dunsany nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała – ściszył złowróżbnie głos – że wyglądałoby to podejrzanie.

– Jestem całkowicie przekonany, że lady Dunsany nie mówiła niczego podobnego, ale rozumiem, co masz na myśli. I co?

– I to, że postawiła na swoim. Damy zwykle stawiają na swoim – poinformował go Tom. – Musi pan uważać na tę lady Joffrey, milordzie. Ma chętkę...

– Tak, wiem. A zatem to był pomysł lady Dunsany, żeby pochować hrabiego razem z żoną?

Udawać, że nic się nie stało, wyprawiając bogaty pogrzeb, i niech ktoś spróbuje twierdzić, że śmierć hrabiego nie była przypadkowa. Niezły pomysł, jak musiał przyznać. Oczywiście, dałoby na jakiś czas asumpt do plotek, ale gdyby udało się nakłonić pastora do pogrzebania hrabiego w poświęconej ziemi, położyłoby to kres pogłoskom o samobójstwie, a wszelkie domniemania umarłyby śmiercią naturalną, za wnukiem zaś nie ciągnęłaby się wiecznie aura skandalu.

Ława koronerów wydała werdykt, który jednoznacznie dowodził przypadkowej śmierci, o czym Grey wiedział. Ludzie ci darzyli sympatią rodzinę Dunsanych, która była w tych okolicach powszechnie znana. Lecz gdyby pastor postanowił zrobić scenę... Nic dziwnego, że mieszkańcy domostwa byli podenerwowani.

– Tak, milordzie. Sprawa się ważyła, raz tak, raz inaczej, i nic nie było wiadomo aż do dzisiejszego ranka, jak powiada pan Hanks. Ale pastor się dowie. Będą musieli go powiadomić, jeśli chcą, żeby dokonał pochówku.

Tak, i niewątpliwie pastor musiałby się zmagać przez całą noc ze swoim sumieniem, jeśli żywił w tej kwestii jakieś wątpliwości.

Tom się wahał, najwidoczniej chcąc o coś spytać, niepewny jednakże, jak zostanie to przyjęte. Grey udniosł brwi, zachęcając służącego do mówienia.

– Mówili... czy to prawda, milordzie, że jak ktoś szlachetnie urodzony ginie z własnej ręki, to Korona zabiera mu majątek?

Grey poczuł ściskanie w trzewiach, ale odpowiedział ze spokojem. Dlatego właśnie ława koronerów określiła śmierć hrabiego jako wypadek.

– Tak. Na mocy twierdzenia, że samobójstwo to przestępstwo przeciwko Bogu, a także państwu. Nie jest jednakże nieodwracalną konsekwencją. Król może postanowić, że nie dojdzie do konfiskaty albo... uznaje się, że odebranie sobie

życia nastąpiło w chwili, gdy umysł danej osoby uległ obłędowi, a tym samym osoba ta zostaje uwolniona od brzemienia winy. – Wziął głęboki oddech i odwrócił się, by spojrzeć w oczy służącemu. – Tak mówiono o mym ojcu. Że był obłąkany.

Tom patrzył na niego bez wyrazu, lecz w jego oczach malowało się tyle współczucia, że Grey był zmuszony znów się odwrócić, udając, że szuka czegoś w jednym z juków, które przyniesiono do pokoju.

– Przykro mi, milordzie – oznajmił w końcu Tom tak cicho, że Grey mógł udać, iż tego nie usłyszał.

Wsunął dłoń do torby, grzebiąc w niej na chybił trafił, i zacisnął na czymś twardym. Nie miało znaczenia, co to było. Zamknął oczy i ujął ów przedmiot z całych sił, aż posłyszał, jak strzelają mu kłykcie.

– Dziękuję – powiedział równie cicho.

Kiedy znów otworzył oczy, był sam.

Rozdział 7

Pokuta

Grey nie mógł spać. Było późno, kiedy zostawił Dunsany'ego. Stary dżentelmen osiągnął po kolacji stan znieczulenia nad karafką bordo. Grey przekazał go pod opiekę lokaja, który dźwignął starego człowieka i odprowadził z daleko idącą ostrożnością do łóżka. Dunsany szedł z trudem, mamrocząc coś pod nosem. Grey udał się do własnego łóża, mając wrażenie, że dzień trwał kilka lat i że dawno minęła pora, kiedy można o nim zapomnieć za sprawą snu.

Sen jednakże uparcie nie nadchodził. U wezłowia łóżka usadowiła się zła wróżka bezsenności, przywołując wszystko: począwszy od makabrycznej opowieści Toma o śmierci Genevy po samooskarżenia jej ojca obwiniającego się bezustannie o zaaranżowanie małżeństwa córki i pozostawienie jej zbyt wielkiej swobody.

Dostał do swej dyspozycji ten sam pokój co zwykle. Niebieski, jak go nazywano, z powodu wzorzystej jedwabnej tapety na ścianach, pełnej powtarzających się scen holenderskiego życia – błękit Delft na kremowym tle. Męski w charakterze, o luksusowym umeblowaniu, z trzaskającym wesoło ogniem w kominku, zaliczał się do jednego z najbardziej wygodnych pomieszczeń w domu. A jednak Grey czuł się w nim zziębnięty i niespokojny, jakby w niezgodzie ze swym otoczeniem.

Był śmiertelnie zmęczony, stwierdził jednak, że pomimo wypitego wina i późnej godziny nie jest w stanie poszukać ukojenia w puchowej pościeli. Tom zostawił na stoliku owinięty ręcznikiem dzbanek gorącego mleka. Uśmiechnął się nieznacznie na ten widok, ujęty troskliwością służącego – choć nie pił ciepłego mleka od dwudziestu lat i nie czuł się aż na tyle zdesperowany, by uczynić to teraz.

Położył się znowu, licząc na to, że odpowiednia pozycja pozwoli mu się stopniowo odprężyć, ale nie zgasił świecy. Przez jakiś czas, trzymając dłoń na pustym miejscu u swego boku, patrzył, jak blask ognia ożywia sceny na tapecie. Ileż razy oglądał te spokojne błękitne obrazy? Odwiedzał Helwater regularnie od wczesnych dni służby wojskowej, kiedy to syn państwa Dunsanych, Gordon, zaprosił go do tego domu. Gordon zginął podczas powstania jakobickiego, a jego rodzice w przyływie żalu traktowali Greya jak przybranego syna. Teraz stracili też córkę.

Ile lat miała Geneva, gdy zjawił się tu po raz pierwszy? Cztery? Pięć?

– Widzisz ten obrazek? – wyszeptał, jakby do niewidzialnego towarzysza. – Ten z łodzią żaglową? To mój ulubiony. Mogę sobie wyobrazić, jak przemierzam

holenderskie kanały i widzę obracające się skrzydła wiatraków.

– Co to takiego wiatrak, sir?

Te wypowiedziane szeptem słowa były obecne tylko w jego pamięci, lecz on sam wysunął rękę, obejmując w pamięci małą dziewczynkę, która przekradła się do pokoju w środku nocy, przerażona jakimś koszmarem.

– Duży wysoki młyn, taki jak nad rzeką. Koła młyńskie, pojmujesz. Ale nie ma koła na wodzie. Są za to duże żagle, cztery, niczym ramiona, na samej górze. Wiatr nimi obraca i w ten sposób mieli się ziarna. Jest taki na ścianie... widzisz go?

Nie usłyszał jednakże odpowiedzi, jedynie ciche pykanie i syk wilgoci w płonącym torfie. Wygładził delikatnie narzutę dłonią, jakby to były rozczochrane, jedwabiste włosy małej dziewczynki, które należy wsunąć z powrotem pod czepek.

Leżał tak przez pewien czas, błędząc myślami, wpatrzony w migotliwe niebieskie kształty na ścianie. Wciąż gładził powolnym ruchem narzutę, ale oczyma wyobraźni nie widział już dziecięcych włosów. Widział inne. Miękkie, ale bardziej szorstkie. Sprężyste loki. Ciemne. I wyobraził sobie bijące od skóry ciepło.

– Jezu – powiedział i zacisnął dłoń. Wstał, przeszedł przez cały pokój i otworzył gwałtownym ruchem drzwi szafy. Zaczął przeszukiwać w mroku kieszeń surduta, ale nie wyczuł papieru i chwycił odzienie z nagłym przerażeniem, by dopiero potem dostrzec list ułożony starannie obok szczotek do włosów na półce, tam gdzie zostawił go Tom.

Wziął go do ręki z bijącym szybko sercem i przechylił. Na dłoń spadł mu kosmyk włosów: ciemny, pojedynczy, przewiązany czerwoną nitką.

Nie przestaję o tobie myśleć.

Rozpostarł papier i przeczytał ten wers ponownie dla samej przyjemności ujrzenia tych słów. Wpatrywał się w nie przez kilka chwil, potem złożył starannie kartkę i odłożył na miejsce.

Owe słowa wywołały w nim tyleż niepokoju, co przyjemności. Nie spodziewał się, że myśli o Percym podążą za nim aż do Helwater, i nie był pewien swoich uczuć. Miał oczywiście nadzieję, że mogą odkryć coś, co ich łączy. Ale czym to było albo miało być – nie wiedział. Gdyby się jednakże coś w ogóle wydarzyło, to tylko w Londynie. Londyn stanowił przecież odrębny świat, a on sam był tam kimś innym.

Wiedział natomiast doskonale, jakie uczucia żywi do Jamiego Frasera. A przebywanie w Helwater, tak blisko tego człowieka, samo w sobie było już niepokojące. Prześladowało go irracjonalne wrażenie, że czerpanie takiej przyjemności z listu Percy'ego jest w jakiś sposób zdradą – czego jednakże, na litość boską?

Przymuszony jakimś impulsem, odsunął ciężkie kotary z niebieskiego

aksamitu zasłaniające okno. Była chmurna noc, gęsty deszcz wciąż padał, ale niebo odznaczało się posępnym blaskiem – rozproszonym światłem niewidocznego księżycyca. Widział przez strużki wody na szybie niewyraźny zarys dachu stajni.

– Do diabła – powiedział cicho, odsunął się gwałtownie od okna i zaczął krążyć po pokoju, biorąc do ręki różne przedmioty i odkładając je na miejsce. Próbował powrócić do wcześniejszych myśli albo wszelkie odsunąć, oczyszczając umysł przed snem, lecz wysiłki były daremne. Przed oczami tkwiła mu uparcie postać Jamesa Frasera. Grey widział go raz od czasu przyjazdu – Fraser zaprowadził jego konia do stajni – nie miał jednak okazji z nim pomówić.

„Na litość boską, John, bądź ostrożny”.

Nagle rozbrzmiały mu w uszach słowa matki. Pokręcił głową, jakby opędzając się od irytującego komara.

I co, na Boga, matka przez to rozumiała? – zastanawiał się. Niewątpliwie chodziło jej o Frasera. Wzmianka o tym człowieku i jego jakobickich koneksjach tak ją przeraziła – owszem, właśnie przeraziła. Dlaczego? O co według niej mógł spytać Frasera, u licha? Albo czego mógł się od niego dowiedzieć?

Coś dotyczącego śmierci ojca. Te słowa tchnęły chłodem z jakichś mrocznych zakamarków umysłu. Odsunął je od siebie odruchowo. Ojciec nie żył od blisko siedemnastu lat. Myślał o nim czasami, lecz nigdy o jego śmierci. I nie zamierzał robić tego teraz.

Te posępne rozważania przypomniały mu jednak nagle o Genevie. Gdzie się znajdowała tej nocy? Nie w sensie duchowym – wierzył mgliście, że przebywa w niebie, choć nie potrafił wyobrazić sobie tego miejsca – ale fizycznym?

Pogrzeb miał się odbyć nazajutrz. Jej postać... – spojrzał niepewnie w czarną noc za oknem, jakby mogła się tam unosić – ...blada twarz obrócona ku niemu, kasztanowe włosy przyklejone do czaszki przez ulewny deszcz.

Zaciągnął starannie kotary. Pomyślał, że Geneva przygotowana leży w trumnie, w której rano będą ją nieśli w kondukcje żałobnym. Gdzie mogła być trumna? Z pewnością nie pozostawiono jej w jakimś chlewie ani w opuszczonej szopie na terenie posiadłości.

Kaplica. Oczywiście. Nigdy nie był w kaplicy w Helwater. Pochodziła ze znacznie wcześniejszych czasów, kiedy wicehrabiowie Wastwater byli katolikami, i stała bezużytecznie przez lata. Wiedział jednak, gdzie się znajduje. Sama Geneva mu ją pokazała, machając dłonią w stronę małej kamiennej budowli, która niczym wąsónóg przywarła do zachodniej strony domu.

– To stara kaplica – wyjaśniła. – Mamy tam ducha, wiedział pan?

– No cóż, żywię nadzieję, że to prawda – odparł żartobliwie. – Wszystkie szacowne rodziny mają swojego ducha.

Patrzyła na niego dziwnie przez chwilę, potem się roześmiała.

– Ten nasz to mnich, młody człowiek, który klęczy tam nocą pogrążony

w modlitwie. A jakiego ducha posiada pańska rodzina, lordzie Johnie?

– Och, nie jesteśmy dostatecznie szacowni, żeby mieć własnego – zapewnił ją z powagą. – Chyba że mowa o starym szkielecie w szafie.

Słowa te sprowokowały ją do nieumiarkowanego śmiechu – nie miała pojęcia o tym, jak prawdziwe są jego uwagi, pomyślał teraz, uśmiechając się nieznacznie na to wspomnienie. Lecz ten uśmiech przygasł wraz ze świadomością, że nigdy więcej nie usłyszy śmiechu Genevy.

Nagle uświadomił sobie nieodwracalną nieobecność tej dziewczyny. Tak bardzo zajmował go smutek rodziny, że przeżywał jej stratę tylko jako ich stratę, okropną, ale nie dotyczącą go zbyt osobiście. Teraz, w zupełnej samotności, pojmował ją jako własną. Stał przez chwilę, a jego żal przypominał małą łzę w duszy.

Nie mogąc znieść tego dłużej, sięgnął zdecydowanym ruchem do szafy i znalazł swoją pelerynę, zarzucił ją na ramiona, wsunął stopy w filcowe pantofle i wyszedł na korytarz, zamykając cicho drzwi pokoju. Zamierzał się z Genewą pożegnać bez świadków.

Dotarcie do miejsca, które widział tylko z zewnątrz, stanowiło niejaki wyzwanie. Helwater, jak większość starych domów, wznoszono etapami, jeśli pozwalały finanse i kaprysy kolejnych właścicieli. Była to zatem rozległa budowla – lady Dunsany powiedziała mu, że całe wschodnie skrzydło zamykano na zimę – i żadne przejście nie biegło w linii prostej.

Grey odznaczał się jednak wyczuciem kierunku i wiedział, że kaplica znajduje się przy północno-zachodnim narożniku domostwa. Podążał krętymi korytarzami niczym przez labirynt, odliczając w głowie zakręty, by potem odnaleźć drogę powrotną, rad, że owo ćwiczenie pozwala mu, choćby na chwilę, zapanować nad emocjami.

Deszcz padał uporczywie przez cały dzień pod postacią tej ponurej zimowej ulewy, która pogrąża duszę w mroku i cięży ziemi. Wiatr wzmógł się teraz, a krople uderzały w okiennice w nieregularnych atakach, towarzysząc jego wędrowce przez zacienione pasáže. Zabrał z pokoju świecę, której słabiutki blask oświetlał ścieżkę. Coś poruszyło się w ciemności i Grey przystanął gwałtownie.

Przez krótką chwilę błyszczały zielone oczy, po czym zniknęły, kiedy kot – tylko kot – przemknął obok jego stóp i rozpląnął się w mroku niczym dym. Czy to był kot Genevy? Wiedział, że kiedyś miała małego kociaka. Czy nie zabrałaby go ze sobą do Ellesmere? Może jej matka sprowadziła go z powrotem? Może... może próbował zająć umysł bezsensownymi błahostkami, by uniknąć rozmyślań o martwej Genevie, nawet jeśli zmierzał ku jej marom.

Wciąż czując werbel serca, zastanawiał się, czy powinien iść dalej, ale zaszedł już tak daleko! Gdyby teraz zawrócił, straciłby szacunek dla samego siebie. Zamknął na chwilę oczy, ponownie odtwarzając kreśloną w umyśle mapę

domostwa, potem uniósł powieki i ruszył zdecydowanie przed siebie.

Po kilku kolejnych zakrętach dotarł niespodziewanie do zewnętrznej ściany domu, jak się zdawało, bo w pokrytych porostami kamiennych blokach widniało łukowate nadproże w kolorze miodu.

Stanowiło najwyraźniej wejście do kaplicy; w łuku wyrzeźbiono postaci świętych i aniołów. Uniknęli w poprzednim wieku okaleczeń z rąk wandalii Cromwella – dostrzegł pośrodku postać archanioła Michała, jak się domyślał, z wysoko wzniesionym ognistym mieczem. Poniżej kulili się Adam i Ewa z listkami figowymi, kobieta krzyżowała skromnie ręce na obfitych piersiach. Ostatecznie nie byli to święci. Po drugiej stronie łuku z gałęzi jabłoni zwisał splotami wąż, sprawiając wrażenie zadowolonego i rozbawionego.

„Niechaj święty Michał ma nas w swojej opiece”. Te słowa pojawiły się nagle, choć Grey nie był katolikiem, w ogóle nie był zbyt religijnym człowiekiem. Słyszał je często u szkockich więźniów w Ardsmuir, wypowiedane po gaelicku, i pewnego wieczoru, gdy spożywali razem posiłek, spytał Jamiego Frasera o angielskie znaczenie.

Wszystko wskazywało na to, że znalazł właściwe miejsce. W korytarzu płonąła mała lampka oliwna, przemieniając postać archanioła w surowy relief, a między szparami w drewnianych drzwiach pod łukiem można było dostrzec migotanie świecy. Zastanawiając się na nowo, co tu robi, zawahał się na chwilę, potem zaś wzruszył ramionami, wymamrotał: „Niechaj święty Michał ma nas w swojej opiece”, i wszedł do środka.

W maleńkiej i ciemnej kaplicy paliły się tylko świece wokół zamkniętej trumny. Była udrapowana białym jedwabiem i połyskiwała jak woda.

Zrobił krok w jej stronę. Nagle coś wielkiego poruszyło się na podłodze u jego stóp.

– Jezu!

Upuścił niesioną świecę i złapał się za pasek – niestety, nie znalazł przy nim sztyletu.

Z kamiennych płyt posadzki zaczęła się podnosić niespiesznie ogromna postać.

Poczuł, jak jeżą mu się włoski na ciele, a krew pulsuje w skroniach. Nawet rozpoznawszy, z kim ma do czynienia, nie potrafił zapanować nad szokiem. Świeca zgasła, a człowiek ten jawił się jedynie jako ciemna sylwetka w aureoli blasku za plecami.

Grey przełknął z wysiłkiem, zmagając się z sercem, które mu podeszło do gardła, i szukając słów, które nie byłyby bluźniercze.

– Rany... boskie – zdołał wydusić z siebie po kilku nieudanych próbach. – Co pan tu na Boga robi?

– Modłę się – odparł ze szkockim akcentem cichy głos, którego brzmienie

nie mogło ukryć zaskoczenia, a nawet gniewu. – A co pan tu robi?

– Modli się pan? – powtórzył jak echo Grey z wyraźnym niedowierzaniem. – Leżąc na podłodze?

Nie widział twarzy Frasera, ale słyszał oddech dobywający się ze świstem przez zęby. Stali dostatecznie blisko siebie, by Grey czuł chłód emanujący z ciała tego człowieka, jakby był wycięty z bryły lodu. Chryste, jak długo Fraser przywierał do zimnych płyt? I dlaczego? Kiedy już oczy przywykły mu do mroku, zauważył, że Szkot ma na sobie jedynie koszulę; jego długie ciało przypominało cień. Blask świecy przenikał przez wytarty materiał.

– To katolicki obyczaj – oznajmił Fraser głosem równie nienaturalnym jak jego postawa. – Objaw szacunku.

– Rzeczywiście. – Szok wywołany tym spotkaniem ustępował z wolna i Grey mógł już łatwiej panować nad głosem. – Zechce mi pan wybaczyć, panie Fraser, jeśli uznam to wyjaśnienie za nieco osobliwe, podobnie jak pańską obecność tutaj.

Jego samego zaczął teraz ogarniać gniew – choć logika mu podpowiadała, że Fraser podniósł się, by on, Grey, nie wpadł na niego w następnej chwili, i że wcale nie zamierzał go zaskoczyć.

– To dla mnie bez znaczenia, majorze, co uważa pan za osobliwe, a co nie – odparł Fraser wciąż ściszone głosem. – Jeśli żywi pan przypuszczenie, że wolę spać w lodowatej kaplicy w towarzystwie zwłok zamiast we własnym łóżku, może pan myśleć, co się panu tylko podoba.

Wykonał ruch, zamierzając najwyraźniej opuścić kaplicę, ale pomieszczenie było wąskie, a Grey się nie poruszył.

– Znał pan hrabinę dobrze? – Ciekawość przeważała nad szokiem i gniewem.

– Hrabinę... ach. – Fraser spojrział odruchowo przez ramię na trumnę. Grey zobaczył, jak tamten wzdycha, a z jego ust wydobywa się biała para. – Tak... była hrabiną. I owszem, znałem ją dość dobrze. Byłem jej stajennym.

To dość osobliwa uwaga, jak zauważył Grey. Owo stwierdzenie – „byłem jej stajennym” – skrywało w sobie bogactwo uczucia, ale niech go diabli wezmą, jeśli wie, o co chodzi.

Zastanawiał się przez chwilę, czy Fraser był zakochany w Genevie – i doznał na tę myśl zagadkowego i palącego uczucia zazdrości. Wiedząc, co Fraser czuł do zmarłej żony, przypuszczałby, że... Ale dlaczego, na litość boską, miałyby przychodzić w nocy do kaplicy, by pomodlić się przy trumnie Genevy, gdyby nie... lecz nie. Słowa: „byłem jej stajennym”, zostały wypowiedziane z nutą... wrogości? Goryczy? Nie przypominały pełnej szacunku deklaracji lojalnego i pogrążonego w smutku służącego, jak Grey mógłby przysiąc na cały stos Biblii.

Odsunął od siebie te sprzeczne myśli i odetchnął zimnym powietrzem

przesyconym zapachem wosku; wydawało mu się przez chwilę, że wyczuwa woń rozkładu.

Fraser stał niczym kamienny anioł w odległości niespełna trzydziestu centymetrów; Grey słyszał nieco chrapliwy oddech Szkota. Boże, czyżby ten człowiek wcześniej płakał? Uznał to za absurd, choć pogoda mogła przyprawić każdego o katar albo o szaleństwo zmuszające do tego, by leżeć półnagim na lodowatych kamieniach.

– Byłem jej przyjacielem – wyszeptał Grey.

Fraser nic nie odrzekł, stał tylko dalej między nim a trumną. Grey zobaczył, jak obraca głowę, a blask świecy dobywa iskierki czerwieni z brwi i gęstej brody, pokrywa rysy twarzy złotem. Gardło poruszyło się, przełykając. Potem Fraser znów na niego spojrzął, a jego oblicze ponownie zniknęło w mroku.

– Zatem zostawiam ją aż do świtu w pańskich rękach.

Słowa te zostały wypowiedziane tak cicho, że Grey nie był pewien, czy je usłyszał. Coś jednak dotknęło jego dłoni leciutko niczym chłodny wiatr i Fraser go wyminął, po czym wyszedł. Tylko odgłos zamykanych drzwi świadczył o tym, że już go nie ma.

Grey odwrócił się z niedowierzaniem, ale niczego nie zobaczył. Kaplica była ciemna i panowała w niej cisza; słyszał tylko stukot deszczu o dachówki.

Czy to dziwne spotkanie miało w ogóle miejsce? Sądził przez chwilę, że być może śni – musiał zasnąć na fotelu przy kominku, ukołyszany deszczem. Dotknął jednak końca stojącej obok ławki, wyczuwając pod palcami twarde i zimne drewno. Poza tym stała przed nim trumna, wyraźna i biała w blasku świec. Płomienie zadrgały, gdy powietrze w kaplicy ogarnął przez chwilę niepokój, potem znieruchomiały i stały się jasne i równe. Czuwające.

Nie bardzo wiedząc, co robić dalej, usiadł w pierwszej ławce. Pomyślał, że być może powinien się pomodlić, ale jeszcze nie teraz.

Jak to powiedział Fraser? „Tak... była hrabiną”.

A była – przez te krótkie miesiące swojego małżeństwa. A teraz nic z niej nie pozostało ani też z jej męża prócz tej małej cząstki ciała: dziewiątego hrabiego Ellesmere.

„Zatem zostawiam ją aż do świtu w pańskich rękach”.

Czy Fraser zamierzał czuwać przy zwłokach całą noc, wyciągnięty przed trumną? – zastanawiał się. Poruszył się niespokojnie na twardym drewnie, świadom, że nie potrafiłby teraz odejść.

Zadrzał i zrezygnowany otulił się szczelniej peleryną. Chłód kamiennej posadzki przenikał jego pantofle; stopy już mu zdrętwiały. Pomyślał o Fraserze w samej koszuli i znów zadrzał na myśl, że mógłby przywierać nagim ciałem do lodowatych płyt.

Szacunek, oznajmił Fraser. Wydawało się, że tak niezwykle akt ma niewiele

wspólnego z szacunkiem. Co by się stało, gdyby naprawdę nastąpił na tego człowieka? – zastanawiał się. Wciąż miał przemożne wrażenie obecności Frasera, wyniosłego, zimnego jak gład. Odsunął od siebie myśl o tym, czego by doznał, dotykając tak chłodnego ciała. Wstał i ruszył przed siebie, przyciągany niczym ćma do połyskliwej bieli okrywającej trumnę.

Pomyślał, że przypomina to średniowiecze, i parsknął jasną parą oddechu w mrocznym powietrzu. Ci katolicy dranie, którzy chodzili boso po Paryżu albo chłostali się w akcie pokuty do krwi...

Akt pokuty.

Zdawało mu się, że te słowa trafiają na swe miejsce w jego umyśle niczym zapadki zamka. Przypomnił sobie własne wrażenia w odniesieniu do państwa Dunsanych – że ich żal jest zabarwiony jakimś głębokim niepokojem.

– Och, Genevo – wymówił cicho.

Znów pojawiła się ta wizja – jej postać za oknem, o bladej twarzy i szeroko rozwartych oczach, unosząca się w ciemności. Tak zimna i tak samotna. Zarys stajni w tle. Wydało mu się, że z głębi domu dobiega odgłos kroków i odległy płacz niemowlęcia.

– Och, moja droga. Coś ty uczyniła?

Rozdział 8

Śmierć z własnej ręki

„Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki”.

No cóż, Grey taką miał przynajmniej nadzieję, to pewne. Słowa te nie zostały jeszcze wypowiedziane, lecz zaprzętały jego umysł jak niosący pociechę refren. Gdzieś w tle rozbrzmiewał niczym kontrapunkt fragment modlitewnika powszechnego:

„...nie stosuje się wobec tych, którzy zmarli nieochrzczeni albo zostali poddani ekskomunie, albo zadali sobie śmierć z własnej ręki”.

Nie poszedł na pogrzeb ojca – nie wiedział, czy takowy się odbył.

Pomimo niesprzyjającej pogody kościół pękał w szwach. Państwo Dunsany byli lubiani przez swych dzierzawców, przyjaźnili się z większością miejscowej szlachty i okazywali serdeczność służbie; wszyscy chcieli pocieszyć ową pogrążoną w żalu rodzinę. Poza tym była to wieś, a tu jakakolwiek rozrywka stanowiła rzadkość. Nikt nie zamierzał przegapić dobrego pogrzebu, nawet jeśli musiał z tego powodu brnąć przez śnieg sięgający pasa.

Grey zerknął przez ramię, by sprawdzić, czy gdzieś w tłumie stojących i pokojówek na tyłach kościoła majaczy wysoka postać Jamiego Frasera. Nigdzie jednak Szkota nie dostrzegł. Fraser miał oczywiście zakaz opuszczania granic Helwater, ale z pewnością pozwolono by mu uczestniczyć w pogrzebie wraz z resztą służby – gdyby tego zapragnął.

Grey wciąż czuł w kościach chłód nocnego czuwania, który się pogłębił, gdy ludzie przy wejściu poruszyli się niespokojnie, on zaś odwrócił się wraz ze wszystkimi i zobaczył, jak wnoszą do kościoła trumnę z ciałem Ludovica, ósmego hrabiego Ellesmere.

Nie starał się opanować ciekawości. Patrzyli wszyscy. Pojawił się pastor i teraz czekał z kamienną twarzą przy ołtarzu, gdzie spoczywała już trumna Genevy. Grey pomógł ją nieść, boleśnie świadom milczącego ciężaru w jej wnętrzu.

Teraz jednak mroził go widok wysokiego i posępnego Jamiego Frasera pośród pięciu krzepkich mężczyzn ze służby dźwigających trumnę.

Ktoś dał mu wcześniej płaszcz i bryczesy z taniej czarnej wełny czesankowej, zupełnie niedopasowane. Powinien był wyglądać śmiesznie – kościste nadgarstki wystawały ze zbyt krótkich rękawów, a każdy szew wydawał się naprężony, jakby lada chwila miał pęknąć. A jednak przypominał Greyowi opis

znaleziony w księdze *Demonologie*, odrażającym małym traktacie odkrytym podczas poszukiwań przedsięwziętych po doświadczeniach z Klubem Diabelskim.

Mężczyźni postawili trumnę ze zwłokami hrabiego i wycofali się ku ławce stojącej pod balkonem. Grey nie był ani trochę zdziwiony, gdy ujrzał Frasera siedzącego samotnie na jednym końcu; pozostali, jakby bezwiednie, skupili się razem, byle najdalej od niego.

Pastor odchrząknął ze złowieszczym chrypieniem, wierni wstali z miejsc, mamrocząc pod nosem, po czym zaczęło się nabożeństwo. Grey nie słyszał ani słowa, a wypowiedane przez niego były mechaniczne.

Czy mógł mieć rację? Wciąż powracał do tej sprawy dręczony niepewnością. Z jednej strony myśl, która naszała go w ciemności kaplicy, wydawała się nedorzeczną. Niezaprzeczalne urojenie zrodzone z żalu, zmęczenia i szoku. Z drugiej zaś strony... zachowanie lady Dunsany. Naznaczone głębokim smutkiem, bez wątpienia, ale smutkiem skrywającym żelazną determinację. Determinację, by zostawić przeszłość za sobą i wychować wnuka? Czy determinację, by dopuścić się śmiałego oszustwa i go chronić.

I lord Dunsany, obiekt własnego potępienia – i potępienia żony. Za zaaranżowanie małżeństwa z Ellesmere'em, jak mówił... ale też za to, że pozwolił Genevie na zbyt dużo swobody. Co powiedział, u diabła, mamrocząc po pijanemu? Coś o koniu, o długich godzinach spędzanych na przemierzaniu okolic, samotnie, w siodle. Nie samotnie, to pewne. W towarzystwie stajennego – odezwał się jakiś cyniczny głos w jego głowie.

No i był sam stajenny i to niezwykle spotkanie w środku nocy. Choć Grey nie zmrużył oka, zdarzenie wydawało się wytworem jakiegoś snu. Odwrócił się rozmyślnie i popatrzył na Frasera. Twarz Szkota niczego nie wyrażała. Może spoglądał na niego. Albo na coś, co znajdowało się niedosiężnie daleko.

Isobel siedziała obok Greya; jej mała, zimna, okryta czarną rękawiczką dłoń spoczywała w jego ręce, szukając wsparcia. Dziewczyna już nie płakała. Podejrzywał, że przekroczyła granicę, poza którą nie była do tego zdolna.

Nikt z rodziny Dunsanych nawet nie popatrzył w stronę Frasera, ale większość zgromadzonych gapiała się nań otwarcie, inni rzucali ukradkowe spojrzenia, podczas gdy on siedział na ławce, wyprostowany niczym świeca przy katafalku.

Tak, stanowiło to jakiś dowód. Ale to, co wiedział o Jamesie Fraserze, też było dowodem i uznał za rzecz niewiarygodną, by Fraser mógł uwieść albo rzeczywiście uwiódł młodą dziewczynę bez względu na okoliczności. A co dopiero córkę swego pracodawcy.

Utkwił wzrok w dwóch trumnach przy ołtarzu, identycznych pod białym przykryciem. Tak tragicznych, tak... nieodparcie małżeńskich.

Tak, i znałeś też cholernie dobrze Genewę, pomyślał.

Deszcz przerodził się w śnieg. Nie przetrwałby długo, zważywszy na wilgotną glebę, lecz wiatr ciskał nim w okna – kanonady twardych, suchych kulek uderzających w szyby niczym śrut.

Płatki za płatkami, nawarstwiające się cicho w zaspę, która przywodziła na myśl nieuchronność – ale, jak upomniął się w myślach, mogła równie dobrze stanowić iluzję. Był zamroczony z braku snu, a okna przyciemnione śniegiem pograżały kościół w żalobnym mroku. Spędził godziny przed świtem w lodowatej kaplicy, gdzie obserwował migotanie płomieni świec i rozmyślał.

Czy niemożność uwierzenia wynikała z jego dumy, z poczucia winy? Nie tylko z wiary w honor Jamiego Frasera, nie tylko z głębokiego przekonania, że nie może się tak bardzo mylić co do tego człowieka, lecz też ze świadomości, że gdyby była to prawda, on sam ponosiłby znaczną część winy. Wprowadził Frasera do domostwa państwa Dunsanych, ręką za niego własnym honorem.

Nie jadł tego ranka, bo był zbyt przemarznięty i wyczerpany po tym czuwaniu w kaplicy.

„Z głębokości wołam do ciebie, Jahwe, o Panie, słuchaj głosu mego”.

Fraser zamknął oczy całkiem niespodziewanie, jakby nie mogąc znieść tego, co widzi. Co widział? – zastanawiał się Grey. Twarz Szkota pozostawała niewzruszona jak granit, zobaczył jednak, że wielkie dłonie zaciskają się, gniotąc materiał bryczesów i ciało, a palce wbijają się tak mocno w mięśnie uda, że musiały zostawiać sińce.

Czy to Genewę opłakiwał? Czy też swoją zmarłą żonę? Kłopot z pogrzebami polegał na tym, że przypominały człowiekowi o jego stracie. Grey nie widział pogrzebu ojca, a jednak nie potrafił przetrwać jakiegokolwiek pochówku, nie myśląc o rodzicielu; ta rana zabiłniała się wraz z upływem lat, ale zawsze otwierała się na nowo.

I gdybym kiedykolwiek ujrzał człowieka krwawiącego wewnątrz... pomyślał, obserwując Frasera.

„Obdarz odwagą i wiarą tych, którzy są osieroceni, by mieli siłę stawić czoło nadchodzącym dniom w pociesze rozsądnej i świętej nadziei, w radosnym oczekiwaniu wiecznego życia z tymi, których miłują”.

No cóż, owo oczekiwanie przyniosłoby bez wątpienia pociechę. Osobiście nie był co do tego przekonany – żywił jedynie coś na kształt złudnej nadziei. Miał jednak coś innego, co dawało mu oparcie w tej mgle żalu i niezdecydowania. Pewność, że otrzyma przynajmniej jedną odpowiedź od Jamiego Frasera. Może nawet dwie.

*

Wybiła dopiero czwarta, ale słońce zaszło, pozostawiając pasmo bladej światła nad pokrytymi wrzosowiskiem wzgórzami. Temperatura spadła, a śnieg

zgestniał. Już teraz najwyższe skały były obramowane bielą, a duże, mokre płatki śniegu spadały na płaszcz Greya i przywierały do jego włosów i rzęs, kiedy zmierzał w stronę stajni.

Widział dwóch pozostałych stajennych, którzy pomagali przyprowadzić konie i zaprząć je z myślą o gościach wyjeżdżających po pogrzebie jeszcze tego dnia, ale nigdzie nie dostrzegł śladu Frasera. Nie było w tym nic dziwnego. Lord Dunsany wolał, by „MacKenzie” pozostał niewidoczny, gdy pojawiała się jakieś towarzystwo. Jego potężna sylwetka, wygląd i ponad wszystko szkocka mowa budziły w niektórych ludziach niepokój. Grey usłyszał kilka komentarzy na temat wysokiego, rudowłosego służącego, który niósł trumnę Ellesmere’a, ale nie wszyscy zdawali sobie sprawę, że to raczej służący Dunsany’ego, nie zaś hrabiego Ellesmere’a – nieliczni natomiast, o ile wiedział, uświadamiali sobie, że człowiek ten jest Szkotem, a co dopiero ułaskawionym jakobitą.

Zgodnie z oczekiwaniem znalazł Frasera w stajni karmiącego konie uwiązane w boksach.

– Mogę z panem porozmawiać, panie Fraser?

Szkot się nie obrócił, wzruszył jednak ramieniem.

– Nie wiem, jak mógłbym pana od tego powstrzymać, majorze – odparł. Ale te słowa nie brzmiały nieprzyjaźnie, raczej wyczuwało się w nich nieufność.

– Chcę zadać panu pytanie, sir.

Obserwował uważnie twarz Frasera, pogrążoną w blasku pojedynczej lampy, i zauważył, że szerokie usta zacisnęły się odrobinę. Fraser skinął tylko głową i wbił widły w górę siana.

– Dotyczące pewnych dżentelmenów związanych ze sprawą Stuartów – wyjaśnił Grey, a Fraser popatrzył na niego z przestraszeniem, ale i z niezaprzeczalną ulgą, jak się zdawało.

– Sprawą Stuartów? – powtórzył i obrócił się do Greya plecami. Napiął barki, ponownie wbijając widły we wzgórek siana. – Jakich... dżentelmenów... ma pan na myśli, majorze?

Grey świadom mocnego bicia swego serca w piersi starał się robić wszystko, by jego głos brzmiał w miarę normalnie.

– Rozumiem, że był pan bliskim przyjacielem... – Omal nie powiedział: „Młodszego Pretendenta”, ale zapanował nad sobą i ostatecznie dodał: – Karola Stuarta.

– To... – zaczął Fraser, ale urwał niemal natychmiast. Wrzucił porcję siana do jednego ze żłobów i nabrał na widły kolejną. – Znałem go – oznajmił bezbarwnym głosem.

– I to nieźle. Czy mam też rozumieć, że zna pan nazwiska ważnych zwolenników Pretendenta w Anglii?

Fraser zerknął na niego. Jego twarz w blasku lampy wydawała się

nieprzenikniona.

– Wielu – oznajmił cicho. Popatrzył na widły w swoich rękach i znów wbił je w siano. – Ma to teraz jakieś znaczenie?

Z pewnością nie miało dla Frasera ani dla Hectora, ani dla żadnego z poległych pod Culloden. Ale dla ocalałych...

– Jeśli któryś z nich żyje, to sędzę, że ma dla niego znaczenie – powiedział. – Ci, którzy nie ujawnili w tamtym czasie swoich przekonań politycznych, nie chcieliby też ujawniać swoich powiązań nawet teraz.

Fraser parsknął ironicznie przez nos.

– Ach tak. Wydam ich i tym samym uzyskam od pańskiego króla ułaskawienie, jak przypuszczam?

– To także pański król – przypomniał Grey. – Możliwe, że uzyska pan ułaskawienie.

Bardziej niż możliwe. Antyjakobicka histeria w latach poprzedzających powstanie złagodniała nieco, lecz zdrada stanowiła plamę, która nie blakła z czasem; wiedział o tym aż za dobrze.

Fraser się wyprostował. Odłożył widły i popatrzył na niego, a jego oczy odznaczały się tak ciemnym błękitem, że przywodziły Greyowi na myśl kamienną posadzkę katedry – przyczernioną przez upływ czasu i dotyk stóp, niemal czarną w rozlewiskach cienia, ale dostatecznie trwałą, by przeżyć ludzi, którzy po niej stąpali.

– Gdybym był gotów prehandlować honor za życie albo za wolność, czy nie uczyniłbym tego podczas własnego procesu?

– Może wtedy nie mógł pan tego uczynić. Groziłoby panu niebezpieczeństwo ze strony tych jakobitów, którzy pozostali wtedy na wolności.

Ta próba nakłonienia Frasera spełzła na niczym. Szkot popatrzył na niego po prostu z taką miną, z jaką patrzy się na odchody na ulicznym bruku.

– Albo może uświadomił pan sobie, że informacje, jakie pan posiada, nie są na tyle wartościowe, by zdołały kogokolwiek zainteresować – zasugerował Grey, nie chcąc lub nie mogąc się poddać. Frasera zmuszono do złożenia przysięgi na wierność królowi Jerzemu, kiedy darowano mu życie po bitwie pod Culloden, ale Grey był za mądry, by to przypominać.

– Niczego takiego nie powiedziałem, majorze – odparł chłodno Fraser. – Jeśli to, co wiem, ma dla kogokolwiek wartość, to dla pana, rzekłbym.

– Dlaczego pan tak twierdzi? – Grey poczuł gwałtowne bicie serca, ale zdołał zachować ton równie obojętny jak Fraser.

– Upłynęło dwanaście lat od śmierci sprawy Stuartów – przypomniał Fraser. – Wielokrotnie byłem nachodzony przez ludzi pragnących poznać moją wiedzę na temat spraw z tym związanych. Pytali mnie podczas procesu, owszem... ale nawet wtedy nie przejawiali zainteresowania moją odpowiedzią. – Spojrzenie

ciemnoniebieskich oczu, obojętne i jednocześnie cyniczne, omiotło Greya. – Czyżby pański los przyjął tak niekorzystny obrót, że stara się go pan odmienić poprzez kości zmarłych?

– Kości... – Poniewczasie zdał sobie sprawę, że Fraser wyraził się bardziej poetycko niż dosłownie. – Nie ma to nic wspólnego z moim losem – oznajmił. – Ale co do zmarłych... tak. Nie mam żadnych względów wobec wciąż żywych jakobitów. Jeśli jacyś pozostali, niech idą do diabła albo papieża, jeśli chcą.

Czuł się jak chłopiec, którego widział kiedyś w ogrodzie zoologicznym w Paryżu; dzieciak wsuwał kij do klatki drzemącego tygrysa. Zwierzę nie zawarczało ani nie rzuciło się na kraty. Skośne oczy otwały się z wolna i spojrzały na niegrzecznego urwisa w taki sposób, że malec upuścił kijek i zastygł bez ruchu, dopóki matka go nie odciągnęła.

– Zmarli – powtórzył Fraser, wpatrując się w twarz Greya w ten niepokojący sposób. – Czego pan wobec tego oczekuje od martwych?

– Imienia. Jednego.

– Którego?

Greya ogarnęło przerażenie, które spowodowało, że stracił czucie w kończynach, i przyprawiło o suchość w ustach. A jednak musiał o to poprosić.

– Grey – powiedział chrapliwie. – Gerard Grey. Książę. Książę Pardloe. Czy był... – Zabrakło mu w ustach śliny. Próbował na próżno przełknąć.

Wzrok Frasera nabrał ostrości; ciemnoniebieskie przymrużone oczy błyszczały w przyćmionym świetle.

– Książę – powtórzył. – Pański ojciec?

Grey mógł tylko skinąć głową, pogardzając sobą za słabość.

Fraser coś mruknął. Nie sposób było się zorientować, czy zdradzał zaskoczenie, czy może satysfakcję. Zastanawiał się przez chwilę z zamkniętymi oczami, potem pokręcił głową.

– Nie.

– Nie powie mi pan?

Teraz to Grey był zaskoczony; Fraser popatrzył na niego, jakby nie rozumiał.

– Chodzi mi o to, że odpowiedź brzmi: nie. Nigdy nie widziałem tego nazwiska na piśmie pośród nazwisk zwolenników króla Jakuba ani też nie słyszałem, by ktokolwiek je wymawiał.

Przyglądał się Greyowi z wyraźnym zainteresowaniem – i nic dziwnego, pomyślał Grey. Dostrzegał pytania w oczach Szkota, wiedział jednak, że pozostaną niewypowiedziane, tak jak jego pytanie dotyczące Genevy Dunsany.

Sam odczuwał coś pośredniego między ogromną ulgą i druzgocącym rozczarowaniem. Przygotowywał się na najgorsze, a natrafił jedynie na ścianę. Pragnął bardziej Frasera przycisnąć, ale nie miałyby to sensu. Kimkolwiek ten człowiek był, Grey nie żywił najmniejszych wątpliwości, że jest uczciwy. Mógł

odmówić odpowiedzi na pytanie, ale jej udzielił, Grey zaś został zmuszony wziąć ją za dobrą monetę.

To, że owa odpowiedź wciąż zostawiała pole do domysłów... Może Fraser nie był dostatecznie blisko wewnętrznych kręgów sprawy jakobickiej, by zdradzono mu tak ważne nazwisko... A może ksiązę zmarł, jeszcze nim Fraser przyłączył się do jakobitów... A może sam ksiązę był na tyle przewidujący, by ukrywać się skutecznie przed wszystkimi, z wyjątkiem samych Stuartów...

– Dwór Stuartów jest dziurawy jak sito, majorze. – Z cienia dobiegł spokojny głos. Fraser znów się odwrócił, podejmując swoją robotę. – Jeśli pański ojciec miał jakiegokolwiek powiązania ze Stuartami i pozostał nieznany... to był bardzo przebiegłym człowiekiem.

– Tak – odparł pośpiesznie Grey. – Owszem. Dziękuję, panie Fraser.

Jedyną odpowiedzią był szelest siana, więc wyszedł ze stajni, żegnany rzeniem koni i pozbawionym melodii gwizdaniem Frasera. Świat na zewnątrz przemienił się w miękką, pozbawioną konturów biel.

*

Fakt, że Fraser odpowiedział jednak na jego pytanie, potwierdził podejrzenia Greya dotyczące Genevy. Nie padło ani słowo o spotkaniu w kaplicy, ale to wspomnienie było między nimi obecne. Honor nie pozwolił mu o nim nadmienić; nie chciał, by zostało potraktowane jako groźba – ale groźba się pojawiła. Gdyby ją niedwuznacznie wyraził, Fraser, kierując się własnym honorem – i usposobieniem – też rzuciłby groźbę w twarz Greyowi, odmawiając uparcie wyjawienia czegokolwiek i prowokując go do działania.

Grey coś jednak zyskał. Nie był to dowód: ani potwierdzający związek Frasera z Genewą, ani świadczący o niewinności jego ojca – ale z pewnością miał się nad czym zastanawiać.

Rozmyślał nad tym i choć przed wyjazdem nie zobaczył ponownie Frasera, te rozważania kazały mu zaspokoić ciekawość w jeszcze jednej kwestii.

– Czy mogę, nim wyjadę, złożyć wyrazy szacunku nowemu hrabiemu? – spytał, mając nadzieję, że zostanie to potraktowane jako żart.

Lady Dunsany sprawiała wrażenie zaskoczonej, ale Isobel oczywiście nie znalazła niczego osobliwego w jego prośbie, zakładając, że w sposób całkowicie naturalny świat podziela jej podziw dla nowego siostrzeńca, i uszczęśliwiona zaprowadziła Greya do pokoju dzieciennego.

Słońce świeciło – blade i rozwodnione jak to w zimie – a pokój sprawiał wrażenie cichego i spokojnego. W salce do nauki zasłony zwisały nieruchomo, Isobel zaś nie spozjrzała na okno, przy którym pokazał jej, jak rozbijając przedmioty.

Dziewiąty hrabia Ellesmere leżał w koszyku, opatulony po brodę kocykami, wełniana czapeczka zakrywała mu uszka. Dziecko nie spało jednakże.

Z rozmysłem wsunęło piąstkę w usta, wbijając spojrzenie okrągłych oczek w Greya lub może w sufit; trudno było powiedzieć.

– Mogę?

Nie czekając na zgodę niani, wziął dziecko ostrożnie na ręce. Wydało mu się dość ciężkie, o czym oznajmił, co z kolei skłoniło zarówno Isobel, jak nianię do zachwyty nad apetytem dziecka, pojemnością żołądka i wieloma innymi, dość nieprzyjemnymi szczegółami, o których na dobrą sprawę nie wypada mówić, jak uważał Grey.

Mimo wszystko pozwolił im trajkotać, wtrącając czasem „aha?”, co miało sugerować zainteresowanie, i spoglądał ukradkiem w twarz dziecka. Przypominała pudding, trochę mokry i lśniący. Oczy wydawały się niebieskie, jednakże jego kuzynka Olivia wyjaśniła mu, że wszystkie dzieci mają po urodzeniu oczy o tej barwie. Inne cechy oblicza jawiły się w najlepszym razie jako nieistotne.

Wełniana czapeczka miała tasiemki zawiązane pod szyją dziecka, on zaś poruszył je kciukiem, sądząc, że uda mu się przeciągnąć je przez brodę i tym samym odsłonić na chwilę główkę.

Zirykowało to jednakże malucha. Skrzywił się, zaczerwienił i wydał z siebie przenikliwy wrzask, który sprawił, że niania Elspeth wzięła go czym prędzej z rąk Greya i posłała mu spojrzenie pełne dezaprobaty. Potem poklepała uspokajająco maleńkie plecki.

– Zastanawiałem się tylko... czy ma choć odrobinę włosów? – wyjaśnił Grey w przyływie desperacji.

W postawie kobiet nastąpiła natychmiastowa zmiana; przeszły od wyrzutów do skwapliwości, rywalizując ze sobą o to, która z nich ma zdjąć dziecku czapeczkę i zademonstrować zalety jego główki.

Dziecko, jak się okazało, miało włosy. Miękki ciemnowy puszek biegnący wzdłuż środka czaszki niczym pasek na grzbiecie kozła czarownic.

– Mogę?

Niana najwyraźniej wolałaby oddać dziecko mordercy skazanemu za zabójstwo siekierą, ale gdy Isobel skinęła zachęcająco głową, kobieta ponownie, aczkolwiek z niechęcią, przekazała maleńką istotę pod wątpliwą opiekę Greya.

Przytrzymał mocno dziecko, wydając przez zęby ciche gwizdzące dźwięki, które działały zazwyczaj na obce psy. Zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, kołysząc małego delikatnie i obracając nim niepostrzeżenie, by światło padało z tyłu.

Pomyślał, że włosy mają rudawy odcień – nie mógłby jednak przysiąc, że tak właśnie jest.

– Czyż nie jest uroczy? – Isobel pogłaskała z miłością cieniutkie pasemko na główce. – Sądzę, że będzie podobny do mojej siostry... Widzi pan? Ma jej włosy, jestem tego pewna.

Grey uświadomił sobie z niejakim rozczarowaniem, że Geneva rzeczywiście miała włosy o ciemnokasztanowej barwie. A więc nie mógł liczyć tu na jakiegokolwiek odpowiedzi. Zastanawiał się właśnie, jak oddać dziecko kobietom w sposób w miarę grzeczny, gdy chłopiec sam rozwiązał ten problem, bekając głośno i ochlapując ramię Greya sporą ilością częściowo przetrawionego mleka.

– Czy patrząc na niego, nie ma pan od razu ochoty ożenić się i mieć własnego syna? – spytała Isobel, poklepując z czułością plecy dziecka, podczas gdy niania z wielką niechęcią wycierała kompromitującą substancję z odzienia Greya.

– Wierzę głęboko, że potrafię zapanować nad swoją niecierpliwością pod tym względem – oznajmił, a obie kobiety wybuchnęły śmiechem, jakby udał mu się jakiś wyrafinowany żart.

– Och, proszę spojrzeć! – Isobel utkwiała w niemowlęciu pełen radości wzrok. – Uśmiecha się, lordzie Johnie. Lubi pana!

– No cóż, właściwie... – zaczęła niania, przyglądając się w zamyśleniu małej twarzyczce, która szybko szczerwieniała. – Wydaje mi się...

– O Boże! – rzuciła Isobel, kiedy powietrze wypełnił osobliwy zapach, słodki, ale i odrażający.

– Myślę, że sympatia jest wzajemna – oświadczył grzecznie Grey i skłonił się niemowlęciu. – Pański sługa, sir.

Dopiero gdy byli wraz z Tomem w połowie drogi do Londynu, uświadomił sobie, że ani razu nie przyszło mu do głowy spytać o imię dziecka.

Część III
Konflikt lojalności

Rozdział 9

Nieprzystojne czyny

Grey powrócił z przytłaczającej ciszy wzgórz do Londynu, gdzie panowało zamieszanie.

Jak przewidywał Hal, gazety dowiedziały się o powiązaniach francuskiej rodziny Ffoulkesa i ujawniły pogłoski o kompromitującym spisku. Żona Ffoulkesa uciekła z kraju i prawdopodobnie przebywała we Francji; inny spiskowiec, prawnik o nazwisku Jeffords, został aresztowany i miał być sądzony wraz z kapitanem Batesem i Harrisonem Otwayem pod różnorodnymi zarzutami: począwszy od lubieżności, a skończywszy na pederastii, spiskowaniu w celu dokonywania nieobyczajnych czynów i, jak należało mniemać, zgładzeniu różnych sędziów i ministrów – przypuszczalnie tych, którzy najgłośniej mówili o konieczności wyplenienia owej odrażającej rozpusty.

– Nie ma tu oskarżeń o zdradę – zwrócił się Grey. Zmiał stronicę gazety z rysunkiem przedstawiającym dwóch spośród spiskowców w trakcie jednego z owych nieprzystojnych czynów i wrzucił ją do kominka w gabinecie Hala. – Tak jak podejrzewałeś.

Hal wzruszył z niechęcią ramionami.

– Nie trzeba jasnowidza, by wiedzieć, że Bernard Adams i jemu podobni wolą jakiś zgrabny spisek zbrojeńców, który oburza opinię publiczną, niż przerażające wieści o bandzie zdrajców, którzy omal nie poderżnęli Adamsowi gardła i zdołali przekazać swojemu mocodawcy we Francji mnóstwo istotnych informacji. Nie wspominając już o piętnastu tysiącach funtów, choć pozwalam sobie wątpić, czy wszystkie te pieniądze trafiły do Francji.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Jest to utrzymywane w tajemnicy, ale Bates wysłał list do Adamsa, niebudzący żadnych podejrzeń, i nakłonił go do spotkania sam na sam na dziedzińcu jakiejś tawerny w Lambeth, twierdząc, że ma coś istotnego do przekazania. Adams tam poszedł, skończony głupiec, i uniknął śmierci tylko dlatego, że Bates poślizgnął się na grudzie błota, więc zdążył wezwać pomoc. Adams odniósł ranę, Bates zaś uciekł, ma się rozumieć, ale go schwytano – wszystko wskazuje na to, że próbował zbiec do Irlandii.

– Nic dziwnego. O ile się orientuję, ma irlandzką kochankę.

Hal popatrzył na niego zdziwiony.

– Tak? Skąd wiesz?

Uświadamiając sobie, że byłoby rzeczą nierozsądną ujawniać treść rozmowy

z Minnie, Grey tylko wzruszył ramionami, jakby chodziło o powszechnie znaną plotkę.

– Kto ci o tym wszystkim powiedział? – spytał Grey.

– Harry. Pewnie dowiedział się od swego brata przyrodniego, Joffreya.

– Prędeż od lady Joffrey – zauważył Grey, a Hal skinął potwierdzająco głową.

Usłyszawszy jakiś zgrzyt, Grey obrócił gwałtownie głowę. W narożniku pokoju stał duży drewniany kredens, który, jak dotąd sądził, stanowił część bezowocnych wysiłków pana Beasleya, mających na celu zaprowadzenie jakiegoś takiego porządku w gabinecie Hala. Drzwi owego mebla rozwarły się z wolna, ujawniając w środku jakąś postać. Grey chwycił sztylet, wydając stłumiony krzyk.

– Wszystko w porządku. – Hal wciąż był naburmuszony, ale w jego głosie pobrzmiwała nutka rozbawienia. – To tylko robot.

Do tej pory stało się to już oczywiste. Kredens skrywał we wnętrzu naturalnej wielkości figurę czy raczej jej połowę; kończyła się ona na wysokości pasa, w dolnej zaś części mebla umieszczono zapewne mechanizm, którego zgrzytanie zwróciło uwagę Greya. Zbliżywszy się, by obejrzeć dokładnie ową konstrukcję, stwierdził, że figura wykonana jest z wosku, drewna i metalu i pomalowana na jaskrawe kolory, by przypominała zgodnie z powszechnym wyobrażeniem rodowitego Hindusa – oczy w otoczce grafitu, czerwone wargi, turban.

Wyciągnął rękę i dotknął figury, po czym szybko ją cofnął, gdy z maszyny dobył się głośny brzęk. Postać nachyliła się ku niemu gwałtownie, ale jak się okazało, tylko po to, by wsunąć sztywną dłoń do słoika, który się przed nią znajdował. Kolejny brzęk i warkot, długa pauza... i figura powróciła do pierwotnej pozycji, machając ręką tak gwałtownie, że omal nie uderzyła Greya w twarz.

– Co, u licha?

– To wróżbita – wyjaśnił Hal. Tym razem nie skrywał rozbawienia.

– Widzę.

Postać trzymała w metalowych palcach złożoną karteczkę, którą Grey wziął ostrożnie i rozpostarł.

– „Największym niebezpieczeństwem może być twoja głupota” – przeczytał głośno i wrzucił karteczkę z powrotem do słoika. – Bardzo ładne. Skąd to wzięłeś, do diabła?

– Sierżant sztabowy Weems skonfiskował braciom O’Higginsom – odparł Hal. – Umieścił tutaj, w bezpiecznym miejscu, dopóki nie ustalą, komu ukradli.

– Znalezienie właściciela nie będzie chyba trudne.

Grey obszedł kredens, oglądając go dokładnie. Był poobijany i porysowany, choć wykonany bardzo starannie.

Hal wzruszył ramionami.

– Twierdzą, że wygrali figurę w kości.

– No tak. – Grey przestał się interesować robotem i znowu usiadł. – Powiedziałeś, że spiskowcy zdołali przesłać materiały do Francji?

– Adams twierdzi, że tak. Kiedy zabawiał się nad rzeką z Batesem, Otwayem i Jeffordsem, ktoś włamał się najwidoczniej do jego domu i zabrał zawartość sejfu, między innymi około piętnastu tysięcy funtów: własność Jego Królewskiej Mości, która miała być przekazana następnego dnia płatnikom dwóch pułków wyruszających do Francji. W całym tym rozgardiaszu kilku oficerów w Whitehall odkryło, że im też brakuje niektórych ważnych dokumentów – choć osobiście podejrzewam, że skorzystali z okazji, by przypisać nieścistości w swoich księgach temu tak zwanemu spiskowi.

– Dość pomysłowe jak na bandę zbrojczyków – zauważył Grey, nie kryjąc fascynacji. – Co zamierzali przypuszczalnie uczynić z tymi pieniędzmi? Urządzać za nie orgie owego odrażającego występku?

– Bóg jeden wie. W gazecie, którą ostatnio czytałem, spekulowano, że mieli zamiar wyjechać do Francji – zapewniając sobie dzięki skradzionym pieniądзом miłe powitanie – gdzie odrażające występkę kwitną na każdej ulicy.

– Odzyskano pieniądze i dokumenty?

Hal odchylił się na krześle.

– Nie. Żaden ze spiskowców nie miał przy sobie jakichkolwiek podejrzanych materiałów, kiedy ich aresztowano, nie znaleziono ich też w domu Ffoulkesa po jego samobójstwie, przeto przypuszcza się, że znajdują się obecnie we Francji, u Ludwika. – Hal skrzywił się, jakby zjadł na śniadanie coś niestrawnego. – A skoro mowa o Francji...

Grey spojrział na brata, dosłyszawszy w jego głosie nową nutę.

– Tak?

– Nie jedziemy tam.

– Co?

– Rozkazy dla pułku zostały zmienione. Przeczytaj to. – Hal wydobyl ze stosu papierzyk na biurku jakiś list i podsunął Greyowi.

Pismo było z Ministerstwa Wojny i w kilku zwięzłych liniijkach nakazywało 46 Pułkowi połączyć się z siłami Ferdynanda, księcia Brunszwiku, w Prusach.

– Żadnych wyjaśnień? – Grey popatrzył wyczekująco na brata, który odpowiedział mu gniewnym spojrzeniem.

– Nie. I nie potrzebuję ich. To cholerna robota Twelvetreesa.

Twelvetrees. Samo nazwisko budziło niepokój, brzmiało jak ostrzeżenie i po chwili Grey uświadomił sobie dlaczego.

– Nathaniel Twelvetrees? – rzucił na próbę. – Dzentelmen, z którym...

– Nathaniel Twelvetrees nie żyje, podobnie jak sprawa, do której nawiązujesz – oznajmił Hal obojętnym głosem, ale w jego oczach malowało się

niedwuznaczne ostrzeżenie. – To starszy brat. Pułkownik w Artylerii Królewskiej.

– Rozumiem.

Rzeczywiście rozumiał. Podczas gdy Hal zdołał odzyskać w jakimś stopniu honor rodziny dzięki dokonaniom militarnym z pomocą kompetentnych ludzi, oddanych służbie żołnierzy, takich jak Harry Quarry, którego ściągnął z 3 Pułku Piechoty obietnicą wyższej rangi i swobody w podejmowaniu decyzji. Inne pułki – takie jak Artyleria Królewska – szczyły się oficerami z uprzywilejowanych i szlacheckich rodzin, ale niekoniecznie mającymi jakiejkolwiek umiejętności zawodowe. Tacy ludzie nie chcieli mieć do czynienia z hańbą lorda Meltona ani jego pułkiem. W konsekwencji Hal nie mógł liczyć na przysługi i koneksje, którymi cieszyły się inne regimenty.

Najwidoczniej pułkownik Twelvetrees uważał, że kampania francuska daje większe możliwości wykazania się na polu walki, i chciał pozbawić 46 Pułk owej szansy. Z tego, co Grey wiedział o wojnie w Prusach, zapowiadała się ona na długie przedsięwzięcie, zwłaszcza że oddziały księcia – do których mieli się przyłączyć jako sojusznicy – nie odznaczały się przewagą liczebną.

Tym samym Anglicy tworzyli mniejszą część armii na froncie pruskim, a więc nie mieliby znaczącego wpływu na przebieg i prowadzenie kampanii.

– No cóż – oznajmił w końcu Grey. – Przynajmniej piwo jest tam lepsze.

Hal rozchmurzył się wreszcie i roześmiał, aczkolwiek niechętnie.

– Tak, to już coś. No i mówisz po niemiecku. Będę cię potrzebował u swego boku, żeby nic nie uszło naszej uwagi.

– Percival Wainwright też mówi po niemiecku – oznajmił Grey i poczuł, jak serce bije mu żywiej. Dotknął kieszeni surduta, gdzie w ukryciu spoczywał kosmyk włosów.

– Naprawdę? – Hal zdradzał wyraźne zainteresowanie. – Dobrze. Znajdziesz czas, żeby zająć się nim odpowiednio? Podpisał dziś rano patent. Mogę powierzyć go pieczy Wilmota albo Brabhama-Griggsa, jeśli wolisz, ale skoro wydajesz się zdecydowany...

– Nie, poradzę sobie – zapewnił brata Grey, wstając z miejsca. – Wiesz, gdzie mogę go dziś znaleźć? W koszarach?

– Nie. Jest w domu naszej matki, przymierza strój na wesele. Sam ledwie tego uniknąłem. À propos, żeby nie zapomnieć: Olivia powiedziała, że jeśli się tu zjawisz, to mam natychmiast odesłać cię do domu w tym samym celu.

– W porządku. – Odpowiadało mu to, choć żywił pewne zastrzeżenia co do gustu Olivii. – Mam nadzieję, że nie upiera się przy żółtym aksamicie?

– Nie, ale wspominała coś o kamizelkach w kolorze owocu persymony.

Grey popatrzył podejrzliwie na brata, który odwzajemnił mu się całkowicie niewinnym spojrzeniem.

– Nie rozpoznałbyś owocu persymony, nawet gdybyś na nim usiadł –

oznajmił Grey. – Ani Olivia. – Był już prawie przy drzwiach, kiedy sobie przypomniał: – Ta strona z ojcowskiego dziennika – powiedział niespodziewanie, odwracając się. – Rozmawiałeś z matką? Dowiedziałeś się czegoś więcej?

Coś błysnęło w oczach brata, ale po chwili zgasło.

– Nie – odparł Hal od niechcenia, skupiając uwagę na stosie papierów, które zalegały biurko. – Absolutnie niczego.

*

Grey nie udał się wprost do domu pomimo obecności w nim Percy'ego Wainwrighta, tylko przeszedł przez dziedziniec i ruszył na górę, żeby sprawdzić, czy Harry Quarry jest w swoim gabinecie.

Był, siedział odchyłony na krześle, najwidoczniej pogrążony w drzemce. Na wpół wyschnięte pióro przywarło do zaplamionej atramentem kartki notatnika, który leżał przed nim na biurku.

– Ćwiczysz kaligrafię, Harry? – spytał Grey spokojnie.

Quarry spojrzał na niego półprzytomnie, wyciągnął rękę i zamknął notatnik wraz z piórem.

– Nie drzyj się, bądź tak dobry – poprosił, przyciskając obie dłonie do skroni, jakby chciał powstrzymać przed ucieczką zawartość swej głowy.

– Długa noc, co? – Grey przysunął sobie taboret i wsparł się o biurko, przyglądając się uważnie przyjacielowi.

– Chyba zjadłem coś, co mi zaszkodziło – oznajmił z godnością Quarry i jakby na potwierdzenie owej teorii powstrzymał beknięcie.

– Czyżby? Jak miała na imię?

Quarry dostał gwałtownego ataku kaszlu; peruka mu się przekrzywiła, a twarz spurpurowiała.

– Ty psie – rzucił chrapliwie, klepiąc się delikatnie po piersi. – A w ogóle to czego chcesz, u diabła?

Grey zakołysał się nieznacznie na taborecie.

– Skoro pytasz... Harry, czy wiesz przypadkiem, jak umarł Nathaniel Twelvetrees?

Quarry otworzył oczy. Wciągnął w płuca powietrze i znów zakasłał. Grey czekał cierpliwie. Quarry zmarszczył czoło, wydał wargi, westchnął – i skapitulował.

– Zmarł w wyniku pojedynku stoczonego z twoim bratem. To żaden sekret. Mnóstwo ludzi wie.

– Byłeś przy tym? – spytał Grey, wychwyciwszy coś w głosie Quarry'ego.

Harry się skrzywił.

– Byłem sekundantem Meltona. Twelvetrees strzelał pierwszy, rozumiesz. Drasnął Meltona w udo, ale twój brat nie upadł. Zachwiał się nieco, to pewne, ale

zdołał wycelować i trafił Twelvetreesa w ramię. Honor ocalony i na tym powinno się skończyć, ale nikt nie wiedział, o co poszło. Tyle że w ranę Twelvetreesa wdało się zakażenie i umarł. – Harry wzruszył ramionami. – Pech. Twelvetrees twierdził jednak na łożu śmierci, że pojedynek był sprawą natury prywatnej i tak pozostało. To szlachetna rodzina. Zimna jak śmierć – dodał szczerze – ale szlachetna.

– Przypuszczam, że nie muszę pytać o przyczynę pojedynku. – Grey pod wpływem nagłego zmęczenia potarł się po twarzy. Pragnął kąpieli.

– Nie, nie musisz. Słyszałem, że widziałeś księgę zakładów u White’a?

– Kto ci powiedział?

– Och, dwudziestu albo trzydziestu ludzi jak dotąd. – Harry poprawił perukę, patrząc na Greya. – Melton nie był jednym z nich.

– Tak podejrzewam. – Grey nie próbował ukryć ostrego tonu w głosie. – Dlaczego wyzwał Twelvetreesa? Nie ulega wątpliwości, że do pojedynku doszło po zawarciu zakładu. Doktor Longstreet mi powiedział. Hal chciał bić się z Twelvetreesem i pozostałymi, ale przeważył rozsądek i zimne głowy... może ty, Harry?

Quarry uniósł brwi.

– Skąd wiesz, że twój brat wyzwał Twelvetreesa, a nie odwrotnie? – spytał Harry.

Grey wzruszył ramionami. Wybór broni musiał należeć do Twelvetreesa, bo Hal, jeśli tylko mógł, zawsze walczył ostrzem.

– Dlaczego się na to w ogóle zdecydował? Co zrobił Twelvetrees?

– Nie do mnie należy ujawnianie tego sekretu – oznajmił Quarry zdecydowanie. – Spytaj swego brata, jeśli chcesz wiedzieć.

Grey parsknął opryskliwie.

– Jest teraz w takim nastroju, że nie wydobyłbym z niego nawet nazwiska jego krawca. Powiedz mi zatem... czy mówił ci o stronicy z dziennika mego ojca?

Quarry otworzył szeroko oczy, wystraszone i przekrwione.

– O czym?

– A więc nie mówił.

Grey czuł się z tego powodu osobliwie zadowolony. Przynajmniej nie on jeden nie cieszył się zaufaniem Hala. Wstał i strzepnął płaszcz.

– No dobrze. Idę do domu. Wiesz, że Percy Wainwright wstąpił do pułku?

– Niech Bóg zlituje się nad jego duszą – powiedział Quarry z żartobliwym uśmiechem. Wyciągnął rękę i chwycił Greya za ramię. – John – powiedział głosem niespodziewanie łagodnym. – Zostaw to. Twój ojciec od dawna nie żyje.

– Dzięki, Harry – odparł Grey, i to szczerze. Uwolnił rękę z uścisku Quarry’ego i poklepał przyjaciela po dłoni. – Ale ja jestem żywy – wyszeptał i wyszedł.

*

Grey zostawił konia w stajni przy koszarach i ruszył w stronę Jermyn Street na piechotę, by pozbyć się sztywności wywołanej siedzeniem w siodle i dać wypocząć umysłowi. Jeśli Hal sądził, że może się go pozbyć jak dokuczliwego owada, to się mylił. Jednakże Hal nie wspomniał Harry'emu o stronicy dziennika, więc jego brat nie tylko przed nim skrywał sekrety. Harry służył w pułku od niespełna roku – przeszedł z 3 Pułku Piechoty – i był jednym z najstarszych przyjaciół Hala.

A pobyt w Niemczech by mu sprzyjał, zatem z zadowoleniem przyjął zmianę rozkazów. Greyowi podobało się w Niemczech wiele rzeczy – między innymi piwo – i miał licznych przyjaciół pośród Prusaków i ich sprzymierzeńców. A biorąc pod uwagę, że Percy Wainwright mówił po niemiecku... Myśl o tym młodzieńcu przywróciła mu dobry humor, więc idąc ulicą, pogwizdywał, także potem, przy bramie matczynego domu.

Zastał Percy'ego Wainwrighta w towarzystwie Olivii, krawcowej, jej pomocnicy i pokojówki. Wszystkie były rozbawione przymiarką stroju, która nie przebiegała zgodnie z oczekiwaniami.

Pierwsze jednakże, co rzuciło mu się w oczy, to były pośladki Percy'ego, okryte płóciennymi kalesonami i wystawione na ogólny widok, kiedy młodzieniec schylił się, by dotknąć stóp. Pozbawiony na razie rękawów surduta mocno opinał jego sylwetkę.

– Widzicie – mówił właśnie Percy, a kobiety, ujrawszy Greya w drzwiach, parsknęły śmiechem.

– No cóż, widzę – odezwał się Grey, starając się zapanować nad rozbawieniem, co mu się nie udało, gdy Percy wyprostował się gwałtownie i obrócił na pięcie, wybałuszając przy tym oczy. Grey uklonił się z dłonią na sercu.

– Pański sługa, sir.

– Obawiam się, że wykorzystał pan sytuację, sir – odparł Percy z udawaną godnością, po czym porwał z kanapy niekompletne jeszcze bryczesy z kremowego jedwabiu i okrył nimi lędźwie.

Gdybyśmy byli sami, z pewnością bym to uczynił, pomyślał Grey i uśmiechnął się znacząco. Percy uchwycił tę sugestię, a jego policzki, i tak już zarumienione, pokryły się intensywniejszą czerwienią. Spojrzał na Greya ukradkiem i w jego oczach pojawił się błysk zastanowienia – i akceptacji – nim przyłączył się do ogólnego chóru wesołości.

– Johnny! Jakże się pospieszyłeś! Sądziłam, że zjawisz się dopiero na herbacie. – Olivia podeszła do niego i wspięła się na palce, by zmagając się z wydatnym brzuchem, pocałować go w policzek. – Przymierz ten surduta. Może na ciebie będzie lepiej pasował.

Poczuł, jak się czerwieni na myśl o tym, że się rozbierze publicznie – nawet

częściowo – w obecności Percy’ego Wainwrighta, ale ten uśmiechał się rozbawiony, dostrzegając jego zakłopotanie, więc pozwolił zdjąć z siebie kurtkę od munduru i kamizelkę, choć zachował koszulę i bryczesy. Dojrzał kątem oka Percy’ego z odsłoniętymi nogami, w kalesonach jedynie, nim ten okrył się banyanem, który Olivia przemyciła bez wątplenia z jego pokoju.

Grey obrócił się pospiesznie plecami, wsuwając rękę tam, gdzie jak przypuszczał, ma się znajdować rękaw surduta, który przytrzymała krawcowa. Był to gruby aksamit ciemnognatowego koloru, wciąż utrzymujący w sobie ciepło ciała Percy’ego. Zagryzł policzek i poczuł smak krwi.

Krawcowa, sama zaczerwieniona i roześmiana, ale nadal skupiona na swych obowiązkach, krążyła wokół niego z kredą i miarą w oku, każąc mu podnosić i opuszczać ręce, obracać się to w jedną, to w drugą stronę. Pocąc się nieznacznie, pochylił się na jej polecenie, przypominając sobie zbyt późno, że ma na sobie poplamione skórzane bryczesy do jazdy konnej.

Nastąpił kolejny wybuch wesołości, tym razem jego kosztem, ale nie przejmował się zbytnio. Ogarnął go na chwilę niepokój, kiedy krawcowa uklękała, żeby poprawić szew w pasie, ale tylko się zarumieniła i spuściła skromnie wzrok, a jej wstydlivy uśmiech dowodził niezbicie, że reakcję jego ciała uważa za osobisty komplement. Była młodą przystojną kobietą i już wcześniej zapewne spotykała się z czymś podobnym.

Percy Wainwright wiedział, na czym ów komplement polega. Śmiał się wraz z dziewczynami, żartując i rzucając zabawne uwagi, ale bezustannie powracał pełnym ciekawości spojrzeniem ku Greyowi. Zdjął perukę i w pewnym momencie przesunął od niechcienia dłonią po krótko przyciętych włosach, jakby chciał przyglądać ciemne kosmyki, i zerknął na Greya.

A więc dostałeś przesyłkę? – pytały jego uniesione brwi.

Grey odpowiedział tym samym.

Percy uśmiechnął się do niego, ale odwrócił wzrok o jedną chwilę za szybko, i gdy Grey popatrywał na niego od czasu do czasu, widział, że młodzieniec jest bezustannie zajęty rozmową z Olivią, pokojówką albo Tomem, który zjawił się z opóźnieniem i wyrażał głośno zażenowanie z powodu bryczesów swego pana.

Co oznaczała ta sytuacja? – zastanawiał się Grey. Nie mylił się co do wzajemnej fascynacji. I podczas ich wcześniejszych rozmów nie dostrzegł niczego, co by świadczyło o beztrosce i frywolności Percy’ego. Może chodziło jedynie o ostrożność, mówił sobie – by nikt nie zauważył, co się między nimi dzieje.

Gdy już ubrali się w swe zwykłe stroje, a krawcowa i jej pomocnica oddaliły się z naręczami granatowego aksamitu, miał okazję spotkać się z Percym w drzwiach salonu.

– Melton powiedział mi, że mam honor zapoznać cię ze sprawami pułku, twymi obowiązkami i podobnymi kwestiami. Jeśli masz czas dzisiaj po

południu...?

Po raz pierwszy żałował, że zamieszkał u matki, choć kwatery oficerskie w koszarach nie byłyby wiele lepsze. Jak daleko stąd znajdowały się prywatne pokoje Percy'ego?

– Pragnąłbym tego z całej duszy – zapewnił Percy. – Niestety, jestem już umówiony. – Żal w jego głosie wydawał się szczery, ale Grey mimo wszystko odczuł te słowa jak cios.

– Może więc jutro... – zaczął i dostrzegł, że Percy krzywi się przepraszająco.

– To moje spotkanie... jest w Bath – wyjaśnił pospiesznie. – Nie będzie mnie dwa, trzy dni. Na dobrą sprawę powinienem był wyjechać tego ranka – spóźnię się znacznie – tyle że żywiłem nadzieję ujrzenia cię przed wyjazdem – dodał cicho, patrząc Greyowi prosto w oczy, ten zaś poczuł, jak rozczarowanie nieco ustępuje.

Bath... akurat, pomyślał. Jednakże młody człowiek miał niezbywalne prawo do prywatności, jeśli nie chciał wyznać, z kim jest umówiony. Percy nic nie był mu winien... na razie.

– Odszukaj mnie zatem po swym powrocie – rzekł i klepnął Percy'ego w ramię. – Bezpiecznej podróży. – Potem odwrócił się i udał na poszukiwanie własnej prywatności, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 10

Salle des armes

Grey zjawił się wieczorem i odkrył, że matka już powróciła ze swej wyprawy. Udał się do jej buduaru, by złożyć wyrazy szacunku, i zastał ją w pogodnym nastroju, choć nieco bladą po podróży, dostrzegł też świadczące o trosce zmarszczki wokół oczu. Uznał, że ich źródłem są nadmierne ambicje Olivii jako ślubnej aranżerki.

Postanowił zatem trochę ją rozerwać opowieścią o popołudniowej przymiarce, poświęcając szlachetnie swoją godność i nadmieniając o poplamionych spodniach i kalesonach Percy'ego.

– Och, mój Boże, mój Boże... biedny Tom! – Hrabina parsknęła cicho. – Traktuje swoją rolę bardzo poważnie, niech niebiosa ulitują się nad biednym młodzieńcem. Sądzę, że ma z tobą krzyż pański.

– Tak, żywił głęboką nadzieję, że Percy Wainwright to dandys... Można było dostrzec, że widzi oczami wyobraźni haftowane kamizelki i jedwabne pończochy, ale musiałem sprowadzić go na ziemię.

Hrabina odpowiedziała na to uśmiechem, po czym spytała poważnym głosem:

– Lubisz Percy'ego Wainwrighta?

– Tak – odparł zdziwiony jej pytaniem. – Owszem, czujemy się dobrze w swoim towarzystwie. Wspólne zainteresowania i temu podobne. – Miał nadzieję, że jego twarz nie zdradza, jak bardzo owe zainteresowania są wspólne. Odchrząknął. – Lubię też generała, matko. I to bardzo.

– Och, naprawdę? – Jej twarz złagodniała. – Cieszę się, Johnie. To wspaniały człowiek. I taki serdeczny. – Zacisnęła wargi, choć na jej twarzy wciąż malowało się rozbawienie. – Nie jestem jednak pewna, czy twój brat darzy go podobną sympatią. No cóż, Hal zawsze jest podejrzliwy, biedny chłopiec. Naprawdę wydaje mi się czasem, że nie ufa nikomu, z wyjątkiem siebie i swojej żony. No i oczywiście Harry'ego Quarry'ego.

Wzmianka o bracie coś mu przypomniała. W niemałym zamieszaniu wywołanym powrotem z Helwater, przygotowaniem do ślubu i nowymi rozkazami dla pułku po prostu zapomniał o tym na chwilę. Ale żywił przekonanie, że Hal znalazł dość czasu, żeby z matką porozmawiać.

– Czy Hal wspominał ci o stronicy z ojcowskiego dziennika, o tej, którą odkryliśmy w jego gabinecie?

Jeśli wydawała mu się wcześniej trochę blada, to się mylił. Widywał ją bladą

ze zmęczenia i białą z wściekłości. Teraz jednak krew odpłynęła z jej twarzy, a strach malujący się w oczach był aż nadto widoczny.

– Wspominał? – powtórzył, siląc się na obojętny ton. – Zastanawiałem się, czy i ty nie masz jednej stronicy. Może ci ją przesłano?

Spojrzała na niego z zawziętością.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Chodzi mi o to, w jaki sposób mówiłaś o Jamesie Fraserze, kiedy wyjeżdżałem do Helwater – odparł szczerze. – Coś musiało cię nagle bardzo wzburzyć, skoro okazałaś takie zainteresowanie tym człowiekiem. Wiesz o nim od lat, ale skoro ta wiedza sprowadza się wyłącznie do tego, że był kiedyś znanym jakobitą... – przerwał taktownie, ale nic nie odpowiedziała. Jej oczy wciąż płonęły niczym roztopione szkło, ale nie patrzyła na niego, tylko na coś, co znajdowało się daleko poza nim.

– Tak – przyznała w końcu stłumionym głosem. Po chwili zamrugła i znów obróciła na niego wzrok. Jej oczy spoglądały bystro, ale wcześniejszy płomień już przygasł. – Twój ojciec zawsze mówił, że jesteś mądrzejszy od brata. – Nie zabrzmiało to jak komplement. – A co do „był kiedyś znanym jakobitą”, nie ma mowy o żadnym „był”, Johnie. Wierz mi. Jeśli ktoś był kiedyś papistą, pozostanie nim na zawsze.

Powstrzymał się od uwagi, że „papistą” i „jakobitą” to nie to samo. Kiedy pojawiała się polityka, rozsądek znikał. Podczas gdy większość papistów rzeczywiście wspierała sprawę Stuartów, wielu protestantów też tak czyniło: albo w imię oportunistów, albo ze szczerego przekonania, że Jakub Stuart jest namaszczonego przez Boga władcą Wielkiej Brytanii bez względu na wyznanie.

– Zatem dostałaś kartkę z dziennika? – Było to raczej pytanie niż stwierdzenie. – Mogę ją zobaczyć?

– Spaliłam ją.

– Dlaczego? – warknął, a ona znów zamrugła przestraszona. Potem ważyła najwidoczniej słowa, przyglądając mu się z uwagą.

– Dlatego, że nie zamierzałam jej zachowywać – oznajmiła obojętnie. – Znasz takie powiedzenie: Niech przeszłość grzebie swych zmarłych? Przeszłość to przeszłość, a ja nie chcę trzymać się kurczowo jej resztek.

Zwalczał przez chwilę chęć, by powiedzieć coś, czego by później żałował, ale nagle jego wzrok padł na miniaturę znajdującą się na toalecie. Stała tam od czasu, gdy dostała ją od Gerarda Greya, i od tamtej pory upłynęły już lata, a on sam przestał ją zauważać. Teraz jednak, kiedy znów zwrócił na nią uwagę, był poruszony tym, jak bardzo ten portret przypomina osobę, którą widzi w lustrze, kiedy się goli. Ojciec miał co prawda ciemniejszą karnację, ale poza tym... Nie dało się zapomnieć o przeszłości, nawet jeśli matka tego pragnęła.

– Doprawdy – powiedział łagodnie. – Jesteś okropną kłamczuchą. Czego się

boisz?

– Słucham? O co ci chodzi, u licha? – krzyknęła oburzona. Nieczęsto przeklinała, ale gdy już to czyniła, bawiło go to zawsze, teraz jednak stłumił uśmiech.

– Chodzi mi o to – rzekł, wskazując miniaturę – że jeśli chcesz przekonać cały świat, iż nie myślisz w ogóle o ojcu, powinnaś zabrać podobiznę z toaletki. A kiedy mówisz ludziom, że coś zniszczyłaś – dodał, wskazując głową sekretarzyk – wtedy nie powinnaś zerkać ku miejscu, w którym to ukryłaś.

Otworzyła usta, ale zamknęła je natychmiast, nie bardzo wiedząc, co rzec. Popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

– Jeśli nie chcesz tej kartki z dziennika, to ja ją wezmę – oznajmił.

– Nie – odparła bez wahania.

– Zatem zawiera coś niebezpiecznego? Pokazałaś ją Halowi? – Choć bardzo się starał, nie potrafił zapanować nad gniewem. – Nie mam już dwunastu lat, matko.

Przyglądała mu się przez długą chwilę, a na jej twarzy malował się dziwny żal.

– Wielka szkoda – odrzekła. Przygarbiła się, pochyliła głowę i odwróciła, pocierając brwi dwoma palcami. – Pomyślę o tym, Johnie – dodała. – Nic więcej nie mogę ci obiecać. A teraz zostaw mnie. Mam koszmarną migrenę.

– Kłamiesz – powtórzył, ale już bez zapalczywości. – Przyślę ci pokojówkę, dobrze?

– Tak, proszę.

Wyszedł z pokoju, ale zatrzymał się za progiem i wsunął głowę przez drzwi.

– Matko?

– Tak?

– Jeśli pragniesz kogoś przekonać, że się nie boisz, to patrz mu w oczy.

Dobranoc.

*

Jak się okazało, Percy Wainwright nigdy nie trzymał w ręku ostrza, nie wspominając już o tym, że nigdy też nie posługiwał się nim w morderczych zamiarach. By nadrobić owe szokujące braki, zgodził się po powrocie z Bath towarzyszyć Greyowi i Halowi w ich cotygodniowych ćwiczeniach. Chodziło o nabycie podstawowych umiejętności szermierczych.

Ulubiona *salle des armes* Greyów znajdowała się przy Monmouth Street – był to niewielki, obskurny budynek wciśnięty między przybytek lichwiarza i sklep handlarza tekstyliami niedaleko St. Giles, a zarządzał nim niewysoki sycylijski dżentelmen, którego sprawność w posługiwaniu się rapierem ustępowała jedynie stylowi języka.

– Nabrać ciała – oznajmił signor Berculi bez wstępów, dźgając bezceremonialnie Hala w brzuch. – Żadnych ćwiczeń, dwa tygodnie! Jakiś *pidocchio* rozprawić się z panem, wepchnąć panu rapier w tyłek.

Hal nawykły do signora Berculego zignorował jego uprzejmości i przedstawił pana Wainwrighta jako nowego członka rodziny i pułku.

Signor zaczął krążyć wokół Percy’ego, kręcąc głową i zagryzając trwożliwie palec. Młodzieniec sprawiał wrażenie nieco zaniepokojonego, ale jednocześnie patrzył na Greya rozbawiony.

– Taki stary, taki stary! – narzekał signor Berculi, stając przed Percym i stukając go krytycznie w ramię. Pomachał drobną, zrogowaciałą dłonią na Greya. – Ten tutaj trzymał ostrze w kołysce. Ty? Ba! – Splunął, pokręcił energicznie głową i się przeżegnał. – Chodź – nakazał zrezygnowany i chwycił Percy’ego za rękaw. – Robić wypad. Nie przebić sobie stopy, w porządku?

Podczas gdy Percy rozebrał się pospiesznie do koszuli i spodni i dostał pokiereszowany rapier ze stępionym czubkiem, bracia byli już odpowiednio przygotowani.

– *En garde.*

Hal od razu przyjął postawę, uginając kolana i wysuwając rapier do przodu, obrócony bokiem do Greya, z lewą ręką uniesioną zgrabnie nad głową.

– *J’ai regardé.*

Grey uderzył lekko swoim ostrzem o ostrze Hala i obaj skrzyżowali rapiery.

Signor Berculi, krążąc wokół nich i wypatrując paciorkowatymi oczami jakichś niedoskonałości formy, zawołał: *Commencez!* i bracia zaczęli ćwiczenia.

Był to przede wszystkim pokaz umiejętności. Żaden z przeciwników nie starał się uzyskać przewagi, a jedynie szukał szansy na *coupé* albo *passe avant*; krążyli wokół siebie, rozluźniając mięśnie.

Grey zauważył, że Percy przygląda mu się z zainteresowaniem, ale signor Berculi dostrzegł jego chwilowy brak koncentracji i przywołał go ostro do porządku.

Odetchnął głęboko, odurzony wonią potu, starego i świeżego, metalicznym brzękiem stali i dotykiem rękojeści na podbiciu dłoni. Uwielbiał walczyć rapierem; broń była tak lekka, że niemal traktował ją jak przedłużenie własnego ciała.

Obaj: on i Hal, byli podobni pod względem fizycznym i odznaczali się identycznym wzrostem. Hal ważył o kilka kilogramów więcej, natomiast Grey miał o jakieś dwa centymetry dłuższą rękę. Pomimo tej niezaprzeczalnej równowagi – i faktu, że Hal był znakomitym szermierzem – Grey wiedział, że jest lepszy.

Rzadko demonstrował ową wiedzę podczas ich wspólnych ćwiczeń, świadom, że Hal nienawidzi przegrywać i że wprawia go to w zły humor. Teraz jednak napierał na przeciwnika, a zerknąwszy na Percy’ego i czując łaskotanie skóry, zrozumiał, że zamierza tego dnia wygrać bez względu na konsekwencje.

– Nowe wiadomości o spiskowcach? – spytał, by wybić brata z rytmu, ale też kierowany ciekawością.

Hal sparował jego atak i sam zaatakował w *quarte*, bez powodzenia jednakże.

– W tym tygodniu stają przed sądem – odparł zwięźle.

– Nie... – wypad, kontratak, pozorowany atak w *prime*... musnął ramię Hala i uśmiechnął się – ...widziałem wzmianki w gazetach.

– Zobaczysz. – Pomrukując, Hal zrobił wypad, a Grey obrócił się bokiem w ostatniej chwili.

– Oni... – Hal zaczął dyszeć ciężko, słowa dobywały się z jego ust krótkimi parsknięciami – ...postanowili zrobić... tak jak mówiłem...

– Czyli zatuszować polityczne aspekty sprawy? – Grey wciąż oddychał bez wysiłku. – Powiedz: chrząszcz brzmi w trzcinie.

– Cesarz czesał włosy cesarzowej! Niech cię diabli wezmą!

Nastąpiła seria ataków i gwałtownych wypadów i Grey niemal poczuł, jak ostrze ociera się o jego pierś.

– Chrząszcz brzmi w trzcinie... chrząszcz brzmi w trzcinie... chrząszcz... – rzucił ze śmiechem, po czym, też zdyszany, odskoczył i zaatakował.

Wypad, wypad, pozorowane pchnięcie, krok w tył, kiedy ostrze Hala ominęło jego twarz. Hal za bardzo wychylał się do przodu... Nie, zorientował się i cofnął gwałtownie przed rapierem Greya. Wypad w *terce*, ponownie wypad w *terce*, kurz unoszący się z desek podłogi, kiedy uderzał w nią stopą.

Hal wiedział, o co mu chodzi. Grey potrafił czytać w jego myślach, wyczuwał pełną zdziwienia irytację, narastający gniew, potem nagłą zmianę, kiedy Hal opanował się i zmusił do daleko idącej ostrożności.

Grey natomiast nie miał żadnych oporów. Czuł się wspaniale, odurzony żądzą walki. Odnosił wrażenie, że jego ciało to naoliwiona lina, rozciągliwa i śliska, i ważył się na ryzykowne posunięcia, przekonany, że uda mu się umknąć przed ostrzem Hala. Dostrzegłszy kolejną możliwość ataku, rzucił się do przodu z krzykiem, a czubek rapiera trafił w udo przeciwnika i ześliznął się po materiale spodni.

– Jezu! – krzyknął Hal i zamierzył się na głowę Greya.

Ten zrobił unik, śmiejąc się przy tym, po czym wyskoczył jak diabeł z pudełka, chwytając rapier Hala, tak że stal wygięła się zniecka, a potem go puścił. Broń zadrgała w dłoni jego brata.

Posłyszał, jak Berculi przeklina po włosku, ale nie zwracał na to uwagi. Hal walczył teraz naprawdę, atakując jego rapier z zajadłością. Grey rzucił się na niego i chwycił za rękę. Zwarli się w uścisku, uzbrojone dłonie i ostrza zetknęły się ze sobą, ciała napierały jedno na drugie.

Uśmiechnął się, odsłaniając zęby, i dostrzegł iskrę w oczach brata. Był

jednak szybszy i pierwszy odskoczył; Hal przez chwilę nie mógł utrzymać równowagi. Grey wykonał perfekcyjne *passata-sotto* i czubek rapiera oparł się o gardło Hala.

– *Touché* – powiedział cicho.

Hal opuścił ręce, a skierowane ku dołowi ostrze się zakołysało. Stał przez moment, oddychając ciężko, potem skinął głową.

– *Je me rends* – oznajmił szorstko. „Poddaję się”.

Grey cofnął broń i skłonił się bratu, ale jego wzrok spoczywał na Percym. Młodzieniec już dawno przestał ćwiczyć wypady, by obserwować starcie, i stał pod ścianą; oczy miał szeroko rozwarte ze zdumienia – i podziwu, jak żywił nadzieję Grey.

Wyraźnie podekscytowany, signor Berculi zdjął gwałtownym ruchem perukę i teraz gniótł ją w dłoniach.

– Ty! – zaczął, machając peruką przed nosem Greya. – Nigdy tak nie robić! Niewłaściwie tak robić. Ty *insano!* Ale dobrze – dodał, cofając się nieznacznie i obrzucając Greya spojrzeniem od stóp do głów, jakby nigdy wcześniej go nie widział. Skinął głową, wysuwając w zamyśleniu wargi. – Bardzo dobrze.

Hal ocierał głowę i szyję ręcznikiem. Był zarumieniony, ale – o dziwo – sprawiał wrażenie bardziej rozbawionego niż zagniewanego.

– Jaki cel ci przyświecał? – spytał.

– Popisać się przed naszym nowym bratem – odparł Grey nonszalancko, machając od niechcienia w stronę Percy’ego. Otarł brodę rękawem. Był mokry; koszula i spodnie kleiły mu się do ciała, mięśnie drgały. – Spróbujemy jeszcze raz?

Hal spojrział na niego wymownie.

– Och, nie sądzę. Mam spotkanie. – Popatrzył na Percy’ego i rzucił mu rapier. – Twoja kolej, Wainwright. Trochę go zmęczyłem.

Percy rozdziawił usta, a signor Berculi parsknął ironicznym śmiechem. Młodzieniec obracał z wolna broń w dłoniach, nie odrywając wzroku od Greya.

– Naprawdę?

Grey wciąż czuł pulsowanie krwi w skroniach, ale też przyjemny dreszcz, który przebiegał mu po plecach jak bąbelki szampana unoszące się w kieliszku.

– Oczywiście, jeśli tylko chcesz. Nie musisz się obawiać – zapewnił i skłonił się nisko przed Percym, wysuwając jednocześnie rapier gestem pełnym szacunku. – Będę delikatny.

*

Godzinę później Grey i Wainwright pożegnali się z signorem Berculim i *salle des armes*, po czym ruszyli w stronę Neal’s Yard, gdzie w jednej z ulubionych restauracji Greya przyrządzano krwiste steki z pieczonymi ziemniakami i ze specjalnością lokalu: sosem grzybowym – kusząca perspektywa

dla wygłodniałego żołądka.

Grey był świadom, że niejeden apetyt został pobudzony przez niedawne ćwiczenia. Sztuka szermiercza wymagała najwyższej uwagi, jeśli chodzi o ciało przeciwnika, odczytywania jego zamiarów w zmianie pozycji, w zmrużeniu oczu, szukania słabości, które można by wykorzystać. Dostrajał się w ciągu minionej godziny do każdego oddechu Wainwrighta i wiedział doskonale, na czym polegają słabości Percy'ego i jego własne.

Krew krążyła mu przyjemnie w żyłach, wciąż rozgrzana od wysiłku. Dzień był słoneczny, a chłodny wiaterek osuszał pot i przynosił ukojenie rozgrzanej skórze. Zbliżało się kuszące popołudnie wolne od obowiązków. Miał oprowadzić Percy'ego po koszarach, magazynach, placu defiladowym i przedstawiać go napotkanym po drodze oficerom. Do diabła z tym, pomyślał. Jest dość czasu.

– Naprawdę leżałeś w kołysce z rapierem? – spytał Percy z nieznacznym uśmiechem.

– Oczywiście, że nie. Broń na nic się nie zda, jeśli jest się pozbawionym wyczucia równowagi – odparł łagodnie Grey. – Dopiero gdy osiągnąłem wiek trzech lat, ojciec uznał, że stoję pewnie na nogach.

Dostrzegł z zadowoleniem niedowierzenie w oczach Percy'ego, ale potwierdził swoje słowa gestem uniesionej dłoni.

– Naprawdę. Jeśli kiedykolwiek zawrzesz bardziej poufale stosunki z moim... z naszym bratem – sprostował z uśmiechem – to poproś go, żeby pokazał ci bliznę na lewej nodze. Hal był bardzo miły, ucząc młodszego brata posługiwania się ostrzem, ale nierozważnie dał mi do ćwiczeń swój rapier, który nie został jednak zabezpieczony, a ja przebiłem nim łydkę Hala. Krwawił obficie i kulał przez miesiąc.

Percy roześmiał się w pierwszej chwili, ale szybko spoważniał.

– To niezwykle ważne, nie sądzisz? Powiniennem wiedzieć, jak posługiwać się ostrzem. Signor Berculi uważa, że brak mi wrodzonego talentu, ja zaś muszę się z nim zgodzić.

Było to oczywiste, jednakże Grey tego nie przyznał, a jedynie uniósł dłoń.

– Zawsze jest dobrze posługiwać się biegle bronią, zwłaszcza gdy zbliża się walka, ale znam wielu oficerów, o których nie można tego powiedzieć. O wiele ważniejszą rzeczą jest zachowywać się jak oficer.

– Jak to robisz? – Percy wydawał się szczerze zainteresowany, co było pierwszym krokiem, a Grey mu wyjaśnił:

– Otaczaj swoich ludzi troską. Będą w czasie bitwy patrzeć na ciebie i w niektórych przypadkach jedynie siła twojej woli sprawi, że ruszą do walki. W tym momencie ich bezpieczeństwo nie jest ważne, tak dla nich, jak i dla ciebie. Najważniejsze, by utrzymać ich w ryzach i wspierać. Muszą być pewni, że to uczynisz. – Dostrzegając troskę w ściągniętych brwiach Percy'ego, Grey

postanowił zmienić plan na popołudnie. – Po lunchu udamy się na plac defiladowy, gdzie wyjaśnię ci ogólne zasady musztry. Należy ją ćwiczyć i wdrażać dyscyplinę, ponieważ żołnierze muszą nabrać nawyku polegania na tobie w każdej chwili i wykonywania twoich rozkazów bez wahania. A potem – dodał odrobinę nieśmiało – może zjemy kolację. Twoje lokum znajduje się niedaleko placu defiladowego, jak sądzę. Jeśli nie masz nic przeciwko temu... moglibyśmy przynieść tam trochę chleba i sera.

Twarz Percy'ego rozjaśniła się, czoło wygładziło. Uśmiechnął się.

– Bardzo bym chciał – odparł. Potem kaszlnął i zmienił temat. – O czym mówił ci Melton podczas waszego pojedynku? Coś o spisku pederastów? – W jego głosie pobrzmiwała nuta niedowierzania. – Spisku... w jakim celu?

– Och... chodzi o wywołanie skandalu, podważenie zasad moralności, uwodzenie dzieci, uprawianie sodomii z końmi... – uśmiechnął się obojętnie do starszego dżentelmena, którego mijali, a który to zauważył i teraz patrzył na Greya szeroko otwartymi oczami – ... wiesz, o co chodzi.

Percy parsknął i pociągnął go za ramię.

– Wiem – przyznał. – Nie zapominaj, że dorastałem jako metodysta.

– Nie sądziłem, że metodyści wiedzą, że coś takiego istnieje.

– Nie otwarcie, to pewne – oznajmił Percy sucho. – Ale dlaczego twój brat jest zaniepokojony tą konkretną sprawą?

– Dlatego że... – zaczął Grey i nie dokończył. Jakiś mężczyzna pchnął go bezceremonialnie, wpychając na ścianę z taką siłą, że się zachwiał. – Co, u diabła... – Przyłożył oburzony dłoń do bolącego ramienia, a potem dostrzegł wyraz twarzy napastnika i uchylił się błyskawicznie. Nie dojrzał noża, ale usłyszał chrobot ostrza o mur w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał.

Mężczyzna już otrząsnął się z zaskoczenia i teraz odwracał się ku niemu. Grey wymierzył zbirowi kopniaka, celując w kolano, ale trafił go w goleń i poczuł ból w stopie. Tamten wrzasnął i odskoczył. Grey chwycił Percy'ego za rękaw.

– Uciekaj!

Percy rzucił się biegiem przed siebie, Grey ruszył za nim. Popędzili ulicą, omijając stragany z pieczonymi kasztanami, sprzedawców pomarańczy i kobiety, które krzyczały piskliwie i rozbiegały się na boki. Słyszeli za plecami głośny tupot. Grey zerknął przez ramię i zobaczył, że ściga ich już dwóch mężczyzn; byli krzepcy i zdecydowani.

Zostawił swój rapier w *salle des armes*. Niech to diabli. Nosił jednak przy sobie sztylet i gdy skoczył w jakąś alejkę, rozpiął płaszcz i zaczął go gorączkowo wymacywać. Miał niespełna sekundę, nim pierwszy z mężczyzn wpadł za nim w uliczkę i rzucił się na niego, odsłaniając w uśmiechu szczerbate zęby. Zbir zbyt późno dostrzegł sztylet i odskoczył w bok; czubek sięgnął brzucha, rozcinając koszulę i ciało pod spodem. Grey zauważył krew i napał na przeciwnika,

wrzeszcząc i dźgając ostrzem.

Mężczyzna zatoczył się do tyłu i rozejrzył przerażony.

– Jed! – krzyknął.

Jed pojawił się natychmiast, wyskakując zza towarzysza. W rękę trzymał tarninową laskę. Wymierzył Greyowi cios w przedramię, ale tylko go musnął, potem walnął w jego dłoń. Sztylet poleciał na stos śmieci. Grey nie zamierzał go szukać.

Uchylił się przed następnym ciosem i pognął w głąb alejki, szukając jakiegoś wgłębienia albo schronienia. Na próżno.

Obaj pobiegli za nim. Nie miał czasu się zastanawiać, gdzie jest Percy. Zamajaczyła przed nim ceglana ściana jakiegoś budynku. Ślepa uliczka.

Drzwi – były drzwi. Rzucił się na nie całym ciałem, ale nie ustąpiły. Łomotał w nie, kopał, wzywał pomocy. Jego ramię chwyciła dłoń i obrócił się wraz z nią, waląc na oślep pięścią. Zbir skrzywił się i cofnął o krok, a potem zaczął go okładać jak rozsierzony niedźwiedź.

Po chwili zjawił się Jed z pałką, dysząc chrapliwie po biegu.

– Załatw go – nakazał pierwszy zbir i odsunął się, żeby zrobić drugiemu miejsce, a wtedy Jed ujął laskę obiema dłońmi i wpakował jej rączkę Greyowi w zębra.

Następny cios spadł na jego krocze i wtedy świat rozbłysnął bielą. Osunął się bezwładnie i zwinął w kłębek, ledwie świadom mokrego bruku pod twarzą. Zdawał sobie mgliście sprawę, że umrze, ale nic nie mógł na to poradzić. Na jego ciało spadały kopniaki i ciosy pięści; ledwie je wyczuwał, otoczony mgłą cierpienia.

Potem wszystko się skończyło i przez jedną chwilę błogosławionej ulgi sądził, że umarł. Oddychał jednak i stwierdził, że wciąż żyje, kiedy przeszył go ból, nagły i palący jak iskra z butelki lejdejskiej.

– To pan – odezwał się gdzieś z góry szorstki głos ze szkockim akcentem. – Tak myślałem. Bardzo pan poturbowany?

Nie potrafił odpowiedzieć. Ujęły go pod pachy wielkie dłonie i posadziły pod ścianą. Wydał z siebie cienki chrapliwy dźwięk, który miał być w zamierzeniu krzykiem, i poczuł, jak do gardła napływa mu żółć.

– Och, aż tak? – odezwał się znowu ten pełen rezygnacji głos, kiedy Grey przechylił się na bok i zwymiotował. – Tak, niech pan poczeka chwilę. Pójdę po żonę i lektykę.

*

Bardzo młody aptekarz popatrzył z uwagą na przedramię Greya i szturchnął je ostrożnie.

– Och, kiepsko, co? – oznajmił ze współczuciem, słysząc głośny syk bólu.

– W każdym razie niedobrze – odparł Grey, rozwierając z wysiłkiem zęby. –

Ale nie wydaje mi się, by była złamana.

Obracał wolno nadgarstkiem, spodziewając się w każdej chwili trzasku kości, ale wszystko poruszało się prawidłowo. Bolało, lecz mógł ruszać dłońią.

– Mówiłem, że skończyło się na siniakach. – Rab MacNab, który stał pod ścianą ze skrzyżowanymi rękami, nachylił się ku Greyowi. – Agnes nie chciała się zgodzić, ale w końcu wezwaliśmy doktora. Powiedziałem jej, że to strata pieniędzy. – Pomimo tych słów potężny lektykarz obrzucił czułym spojrzeniem swoją drobną żonę, która na niego parsknęła.

– Nie chciałam, żeby jego lordowska mość umarł pod moim przybytkiem – wyjaśniła niezwłocznie. – Szkodzi interesom, prawda? – Odsunęła aptekarza na bok i pochyliła się, by zająrzeć Greyowi w twarz. Jasnobrązowe oczy przyglądały się badawczo pokiereszowanemu obliczu, potem rozjaśnił je uśmiech. – Miał pan frajdę z przejażdżki, co?

– Jestem niezwykle zobowiązany pani mężowi, madame – odparł. Cieszył się, że został znaleziony i ocalony przez znajomego człowieka, ale to, że wrzucono go do lektyki i niesiono truchtem przez prawie dwa kilometry, było przeżyciem niemal tak koszmarnym jak obrażenia, których doznał. – Gratulacje z okazji nowego przybytku – dodał, chcąc zmienić temat. Usiadł z wysiłkiem i spuścił nogi z otomany, zmuszając tym samym młodego aptekarza – chłopak nie mógł mieć nawet piętnastu lat – by uwolnił jego rękę.

– Serdeczne dzięki – odparła Nessie, wyraźnie zadowolona.

Tak ją właśnie w myślach nazywał – Nessie – gdyż pod takim mianem ją poznał, nim z dziwki stała się damą i żoną. Poklepała się po białej chuście przytrzymującej kręcone ciemne włosy i rozejrzała z ukontentowaniem po małym salonie. Stało tu kilka rozklekotanych mebli noszących ślady znacznego zużycia, ale poza tym w pokoju było schludnie, a w solidnym mosiężnym lichtarzu paliła się porządna woskowa świeca.

– Jest mały, ale przyzwoity. Trzy dziewczyny, wszystkie czyste i chętne. Polecą nas pan swoim przyjaciółom, mam nadzieję. Ale z przyjemnością ugościmy pańskiego obecnego tu przyjaciela gratis – dodała, zwracając się z wdziękiem do Percy'ego. – Zechce pan spędzić miło czas, zanim jego lordowska mość dojdzie do siebie? Janie będzie zaraz gotowa.

Percy, który z niekłamanym zainteresowaniem nasłuchiwał odgłosów za ścianą – z niewątpliwym udziałem Janie, gdyż towarzyszący jej dżentelmen powtarzał raz za razem zdyszczanym głosem imię dziewczyny – skłonił się Nessie niezwykle szarmancko.

– Doceniam propozycję, madame. Nie chcę jednakże męczyć panny Jane nadmiernie. Musi z pewnością odpocząć.

– Ależ skąd. Może pracować dzień i noc, ta nasza Janie – zapewnił go z dumą MacNab, choć wydawał się zadowolony z grzecznej odmowy Percy'ego. –

Wobec tego się oddalę. Ale czy mam wrócić później? – spytał. – Żeby zabrać jego lordowską mość do domu, kiedy już będzie zdrów?

– Nie, nie – rzucił pospiesznie Grey. – Sądzę, że nic mi nie jest. Pan Wainwright i ja wrócimy pieszo.

Percy uniósł brwi i wszyscy w pokoju popatrzyli z powątpiewaniem na Greya, który pomyślał, że obrażenia jego twarzy są być może poważniejsze, niż sądził.

– Naprawdę powinno się panu upuścić krew, milordzie – oznajmił szczerze aptekarz. – To niebezpieczne wychodzić na zimno, zwłaszcza że jest pan ranny. Koszmarne obciążenie dla wątroby. I sińce na pańskiej twarzy... Pijawki niezwykle by pomogły, milordzie.

Grey nienawidził upuszczania krwi, a jeszcze bardziej pijawek.

– Nie, czuję się całkiem dobrze, zapewniam.

Dźwignął się z otomany i stanął chwiejnie, gdzieś w polu jego widzenia migotały jasne plamki światła. Pełne trwogi głosy obwieściły mu, że zaraz upadnie, więc wyciągnął w ostatniej chwili ręce, żeby się przytrzymać, i padł z powrotem na otomanę.

Poczuł, jak za ramiona chwytają go gorliwe dłonie i kładą na wznak. Na czoło wystąpił mu zimny pot, a czyjaś delikatna dłoń otarła je, gdy jego wzrok odzyskał ostrość.

Zauważył ku swemu zdumieniu, że to dłoń Percy'ego, a nie Nessie.

– Zostaniesz tu i dasz sobie upuścić krew jak grzeszny chłopiec – oznajmił z naciskiem Percy. Drgnął mu kącik ust, ale młodzieniec stłumił uśmiech. – Pójdę znaleźć dla nas powóz. – Wyprostował się i skłonił Nessie i MacNabowi. – Jestem wam niezwykle zobowiązany za waszą pomoc i gościnność. Pozwólcie, że zapłacę temu dżentelmenowi. – Wskazał głową aptekarza, sięgając jednocześnie do portfela.

– W porządku. – Grey zaczął szukać w swoim płaszczu, który ktoś złożył starannie i wsunął mu pod głowę. – Ja się tym zajmę.

– Pan? – MacNab był naprawdę zdumiony. – Byłem pewien, że te zbiry zwały z pańskim portfelem.

– Nie, mam go tutaj.

Rzeczywiście miał. O ile mógł się zorientować, w kieszeniach niczego nie brakowało.

– E... – Aptekarz zaczerwienił się, obrzucając umęczonym spojrzeniem Nessie. – W porządku, panowie. To znaczy... moje wynagrodzenie... to jest...

Zza ściany, tuż przy głowie Greya, dobiegł ekstatyczny krzyk.

– Obiecałam mu godzinę z Susan – wyjaśniła Nessie wyraźnie rozbawiona. – Ale jeśli jest pan gotów za nią zapłacić, wasza lordowska mość...

– Z przyjemnością. – Zdołał otworzyć portfel i wyjąć garść monet.

– Och... – dobiegło z sąsiedniej izby.

Spojrzał na aptekarza, którego twarz pokrywał teraz jasny szkarłat.

– Czy mógłbym... mieć Janie zamiast Susan?

Grey westchnął i dorzucił do monet w dłoni Nessie jeszcze florena.

Dopiero gdy się położył i pozwolił aptekarzowi podwinąć sobie rękaw, zaczął się zastanawiać. On też początkowo zakładał, że celem napaści jest rabunek. Jednak napastnicy musieli wiedzieć, że po drugim uderzeniu stracił zdolność jakiegokolwiek oporu. A przecież nie przetrząsnęli mu kieszeni i nie uciekli – okładali go, dopóki nie wystraszyło ich pojawienie się MacNaba.

Zamierzali go zamordować? Ta myśl była równie zimna jak dotyk lancetu w zgięciu łokcia. Skrzywił się, czując ukłucie ostrza, i zamknął oczy.

Nie, pomyślał nagle. Mieli nóż. Od razu go wyjęli; przypomniał sobie zgrzytliwy dźwięk metalu na ceglanej ścianie. Gdyby zamierzali go zamordować, mogliby poderżnąć mu gardło bez najmniejszego trudu. A nie uczynili tego.

Poczuł ciepło, gdy krew wezbrała i ściekła po rękę, co okazało się doznaniem niemal kojącym.

Ale jeśli chcieli go jedynie pobić... to dlaczego? Nie znał ich. Czy w zamierzeniu było... ostrzeżenie? Przed czym?

Rozdział 11

Ostrzeżenia

Bez względu na sytuację Greyowi nie przyszło do głowy zastanawiać się nad reakcją matki na jego niefortunną przygodę. Spodziewał się, że popatrzy nań ze współczuciem, zaaplikuje mocnego drinka i uda się do teatru. Nie spodziewał się natomiast tego, co zobaczył w tej chwili: że zrobi się blada jak płótno. Nie ze strachu o niego i jego zdrowie – lecz z gniewu.

– Łajdacy! – rzuciła niemal szeptem, co było u niej oznaką furii. – Jak śmieli?

– Dość łatwo, obawiam się.

Grey siedział – ostrożnie – w jej buduarze, przeglądając się w lusterku. Aptekarz nie mylił się co do skuteczności pijawek. Choć szczęka wciąż go bolała, opuchlizna znacznie zeszła, a wokół oka widać było jedynie niewyraźne zsinienie sięgające skroni. Miał rozcięcie na policzku; po szyi na fular i kołnierz koszuli spłynęła struzka krwi. W płaszczu widniało spore rozdarcie, nie mówiąc już o brudzie – pozostałości po upadku na bruk. Wiedział, że Tom też będzie niezadowolony.

– Rozpoznałeś ich? – Hrabina zaciskała przed chwilą dłonie na oparciu jego krzesła. Pierwszy szok już ustąpił, więc puściła mebel, ale jej palce zginały się konwulsyjnie, jakby chciały coś udusić. Hal odziedziczył po niej temperament.

– Nie – odparł, odkładając lusterko. – Zwykle rzezimieszki. Wszystko w porządku, matko. Nie zdołali mnie nawet obrabować. – Obciągnął rękaw surduta, by zakryć prawą rękę, która, jako że nie zostały do niej przyłożone pijawki, wyglądała znacznie gorzej niż twarz.

Hrabina zacisnęła usta, jej nozdrza drżały niespokojnie. Jak to matka, nie mogąc odegrać się na złoczyńcach, którzy skrzywdzili jej dziecko, wyładowała irytację właśnie na nim.

– Co, na Boga, robiłeś przy Seven Dials, Johnie?

Zaczął unosić brew, ale wywołało to natychmiastowy ból.

– Zabraliśmy Percy’ego do *salle des armes*, ja i Hal. Potem poszedłem z Percym na lunch.

– Och, Percy Wainwright był z tobą? Stało mu się coś? – spytała z troską, marszcząc czoło.

– Nie.

– Przysięgam, że mi ulży, kiedy wyjedziecie wszyscy do Niemiec – wyznała obcesowo. – Będę się mniej o was martwić, jeśli staniecie przed baterią dział albo

zaczniecie szarżować na reduty rojące się od grenadierów.

Roześmiał się, choć wstrzemięźliwie ze względu na zebra, i wstał, też zachowując ostrożność. Jednocześnie wyczuł jakiś twardy przedmiot w kieszeni i wtedy sobie przypomniał.

– Ojciec był wolnomularzem, prawda?

– Tak – odparła, a jej oczy zdradzały niepokój.

– Zastanawiałem się tylko... czy to może być jego pierścień? – Wyjął go z kieszeni i podał matce. Niewykluczone, że wziął sygnet bezmyślnie z biblioteki. Znajdowała się tam taca z drobnymi przedmiotami należącymi do hrabiego; pozostawiono ją dla uczczenia jego pamięci, choć Grey nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział na niej ten pierścień.

Zauważył, że nim sięgnęła po sygnet, zerknęła na inkrustowany sekretarzyk stojący w kącie pokoju. Co dowodziło, że księżę rzeczywiście miał takowy i że ona go przechowywała. Tyle o przeszłości, pomyślał cynicznie.

Wsunęła ostrożnie sygnet na palec lewej dłoni; zwisał luźno jak kółko na patyku. Pokręciła głową i położyła pierścień z powrotem na jego dłoni.

– Nie, jest o wiele za duży. Skąd go masz? I dlaczego uważasz, że mógł należeć do twojego ojca?

– Bez konkretnego powodu – odparł, wzruszając ramionami. – Nie pamiętam, skąd go wziąłem.

– Pokaż mi jeszcze raz.

Zdziwiony, spełnił jej prośbę, a potem patrzył, jak obraca sygnet w palcach i przybliża do płomienia świecy, by obejrzeć go po wewnętrznej stronie. W końcu pokręciła głową i zwróciła mu pierścień.

– Powiesz mi, jeśli przypomnisz sobie, gdzie go znalazłeś?

– Oczywiście – zapewnił swobodnym tonem. – Dobranoc, matko. – Pocałował ją w policzek i pozostawił z własnymi myślami.

Zrezygnował z propozycji Toma, który chciał mu przynieść mleko i chleb, na rzecz dużej whisky – albo dwóch – przy kominku w bibliotece i właśnie osiągnął stan równowagi ze wszechświatem, kiedy zjawił się Brunton z wiadomością, że ma gościa.

– Nie wejdę – oświadczył z uśmiechem Percy Wainwright, stojąc w mroku ganku. – Nie jestem w odpowiednim stroju. Chciałem ci tylko to oddać. – „To” okazało się sztyletem, który Percy złożył ostrożnie w jego dłoniach. Nie przesadzał, mówiąc, że nie pasuje do cywilizowanego otoczenia. Miał pomięte, ubrudzone odzienie i rozsiewał wokół siebie woń zaułków i odpadków. – Wróciłem, żeby go poszukać – wyjaśnił. – Na szczęście leżał pod stosem zwiędłej kapusty... Przepraszam za zapach. Pomyślałem, że... pragniesz odzyskać sztylet – dodał nieśmiało.

Grey by go ucałował pomimo pokiereszowanych ust, gdyby nie obecność

Bruntona, którego postać majaczyła w holu. Mógł tylko uścisnąć Percy'emu dłoń z wdzięcznością.

– Dziękuję. Zobaczymy się jutro?

Percy błysnął w ciemności uśmiechem.

– O, tak. Czy może powinienem powiedzieć: „Tak, sir”? Gdyż jesteś teraz moim przełożonym, nieprawdaż?

Grey się roześmiał. Sińce, puszczanie krwi i dziwne zachowanie matki wydały mu się chwilowo nieistotne.

– Tak sędzę. Zarekomenduję cię więc rano.

Rozdział 12

Oficerowie i dżentelmeni

– Nie przypominamy Rosjan, pojmujesz – wyjaśnił Quarry Percy’emu w łagodny sposób. – Cholerni oficerowie nigdy nie zbliżają się do swoich oddziałów i nie prowadzą ich do bitwy.

– Nie? – Percy sprawiał wrażenie nieufnego i zdumionego jego słowami.

Przez cały miniony tydzień wdrażał się w obowiązki podporucznika i porucznika: asystował przy paradach, musztrze, odprawach i zaciąganiu straży, sporządzał listę oporządzenia i zapasów – kapitan Wilmot pochwalił jego kaligrafię, nim zrugął go za niewłaściwe policzenie butów i beczek prochu – nadzorował opiekę nad chorymi w lazarecie, których na szczęście było niewielu o tej porze roku, i obchodził kwatery żołnierskie.

– Uważaj na frakcje – dodał Quarry. – Mamy dwa bataliony: jeden walczy za granicą, podczas gdy drugi uzupełnia ekwipunek i odzyskuje siłę bojową, ale nie jesteśmy dużą jednostką, a wielu spośród naszych starych żołnierzy to weterani, którzy dobrze się ze sobą dogadują. W przyszłym miesiącu pojawią się jednak nowi ludzie, których wchłonie jedna albo druga grupa. Musisz uważać – będziesz obserwowany z powodu koneksji rodzinnych, a nie ma mowy o faworyzowaniu kogokolwiek, pomijając oczywiście to, że powinieneś zawsze bronić kompanii znajdujących się bezpośrednio pod twoim dowództwem, a będziesz miał ich cztery. Czy to jasne?

– O, tak, sir – odparł pospiesznie Percy, czym skłonił Quarry’ego do uśmiechu.

– Dobry chłopak. A teraz zmiataj do sierżanta Keeble’a, żeby się dowiedzieć, z którego końca muszkietu wylatuje kula.

– Keeble jest na placu z kompanią – wtrącił Grey, który zajrzał do gabinetu Quarry’ego, żeby dostarczyć mu plik dokumentów. – Mam wolną chwilę. Przećwiczę go w posługiwaniu się muszkietem.

– Dobrze. A co to takiego? – Quarry wziął okulary i popatrzył na dokumenty. Rozwarł szeroko oczy i ściągnął gwałtownym ruchem szkła, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. – Co?! – ryknął.

Grey pociągnął Percy’ego za rękaw.

– Możesz odejść – powiedział szeptem. – Chodźmy.

Percy obrzucił ostatnim spojrzeniem Quarry’ego, który zrobił się fioletowy z wściekłości i zaczął przeklinać plik papierów trzymany w dłoni. Percy zasalutował pospiesznie, choć oficer nie patrzył akurat na niego, i wykonał w tył

zwrot, by podążyć za Greyem.

– O co chodziło, jeśli mogę wiedzieć? – spytał, kiedy już znaleźli się na zewnątrz.

– Nic takiego. – Grey wzruszył ramionami. – Instrukcje z Ministerstwa Wojny przeczące ostatnim rozkazom. Zdarza się tak raz na tydzień. No i jak sobie radzisz? – Był zajęty własnymi obowiązkami, więc rzadko widywał Percy'ego w ciągu minionego tygodnia.

– Dość dobrze. Albo przynajmniej taką mam nadzieję – odparł Percy z powątpiewaniem. – Ludzie wydzierają się na mnie, i to bezustannie.

Grey się roześmiał.

– Uznaj to za jeden ze swoich obowiązków. To, że ktoś się na ciebie wydziera.

– Na ciebie nikt nie krzyczy.

– Jestem majorem – oznajmił z samozadowoleniem Grey. – Nikomu nie wolno tego robić – w pułku, oczywiście – z wyjątkiem Harry'ego, pułkownika Symingtona i mojego brata. Harrym się nie przejmuję, schodzę Symingtonowi z oczu, kiedy to tylko możliwe, a w przypadku Meltona postępuję wyjątkowo ostrożnie. Radzę ci czynić to samo. Obszedłeś dzisiejszego ranka koszary?

– Wczoraj. Ach... czy jest coś, na co powinienem szczególnie zwracać uwagę, żeby nie narobić sobie kłopotów?

Grey towarzyszył mu podczas pierwszych obchodów, ale dopiero teraz wyjaśnił ważniejsze kwestie.

– Jeśli chodzi o ludzi w koszarach, wypatruj oznak pijaństwa, co jest nietrudne, jak cię zapewniam. A także przesadnej skłonności do hazardu albo dziwek. Jeśli chodzi o tych, którzy kwaterują w mieście...

– Skąd mam wiedzieć, co jest przesadne, a co nie?

– Jeśli jakiemuś żołnierzowi brakuje ważnej części umundurowania albo sprzętu, możesz być pewien, że przesadza z hazardem. Jeśli z powodu syfilisu widoczne są braki części anatomii albo jeśli przyłapiesz go z dziwką w łóżku, też możesz uznać to za przesadę. Kiła i tryper są do zaakceptowania, jeśli delikwent może zachować wyprostowaną postawę.

– Łatwo powiedzieć. Przytrafiła ci się kiedykolwiek taka przypadłość?

– Nie – odparł Grey, patrząc na Percy'ego z ukosa. – A tobie?

– W latach młodości. – Wzruszył ramionami. – Jedyne raz, kiedy poszedłem do łóżka z kobietą. Gdybym nie wiedział wówczas, jaki jestem, to doświadczenie przekonałoby mnie na dobre.

– Była dziwką? – spytał Grey nie bez współczucia. Sam kilka razy poszedł do łóżka z ładacznicami, po części z konieczności, a po części – na początku – z ciekawości, by się przekonać, czy owo doświadczenie nie rozbudzi nagle jakiegoś utajonego pożądanego do płci przeciwnej.

– Nie – zaprzeczył Percy. – Była powszechnie znaną damą cieszącą się opinią pobożnej. I znacznie starszą ode mnie – dodał ostrożnie.

– Żyje jeszcze? – dociekał Grey, nie kryjąc zainteresowania. – Znam ją?

– Tak, znasz, co gorsza żyje, stara ladacznica. Tak czy owak, na co mam zwracać uwagę, kiedy pułkownik Quarry spyta o „wygląd ludzi”?

– Och... – Grey machnął ręką w stronę odległego placu defiladowego, gdzie powarkujący kaprale ustawiali w niezgrabne szeregi tłum świeżych rekrutów. – Jeśli sprawiają wrażenie chudszych i bledszych niż zwykle.

– A skąd mam wiedzieć? – zaprotestował Percy. – Większość z nich widziałem tylko raz!

– No cóż, będziesz odwiedzał ich co tydzień, a nawet częściej, jeśli uznasz, że przysparzają kłopotów – wyjaśnił cierpliwie Grey. – Powinieneś poznać do końca przyszłego tygodnia ich nazwiska, a także imiona matek, sióstr i ukochanych.

– A potem, jak już wyćwiczę się w obowiązkach podporucznika, będę mógł jako porucznik o wszystkim zapomnieć?

– Nie zapomnisz – zapewnił z przekonaniem Grey. – Oficer nigdy nie zapomina swoich ludzi. Nie martw się, wierzę, że sobie ze wszystkim poradzisz.

– No cóż, cieszę się – odparł Percy z powątpiewaniem, podążając za Greyem do zbrojowni. – A to są muszkiety, tak?

*

Pomimo zapewnień o ignorancji i braku umiejętności Percy okazał się dość sprawnym strzelcem. Grey zabrał go na obrzeża Londynu, na otwartą przestrzeń, by mógł ćwiczyć rękę bez świadków, i był mile zaskoczony.

– A to są muszkiety, tak? – powtórzył ironicznie, wsuwając palec w środek tarczy poszarpanej licznymi kulami.

Percy uśmiechnął się, niespeszony w najmniejszym stopniu.

– Nie mówiłem, że nigdy wcześniej nie miałem z bronią do czynienia.

– Rzeczywiście, nie mówiłeś. – Grey zwinął tarczę. – O jaką broń chodzi?

– Głównie pistolety ćwiczebne. Czasem flowery. – Percy nie wchodził w szczegóły, reagując ze skromnością na pochwałę Greya. – Co mówił pułkownik Quarry... o koneksjach rodzinnych...? – Zawahał się, nie wiedząc, jak sformułować pytanie.

– No cóż, spotkasz się ze strony oficerów z zazdrością – wyjaśnił rzeczowo Grey. – Każdy widzi w drugim rywala i oczywiście będą podejrzewali, że jesteś faworyzowany. Niewiele jednak możesz na to poradzić prócz tego, by wykonywać swoje obowiązki należycie.

Percy starł chusteczką z twarzy resztki prochu.

– Zamierzam tak uczynić – oznajmił z determinacją. – Jakie jeszcze

umiejętności powinienem według ciebie osiąść?

– No cóż. – Grey obrzucił uważnym wzrokiem zgrabną sylwetkę Wainwrighta. – Musisz się nauczyć tańczyć. Umiesz tańczyć?

Percy spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Tańczyć?

Grey odwzajemnił mu się podobnym spojrzeniem. Zwiedziony swobodą, jaką Percy okazywał w towarzystwie, wciąż zapominał, że młodzieniec nie urodził się w domu otwartym na świat, tylko w rodzinie pobożnych metodystów. Nic o nich nie wiedział, ale przypuszczał, że uważają taniec za coś grzesznego.

– Tańczyć – potwierdził zdecydowanym tonem Grey. – Taniec jest nieodzowny w przypadku każdego wykształconego człowieka, a tym bardziej oficera. Cytuję znany autorytet: „Szermierka pozwala wyćwiczyć szybkość i siłę, podczas gdy taniec nadaje ruchom i postawie elegancję i godność”.

– Wobec tego jestem skazany na zgubę.

– No cóż, sztuka ta nie jest aż tak groźna – powiedział Grey, pocierając palcem górną wargę, by nie parsknąć śmiechem. – Chodź ze mną.

– Dokąd się udajemy? – Percy wziął muszkiet, pudełko z ładunkami, woreczek z prochem, rożek i pozostałe przybory strzeleckie.

– Do domu mego brata. Moja szwagierka zatrudnia dla swych synów znakomitego nauczyciela tańca i jestem przekonany, że zapewni ci dyskretne nauki.

Minnie była oczarowana Percym, którego dotąd nie zdążyła poznać, i jeszcze bardziej oczarowana tym, że potrzebuje jej pomocy. Grey już wcześniej dostrzegł ów paradoks kobiecej natury: niewiasty, które mdlały na myśl o silnych mężczyznach gotowych je chronić, nie pragnęły niczego tak bardzo jak wyznania bezradności ze strony jakiegokolwiek przedstawiciela płci przeciwnej.

Zostawił Percy’ego pod opieką Minnie, która pomimo ciąży demonstrowała kroki i figury z niebywałą sprawnością, a sam udał się do biblioteki.

Zgromadzona przez Hala kolekcja dzieł historyków, taktyków i teoretyków była imponująca. Grey bez skrupułów sięgnął po woluminy, które według niego mogły się okazać najbardziej pomocne w militarnej edukacji Percy’ego.

Najpierw wziął *Epitoma rei militaris* Publiusa Flawiusa Vegetiusa Renatusa – nazywanego przez współczesnych Wegecjuszem – napisaną między 385 a 450 rokiem przed narodzeniem Chrystusa. Jedną z ulubionych ksiąg Hala, w sam raz na początek.

– „Nieliczni ludzie są odważni z urodzenia; wielu staje się takimi za sprawą siły samej dyscypliny” – wymamrotał Grey, wsuwając tom pod pachę.

Potem przyszła kolej na Mauvillona i jego *Histoire de la dernière guerre de Boheme* w trzech tomach, dzieło bardzo popularne, gdyż ukazało się drukiem w Amsterdamie zaledwie przed dwoma laty. W bibliotece znajdowały się tylko

dwa tomy – pierwszy i drugi – Hal czytał zapewne tom trzeci – ale Grey wziął pierwszy.

Wahał się między Markiem Aureliuszem, Tacytem i Vaubanem, ale pod wpływem impulsu dorzucił jeszcze *Eneidę* Wergiliusza dla niejakiego odprężenia. Uznał, że chwilowo powinno wystarczyć, bo Percy miał w tych dniach mało czasu na czytanie – niewiele więcej niż on sam.

Odwrócił się od księgozbioru na odgłos kroków i zobaczył, że jego brat powrócił.

– Znów kradniesz mi książki? – spytał Hal z uśmiechem.

– Odbieram swoje. – Grey postukał w *Eneidę*, która rzeczywiście należała do niego. – I pożyczam dla Percy’ego Wainwrighta tom Wegecjusza, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Ani trochę. Quarry mówi, że chłopak sobie radzi – zauważył Hal. – Widzę, czy raczej może słyszę, że Minnie uczy go tańca. – Wskazał głową salon, skąd dobiegał śmiech i odliczanie kroków, co dowodziło niezłych postępów podczas pierwszej lekcji.

– Tak. Sądzę, że sprawdzi się znakomicie – odparł Grey zadowolony z pozytywnej opinii Harry’ego.

– Dobrze. Jutro wysyłam go na czele kompanii do Sussex po odbiór dostawy prochu.

Grey chciał bezzwłocznie zaprotestować, ale się powstrzymał. Jego sprzeciw wobec tej sugestii wynikał bardziej z tego, że umówił się nazajutrz z Percym na rendez-vous, niż z wątpliwości, czy młodzieniec poradzi sobie podczas takiej ekspedycji, lub też ze świadomości niebezpieczeństw, jakie towarzyszyły przedsięwzięciom związanym z beczkami prochu i niedoświadczonymi żołnierzami.

– Niech będzie – powiedział lekko.

Ale było mu ciężko na duszy. Czuł się jak skazany na zgubę. Albo przymusowy celibat.

– Gdzie byłeś? – spytał zaciekawiony, kiedy Hal zdjął pelerynę, odsłaniając strój podróżny, który miał pod spodem, nie zaś mundur.

Hal sprawiał wrażenie nieco zaniepokojonego i Grey zauważył z zainteresowaniem, że jego brat zastanawia się, czy powiedzieć prawdę, czy też nie.

– W Bath – odparł z nieznaczną tylko zwłoką.

– Znowu? Co jest takiego w Bath, u licha?

– Nie twoja sprawa.

Nagle, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, Grey stracił panowanie nad sobą. Rzucił z hukiem książki na biurko.

– Nie mów mi, co jest moją sprawą, a co nie!

Jeśli Hal był zaskoczony, to jedynie przez chwilę.

– Czy muszę ci przypominać, że jestem głową rodziny? – powiedział ściszym głosem, zerkając w stronę drzwi.

– A ja jestem cholerną częścią tejże rodziny. Nie możesz mnie zbywać, mówiąc mi, że coś nie jest moją sprawą. Nie możesz wysłać mnie do Aberdeen, żeby uniknąć moich pytań!

Zdawało się przez chwilę, że Hal ma ochotę uczynić dokładnie coś takiego, ale opanował się z wyraźnym wysiłkiem.

– Nie dlatego wysłano cię do Aberdeen.

Grey nie dawał za wygraną.

– Zatem po co?

Hal patrzył na niego gniewnie.

– Odmawiam odpowiedzi.

Grey nie uderzył Hala już od kilku ładnych lat, poza tym, kiedy próbował to uczynić ostatnim razem, przegrał walkę. Posłał Halowi spojrzenie, które sugerowało, że teraz by wygrał. Hal popatrzył mu twardo w oczy, co dowodziło, że chętnie dałby wyraz swym uczuciom, używając siły. Wydawało się to nad wyraz interesujące, bo Hal był bardziej poruszony, niż chciał okazać.

Grey, nie odrywając wzroku od brata, rozprostował ostentacyjnie palce zaciśnięte w pięść i położył dłoń na biurku.

– Nie chcę obrażać twojej inteligencji, wskazując na fakt, że jestem dorosłym mężczyzną – oznajmił grzecznie.

– To dobrze – odparł Hal sucho. – Zatem ja nie obrażę twojej, wyjaśniając, że właśnie dlatego, iż w samej rzeczy jesteś mężczyzną, nie mogę powiedzieć ci nic więcej. Bądź jutro o dziesiątej rano na placu. – Wyszedł, nie rozglądając się, choć naprężył barki, jakby się obawiał, że brat może czymś w niego rzucić.

Gdyby coś odpowiedniego znajdowało się pod ręką, Grey pewnie by to zrobił, tymczasem słyszał tylko pulsowanie własnej krwi i zaciskał bezradnie pięści.

*

Mnóstwo sprzecznych rozkazów z trzech gabinetów w Whitehall, wybuch epidemii w koszarach i nagłe zatonięcie w porcie jednego z okrętów transportowych, którymi mieli popłynąć do Niemiec – wszystko to sprawiło, że Grey był przez następny tydzień zbyt zajęty, by martwić się tym, co dzieje się w Sussex, albo zwrócić szczególną uwagę na wiadomość, że spiskujący pederaci zostali skazani na śmierć.

Siedział pod koniec dnia w swoim małym gabinecie, patrząc w ścianę i zastanawiając się, czy warto się wysilić, włożyć płaszcz i pójść do Befszyka na kolację, czy też posłać wartownika przy drzwiach po pierożki z mięsem

i ziemniakami, kiedy tenże wartownik pojawił się z pytaniem, czy przyjmie gościa – niejaką panią Tomlinson.

Rozwiązało to jego dylemat. Należało przyjąć ową kobietę, kimkolwiek była.

Bez wątpienia żona jakiegoś żołnierza, która przyszła, żeby błagać o wyciągnięcie męża z tarapatów albo o to, by przekazywać jej żołd. Tomlinson, Tomlinson... szukał tego nazwiska w pamięci, ale na próżno. Nie przypominał sobie żadnych Tomlinsonów. Mimo wszystko zawsze pojawiali się nowi rekruci... Och, nie. Wreszcie doznał olśnienia; ta Tomlinson była znajomą Minnie, kochanką kapitana Batesa, którego skazano właśnie na śmierć. Mruknął coś pod nosem, a wartownik zamrugął zdziwiony.

– Wprowadź ją – powiedział, poprawiając mundur i strząsając z żabotu koszuli okruchy posiłku.

Pani Tomlinson przypominała Greyowi – co nie było dlań nieprzyjemne – ulubionego konia. Odznaczała się, tak jak Karolus, wydatną szczęką, miłym okiem i jasnymi włosami, które splatała w warkocze niczym u wierzchowca na paradzie. Skłoniła się przed nim nisko, jakby był królem. Ujął jej rękę, żeby pomóc się podnieść, i ucałował dłoń, rozmyślając jednocześnie niezbyt przychylnie o swej szwagierce.

Jego głos nie zdradzał jednakże tych uczuć, kiedy poprosił ją, by usiadła, i posłał Toma po wino i herbatniki.

– Och, nie, sir – rzekła pospiesznie. – Nie zostanę długo. Chciałam tylko podziękować waszej lordowskiej mości za ustalenie miejsca pobytu kapitana Batesa i błagać o jeszcze jedną przysługę. – Na jej policzkach pojawił się rumieniec, ale nie odwróciła wzroku. Jasne orzechowe oczy miały czyste i szczerze spojrzenie. – Proszę mi wierzyć, nie chcę się panu narzucać, milordzie. Uwierzy pan, jeśli powiem, że przymusza mnie do tego jedynie najwyższa konieczność?

– Oczywiście – odparł z serdecznością, na jaką pozwalały okoliczności. – Cóż mogę dla pani uczynić, madame?

– Spotka się pan z nim?

Patrzył na nią, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Z kapitanem Batesem – powiedziała. – Spotka się pan z nim?

– Co... w więzieniu w Newgate? – spytał niezbyt mądrze.

Jej wydatna szczęka drgnęła w nikłym uśmiechu.

– Jestem pewna, że odwiedziłby pana tutaj, gdyby mógł – oznajmiła z wielkim szacunkiem. – Jestem pewna, że by tak wolał.

Mówiła z nieznacznym irlandzkim akcentem, co wydało mu się urocze.

– Nie wątpię – zauważył Grey sucho, otrząsając się z zaskoczenia. – Dlaczego miałbym się z nim spotkać? Pomijając, oczywiście, pani prośbę.

– Sądzę, że sam musi to panu powiedzieć, sir.

Potań się w zamyśleniu po brodzie.

– Czy mam... przekazać pani jakąś wiadomość od niego? – dopytywał się ostrożnie.

Oczy o serdecznym spojrzeniu rozwarły się szeroko.

– Och, nie, milordzie. Nie ma potrzeby. Widuję go codziennie.

– Naprawdę? – Nie było to niemożliwe. Nawet najgroźniejsi przestępcy mieli prawo do odwiedzin. Ale... – Czy pani mąż nie ma obiekcji? – spytał Grey w najbardziej delikatny sposób.

Nie zaczerwieniła się ani nie odwróciła wzroku.

– Nie pytałam go, milordzie.

Chciał się dowiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się jej mąż, ale doszedł do wniosku, że nie powinno go to obchodzić. Hala bez wątpienia też by mu odradzał, ale Grey pragnął zaspokoić nienasyconą ciekawość. Była to zapewne jedyna nadarzająca się okazja, by poznać szczegóły dotyczące całej tej sprawy. Między wysoce ubarwioną wersją wydarzeń przedstawianych w prasie a zimnym i cynicznym podejściem Hala istniał znaczny rozdźwięk. Grey chciał się za wszelką cenę dowiedzieć, gdzie leży prawda – a jeśli nie, chociaż poznać inne spojrzenie na tę kwestię.

Czego jednak mógł od niego chcieć Bates, do diabła? – zastanawiał się. Wahał się jeszcze przez chwilę, przykuty spojrzeniem orzechowych oczu, ale w końcu skapitulował. Nic nie szkodziło dowiedzieć się, co Bates ma do powiedzenia.

– W porządku. Kiedy?

– Jutro, milordzie, jeśli pan może. Czasu jest mało, sam pan rozumie. Powiesze... egzekucja ma się odbyć w środę w południe.

Dopiero przy niewypowiedzianym słowie „powieszenie” opuścił ją spokój. Zbladła trochę i podniosła odruchowo dłoń do gardła, choć od razu ją cofnęła.

– Bardzo dobrze – powiedział z rozmysłem. – Czy mogę...

Ona jednak chwyciła go za rękę i osuwając się na jedno kolano, pocałowała ją gorliwie.

– Dziękuję – rzuciła i ścisnąwszy mu mocno dłoń, zniknęła, szeleszcząc suknią.

Rozdział 13

Wizyta w Newgate

Wejście do więzienia, nawet dobrowolne, nie zaś pod przymusem, nigdy nie jest przyjemnym doświadczeniem. Grey był ponad rok zarządcą więzienia w Ardsmuir i ilekroć się tam pojawiał – nawet we własnej kwaterze – tylekroć musiał wpierw głęboko odetchnąć i przybrać wyprostowaną postawę. Tak samo nie lubił bywać na Fleet Street w poszukiwaniu rekrutów, którzy byli gotowi służyć w wojsku, żeby uniknąć długów, ani też w mniejszych więzieniach i aresztach, skąd, co należało do jego obowiązków, musiał wyciągać żołnierzy, którzy zbłądzili. Mimo wszystko Newgate robiło wrażenie nawet na człowieku tak doświadczonego jak on; przeszedł pod podniesioną kratą w głównej bramie, mając złe przeczucie.

Henry Fielding w najnowszej powieści określił owo miejsce jako „pierwowzór piekła”, a Grey uznał to za niezwykle trafne.

Pomieszczenie, do którego go wprowadzono, wyglądało posępnie – tylko stół z sosnowego drewna, dwa krzesła i zimny kominek w otoczeniu ścian z bezbarwnego kamienia ze starannie wyrytymi imionami i znaczną liczbą nacięć, które sugerowały, że niejeden zdesperowany nieszczęśnik próbował wydostać się tą drogą na zewnątrz. Poza tą izbą jednak więzienie roilo się od robactwa niczym zwierzęce wnętrzności u rzeźnika.

Przyniósł ze sobą fiolkę z terpentyną i od czasu do czasu skrapiał nią chusteczkę. Przytępiało to jego zmysł powonienia, co było istnym błogosławieństwem i mogło uchronić przed chorobą. Nie stłumiło jednakże hałasów – kakofonii zawodzeń, przekleństw, szalonego śmiechu i śpiewów niczym w domu dla obłąkanych w Bedlam – ani nie przysłaniało koszmarnych obrazów.

Mógł przez zakratowane okno sięgnąć wzrokiem ponad wąskim dziedzińcem do wielkiego otworu w murze, który najwidoczniej miał zapewnić światło i powietrze podziemnym celom i który też był chroniony kratą. Wewnątrz stała jakaś kobieta, trzymając się jedną dłonią za pręt, a drugą podciągała aż do pasa podartą suknię.

Napierała łonem na przestrzeń między prętami dla wygody strażnika, który przywierał do kraty z drugiej strony. Poły jego kurtki zakrywały naprężone pośladki, ale spuszczone spodnie i rytmiczny ruch bioder mówiły same za siebie.

Więźniowie przechodzący przez dziedzińiec nie zwracali na to uwagi, krocząc ze spuszczonymi oczami. Kilku strażników też ignorowało ten widok, chociaż jeden zatrzymał się i powiedział coś, najwidoczniej w formie pytania, bo

kobieta obróciła głowę i zaczęła wysuwać ku niemu lubieżnie usta, potem wypuściła z dłoni suknię, by wyciągnąć rękę; palce były zwinięte w geście zachęty – a może żądania.

Odgłos otwieranych drzwi za plecami Greya odciągnął jego pełen fascynacji wzrok od owej sceny.

Bates był przyzwoicie ubrany i miał na sobie czysty mundur, ale dźwigał ciężkie kajdany. Zbliżył się do stołu, powłócząc nogami, i padł na jedno z krzeseł. Nie czekał, aż gość się przedstawi albo poprosi, by usiadł.

– Dzięki Bogu. – Westchnął głęboko. – Od tygodni nie siedziałem na normalnym krześle. Diabelnie bolą mnie plecy. – Przeciągnął się, pomrukując z lubością, potem rozsiadł się i popatrzył na Greya. Oczywiście miał bystre, jasnoniebieskie i był nieskazitelnie ogolony.

Grey przyglądał mu się z uwagą, dostrzegając czyściutką koszulę, starannie zawiązaną perukę i zadbane paznokcie.

– Nie wiedziałem, że można tu zapewnić sobie usługi kamerdynera – powiedział, bo tylko to mu przyszło do głowy.

Bates wzruszył ramionami.

– Jest chyba tak jak wszędzie. Można mieć wszystko... zakładając, że się za to zapłaci.

– A pana stać – podsumował.

Usta Batesa drgnęły w nieznacznym uśmiechu. Miał twarz o grubych rysach, całkiem przystojną, i był dobrze zbudowany. Najwidoczniej nie cierpiał w więzieniu z głodu.

– Nie ma tu niczego innego, na co można by wydawać pieniądze, prawda? No i nie można ich ze sobą zabrać – tak w każdym razie mówi ten nudny pastor. Wiedział pan, że nie tylko trzeba chodzić do kościoła w niedzielę, ale też siedzieć z przodu przy własnej trumnie?

– Tak, słyszałem o tym. Ma to zachęcić do skruchy, prawda? – Nie umiał sobie wyobrazić nikogo innego, kto wyglądałby na mniej skruszonego.

– Nie potrafię powiedzieć, do czego ma zachęcać – odparł kapitan rzeczowo. – Cholerna nuda i kolec w tyłku... dosłownie i w przenośni. Żadnych normalnych ławek, tylko brudne siedziska bez oparc. – Przywarł plecami do krzesła, jakby pragnął czerpać możliwie dużo przyjemności ze swego obecnego położenia.

Grey usiadł naprzeciwko niego.

– Poza tym jest pan dobrze traktowany? – Nie czekając na odpowiedź, wyjął flaszkę brandy, którą ze sobą przyniósł, odkorkował i podsunął więźniowi.

Bates parsknął i wziął butelkę.

– Dranie, którzy sądzą, że jestem zbrojcem, są dostatecznie wredni. Dranie, którzy są pederastami, są znacznie gorsi. – Roześmiał się, łyknął sporą porcję brandy, a potem oddychał przez chwilę powoli. – O Boże. Przyśle mi pan

tego więcej przed egzekucją? Dają tu brandy, jeśli się zapłaci, ale to pomyje. Lepiej umrzeć na trzeźwo.

– Zobaczą, co da się zrobić – obiecał Grey. – Co pan miał na myśli, mówiąc, że pederasti są gorsi?

Bates popatrzył na niego ironicznie.

– Hmm... Siedziałem przez jakiś czas z jednym malarzem z Brighton, nazywał się Keyes. Obudził mnie w środku nocy, dźgając swoim kijkiem w tyłek jak jakiś cholerny dzieciół. Zagroziłem, że mu wybiję zęby, jak nie przestanie, a on w tym momencie zaczął się dobierać do moich klejnotów, śliniąc się jak pies! – Bates sprawiał wrażenie oburzonego i jednocześnie odrobinę rozbawionego, a Grey nabrał przekonania, że Minnie mówiła prawdę.

– Rozumiem, o co panu chodzi – przyznał sucho Grey. – Osobiście nie jest pan pederastą.

– Zgadza się – odparł Bates, odchylając się na krześle. – Tylko zdrajcą. Ale nie za to mnie powieszają. – Po raz pierwszy w jego głosie pojawiła się nuta goryczy.

Grey skłonił głowę. Bates brał najwidoczniej za pewnik, że jego rozmówca zna sedno sprawy. Jak? – zastanawiał się, ale umysł od razu podsunął odpowiedź – Minnie, oczywiście, i jej pełna współczucia znajomość z panią Tomlinson. Zatem Hal z nią jednak rozmawiał.

– Ale postanowił pan nie mówić o tym publicznie – zauważył Grey. – Wielu dziennikarzy chętnie by pana wysłuchało.

Sam musiał się przedzierać przez ich tłum pod główną bramą więzienia; wszyscy liczyli na prywatną rozmowę z którymś z osławionych spiskowców.

– Wysłuchaliby mnie, gdybym mówił to, co chcą usłyszeć – oznajmił sucho kapitan. – Opinia publiczna już sobie wyrobiła zdanie. A w tych czasach w uszy tych z Fleet Street szepcze dużo głosów z Whitehall. A mój głos nie byłby słyszany za drzwiami tego przybytku. W końcu jestem skazanym spiskowcem pederastą. To jasne, że bym nic nie powiedział.

Grey pominął tę uwagę milczeniem; ten człowiek miał prawdopodobnie rację.

– Przysłał pan po mnie – przypomniał.

– Tak, i dziękuję, że pan przyszedł. – Bates podniósł ceremonialnym ruchem flaszkę jak przy toaście i napił się, potem odchylił głowę i zaczął przyglądać się z zainteresowaniem Greyowi.

– Dlaczego? – spytał ten po chwili.

– Jest pan oficerem i dżentelmenem, prawda? Bez względu na to, czym pan jeszcze jest.

– Co pan przez to rozumie? – dociekał Grey spokojnie, choć serce zabiło mu gwałtownie.

Bates patrzył na niego długą chwilę. Na jego twarzy błąkał się półuśmiech.

– Nikt by się nie domyślił na pierwszy rzut oka – powiedział tonem niezobowiązującej rozmowy.

– Obawiam się, że nie rozumiem, o co panu chodzi, sir – odrzekł grzecznie Grey.

– Owszem, rozumie pan. – Bates machnął lekceważąco ręką i znów pociągnął z flaszki. – Niech się pan nie martwi. Nie powiem ani słowa, a nawet gdyby, i tak nikt mi nie uwierzy. – Mówił bez złośliwości. – Zna pan człowieka, który nazywa się Richard Caswell, jak mniemam. Ja też go znam.

– Jako kogo, jeśli wolno wiedzieć? – spytał Grey w równej mierze z ciekawości, co z obowiązku.

Caswell był właścicielem Lavender House, ekskluzywnego klubu dla dżentelmenów, którzy preferowali towarzystwo dżentelmenów – ale nie ograniczał się wyłącznie do tego. I jeśli chodziło między innymi o nakłanianie do zdrady...

– Lichwiarza – wyjaśnił szczerze Bates. – Jestem hazardzistą, rozumie pan. To właśnie mnie tu przywiodło. Moja stara babka mówiła, że karty są diabelską tekturą i że zaprowadzą mnie wprost do piekła. Zastanawiam się, czy ją tam zobaczę i powiem jej, że miała rację. A jeśli tak, to wszak też będzie w piekle, prawda? Dobrze jej tak, starej zrzędzie.

Grey nie chciał się wdawać w rozmowę na ten temat.

– I Richard Caswell wspomniał panu moje nazwisko? W związku z czym, jeśli wolno spytać? – Był zaskoczony, słysząc, że Caswell o nim mówił, i na dobrą sprawę w to wątpił. Dickie Caswell umarłby dawno temu, gdyby tak nieostrożnie zdradzał skrywane przez siebie sekrety.

Bates przyglądał mu się długo i wnikliwie, potem pokręcił głową i się roześmiał.

– Gra pan w karty, majorze?

– Niezbyt często.

– Powinien pan. Widzę, że niełatwo zaskoczyć pana blefem. – Poruszył nogami przy brzęku łańcuchów. – Nie, Caswell o panu nie wspomniał. Dostał ataku kaszlu, jak to on, i pognął do swojego pokoju po lekarstwo. Skorzystałem z okazji i przetrząsałem mu biurko. Szyfrował własny dziennik, przebiegły drań, ale na marginesie zapisał „Lord John Grey”. Nie wiedziałem, kim pan jest, ale tak się złożyło, że tego wieczoru grałem w karty z Meltonem, a on mówił o swoim bracie Johnie. Susannah знаła żonę pańskiego brata, słyszała historię o pańskim tytule, no i... *voilà*. – Uśmiechnął się do Greya jak do starego znajomego.

Grey miał wrażenie, że ściskanie w jego trzewiach odrobinę ustępuje. Teraz jednak, słysząc następne słowa kapitana, znów doznał tego nieprzyjemnego uczucia.

– No i oczywiście asystent pana Bowlesa wspomniał o panu podczas mojego procesu.

Słowo „Bowles” podziałało na Greya jak porażenie piorunem. Podobnie jak „asystent”.

– Neil Stapleton? – spytał zaskoczony spokojnym tonem swojego głosu.

– Nie wiem, jak się nazywał. Ładny chłopak, buzia jak u dziewczyny, nadąsany.

Grey zdołał skinąć głową.

– Był pan wtedy z panem Bowlesem? – spytał. Dickie Caswell zajmował się sekretami, a Hubert Bowles życiem innych ludzi. Prawdopodobnie na polecenie rządu.

– Gdybym powiedział, dopuściłbym się donosicielstwa, prawda? – Bates odchylił głowę i wypił resztkę brandy. – Boże, to niezłe!

– Nie znam szczegółów oskarżenia przeciwko panu – oznajmił ostrożnie Grey. – Materiały, które przekazał pan Melchiorowi Ffoulkesowi... pochodziły od pana Bowlesa? A jeśli tak, to jaką grę Bowles prowadził?

Bates stłumił beknięcie, przysuwając pięść do ust, i popatrzył na Greya wymownie.

– Mogę być oszustem karcianym, zdrajcą i ogólnie łotrem, Grey. Ale nie oznacza to, że jestem pozbawiony honoru. Nie wydam żadnego ze swych współników. Niech mi pan wierzy, próbowano tego. Nikt nie zawisnie z powodu moich słów. – Przekręcił pustą butelkę dnem do góry. Na stół spadła pojedyncza kropla, jej przyjemna woń przynosiła ulgę w porównaniu z ostrym zapachem terpentyny. Bates zamoczył w kropli palec i oblizał z namysłem. – Jak mówią... kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie? Przypuszczam, że zna pan to przysłowie?

– Tak, znam.

Umysł Greya pracował gorączkowo, próbując poradzić sobie z wszelkiego rodzaju przypuszczeniami. Zadał jeszcze kilka pytań dotyczących Bowlesa i Stapletona, ale jedyną odpowiedzią ze strony Batesa było wzruszenie ramion. Podał mu tylko nazwisko Bowlesa, ale nie zamierzał nic więcej powiedzieć. Czy do tego sprowadzał się cel owego spotkania? – zastanawiał się Grey.

– Przysłał pan po mnie – przypomniał Batesowi. – Przypuszczam, że pragnie mi pan coś powiedzieć.

– Nie. Prosić pana. O przysługę. Czy raczej dwie przysługi. – Kapitan popatrzył na niego z powagą, jak na niepewne karty, które mogą jednak przynieść wygraną.

– Prosić... o co?

– Susannah – wypalił kapitan.

– Pani Tomlinson?

– Tak. Żeby pokręciło jej męża, jak lubi mawiać Susie. – Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech, ale po chwili zniknął. – Wydano ją za niego w młodym

wieku, a to skończony łajdak.

– Moja szwagierka uważa go za nudziarza.

– Ma rację, ale jedno nie przeczy drugiemu. Bije ją... czy raczej bił, zanim się ze mną związała. Zdrowo go nastraszyłem... Żałuję, że nie zabiłem tego pochlipującego bydlaka, kiedy miałem jeszcze okazję... – Bates jakby rozważał przez chwilę straconą szansę, potem otrząsnął się z żalu. – No cóż, kiedy mnie już nie będzie, znów znajdzie się na jego łasce... jeśli jeszcze się nie znalazła.

– A ja mam zająć pańskie miejsce i zagrozić panu Tomlinsonowi uszczerbkiem na zdrowiu, jeśli będzie niewłaściwie traktował żonę? Uczyniłbym to z przyjemnością, ale obawiam się...

– Nie. Chcę, żeby pan ją od niego zabrał – przerwał mu Bates. – Ma brata w Irlandii, w Kilkenny. Jeśli zdoła do niego dotrzeć, będzie mógł ją ochronić. Ale ona nie ma swoich pieniędzy, a ja nie mogę dać jej żadnych.

Grey spojrzał na niego znacząco.

– Odpowiedni dobór słów – zauważył. – Lepiej tak, niż powiedzieć, że nie ma pan grosza przy duszy.

Bates patrzył na niego ponuro.

– Powiedzmy tylko, że gdybym dysponował jakimikolwiek funduszami, od razu bym panu przekazał, by mógł pan przeznaczyć je dla niej. I na tym poprzestańmy, dobrze?

Grey skinął głową i postanowił, że o tym pomyśli.

– A druga przysługa, o której pan wspomniał?

– Ach. No cóż, też dotyczy Susannah, by się tak wyrazić. Upiera się, by przyjść na egzekucję.

Po raz pierwszy kapitan zdradził jakiś niepokój na myśl o swym rychłym zgonie.

– Nie chcę jej tam, Grey – powiedział. – Wie pan, jak takie przedstawienia wyglądają.

– Tak, wiem – odparł cicho Grey. – Rozumiem. Chce pan, żebym się z nią zobaczył? Wyjaśnił, możliwie delikatnie...

– Już wyjaśniłem, i to niezbyt delikatnie – przerwał mu Bates i się skrzywił.

– Uparła się jeszcze bardziej. Nie może znieść myśli, że będę umierał samotnie w tłumie ludzi przekonanych, iż jestem odrażającym zbrodźcą. Chce... – Jego głos zmięknął nieco i Bates odkaszlnął w chusteczkę. – Chce – podjął bardziej zdecydowanym tonem – by na miejscu był ktoś, kto wie, dlaczego umieram i kim jestem. Żebym mógł patrzeć spod szubienicy na kogoś, kogo znam. – Spojrzał na Greya z nieznacznym uśmiechem. – Nie wiem, kim pan jest, Grey, i nic mnie to nie obchodzi. Ale pan wie, kim ja jestem i dlaczego umieram. Zna pan prawdę. Zatem to może być pan.

Grey miał wrażenie, że ktoś wyszarpnął spod niego krzesło.

– Mam być świadkiem pańskiej egzekucji?

W jego tonie musiało pobrzmiwać niedowierzanie, bo kapitan posłał mu niecierpliwe spojrzenie.

– Wysłałbym zaproszenie na ozdobnym popierze, gdybym miał czas – zapewnił.

Grey żałował, że nie wziął ze sobą drugiej flaszki dla siebie. Potarł się z namysłem po nosie.

– I spodziewa się pan, że spełnię te... mam nadzieję, że wybaczy mi pan, iż nazwę je osobliwymi... owe prośby? Dlaczego?

Bates uśmiechnął się krzywo.

– Postawmy sprawę w ten sposób: pan przysięgnie, że dowiezie bezpiecznie Susie do jej brata w Irlandii, a mnie tam, dokądkolwiek się udaję, ja zaś dopilnuję, by Hubert Bowles nigdy nie zobaczył pańskiego nazwiska na papierze z moim pismem.

Grey zamrugął.

– Co by owo pismo zawierało?

Bates uniósł brwi.

– Czy to ważne?

Grey rozważył w mgnieniu oka wszelkie możliwości.

– Nie. – Milczał przez chwilę. – Ufa pan mojemu słowu?

– Oficera i dżentelmena – powtórzył Bates z nutą smutku. – Zresztą nie mam w tej sprawie wielkiego wyboru, prawda?

Wydawało się, że nie pozostało nic więcej do powiedzenia. Grey skinął głową, zastanawiając się, czy podać Batesowi rękę na pożegnanie, ale się rozmyślił. Potem przyszło mu coś do głowy.

– Ostatnie pytanie, kapitanie... jeśli pan pozwoli.

Bates wykonał zamaszysty gest dłonią.

– Mam mnóstwo czasu, majorze. W każdym razie do środy.

– Szanuję pańską determinację, by strzec nazwisk jakichkolwiek współników pozostających jeszcze na wolności. Ale może zechce mi pan coś zdradzić. Czy są wśród nich jakobici?

Zdumienie malujące się na twarzy Batesa było tak nieklamane, że wzbudziłoby w innych okolicznościach śmiech.

– Jakobici? – powtórzył. – Boże, nie. Dlaczego pan tak uważa?

– Zamieszani są w to Francuzi – przypomniał Grey.

Bates wzruszył ramionami.

– No cóż, owszem. Ale żabojadom nie zawsze chodzi o religię bez względu na to, co stary Ludwik mówi papieżowi, a sprawa Stuartów jest bardziej martwa, niż ja będę w środę. Ludwik to w głębi serca kupiec i nie zamierza marnotrawić pieniędzy. Poza tym nigdy nie chciał widzieć Jakuba Stuarta na angielskim tronie

i też nigdy nie oczekiwał, że ten go przejmie. Chodziło o odwrócenie uwagi, kiedy spokojnie zagarniał Brukselę.

– Wie pan bardzo dużo o tym, czego chce król Ludwik.

Bates skinął głową.

– A pan wie, czego ja chcę, majorze. Mamy umowę. Ale gdyby ktoś nakłonił pana Bowlesa, by ten zechciał zawrzeć swoją... – zawiesił głos. – Ma cztery dni.

Zostało to jednak wypowiedziane bez większego przekonania.

Grey skłonił się i włożył kapelusz.

– Zobaczmy się w środę. – Był już prawie przy drzwiach, kiedy przystanął i odwrócił się na moment. – We wtorek wieczorem przyślę panu brandy.

*

Percy Wainwright miał powrócić z podróży w środę. Grey zastanawiał się, czy nie przesłać mu liściku z prośbą o spotkanie i towarzyszenie mu w środę, ale nie zrobił tego. Wiedział, jak będzie wyglądać egzekucja.

Rozdział 14

Miejsce egzekucji

Grey zawsze uważał, że ryk tłumu to jeden z najgorszych dźwięków, jakie można usłyszeć. Gorszy niż wycie huraganu albo huk gromu, który następuje po błyskawicy. A sam tłum był równie nieprzewidywalny i śmiertelnie groźny jak inne siły natury. Jedyna różnica, jak sądził, polegała na tym, że tłumowi nie sposób nazwać wolą Boga.

Staął na lekko rozstawionych nogach, by oprzeć się ludzkiej fali, która nań napierała; jedną dłoń opierał na rękojeści rapiera, drugą na sztylcie. Zastanawiał się wcześniej, czy ubrać się w mundur, ale w końcu doszedł do wniosku, że musi to zrobić. Żołnierze nie cieszyli się szczególną popularnością i nieraz się zdarzało, że oszalały tłum zwracał się przeciwko nim. Lecz jeśli jego obecność miała dodać odwagi Michaelowi Batesowi, musiał się wyróżniać w ciżbie. Dlatego włożył mundur, stanął jak najbliżej szubienicy i trwał uparcie w miejscu, nie dając się zepchnąć.

Żywił nadzieję, że brandy dostarczona na czas, ale nie mógł mieć pewności. Udał się od razu do Tyburn, zamiast, jak uczyniło to wielu widzów, podążać za wózkiem wiozącym skazańców z Newgate. Nim ten wehikuł się pojawił, trzech więźniowie byli tak pokryci błotem, że przypominali niedźwiedzie, które lada chwila poszczuje się psami.

Co niebawem nastąpiło.

Wrzawa nasiliła się na widok więźniów, z tłumu zaś poleciał grad kamieni – większość spadła z powrotem na ciżbę, ponieważ odległość nie pozwalała osiągnąć celu. Krzyki bólu i protesty zniknęły w ogólnym tumultie, równie groźnym jak bzyczenie roju szerszeni.

Duchowny, który kroczył za wózkiem skazańców, też był pokryty błotem, choć jego posępna twarz wciąż wзираła spod skorupy brudu. Ostatnia salwa kamieni kazała mu się cofnąć; przyciskał do piersi Biblię niczym tarczę, prawdziwą i duchową.

– Zabić te potwory! Zabić te potwory! – powtarzały ubrane jaskrawo prostytutki, które szepiły się ramionami, walcząc z naporem tłumu, i kołysały w takt uparcie powtarzanego refrenu.

Inna grupa wymachiwała afiszami, na których wypisano niepoprawnie „zniewieściele CIPY!”. Rozpoznał madame Mags w czarnej tafcie i złotym brokacie, a także kilka jej dziewczyn. Na szczęście były zbyt zajęte sobą i zabawą, żeby go zauważyć.

Przez wrzawę tłumu przebijały się też inne określenia, znacznie dosadniejsze w treści. Kamienie, jak zauważył, ciskały głównie kobiety – nie prostytutki: gospodynie domowe, szynkarki, dziewczyny służebne... Ich twarze pod czepkami wykrzywiała nienawiść.

Więźniowie, nie bez pomocy, zeszli z wózka. Kilku ludzi szeryfa odganiało tłum kijami i halabardami. Skazańcy ruszyli w stronę stopni prowadzących na szafot, jakby szubienica stanowiła swoiste sanktuarium. Bez wątpienia tak było.

Teraz dostrzegł Batesa, krępą postać pośrodku; wyprostowany jak świeca, głowa uniesiona do góry. Spod warstwy brudu wyzierał mundur Straży Konnej.

Szczupły młodzieniec po jego prawej ręce też nosił mundur – to chyba Otway, a niewysoki i przygarbiony człowiek w cywilnym ubraniu – bez wątpienia Jeffords. Bates dostał kamieniem w pierś i zatoczył się do tyłu, ale zaraz odzyskał równowagę i postąpił zdecydowanie do przodu, obnażając zęby w grymasie gniewu. W odpowiedzi posypały się ku niemu grudki łajna. Niektórzy przestępcy kończyli na Tyburn w chwale; grano im na skrzypcach i obsypywano ich kwiatami. Ale nie pederasci.

Grey wcisnął się między dwóch czeladników, którzy chcieli przepchnąć się na jego miejsce, i walnął jednego z nich łokciem na tyle mocno, by młodzik pisnął i odsunął się, przeklinając. Widział, jak Bates przesuwa wzrokiem po tłumie, i nie zastanawiając się nad tym, co robi, pomachał rękami i krzyknął: „Bates!”

Jakimś cudem człowiek ten go usłyszał i Grey zobaczył wlepiony w siebie wzrok, a pod maską brudu i zadrapań grymas podobny do uśmiechu.

Poczuł w kieszeni myszkującą dłoń i chwycił ją, ale niedoszły złodziej – chłopiec w wieku siedmiu czy ośmiu lat – wyrwał się z uścisku i dał nura w tłum. Ledwie udało się Greyowi zachować sztylet, z którym, wykorzystując jego nieuwagę, chciał umknąć wspólnik małego przestępcy, i gdy znów skierował wzrok na szafot, kat już wprowadzał skazańców pod dyndające pętle.

Otway krzyknął – był to wysoki i piskliwy dźwięk, ledwie słyszalny w tłumie. Jednak gawiedź go podchwyciła i zaczęła zawodzić szyderczo, podczas gdy nieszczęśnik szarpał się i wierzgał nogami; oczy miał szeroko rozwarte niczym spłoszony koń.

Grey uświadomił sobie, że zaciska dłonie na rękojeści rapiera i sztyletu. Na litość boską! – pomyślał z bolesną niecierpliwością. Nie potrafisz umrzeć jak mężczyzna?

Naciągnięto cienkie białe worki na głowy skazańców i zaciśnięto pętle na ich szyjach. Pastor przechadzał się niespiesznie za ich plecami, czytając głośno fragmenty z Biblii, choć słów nie można było zrozumieć. Zdawało się, że wszystko przebiega z przerażającą powolnością kosmaru sennego, Grey zaś miał wrażenie, że zapomniał, jak się oddycha.

Wtedy otwarto zapadnie i ciała runęły w dół, by po chwili zatrzymać się

gwałtownie z odrażającym szarpnięciem. Wiwatujący tłum wznosił okrzyki radości. Otway, złamawszy sobie od razu kark, zawisł bezwładnie. Dwaj pozostali wciąż tańczyli, ich kolana, szukając oparcia, poruszały się spazmatycznie.

Grey rozglądał się gorączkowo za ludźmi, którzy – odpowiednio wynagradzani – chwyтали na wpół powieszzonego człowieka za nogi i ciągnęli, by przyspieszyć jego zgon. Zapłacił komuś, by wykonał ową czynność w przypadku Batesa, gdyby okazało się to konieczne. Nikt jednakże nie wystąpił z tłumu. Strażnicy z Newgate przyglądali się pogardliwie i spluwali, podczas gdy Bates wiał się i szarpał na linie.

Grey nawet się nie zastanawiał. Rozepchnął ludzi, którzy przed nim stali, a zaskoczeni strażnicy zauważyli jego mundur i go przepuścili.

Wierzgająca noga Batesa trafiła go w ucho, druga uderzyła w pierś. Grey podskoczył, objął podrygujące muskularne uda i z całej mocy pociągnął ciało w dół, niemal czując, jak wibruje w nim grzechot łamanego karku Batesa niczym dźwięk gwałtownie napiętego sznura. I nagle runął w błoto pod szafotem.

Rozdział 15

Delikatne zadanie

Grey pod drzwiami matczynego domu podziękował kapitanowi MacNeillowi i MacLachlanowi, dwóm oficerom z 2 Szkockiego Pułku Dragonów, którzy uratowali go przed tłumem w Tyburn.

– Nie przeczę, że kierowała panem litość – powiedział MacNeill chyba po raz czwarty. – Ale ryzykować życie, żeby wysłać zbrojnego do piekła o chwilę wcześniej? Żarty!

MacLachlan, posępny i małomówny człowiek, pokręcił głową.

– Mimo wszystko chciałbym zdrowo dołożyć paru tym łotrów – ciągnął MacNeill z lubością. – Nauczyłbym ich rozumu!

Grey nie bardzo wiedział, jakich łotrów MacNeill ma na myśli – czy pederastów, czy też prostaków z tłumu, którzy próbowali utopić go w kałuży. Nie wydawało się to warte drażenia. Próbował wcisnąć obu trochę pieniędzy, żeby wypili za jego zdrowie, lecz poinformowali go krótko, że są prezbiterianami, a tym samym abstynentami; podziękował im jeszcze raz, po czym pożegnał się z nimi i wszedł, kulejąc, do domu.

Jego kuzynka Olivia, już w dość zaawansowanej ciąży, schodziła ostrożnie na dół. Przystanąła na widok Greya i podniosła dłoń do ust, rozwierając oczy z przerażenia.

– John! Co ci się stało?

Chciał jej wyjaśnić, ale się rozmyślił.

– Ja... e... przejechał mnie powóz na ulicy. – Przywarł plecami do ściany, uświadomiwszy sobie zbyt późno, że zostawia brudne smugi na tapecie.

Olivia popatrzyła na niego z troską, potem zawołała kamerdynera.

– Brunton, idź po doktora!

– Nie, nie! Nic mi nie jest, naprawdę. Ja tylko... wezmę kąpiel i pójdę do łóżka. – Miał już przemknąć obok niej i ruszyć na górę, gdy drzwi salonu otworzyły się i na progu stanął Percy Wainwright.

Oczy zaokrągliły mu się na widok Greya, ale nie odezwał się ani słowem, tylko obrócił się na pięcie, wszedł z powrotem do salonu i pojawił się niemal natychmiast z kieliszkiem wina, który wcisnął mu w dłoń.

– Przeszedłem porozmawiać z tobą i Meltonem o pułku – wyjaśnił, patrząc na niego z taką samą troską jak Olivia. – Ale zjawię się innego dnia.

Grey pokręcił głową, mając usta pełne wina, i przełknął trunek.

– Nie, zostań – powiedział chrapliwie. – Ha! ma tu być?

W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i stanął w nich Hal, który znieruchomiał na widok brata.

– Tak, wiem – oznajmił ze znużeniem Grey. – Bądź tak dobry i pomów z Wainwrightem. Przyjdę do was za chwilę.

Hal zignorował jego prośbę; podszedł bliżej i przyjrzał mu się ze zmarszczonym czołem.

– Co ci się stało, u licha?

– Przejechał go powóz na ulicy! – wtrąciła pospiesznie Olivia, wyrażając oburzenie w imieniu swego kuzyna. – Nie zatrzymali się nawet, żeby sprawdzić, czy nic ci się nie stało, Johnny?

– Przejechał cię powóz? – Hrabina, zwabiona panującym zamieszaniem, ukazała się u szczytu schodów, wyraźnie przerażona. – John! Dobrze się czujesz?

Grey potarł się po czole. Wspaniała nagroda za jego dobre intencje, pomyślał z goryczą.

– Nic mi nie jest – odparł, poruszając ostrożnie ustami, ponieważ miał dolną wargę rozciętą, a na szczęce opuchliznę. Czuł, że ząb z lewej strony rusza się, ale miał nadzieję, że nie wypadnie. – Nie, nie zatrzymali się. Wątpię, czy woźnica mnie widział. To był furgon pocztowy – dodał w chwili nagłej inspiracji i zauważył, że zmarszczka na czole matki wygładziła się odrobinę, choć jej twarz wciąż zdradzała niepokój.

Zdążyła już zejść na dół i teraz przyglądała mu się uważnie. Mimo że wzruszyła go jej troska, niczego nie pragnął w tej chwili tak bardzo jak mocnego drinka i kąpieli – i powiedział to.

– Tak, kąpiel – zgodziła się hrabina, marszcząc nos. – I spał swoje odzienie!

Nakaz ten spotkał się z powszechną aprobatą. Tymczasem Brunton, który śledził bacznie całą scenę, pojawił się bezgłośnie u boku Greya, po czym wyjął mu kieliszek wina z dłoni, a na jego miejsce wsunął szklankę ze szkocką whisky – trunkiem, którego ozdrowieńcze właściwości Grey nauczył się doceniać podczas pobytu w Ardsmuir. Oparł się o ścianę – cóż znaczyło kilka smug więcej? – i pociągnął spory łyk, przymykając z zadowoleniem oczy.

Teraz uwaga skupiła się na osobie Hala, który wyjaśniał, że nie pozostanie, jako że wezwano go na spotkanie w Whitehall, a tylko wstąpił po drodze, by dostarczyć dokumenty potwierdzające uzyskanie przez Percy'ego patentu oficerskiego, opatrzone kontrasygnatą i pieczęcią królewską. Wyjął je zamasztywym gestem i wręczył przy ogólnym aplauzie zainteresowanemu.

Percy ku rozbawieniu Greya zrobił się czerwony jak burak i skłonił wszystkim, przyciskając papiery do piersi.

– Dziękuję, milordzie – zwrócił się do Hala. – Jestem pewien, że będzie pan ze mnie dumny, podobnie jak cały pułk.

– Och, nie wątpię – odparł Hal z uśmiechem. – Nawet za cenę śmierci.

Percy sprawiał wrażenie tak zaniepokojonego, że wszyscy parsknęli śmiechem, po chwili jednak też okazał rozbawienie.

– Myślisz, że żartuję, co? – powiedział Hal. – Spytaj mojego brata. Tymczasem gratuluję, sir, i witam w naszej kompanii! – Skłonił się pospiesznie i machnąwszy ręką na pożegnanie, wyszedł do czekającego powozu.

– Wszędzie zostawiasz błoto, Johnie – zauważyła hrabina, znów skupiając uwagę na oplakanym stanie Greya. – Wejdz do salonu i zdejmij ubranie. Przyślę Toma do pomocy.

– Dotrzymam ci towarzystwa. – Percy, chowając papiery potwierdzające jego patent oficera do surduta, otworzył Greyowi drzwi, a on poczłapał do pokoju, ściskając szklankę z whisky. Biorąc pod uwagę okoliczności, nie myślał w ogóle o pożądaniu, był jednakże zadowolony, że zostanie sam na sam z Percym, chociażby na chwilę.

– Wiesz – powiedział Percy, zamykając drzwi i przyglądając mu się z uwagą – zaczynam podejrzewać, że zrobiłeś to specjalnie, żeby uniknąć mego towarzystwa.

Grey, niezdolny usiąść na jakimkolwiek meblu, oparł się o kominek, wydając z siebie cichy jęk.

– Wierz mi, wolałbym towarzystwo małpy kataryniarza, nie wspominając już o twoim, niż osób, z którymi byłem zmuszony dziś obcować.

– Naprawdę przejechał cię powóz? – spytał Wainwright, przyglądając mu się ciekawie.

– Dlaczego cię to interesuje? – rzucił w odpowiedzi Grey.

– Bo widziałem ludzi przejechanych przez powozy – odparł Percy bez ogródek. – Gdybyś został tylko uderzony i wylądował w rynsztoku, byłbyś posiniaczony i ubrudzony, ale ty wyglądasz tak, jakby ktoś cię pobił do nieprzytomności... jeśli zechcesz mi wybaczyć moją szczerość. – Uśmiechnął się, by dać do zrozumienia, że nie zamierzał obrażać rozmówcy. – Gdyby naprawdę przejechał cię powóz pocztowy, już byś nie żył albo ledwie dyszał. Z pewnością miałbyś pogruchothane kości. Nie wspominając o śladach kół na twoim odzieniu.

Grey roześmiał się mimowolnie. Nie widział potrzeby ukrywania prawdy przed Percym – poza tym pomyślał, że może na dobrą sprawę zdradzić mu pewne szczegóły, których nigdy nie ujawniłby własnemu bratu.

– Masz słuszność – odrzekł, po czym przedstawił młodzieńcowi skróconą, aczkolwiek prawdziwą, wersję popołudniowych wydarzeń.

Percy słuchał z najwyższą uwagą i współczuciem, napełniając szklankę Greya, ilekroć pokazywało się w niej dno.

– Zatem zostałeś pobity przez tłum sprzeciwiający się okazaniu pomocy dżentelmanowi uważanemu za zbrojeńca... który w rzeczywistości nim nie był – zauważył na koniec Wainwright. – Ironia losu, co?

– Bates był dzielnym człowiekiem i umierał koszmarnie – oznajmił Grey zwięźle. – Nie jestem skłonny dopatrywać się w tym czegoś humorystycznego.

Wainwright od razu spowaźniał.

– Masz rację. Przepraszam. Nie zamierzałem nikogo obrażać... ani ciebie, ani kapitana Batesa.

– Oczywiście, że nie. – Grey złagodził swój ton. – Zresztą sam kapitan doceniłby bez wątpienia ironię sytuacji. Takim był człowiekiem.

– Polubiłeś go – zauważył Wainwright bez najmniejszego zdziwienia.

– Tak. – Grey się zawahał. Nie znał Wainwrighta zbyt dobrze, choć ten miał wejść do rodziny. A jednak... – Byłeś kiedykolwiek w Irlandii? – spytał niespodziewanie.

Wainwright zamrugął, nie kryjąc zaskoczenia.

– Raz. Kilkanaście lat temu.

Grey zastanawiał się jeszcze chwilę dłużej... ten człowiek mógł się mimo wszystko nie zgodzić.

– Kapitan powierzył mi pewne zadanie, ważne i jednocześnie delikatne. Obiecałem, że się z niego wywiążę, ale... najpierw ci o tym powiem.

Nim skończył, na twarzy Wainwrighta malowały się na przemian szok, współczucie, ciekawość i – bez wątpienia – niepowstrzymana chęć śmiechu.

– Odznaczasz się wyjątkowym talentem prowokowania niezręcznych sytuacji – zauważył. Widać było, że drgają mu kąciki ust. – Wiesz chociaż, dlaczego kapitan właśnie tobie to powierzył?

Grey znów się zawahał, ale potem odpowiedział szczerze:

– Tak, wiem. Uważał, że można mnie zaszantażować.

Z twarzy Wainwrighta zniknęły wszelkie oznaki rozbawienia. Ściszył głos, choć przebywali w pokoju sami.

– Zaszantażował cię? Groził ujawnieniem twoich skłonności, jeśli nie spełnisz jego prośby?

– Nie, nie, nic w tym rodzaju – odparł pospiesznie Grey. – Nie wiedział... to znaczy... nie. – Nic by go nie skłoniło do wymienienia nazwiska Huberta Bowlesa, nawet gdyby było możliwe wyjaśnienie, w jaki sposób poznał tego człowieka. – To nie ma nic wspólnego z... tym – zapewnił. – Kolejna sprawa, której nie mam prawa wyjaśniać. Jednakże zgodziłem się w końcu spełnić prośbę kapitana. Rzeczywiście, polubiłem go – dodał, jakby się tłumaczył. – Ale obecnie nie mogę wyjechać z Londynu. Ciężą na mnie liczne obowiązki w pułku, a za sprawą prośby o urlop ściągnąłbym na siebie uwagę. Muszę znaleźć kogoś odpowiedniego, kto mógłby towarzyszyć pani Tomlinson w podróży do Irlandii, i to szybko, zanim jej mąż odkryje ten plan albo będzie miał okazję skrzywdzić ją jeszcze bardziej.

Wainwright przesunął w zamyśleniu palcem po wardze i spojrzał na Greya.

– Powierzyłbyś mi to zadanie? Otrzymałem patent oficerski, ale służbę

w pułku zacznę dopiero za dziesięć dni. Przypuszczam, że zdołałbyś załatwić mi pozwolenie na wyjazd? – Uśmiechnął się. – Mogę cię zapewnić o swej dyskrecji.

Grey od razu poczuł lekkość na sercu, potem jednak zaprotestował.

– Nie mogę prosić cię o coś takiego. Niebezpieczeństwo...

– Och, nie pojmuję, jak możesz oczekiwać, że oprę się takiej pokusie. – Percy uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Bądź co bądź, nigdy nie przyszło mi do głowy, że będę uciekał z żoną innego mężczyzny! – Parsknął zaraźliwym śmiechem i Grey też się uśmiechnął, a to sprawiło, że rozcięcie na wardze otworzyło się na nowo. Nim zdążył wyjąć chusteczkę, by powstrzymać krwawienie, Percy dobył czym prędzej swoją i przycisnął do jego ust, a on przestał się śmiać, wyczuwając przez materiał ciepło palców młodzieńca. – Podejmę się twego zadania z przyjemnością, Johnie – powiedział. – Choć byłbym wdzięczny, gdybyś zrobił wszystko, by uniknąć kolejnych batów przed moim powrotem.

Grey był już gotowy coś odpowiedzieć, ale w tym momencie rozległo się dyskretne pukanie do drzwi, które po chwili się otworzyły. Na progu stanął Tom Byrd z banyanem i ręcznikiem na ramieniu; skinął Wainwrightowi głową i obrócił groźny wzrok na Greya.

– Będzie lepiej, jeśli się pan rozbierze, milordzie. Kąpiel stygnie.

Rozdział 16

W którym zaręczyny zostają zerwane

Pomimo obrażeń Grey spał kamiennym snem i wstał późno. Właśnie rozkoszował się leniwym i samotnym śniadaniem, mając na sobie banyan i kapcie, kiedy w drzwiach jadalni pojawił się Tom Byrd. Na widok jego pełnej przerażenia miny Grey rzucił grzanekę z masłem na talerz i wstał pospiesznie.

– Co? – spytał ostro.

– To generał, milordzie.

– Który generał? Masz na myśli sir George'a?

– Tak, milordzie. – Tom spojrział pospiesznie przez ramię, wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Co u licha...

– Brunton nie wie, co robić, milordzie – przerwał mu Tom chrapliwym szeptem. – Nie śmiał wpuścić generała, ale też nie śmiał go odesłać. Prosił, żeby chwilę zaczekał, a potem kazał mi pana sprowadzić, i to szybko.

– Dlaczego, do diabła, Brunton miałby go nie wpuszczać? – Grey kierował się już ku drzwiom, strzepując okruchy z rękawów.

– Bo hrabina tak mu kazała, jak mi się zdaje – odparł Tom usłużnie.

Grey zatrzymał się w pół kroku, nie wierząc własnym uszom.

– Co? Dlaczego miałyby coś takiego uczynić?

Tom zagryzł wargę.

– Ona... hm... zerwała zaręczyny, milordzie. A sir George chce wiedzieć dlaczego. Tak mówi.

*

– Co ona przez to rozumie, lordzie Johnie? – Sir George, uwolniony od konieczności czekania na ganku, stanowił uosobienie niepokoju. Perukę miał przekrzywioną, guziki płaszczka źle zapięte. – Nie podaje żadnego powodu. Żadnego!

– Napisała, że zrywa znajomość?

– Tak, tak, przysłała mi list dziś rano... – Sir George zaczął grzebać w kieszeniach i wreszcie wyciągnął pomiętą kartkę, na której rzeczywiście nie widniało nic poza prostym stwierdzeniem, że hrabinie jest bardzo przykro, ale uważa ich małżeństwo za niemożliwe. – Nie jestem przystojnym mężczyzną – oświadczył generał, spoglądając żałośnie w lustro nad toaletką i starając się na próżno wyprostować perukę. – Wiem, że nie ma na co patrzeć. Mam pieniądze, ale

ona ich oczywiście nie potrzebuje. Byłem początkowo niemal przekonany, że odrzuci moje oświadczenia, ale kiedy je przyjęła... Przysięgam ci, lordzie Johnie, nie uczyniłem nic... nic... co mogłoby być uznane za naganne. A jeśli w jakiś sposób ją obraziłem, powinienem bezzwłocznie przeprosić, ale jak mogę to uczynić, skoro nie mam pojęcia o swej winie, a ona nie chce mnie widzieć?

Grey współczuł sir George'owi i był zakłopotany zachowaniem matki.

– Jeśli wolno, sir. – Obrócił łagodnie generała ku sobie, rozpiął mu płaszcz i zapiął ponownie, tym razem prawidłowo. – Powiadają, że, hm, kobiety są zmienne. Ulegają atakom irracjonalnego zachowania.

– No tak, owszem – zgodził się generał, okazując nieco większe opanowanie. – Znam wiele kobiet, których to dotyczy. Gdyby jedna z nich przysłała mi taki list, odczekałbym dzień albo dwa, by mogła dość do siebie, a potem zjawilibym się z naręczem kwiatów i wszystko byłoby dobrze. – Uśmiechnął się ponuro. – Ale pańska matka taka nie jest. Ani trochę – powiedział, kręcąc głową z pełnym bezradności zmieszaniem. – To najbardziej logicznie myśląca kobieta, jaką kiedykolwiek poznałem. Do tego stopnia, że niektórzy uznaliby tę cechę za całkowicie niekobiecą. Ale ja nie – dodał pospiesznie, aby Grey nie uznał jego słów za obrazę. – Wykluczone!

Była to prawda – jego matka odznaczała się racjonalnym umysłem – więc Grey tym bardziej uznał tę sytuację za dziwną.

– Czy coś się... stało ostatnio? – spytał. – Gdyż jest to jedyna okoliczność, która przychodzi mi do głowy i która mogłaby wyjaśnić takie postępowanie.

Sir George zastanawiał się intensywnie, przygryzając wargi, ale w końcu pokręcił głową.

– Nie, nic – odparł bezradnie. – Nie zostałem zamieszany w żaden skandal. Nie miałem żadnej *affaire*, żadnego *duello*. Nie pokazałem się nigdzie pijany... nie zamieściłem nawet kontrowersyjnego listu w gazecie!

– No cóż, nie pozostaje nic innego, jak tylko zażądać wyjaśnień – oznajmił Grey. – Ma pan prawo to uczynić, jak sądzę.

– Też tak uważałem – wyznał sir George, okazując nagle nieśmiałość. – Dlatego przyszedłem. Obawiam się jednakże... Kamerdyner przekazał mi, że wydała polecenia... Nie chcę się narzucać...

– A co ma pan do stracenia? – spytał bezceremonialnie Grey i zwrócił się do Toma stojącego dyskretnie przy drzwiach, by powiedzieć, żeby zawołał pokojówkę hrabiny, ale nim zdążył to zrobić, drzwi się otworzyły.

– Och, sir George! – Twarz Olivii rozjaśniła się na widok generała. – Jakże miło pana widzieć! Czy ciocia Bennie wie, że pan przyszedł?

Z pewnością wiedziała, pomyślał Grey. Bez względu na obecną aberrację umysłową matki wierzył, że pozostało jej dość rozsądku, by przewidywać skutki, jakie wywoła list, poza tym bez wątplenia zauważyła powóz generała na ulicy.

Powóz był wiekowy, ale wciąż solidny, dostatecznie duży, żeby pomieścić kilku pasażerów, łącznie z małą orkiestrą przygrywającą im *en route*.

Wobec tego zdecydowała też, co należy zrobić, kiedy generał naprawdę się pojawi. A ponieważ wydała polecenie, by nie przyjmować sir George'a, szanse, by Grey namówił ją bez użycia tarana i łańcuchów do opuszczenia buduaru i porozmawiania z narzeczonym, były prawdopodobnie nikłe.

Podczas gdy dochodził do tak niefortunnych wniosków, Olivia wyciągała z sir George'a powód wizyty, czemu towarzyszyły konsekwentnie okrzyki grozy.

– Ale co skłoniło ją do tak niezrozumiałej decyzji? – zwróciła się do Greya, a jej wzburzenie przewyższało wzburzenie sir George'a. – Widzieliśmy zaproszenia! Ślub jest w następnym tygodniu! Wszystko gotowe, stroje, upominki dla gości, ozdoby! Ustalenia dotyczące śniadania weselnego... wszystko jest gotowe!

– Wszystko, z wyjątkiem panny młodej, jak widać – zauważył Grey. – Nie doznała chyba nagłego ataku nerwowego?

Olivia zmarszczyła czoło, przesuwając bezwiednie dłońmi po wydatnym brzuchu, co widząc generał odwrócił się taktownie, udając, że poprawia przed lustrem perukę.

– Zachowywała się nieco dziwnie podczas wczorajszej kolacji – przyznała Olivia. – Była bardzo spokojna. Przypuszczałam, że jest zmęczona... Przez cały dzień zmagaliśmy się z przymiarkami jej sukni. Niczego nie podejrzewałam. Ale... – Pokręciła głową, zaciskając usta. – Nie może mi tego zrobić! – zawołała, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę schodów z determinacją wspinacza gotowego wejść na Hindukusz.

Sir George, otworzywszy usta, popatrzył na Greya, który w odpowiedzi wzruszył ramionami. Z nich wszystkich tylko Olivia mogła uzyskać dostęp do buduaru jego matki. No i, jak wcześniej powiedział sir George'owi, nie miał on nic do stracenia.

Generał odsunął się od lustra i teraz krążył po pokoju, biorąc od niechcienia różne przedmioty do ręki i odkładając je na miejsce.

– Sądzi pan, że to sprawdzian mego oddania? – spytał z nikłą nadzieją w głosie. – Coś jak Leander przepływający przez Hellespont?

– Mniemam, że gdyby chodziło jej o to, by przyniósł pan jajo Ptaka-Roka albo coś w tym rodzaju, pewnie by powiedziała – odrzekł Grey jak najuprzejmiej.

Olivia pozostawiła drzwi uchylone; słyszał podniesione głosy na górze, ale nie potrafił się zorientować, o czym jest mowa. Generał przerwał bezładną wędrówkę po pokoju i teraz wpatrywał się w roślinę doniczkową nieprzytomnym wzrokiem. Wyciągnął rękę w stronę kominka i dotknął jednej z ulubionych ozdób Benedicty, figurki postaci z kommedia dell'arte – młodej kobiety w prążkowanym fartuszku. Grey zauważył ze wzruszeniem nieznaczne drżenie dłoni generała.

– Jest pan całkowicie pewien, że nic się nie wydarzyło? – spytał, chcąc zająć czymś niespokojny umysł generała, nie zaś w nadziei, że otrzyma jakąkolwiek odpowiedź. – Jeśli do czegoś doszło, musiało mieć to miejsce całkiem niedawno, gdyż przymierzała suknię ślubną zaledwie wczoraj, a nie robiłaby tego, gdyby...

Generał obrócił się do niego, wdzięczny, że Grey stara się go czymś zająć, ale wciąż niezdolny do udzielenia konkretnej odpowiedzi.

– Nie – powtórzył, kręcąc skonsternowany głową. – O ile się orientuję, jedyna godna uwagi rzecz, jaka się komukolwiek przytrafiła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, a o której wiem, to pańska przygoda w Tyburn. – Utkwił nagle wzrok w Greyu. – Doszedł pan już całkowicie do siebie? Przepraszam, powinienem był od razu spytać, ale...

– Owszem, doszedłem – zapewnił go Grey, nieco zakłopotany. Widział swe odbicie w lustrze nad ramieniem generała i choć za sprawą wypoczynku jego wygląd znacznie się poprawił, nadal można było dostrzec na twarzy liczne ślady, nie wspominając już o szorstkim zaroście pokrywającym brodę. – Skąd pan...

– Wspomniał o tym kapitan MacLachlan, kiedy spotkałem się z nim zeszłego wieczoru w swoim klubie. Był... pod wrażeniem pańskiej odwagi. – W tych ostatnich słowach pobrzmiwał pytający ton, który niejako zachęcał Greya do wyjaśnień, ale nienatarczywie.

– Kapitan i jego przyjaciel okazali mi niezwykłą pomoc – odrzekł Grey i zakaszłał.

Generał przypatrywał mu się teraz bacznie, ciekawość zaś przewyższała troskę.

– To niezwykle przykra sprawa – oznajmił. – Znałem bardzo dobrze kapitana Batesa. Był przed kilku laty moim adiutantem. Czy pan... Zakładam, że pan także się z nim zapoznał? Może w jakimś klubie? – Słowa te zostały wypowiedziane z wielką delikatnością. Generał najwyraźniej nie chciał sugerować jakichkolwiek powiązań Greya ze skazanym pederastą.

– Spotkałem go raz – odparł Grey, zastanawiając się, czy generał jest świadom politycznych machinacji kryjących się za procesem i skazaniem Batesa. – Niezwykle... interesujący dżentelmen.

– Owszem – przyznał sucho generał. – Był niegdyś świetnym żołnierzem. Wielka szkoda, że skończył w taki sposób. Nadzwyczaj brudna sprawa. Cieszę się jednakże – dodał – że nie odniósł pan poważniejszych obrażeń. Tłuszcza gromadząca się w Tyburn jest bardzo niebezpieczna. Widziałem, jak giną tam ludzie, i to tacy, którzy zachowywali się mniej prowokująco od pana.

– Tyburn? – odezwał się jakiś głos za plecami Greya, który odwrócił się na pięcie i zobaczył wpatrującą się weń Olivię. Usta miała otwarte ze zdumienia. – Byłeś wczoraj w Tyburn? – Jej głos wzniósł się o oktawę. – To ty chwyciłeś za nogi tego okropnego osobnika, a potem zostałeś zaatakowany przez tłum?

– Co? – Tom, który wcześniej wycofał się taktownie do holu, pojawił się teraz za Olivią, wybałuszając oczy. – To był pan, milordzie?

– Jak się o tym dowiedzieliście? – spytał Grey, który starał się ukryć zmieszanie, obrzucając oskarżycielskim spojrzeniem to kuzynkę, to służącego.

– Pokojówka mi powiedziała – wyjaśniła bezzwłocznie Olivia. – Krąży pamflet z twoją karykaturą, choć nie wymieniono twojego nazwiska, chwala Bogu, jak tarzasz się w błocie perwersji. Co cię opętało, by uczynić podobną...

– A więc dlatego pański mundur tak wygląda! – krzyknął Tom wysoce urażony.

– I dlaczego w ogóle znalazłeś się w Tyburn? – dopytywała się Olivia.

– Nie muszę się przed panią tłumaczyć, madame – zaczął Grey niezwykle surowym tonem, gdy w drzwiach pojawiła się jeszcze jedna postać.

– Coś ty, u licha, wyczyniał, Johnnie? – spytała ostrym tonem jego matka.

*

Grey nie mógł nic na to poradzić. Pomyślał, że na niewiele się zdało oszczędzanie uczuć krewnych płci żeńskiej. Obie patrzyły na niego jak na szaleńca.

Hrabina wysłuchiwała jego krótkiej relacji – pominął postać pani Tomlinson i swoją wizytę w Newgate – potem osunęła się powoli na krzesło, oparła łokcie o stół pośród śniadaniowych rekwizytów i ukryła twarz w dłoniach.

– Nie wierzę – powiedziała stłumionym głosem. Jej ramiona zaczęły drżeć.

Sir George wymienił przerażone spojrzenia z Greyem i zbliżył się do niej ostrożnie, ale znieruchomiał, nie będąc najwyraźniej pewny, czy jakiegokolwiek próby niesienia pociechy zostaną właściwie przyjęte. Olivia nie żywiła podobnych skrupułów.

– Ciociu Bennie! Najdroższa, nie powinnaś się denerwować. Johnny’emu nic się nie stało. No, już dobrze... – Pochylała się przez chwilę nad hrabiną, poklepując ją po ramieniu. Potem przygarbiła się jeszcze bardziej, a czuły niepokój widoczny na jej twarzy zniknął w okamgnieniu. – Ależ ciociu Bennie! – powiedziała z wyrzutem.

Benedicta, hrabina wdowa Melton, sięgnęła po chusteczkę i otarła łzy – jak się teraz okazało – rozbawienia.

– Johnnie, ty mnie wpędzisz do grobu! – zawołała, pociągając nosem i ocierając oczy. – Co robiłeś w Tyburn, u licha?

– Przechodziłem tamtędy – odparł sztywno. – I zatrzymałem się, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, ale nie zamierzała kwestionować jego słów. Zwróciła się do sir George’a, który, od chwili gdy się pojawiła, nie odrywał od niej wzroku.

– Jestem ci winna przeprosiny, sir George – powiedziała i wzięła głęboki

oddech. – I, jak przypuszczam, wyjaśnienie.

– O, nie, moja droga – oznajmił cicho generał. – Nic mi nie jesteś winna. Nigdy nie będziesz mi nic winna.

Jednakże spojrzenie sir George'a było tak wymowne, że hrabina wstała i zbliżyła się do niego pospiesznie, po czym ujęła jego dłoń.

– Przepraszam – rzekła ściszym głosem, lecz wyraźnie. – Wciąż pragniesz mnie poślubić, George?

– O, tak – zapewnił i nie odrywając pełnego napięcia wzroku od twarzy hrabiny, podniósł jej dłoń i ucałował.

– No cóż, miło to słyszeć – stwierdziła. – Ale nie będę cię trzymała za słowo, gdybyś przypadkiem zmienił zdanie z powodu tego, co ci powiem.

– Benedicto, wziąłbym cię bez grosza, w jednej koszuli – zaręczył z uśmiechem, ona zaś odwzajemniła mu się tym samym.

Grey odchrząknął.

– A co masz właściwie powiedzieć? – spytał.

– Nie wykorzystuj mojej dobrej natury – zaczęła jego matka, spoglądając nań spod przymrużonych powiek. – Po części to twoja wina. Opowiadałeś niemądre kłamstwa, że zostałeś przejechany przez furgon pocztowy. Sądziłam, że chcesz ukryć fakt, iż znów zostałeś napadnięty. Bez powodu.

– Doprawdy – odparł Grey, nieco oburzony. – Atak ze strony morderczego tłumu jest zrozumiały, podczas gdy atak ze strony przypadkowego rzeźmieszka już nie?

– To zależy od tego, czy napaść na ciebie i Percy'ego Wainwrighta była przypadkowa – rzekła hrabina. – Mamy tak stać tutaj, obok wystygłych grzanek i ości po śledziach, czy też możemy się przenieść w bardziej cywilizowane miejsce?

*

Kiedy już przeszli do salonu i podano im kawę, hrabina usiadła na sofie obok sir George'a, położyła dłoń na jego ramieniu i popatrzyła na Greya.

– Po śmierci twego ojca udałam się na jakiś czas do Francji – zaczęła. – Po powrocie do Anglii, w ciągu miesiąca, otrzymałam trzy propozycje małżeństwa. Od mężczyzn, jak miałam powody podejrzewać, zamieszanych w skandal, który pozbawił twego ojca życia. Odmówiłam każdemu z nich, co oczywiste.

Generał zeszytniał na te słowa, a zadowolenie zrodzone ze świadomości odnowionego narzeczeństwa zniknęło z jego twarzy.

– Od kogo otrzymałaś te propozycje małżeństwa? – spytał Grey, uprzedzając sir George'a.

– Nie powiem ci – odrzekła zwięźle.

– Mnie też nie powiesz, Benedicto? – Ton głosu generała wahał się między

oburzeniem i błaganiem.

– Nie – odparła gniewnie. – To moja osobista sprawa, a ja nie życzę sobie, byście obaj czy też we trzech – jestem bowiem pewna, że któryś z was powie Meltonowi – wsadzając kij w mrowisko, wnikali w sprawy, które lepiej pozostawić takimi, jakie są. Być może, nie chodzi o nic ważnego i mam nadzieję, że tak jest i teraz. Gdyby jednak zanosilo się na coś złego, nie chcę pogarszać sytuacji.

Sir George był gotów dyskutować, ale Grey popatrzył na niego i ich spojrzenia się skrzyżowały, a wtedy generał zrezygnował, choć jego mina mówiła, że wstrzymuje się tylko chwilowo.

– Czy strona z dziennika miała cokolwiek wspólnego z tymi ludźmi? – spytał Grey. – Strona z dziennika mego ojca, pozostawiona w gabinecie mojego brata – wyjaśnił generałowi i Olivii. – I, jak sędzę, inna została przesłana tobie, matko?

– Owszem, jak bystro wydedukowałeś – przyznała hrabina, wciąż zagniewana. – Jednakże żadna ze stron nie dotyczyła tych trzech ludzi. A twój ojciec rozmawiał ze mną kiedyś na ten temat. Wiedziałałam, że żywił podejrzenia wobec co najmniej dwóch z nich. W takim razie nie można wykluczyć, że uwiecznił w dzienniku swe podejrzenia – może zawarł tam też dowody je potwierdzające.

– Ponieważ, oczywiście, dziennik zniknął po jego śmierci – przypomniał Grey, kiwając głową. – Wiesz, kiedy to się stało?

Hrabina pokręciła głową. Nosila prostą suknię z perkalu, ale włosów jeszcze nie ułożyła; kryły się pod płóciennym czepkiem. Twarz miała zarumienioną i Grey nie dziwił się, że generał jest oczarowany. Była zmęczona i pełna napięcia, ale na swój wiek niezaprzeczalnie urodziwa.

– Nigdy nie przyszło mi do głowy tego sprawdzać. Upłynęło sporo czasu, nim czułam się na siłach do nich zajrzeć... do dzienników Pardloe. Nawet wówczas sądziłam, że któryś z was pożyczył jeden tom, ty albo Melton. Komu innemu by na nim zależało?

– Człowiekowi, który podejrzewał, że został w nim wymieniony, i to w sposób dlań niekorzystny – wyjaśnił Grey. – Dlaczego właśnie teraz pozostawia w różnych miejscach jego stronice, u diabła?

– By dowieść, że jest w jego posiadaniu – odparła bezzwłocznie. – A jeśli chodzi o powód... zakładałam, że jest nim wiadomość o moim rychłym małżeństwie z sir George'em.

Generał drgnął gwałtownie, jakby wbiła mu szpilkę w nogę.

– Co? – spytał z niedowierzaniem. – Dlaczego?

Twarz hrabiny zdradzała ślady nieprzespanej nocy, jednak w kącikach jej ust błąkał się uśmiech świadczący o poczuciu humoru.

– Może jesteś gotów wziąć mnie w jednej koszuli, mój drogi. Nie sędzę, by propozycje małżeństwa, jakie mi niegdyś złożono, wynikały z prostego faktu, że

ktoś mnie pragnie. Zatem ich źródło było dwojakie: moje pieniądze i pozycja albo też przypuszczenie, że stanowią zagrożenie dla owych dżentelmenów z powodu tego, co według nich mogą wiedzieć.

Grey potarł się po zaroście pokrywającym brodę. Majątek i pozycja hrabiny były znaczne. Jej szkockie koneksje, zwłaszcza po skandalu związanym z Kompanią Mórz Południowych i przegranymi powstaniem, nie liczyły się już tak bardzo, ale Armstrongowie wciąż stanowili liczącą się siłę.

– Czy ci dżentelmeni znajdowali się w sytuacji, w której byliby skuszeni twym majątkiem? – spytał Grey.

– Tylko nieliczni nie byliby skuszeni – wtrąciła Olivia z nietypowym dla niej cynizmem. – Rzadko spotykałam ludzi tak bogatych, by uważali, że nie potrzebują więcej pieniędzy.

Grey pomyślał, że Olivia jest młoda, ale nie jest głupia. I choć wydawało się, że wcześniejsze zaręczyny z kornwalijskim księciem kupieckim, niejakim Trevelyanem, nie pozostawiły po sobie bolesnych blizn, romans ten nauczył ją patrzeć trzeźwo na świat.

Benedicta skinęła głową, wyrażając aprobatę dla jej słów.

– To głęboka prawda, moja droga. Lecz gdy jeden z owych dżentelmenów chętnie skorzystałby z mego majątku i wpływów, dwaj pozostali posiadali dość dóbr doczesnych, by obejść się doskonale bez wdowy niezdolnej już do urodzenia dziecka.

– Zatem mniemałaś, że kierowali się określonym motywem: upewnić się, czy rzeczywiście stanowią zagrożenie dla ich bezpieczeństwa, i zapobiec owemu zagrożeniu, gdyby okazało się to prawdą – oznajmił sir George.

Hrabina skinęła głową, sięgnęła po kawę, a stwierdziwszy, że jest zimna, zmarszczyła nos i odstawiła filiżankę.

– Tak. Ale im odmówiłam, jak już wspomniałam, i nadal żyłam w spokoju. Jeden z nich pojawił się ponownie, by nalegać, lecz w końcu zrezygnował.

Hrabina, o ile Grey mógł się zorientować, nawet nie rozważała ponownego zamążpójścia, dopóki nie spotkała sir George'a.

– Pojmuję, dlaczego te stronicie dziennika mogły cię niepokoić, ciociu Bennie – rzekła Olivia, marszcząc czoło. – Ale jakiemu celowi miały służyć?

Benedicta spojrzała na generała.

– Na początku nie byłam pewna. Potem jednak bez wyraźnego powodu zaatakowano na ulicy i pobito Johna, co wzbudziło mój głęboki niepokój. – Wpatrywała się w twarz Greya z wyraźną troską. – A kiedy pomyślałam, że to się powtórzyło wczoraj... nabrałam pewności, że to ostrzeżenie, groźba, której celem jest zapobieżenie memu małżeństwu.

Grey wyglądał jak rażony piorunem.

– Co? Myślałaś...

– Tak, doszłam do tego bez twojej pomocy. – Wyraz troski na jej twarzy ustąpił irytacji. – Nie chciałam, byś następnym razem został zabity, przeto przyszło mi do głowy, że zerwę zaręczyny i to ogłoszę. Gdyby nie było więcej takich ostrzeżeń, wiedziałabym, że moje przypuszczenia są słuszne i mogłabym dalej drażnić tę sprawę.

– I gdybyś zerwała zaręczyny, a mnie mimo wszystko zamordowano by na ulicy, mogłabyś zrewidować swoją hipotezę. Wspaniale. – Poczul na twarzy rumieniec gniewu. – Na litość boską, matko! Kiedy, jeśli w ogóle, zamierzałaś mi o tym wszystkim powiedzieć?

– Mówię ci teraz – odrzekła z przesadną cierpliwością. – Jeden taki incydent mógł być przypadkiem, co nie usprawiedliwiłoby ujawnienia moich podejrzeń. Dwa to inna sprawa. A co do tego, że nie wspomniałam ci o swych podejrzaniach po owym pierwszym incydencie... Jeśli nie było w gruncie rzeczy żadnej groźby, nie chciałam, byś uczynił wspólnie z bratem coś niemądrego. Wciąż tego nie chcę. Gdybyście znaleźli się jednak w niebezpieczeństwie, wówczas musiałabym wyjaśnić sprawę. Ale ponieważ ta druga napaść została właściwie sprowokowana przez twoje zachowanie, tym samym nie ma związku z pierwszą, nam zaś pozostaje wierzyć w czysty przypadek. Gdybym wiedziała o twoim przygodzie w Tyburn... – Spojrzała na niego z podejrzliwością, świadoma, że nie mówi jej wszystkiego, tak jak ona jemu. – Nie czułabym się przymuszona do zerwania zaręczyn. Naprawdę powinieneś przeprosić sir George'a za narażenie go na tak silne zdenerwowanie, Johnie.

W trakcie owych wyjaśnień generał zdradzał coraz większy niepokój, w końcu przestał nad sobą panować.

– Benedicto! Gdyby ktoś... ktokolwiek... był tak nierozważny, by zagrozić tobie albo twoim synom, wtedy odpowiedziałby przede mną. Jestem pewien, iż o tym wiesz!

Hrabina spojrzała na niego z czułością, choć nie bez irytacji.

– No cóż, to niezwykle szlachetne z twojej strony, sir George'u, jednakże wolałabym, by moi synowie pozostali żywi niżli pomszczeni. Nie wątpię jednak, że dokonałbyś wspaniałej zemsty, gdyby zaszła taka konieczność – dodała, chcąc go udobruchać.

Grey czuł coraz większą złość wywołaną tonem tych przemówień, więc położył im kres, odstawiając z głośnym brzękiem filiżankę z kawą.

– Dlaczego ktokolwiek chciałby zapobiec twemu małżeństwu?

Odpowiedzi udzielił mu sir George, i to bez wahania:

– Mówiłem już, że broniłbym pańskiej matki i wszystkiego, co do niej należy... i jestem władny to uczynić, zapewniam. Gdyby Benedicta wiedziała o czymś, co może zagrozić owym ludziom, wtedy niewykluczone, że poślubiwszy mnie, powiedziałyby mi o tym otwarcie.

Grey poczuł się co najmniej dotknięty oczywistym przypuszczeniem, że on i Hal byliby niezdolni ochronić hrabinę, ale na tyle się opanował, by nie mówić tego głośno. Musiał przyznać, biorąc rzecz obiektywnie, że generał dysponował większymi pod tym względem możliwościami i zapewne, w przeciwieństwie do niego i Hala, mógł użyć perswazji, jeśli chodzi o zachowanie hrabiny, a nawet je kontrolować. Generał zaczął dostrzegać własne możliwości.

– Zakładam... że nie wiesz na dobrą sprawę o niczym, co mogłoby być niebezpieczne dla jednego z tych ludzi? – zwrócił się generał do hrabiny.

– Jeśli tak, to panu nie powie – oznajmił Grey, uprzedzając odpowiedź matki. – Jedno pytanie, jeśli pozwolisz. Czy którykolwiek z tych mężczyzn służy w pułku?

Wystraszyła się wyraźnie na te słowa i wypaliła:

– Boże, nie! – Wypowiedziała te słowa z takim przekonaniem, że nie można było wątpić, iż mówi prawdę.

– Dobrze więc. Jako że ja i Melton za niespełna miesiąc wyruszamy z pułkiem do Niemiec, mam prawo przypuszczać, że uda się nam do tego czasu uniknąć zglądzenia, jeśli w ogóle cokolwiek nam grozi. A kiedy już znajdziemy się za granicą, będziemy całkowicie bezpieczni. – Popatrzył na kuzynkę, która przysłuchiwała się temu wszystkiemu z na wpół otwartymi ustami. Jej spojrzenie przesunęło się po rozmówcach niczym wahadło zegara. – Przypuszczasz, że Olivii może coś grozić?

– Nie sędzę – odrzekła z namysłem matka. – Wątpię, czy którykolwiek z nich wie w ogóle, że zamieszkała tutaj, podczas gdy Malcolm Stubbs jest w Ameryce.

– Zatem pozostaje jedynie kwestia twojego bezpieczeństwa – oznajmił Grey. – Wyrusza pan do Indii Zachodnich, sir George? Gdyby moja matka mogła panu towarzyszyć, to zdołałby ją pan ochronić przed każdą napaścią, jak sędzę?

Na twarzy generała malowała się zaciętość.

– Niech tylko spróbują ją skrzywdzić – odparł, po czym zwrócił się do hrabiny z wielkim ożywieniem: – Zrobiłabyś to, Bennie? Pojechałabyś ze mną?

– Co, miałabym zostawić Olivię samą?

Olivia zareagowała gwałtownie:

– Och, nie! Mogłabym przenieść się do Minnie, sama mnie często o to prosiła. Byłoby nam wspianiale razem... Jedź, ciociu Bennie!

Hrabina przyglądała się przez chwilę siostrzenicy, oceniając jej szczerłość, potem westchnęła i zwróciła się do sir George'a.

– Śmiem twierdzić, że będą mi groziły większe niebezpieczeństwa – zaraza, choroba morska, żmije – niż te, które mogą mnie spotkać w Londynie. Ale zgoda. Pojadę.

Nie wybiło jeszcze południe, ale zadzwoniono po służbę, a później

wzniesiono toast za odnowione zaręczyny. Dopiero gdy Grey poszedł w końcu na górę, żeby się przebrać, przypomniał sobie matczyne słowa o prawdopodobieństwie.

Nie przyszło mu do głowy, że spotkanie z O'Higginsami w Hyde Parku mogło mieć coś wspólnego z późniejszą napaścią dokonaną przez Jeda i jego kompana przy Seven Dials. O'Higginsowie, ma się rozumieć, zaprzeczali z oburzeniem, jakoby znajdowali się gdzieś w pobliżu, gdy szedł przez park, i powołali się na co najmniej szesnastu świadków, którzy potwierdzili, że bracia w chwili owego incydentu uczestniczyli cnotliwie w pijatyce, jaka odbywała się w szopie na tyłach koszar. Nawet jeśli Grey był przekonany o ich tożsamości, nic nie potwierdzało, by zasadzili się wówczas na niego. Na dobrą sprawę to, że go rozpoznali, skłoniło ich do ucieczki. Mimo wszystko jednak...

„Jeden taki incydent mógł być przypadkiem... jak powiedziała hrabina. Dwa to inna sprawa”.

*

Grey opowiedział nazajutrz bratu o zerwaniu przez matkę zaręczyn i ich odnowieniu, a także o wszelkich wynikających z tego rewelacjach.

– Słyszałem o tej historii w Tyburn – przyznał Hal, przyglądając mu się uważnie. – Zechcesz mi wyjaśnić, o co chodziło? Bo nigdy nie uwierzę, że znalazłeś się tam przypadkowo.

Greya kusilo, by wspomnieć o rozmowie, jaką przeprowadził z kapitanem Batesem w Newgate, ale w żaden sposób nie mógł uniknąć wzmianki o Hubercie Bowlesie, co z kolei mogłoby prowadzić do pytań, których obaj nie chcieli zadawać albo na które nie chcieli odpowiadać.

– Nie – odparł po prostu. – Nie teraz.

Hal przyjął to bez jakiegokolwiek komentarza; potrafił drążyć bezlitośnie każdą sprawę, którą uważał za swoją – ale szanował prawo innych, by zajmowali się własnymi sprawami.

– Matka nie napomknęła o czymś, co pozwoliłoby ustalić tożsamość tych ludzi?

Kredens z robotem wciąż stał w kącie, ale Hal trzymał na biurku słoik z przepowiedniami i wkładał do niego dłoń, po czym wyjmował złożoną karteczkę, czytał ją i wrzucał z powrotem do szklanego naczynia.

– Nie. Sądzisz, że istnieją? – Ta myśl przyszła Greyowi do głowy nocą – że być może hrabina wymyśliła sobie te mgliste postaci. Choć gdyby tak się stało, nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego zerwała zaręczyny.

– O, tak. I mógłbym obdarzyć ich nazwiskami, jak mi się wydaje. – Hal rozwinął kolejną karteczkę. – „Ten, kto rzuca błotem, traci grunt pod nogami” – przeczytał. – Przypuszczasz, że napisali to bracia O'Higginsowie?

– Och? Kto? – Grey zachował spokojny ton głosu, mimo że puls mu przyspieszył. – Wątpię, czy w ogóle umieją pisać.

– Słuszna uwaga. – Hal wrzucił karteczkę z powrotem do słoja i nim potrząsnął. – Kapitan Rigby... Gilbert Rigby... i lord Creemore. Byłem akurat w Anglii, kiedy matka powróciła z Francji, i odwiedzałem ją niemal codziennie. Miała wielu gości, ale tych dwóch spotykałem najczęściej. Niejednokrotnie siedzieli z nią sam na sam.

Grey sięgnął do słoja, by ukryć nieznaczny żal, jaki odczuł na wzmiankę o tamtych latach, kiedy to został wykluczony ze spraw rodzinnych.

– „Temu, kto śmieje się z siebie samego, nigdy nie zabraknie powodu do śmiechu” – przeczytał i uśmiechnął się z niechęcią. – Przypominam sobie kapitanu Rigby’ego z czasów, kiedy ojciec jeszcze żył, ale bardzo mgliście... Przyprawiał swojego psa, o ile pamiętam. Nie wydaje mi się jednak, bym znał lorda Creemore.

– Może nie pod tym mianem. Nazywa się George Longstreet – oznajmił z powagą Hal. Wyjął ze słoja kolejną karteczkę, zapoznał się z jej treścią i kręcąc głową, wrzucił zwitek z powrotem do szklanego naczynia.

– Dlaczego mówisz mi o nich teraz? – spytał Grey zaciekawiony. – Kiedy ostatnim razem pytałem o okoliczności śmierci ojca, nie chciałeś udzielić odpowiedzi, by nie obrazić mojej inteligencji.

– „Nie myl pokusy z okazją” – przeczytał Hal nową mądrość, wrzucił karteluszek do słoja i odchylił się na krześle, patrząc z uwagą na brata.

– Nie chciałem ci mówić – odparł – bo wiedziałem, że jeśli to uczynię, zaczniesz natychmiast wsadzać kij w mrowisko, a nie było sensu rozgrzebywać spraw, które od lat leżą odłogiem. Teraz jednakże... – Przesunął po nim niespiesznym spojrzeniem, dostrzegając wciąż wyraźne sińce, i pokręcił głową. – Jeśli matczyzna teoria, że atak na twoją osobę stanowił ostrzeżenie dla niej, by milczała, jest słuszna, nie można wykluczyć kolejnej napaści. Wobec tego musisz dla własnego bezpieczeństwa wiedzieć jak najwięcej.

– Jestem wzruszony twą troską – powiedział sucho Grey, chociaż mimo wszystko była to prawda. – A ponieważ pułk wyrusza do Niemiec za kilka tygodni, wątpię, czy zdołam więcej niż raz wsadzić kij w mrowisko.

– No cóż, tak właśnie jest – przyznał szczerze Hal. – Nie zamierzam dać ci czasu na sen, nie wspominając już o tym, by włóczyć się po Londynie i szukać wszędzie ukrytych jakobitów.

– Zamierzasz jednakże powiedzieć mi, co wiesz o niegdysiejszych adoratorach matki. – Grey wyciągnął kolejną karteczkę zawierającą mądrość i ją rozwinął.

– Zgadza się. Co do Rigby’ego, to tylko się domyślam, ale wiem z całą pewnością, że Longstreet oświadczył się matce, ponieważ go na tym przyłapałem.

– Coś takiego – odrzekł Grey, nie kryjąc satysfakcji. – Położyłeś temu kres?
Hal popatrzył na niego spod przymrużonych powiek, potem odkaslnął.

– Pośrednio – przyznał i pospieszył z wyjaśnieniami: – Rigby należał wówczas do świty Walpole’a. Sam Walpole odwiedzał matkę. Było to miłe z jego strony. Wszystko wyglądałoby znacznie gorzej, gdyby nie przejawiał zainteresowania. Przysyłał do domu swego sekretarza i pomocników, kiedy zdrowie nie pozwalało mu zjawić się osobiście. Tak Rigby poznał matkę, jak sądzę.

– A Longstreet?

– Nie przejmuj się nim – odparł zwięźle Hal. – Sam się tym zajmę.

– Ta uwaga o wsadzaniu kija w mrowisko...

– Właśnie. Trzymaj się od niego z daleka.

Było to najwidoczniej wszystko, co miał usłyszeć o Longstreecie. Zatem Grey porzucił ten temat i powrócił do ważniejszej sprawy.

– Wydaje ci się wiarygodna? – spytał. – Ta teoria matki?

Hal zawahał się, potem skinął głową.

– Owszem – odrzekł. – Ale tylko pod warunkiem, że matka naprawdę wie coś, co może być dla kogoś niebezpieczne.

– Albo jeśli ten ktoś sądzi, że wie. Jednakże czy matka wie coś, co mogłoby być aż tak niebezpieczne, by usprawiedliwiać tego rodzaju tajemniczość?

Hal pokręcił głową.

– Nie pojmuję, w jaki sposób mogła wejść w posiadanie jakichkolwiek konkretnych dowodów. Gdyby rzeczywiście je miała, wówczas niewątpliwie przedstawiłaby je w czasie... skandalu. Wszystko, co wie, sprowadza się zapewne do tożsamości kogoś, kto był wówczas nie tylko jakobitą, ale też człowiekiem o znaczącej pozycji... i nadal nim jest.

Brzmiało to sensownie. Antyjakobickie nastroje przygasły w późniejszych latach wraz z porażką armii Karola Stuarta, ale choćby ślad podejrzenia o sprzyjanie jakobickiej sprawie wciąż pozostawiał piętno i mógł być wykorzystywany przez polityków i prasę.

– Longstreet mógłby się obawiać wówczas groźby ujawnienia, podobnie jak teraz – zauważył Grey. – A kapitan Rigby?

Hal się uśmiechnął.

– Tak przypuszczam. Zarządza obecnie Foundling Hospital. – Rozwinął następną karteczkę, roześmiał się i przeczytał głośno: – „Konkluzja to miejsce, w którym odczuwa się zmęczenie myśleniem”.

Grey uśmiechnął się i wstał.

– Przypuszczam zatem, że też do jakiejś konkluzji doszliśmy. Powiesz mi o wszystkim, co uda ci się ustalić à propos Longstreeta?

Dostrzegł błysk w oczach brata, ale tylko przez chwilę, nie zdążył się więc zorientować, co to takiego.

– Powiem ci o wszystkim, o czym będziesz musiał wiedzieć – zapewnił Hal.
– Nie masz tymczasem jakichś spraw do załatwienia?

– Mam – odrzekł Grey i wyszedł. W dłoni skrywał ostatnią karteczkę wyjętą ze słoja. „Ten, którego kochasz, jest bliżej, niżli sądzisz”.

Sześć dni do ślubu. Cztery dni – może pięć – do chwili powrotu Percy’ego Wainwrighta z Irlandii.

*

Hal nie żartował, mówiąc o braku snu. Grey niemal wyczuwał, jak pułk powstaje z zimowych kwater i przygotowuje się do wojny niczym niedźwiedź otrząsający się z hibernacji i przynaglany pierwszymi sygnałami głodu. A ludzi, tak jak niedźwiedzie, trzeba karmić. I w przeciwieństwie do zwierząt trzeba ich też ubierać, kwatrować, uzbrajać, szkolić, dyscyplinować i przenosić z miejsca na miejsce. No i, oczywiście, istniała jeszcze hierarchia wojskowa, wielogłowa bestia obdarzona żarłocznym apetytem.

Dni Greya przypominały teraz ciąg bezustannych czynności zlewających się w niewyraźną plamę: spieszył z gabinetów w Whitehall do biur okrętowych, prowadził narady wojenne z innymi oficerami, pisał raporty dziennie dla pułkowników, czytał rozkazy, pisał rozkazy, wkładał pospiesznie mundur galowy i dosiadał konia, by zająć miejsce na czele kolumny maszerującej ulicami Londynu przy wiwatach tłumów, potem rzucał wodze stajennemu i strzepywał z munduru włosie końskie w powozie wiozącym go na bal w domu Richarda Joffreya, gdzie musiał tańczyć z damami i konferować po kątach z dżentelmenami, ministrami, którzy nadzorowali machinę wojenną, i kupcami, którzy próbowali załatwić swoje interesy.

Jedynym korzystnym aspektem takiej sytuacji było, że podawano mu jedzenie, a stanowiło to niejednokrotnie, pomijając śniadanie, jego jedyną szansę na posiłek.

Właśnie podczas jednego z tych spotkań Hal stanął obok niego i oznajmił cicho:

– Lord Creemore jest chory.

Grey był tak wygłodniały i zaabsorbowany przeróżnymi sprawami, że nie od razu przypomniał sobie, kim jest lord Creemore.

– Och? Szkoda – odrzekł tylko, nie odrywając uwagi od grzanki z sardynkami, którą wziął od przechodzącego lokaja.

Hal popatrzył nań spod przymrużonych powiek i powtórzył z niejakim naciskiem:

– Lord Creemore jest chory. Bardzo chory, jak słyszałem. Nie wychodzi od dwóch miesięcy z domu.

– Ach! – odparł Grey, który zrozumiał wreszcie, o kim mowa. – George

Longstreet. – Pochłonał grzanekę dwoma kęsami i popił szampanem. – Pewnie nie był w stanie najać dwóch zbirów i kazać im podrzucić dokumenty. Jak sądzisz?

– Sądzę, że nie. O, zmierza w naszą stronę ten nudny osioł Adams. Porozmawiaj z nim. Gdybym ja musiał to zrobić, udusiłbym go. – Hal skinął od niechcenia głową i przeszedł obok ministra zaopatrzenia, po czym zagłębił się w tłum.

Wzdychając, Grey dopił szampana, odstawił kieliszek na tacę i wziął nowy.

– Panie Adams – powiedział. – Pański sługa, sir.

– Czy to nie lord Melton? – Bernard Adams będący osobą krótkowzroczną popatrzył spod przymrużonych powiek na drugi koniec pokoju, dokąd umknął Hal. – Chciałem z nim porozmawiać, zważywszy na niezwykłość jego prośby o...

Grey wypił następny kieliszek, wsłuchując się w zegar stojący w kącie i wybijający północ. Pomyślał o tym, jak przyjemnie byłoby zasnąć i przycupnąć bez życia u stóp Adamsa, będąc głuchym na jego paplaninę.

Tymczasem wbił wzrok w pieprzyk przy prawym kąciku ust tego człowieka, kiwając głową i krzywiąc się chwilami; opróżnił jeszcze trzy kieliszki szampana i uraczył się przekąskami z bekonu.

Kiedy trzy godziny później padł na łóżko otumaniony zmęczeniem i oparami alkoholu, zdołał zachować przez kilka sekund przytomność, zastanawiając się, czy rozpoznałby Percy'ego Wainwrighta po powrocie z Irlandii i czy w ogóle przypomniałby sobie, co z nim robić.

Rozdział 17

W którym między innymi dochodzi do ślubu

Dwudziestego siódmego lutego w należącym do parafii opactwa westminsterskiego kościele pod wezwaniem Świętej Małgorzaty doszło do zawarcia ślubu między sir generałem George'em Stanleyem i Benedictą, hrabiną wdową Melton.

Nie była to huczna uroczystość, ale przygotowana z wyszukaną elegancją i smakiem, jak zauważył Horace Walpole, jeden z gości. Olivia kazała przystroić kościół gałązkami choinek, przewiązаныmi złotymi wstążkami; woń sosny i cedru odświeżyła zatęchły nieco zapach starego wnętrza. Zgromadzeni – przystrojeni złotymi koronkami i diamentami dygnitarze wojskowi, politycy, przedstawiciele śmietanki towarzyskiej – świecili niemal takim samym blaskiem jak czterysta świec.

„Swymi dobrami cię obdarzam, swoim ciałem cię wielbię...”.

Grey siedzący w pierwszej ławce z Percym Wainwrightem widział wyraźnie wyraz twarzy generała, który zaskoczył go łagodną powagą. Był tym bardziej zdziwiony – a nawet nieco zaskoczony – kiedy dostrzegł w oczach hrabiny błysk aprobaty.

Doświadczył tego szczególnego dreszczu, który czuje każde dziecko, uświadomiwszy sobie nagle, że rodzic uczestniczył jakiegoś pradawnego dnia w cielesnym akcie, dzięki któremu ono przyszło na świat, i że jest zdolny uczynić to ponownie w jak najbardziej konkretnej i fizycznej teraźniejszości.

Zerknął na Percy'ego, czy i on doznaje owego pełnego lęku *frisson*, dostrzegł jednak na jego ruchliwej twarzy jedynie wyraz skrywanego żalu. Oczywiście, w przypadku tego młodzieńca wyglądało to zapewne inaczej; generał nie był jego ojcem i nie musiał się bronić przed wyobraźnią – Grey stłumił czym prędzej myśl o matce i ojczymie i wbił wzrok w Percy'ego, by nie patrzeć na młodą parę.

Światło wpadające przez jeden z witraży wydobyło kilka maleńkich ciemnych włosków przeoczonych podczas golenia, tuż pod dolną wargą Percy'ego, odbijało się w bursztynowych tęczęwkach oczu i muskało ciało delikatnymi barwami.

Grey żywił szczerą nadzieję, że jego nowy brat nie myśli... Percy obrócił nagle głowę i spojrzał mu w oczy. Grey odetchnął głęboko i umknął wzrokiem – skupił uwagę na witrażu, który przedstawiał męczeństwo świętego Wawrzyńca przypiekanego na różnie.

Stali jeden obok drugiego, ich surduty ocierały się o siebie. Poczul jakiś ruch pośród fałdów niebieskiego aksamitu, a wtedy dłoń Percy'ego musnęła jego rękę.

Był to zaledwie dotyk, ale Grey odetchnął głęboko, a zakłopotanie przerodziło się w błysk świadomości.

Dzisiejszej nocy...

Zawarli uroczysty pakt. Po śniadaniu weselnym mieli odejść i spędzić resztę dnia – a także noc – razem bez względu na wszelkie przeszkody.

Grey owinął na chwilę palec wokół palca Percy'ego, potem cofnął dłoń. Uświadomił sobie, że jego myśli wykroczyły znacznie poza granice tego, co jest w kościele dopuszczalne, i spróbował skupić uwagę na uroczystym duchowym wydarzeniu, które rozgrywało się przed jego oczami. Choć dlaczego Kościół postanowił przytaczać podczas nabożeństwa słowa „swoim ciałem cię wielbię”...

Dostrzegł Olivię, która chowała się dyskretnie za smukłym kamiennym filarem – zbyt smukłym, by mógł ukryć jej wydatny brzuch. Uśmiechnął się, potem zauważył, że jest blada, a na twarzy pojawił się grymas bólu. Pomyślał ze współczuciem, że zapewne przypomina sobie swój ślub i tęskni za Malcolmem.

Mogą upłynąć nawet dwa lata, nim waleczny kapitan Stubbs powróci do kraju, a do tego czasu jego potomek będzie...

Jej grymas stał się bardziej widoczny, twarz spurpurowiała. Grey, skonsternowany, uchwycił oparcie ławki, Percy zaś zerknął nań z ciekawością. Grey uniósł brodę, starając się zwrócić jego uwagę na niepokojące zachowanie kuzynki, ale filar i drewniany rzeźbiony parawan zasłaniały Percy'emu widok. Popatrzył ze zdziwieniem na Greya, a ten pochylił się nieco, chcąc zobaczyć, czy... lecz Olivia zniknęła.

Biskup rozwodził się ze swadą o uświęconym stanie małżeńskim i wydawało się, że jest gotów czynić to jeszcze przez dłuższy czas. Grey za pomocą nieznaczących ruchów głowy i grymasów próbował dać do zrozumienia jednej z kobiet po drugiej stronie przejścia, co się dzieje, ale pomijając uniesione ze zdziwienia brwi starszych sióstr Havisham i zalotne spojrzenia, jakie zza wachlarza rzucała mu lady Sheridan, nie potrafił uzyskać od nich spodziewanej reakcji.

– Co się stało? – spytał szeptem Percy.

– Nie wiem. – Nie mogła chyba zemdleć, tak aby nikt tego nie zauważył. A jeśli wyszła na zewnątrz odetchnąć świeżym powietrzem? – Pewnie nic. Zostań tutaj – wyszeptał i przeciskając się obok Percy'ego, wysunął się jak najostrożniej z ławki i ruszył szybkim krokiem w stronę wyjścia. Głowę miał pochyloną i zasłaniał sobie dłonią usta, jakby czuł się niedysponowany.

Dotarł do przedsionka i pchnął na oścież ciężkie drzwi, czym wywołał przedwczesny chór głosów wołających zgodnie „hurrra!” i brzęk skrzyżowanych rapierów czekającej na zewnątrz gwardii honorowej, której członkowie ustawili się w dwóch szeregach, tworząc szpaler dla szczęśliwych nowożeńców.

Krzywiąc twarz w formie przeprosin, Grey pomachał niezgrabnie obruszonym szermierzom i zamknął pospiesznie drzwi przy akompaniamencie pełnych niezadowolenia pomruków.

Przeklinając pod nosem, wsunął się z powrotem do kościoła i ruszył wzdłuż prawej nawy; zajrzał pospiesznie do niszy z chrzcielnicą i spojrzął ku zatłoczonym galeriom. Na litość boską, ciężarna kobieta nie mogła zniknąć w kościele pełnym ludzi!

Przekradł się do ustronnej bocznej kaplicy, ale nikogo tam nie znalazł. Na ołtarzu przed postacią o pozbawionej wyrazu twarzy – Chrystusa Orędownika, jak chyba nazwała go Olivia – paliła się pojedyncza świeczka. W tej jednakże chwili przyjąłby pomoc od każdego.

– Och... może zechciałbyś mnie jakoś wesprzeć? – wyszeptał, jako że nie znał oficjalnej modlitwy odmawianej w tym akurat celu. – Bądź tak dobry... – Skinąwszy uprzejmie głową, wycofał się i podjął poszukiwania, zmierzając nawą główną z powrotem w stronę drzwi. A jeśli zamierzała wyjść, ale wcześniej uległa słabości? – zastanawiał się.

Wodził dyskretnie wzrokiem po ławkach, na wypadek gdyby po prostu usiadła z przyjaciółkami, ale dostrzegał tylko zaciekawione spojrzenia obecnych. Ponownie dotarł do przedsionka i zawahał się, nie bardzo wiedząc, gdzie dalej szukać. Czy to za sprawą boskiej interwencji, czy zwykłego szczęścia zauważył w tym momencie niewielkie drewniane drzwi ukryte pośród cieni zalegających pod galerią organową.

Nacisnął klamkę, a stwierdziwszy, że owe drzwi nie są zamknięte, zaczął otwierać je ostrożnie... ale utknęły w połowie. Już miał pchnąć je mocniej, kiedy dojrzał wewnątrz stopę w cytrynowożółtym jedwabnym pantoflu.

– Olivia! – Wsunął głowę w otwór między framugą a drzwiami i zobaczył, że jego kuzynka siedzi na najniższym stopniu niewielkich schodów; przypominała cytrynowożółtą belę materiału. Widząc go, cofnęła stopę, pozwalając mu wejść do środka. – Olivio! Jesteś niezdrowa?

– Nie! – syknęła. – Na litość boską, Johnie, nie tak głośno!

– Mam kogoś zawołać? – wyszeptał, schylając się, by spojrzeć na nią z bliska. Nie było tu dużo światła, jedynie tyle, ile napływało z poddasza na górze. Schody tonęły w najbardziej delikatnych odcieniach przybierających postać różowych, niebieskich i złotych rombów, jakby Olivia siedziała u stóp tęczy.

– Nie, nie – zapewniła go. – Poczulałam się tylko zmęczona i chciałam przez chwilę posiedzieć.

Rozejrzał się wkoło, obrzucając otoczenie sceptycznym wzrokiem.

– I postanowiłaś posiedzieć tutaj zamiast w ławce. Coś takiego. Chcesz, żebym ci przyniósł trochę wody? – Najbliższa znajdowała się w chrzcielnicy, a jedynym naczyniem, w jakim mógł ją przynieść, był jego kapelusz. Mimo

wszystko...

– Nie potrzebuję... – Głos Olivii się załamał. Wygięła plecy, po czym zacisnęła mocno oczy i wargi. Wsunęła dłoń za siebie i przycisnęła pięść do krzyża. Twarz znowu jej spurpurowiała; widział to pomimo marnego światła.

Pragnął sprowadzić natychmiast jakąś kobietę, ale bał się zostawić kuzynkę w kleszczach spazmów. Bywał w pobliżu rodzących kobiet – żon żołnierzy i markietanek – ale nigdy nie obserwował owego aktu z bliska. Zawsze wyobrażał sobie, że jest przy tym dużo krzyku; w przypadku Olivii do niczego takiego jednak nie doszło. Na razie.

Zacisnęła usta i głęboko odetchnęła, odprężyła się nieco i otworzyła usta.

– Od jak dawna...? – Wskazał delikatnym ruchem jej wydatny brzuch. Odpowiedź, jakiej mogła mu udzielić, na niewiele by się zdała; nie miał najmniejszego pojęcia, ile to wszystko może potrwać.

– Dopiero od rana – zapewniła go i położyła sobie dłoń u nasady pleców, ponownie krzywiąc twarz. Wolałby, żeby tego nie robiła; przypominała nieodparcie gargulca na frontonie kościoła. – Nie martw się, wszyscy mówią, że pierwsze dziecko przychodzi na świat przez wieki. Czasem trwa to całymi dniami – dodała, oddychając spazmatycznie.

– Na twoim miejscu nie szukałbym w tym pociechy. – Odwrócił się i położył dłoń na drzwiach. – Przyślę tu kogoś.

– Nie! – Zerwała się na równe nogi, zaskakując go, ponieważ nie sądził, by mogła się w ogóle poruszać, a zwłaszcza tak szybko. Przywarła gorączkowo do jego ramienia. – Nic nie zakłóci tego ślubu, słyszysz? Nic!

– Ale ty...

– Nie! – Przybliżyła do niego twarz, a oczy spoglądały tak wyzywająco i władczo, że nie powstydziliby się tego sierżant nadzorujący musztrę na placu defiladowym. – Pracowałam nad tym przez ostatnie pół roku i nie pozwolę, by cokolwiek popsulo tę uroczystość. Nie waż się oddalać stąd nawet na krok!

Znieruchomiał; najwyraźniej mówiła poważnie. I wciąż trzymała go za rękaw. Westchnął i zrezygnował – chwilowo.

– W porządku. Ale, na litość boską, usiądź.

Ona jednak zacisnęła tylko zęby i nagle oparła się z całej siły o drzwi, przywierając do nich plecami. Jej brzuch niespodziewanie stał się jeszcze większy, jeśli było to w ogóle możliwe. Dotykał Greya, bo u dołu schodów pozostało mało miejsca, powietrze zaś wypełniała woń potu i czegoś słodko zwierzęcego, tłumiąc całkowicie nieznacznym zapachem pudru i eau de toilette.

Zaciskała dłonie, tak jak zęby, a on przyłapał się na tym, że robi dokładnie to samo. I że też wstrzymuje oddech.

Rozluźniła się i odetchnęła. On także.

– Na litość boską, Olivio!

Opierała się o drzwi, zaparłszy się nogami, i obejmowała swój wydatny brzuch; oczy miała zamknięte i wciąż dyszała. Po chwili uniosła jedną powiekę i spojrzała na niego.

– Nic nie mów – rzuciła i znów przymknęła oko.

Popatrzył na jej wydatną talię. Nie mógł pobiec po pomoc, gdyż opierała się o drzwi. W normalnej sytuacji po prostu by ją odsunął, ale sytuacja nie była normalna. Olivia wparła się we framugę, a on za żadne skarby świata nie chciał się z nią szarpać.

Poza tym dyszała niczym miech kowalski. A gdyby przytrafił jej się kolejny z tych budzących niepokój spazmów, gdy on odciągałby ją od... Nagle poczuł na karku powiew chłodnego powietrza. Spojrzał wystraszony ku górze.

Tak, ku górze. Rzucił okiem na Olivie, która wciąż zaciskała powieki z zacieklą determinacją, po czym obrócił się na pięcie i ruszył biegiem po schodach, zanim zdążyła go powstrzymać.

Wyskoczył na podeście obok siedzącego przy miechach dziecka, które zagapiło się na niego i znieruchomiło. Syk organisty znów zmusił je do pracy, choć malec wciąż wpatrywał się w Greya. Organista, którego dłonie i stopy unosiły się nad klawiszami i pedałami, zignorował go całkowicie, zapatrzony w małe lustro na instrumencie, pozwalające śledzić to, co dzieje się na dole, przy ołtarzu.

Grey przysunął się pospiesznie do balustrady i zdążył zobaczyć, jak generał Stanley bierze jego matkę w ramiona z tak nieklamany ucuciem, że zebrani nagrodzili to głośnym aplauzem. Grey wsunął gorączkowym ruchem rękę do kieszeni, szukając jakiegoś małego pocisku, i wyjął papierek z łakociami, które kupił dla Percy'ego; młodzieniec lubił słodycze.

Kto? Ktokolwiek, pomyślał. W każdym razie jakaś kobieta. Wszystkie głowy były zwrócone w stronę ołtarza, przy którym biskup unosił ręce do końcowego błogosławieństwa. Biorąc głęboki oddech i powierzając duszę Bogu, Grey cisnął jednym z cukierków w zgromadzenie wiernych. Zamierzał trafić w ławkę obok siedzącej w tylnych rzędach lady Anthony, jednej z bliskich przyjaciółek matki, ale niestety, trafił w jej męża, sir Paula, dokładnie w kark. Baronet drgnął i dotknął szyi w tym miejscu, jakby użądłony przez pszczołę.

Mężczyzna rozejrzał się wokół, spoglądając w każdym kierunku, tylko nie w górę. Grey wyjął następnego cukierka i zaczął szukać lepszego celu, kiedy jego uwagę zwróciło jakieś nieznaczące zamieszanie we frontowej części kościoła. Spojrzał tam i zobaczył, jak Percy Wainwright wychodzi z ławki i kieruje się ku tyłom przybytku, podczas gdy siedzący w pobliżu obracają w jego stronę zaciekawione twarze.

Porzuciwszy początkową strategię, Grey minął biegiem organistę i rzucił się w dół po schodach. Niemal zbyt późno dostrzegł Olivie, która znów przycupnęła u podnóża stopni. Przerażony myślą o umykającej pomocy, wsparł się obiema

dłońmi o przeciwległe ściany i przeskoczył nad nią, po czym wylądował z głośnym tupnięciem przy drzwiach. Otworzył je gwałtownym ruchem i ujrzał przed sobą Percy'ego Wainwrighta, który był wyraźnie przestraszony.

Grey wychylił się na korytarz, chwycił młodzieńca za rękaw i wciągnął go do niewielkiego pomieszczenia.

– Pomóż mi ją stąd wynieść!

– Co? Mój Boże! W porządku. Dokąd ją zabierzemy? – Percy zbliżał się ostrożnie do Olivii, nie mogąc pewnie zdecydować, w którym miejscu ją chwycić. Nagle na odgłos osobliwego dźwięku przypominającego świst cofnął się gwałtownie.

– O Jezu! – rzucił Grey, spoglądając z przerażeniem na kałużę, która zbierała się u jego stóp. – Olivio, nic ci nie jest?

– To nie krew – zauważył Percy podejrzliwie, starając się bez powodzenia trzymać z dala od rozlewiska.

– Moja nowa suknia! – załkała Olivia.

– Kupię ci nową – obiecał Grey. – Dwie. Musisz wstać, Olivio. Dasz radę?

– Mam kogoś wezwać? Doktora? – Percy ruszył niepewnie w stronę drzwi, ale został powstrzymany przez Olivię, która chwyciła go za surdut.

– Zaczekaj – poprosiła, siadając i dysząc. – W porządku. Tylko... – Twarz Olivii przez chwilę nic nie wyrażała, a potem pojawił się na niej wyraz najwyższego skupienia. Puściła odzienie Percy'ego i położyła sobie dłoń na brzuchu. Jej oczy i usta zrobiły się okrągłe.

Jeśli krzyknęła, to głos zniknął w nagłym wybuchu muzyki organowej.

– O Boże. – Grey przyklęknął bezzwłocznie i zaczął grzebać w bezkresnej masie żółtego jedwabiu. Teraz dostrzegł krew, choć było jej niewiele. – O Boże, dobrze się czujesz, Olivio?

– Nie wydaje mi się, Johnie.

Percy wołał coś, starając się przekrzyczeć muzykę. Stał obok na stopniu i gorączkowo ocierał włosy i twarz Olivii chusteczką.

– Czy ona... – Jego słowa zostały stłumione, kiedy organista wcisnął pedały, a w górze rozbrzmiały potężne akordy; pomieszczenie zatrzęsło się od oghuszającego dźwięku.

Grey, naprężając się z wysiłku, odnalazł nogę pod jedwabiami. Druga musiała gdzieś się znajdo... znalazł ją. Chwycił kolana Olivii, mając nadzieję, że robi to w odpowiedni sposób, i starał się nie patrzeć, co się między nimi dzieje.

Nagle kuzynka osunęła się, przywierając do Percy'ego tak mocno, że Grey pomimo muzyki usłyszał jego stęknięcie. Młodzieniec chwycił Olivię za ramiona i przyciągnął jej głowę o zmierzwionych włosach do swej piersi. Grey poczuł dreszcz przenikający ciało kobiety niczym fale dźwięku, które w nich uderzały, i z niechęcią spojrzął w dół.

W pobliżu rozległ się łoskot, gdy drzwi kościoła się rozwarły, i po chwili przy akompaniamencie brzęku rapierów i wiwatów żołnierzy w dłonie Greya wśliznął się długi sinawy stwór, któremu towarzyszyła fala płynów brudzących mu kremowe jedwabne spodnie.

*

– Obaj musicie być ojcami chrzestnymi – oświadczyła Olivia, leżąc w łóżku w domu przy Jermyn Street. Spojrzała z miłością na niemowlę przy piersi.

Grey zerknął na Percy'ego, który patrzył rozpromieniony na matkę i dziecko niczym renesansowy artysta specjalizujący się w obrazach *Madonna e bambino*.

– Bylibyśmy zaszczyceni – odparł Grey z uśmiechem. – A teraz, jak sądzę, powinnaś odpocząć. My zaś musimy się udać do łaźni tureckiej. Zdajesz sobie sprawę, że to już drugi komplet odzienia, który w tym miesiącu spaliłem?

Olivia nie zwróciła uwagi na jego słowa, całkowicie pochłonięta podziwianiem małego chłopca w swych ramionach.

– Jak myślisz? John Percival Malcolm Stubbs? Czy Malcolm John Percival?

– Nazwij go Oliver – zasugerował Percy, ocierając dłonie skrajem bardzo poplamionej chustki.

– Oliver? – Olivia popatrzyła na niego zdumiona. – Dlaczego Oliver?

– Cromwell – wyjaśnił Grey, pojmując od razu, o co chodzi Percy'emu. – Ma najbardziej okrągłą głowę, jaką kiedykolwiek widziałem.

Olivia spojrzała nań z ukosa, a po chwili na jej twarzy pojawiło się zrozumienie.

– Och, Cromwell! – powiedziała, lecz zamiast się roześmiać, popatrzyła w zamyśleniu na dziecko. – Cromwell Stubbs? Podoba mi się, i to bardzo!

Rozdział 18

Wreszcie

Pokój był mały, lecz został wyposażony w podstawowe sprzęty. Przede wszystkim stało tu okazałe łóżko, co w tej chwili było najważniejsze.

Grey zobaczył je ponad ramieniem Percy'ego, kiedy ten otworzył drzwi – zaopatrzone w zamek, więc tym lepiej – i pokonał kilkoma krokami niewielką przestrzeń, żeby odsunąć zasłony. Do środka wpadło szare światło i ciemny pokój zajaśniał blaskiem.

– Diabelnie zimno – zauważył Percy i odwrócił się z przeproszającym wyrazem twarzy. – Rozpalę ogień... dobrze? – Ruszył w stronę małego kominka, ale przystanął, trzymając dłoń nad pudełkiem z hubką i krzesiwem i wbijając ciemne oczy w Greya.

Ten poczuł bolesne pulsowanie w zmarzniętych dłoniach i zaczął się zmagać z rękawiczkami, które w końcu zdjął i zrzucił. Potem ściągnął z siebie wierzchnie okrycie i surdut, które utworzyły zaśnieżony wzgórek, po czym pokonał wąski pokój dwoma krokami i wziął Percy'ego w ramiona. Wsunął dłonie pod płaszcz Percy'ego i jego surdut, wyciągnął gwałtownym ruchem koszulę ze spodni, ogrzewając zmarznięte palce w ciepłe skóry młodego człowieka.

Percy krzyknął pod wpływem zimnego dotyku, roześmiał się i wparł Greyowi kolano w udo, a potem odsunął go od siebie i jedną ręką zaczął rozpinać mu koszulę, podczas gdy drugą rozpinał swoją. Grey powstrzymał go, szarpiąc gwałtownie guziki i urywając jeden w zbytnim pośpiechu. Pragnął za wszelką cenę zbliżyć się ponownie do tego cudownego, ciepłego i gładkiego ciała.

Ich oddechy mieszały się ze sobą. Grey czuł gęsią skórę na ramionach Percy'ego i powiew zimnego powietrza na nagich żebrach. Po chwili, na wpół rozebrany, zaciągnął młodzieńca ze spuszczonej do kolan spodniami do lodowatego łóżka.

– Co? – zaprotestował Percy, śmiejąc się i wykręcając. Zaczął kopać wściekle pościel, próbując uwolnić się od spodni. – Jesteś tylko bestią? Czy mogę liczyć na choćby mały pocałunek, zanim...

Grey stłumił jego słowa ustami, czując ostrość zarostu, tych maleńkich włosków, i teraz skubał miękkie, pełne wargi wciąż splamione winem.

– Wszystko, co zechcesz – rzucił bez tchu, przerywając pocałunek, żeby zaczerpnąć powietrza. – Tak, jestem bestią. Wykorzystaj to. – Powrócił do tych namiętych zmagania, pragnąc zbliżyć się jeszcze bardziej, spragniony żaru młodzieńczego ciała.

Chłodna dłoń Percy'ego wniknęła między nich i ten dotyk, choć zimny, wydawał się jednocześnie palący. Grey poczuł, jak szwy jego spodni puszczają, gdy Percy ściągnął je gwałtownym ruchem, i pomyślał przelotnie, jak to wytłumaczy Tomowi. Penis Percy'ego otarł się o jego penis, sztywny i rozpalony, a wtedy Grey przestał w ogóle myśleć.

*

Żadnemu z nich nie przyszło do głowy zamknąć drzwi. To pierwsza przytomna myśl, jaka mu zaświtała, a niepokój kazał usiąść gwałtownie. W domu panował spokój, w pokoju cisza; słychać było jedynie szept śniegu na szybie i kojący oddech Percy'ego. Mimo wszystko wysunął się z przytulnego ciepła pościeli i podniósł z podłogi płaszcz młodzieńca, po czym okrył nim swe nagie ciało i drżąc z zimna, ruszył do drzwi, by je zamknąć.

Grzechot klucza w zamku zbudził Percy'ego, który przekreślił się z sennym pomrukiem na łóżku.

– Wracaj – wyszeptał.

– Rozpalę ogień – odpowiedział Grey też szeptem.

Żar cielesnych zmagania rozgrzał ich, ale w pokoju wciąż panował przejmujący ziąb. Blask padający przez okno pozwolił dostrzec ciemny zarys kosza, w którym Percy trzymał skąpy zapas polan i podpałki. Grey ukląkł i zaczął w nim grzebać, trącąc kwadratowe pudełko z hubką, które prześliznęło się po kratownicy paleniska. Kiedy wziął je do ręki, było pokryte popiołem i kurzem. Nikt od dłuższego czasu nie zamiótł tego pokoju; Grey podejrzewał, że Percy'ego nie stać na zatrudnienie kobiety do sprzątanía, choć pościel wyglądała na świeżo upraną.

Świadom bliskości kochanka, starał się rozniecić ogień. Na jego ustach i dłoniach wciąż trwało wspomnienie pieśczęt, czuł na plecach wzrok młodego człowieka i słyszał szelest kołdry, gdy to zgrabne nagie ciało poruszało się w łóżku.

Wciąż czuł na wargach jego smak. Każdy człowiek odznacza się indywidualnym smakiem; ten Percy'ego przypominał nieznacznie grzyby – smardze, jak mu przyszło do głowy, być może trufle. Coś niezwykłego i rzadkiego, jakby z głębi samej ziemi.

Hubka wydała melodyjny dźwięk, trysnęły iskry i zajaśniały na polanach, ale ogień nie zapłonął. Raz, z ciekawości, Grey posmakował samego siebie; poczuł lekką słoność pozbawioną jednakże charakteru jak białko jajka. Może Percy sądził inaczej?

Iskra wznieciła małeńki płomień, więc dorzucił pospiesznie słomy. Ogień rozblęsnął u szczytu, potem wybuchł niespodziewanie wzdłuż źdźbeł. Grey sięgnął po patyki, które miały przynaglić ten wąty jeszcze płomień.

Podniósł się z klęczek, rozprostowując zmęczone nogi; czekał, by się

upewnić, czy ogień rozgorzał na dobre. Usłyszał, że Percy bierze oddech, jakby chciał coś powiedzieć, nie zrobił tego jednak.

Sam chciał się odezwać, potwierdzić słowami to, co nie tak dawno ich połączyło, lecz stwierdził, że jest niewytłumaczalnie nieśmiały, więc obrócił się w stronę okna i popatrzył na pokryte bielą dachy Londynu, przygarbione niczym pogrążone we śnie i milczące pod śniegiem stwory.

Po szybie spływały strużki – pamiątka ich zmieszanych oddechów, ślad ich potu.

Niebo przesiąknięte światłem ukrytego księżyca miało niezwykle szaroróżową barwę; lśniło w kropelkach wilgoci niczym kryształ. Dotknął jednej palcem, a ona zniknęła, pozostawiając na szkle wyraźny mokry krążek. Nakreślił powolnym ruchem serce, stojąc z boku, by Percy mógł to widzieć, potem zaś umieścił w środku swoje inicjały, jego zaś poniżej. Od strony łóżka dobiegł cichy śmiech, a on niemal poczuł, jak przepływa między nimi fala ciepła.

Posiadł Percy'ego dwukrotnie i rozkoszował się każdą chwilą: od pierwszych niepewnych ruchów aż do przemożnego poczucia władzy i posiadania – tak ekscytującego, że przedłużałby je bez końca, gdyby nie spełnienie, któremu nie mógł się oprzeć, a które wydrążyło go całkowicie, pozbawiając pamięci o sobie i Percym.

Ogień zapłonął na dobre. Pochylił się i dorzucił do niego porządny kawał drewna, potem jeszcze jeden.

Rzadko poddawał się penetracji ze strony kochanków, nie przepadał za poczuciem czyjejs dominacji.

Kiedyś, przed wielu laty, został zgwałcony, ale zdołał okiełznać to wspomnienie i przemienić w pomniejszą niefortuną przygodę. Od tamtej pory przeżywał zawsze chwilę paniki, gdy czuł, że jego ciało chce tak nagle ulec owemu żądaniu. Hector, oczywiście – lecz Hector był wcześniej.

Czuł, że Percy czeka na niego, ale zwlekał, rozdarty między samym pożądaniem i pragnieniem czekania, tak aby spełnienie było rozkoszniejsze.

Przywoływało go ciepło ciała kochanka i myśl o tym długim gładkim penisie – dłuższym nieco od jego, zwieńczonym wielką główką, jak sobie wyobrażał. Jeszcze go nie widział. Zastanawiał się, jak będzie wyglądał w nadchodzącym świetle dnia?

Do świtu jednakże było daleko. Dotarły do niego stłumione dźwięki dzwonu kościelnego, on zaś czekał, licząc uderzenia. Tkwili pogrążeni w nocy; pozostały jeszcze godziny ciemności. Odosobnienia.

Rozległ się niespokojny szelest pościeli.

Czy powinien? Pomyślał, że Percy nie będzie nalegał. Jednakże zwykła przyzwoitość... Skrzywił się, uświadamiając sobie, że żadnej normalnej osobie nawet nie powstałoby w głowie określenie „przyzwoitość” w sytuacji, w jakiej

znaleźli się on i Percy.

Znów szelest pościeli, tym razem głośniejszy, i oddech Percy'ego. Czy zbliżał się do niego? Nie, zatrzymał się. Bojąc się posunąć dalej, nie chcąc przynaglać pożądaniami, które być może, nie jest wyczekiwane. Grey odwrócił się i popatrzył na młodzieńca.

Ta pełna życia twarz była nieruchoma, oczy nie tchnęły już ciepłem, tylko żarem, jak narastający ogień za plecami Greya, który poczuł, jak po nogach pełźnie mu gorąco, jak obejmuje pośladki. Zrzucił z siebie okrycie i stanął nagi; włoski na jego ciele drgnęły w chłodzie pokoju.

Miał włosy w nieładzie, ale wciąż przewiązane. Pukle Percy'ego były krótko przycięte ze względu na perukę, ale teraz sterczały na końcach, wilgotne i nastroszone jak rogi diabła. Sięgnął niespiesznym ruchem za siebie i zsunął wstążkę z włosów.

– Pragniesz mnie? – spytał Grey cicho, jakby ktoś mógł go usłyszeć pod tymi śpiącymi dachami za oknem.

– Wiesz, że tak – odparł Percy jeszcze cichszym głosem, a jego spojrzenie paliło Greya w każdym miejscu, na którym akurat spoczęło.

Grey odetchnął głęboko, odwrócił się, skrzyżował ręce na gzymisie kominka i złożył na nich głowę. Rozsunął nagie stopy, czując ostre drobinki pod ich podbiciem.

– Zatem chodź – powiedział. I czekał z zamkniętymi oczami, podczas gdy oddech ognia parzył mu jądra.

*

– Mam ci zdradzić wielki sekret? – Głos Percy'ego był cichy, a oddech owiewał ucho Greya ciepłem.

– Proszę – wyszeptał.

– Nie mam na imię Percival.

Grey nie cofnął ręki, ale przekręcił głowę. Twarz Percy'ego, zanurzona do połowy w bieli poduszki, była zwrócona w drugą stronę.

– Doprawdy – odparł Grey, nie bardzo wiedząc, czy to jakiś żart, czy... A jeśli nie żart, to co? – Jak więc brzmi twoje imię? Chcesz mi wyznać, że w rzeczywistości jesteś tym słynnym Dickiem, rozbójnikiem, który grasuje na gościńcach? Czy może młodszym bratem Pretendenta? Bo jeśli tak...

Percy uniósł się gwałtownie w płataninie pościeli i uderzył Greya mocno w ramię.

– Och! – syknął Grey. Znów zanurzył rękę w piernatach i położył dłoń na udzie młodzieńca, po czym ścisnął je przepraszająco i czekał.

Słyszał głęboki i nierówny oddech Percy'ego i wyczuwał napięcie w nodze, której dotykał.

– Mówiłem ci... że mój ojciec był duchownym w pewnym odłamie metodystów – odezwał się w końcu Percy.

– Owszem, mówiłeś – przyznał ostrożnie Grey.

– Przypuszczam, że nie masz pośród swych znajomych zbyt wielu metodystów, Johnie?

– Nic o tym nie wiem. – Dokąd to zmierzało, u licha? – pomyślał. Był tylko pewien, że nie chodzi o jakiś żart. Miejsce na przedramieniu, tam gdzie uderzył go Percy, pulsowało boleśnie. Wiedział, że rano pojawi się siniec.

Percy parsknął, choć nie był to śmiech.

– Nie jestem zaskoczony. Metodyści prezentują bardzo surowe poglądy. Odnosi się to zwłaszcza do tego odłamu, do którego należał mój ojciec. Ci ludzie uznaliby ciebie i twoich bliskich za niegodnych poważania i bezbożnych.

– Naprawdę? – spytał chłodnym tonem Grey. Mógł się przyznać, że w przeciwieństwie do matki i kuzynki uczęszcza do kościoła niezbyt regularnie... ale niegodny poważania? On?

– Mój ojciec uznawał nawet arcybiskupa Canterbury za człowieka niegodnego poważania, Johnie – pospieszył z wyjaśnieniem Percy, uświadamiając sobie bez wątpienia uczyniony kochankowi afront. Roześmiał się niepewnie, odetchnął głęboko i położył się na plecach, podciągając pościel do piersi. – Mam na imię Perseverance – wyrzucił z siebie jednym tchem.

– Per... – Grey leżał całkowicie nieruchomo, wstrzymując oddech i koncentrując się na mięśniach brzucha.

– No dalej, śmieję się – rzucił w ciemności Percy, nie kryjąc ironii. – Nie pogniewam się.

– Owszem, pogniewasz – odparł Grey, choć wciąż nie potrafił zapanować nad śmiechem, który wzbierał mu w krtani i w końcu dobył się głośnym parsknięciem przez nos. Żeby nie pogarszać sytuacji, powiedział to, co w pierwszej kolejności przyszło mu do głowy: – A jak masz na drugie imię?

Percy roześmiał się, jakby się nieco odprężył, kiedy już doszło do tego strasznego wyznania.

– Drugie imiona to bezużyteczna ostentacja, ornament arogancji i zapowiedź potępienia dla tych, którzy pławią się we własnej pysze. Jedno chrześcijańskie imię wystarczy każdej bogobojnej duszy – oświadczył Percy z udawaną surowością. – Przypuszczam, że masz dwa albo nawet trzy, prawda?

– Nie, tylko jedno – zapewnił go Grey, przekręcając się na bok, by spojrzeć na młodzieńca. – I, jak się obawiam, nie jest egzotycznie grzeszne jak Achilles czy Oswald... to bardzo prozaiczny William. Jezu – mruknął, uświadomiwszy sobie coś nagle. – Jak mam cię teraz nazywać? Nie mogę już mówić do ciebie „Percy”, zachowując jednocześnie powagę. – Wtem coś jeszcze przyszło mu do głowy. – Generał wie?

– Nie – odparł Percy z przekonaniem. – Od śmierci mojej matki nie wie nikt oprócz mnie.

– Nie powiedziała mu?

– Nie – odrzekł cicho Percy. – Wiedziała, jak bym... Wiedziała. Nigdy nie mówiła na mnie inaczej niż „Percy”.

Grey zastanawiał się przez chwilę, czy Percy’emu chodziło o to, że jego matka wiedziała... ale nie, z pewnością. Zresztą teraz nie pora na rozmowę o tym. Na razie uświadamiał sobie rozmiary tego daru, jaki przekazał mu Percy.

Tylko on wiedział. Percy miał rację – był to wielki sekret, a Grey odczuwał ciężar zaufania, jakim obdarzył go kochanek; czuł jego ciepło na sercu.

Poszukał dłoni Percy’ego i znalazł ją, nieco chłodną. Leżeli przez chwilę w milczeniu, jeden obok drugiego, trzymając się za ręce i ogrzewając się nawzajem ciepłem swoich ciał.

Dzwon kościelny wybił godzinę. Grey liczył przeciągłe, powolne uderzenia i czuł, że Percy leżący obok niego robi to samo. Północ. Mnóstwo czasu do świtu.

Dzwon umilkł, a powietrze zadrgało i zafalowało, nieruchomiejąc wokół nich jak woda stawu.

– Mam ci zdradzić wielki sekret? – wyszeptał w końcu Grey. W pokoju panował mrok, lecz jego oczy przywykły już do ciemności. Czarne belki krzyżowały się na pobielonym suficie, tak blisko, że mógłby ich dotknąć, gdyby usiadł.

– Proszę. – Percy ścisnął jego dłoń.

– Mojego ojca zamordowano.

*

– Wiesz, ja go znalazłem. – Te słowa dobieły się z zaskakującą łatwością, jakby Grey opowiadał tę historię już wielokrotnie, choćby samemu sobie. – Był w oranżerii. Znajdowały się tam drzwi prowadzące do ogrodu. Pozwalały wyjść niepostrzeżenie z domu i wrócić, też niepostrzeżenie. Zawsze to wykorzystywałem.

Także wcześniejszej nocy wymknął się tamtędy na niedozwoloną wyprawę nad rzekę z synem miejscowego pastora. Zostawił drzwi oranżerii starannie zaklinowane, by zapewnić sobie dyskretny powrót o świcie, i gdy pojawił się pod domem w miękkim szarym świetle, mokry do kolan, z ciekawymi kamykami i martwym rakiem w kieszeniach, a także malutkim króliczkiem pod koszulą, drzwi wyglądały tak, jak je pozostawił. Rozejrzał się uważnie wokół, na wypadek gdyby ogrodnicy zaczęły wcześniej pracę, po czym wsunął się do środka. Serce waliło mu z podniecenia.

– Było tak cicho – powiedział i odżyło to w jego pamięci. Szklany dach zaczynał się z wolna jarzyć, ale pomieszczenie wciąż spało. Wszystko tonęło w szarości i cieniach, jakby odrealnione. – Nie nastał jeszcze dzień. Z samego

domu nie docierał żaden dźwięk. Paprocie, winorośle i drzewa stały nieruchome, a jednak... wiesz, jak rośliny zdają się oddychać? Czyniły to. Nie zobaczyłem go... jego ciała... od razu. Moja stopa natrafiła na broń, która leżała tuż przy drzwiach i przesunęła się po podłodze ze straszliwym klekotem.

Znieruchomiał wtedy, a potem skrył się pośpiesznie za rzędem doniczek z akacjami, bojąc się, że ktoś usłyszał ten rumor. Nikt jednakże nie zareagował, więc wyrzwał ostrożnie ze swojej kryjówki.

– Leżał... leżał pod drzewkiem brzoskwiniowym. Jeden z dojrzałych owoców spadł i rozbił się obok niego na kamiennej posadzce. Czułem ten zapach.

Czuł go, ten bogaty, słodki aromat; przenikał egzotyczną wilgotność roślin i mieszał się z gęstszym odorem krwi i wnętrzości. Wtedy po raz pierwszy zetknął się z wonią śmierci. Nigdy ten zapach nie prześladował go na polu walki, ale Grey potem już nie był w stanie jeść brzoskwiń.

– Jak daleko...? To znaczy... no wiesz, chodzi mi o broń? – spytał Percy z największą delikatnością, a Grey ścisnął mu palce, by dać do zrozumienia, że ją docenia.

– Nie, nie mógł jej upuścić. Leżał w odległości co najmniej sześciu metrów, między ławką a wielkimi roślinami w donicach.

Od razu się zorientował, że to ojciec. Księżę miał na sobie ulubiony stary surdut, sfatygowane wełniane odzienie w kratę, nadające się jedynie do noszenia po domu.

– Wiedziałem od razu, że nie żyje, wystarczyło mi jedno spojrzenie – powiedział, spoglądając w białą pustkę nad głową. – Ale podbiegłem do niego.

Nie potrafił opisać swoich uczuć, bo nie doznał wtedy niczego. Nagle świat się dla niego skończył, a wraz z nim wszelka wiedza o czymkolwiek. Nie rozumiał, jak życie może się toczyć dalej. To była pierwsza lekcja dorosłości – że w jakiś straszny sposób życie może się jednak toczyć dalej.

– Strzelono mu w serce, choć nie widziałem rany, a jedynie kałużę krwi na podłodze pod ciałem. Twarz nie nosiła żadnych śladów. – Jego głos dobiegał jakby z daleka. – Nie miałem czasu przyjrzeć się dokładniej. W tym momencie otworzyły się drzwi prowadzące w głąb domu.

Instynkt, bardziej niż jakakolwiek myśl, kazał mu ponownie ukryć się za akacjami; przycupnął tam, zastygł w bezruchu niczym króliki, na które tej nocy polował.

– To była moja matka – wyjaśnił.

Miała na sobie swobodny strój poranny, bo nie zdążyła się jeszcze ubrać, a włosy splecione w gruby warkocz spoczywały na jej ramieniu. Zobaczył, jak pada na nią przez szklany dach pierwsze światło dnia, jak błyszczy na owym warkoczku o jasnej barwie, jak dobywa z mroku nieufną twarz.

– Gerry? – powiedziała cichym głosem.

Mały królik w koszuli Johna drgnął wówczas, zaniepokojony bezruchem człowieka. Grey był jednak zbyt zszokowany, by cokolwiek zrobić, by zawołać do księżnej.

Rozejrzała się i rzuciła jeszcze raz:

– Gerry?

Potem go zobaczyła i wszelki kolor, który z jej twarzy dobywało narastające światło dnia, zniknął w okamgnieniu.

– Podeszła do niego... osunęła się przy nim na kolana i go dotknęła, zawołała po imieniu, ale uczyniła to jakimś pełnym rozpaczy szeptem.

– Spodziewała się, że znajdzie go w oranżerii – zauważył Percy z przekonaniem. – I była zszokowana, kiedy zobaczyła, że nie żyje... ale... nie zaskoczona?

– Jesteś wnikliwy. – Grey potarł się po żebrach, dotykając w pamięci zadrapań po ostrych króliczych pazurach. Ignorował ten ból. – Nie. Nie była zaskoczona. Ja byłem zaskoczony.

Księżna pochylała się nad ciałem męża, kołysząc się w bólu milczącej rozpaczy. Potem przysiadła na piętach, objawszy się ramionami; jej biała twarz była nieruchoma jak kamień i pozbawiona łez.

Królik drapał go po brzuchu do krwi, on zaś zaciskał zęby, by nie syknąć z bólu. Manipulując gorączkowo i bezgłośnie, wyciągnął koszulę ze spodni i małe stworzenie zsunęło się na kamienną posadzkę oranżerii; zastygło bez ruchu na krótką chwilę, a potem wyskoczyło jak z procy spomiędzy akacji i popędziło w stronę drzwi prowadzących do ogrodu.

Księżna drgnęła na ten gwałtowny ruch i zasłoniła usta dłonią. Później dostrzegła królika, który drżał w niewielkiej plamie wczesnego światła; jej ramiona przeszły dreszcz.

– O Boże – wyszeptała. – O drogi Boże.

Podniosła się – brzeg jej szlafroka umazany był krwią – i przeszła przez oranżerię. Zachowując bezpieczną odległość od zwierzęcia, wyciągnęła rękę i otworzyła drzwi na oścież, następnie cofnęła się i patrzyła, jak królik trwa przez sekundę w bezruchu, poruszając nosem, a potem czmycha na wolność.

– Mogłem się wtedy ujawnić – powiedział Grey i westchnął głęboko. – Ale w tym momencie zauważyła broń. Sam nie wiedziałem, że to właśnie broń... wiedziałem jedynie, że moja stopa wcześniej w coś uderzyła – ale kiedy podniosła ten przedmiot, zobaczyłem pistolet. Pojedynkowy, jeden z należących do ojca. Miał takie dwa, ze srebrnymi żłobieniami. Bardzo piękne.

Ojciec pozwolił mu raz strzelać. Ujrzawszy błysk srebra na lufie, kiedy matka podniosła broń, poczuł w ręku szok wywołany siłą odrzutu, usłyszał ostry huk, a pusty żołądek podjechał mu do gardła, dławiąc żółcią.

– Stała przez chwilę, patrząc na pistolet. Potem dostrzegłem, że jej twarz...

się zmienia. Spojrzała na ciało mego ojca, znowu na broń i... wiedziałem, że podjęła jakąś decyzję.

Przeszła przez oranżerię jak lunatyczka, pochyliła się i wsadziła pistolet w dłoń męża. Dotknęła leciutko jego głowy i pogłaskała po włosach. Wreszcie wyprostowała się jednym ruchem i ruszyła szybko w głąb domu, po czym zamknęła za sobą drzwi.

John wynurzył się z kryjówki i chwiejnym krokiem zbliżył się do drzwi prowadzących do ogrodu. Otworzył je, pozostawiając uchylone, i pobiegł do furtki, a potem popędził przez pola – bez jakiegokolwiek myśli, zmierzając donikąd; tylko gnał przed siebie, aż w końcu potknął się i upadł.

– Zauważyłem obok stóg siana. Podczołgałem się do niego i zakopałem w środku. Po krótkiej chwili zasnąłem.

– Mając nadzieję, że jak się przebudzisz, nic nie okaże się prawdą – oznajmił cicho Percy. Wcześniej, kiedy Grey opowiadał to wszystko, młodzieniec wziął go w ramiona i teraz tulił mocno do swego ciała. Jego głowa spoczywała na ramieniu Percy'ego, a kręcone włosy na piersi ocierały mu się delikatnie o usta, kiedy mówił.

– Jednak okazało się prawdą. Gdy zbliżał się zachód słońca, znalazł mnie jakiś dzierżawca. Przespałem niemal cały dzień i wszyscy szukali mnie przerażeni.

Percy odsunął mu łagodnym ruchem włosy sprzed twarzy.

– Twoja matka pomyślała zapewne, że ten, kto zabił twego ojca, dopadł także ciebie.

– Owszem, tak pomyślała. – Po raz pierwszy od chwili, gdy zaczął opowiadać o tym wszystkim, poczuł w gardle ucisk, przypominając sobie twarz matki, kiedy go zobaczyła. Był brudny i pozostawiał na tureckim dywanie w jej buduarze ślady ze źdźbeł słomy i ziemi. – Wtedy... płakała... ten jeden raz.

Percy objął mocniej ramiona Greya, który słyszał bicie jego serca – stłumione, miarowe uderzenia pod uchem.

– A ty? – odezwał się w końcu bardzo cicho młodzieniec. – Płakałeś po ojcu?

– Nigdy – odparł Grey i zamknął oczy.

Rozdział 19

Obrazki z wystawy

Grey miał po ślubie wolny dzień, co bardzo sobie cenił. Kusilo go wielce, by spędzić ten czas w łóżku z Percym, ale była to jedyna okazja, żeby spotkać się z Gilbertem Rigbym, niegdysiejszym żołnierzem i uwodzicielem wdów, obecnie strażnikiem londyńskich podrzutków. Nie mógł też zapominać, że ciało ma swe ograniczenia. On i Percy dotarli do nich jeszcze dwukrotnie, budząc się nocą w plątaninie nóg i rąk. Wspomnienie ciepłych, mokrych ust w ciemności oraz smak wina i smardzów wystarczyły, by wysunął się z łóża, ujrawszy Percy'ego, który stał nagi nad miską i spryskiwał twarz wodą, i objął go od tyłu.

Czułby się winny z powodu własnego nieokrzesania, gdyby Percy nie dał mu jasno do zrozumienia, że lubi być tak wykorzystywany.

– Nie martw się – wyszeptał młodzieniec, gdy Grey chciał coś potem powiedzieć, a może przeprosić. Percy krył twarz w ramieniu Greya, który wyczuwał na skórze jego uśmiech. – Też tego zaznasz, i to w pełni.

Nie zdawał sobie sprawy, co to oznacza, ale niebawem się przekonał. Powolne i delikatne zdobywanie, jakiemu poddał go Percy, trwało bardzo długo. Znów zawiodło go na samą krawędź – drżał z rozkoszy, dyszał i pojękiwał, aż w końcu runął w stromą przepaść, której istnienia się nie spodziewał. Ocknął się zlany potem i tak wyczerpany, że niemal stracił ostrość wzroku; stwierdził, że Percy wciąż w nim jest. Wyrwało mu się ciche westchnienie, a młody człowiek się roześmiał.

Teraz też się śmiał, a ten głęboki i zaraźliwy dźwięk od razu przyprawił go o podniecenie, krew popłynęła przezeń niczym uderzenie fali, bogata w sól, piekąc jego pocierane ciało.

*

– Spójrz na to! – zawołał Percy.

Odwrócił się we wskazanym kierunku i ujrzał małego mopsa biegnącego truchtem przez tłum, z ogonem zwiniętym jak sprężyna i radosnym grymasem na pysku. Każdy, kto go zobaczył, też się uśmiechał. Psiak był ubrany w czarny welwetowy kubraczek ze srebrnymi guzikami i żółtymi motylkami wyhaftowanymi wzdłuż brzegu, a także w mały kapelusik z rondem przymocowany do głowy za pomocą tasiemki zawiązanej pod pyskiem.

Pies przyciągał znacznie więcej uwagi niż portrety na wystawie. Przebywali na wewnętrznym dziedzińcu Foundling Hospital – przytułku dla sierot – gdzie

wystawiono obrazy, a dochód z ich sprzedaży miał wesprzeć ową instytucję. Grey pomyślał, że to doskonała okazja, by przyjrzeć się doktorowi Rigby'emu, ciesząc się jednocześnie towarzystwem Percy'ego.

Zwłaszcza kobiety zdradzały podekscytowanie na widok psa i Grey zorientował się z ich uwag, że właściciel czworonoga, wysoki i szczupły mężczyzna o dystyngowanym wyglądem, to sam dyrektor przytułku. Rigby najwyraźniej pozował na króla, krocząc powoli przez tłum; witał ludzi i przystawał na chwilę, by z kimś pogawędzić.

Grey dostrzegł, że Rigby za chwilę się do nich zbliży, więc się odwrócił ku najbliższemu obrazowi. Wystawa była dziełem Dilettante Society, stowarzyszenia szlachetnie urodzonych i uczonych, które tym samym powołało do życia pierwszą publiczną galerię w Londynie. Malarze dostarczyli obrazy, podobnie jak majątniejsi zarządcy i wysoko postawieni patroni Foundling Hospital. Pośród współczesnych dzieł Reynoldsa, Hogartha, Casalego i Rybracka znajdowała się rzadkość – portret z wcześniejszego wieku.

– Popatrz na to – powiedział Grey, trąc Percy'ego łokciem.

Zwrócił jego uwagę na słynny obraz pędzla Larkina, przedstawiający George'a Villiersa, pierwszego księcia Buckingham. Księżę, szczupły niczym sylf, w białych jedwabnych obcisłych spodniach i obsypany klejnotami jak rękonoś sztyletu, uśmiechał się do nich z malowidła z nieco frenetyczną wesołością i spoglądał ze zrozumieniem.

Percy odwrócił się po długiej chwili do Greya i wskazał głową obraz.

– Co myślisz?

– Nie ma wątpliwości, rzekłbym.

Przyglądali się razem portretowi, stojąc blisko siebie; Grey czuł ciepło ramienia Percy'ego, ocierającego się o jego ramię.

– Dziwne, jak ujawnia się to w przypadku niektórych mężczyzn, ale u innych... – Percy pokręcił głową, potem zerknął na Greya z uśmiechem. – Nie u ciebie, Johnie.

– Ani u ciebie.

Mężczyźni, których spotykał, a którzy podzielali ich „odrażającą perwersję”, w przeważającej mierze nie zdradzali aparycją najmniejszego śladu swych skłonności. Nieliczni zaś odznaczali się zniewieściałym wyglądem; ładni za młodu, starzeli się brzydko.

Spojrzał przez ramię, kiedy ruszyli dalej. George Villiers nie miał okazji się zestarzeć w taki czy inny sposób. Był nie tylko arystokratą, lecz też faworytem królewskim, i dlatego nie podlegał skazaniu. Zginął w wieku trzydziestu sześciu lat z ręki oficera marynarki nie z powodu zachowania, które otaczała zła sława, ale militarnej niekompetencji. Grey zastanawiał się, co pomyślałby o tym Michael Bates, i przez ułamek sekundy żałował, że kapitana tu nie ma.

Teraz jednak zbliżał się do nich doktor Rigby, na którego twarzy malowała się serdeczność.

– Witam, panowie! – oznajmił, podchodząc do nich. – Podoba się wam wystawa, jak miemam? To bardzo miłe z waszej strony. Trudno wyrazić, jak bardzo doceniamy wasze wsparcie.

– Do usług, sir. – Grey się skłonił, zmuszony odpowiedzieć na uśmiech Rigby’ego, który wydawał się ciepły i szczerzy, gdyż gościł od godziny na obliczu tego człowieka, i to bez widocznego wysiłku z jego strony.

– Jesteśmy zaszczytzeni, mogąc pomóc – odparł Percy z głębokim przekonaniem, które nieco zaskoczyło Greya, i też się skłonił, po czym podsunął psu kłykcie pod nos. – Do usług, sir – zwrócił się z powagą do mopsa.

Rigby wybuchnął śmiechem.

– Dziękuję, panowie. Herkules – rzucił, na co pies wysunął jedną łapę, potem wykonał wdzięczny ukłon, by wreszcie polizać podsuniętą dłoń, machając przy tym entuzjastycznie ogonem.

Rigby nie zdradził się niczym, że rozpoznaje Greya, który ze swej strony mógł rozpoznać albo i nie byłego kapitana Rigby’ego w dyrektorze Foundling Hospital. Spotkał go kilkakrotnie w domu rodziców, ale Rigby nosił wtedy mundur i nie zwracał uwagi na dziesięcioletniego chłopca.

– Jestem zobowiązany do przekazania panu wyrazów szacunku od mojej matki, sir – zwrócił się do Rigby’ego. – Hrabiny wdowy Melton.

Rigby zmarszczył czoło, jakby nie mógł sobie przypomnieć, o kogo chodzi, i Grey szybko dodał:

– Choć sądzę, że znał ją pan jako księżnę Pardloe.

Przez chwilę twarz doktora zdradzała całkowitą dezorientację, potem jednak opanował się i ujął dłoń Greya.

– Drogi sir! – zawołał, ściskając mu rękę. – Przepraszam stokrotnie! Od razu powinienem był pana poznać... uderzająco przypomina pan ojca. Teraz, kiedy sobie uświadamiam... Ale oczywiście upłynęły lata od tamtego czasu. Cóż za smutna strata... – jękał się doktor zaczerwieniony z zażenowania. – To znaczy... nie zamierzam przypominać panu czegoś tak... A jak tam pańska droga matka?

– Bardzo dobrze – odparł Grey z uśmiechem. – Choć, prawdę rzekłszy, nie jest też już hrabiną Melton. Wyszła wczoraj za mąż za sir George’a Stanleya.

Rigby wydawał się szczerze zaskoczony tą nowiną: albo naprawdę nie wiedział, albo był znakomitym aktorem.

– Proszę przekazać moje najszczęsze gratulacje – powiedział, ściskając serdecznie dłoń Greya. – Wie pan, że kiedyś sam poprosiłem, by za mnie wyszła?

– Naprawdę?

– O, tak. – Rigby roześmiał się, a zmarszczki na jego twarzy pozbawiły ją pozorów godności. – Bardzo mądrze odmówiła, twierdząc, że według niej nie

nadają się do ożenku z kimkolwiek.

Grey zakaszłał taktownie.

– Ach... obawiam się, że moja matka bywa czasem...

– Och, miała całkowitą rację – zapewnił go doktor. – Słusznie zauważyła, wcześniej niż sam to dostrzegłem, że jestem urodzonym kawalerem i zbyt lubię własne towarzystwo i nawyki, by dostosowywać je do wymogów małżeństwa. Ale może pan jest żonaty, sir?

Grey został całkowicie zaskoczony falą gorąca, która zalała mu twarz, a którą owo pytanie wywołało.

– Ach... nie, sir, niestety, nie. – Zerknął dyskretnie, szukając wzrokiem Percy'ego, lecz ten podszedł do jednego z okien, skąd rozciągał się widok na pobliskie tereny i coś obserwował. – Ani też mój przybrany brat – dodał, wskazując Percy'ego głową. – Syn generała Stanleya, Perc... Percival Wainwright.

– Czas najwyższy, sir, czas najwyższy. – Rigby uśmiechnął się z pobłażaniem, po czym uświadomił sobie bliską obecność kilku dam. Czekają, by i je przedstawiono Herkulesowi, który poruszał energicznie tylną częścią ciała i dyszał ku nim przyjaźnie. – Muszę iść – oznajmił doktor, jeszcze raz ściskając dłoń Greya. – Jakże mi miło, że pana spotkałem, lordzie Johnie... bo mam do czynienia z lordem Johnem, a pański brat ma na imię Harold? Wydawało mi się w samej rzeczy, że jednak pamiętam. Pozwolę sobie powiedzieć, że choć pańska matka miała całkowitą rację, odrzucając moje oświadczenia, to byłbym doprawdy dumny, mogąc być pańskim ojczymem. Składam też sir George'owi najszczerze życzenia wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia.

Kiedy się oddalił, Grey poczuł się jak ktoś, z kogo zdjęto ciepły koc i kto przekonuje się, że powietrze wokół jest zimne. Był nieco zbity z tropu, ale też dziwnie poruszony tym spotkaniem. Przyłączył się do Percy'ego, który stał przy oknie.

Na dworze, opatulone płaszczkami i szalami chroniącymi przed mrozem, maluchy bawiły się pod okiem dwóch opiekunek.

– Lubisz dzieci? – spytał zaskoczony zainteresowaniem Percy'ego.

– Nieszczególnie. – Wyrwany z zamyślenia, Percy odwrócił się do niego i uśmiechnął. Na jego twarzy malował się smutek. – Zastanawiałem się tylko, jak wygląda tu ich życie. – Rozejrzał się i popatrzył na wysokie ceglane ściany i szary kamień. Miejsce to było czyste, tchnęło nawet pewną elegancją, ale nikt nie określiłby go jako „przytulne”.

– Lepsze niż to, które mogło stać się ich udziałem, jak przypuszczam.

Niektóre dzieci były sierotami, inne zostały oddane przez matki, które nie mogły ich wykarmić.

– Naprawdę? – Percy uśmiechnął się do niego krzywo. – Kiedy otwarto ten przybytek, matka próbowała mnie tu zostawić. Byłem jednak za duży. Nie

przyjmowano dzieci powyżej drugiego roku życia.

Grey spojrział na młodzieńca osłupiały.

– O Boże – wyrzekł cicho. – Perseverance, mój drogi...

– W porządku – zapewnił go Percy, uśmiechając się nieco pogodniej. – Nie żywiłem do niej urazy. Mój ojciec zmarł rok wcześniej, a ona była zdesperowana. Ale powiedz mi, co sądzisz o naszym dobrym doktorze? – Skinął głową w stronę Rigby’ego, który oddalił się już na pewną odległość, jego kordialność zaś wydawała się równie niezmordowana jak merdający ogon Herkulesa.

Grey pragnął o coś jeszcze spytać, ale Percy nie chciał najwyraźniej rozmawiać na temat swego wczesnego dzieciństwa, więc Grey przekazał mu wrażenia dotyczące osoby doktora.

– Trudno mi sobie wyobrazić, by miał cokolwiek wspólnego ze sprawą – oznajmił w końcu. – Był zaskoczony moją obecnością i jeśli nie jest nadzwyczaj przebiegły, to rzeczywiście nie wiedział o zamążpójściu mojej matki.

W tym momencie pojawił się obok nich tłum, uniemożliwiając prywatną rozmowę, ruszyli więc z wolna wzdłuż galerii, zmierzając wraz z innymi do specjalnej sali, gdzie urządzono stałą wystawę obrazów Williama Hogartha – jednego z głównych dobroczyńców przytułku. Obaj znów zatopili się w swoich myślach.

Później skierowali się ponownie do głównego holu, jednakże doktor Rigby i Herkules już się nie pokazali.

– Czy zdarza ci się, że pragniesz... – zaczął Percy, po czym urwał. Między jego brwiami pojawiła się nieznaczna zmarszczka – między grubymi, jedwabistymi brwiami niczym włosie malarskiego pędzla. Greya świerzbiał kciuk, by je wygładzić.

– Czego pragnę? – spytał z uśmiechem. – Wielu rzeczy. – Dał do zrozumienia tonem głosu, czego pragnie, i na twarzy Percy’ego też pojawił się uśmiech, lecz zmarszczka na jego czole nie zniknęła.

– Czy zdarza się, że pragniesz nie być... taki, jaki jesteś?

To pytanie go zaskoczyło – a jednak bardziej zaskoczyła go świadomość, że nie musi się zastanawiać nad odpowiedzią.

– Nie – odrzekł. Wahał się przez chwilę, ale skoro Percy o to spytał... – A ty?

Młodzieniec znów spojrział na portret Villiersa, potem spuścił wzrok, zakrywając ciemnymi rzęsami oczy.

– Czasem. Sam przyznasz... byłoby pod wieloma względami łatwiej.

Grey popatrzył w zamyśleniu na jakąś parę w pobliżu, najwyraźniej w trakcie zalotów; młoda kobieta flirtowała z wprawą nad brzegiem wachlarza i chichotała, podczas gdy jej amant stroił miny, naśladując napuszony wyraz twarzy na jednym z portretów.

– Może. A jednak zależy to, jak sędzę, od pozycji, którą zajmuje się w życiu. Gdybym był następcą mego ojca, czułbym się w obowiązku ożenić i płodzić potomstwo. Zgodziłbym się zapewne. A tak mój brat przejął ów obowiązek i uczynił to z godnością. Zatem mój ewentualny ożenek pozostaje kwestią bez znaczenia. – Wzruszył ramionami, uznając sprawę za zakończoną, lecz Percy nie zamierzał łatwo rezygnować.

– Może bez znaczenia dla ciebie – zauważył, uśmiechając się z przekąsem. – Ale nie dla kobiet.

Grey wzruszył zdawkowo ramieniem.

– Musiałbym się zgodzić. Mało prawdopodobne, by mnie porwały i poślubiły siłą.

– Och, lady Joffrey już by tego dopilnowała, zapewniam cię. – Percy przewrócił wymownie oczami. Poznał Lucindę Joffrey w salonie lady Jonas i był pod wrażeniem siły jej charakteru. – Nigdy nie odwracaj się do niej plecami, bo walnie cię w głowę i porwie zawiniętego w dywan, a ty ockniesz się jako świeżo upieczony małżonek w tej szkockiej wiosce Gretna Green, do której uciekają zakochani, by wziąć ślub w tajemnicy przed rodzicami!

Grey parsknął śmiechem, ale nie mógł zaprzeczyć.

– Tak, jest zdolna do tego. Jednak grozi ci takie samo niebezpieczeństwo jak mnie, i to z pewnością. Lady Joffrey ma osiem kuzynek i siostrzenic na wydaniu! – Zauważył ironiczne skrzywienie ust Percy’ego i uświadomił sobie, co młodzieniec miał na myśli, mówiąc o tym, że byłoby łatwiej. – Och, już cię ugodziła? – spytał, tłumiąc uśmiech. – Którą ci podsunęła?

– Melisandę Roberts – odparł Percy, krzywiąc się z lekkim niesmakiem.

– Och, Melly! – Grey spuścił wzrok, starając się zapanować nad uśmiechem. Znał Melisandę całe życie. Bawili się razem jako dzieci. – No cóż, jest zrównoważona i pogodna. Sama serdeczność. I ma skromny dochód.

– Odznacza się rozmiarami beczki do piwa i w przybliżeniu takim samym kształtem!

– Prawda – zgodził się Grey. – A jednak... nie miałyby to dla ciebie znaczenia, gdyby była skończoną pięknnością?

Percy, który wyglądał na nadąsanego, uśmiechnął się półgębkiem, słysząc te słowa.

– No... nie. Nie w znaczeniu... Ale nie chciałbym oprowadzać się z pospolitą kobietą przy swym boku, jakbym nie potrafił wybrać lepiej!

– Ma mi to schlebiać? – spytał Grey. – Że zgadasz się, by widziano nas publicznie razem?

Percy spojrział na niego i parsknął śmiechem.

– Och, uważałbym cię za wspaniałą zdobycz, mój drogi, nawet gdybyś był bez grosza przy duszy i do bólu pospolity – tak jak ja.

– Niezwykłe mi to schlebia – odparł grzecznie Grey i ujął Percy’ego za ramię, po czym ścisnął je mocno. Jego palce wniknęły w materiał, napierając na ciało i kość.

– Pójdziemy?

Percy wstrzymał oddech, ale kiwnął głową. Ruszyli dalej w milczeniu, podążając wzdłuż High Holbourn Street. Planowali obejrzeć Mecklina w roli Shylocka w przedstawieniu *Kupca weneckiego* i zjeść kolację w Befsztuku. Grey z niecierpliwością wyczekiwał tego wieczoru – i późniejszej nocy – ale myśli Percy’ego wciąż skupiały się na ich rozmowie.

– Myślisz, że to prawda? – spytał nagle ściszym głosem. – Że jesteśmy skazani na potępienie?

Grey nie był w nastroju do teozoficznych rozważań, nie troszczył się też zbyt o ustalone doktryny religijne. Wielokrotnie wysłuchiwał niecenzuralnych opinii ojca na temat wcześniejszego władcy, Henryka VIII, i skutków jego seksualnych ciągót i ambicji dynastycznych dla Kościoła rzymskiego.

Jednak oczy Percy’ego zdradzały niepokój. Grey chętnie by go pocieszył, gdyby potrafił.

– Nie myślę, by była to prawda – odparł możliwie lekkim tonem. – Ludzie zostali stworzeni na podobieństwo Boga albo tak też mi mówiono. Podobnie różni się od zwierząt za sprawą rozumu. Rozum zatem musi stanowić cechę Wszchemogącego, quod erat demonstrandum. Czy jest więc czymś rozsądnym powoływać do istnienia ludzi – tworząc ich i określając wedle siebie – których sama natura jest wroga prawom ich Stwórcy i musi w sposób nieunikniony prowadzić do zniszczenia? Jaki miałby być tego cel i sens? Czyż nie uderza cię to jako najbardziej śmieszna i dziwna koncepcja?

Najwyraźniej koncepcja rozumnego Boga – i na dodatek rozrzutnego – nie przyszła wcześniej Percy’emu do głowy. Roześmiał się nieco rozpozgodzony, a potem już nie wracali do tej kwestii.

*

Jednakże po kilku dniach Percy do niej powrócił. Bez wątpienia była to sprawa jego wychowania w środowisku religijnym, jak przyszło Greyowi do głowy. A może tylko dlatego, że Percy nigdy wcześniej nie przebywał w łóżku z mężczyzną gotowym dyskutować o filozofii. Grey też nie, ale ta nowa sytuacja wydawała mu się odrobinę zabawna.

Opuścili koszary osobno i spotkali się w lokum Percy’ego na kilka skradzionych godzin. Gdy już zasmakowali uroków ciała, Grey spoczął z głową na piersi przyjaciela, słuchając zbioru opinii prawniczych wydanych drukiem kilka lat wcześniej.

„Jeśli jakaś zbrodnia zasługuje na bardziej przykładne ukaranie, to właśnie

owa. Inne zbrodnie są szkodliwe dla społeczeństwa, lecz ta godzi w samo istnienie tegoż: rzadko się zdarza, by osoba, która jest winna naruszania swych przyrodzonych właściwości w sposób tak nienaturalny, darzyła potem odpowiednim szacunkiem kobiety. Ze względu na tę obojętność wobec płci przeciwnej, tak widoczną u mężczyzn przejawiających niezdrowe chęci, można orzec, iż są oni pokarani obojętnością na najbardziej ekstatyczną przyjemność, do jakiej w obecnym stanie ludzka natura jest zdolna. Wydaje się zatem rzeczą sprawiedliwą, by ci nieszczęśnicy byli pozbawieni wszelkich radości, którym nie przypisują należnej wagi; należy zatem zapobiegać trwaniu w bezbożnych skłonnościach, które mogą być przekazane ich dzieciom, gdyby takowe mieli”.

– A więc musimy zostać wytrzebieni, ponieważ nasze przyjemności są niewystarczająco ekstatyczne – zauważył Grey.

Percy zamknął książkę. Jego czoło wygładziło się odrobinę.

– I abyśmy nie przekazali tego godnego ubolewania niedostatku swoim dzieciom, których, zważywszy na okoliczności, raczej mieć nie będziemy.

– No cóż, jeśli o to chodzi, znam niejednego dżentelmena, który nie szuka w łóżku przyjemności z żoną, niemniej udaje się tam z obowiązku.

– Tak, to prawda. – Percy zmarszczył czoło raczej w zamyśleniu niż z niepokoju. – Myślisz, że to naprawdę coś odmiennego? Między kobietą a mężczyzną? Nie w sensie czysto fizycznym, lecz uczuciowym?

Grey dość się napatrzył na małżeństwa aranżowane wśród arystokracji i ludzi zamożnych, by wiedzieć, że uczucia i wzajemna sympatia przyszłych małżonków są uważane za nieistotne, jeśli w ogóle bierze się je pod uwagę. Z kolei związki, które sam od czasu do czasu zawierał, opierały się jedynie na bliskości i uczuciu, ale daleko odbiegały od nakazów i wymogów praw rządzących społeczeństwem. Rozważał tę kwestię, ciesząc się miarowym oddechem Percy’ego pod policzkiem.

– Sądzę, że dżentelmen podchodzi do tych rzeczy z delikatnością i honorem – odparł w końcu. – A skoro tak, to nie ma większego znaczenia, czy obiektem jest kobieta, czy też mężczyzna.

Percy parsknął śmiechem.

– Delikatność i honor? To bardzo dobrze... ale co z miłością?

Grey zbyt ceniał miłość – i bał się jej – by czynić jakieś jałowe zastrzeżenia.

– Nie możesz zmusić do miłości – powiedział w końcu. – Ani przywołać miłości w dowolnym momencie. A w jeszcze mniejszym stopniu nie możesz jej się wyrzec – dodał ze smutkiem. Potem usiadł i spojrzał na Percy’ego, który ze spuszczonego wzrokiem wodził palcem po narzucie. – Myślę, że nie jesteś we mnie zakochany.

Percy uśmiechnął się leciutko, nie patrząc na Greya, ale też nie zaprzeczył.

– Nie można jej się wyrzec – powtórzył jak echo. – Kim był? Czy jest?

– Jest. – Grey poczuł nagłe drgnienie serca na dźwięk tego pojedynczego słowa. Coś radosnego i jednocześnie strasznego. Wyznanie stało się nieodwołalne.

Percy przyglądał mu się teraz, a jego brązowe oczy błyskały ciekawością.

– To jest... chcę powiedzieć... nie musisz się martwić. Do niczego między nami nie dojdzie. To niemożliwe – rzekł Grey i ugryzł się w język, by stłumić nagłą chęć wyznania wszystkiego, choćby dla chwilowej ekstazy, jaką sprawiłoby mu mówienie o Jamiem Fraserze. Wiedział jednak doskonale, że nie należy tego robić, i zapanował nad pokusą.

– Och. Zatem on nie jest... – Percy przesunął spojrzeniem po jego nagim ciele, potem znów popatrzył mu w twarz.

– Nie.

Dzień chylił się ku końcowi. Blask wpadający przez wysokie okna na poddaszu przesunął się po pokoju, muskał ciemną burzę kręconych włosów Percy'ego, pograżał jego twarz w światłocieniu, lecz pozostawiał ciało w półmroku.

– Czy przyjaźń i szczerą sympatią ci nie wystarczą? – Grey starał się uniknąć tonu opryskliwości czy oskarżenia. Chciał, by zabrzmiało to jak zwyczajne pytanie.

– Nie. – Percy wyciągnął rękę i przesunął nią po nagim ramieniu Greya, po krągłości barku i wreszcie po wzniesieniu piersi i sutka, na którym położył dłoń i zacisnął w tym miejscu palce. – Dodaj wszakże to... – rzekł cicho – a sądzę, że wystarczy.

*

Rzadko się widywali za dnia. Grey był zajęty coraz bardziej gorączkowymi przygotowaniem do wyjazdu wojska na kontynent, Percy'ego zaś pochłaniały wymogi szkolenia i potrzeby czterech kompanii pod jego dowództwem. Mimo wszystko wieczorami mogli pokazywać się razem publicznie, jak przystało na dwóch mężczyzn, których łączy przyjaźń – chodzili na kolację, do teatru, do klubu karcianego. I jeśli opuszczali takie przybytki również razem, nie wywoływało to żadnych komentarzy.

Nikt mieszkający przy Jermyn Street nie pytał o zdarzającą się nieobecność Greya w nocnej porze, gdyż często spał w koszarach albo w Befsztuku, jeśli zatrzymywały go do późna sprawy pułkowe albo zasiedziało się z przyjaciółmi. Ale gdyby nie przebywał w domu przez długi czas, zwróciłoby to uwagę, więc noce spędzane z Percym w jego mieszkaniu były podwójnie cenne. Miał świadomość, że zbliża się ich kres.

– Musimy być nad wyraz ostrożni – powiedział Grey. – Podczas kampanii. Nie ma tam mowy o prywatności.

– Oczywiście – odrzekł Percy, choć zważywszy na to, co w tym momencie

robił, Grey podejrzewał, że nie słucha zbyt uważnie, i zacisnął palce na jego włosach, ale go nie powstrzymał. Było dość czasu, by powtórzyć ostrzeżenie, a tak samo jak Percy nie miał ochoty rozważać nieuniknionego kresu ich bliskości.

Bliskości nie tylko cielesnej – choć i ta wydawała się wystarczająco silna.

Percy za jego przyzwoleniem posiadał go pierwszej nocy, również następnego ranka, i uczynił to z wielką delikatnością, która wytrąciła Greya z równowagi i jednocześnie przyprawiła niemal o łzy.

Na razie nie chciał powtarzać tego szczególnego aktu ponownie, poruszony tym doświadczeniem tak samo jak niegdysiejszym gwałtem, choć w skrajnie odmienny – i przyjemniejszy, ma się rozumieć – sposób. Percy nigdy nie wywierał nań nacisku, nie prosił, dawał jedynie do zrozumienia, że kochanek powinien tego pragnąć... i być może Grey zapragnąłby znowu. Ale jeszcze nie teraz.

Niespodziewana więź duchowa, jaka się między nimi narodziła, była równie upajająca – i chwilami równie niepokojąca – jak bliskość cielesna.

Od czasu tej pierwszej nocy, gdy leżeli razem, Percy nie nawiązał bezpośrednio do opowiedzianej przez Greya historii śmierci księcia. Grey wiedział jednak, że jego przyjaciel musi o tym myśleć, nie był zatem zdziwiony, kiedy Percy wspomniał kilka dni później o owej sprawie. Nie był też zadowolony – nie żałował właściwie, że wyznał Percy'emu prawdę, ale zaskoczyło go, że uczynił to po tak długim skrywaniu sekretu. Odczuwał coś w rodzaju niepokoju, że owa strzeżona tajemnica jest teraz znana również komuś innemu – lecz nie dziwiło go zainteresowanie kochanka.

– Ale co się wydarzyło potem? – spytał Percy. – Co zrobiłeś? Powiedziałeś komukolwiek? Matce?

Grey nieco się zirytował, ale zorientował się w porę, że jej źródłem jest nie pytanie Percy'ego, tylko wspomnienie własnej bezradności.

– Miałem dwanaście lat – odrzekł, Percy zaś spojrział nań gwałtownie i cofnął się odrobinę, wyczuwając w jego pozornie spokojnym głosie napięcie. – Nic nie powiedziałem.

Ciało księcia znalazł późnym rankiem ogrodnik. Pospiesznie zebrana ława koronerów ustaliła, że śmierć była wynikiem zaburzenia równowagi umysłowej, i dwa dni później Greya odesłano na północ, do Aberdeen, gdzie miał przebywać u dalekiego kuzynostwa swej matki. Księżna odznaczająca się roztropnością, którą docenił dopiero znacznie później, też wyjechała, ale na parę lat i do Francji.

– Nie mogła cię ze sobą zabrać? – dopytywał Percy, powtarzając niczym echo pełne żalu – choć niewypowiedziane – pytanie, jakie sobie wówczas Grey zadawał.

– Wierzyła, jak mniemam, że może jej grozić jakieś niebezpieczeństwo. – Grey zaś sądził, ale dopiero *ex post facto*, że na dobrą sprawę sama kusiła los.

– Kusiła los? – powtórzył Percy w zdumieniu. – Co przez to rozumiesz, na

Boga?

Grey westchnął, pocierając palcem miejsce między brwiami. Odczuwał jakąś ulgę, a nawet przyjemność w intymnych rozmowach o tym wszystkim – jednak towarzyszył temu równie nieoczekiwany niepokój wywołany świadomością, że ujawnia te tajemnice.

– Aberdeen to szare miejsce. – Grey siedział na łóżku, obejmując kolana, i patrzył, jak resztki nocy znikają z miejskich dachów. – Kamień. Deszcz. I Szkoci. Przekłęci Szkoci. – Pokręcił głową, wspominając. Dźwięk ich mowy przypominał mu chrzęst kół powozu na żwirze. – Niewiele słyszałem. Skandale w Londynie... – wzruszył ramionami – ...nie wzbudzały w Aberdeen żadnego zainteresowania. I przypuszczałem, że właśnie o to chodziło; ochronić mnie przed gadaniem. Kuzyni matki byli miłymi ludźmi, ale bardzo... chłodnymi. Mimo wszystko udało mi się podsłuchać to i owo.

Księżna – albo też hrabina, jak zaczęła się tytułować – stała się we Francji osobą znaną ku cichej dezaprobacie jej krewnych ze szkockich nizin. Była niemłoda, ale wciąż bardzo urodziwą i bogatą kobietą.

– Krążyły plotki, że spotykała się z kilkoma francuskimi jakobitami. Jestem jednakże pewien, że moja matka nie odnosiła się – i nie odnosi – z żadną sympatią do tej sprawy.

– Uważasz, że szukała człowieka, który zabił twego ojca.

Grey skinął głową, wciąż patrząc przez okno. Widział nie jaśniejące niebo nad Londynem, tylko szare chmury burzowe Aberdeen.

– Nie wiem, czy go znalazła – powiedział cicho. – Po jakimś czasie przekonałem samego siebie, że to zrobiła. Zabiła albo w jakiś inny sposób doprowadziła do jego zguby.

Percy spojrział z niedowierzaniem.

– Myślisz, czy też myślałeś, że twoja matka go zabiła?

– Uważasz, że kobiety nie są zdolne do takich rzeczy? – Grey się nie roześmiał, ale odwrócił głowę, by Percy dostrzegł półuśmiech na jego twarzy.

– Nie wszystkie. Moja matka z pewnością nie... – Percy urwał, marszcząc czoło i próbując wyobrazić sobie Benedictę Grey w akcie zbrodni. – Jak? Trucizna?

– Nie wiem. Raczej nie... Bardziej prawdopodobne byłoby ugodzenie sztyletem w serce. Ale nie przypuszczam w gruncie rzeczy, by kiedykolwiek zdołała znaleźć tego człowieka – jeśli rzeczywiście go szukała. Po prostu... mówiłem sobie, że tak właśnie czyni. – Milczał jakiś czas. – A co stało się z twoim ojcem? – spytał potem z ciekawości.

Percy pokręcił głową, ale zaakceptował zmianę tematu; jego twarz zdradzała cierpki humor.

– Wierz albo nie... przejechał go furgon pocztowy.

– Bzdura!

– Nie, mówię poważnie. – Percy wzruszył ramionami. – Stał przed pubem w Cheltenham, głosząc na całe gardło prawdę i nie zwracając uwagi na otoczenie. Byłem przy nim i pociągnąłem go za płaszcz... Widziałem ten powóz, zdawałem sobie sprawę, jak szybko nadjeżdża... ale ojciec mnie odepchnął odruchowo, wiesz, tak jak się odgania natrętną muchę. Był zbyt zaabsorbowany swoją wizją Nieba, by dostrzegać cokolwiek na ziemi. Postąpił krok do przodu, żeby się ode mnie uwolnić. Wtedy ten powóz z całym impetem wpadł na nas, ja odskoczyłem, umykając mu z drogi. Ojciec... nie zdążył.

– Przykro mi – powiedział Grey.

Percy zerknął na niego, krzywiąc się.

– Mnie przykro nie było. Zadufany w sobie, nietaktowny drań. Mojej matce też nie było przykro, choć jego śmierć bardzo jej utrudniła życie. – Machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie chce już rozmawiać na ten temat. – A wracając do twego szczerzej opłakiwanego ojca... zastanawiałem się nad tym, co mi mówiłeś. Masz coś przeciwko temu?

– Nie – odparł Grey ostrożnie. – A nad czym się zastanawiałeś?

Percy odchrząknął.

– Powiem ci, ale ponieważ wspomniałeś o badaniu, hm, przyczyny zgonu... jesteś całkowicie przekonany, że twój ojciec nie... no wiesz...

– Nie, nie zrobił tego. Jestem pewien. – Grey dosłyszał w swoim głosie ostrzejszy ton i uniosł dłoń. – Przepraszam... nigdy wcześniej o tym nie mówiłem. To...

– Wciąż świeże – dokończył cicho Percy.

Grey podniósł wzrok i dostrzegł pełne ciepła zrozumienie w oczach młodzieńca. Zaskoczony, musiał odwrócić głowę, czując piekące łzy pod powiekami.

– Tak – odrzekł.

Percy patrzył na niego ze współczuciem, ale nie powiedział już nic o uczuciach Greya, powracając do omawianej sprawy.

– No dobrze. Jeśli... to znaczy, skoro tak, to wiemy dzięki temu coś ważnego, prawda?

– Co?

– Sam morderca nie próbował upozorować samobójstwa. Twoja matka to zrobiła. Wiesz dlaczego, tak przy okazji? Przypuszczam, że nigdy jej nie spytałeś.

Grey uśmiechnął się kwaśno.

– A ty mógłbyś spytać swoją matkę o coś takiego?

Percy zmarszczył czoło, jakby rozważał to pytanie, Grey jednak nie czekał na odpowiedź.

– Nie. Nigdy nie rozmawiałem z matką o tej sprawie. Ani z Halem.

Percy uniósł brwi.

– Doprawdy... Chcesz powiedzieć, że żadne z nich nie ma o tym pojęcia? Że wiesz, iż śmierć twego ojca nie była samobójstwem?

– Przypuszczam, że nie.

Po raz pierwszy zadał sobie pytanie – co przyprawiło go o niejaki szok – czy Hal zna prawdę o śmierci ich ojca. Zawsze przypuszczał, że tak jest, że matka wyjawiała jego bratu prawdę, i odrzucał myśl, że jemu nie mówiła nic ze względu na młody wiek. A jeśli nie powiedziała też Halowi?

Nie był w stanie rozważać tego teraz, więc powrócił do pytania, które zadał Percy.

– Jestem pewien, dlaczego to zrobiła. Obawiała się wynikającego z tego niebezpieczeństwa grożącego jej, Halowi czy nawet mnie, a ten strach musiał być niemały, skoro wołała okryć imię mego ojca hańbą, niż narażać życie.

Percy wyczuł w tych słowach nutę goryczy.

– No cóż, to twoja matka – oznajmił łagodnie. – Można wybaczyć kobiecie, która ceni życie swych synów ponad honor męża, jak sądzę. Zmierzam jednakże do czegoś innego: morderca nie zabił twego ojca, by, sugerując jego zdradę, oddalić od siebie podejrzenie. Zatem dlaczego to zrobił? – Popatrzył wyczekująco na Greya.

– By powstrzymać mego ojca przed ujawnieniem jego tożsamości jako zdrajcy jakobickiego – odrzekł Grey i wzruszył ramionami. – Albo tak zawsze sądziłem. Bo z jakiegoż innego powodu?

– Też bym tak sądził. – Percy pochylił się wyraźnie podekscytowany. – A ktokolwiek to zrobił, jest prawdopodobnie tą samą osobą, która ukradła jego dziennik. Nie wydaje ci się?

– Tak – odparł z namysłem Grey. – Tak uważam. Oczywiście, nie wiedziałem wówczas, że dziennik został skradziony... – A nie wiedząc, nie wziął tego nigdy pod uwagę, kiedy spędzał długie szare godziny w Aberdeen. – Myślisz... o Jezusie. – Jego umysł przeskoczył do następnego oczywistego pytania: czy księżę mógł pisać w dzienniku o swoich podejrzeniach, po czym skupił się na tym, do czego zmierzał Percy.

– Nie miał więc w zwyczaju prowadzić dziennika w oranżerii? – Percy, którego oblicze zdradzało podniecenie, odczytywał myśli Greya z jego twarzy.

– Nie, nigdy. – Grey potrzebował chwili, by odetchnąć. – Oranżeria była oświetlona tylko podczas przyjęć. Zawsze prowadził dziennik w bibliotece, nim udawał się na spoczynek, i odkładał tom na swoje miejsce. Pisał w nim także w czasie kampanii, ma się rozumieć, ale poza tym nigdy nie widziałem, by sporządzał zapiski gdziekolwiek indziej.

Co oznaczało, że ktokolwiek zabił jego ojca, znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, że prowadzi dziennik i gdzie go trzyma, i ktokolwiek to zrobił, był też

dostatecznie dobrze znany domownikom, by móc wejść do biblioteki i zabrać rzeczony tom dzienników.

– Myślisz, że zabrał go... przedtem? – spytał Percy. – Może to odpowiedź na pytanie: dlaczego? Morderca zapoznał się z treścią dziennika, stwierdził, że został zdemaskowany albo że mu coś grozi, a zatem...

Grey przesunął dłonią po twarzy i poczuł ukłucia kielkującego zarostu, ale pokręcił głową.

– Nawet zakładając, że mój ojciec był na tyle głupi, by uwiecznić na papierze takie podejrzenia – a zapewniam cię, że głupi nie był – jak ktoś zdołał to przeczytać? Nikt nie zaglądał do dzienników, także moja matka, która żartowała sobie z jego pisaniny, a on nie zostawiał ich w przypadkowych miejscach. – Nie mogąc usiedzieć w miejscu, Grey wstał z łóżka, podszedł do okna i spróbował sobie przypomnieć. Starł się zrekonstruować w myślach bibliotekę w ich wiejskim domu. Nazywali owo pomieszczenie „biblioteką” bardziej dla żartu niż z jakiegokolwiek innego powodu; była to mała wypełniona książkami wnęka bez kominka, a miejsca starczało jedynie na krzesło i małe biurko. Nie przypominała w niczym pokoju, w którym ojciec mógłby przyjmować gości.

– Zgadza się, że jest bardziej prawdopodobne, iż ten człowiek zabrał dziennik już po morderstwie. – Percy gładził się odruchowo po ramionach, zimnych pomimo wełnianego banyana. – Gość... który zjawił się, by złożyć kondolencje. Czy nie mógłby w takiej chwili skorzystać z okazji i zabrać ten tom?

Grey zmagał się z taką koncepcją. Nie miał ochoty przeżywać ponownie strasznych dni po śmierci ojca, ale zmusił się teraz do tego, by je przywołać. Ciche, pospieszne przygotowania, rozmowy prowadzone przytłumionym głosem i przerywane, ilekroć pojawiał się w zasięgu wzroku.

Tak, zjawiło się kilku gości, przyjaciół, którzy przyszli, by wesprzeć księżnę w jej smutku, a także kilku znajomych Hala... Harry, Harry Quarry też ich odwiedził, jak teraz sobie przypominał. Kto jeszcze? Robert Walpole, oczywiście. Pamiętał premiera, szarego na twarzy i zamyślonego, gdy zmierzał powoli ścieżką, wsparty na ramieniu sekretarza, z cieniem własnej śmierci na obliczu.

Zamknął oczy i przycisnął palcami powieki, starając się myśleć. Migwały twarze, niektóre obdarzone imionami, niektóre obce, wszystko jakby pocięte na fragmenty przez zapamiętany szok. Prócz Harry'ego i Walpole'a jedynymi ludźmi, których potrafił sobie przypomnieć w miarę wyraźnie z owego koszmarne tygodnia, byli... Opuścił dłonie i otworzył oczy.

– To wcale nie musiał być gość – oznajmił niespiesznie.

Percy zamrugał i wydał wargi.

– Ktoś ze służby? – spytał wyraźnie poruszony. – Och, nie.

Grey poczuł w sercu chłód wywołany tą myślą. Służba towarzyszyła jego rodzicom przez lata i cieszyła się bezgranicznym zaufaniem. Sądzić, że jedno

z nich, ktoś, kto dzielił z nimi dom rodzinny i intymności życia codziennego, mógł przez cały ten czas...

Wzdrygnął się, odrzucając ową myśl.

– Nie mogę już tego dłużej rozważać – wyznał. – Nie mogę. – Czuł na ramionach brzemień zmęczenia, serce bolało go od ciężaru wspomnianego smutku i gniewu, piekły go oczy. Oparł czoło o zimną szybę. Jej chłód przynosił mu ulgę.

Od wschodu nadciągał świt; pokryte lodem okno fosforyzowało żółtą poświatą.

Rozległ się szelest pościeli i po chwili Grey poczuł na barkach ciepłe dłonie Percy'ego. Opierał się przez chwilę, potem jednak pozwolił, by młodzieniec odciągnął go od okna i przytulił do siebie, ciało do ciała.

– Nie rób sobie wyrzutów, że mi powiedziałeś – szepnął mu Percy do ucha. – Proszę.

– Nie robię – mruknął Grey, nie wiedząc, czy to prawda, czy nie. W tej chwili pragnął jedynie zachować milczenie, ponieważ gdyby zaczął mówić, byłby zmuszony ponownie o tym wszystkim myśleć. Skrywał ten sekret tak długo i nie uświadamiał sobie, że przechowywał go na równi w swym ciele, jak i w głowie. Stawy bolały tak, jakby go powoli rozrywano.

– Jesteś przemarznięty. Chcesz zachorować? Połóż się.

Pozwolił Percy'emu zaprowadzić się do łóżka i okryć aż po brodę. Zamknął posłusznie oczy na polecenie przyjaciela, a potem słuchał, jak ten rozpała ogień, dorzuca drwa i korzysta z nocnika. Znow uniósł powieki, gdy Percy skruszył lód w dzbanie i nalał wody do puszki, żeby ją podgrzać do golenia.

– Dokąd idziesz? – spytał Grey.

Percy odwrócił się od kominka i uśmiechnął. Jego twarz pokrywał ciemny zarost, nadając jej zawiąski wygląd.

– Niektórzy muszą pracować na utrzymanie, mój drogi – odparł. – A wiem z pewnego źródła, że zostanę zwolniony dyscyplinarnie ze służby i pogruchotany – może nawet rozciągnięty na pręgierzu i wychłostany – jeśli nie stawię się punktualnie o dziewiątej na dziedzińcu koszar ze swoimi czterema kompaniami w odpowiednim porządku.

– Zgadza się... Czy to nie ja dokonuję inspekcji twoich kompanii o tejże godzinie? – Grey usiadł, ale Percy machnął ręką, dając mu do zrozumienia, że może się z powrotem położyć.

– Zważywszy na to, że dzwony wybiły właśnie szóstą trzydzieści i że nie masz nic do roboty prócz tego, by się ogolić, ubrać i ruszyć niespiesznym krokiem na plac defiladowy, sądzę, że możesz jeszcze trochę odpoczywać. – Percy wziął do ręki kubek z pianą i nachylił się, by spojrzeć w maleńkie lustereko, po czym rozchylił nieco usta, w skupieniu namydlając twarz.

Grey ułożył się wygodnie i patrzył, jak Percy goli się i ubiera, sprawnie

i szybko. W pościeli pozostało trochę jego ciepła; ogrzewało go powoli i wkrótce Greya ogarnęło znużenie. Zdawało mu się, że umysł ma rozmiękły niczym dojrzały owoc.

W pokoju wciąż panował mrok, świt jeszcze nie nastał. Widział oddech Percy'ego, gdy ten schylił się, by wciągnąć buty, a potem zapinał płaszcz.

Już w peruce na głowie przystanął obok łóżka i spojrzał na Greya.

– Myślisz, że wiedziała? Kim był?

– Jestem pewien, że nie – odrzekł Grey, siląc się na stanowczość.

Percy skinął głową, pochylił się nad nim i pocałował go w czoło.

– Spróbuj zasnąć – poradził. – Dzwony cię obudzą. – Potem wyszedł, zamykając cicho drzwi za sobą.

Ciepło otoczyło teraz Greya przytulnym kokonem, choć czubek nosa wciąż był zimny, jakby nadal przywierał nim do szyby. Ciężyły mu ręce i nogi i zewsząd napierało nań zmęczenie wywołane długim dniem i bezsenną nocą – wiedział jednak, że nie zaśnie. Bez względu na dzwon, który miał go zbudzić.

Musiał ponownie pomówić z Jamiem Fraserem.

Część IV
Pułk wyrusza

Rozdział 20

Wy, zwani jakobitami

Helwater *Kraina Jezior*

Grey spędził trochę czasu z państwem Dunsany, jak nakazywały względy grzeczności, nim przypomniał sobie, że zostawił w jukach coś, czego potrzebował.

– Nie, nie... sam to przyniosę. Potrwa tylko chwilę. – Powstrzymał lady Dunsany, która dotknęła dzwonka, i wyszedł z biblioteki, nim zdążyła zaprotestować.

Serce zabiło mu szybciej, kiedy zbliżał się do stajni, ale ten jeden raz nie miało to wiele wspólnego z fizyczną obecnością Jamiego Frasera.

Koniom podano karmę i wewnątrz stajni wypełniały kojące odgłosy przeżuwania i woń świeżego siana. Kilka zwierząt podniosło łby, żeby na niego popatrzeć – z ich pysków zwieszały się źdźbła – ale pozostałe go zignorowały, tkwiąc uparcie nosami w żłobach.

Fraser przebywał na końcu pomieszczenia; wybierał obornik. Duże wrota były rozwarłe i jego sylwetka rysowała się na tle bladego światła przygasającego wiosennego nieba. Musiał usłyszeć kroki Greya na ceglany podłożu, ale nie przerwał roboty.

Po chwili zrobił to jednak i wyprostował się, kiedy Grey do niego podszedł. W stajni było zimno; brodę Frasera pokrywała warstewka wilgoci, a Iniana koszula kleiła się do ramion. Pachniał świeżym potem.

– Przecieka – odezwał się znienacka Grey. – Powiedział pan: przecieka.

Fraser oparł widły, otarł twarz rękawem i popatrzył na niego pytająco.

– Nie przypominam sobie, majorze, ale przypuszczam, że to możliwe. Znam to słowo.

– Kiedy mówił pan o dworze Stuartów podczas naszego ostatniego spotkania – wyjaśnił Grey – powiedział pan, cytując: „Dwór Stuartów przecieka jak sito”. Jestem przekonany, że pojmuję pan w dostatecznym stopniu subtelności angielskiej gramatyki, by prawidłowo posługiwać się czasem teraźniejszym, panie Fraser.

Gęste rude brwi Frasera podjechały w górę, choć jego twarz nie zdradzała nawet śladu niepokoju. Grey westchnął.

– Przecieka jak sito – powtórzył. – Skąd pan to wie, jeśli nie utrzymuje pan obecnie jakichkolwiek stosunków z kimś, kto do tego dworu się zalicza?

Fraser przesunął palcem pod nosem, patrząc z uwagą na Greya, potem wrócił do roboty, kręcąc głową.

– Zaraz panu rozerwie mózg, majorze, a pan nie przestaje bezustannie myśleć – zauważył z niejaką nutą sympatii. Wsunął widły pod stertę obornika i wyrzucił nieczystości przez rozwarte wrota stajni. – Wie pan dobrze, że warunki mojego zwolnienia nie pozwalają na jakiegokolwiek stosunki.

Była to prawda. Grey sam spisał owe warunki, a Fraser opatrzył je swoim podpisem. Przypominał sobie tę chwilę bardzo wyraźnie. Po raz pierwszy – ale nie ostatni – wierzył, że gdyby nie obecność uzbrojonych strażników, Szkot skrzyłby mu kark.

Ironiczny wyraz twarzy Frasera dowodził, że i on też przypomina sobie tamtą chwilę.

– I gdybym nie był na tyle honorowy, by przestrzegać tych warunków, majorze – dodał beznamiętnie – to znalazłbym się we Francji tydzień po tym, jak moja noga tu powstała.

Grey nie chciał zastanawiać się nad tym, jak ktoś o uderzającym wyglądzie i posturze Frasera mógłby przemierzać drogi niezauważenie albo przebyć pieszo osiemdziesiąt kilometrów wrzosowiska bez opończy, jedzenia, możliwości schronienia – choćby dlatego, że żywił głębokie przekonanie, iż ten człowiek zdołałby tego dokonać.

– Nigdy bym nie sugerował, że mógłby pan złamać dane słowo honoru, panie Fraser – zapewnił Grey i stwierdził z niejakim zdziwieniem, że to prawda. – Przepraszam, jeśli moje pytanie ową sugestię zawierało.

Fraser zamrugał.

– Przyjmuję przeprosiny, majorze – rzekł odrobinę gburowato. Ujął widły, jakby zamierzał zająć się robotą, ale po chwili mięśnie ramion przestały się naprężać. – Powiedziałem, że dwór Stuartów przecieka jak sito, majorze, ponieważ zarówno król Jakub, jak i jego syn wciąż żyją, a otaczają ich nadal ci sami ludzie. O ile wiem – dodał z cierpkim humorem.

– Nie sądzi pan, że zrezygnowali? – spytał zaciekawiony Grey, starając się nie zwracać uwagi na tego „króla Jakuba”. – Nie mogą z pewnością żywić żadnej nadziei...

– Nie, nie żywią żadnej nadziei i nie zrezygnowali – przerwał mu Fraser, a w jego słowach wyraźnie pobrzmiwało rozgoryczenie. – Są Szkotami i przestaną spiskować, kiedy umrą.

– Rozumiem.

Była to prawda. Osiemnaście miesięcy w charakterze zarządcy więzienia w Ardsuir pozwoliło Greyowi ocenić właściwie szkocki charakter. Cesarz Hadrian wiedział, na czym rzecz polega, ale późniejsi władcy Anglii byli mniej roztropni. Mając to na względzie, dobierał teraz słowa starannie.

– Mogę zadać panu pytanie, panie Fraser?

– Nie mam pojęcia, jak mógłbym panu tego zabronić, majorze – odparł, lecz w jego głosie nie dało się wyczuć urazy, a błysk w oku przypominał ten sam, który się pojawiał, gdy grali w szachy. Ostrożność, zainteresowanie – i gotowość.

– Gdybym mógł anulować ten warunek pańskiego zwolnienia i przekazać każdy list, jaki zechciałby pan przesłać, gdziekolwiek zechciałby pan go przesłać, bez jakichkolwiek pytań... czy udałoby się panu nawiązać stosunki z kimś, kto zna nazwiska prominentnych jakobitów w Anglii? Kogoś działającego aktywnie w roku tysiąc siedemset czterdziestym pierwszym?

Nigdy nie widział, by Fraserowi opadła szczęka ze zdumienia, i nie zobaczył też teraz, ale Szkot nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby Grey pocałował go w usta.

– To... – zaczął, potem umilkł i pokręcił głową. – Czy pan... – ponownie urwał, tak szczerze zbulwersowany propozycją, że nie znalazł słów.

– Czy wiem, o co proszę? Tak, wiem, i jest mi z tego powodu przykro. – Na chwilę zapadło milczenie zakłócanie jedynie odgłosem przeżuwania siana przez konie. – Proszę mi wierzyć, nie wykorzystywałem pana w taki sposób, gdyby istniał inny wybór – zapewnił cicho Grey.

Fraser patrzył na niego przez moment, potem wbił widły w stertę mokrej słomy, odwrócił się i wyszedł na zewnątrz. Oddalił się w zapadający zmierzch ku wybiegowi i stanął tam obrócony plecami do Greya, zaciskając dłonie na górnym drągu ogrodzenia, jakby mógł dzięki temu utrzymać więź z rzeczywistością.

Grey go nie winił. Sam miał przemożne wrażenie nierealności.

– Dlaczego? – spytał bez ogródek Fraser, odwracając się w końcu.

– W imię honoru mego ojca.

Fraser nie odzywał się przez chwilę.

– Czy określiłby pan moją obecną sytuację jako honorową, sir?

– Co?

Fraser obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

– Porażka... tak, to dostatecznie honorowe, jeśli nie pozostaje nic innego. Ale jestem nie tylko pokonany, nie tylko uwięziony na mocy prawa podboju. Jestem wygnańcem i niewolnikiem angielskiego lorda, zmuszonym spełniać wolę mych ciemniejszych. I każdego dnia budzę się z myślą o swych poległych braciach, swoich ludziach pozbawionych mej opieki i rzuconych na pastwę morza i dzikusów, i zasypiam każdej nocy, wiedząc, iż od śmierci ocalał mnie czysty przypadek – to, że moje ciało wzbudza pańską bezbożną żądzę.

Twarz Greya zdrętwiała. Nie czuł, jak poruszają mu się wargi, i był zdziwiony, słysząc słowa, które dobieły się z jego ust.

– Nigdy nie było moim zamiarem narażenie pana na dyshonor. – Widział, jak Szkot z najwyższym trudem stara się zapanować nad gniewem.

– Nie, nie przypuszczam, by tak się działo – odparł spokojnie.

– Sądzę, że nie chce mnie pan zabić? – spytał Grey, siląc się na lekki ton. – Co prawda rozwiązałoby to mój największy dylemat. A jeśli nie znosi pan swojego życia tak bardzo, jak się wydaje, jednocześnie uwolniłby się pan i od tego ciężaru. Upiekłby pan dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Fraser z budzącą grozę szybkością podniósł z ziemi kamień i cisnął nim płynnym ruchem. Rozległo się przyprawiające o mdłości głucho uderzenie, Grey odwrócił się i zobaczył padniętego królika wierzgającego spazmatycznie nogami pod krzewem.

Bez pośpiechu Fraser zbliżył się do zwierzęcia, podniósł je z ziemi i złamał mu kark. Potem podszedł do Greya i rzucił pod jego nogi bezwładne ciało.

– Martwy to martwy, majorze – oznajmił cicho. – Nie ma w tym nic romantycznego. I bez względu na odczucia, jakie żywię w tej kwestii, moja rodzina nie przedkładałaby mej śmierci nad mój dyshonor. Dopóki żyje choć jedna osoba, którą mam obowiązek chronić, moje życie nie należy do mnie.

Oddalił się w chłodny zmrok, nie odwracając się ani razu.

*

Grey opuścił Helwater następnego dnia. Nie zobaczył ponownie Frasera – nie zamierzał zresztą – ale zaniósł późnym rankiem list do stajni. Świeciła pustkami, koni nie było, także stajennych, tak jak się spodziewał.

Nabiedził się trochę nad tym listem, starając się zachować oficjalny i beznamiętny ton. Powiadomił – jak napisał – lorda Dunsany’ego, że jeśli Fraser zechce przesłać jakiegokolwiek listy, komu tylko zechce (podkreślił to, bo wiedział, że Fraser pisuje w tajemnicy do swojej rodziny na szkockim pogórzu), należy dostarczyć mu papier i inkaust, same zaś listy mają być bezwzględnie opatrzone pieczęcią Dunsany. Z ich treścią, jak dodał delikatnie, nie może się zapoznać nikt, z wyjątkiem tych, dla których są przeznaczone.

Zamierzał zostawić swe pismo – z nazwiskiem Frasera – przybite do ogrodzenia albo boksu, gdzie łatwo byłoby je znaleźć. Potem jednakże zaczął się zastanawiać. Nie wiedział, czy pozostali stajenni umieją czytać i czy szacunek dla Frasera może powściągnąć ich ciekawość – ani on, ani Fraser nie chcieliby, aby sprawa stała się znana i omawiana.

Może powinien zostawić list Dunsany’emu, by ten dostarczył go osobiście? – pomyślał. Zdawał sobie sprawę z delikatnego aspektu sprawy i nie chciał, by Fraser czuł się przymuszony z powodu oczekiwań swego zwierzchnika. Chciał, by Fraser spełnił jego oczekiwania, przyznał sam przed sobą. Wahał się przez chwilę, po czym jednak zaczął wchodzić po drabinie na stryszek, gdzie Fraser sypiał; bicie jego serca przypominało werbel.

Na gorze panował mrok, ale nawet w tym skąym świetle można było bez

trudu dostrzec miejsce wybrane przez Frasera. Na podłodze leżały trzy materace, przy każdym drewniana skrzynka z wiekiem na ubrania i rzeczy osobiste. Na dwóch walały się fajki, kapciuchy z tytoniem, poodrywane guziki, brudne chusteczki do nosa, puste kufle do piwa i temu podobne. Ten po lewej, nieco odsunięty od pozostałych, odznaczał się surową nagością, pomijając drewnianą figurkę Maryi Dziewicy i lichtarz ze świeczką, w tej chwili zgaszoną.

Przyłapał się na tym, że wstrzymuje oddech, i zmusił do tego, by poruszać się w normalny sposób; jego kroki rozbrzmiewały głucho na deskach podłogi.

Materac był przykryty starannie rozłożonym i upstrzonym słomą kocem. Jej wzniesienia niczym gniazda otaczały każde legowisko; prawdopodobnie stajenni okrywali się nią, by zapewnić sobie dodatkowe ciepło. Nic dziwnego. Widział białą parę swego oddechu, a palce miał zdrętwiałe z chłodu panującego w tym miejscu.

Z trudem oparł się pokusie, by unieść wieko skrzynki i sprawdzić, co znajduje się w środku. Wiedział jednakże, że tego nie może zrobić i nie zrobi; wtargnięcie w mały bastion prywatności Jamiego Frasera byłoby niewybaczalne.

Wraz z tą świadomością pojawiła się inna: nie należało tak postępować. Nawet gdyby zostawił list na skrzynce albo wsunął dyskretnie pod koc, co jako pierwsze przyszło mu do głowy, to Fraser domyśliłby się, że on, Grey, tu był – uciekając się do poufałości, którą ten człowiek uznałby za niedopuszczalną.

– No cóż, do diabła z tym – mruknął do siebie i kiedy już zszedł na dół po drabinie, znalazł wiadro, na którym stanął, i przytwierdził kartkę do nadproża siodlarni, na ogólnym widoku, ale dostatecznie wysoko, by tylko Fraser mógł jej z łatwością sięgnąć.

Wyszedł ze stajni i spojrzał w stronę wzgórz, szukając wzrokiem jeźdźców, nie dostrzegł jednak niczego prócz strzępów napływającej mgły.

Rozdział 21

Tchórzostwo

Rejs na kontynent został odłożony o dwa tygodnie, ponieważ potrzebna żywność i sprzęt jeszcze nie dotarły. Grey zjawił się w kwaterze Percy'ego o zmierzchu, przemoczony do nitki i zmarznięty na kość po całym dniu spędzonym w porcie na deszczu, gdzie negocjował warunki, na których przeklęty handlarz z Liverpoolu miał dostarczyć beczki z zakontraktowaną soloną wieprzowiną, a załoga statku – zobowiązana do przewiezienia rzeczonych beczek – umieścić te przeklęte beczki w przeklętej ładowni przeklętego statku, a potem zamknąć przeklęte luki.

Percy wytarł Greya do sucha, dał mu świeże ubranie, kazał położyć się do łóżka, wysłuchał skarg i nalał brandy. Grey pomyślał, że nie dane jest mu jeszcze umrzeć.

– Sądziysz, że walka będzie łatwiejsza niż samo dotarcie na pole bitwy? – spytał Percy.

– Tak – odparł Grey z przekonaniem i kichnął. – I to znacznie.

Percy roześmiał się i zszedł na dół, żeby przynieść kolację z tawerny na rogu. Wrócił z chlebem, serem, piwem i dużym garnkiem czegoś, co miało uchodzić za gulasz rybny, ale przynajmniej było gorące.

Grey zaczął się z wolna otrząsać z przesiąkniętej wilgocią żalości na tyle, by rozmawiać i dostrzegać otoczenie. Zauważył ku swemu zdziwieniu, że Percy wcześniej rysował. Tani szkicownik i węgiel były odsunięte na bok, a na kartce widniał ledwie naszkicowany widok z okna, ale oddany z niewątpliwym talentem i wyczuciem.

– To bardzo dobre – ocenił, biorąc rysunek do ręki. – Nie wiedziałem, że potrafisz rysować.

Percy wzruszył ramionami nonszalancko, ale był najwyraźniej zadowolony z pochwały.

– Jeden z przyjaciół mojej matki był artystą. Pokazał mi kilka rzeczy, choć ostrzegł, że oddanie sztuce to pewna droga do głodowania.

Grey roześmiał się i udobruchany ciepłem ognia, jedzeniem i piwem nie sprzeciwiał się, kiedy Percy wziął czystą kartkę i zaczął szkicować jego rysy.

– Śmiało, mów dalej – mruknął Percy. – Powiem ci, jeśli zechcę, byś siedział nieruchomo.

– Po co ci ten mój portret?

Percy podniósł wzrok znad swego dzieła; brązowe oczy emanowały

w blasku świecy ciepłem, ale też powagą.

– Chcę mieć jakąś część ciebie – odparł. – Na wszelki wypadek.

Grey znieruchomiał, potem odstawił kubek.

– Nie zamierzam cię porzucać – powiedział cicho. – Sądzisz, że bym to uczynił?

Percy nie odwrócił wzroku i patrzył mu w oczy z nieznacznym uśmiechem na ustach.

– Nie – odrzekł. – Jesteś jednak żołnierzem, Johnie, a idziemy na wojnę. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że możesz zginąć?

Grey, nieco zbity z tropu, przesunął kłykciami po ustach.

– No cóż... myślę, że tak. Ale... mówiąc szczerze, rzadko się nad tym zastanawiam. Bądź co bądź, mogę być przejechany na ulicy albo złapać zaziębienie i umrzeć na zapalenie płuc. – Wyciągnął rękę i wziął przemoczoną koszulę, która suszyła się na taborecie przy ogniu.

– Owszem, mógłbyś – odrzekł Percy, wracając do rysowania. – Chirurg pułkowy mówił mi, że dziesięciokrotnie więcej ludzi umiera na biegunkę, dżumę albo zakażenie, niż ginie z ręki wroga. Nie ma powodu, byś nie był jednym z nich, prawda?

Grey już otworzył usta, żeby udzielić jakiejś odpowiedzi, ale się nie zdecydował.

– Wiem – powiedział Percy, pochylając głowę nad kartką. – O tym też nie myślisz.

Grey westchnął, poruszając się nieznacznie.

– Nie – przyznał. – Martwisz się?

Percy zagryzał wargę, jego palce nakreślały szybkie, krótkie linie. Po chwili, nie podnosząc wzroku, oświadczył znienacka:

– Nie chcę, żebyś uważał mnie za tchórza.

Ach, więc o to chodziło. Powinien był się domyślić.

Miał ochotę dodać mu otuchy, ale się zawahał. Raz sam zadał takie pytanie albo bardzo podobne. I Hector, jego pierwszy kochanek, starszy od niego o cztery lata i doświadczony żołnierz, nie zaoferował pociechy, o jaką Grey prosił, ale raczej szczerą, jakiej potrzebował. Nie mógł zaoferować Percy'emu mniej.

– Czasem nie jest tak źle – odparł z namysłem. – A czasem jest strasznie. Ale prawda sprowadza się do tego, że nigdy nie wiesz, co się stanie i jak postąpisz.

Percy spojrzał na niego; w jego oczach błysnęło zainteresowanie.

– Uciekłeś kiedykolwiek?

– Tak, oczywiście. Spełnianie obowiązku nie polega na staniu przed baterią dział, żeby dać się zabić. Zazwyczaj – dodał po namyśle. – I trzeba ponad wszystko chronić swoich ludzi. Jeśli ma to oznaczać odwrót, należy go wykonać, chyba że rozkazano trwać w miejscu. Jeśli jednak uciekasz, nie wolno ci porzucić broni. Po

pierwsze, będziesz jej najprawdopodobniej cholernie potrzebował, a po drugie, kwatermistrz potrąci koszt broni z twojego żołdu.

Percy przełożył kartkę w szkicowniku i dotknął jej węglem, marszcząc przy tym czoło.

– Zaczekaj, niech to zapiszę. Primo: chronić... ludzi. Secundo: nie... rzucać... broni. Tertio... Co jest trzecie na tej liście?

– Possij mi kutasa – padła odpowiedź. – Ty dupo.

Percy z błyskiem w oczach zamknął bezzwłocznie szkicownik i podszedł do Greya.

– Zaczekaj! Nie mówiłem poważnie! – rzucił pospiesznie Grey.

– Wykonuję rozkazy – mruknął Percy, przywierając kolanem do jego uda i przygniatając go do łóżka. Położył mu dłoń na rozporoku. – Sir.

Krótką i pozbawioną godności walką, jaka nastąpiła – pełna stłumionych oskarżeń o niesubordynację, władczość, nieposłuszeństwo, arogancję, krnąbrność, despotyzm, buntowniczość i tyranję – zakończyła się rozejmem, a strony konfliktu spoczęły na podłodze bez tchu, zarumienione, w pogniecionych ubraniach, zdyszane i całkowicie usatysfakcjonowane wynegocjowanymi warunkami zawieszenia broni.

Czując osłabienie i błogość, Grey dźwignął się z podłogi i wgramolił do łóżka, gdzie potem leżał, na wpół drzemiąc, podczas gdy Percy zbierał porozrzucane resztki kolacji.

– Jesteś odważny, Johnie? – Młodzieniec przykrył go kocem i pocałował w czoło.

– Nie – odrzekł Grey bez wahania. – Ten jedyny raz, kiedy postąpiłem odważnie, jak mi się wydawało, zakończył się klęską. – Był zdumiony, że to wyznał.

Opowiedział kiedyś całą tę historię – przymuszony – Halowi, choć nieskończenie bardziej wolałby, żeby go rozstrzelano za dezercję albo rozciągnięto na pręgierzu i wychłostano. Wciąż pamiętał twarz brata, kiedy mu to mówił: ulgę, zgrozę, wściekłość, rozbawienie, znowu wściekłość i niech go diabli porwą, współczucie – wszystko to przepływające niczym woda po kamieniach przez te wyraziste rysy. I te głębokie zmarszczki i ślady wyczerpania, oznaki nieprzespanej nocy, kiedy Hal go poszukiwał.

Nie powiedział nikomu innemu i czuł się przez chwilę tak, jakby siedział na saniach pędzących po stromym i zaśnieżonym zboczach, pod którym rozciąga się lodowata otchłań. Po chwili jednak materac ugiął się pod ciężarem Percy'ego, a ciepła dłoń młodego człowieka spoczęła na jego plecach.

– To była moja pierwsza kampania – zaczął Grey, wzdychając głęboko. – Powstanie Stuartów. Nie miałem jeszcze patentu oficerskiego. Hal zabrał mnie wraz ze swym pułkiem do Szkocji, żebym zasmakował wojaczki.

Lgnął do niej jak mucha do miodu. Uwielbiał surowe życie obozowe, rutynę i ćwiczenia, uwodzicielską woń stali i prochu strzelniczego. Podniecające poczucie niebezpieczeństwa, gdy wspinali się coraz wyżej, pokonując posępne granie i mroczne lasy sosnowe pogórza, a ludzie przysuwali się do siebie, coraz bardziej czujni, w miarę jak cywilizacja znikwała za ich plecami. A ponad wszystko prosta przyjemność, jaką dawało towarzystwo mężczyzn, i poczucie, że jest jednym z nich.

Był oswojony z bronią, posługiwał się nią szybko i z wprawą. Nauczono go władać ostrzem, gdy tylko stanął na nogi, i polować z karabinem i łukiem. Niebawem dał się poznać jako furazowy i zwiadowca, a początkowa nieufność do niego, młodszego brata pułkownika, przerodziła się w szacunek okazywany mężczyźnie. Dla szesnastolatka podczas jego pierwszej kampanii było to bardziej upajające niż holenderski jenever.

Chodził regularnie na patrole wraz z innymi zwiadowcami, sprawdzając wieczorami, gdy rozbijano obóz, czy w pobliżu nie czai się niebezpieczeństwo.

– Chodziliśmy zazwyczaj parami. Tej nocy byłem z żołnierzem o nazwisku Jenks. Porządny chłop, ale potężny jak wół. Szybko tracił dech i nie lubił pokonywać stromych zboczy. – Zatem gdy Greyowi się wydało, że widzi dym jakieś osiemset metrów wyżej, w przełęczy Carryarick, Jenks zapewnił go, że on niczego nie dostrzegł. – Mógł się nie mylić; zapadał mrok, ja zaś nie miałem żadnej pewności. Zawróciliśmy do obozu. Nie dawało mi to jednak spokoju... A jeśli widziałem dym naprawdę?

Tak więc po kolacji wymknął się z obozu. Powinien był komuś powiedzieć, ale nie uczynił tego. Nie bał się, że się zgubi. A gdyby tylko mu się zdawało, nie chciał się narazić na kpiny, że robi niepotrzebne zamieszanie albo wszędzie widzi cienie. Mógł wspomnieć Hectorowi – ale ten udał się na tyły z wiadomością dla kapitana kompanii artylerii królewskiej, która im towarzyszyła, ciągnąc działo przeznaczone dla generała Cope'a.

Okazało się, że widział cienie, i to naprawdę. Gdy pokonał mniej więcej ponad pół kilometra szkockiej grani, wiatr przyniósł woń dymu. On zaś, pełznąc przez zarośla i paprocie, przebiegł niczym lis w gęstniejącym mroku, dojrzał w końcu migotanie niewielkiego ognia i ruch pośród drzew przy polanie.

– I wtedy usłyszałem głos. Głos kobiety. Głos Angielki.

– Co? Na zboczu szkockiego pogórza? – spytał Percy tonem, który zdradzał takie samo niedowierzanie, jakie towarzyszyło wówczas Greyowi. Nawet teraz, gdy od powstania upłynęło ponad dziesięć lat, a barbarzyńscy ludzie z klanów zostali pokonani albo usunięci, pogórze Szkocji wciąż pozostawało dzikim pustkowiem. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszczałby się tam obecnie – z wyjątkiem żołnierzy, którzy mieli taki obowiązek. Ale kobieta? W tamtym czasie?

Podczułgał się bliżej, przekonany, że słuch go myli.

– Pomyślałem, że nie może to być w każdym razie oddział jakobicki. Płonął tylko mały pojedynczy ogień. A gdy zbliżyłem się na tyle, by zobaczyć...

Serce podskoczyło mu tak gwałtownie z podniecenia, że omal go nie zadławiło. Na polanie przebywał mężczyzna; siedział odprężony na pniu drzewa.

Tak wyraźnie potrafił przywołać ten pierwszy obraz Jamiego Frasera i gwałtowną falę emocji – przerażenie, panikę, oszalamiające podniecenie. Włosy, oczywiście. Przede wszystkim włosy. Przewiązane i opadające z tyłu luźno, nie rude, lecz ciemnoczerwone – czerwien jak sierść jelenia, czerwien, która połyskiwała w blasku płomieni, gdy człowiek ten schylił się, by dorzucić patyk do ognia.

Jego postura, wrażenie siły, jaką emanował. Bez wątplenia Szkot wedle ubioru, wedle mowy. Nasłuchał się opowieści o Czerwonym Jamiu Fraserze – z pewnością nie mogło istnieć dwóch takich samych. Ale czy był to – czy też mógł być – on?

Uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, ale dopiero wtedy, gdy w oczach zamigotały mu plamki. I starając się oddychać bezgłośnie, zobaczył kobietę, która pojawiła się po drugiej stronie ogniska.

Była naprawdę Angielką, od razu to dostrzegł. Co więcej, była damą. Wysoka, zgrzebnie ubrana, ale o skórze, manierach i doskonałych rysach arystokratki. I z pewnością głos. Powiedziała coś do mężczyzny opryskliwie, a on się roześmiał.

Zwróciła się doń po imieniu, na Boga! To był Jamie Fraser! I przez mgłę paniki i podniecenia Grey dosłyszał odpowiedź mężczyzny i uświadomił sobie z przerażeniem, że człowiek ten składa nieprzyzwoitą propozycję kobiecie, wyrażając jawną chęć wzięcia jej do łóżka. A więc ją uprowadził i zawlókł w odległe miejsce, by ją zhańbić, a ona nie miała żadnej możliwości ucieczki i otrzymania pomocy.

W pierwszej chwili Grey chciał wycofać się cicho, a potem popędzić w dół zbocza i pobiec z powrotem do obozu po ludzi, którzy schwytaliby Jamiego Frasera. Jednakże obecność Angielki zmieniała wszystko. Nie mógł jej zostawić w łapach Szkota! Do tej pory zdążył już zajrzeć do burdelu i wiedział, jak szybko można dokonać niemoralnej transakcji. Nim wróciliby z pomocą, byłoby za późno.

Obawiał się, że bicie jego serca słychać nawet z daleka.

– Poszedłem uzbrojony, oczywiście. – Utkwił wzrok w suficie, jakby widniejący tam ornament z wypukłych liści opowiadał jakąś ciekawą historię. – Pistolet i sztylet za pasem.

Ale pistoletu nie naładował. Przeklinając się w duchu, zmagął się przez chwilę z dylematem: zaryzykować zwłokę związaną z nabiciem broni, odgłos strzału, możliwość chybienia czy też posłużyć się sztyletem?

– Nie myślałeś o tym, by wziąć go do niewoli? – spytał z ciekawością Percy.
– Zamiast go zabijać?

– Tak, myślałem – odparł Grey nieco podniesionym głosem. – Nie wątpiłem jednak, że w pobliżu są jego ludzie. Był powszechnie znany jako jeden ze szkockich wodzów. Klany się właśnie zbierały, a on nie byłby sam, gdyby nie ta kobieta. No i panowała ciemność na tej polanie otoczonej ze wszystkich stron drzewami. Nigdy nie widziałeś szkockiego sosnowego lasu. Dwa kroki w głąb, między drzewa, i człowiek znika bez śladu. Gdybym próbował wziąć go do niewoli, mógłby wezwać pomocy – a z pewnością nie poradziłbym sobie z hordą Szkotów – albo skoczyć w zarośla i tyle bym go widział. A ja i ta kobieta stanowilibyśmy łatwy cel. Jego ludzie by nas dopadli, zanim zdołałbym ją ściągnąć z tej przeklętej góry. Ale gdybym zdołał zabić go po cichu, jak pomyślałem, mógłbym zabrać ją w bezpieczne miejsce, nim ktokolwiek zdążyłby się zorientować. Dobyłem zatem sztyletu.

– O to właśnie ci chodziło, kiedy mówiłeś o odwadze. – Percy ścisnął mu ramię. – Mój Boże, nie miałbym dość śmiałości, by w ogóle pomyśleć o czymś takim!

– No cóż, wykazałbyś się znacznie większą inteligencją niż ja wówczas – oznajmił sucho Grey. Poczłł gorąco na twarzy z powodu zażenowania wywołanego tym wspomnieniem i samego wspomnienia. Na samą myśl o pierwszym zabitym wrogu krew zaczęła mu szybciej krążyć.

Odmierzył starannie odległość – trzy kroki, dystans do pokonania niemal jednym susem. Potem należało otoczyć ramieniem głowę tego człowieka i pociągnąć w tył, po czym przeciągnąć mocno sztyletem po gardle. Tak nakazywał im czynić sierżant O’Connell – zaskakiwać przeciwnika z bliska. Ćwiczyli, on i kilku młodych żołnierzy, odgrywając na przemian rolę ofiary i zabójcy. Dlatego wiedział, co ma zrobić.

– Zatem to zrobiłem – przyznał z westchnieniem. – Objąłem mu głowę ramieniem... ale jej tam nie było. A już po chwili leciałem w powietrzu.

Sztylet wypadł mu ze spoconych palców. Rąbnął mocno o ziemię i coś na niego runęło. Oszołomiony i pozbawiony tchu, walczył instynktownie, wiedząc jednak, że walczy o życie. Kopał, tłukł pięściami, drapał, gryzł i z reguły trafiał tylko w powietrze.

Jednocześnie zderzył się z jakąś żywiołową siłą, a łamiący kości cios w zebra pozbawił go do reszty tchu. Wyciągnął na ślepo rękę, lecz coś chwyciło za nią, unieruchamiając w stalowym uścisku, i wykręciło do tyłu. Rzucił się pod wpływem paniki ku górze, a jego ręka w tym momencie złamała się jak suchy patek.

– No cóż... krótko mówiąc, okazało się, że ta Angielka jest żoną Frasera, niech ją diabli wezmą. A ja za swoją fatygę zostałem przywiązany do drzewa

i dopiero nad ranem znaleźli mnie ludzie mojego brata.

– Jezu! Spędziłeś tam całą noc? Ze złamaną ręką? Musiałeś znosić istne męki!

– Owszem – przyznał niechętnie Grey. – Choć bardziej dokuczały muszki. I diabelnie chciało mi się siusiać. A na rękę nie zwracałem szczególnej uwagi.

Nie wspomniał o palącym bólu w szczęce, gdzie Fraser przyłożył ostrze swego sztyletu, ani o plecach, z których zdierał sobie skórę, próbując się uwolnić. Żadne z jego cielesnych obrażeń nie wydawało się istotne wobec męki umysłu prześladowanego świadomością, jak głęboka jest zdrada, do której go przywiedziono.

– Tymczasem... – Odchrząknął, zdecydowany dokończyć tę opowieść. – Tymczasem Fraser i jego ludzie podkradli się pod obóz aż do miejsca, w którym pozostawiono działo. Zdjęli z niego koła i je podpalili, wykorzystując informacje, które im przekazałem.

Wcześniej Percy patrzył na niego ze współczuciem. Przy tym ostatnim wyznaniu otworzył szeroko usta. Przez chwilę jego oczy zdradzały szok. Potem ujął lewą rękę Greya obiema dłońmi, naciskając delikatnie przez koszulę. Wyczuwał wybrzuszenie na kości, tam gdzie się zagoiła.

– Co ci zrobił? – spytał cicho Percy. – Ten Fraser?

– To bez znaczenia – odparł Grey nieco opryskliwie. – Powinienem pozwolić, by mnie zabił.

Był w gruncie rzeczy przekonany, że Fraser naprawdę zamierza to uczynić, i nie chciał mówić. Prawda... no cóż, wyjawił ją później Halowi. Zamknął oczy, ale nie odsunął rąk Percy'ego. Były ciepłe, a kciuki gładkały delikatnie jego dłoń.

– To była kobieta – powiedział, poddając się bez reszty ponizeniu. – Zagroził jej. A ja, skończony idiota, zacząłem mówić, by ją ocalić.

– Co innego mogłeś zrobić – podsumował Percy tak rozsądnie, że Grey otworzył oczy i popatrzył na niego. Młodzieniec uśmiechnął się nieznacznie. – Oczywiście, że ochraniałeś tę kobietę – pocieszał go. – Ochraniasz wszystkich, Johnie. Przypuszczam, że nic na to nie możesz poradzić.

Zaskoczony, Grey otworzył usta, żeby obalić to absurdalne stwierdzenie, ale Percy go powstrzymał, nachylając się i całując go delikatnie.

– Jesteś najodważniejszym człowiekiem, jakiego znam – powiedział Percy, owiewając policzek Greya ciepłym oddechem. – I nie przekonasz mnie, że jest inaczej. Mimo wszystko... – Usiadł, przyglądając się Greyowi z zainteresowaniem. – Muszę jednakże przyznać, że jestem zdumiony, iż po takim doświadczeniu zostałeś żołnierzem.

– Mój ojciec nim był, tak jak Hal. Nidy nie wyobrażałem sobie, bym mógł obrać inną drogę – odparł zgodnie z prawdą Grey. Zdobył się na krzywy uśmiech. – No i człowiek może obejrzeć kawałek świata.

Twarz Percy'ego rozjaśniła się na te słowa.

– Nigdy nie opuściłem Wysp Brytyjskich. Zawsze chciałem zobaczyć Włochy... szkoda, że nie toczy się tam wojna. Jak myślisz, spodobają mi się Niemcy?

Grey zauważył, że Percy nie chce rozmawiać o jego ponizeniu, i spojrzał na niego znacząco, dając mu do zrozumienia, że o tym wie.

– Prawdopodobnie, jeśli nie złapiesz biegunki. Piwo jest bardzo dobre. A co się tyczy Włoch – może się tam wybierzemy. Zimą, kiedy kampania dobiegnie końca. Bardzo chciałbym pokazać ci Rzym.

– Och, tego pragnąłbym z całej duszy! Byłeś tam... Co ci najbardziej utkwilo w pamięci?

Grey zamrugął zaskoczony. Prawdę mówiąc, jego wrażenia dotyczące tego miasta sprowadzały się głównie do starożytnych kamieni: czarnego bruku Via Appia, marmurowych łaźni Karakalli, ciemnych cuchnących tłuszczem katakumb, gdzie stopy zakurzonych i zbrązowiałych czaszek wydawały się równie nieodłączną częścią pieczar jak sama skała.

– Mewy na Tybrze – oznajmił niespodziewanie. – Krzyczą w Rzymie przez całą noc. Słysząc, jak ich krzyk odbija się od kamiennych ulic. To dziwnie poruszające.

– Mewy? – Percy nie krył niedowierzania. – Na Tamizie też są mewy, na litość boską.

Grey zerknął w okno, teraz ciemne i poznaczone strużkami deszczu.

– Tak. W Rzymie jest... inaczej. Sam się przekonasz – powiedział i unosząc się na łokciu, ucałował plecy Percy'ego.

Rozdział 22

Wstyd

Życie, jak to zwykle bywa, nie ustawało w swym biegu ani na chwilę. Po zaimprovizowanej kolacji Grey nie spotkał się z Percym przez niemal tydzień, co najwyżej widział go na drugim końcu placu defiladowego, rzucał mu uśmiech, gdy mijali się na jakimś korytarzu. Z każdym dniem pojawiała się coś nowego, ciężar obowiązków i odpowiedzialności przypominał bezlitosną winorośl, która go oplatała aż po głowę.

Nie był w domu od trzech dni i żył tylko nieświeżą kawą i pasztecikami, a od czasu do czasu łyknął brandy. Czuł, że coś w końcu pęknie z trzaskiem i miał tylko nadzieję, że kiedy ta chwila nastąpi, będą to jedynie jego nerwy, a nie czyjś kark.

Napięcie udzielało się nie tylko jemu czy innym oficerom. U zwykłych żołnierzy objawiało się to niespokojnym wyczekiwaniem, podnieceniem, nerwowością, która skutkowałą kłótniami, drobnymi konfliktami i nieporozumieniami dotyczącymi niewłaściwie przyznanego sprzętu i dziwek. Były na ogół ignorowane i tłumione w zarodku przez sierżantów albo łagodzone przez przeciwne strony. Pewne sprawy jednak, siłą rzeczy, należało załatwiać publicznie.

Dwa dni przed wymarszem do Gravesend, gdzie miał nastąpić załadunek, na placu koszarowym zebrano cztery kompanie jako świadków wymierzania kary. Przepięstwo: kradzież. Wyrok: sto batów – złagodzony do pięćdziesięciu przez dowódcę, aby żołnierz mógł maszerować wraz z towarzyszami.

Podporucznikiem, któremu powierzono nadzór nad egzekucją, był Percy Wainwright, oficer dowodzący, ale uczestniczyli w tym też jak zwykle starsi oficerowie, między innymi Grey.

Nie podobało mu się to przedstawienie, ale pojmował jego konieczność. Na ogół stał po prostu z obojętnym wyrazem twarzy, ze wzrokiem utkwionym w czymś innym. Tym razem jednak obserwował Percy'ego.

Wszystko szło gładko. Wydawało się, że Percy panuje nad swymi ludźmi, sytuacją i sobą samym. I jeśli zbladł i pocił się obficie, nie było to nic nadzwyczajnego u młodego dowódcy spełniającego po raz pierwszy swe zadanie.

Percy patrzył na chłostę, a Grey wbrew sobie poszedł w jego ślady. Nie miała znamion brutalności, jak to w takich przypadkach, choć plecy tego człowieka po dwunastu smagnięciach pokryły się krwawymi pręgami. Grey obserwował rytmiczny ruch bata, słyszał, jak sierżant odlicza śpiewnym głosem uderzenia, i zaczął, czemu towarzyszyło wrażenie dezorientacji, odczuwać każde z nich gdzieś

w głębi żołądka.

Zwalczył pokusę, by zamknąć oczy.

Dostał mdłości; czarna kawa, którą wypił na śniadanie, przelewała mu się w brzuchu, podchodząc do gardła. Pocił się i borykał z nagłym złudzeniem, że po twarzy i karku spływa deszcz.

Oczy miał wciąż otwarte, ale nie widział już placu skąpanego w wiosennym blasku słońca ani krępego młodego żołnierza jęczącego i wzdrygającego się za każdym razem, gdy spadał na niego bat. Stał na szarym kamiennym dziedzińcu więzienia w Ardsmuir i widział połyskliwe strugi krwi na naprzężonych barkach, spływające po plecach Jamiego Frasera.

Przełknął żółć i wbił wzrok w buty. Stał spokojnie, oddychając głęboko, aż wszystko dobiegło końca.

Żołnierza zdjęto z pręgierza i jego towarzysze odprowadzili go do chirurga pułkowego, który miał przyłożyć mu na plecy gęsi smalec i węgiel drzewny. Kompanie odmaszerowały w należytym porządku i milczeniu, jak zwykle kiedy ludzie byli świadkami wymierzania kary. Gdy jednak Grey się odwrócił, by odszukać wzrokiem Percy'ego, nie dostrzegł młodzieńca.

Przypuszczając, że Percy potrzebuje chwili samotności – też wyglądał tak, jakby miał lada chwila zwymiotować – Grey skupił się na obowiązkach, ale potem wrócił, by sprawdzić dyskretnie, jak jego przyjaciel się czuje, może zaproponować drinka albo służyć jakąś radą, gdyby takowa była potrzebna.

Nie znalazł Percy'ego w żadnym miejscu, w którym mógłby przebywać podporucznik. Nie odszedł chyba i nie wrócił do swojego domu przy Audley Street? Nie zrobiłby tego, nie uprzedzając nikogo, pomyślał Grey, poza tym nikt go nie widział po wymierzeniu chłosty.

Musiał przez jakiś czas krążyć niby od niechcienia, zaglądając to tu, to tam, nim wreszcie znalazł Percy'ego za placem defiladowym w jednej z szop, gdzie przechowywano zapasowy sprzęt.

– Wszystko w porządku? – spytał na widok młodzieńca siedzącego na podnóżku do dosiadanania konia. Dzień był jasny i przez szczeliny w deskach przenikał blask słońca, pokrywając mundur Percy'ego czerwonymi paskami.

– Tak. Rozmyślałem tylko... – Miał twarz pogrążoną w mroku, ale głos brzmiał spokojnie.

– Och. W takim razie nie przeszkadzam. – Grey obrócił się ku drzwiom, ale nie był zdziwiony, gdy Percy wstał.

– Nie, nie odchodź. Dobrze, że mnie odszukałeś. – Objął na chwilę Greya i pochylił głowę. Ich policzki otarły się o siebie.

Grey, zaskoczony i odrobinę przerażony, zeszywniał – na zewnątrz jednak panowała cisza; plac defiladowy świecił pustkami, wszyscy zajmowali się przygotowaniami do wymarszu. Dotyk przyjaciela przynosił mu pociechę, więc też

objął Percy'ego, podniecony świadomością niebezpieczeństwa – po chwili cofnął się o krok.

– Jesteś pewien, że wszystko w porządku?

Percy przestał się pocić i nie był już taki blady, ale nie ulegało wątpliwości, że coś go wciąż dręczy. Skinął jednakże głową.

– To... złagodzenie kary... było słuszne? – spytał.

– W tych okolicznościach, tak. – Grey umilkł, opierając się dłonią o framugę drzwi.

Percy zaczął krążyć niespokojnie po szopie, kopiąc przedmioty, które pojawiały się na jego drodze.

– Jak to się nazywa?

– Bączek. – Cylindryczna klatka wykonana z listewek, z drzwiczkami po jednej stronie. Wykorzystywana do stosowania pomniejszych kar za spóźnienia albo zgubiony sprzęt. – Wsadza się do środka człowieka, a dwaj ludzie obracają tym szybko.

– Czy ty... to znaczy my... często stosujemy taką karę? – Percy trącił czubkiem buta drewniane urządzenie przypominające konia na biegunach, tyle że grzbiet nie był płaski, lecz zwieńczony ostrą krawędzią.

– To zależy. – Grey, przyglądając mu się, dostrzegł niepokój. Młodzieniec krążył nerwowo po pomieszczeniu, nie mogąc ustać w miejscu, a typowy dlań wdzięk gdzieś zniknął. Grey odczuwał jego emocje jak echo w swoim ciele i odkaszlnął, by rozproszyć napięcie. – Niektórzy oficerowie stosują kary bardzo często. Inni rzadko. A czasem nie ma wyjścia.

Percy skinął głową, nie patrząc jednak na niego. Stał kilka chwil, przypatrując się półkom wzdłuż ściany, tam gdzie leżał przeróżny sprzęt, między innymi dwa worki z grubego sukna, w których przechowywano dyscypliny do wymierzania chłosty. – Zastanawiałeś się kiedykolwiek, jak to jest? – spytał nagle. – Być wychłostanym?

Grey poczuł ściskanie w trzewiach, ale odpowiedział szczerze.

– Tak. Zdarzało mi się.

Przynajmniej raz.

Percy ugniatał jeden z sukienych worków niczym kot ostrzący sobie pazury. Zrzucił go na ziemię i wyjął z niego dziewięciopalczystą dyscyplinę – krótką rączkę z płataniną skórzanych rzemieni.

– Chcesz się przekonać? – spytał bardzo cicho.

– O czym? – Greya ogarnęło coś osobliwego, na wpół strach, na wpół podniecenie.

– Zdejmij płaszcz – nakazał Percy, wciąż mówiąc tym przytłumionym głosem.

Ulegając czemuś, co przypominało szok, Grey podniósł dłonie do guzików

odzienia. Czuł się jak lunatyk, nie wierząc w to, co się dzieje – że Percy zaproponował coś takiego i że on się zgadzał. Po chwili zdjął z siebie koszulę; jego plecy i ramiona pokryła gęsia skórka.

– Odwróć się – nakazał Percy, a Grey to uczynił, stając przodem do drewnianego konia.

Rzemienie smagnęły go po ramionach, przywodząc na myśl ostre i nagłe ukłucie meduzy. Zacisnął dłonie na końskim grzbiecie.

– Jeszcze raz – powiedział bez tchu.

Posłyszał, jak Percy zmienia pozycję. Pałała go ciekawość, a nerwowe podniecenie przerodziło się w coś więcej.

– Jesteś pewien? – spytał Percy cicho.

Grey nachylił się nieznacznie i rozsunął ręce, zaciskając dłonie na oparciu i wyginając nagie plecy w łuk. Rzemienie smagnęły go ponownie tuż pod łopatkami z siłą, która pozbawiła go tchu i zapiekła aż po koniuszki palców.

– Jeszcze? – Słowo to zostało wypowiedziane szeptem.

Czuł na karku oddech Percy'ego, czuł jego bliskość, dotyk dłoni na nagiej skórze boku.

Boże, tylko mnie nie dotykaj! – pomyślał. Ścisnęło go w żołądku, a jego treść podeszła mu do gardła. Ale odrzekł chrapliwym i przyciszonym głosem:

– Jeszcze raz. Nie przestawaj.

Kolejne trzy uderzenia i Percy znieruchomiał. Grey odwrócił się i zobaczył, że młodzieniec, blady na twarzy, ścisną dyscyplinę obiema dłońmi.

– Skaleczyłem cię. Przepraszam.

Czuł obrzęk, palącą żywym ogniem pręgę, która biegła od prawej łopatki przez środek pleców. Jakby ktoś przyłożył mu do skóry rozpalone żelazo.

– Nie przepraszaj – odrzekł. – Sam o to prosiłem.

– Tak, ale... – Percy podniósł z ziemi koszulę Greya i okrył nią jego nagie ramiona. – Nie powinienem był tego zaczynać. To znaczy... Nie chciałem... Przepraszam.

– Nie przepraszaj – odparł ponownie Grey. – Chciałeś wiedzieć. Tak jak ja.

*

Śnił o tym dzień przed wyjazdem.

Poczuł, że jest związany, i najadł się koszmarnego wstydu. Czuł ból, ale przede wszystkim wstyd. Żeby dżentelmen był zamieszany w taką sprawę i wystawiony na widok publiczny...

Ludzie zebrali się na placu, patrząc wprost przed siebie. Uświadomił sobie z wolna, że nie jemu się przypatrują. Stał się w jakiś sposób kimś odrębnym i doznał ogromnej ulgi, że to ostatecznie nie on.

A jednak odczuwał uderzenia, stękając przy każdym jak zwierzę.

W końcu zobaczył, jak zabierają tego człowieka, jak dwaj mężczyźni wloką go, zarzuciwszy sobie jego ręce na ramiona, a jego stopy płaczą się niczym u pijaka. Dojrzał kościstą twarz, na której malowało się skrajne wyczerpanie – zamknięte oczy i ściekającą wodę, niemal czarne włosy, tak bardzo przesiąknięte potem i deszczem.

Nacieranie rozciętej skóry maścią, palce pokryte jej grubą warstwą, żeby dotykać jak najdelikatniej. Z pleców tego mężczyzny było gorąco, choć skóra ramion była zimna, wilgotna od schnącego potu. Wziął ręcznik, żeby otrzeć jego kark, rozwiązał rzemyk na przemoczonych włosach i zaczął je wycierać do sucha.

Coś rozpierało jego pierś i krtań i zaznał wielkiego szczęścia, zajmując się tym człowiekiem, który się nie odzywał, on zaś tego nie oczekiwał. Wygładził długie grube kosmyki na wpół wyschniętych włosów między palcami i otarł krzywiznę uszu, które przypominały mu uszy małego chłopca, wzruszające w swej delikatności.

Wtedy uświadomił sobie, że siedzi okrakiem na tym człowieku i że obaj są nadzy. Pod nim wznosiły się, tworząc idealny kontrast z zakrwawionymi plecami, jego gładkie, krągłe i mocne pośladki. I ciepłe. Bardzo ciepłe.

Obudził się z koszmarnym poczuciem wstydu, w brzuchu czuł bolesne skurcze. W uszach rozbrzmiewał mu dźwięk kapiącej wody.

Kapiącego deszczu. Potu, krwi i nasienia. Nie łez. Ten człowiek ani razu nie zapłakał, nawet w najgorszej chwili.

A jednak poduszka była mokra.

Od jego łez.

Potem przez resztę dnia, gdy jechał konno na czele maszerującej kolumny, przemierzając ulice Londynu i kierując się w stronę Pool, gdzie miało nastąpić zaokrętowanie, od czasu do czasu przesuwiał delikatnie palcami pod nosem, spodziewając się za każdym razem, że poczuje woń balsamu leczniczego.

Rozdział 23

Nadrenia

Tom Byrd był w swoim żywiole. Wyraźnie zadowolony, krążył wokół Greya niczym sęp dokoła kawałka pierwszorzędnej padliny.

– Bardzo ładnie, milordzie – oznajmił z aprobatą, wygładzając drobną fałdę na skórzanej klapie najlepszego munduru Greya. Poprawił brzeg piętnastocentymetrowego mankietu i ułożył odpowiednio szamerunek. – Nie sądzi pan, że wygląda dobrze, sir? – zwrócił się do Percy’ego, który stał pod ścianą i przyglądał się jak urzeczony Greyowi.

– Jestem oczarowany jego wyglądem – powiedział Percy z powagą. – Przyniesie ci chlubę, jestem tego pewien.

– Nie – odparł Tom, odsuwając się z westchnieniem. – Będzie miał na kreskach plamy po sosie, nim wieczór dobiegnie końca. Albo pójdzie z kimś o zakład i skoczy na tym wielkim wściekłym białym koniu przez mur ze skrzyżowanymi rękoma i wyląduje w błocie. Albo...

– Nie spadłem – przerwał mu Grey wyraźnie urażony. – Koń się pośliznął, kiedy wylądowaliśmy po drugiej stronie, i przetoczył się po mnie.

– No cóż, pańskie odzienie bardzo ucierpiało, milordzie – oznajmił surowo Tom. Nachylił się, dmuchnął na srebrny guzik i zaczął go pocierać rękawem.

Grey rzeczywiście prezentował się wspaniale – ubrany nieskazitelnie, włosy ściśle splecione w warkocz i przypudrowane. Buty, guziki i rękaje rapiera lśniły, ryngraf oficerski też – jednym słowem, wzór brytyjskiego żołnierza. Cały jednak ten wysiłek nie był wart zachodu, bo nikt nie spojrzałby dwa razy na angielskiego oficera w sali pełnej Prusaków i Hanowerczyków, ci zaś, nawet jeśli nie pochodzili z rodu królewskiego czy arystokracji, mieli upodobanie do złotych haftów i pióropuszy. Stał sztywno, ledwie mając odwagę oddychać, gdy Tom krążył podstępnie wokół niego, szukając czegoś, co mógłby jeszcze skorygować.

– Och, ja też chcę iść na bal! – oznajmił kpiącym tonem Percy.

– Nie pójdziesz – zapewnił go Grey. – Przez pół wieczoru będą wygłaszane mowy, i to najbardziej pompatyczne, a potem zaczniesz się procesja pieczonych pawi przybranych piórami, pozłacanych pstrągów i innych równie wspaniałych i niejadalnych specjalów.

Wolałby wraz z Tomem i Percym spożyć w swoim namiocie kolację złożoną z jajek na bekonie. W innej sytuacji zwykły major nie zostałby zaproszony na uroczystość wydaną na cześć nowych sprzymierzeńców hanowerskich pod dowództwem Jaśnie Oświeconego Ferdynanda, księcia Brunszwiku.

Hal musiał tam jednak pójść nie tylko jako hrabia – choć angielscy hrabiowie nie mogli się równać z margrabiami, landgrafami, elektorami i książętami obecnymi na kolacji – lecz również jako dowódca własnego pułku. Greya zaproszono, ponieważ był bratem Meltona, ale też podpułkownikiem regimentu pod nieobecność oficera, który zwykle pełnił tę funkcję, a który uległ zatruciu pokarmowemu podczas rejsu przez kanał La Manche. Nie wypadało Halowi pokazać się w tak dostojnym towarzystwie bez asysty. Ewart Symington zgłosił niedyspozycję – nie mówił po niemiecku i nie znosił tego rodzaju uroczystości – tak więc do służby zaprzęgnięto Greya ubranego w najlepszy mundur.

– Jesteś gotowy? – Hal wsunął w drzwi upudrowaną głowę.

– Oczywiście – odparł Grey, prostując się. – Nie zapomnisz o butelkach, Tomie?

– O, nie, milordzie – zapewnił go służący. – Może pan na mnie polegać.

– Doskonale zatem. – Podsunął bratu zgiętą w łokciu rękę. – Zatańczymy?

– Osioł – rzucił Hal, ale bez urazy.

Przyjęcie odbywające się w starodawnym ratuszu wyglądało dokładnie tak, jak Grey przewidywał: było długie i śmiertelnie nudne. Na stołach pojawiała się co chwila nowe danie: pieczona wieprzowina, gotowana wołowina, baranina w sosie, pieczone bażanty, krojona szynka, duszone przepiórki, ryby z rusztu, jajka w auszpiku i cięcie, małe w zupie, zapiekance i w muszlach, poza tym rozmaite przekąski, bita śmietana z alkoholem i słodycze – wszystko podane na srebrnych półmiskach, za które można by nabyć niewielki kraj, i popijane litrami wina, którym wznoszono niekończące się toasty za wszystkich: począwszy od króla Prus Fryderyka, króla Jerzego i księcia Ferdynanda, a skończywszy – czego Grey był pewien – na kocie, choć trudno cokolwiek w tej chwili powiedzieć, gdyż nikt już na nic nie zwracał uwagi.

Oficerowie niemieccy prezentowali się wspaniale. Grey patrzył w szczególności na wysokiego, jasnowłosego Hanowerczyka noszącego mundur pułku jego przyjaciela von Namtzena, ale jego samego nigdzie nie dostrzegł. Grey nawiązał z nim rozmowę przed kolacją – zastanawiając się, jak ten człowiek znalazł się na takiej uroczystości – i dowiedział się, że ów młodzieniec o nazwisku Weber zjawiał się tutaj, by towarzyszyć starszemu oficerowi z królewskiego pułku piechoty hanowerskiej von Namtzena. Wybuch jakiejś epidemii w regimencie sprawił, że wielu starszych oficerów należało zaliczyć do *hors de combat*[3].

– Czy kapitan von Namtzen także został dotknięty tą chorobą? – spytał Grey, podziwiając ukradkiem twarz mężczyzny. Z tymi głęboko osadzonymi niebieskimi oczami i zmysłowymi ustami przywodziła na myśl oblicze anioła, któremu chodzą po głowie lubieżne myśli.

Weber pokręcił głową, a nieznaczna zmarszczka na czole skaziła na chwilę

doskonałość rysów.

– Niestety, nie.

– Niestety? – powtórzył niczym echo zdziwiony Grey.

– Kapitan uległ późną jesienią wypadkowi – wyjaśnił Weber. – Ledwie draśnięcie podczas polowania, ale rana zaczęła się jątrzyć, a jego *Blut* się zatręła, więc lekarze musieli ją obciąć.

– Obciąć... co?

– Och, *Entschuldigung*[4], nie wyrażam się dostatecznie jasno. – Weber skłonił się przepaszająco i Grey uchwycił woń jego wody kolońskiej, coś korzennego i ciepłego. – Stracił rękę. Lewą rękę – dodał dla ścisłości.

Grey przełknął nerwowo ślinę.

– Przykro mi to słyszeć. Czy kapitan wraca do zdrowia?

– Och, *ja* – zapewnił go Weber, obracając nieznacznie głowę, gdy odezwał się gong wzywający do zajmowania miejsc. – Jest w swoim domku myśliwskim. Możliwe, że wydobrzeje na tyle, by przyłączyć się w następnym miesiącu do kampanii. Mamy taką nadzieję. – Popatrzył przyjaźnie na Greya. – Może znów się spotkamy?

Grey skinął głową i wyruszył na poszukiwania Hala zaniepokojony wieściami o von Namtzenie, ale jednocześnie zadowolony, że Stephan zdrowieje. Stojąca w drzwiach ratusza falanga trębaczy zadęła w instrumenty, oddając salut, który poruszył sztandarami zwieszającymi się u powały i ogłosił uroczyste przybycie księcia Ferdynanda.

– No cóż, czekają nas ciężkie chwile – mruknął Hal, patrząc, jak służący napełnia mu kieliszek przed pierwszym toastem.

– Za nasze wspańiałe zwycięstwo! – oznajmił po niemiecku rozpromieniony oficer, który stał obok.

– Za nas. Żebyśmy mogli wyjść stąd bez pomocy – odparł po angielsku Hal, uśmiechając się szeroko.

Celem tej uroczystości było to, czego po niej oczekiwano – wzajemne zapoznanie się dowódców i utwierdzenie się w poczuciu niezwyciężoności we własnym i sojuszników gronie. Po trzech godzinach takiego utwierdzania się, czyli bezustannego picia, niejeden oficer zapragnął odejść na chwilę od stołu, ale uznano by to za coś wielce niestosownego.

Grey zaczął odczuwać dyskomfort i zorientował się w pewnym momencie, że służący, który stał za krzesłem, odwrócił się na chwilę, a potem pochylił. Przesunął ostrożnie nogę i trącił pustą butelkę, którą umieszczono pod jego siedziskiem.

– Dziękuję – powiedział z niekłamaną ulgą. Uśmiechnął się do siedzącego naprzeciwko Hala, który też wyglądał na spiętego, choć zachowywał pozory z godnością. – Proszę uczynić to samo dla mego brata.

Było dobrze po północy, gdy kolacja dobiegła końca, i dowódcy, i starsi oficerowie sprzymierzonej armii hanowerskiej wyszli niepewnym krokiem na chłodną wiosenną noc. Większość rzuciła się pędem ku najbliższemu murowi albo drzewu.

Greyowie, nieprzynaglani taką potrzebą, spacerowali z pełną zadowolenia beztruską po ciemnych ulicach, zmierzając w stronę zajazdu, w którym byli zakwaterowani. Rozmawiali o minionym wieczorze i poznanych ludziach, dzielili się opiniami na temat ich umiejętności i spodziewanej skuteczności w boju.

Grey odczuwał błogość wywołaną kilkoma kwartami wina i innych trunków, cieszyła go także nadchodząca kampania. Było prawdą, że on i Percy nie mogli już marzyć o takiej intymności, na jaką pozwalali sobie w Londynie, ale wiedział, że pozostaną blisko siebie, połączeni duchem przygody i braterstwa. Co się zaś tyczy ciała... No cóż, czasem może trafiłaby się jakaś sposobność, a w najgorszym razie mogli wyczekiwać zimy, a także prywatności i wolności, jaką oferował Rzym.

Ukołysłany tymi przyjemnymi myślami i olśniewającym blaskiem księżyca w pełni, dopiero po chwili uświadomił sobie, że Hal nie podziela jego uniesienia, lecz kroczy obok ze spuszczoną głową, najwyraźniej zatroskany.

– O co chodzi? – spytał Grey. – Jesteśmy czymś urażeni, a mnie to umknęło?

– Co? – Hal spojrzał na niego zaskoczony. – Och, nie, oczywiście, że nie. Myślałem tylko, że wołałbym Francję.

– No cóż, Francja ma swoje zalety – zauważył rozsądnie Grey. – Pomijając fakt, że pełno w niej Francuzów. Ale myślę, że i tu sobie dobrze poradzimy.

– Osioł – powiedział Hal ponownie, choć bez zacietrzewienia. – To nie ma nic wspólnego z kampanią. Jest w porządku. Może i stanowimy tu mniejszość, ale sądzę, że będziemy się cieszyć znacznie większą autonomią pod rozkazami Ferdynanda niż Fryderyka. Nie – ciągnął, wpatrując się ze zmarszczonym czołem w bruk ulicy. – Wołałem Francję ze względu na obecność uchodźców jakobickich.

– Och! – Słowo „jakobicki” przebiło się przez mgiełkę upojenia, jaka otaczała Greya. Wyciągnął rękę, by odeprzeć atak mijanego drzewa. – Dlaczego?

Nie wspomniał Halowi słowem o rozmowie z Jamiem Fraserem, bo nie było takiej potrzeby, chyba że czymś by zaowocowała. Sir George i lady Stanley odpłynęli bezpiecznie do Hawany tydzień wcześniej, nim oni sami wyruszyli na kontynent, i w tym całym pośpiechu towarzyszącym załadunkowi wojska Grey nie poświęcił nawet jednej myśli zagadkowej śmierci swego ojca. Nie pojawiły się nowe stronicze dziennika, nie doszło też do kolejnych napaści. Zdawało się, że cała sprawa skończyła się równie szybko, jak się zaczęła.

– To prawdopodobnie nic ważnego. Mam tylko kilka nazwisk... z Bath...

– Bath? – spytał Grey, jękając się odrobinę. – Któż taki jest w Bath, u licha?

Hal spojrzał na niego, potem machnął z rezygnacją ręką.

– Victor Arbuthnot – powiedział.

Grey przez kilka chwil nie potrafił się zorientować, o kogo chodzi, ale później sobie przypomniał.

– Stary przyjaciel ojca? Ten, z którym prowadził badania astronomiczne?

Hal parsknął.

– Może i zajmował się astronomią, ale przyjaźń jest wątpliwa. To ten człowiek zadenuncjował ojca jako zdrajcę jakobickiego.

– On... Co? – Grey przystanął nagle. W jasnym blasku księżycy wyraźnie widział twarz Hala i mógł dostrzec, że brat jest co najmniej tak pijany jak on, choć wciąż mógł iść i mówić jednocześnie. – Znalazłeś go... i pozwoliłeś mu żyć?

Hal zniecierpliwiony machnął ręką i omal nie stracił równowagi; przytrzymał się drzewa.

– Arbuthnot przysięga, że tego nie zrobił. Złożył zeznanie, owszem, i gorzko tego żałuje. Też mógłbym tak postąpić, gdyby uczynili ze mną to, co z nim. – Hal zacisnął szczęki i przełknął. – Przyznał się, że sam jest jakobitą i że spiskował z katolikami włoskimi i irlandzkimi, sądząc, że może ich spokojnie zadenuncjować, przysięga jednak, że nie podał żadnych nazwisk ludzi z Anglii i dlatego nikogo nie można było zatrzymać i przesłuchać, a już z pewnością nie ojca.

Grey nie zamierzał nawet pytać brata, dlaczego wierzy Arbuthnotowi. Najwyraźniej wierzył, a Hal nie był głupcem.

– Zatem jak tłumaczy...

– Nie wie. Nie sporządził swojego zeznania sam... nie mógł. – Hal skrzywił usta. – Tylko je podpisał, a jego dłonią kierował delikatnie pewien człowiek o nazwisku Bowles.

– Bowles – powtórzył powoli Grey. Poczuł, jak na ten dźwięk przewracają mu się wnętrzności, i przełknął kilkakrotnie, by zapanować nad mdłościami. – Znasz... tego Bowlesa?

Hal pokręcił głową.

– Harry go zna. Mały sadysta o twarzy przypominającej pudding, jak twierdzi. Donosiciel. Spotkałeś go?

– Raz – odparł Grey, który złakniony powietrza szarpał halsztuk. – Tylko raz.

– Tak, no cóż, nie wiem, kim jest teraz, a Arbuthnot nie wiedział, kim był wówczas – powiedział, że jakimś pomagierem, jak to określił. Zleciłem panu Beasleyowi odszukanie oryginalnego zeznania – wyznał niespodziewanie Hal. – Nie do odnalezienia.

– Utajnione? Czy zniszczone?

– Nie wiadomo. Nie natknął się nawet na nikogo, kto by przyznał, że coś takiego widział.

A jednak takie zeznanie było podstawą nakazu aresztowania Gerarda Greya, pierwszego księcia Pardloe. Ów nakaz nigdy nie został przedstawiony.

– Jezu. – Przystanęli. Grey, nie czując w tym nagłym bezruchu ożywczego powietrza na twarzy, chwycił się za gardło. – Chyba będę rzygał.

I tak też zrobił, a potem stał zgięty w pół przez minutę, opierając dłonie o uda i dysząc z wysiłkiem. Wydawało się jednak, że torsje pomogły. Kręciło mu się trochę w głowie, kiedy się już wyprostował, ale umysł przejaśniał.

– Mówiłeś: „z pewnością nie ojca”. Czy chcesz powiedzieć albo czy raczej Arbuthnot chce powiedzieć, że ojciec był jednak jakobitą, lecz go nie zadenuncjował? Czy też że w ogóle nie był jakobitą?

– Naturalnie, że nie był – odparł gniewnie Hal. – Co sugerujesz?

– No cóż, jeśli nie był, a ty jesteś o tym przekonany, to dlaczego chcesz rozmawiać z jakobitami we Francji? – Patrzył na Hala, którego twarz w blasku księżycy wydawała się biała, a oczy przypominały ciemne dziury.

– Nie był – powtórzył Hal z uporem. – Ja tylko... tylko... czekam. – Przełknął z wyraźnym wysiłkiem ślinę, Grey zaś dostrzegł kropelki potu na czole brata.

Grey skinął głową i przysiadł na niskim murku, starając się nie słyszeć odgłosów torsji. Jego żołądek nie uspokoił się jeszcze i sam czuł się słaby i lepki od potu.

Kilka chwil później Hal wyłonił się z mroku i usiadł ciężko obok niego.

– Przekłete ostrzygi – burknął. – Nie powinno się ich spożywać w miesiącach, których nazwy zawierają literę „r”. Wszyscy o tym wiedzą.

Grey znów skinął głową, powstrzymując się od uwagi, że jest marzec. Siedzieli nieruchomo przez jakiś czas, a chłodny wiaterek osuszał pot na ich twarzach.

– Mogłeś mi powiedzieć, Hal – odezwał się cicho Grey. Przycupnęli na ogrodzeniu cmentarza przykościelnego, a cień samego kościoła pograżał ich w mroku. Widział Hala jako niewyraźną plamę, ale wyczuwał jego obecność i słyszał oddech.

Hal milczał przez chwilę, wreszcie jednak spytał:

– O czym?

– Że ojca zamordowano. – Przełknął, czując w ustach smak wina i żółci. – Żałuję, że nie mogłem wtedy z tobą o tym porozmawiać.

Poczuł, jak Hal zmienia pozycję i obraca się w jego stronę.

– Że co? – dopytywał się szeptem.

– Dlaczego nie mogłeś mi powiedzieć... O Jezu. – Miał wrażenie, że robi mu się słabo, kiedy poniewczasie dostrzegł przerażenie w pytaniu brata. – Jezu, Hal. Nie wiedziałeś?

Hal milczał jak grób.

– Nie wiedziałeś – mruknął Grey, odpowiadając drżącym głosem na własne pytanie. Obrócił się do brata, zastanawiając się, jakim cudem wypowiedział te

słowa, skoro brakowało mu tchu. – Myślałeś, że się zabił. A ja myślałem, że wiesz. Że zawsze wiedziałeś.

Usłyszał, jak Hal wzdycha niespiesznie.

– Skąd to wiesz? – spytał spokojnym głosem..

– Byłem tam.

Prześladowany huczeniem w uszach, niepewny tego, co mówi, opowiedział o tamtym letnim poranku w oranżerii i woni zgniecionej brzoskwini. Słyszał echo swej pierwszej relacji i wyczuwał obecność ducha Percy'ego u swego boku, tak ciepłą i kojącą.

W pewnym momencie dojrzał, że twarz Hala jest mokra od łez. Nie zdawał sobie sprawy, że sam też płacze, dopóki brat nie zaczął grzebać odruchowo w rękawie i nie podał mu chusteczki.

Otarł policzki, niemal nie zauważając tego, co robi.

– Myślałem... byłem pewien, że matka ci o tym mówiła. I że oboje zdecydowaliście, że mam nie wiedzieć. Wysłaliście mnie przecież do Aberdeen.

Hal kręcił uparcie głową niczym robot. Grey to bardziej wyczuwał, niż widział, chociaż dostrzegł ruch, gdy Hal wysmarkał się hałaśliwie w rękaw. Nagle przyszło mu do głowy, że chyba nigdy nie widział płaczącego brata, w każdym razie od śmierci jego pierwszej żony.

– Ta... stara przebiegła... o Boże. Ta przekłeta kobieta. Jak mogła? I zupełnie sama... przez tyle lat sama! – Ukrył twarz w dłoniach.

– Dlaczego? – Grey znowu nabrał oddechu. – Dlaczego, na litość boską, nic ci nie powiedziała? Rozumiem jej pragnienie ukrycia prawdy przede mną ze względu na wiek, ale... przed tobą?

Hal zaczął się już uspokajać, choć głos wciąż mu się łamał, a emocje zmagaly się ze sobą: ulga ustąpiła przed trwogą, potem przerażeniem, smutek uległ gniewowi.

– Bo wiedziała, że będę ścigał tego bydlaka. I niech ją diabli wezmą, uważała, że i mnie zabije. – Hal rąbnął pięścią w murek, nie wydając z siebie żadnego głosu. – Niech to diabli!

– Sądzisz, że wiedziała, kto to jest... – Te wypowiedziane głośno słowa zawisły w próżni.

– Wie przynajmniej, kto to może być – oznajmił w końcu Hal. Wstał i wziął swój kapelusz. – Chodźmy.

Resztę drogi bracia pokonali w milczeniu.

3 *Horst de combat* (franc.) – niezdolny do walki.

4 *Entschuldigung* (niem.) – proszę o wybaczenie.

Rozdział 24

Potyczka

Grey jako jeden z dwóch majorów w batalionie był odpowiedzialny za około czterystu żołnierzy. Kiedy armia wyruszała, do jego obowiązków należało dopilnowanie, by każdy zjawił się we właściwym miejscu i z grubsza o określonej porze, odpowiednio wyszkolony i wyposażony, tak aby mógł wykonać powierzone mu zadanie. Jednocześnie, pełniąc funkcję podpułkownika Hala, miał też przebywać na polu bitwy podczas działań bojowych pułku – czuwać nad logistyką, kierować ruchami dwudziestu sześciu kompanii i w miarę możliwości wdrażać strategię i taktykę, do jakiej upoważniły go rozkazy.

Przez cały kwiecień siły księcia Ferdynanda i jego angielskich sprzymierzeńców były w marszu, ale nie uczestniczyły w działaniach wojennych z powodu szczególnej niechęci do walki francuskich i austriackich wojsk pod wodzą księcia de Richelieu.

W konsekwencji armia przemierzała tygodniami dolinę Renu, spychając Francuzów ku ich granicom, ale nigdy nie zdołała zaangażować sił nieprzyjaciela.

Tak więc codzienne szesnastogodzinne obowiązki Greya polegały na sprzeczkach z pruskimi markietanami, hanowerskimi poganiaczami mułów i angielskimi kwatermistrzami, na niekończących się naradach, inspekcjach i wyznaczaniu miejsc pod nowe obozowiska, na zajmowaniu się zakwaterowaniem i wyżywieniem, epidemiami biegunki i ospy, na dyktowaniu rozkazów – i wysłuchiwanie powodów, dla których nie zostały wykonane – dowódcom dwudziestu sześciu kompanii, dotyczących zachowania, wyposażenia i morale podległych im ludzi.

Grey szukał czasem wytchnienia od tej nudy, wyruszając na patrole z tą czy inną kompanią. Rzekomym, a na dobrą sprawę rzeczywistym powodem owej aktywności była chęć sprawdzenia przygotowania bojowego oddziałów i kompetencji oficerów. W jego przypadku korzyść z owych wypraw wydawała się oczywista – ratowały go przed utratą panowania nad sobą albo rozsądku.

Oczywiście, musiał rygorystycznie unikać wszelkich posądzeń o protekcję, więc miał w zwyczaju wybierać daną kompanię, rzucając strzałką w listę oddziałów wiszącą w jego namiocie. Zatem za sprawą czystego przypadku los wskazał jedną z kompanii porucznika Wainwrighta dopiero pod koniec kwietnia.

Grey widywał Percy'ego często – w niemal każdy wieczór jadali razem kolację w kantine oficerskiej albo w namiocie Greya – i oczywiście dopytywał się o jego ludzi z obowiązku, ale ich rozmowy dotyczyły w większości spraw

prywatnych. Nie widział jeszcze jednak, jak Percy radzi sobie z podwładnymi, pomijając musztrę, dlatego wyruszył dwudziestego czwartego kwietnia pełen niespokojnego wyczekiwania.

Dosiadał wałacha o imieniu, które nosił potwór w *Beowulfie*, Grendel, a które przeczyło jego łagodnemu usposobieniu, pogoda zaś niejako z obowiązku dostosowała się do owej łagodności. Dzień był słoneczny i ciepły, a żołnierze nie kryli zadowolenia, że mogą opuścić kwatery i trochę się poruszać. U Percy'ego wyczuwało się nerwowość, ale nie okazywał jej i przez większość dnia wszystko przebiegało gładko. Jednakże wczesnym popołudniem kolumna wojska, posuwając się wzdłuż krawędzi urwiska nadrzecznego, znalazła się jakieś dziewięć kilometrów za obozem.

Teren był gęsto zalesiony, ale przy urwisku biegł szeroki trawiasty trakt, a od srebrnej wstęgi Renu w dole napływał ożywczy wiatr – ogromna ulga dla ludzi, którzy musieli wspinać się na wysoki brzeg rzeki w pełnym oporządzeniu. Potem wiatr się zmienił, Grendel zaś uniósł łeb, poruszając nozdrzami i strzygąc uszami.

Grey ściągnął wodze natychmiast. Podporucznik Tarleton dostrzegł jego ruch i dał kompanii znak, by się zatrzymała, co żołnierze uczynili w nieporadny sposób, narzekając i wpadając jeden na drugiego. Percy obrócił się i popatrzył na nich z gniewnie zmarszczonym czołem.

– Każ swoim ludziom przyjąć pozycję strzelecką. Coś mi się tu nie podoba – powiedział Grey półgłosem i wskazał głową zagajnik znajdujący się około stu metrów dalej. Wiatr napływał właśnie stamtąd; czuł go na twarzy.

Konie innych oficerów też zarzucały łbami, rżąc nerwowo. Percy nie zadawał pytań, tylko uniósł się w strzemionach i zaczął wydawać rozkazy. Poczucie zagrożenia zaczęło się rozprzestrzeniać niczym ogień obejmujący siano. Wszelkie skargi i nieporządek ulotniły się w jednej chwili i żołnierze ustawili się w podwójnym szeregu, a kapral wykrzyczał rozkaz, by ładować.

Od strony zagajnika dobiegł huk strzałów z muszkietu – wianuszek jasnych rozbłysków, którym towarzyszył niesiony przez wiatr ostry zapach dymu prochowego.

Żołnierze trwali na stanowiskach. Percy powiódł szybkim spojrzeniem po szeregu.

– Nikt nie strzela – rzucił bez tchu. – Za daleko!

Grey ocenił sytuację – dobry teren, odsłonięty aż po zagajnik. Lasek był niewielki, wydawało się więc niemożliwe, by mógł się w nim ukryć cały pułk. Żadnej artylerii; gdyby przeciwnik miał działą, toby go użył. Odwrót czy atak? Bardzo stromy i skalisty szlak po jednej stronie opadał niemal pionowo w dół, ku rzece, a po drugiej porastały go gęste zarośla; piechota, strzelając od czoła, przygwoździłaby ich ogniem.

– Podejdą bliżej. Zaatakujcie, nim zdążą załadować broń. – Grey chwycił

pospiesznie wodze jedną dłonią, gotów dobyć rapiera.

Zdążył jednakże chwycić tylko wodze konia Percy'ego, gdy ten mu je rzucił, zeskoczył na ziemię i rycząc ile sił w płucach: „Do ataku!”, ruszył biegiem w stronę zagajnika, dobywając jednocześnie ostrza.

Kompania zaskoczona w trakcie ładowania broni, nie zważając na rozkazy i ostrożność, zostawiwszy kaprała o rozdziawionych ustach, pognąła w ślad za swym dowódcą, wrzeszcząc entuzjastycznie.

– Jezu Chryste! – warknął Grey. – Panie Tarleton... niech się pan trzyma! – Wcisnął wodze obu koni w dłonie przerażonego podporucznika, zeskoczył z wierzchowca i popędził nie za atakującą kompanią, ale w bok, wokół zagajnika.

Wbiegł między drzewa z pistoletem w dłoni, starając się patrzeć jednocześnie w każdą stronę. Jego największa obawa – że w lesie znajduje się duża kompania – zniknęła natychmiast. Dostrzegł białe mundury, ale ich liczba nie była zbyt duża. Zdawało się na dobrą sprawę, że natknęli się na oddział furazowych. Grey skoczył za krzew i omal nie wpadł na kilka obładowanych trawą osłów, których woń zaniepokoiła konie.

Jeden wystraszony osioł położył uszy, zarżał przeraźliwie i kłapnął dużymi żółtymi zębami w małej odległości od jego ręki. Grey trzepnął go po nosie, po czym zaczął przedzierać się przez zarośla, przeklinając własną głupotę, a także głupotę francuskiego dowódcy, kimkolwiek był ten cholerny zabojad.

Co go opętało, żeby strzelać do nich z takiej odległości? Rozsądek nakazywał zachowywać się cicho albo wycofać niepostrzeżenie między drzewami. I dlaczego on sam powiedział Percy'emu, że Francuzi na nich ruszają? Było bardziej prawdopodobne, że uświadomili sobie własne szaleństwo i zamierzali się wycofać, przewyższani liczebnie i gorzej uzbrojeni.

Co do głupoty Percy'ego... Słyszał, jak młodzieniec w dzikim uniesieniu krzyczy gdzieś z przodu chrapliwym głosem. Ogarnęła go przemożna chęć, by walnąć pięścią porucznika Wainwrighta, i miał tylko nadzieję, że żaden Francuz nie pozbawi go tej szansy, zabijając Percy'ego wcześniej.

Z prawej strony dobiegł przeraźliwy krzyk i Grey odskoczył, gdy ktoś ruszył na niego. Coś pociągnęło za płaszcz, pozbawiając go równowagi. Zatoczył się, uchwycił gałęzi drzewa, by nie upaść, i strzelił odruchowo do człowieka, który próbował właśnie pchnąć go bagnetem.

Francuski żołnierz trafiony w bok drgnął gwałtownie. Zanim upadł, obrócił ku niemu pełną niedowierzania twarz młodego chłopca. Grey zaklął w duchu i zacisnął zęby, ładując pistolet. Chłopak nosił dystynkcje kaprała. Zapewne ten czterastoletni przygłup dowodził oddziałem, któremu nakazano zdobycie paszy dla koni.

Wsunął naładowany pistolet za pas i podniósł muszkiet upuszczony przez młodego podoficera. Chłopiec wciąż oddychał; Grey widział, jak jego pierś unosi

się i opada. Oczy miał zamknięte, ale twarz drżała z bólu. Grey stał jeszcze przez chwilę z dłonią na pistolecie, potem pokręcił głową i zwrócił się w stronę, skąd dobiegał głos Percy'ego.

Taktyka Percy'ego była w najwyższym stopniu nieortodoksyjna, nie wspominając już o naruszeniu wszelkich znanych zasad porządku militarnego i dowodzenia, ale okazała się zadziwiająco skuteczna. Osłupiali żołnierze francuscy zostali całkowicie zaskoczeni i rozproszyli się niczym przerażone gęsi. Większość uciekła – słyszał dobiegający z dali tupot – z pozostałymi zaś rozprawili się skutecznie ludzie Percy'ego, upojeni łatwością pierwszego zwycięstwa.

To istne szaleństwo. Francuzi powinni się poddać od razu, kiedy jeszcze można było coś ocalić – ale oczywiście zastrzelił ich dowódcę, zatem nie pozostał nikt, kto mógłby się poddać albo do tego wzywać.

Gdy o tym rozmyślał, ktoś to uczynił. Percy, głosem ochryplym od krzyku, wrzeszczał:

– Poddajcie się, do diabła! Jesteście pobici, na litość boską, poddajcie się! – Darł się po angielsku, ma się rozumieć.

Grey odsunął zwisającą gałąź i zdążył zobaczyć, jak Percy zabija pierwszego w życiu człowieka.

Wielki Francuz zamarkował sprytnie atak bagnetem z boku, po czym skoczył do przodu z zabójczym zamiarem. Percy rzucił się na przeciwnika w tym samym momencie, wykonując perfekcyjne *passata-sotto* bez wątpienia przez przypadek, jako że nigdy nie miał okazji tego ćwiczyć. Był całkowicie zaskoczony, gdy bagnet przesunął się tuż obok jego ucha, a czubek rapiera wszedł gładko pod ręką Francuza w ciało, ten zaś sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zaskoczonego.

Percy puścił rękojeść, a jego przeciwnik zrobił trzy małe kroki w tył, usiadł z łoskotem i umarł, wciąż niewymownie zdumiony.

Percy odszedł kawałek dalej i zwymiotował w krzewy. Grey go obserwował i prawie przeoczył jakiś ledwo dostrzegalny ruch. Odwrócił się instynktownie, wywijając muszkietem trzymanym za lufę. Kolbą walnął Francuza – tak, białego, zatem Francuza – w plecy i odepchnął go na bok, podczas gdy muszkiet przeciwnika wypalił z głośnym hukiem i chmurą czarnego dymu.

Grey rzucił się w ten ciemny tuman ramieniem do przodu, upadł wraz z tamtym i przetoczył się po liściach. Wstał, dysząc, waląc na oślep i wrzeszcząc. Przez przypadek uderzył w twarz tamtego i poczuł, jak coś trzaska mu w dłoni; zabolalo go tak, że stracił czucie w ręce. Z kolei Francuz zaatakował rozcapierzonymi palcami twarz Greya i trafił w oko, a gdy Grey się cofnął, przeciwnik wykręcił się, złapał go za ramię i odepchnął.

Grey walnął o ziemię biodrem i łokciem. Czując łzy w oczach, chwycił sztylet i uderzył nim na oślep z całej siły. Poczul na dłoni szorstki materiał, ciepło ciała, odór potu i wbił z całej siły ostrze w rozrywane sukno, mając nadzieję, że

sięgnie ciała, i lękając się, że trafi na kość.

Francuz zatoczył się, wydając z siebie gulgoczący krzyk. Grey zakrył jedną dłonią zranione oko i przez mglistą zasłonę łez dojrzał zgiętego w pół przeciwnika, który trzymał się za krocze; wykwitła tam ciemna plama. Za nim stał Percy z otwartymi ustami i pistoletem w dłoni.

– Zastrzelisz wreszcie tego drania, kurwa?! – ryknął Grey.

Percy jak automat uniósł broń i zrobił to. Zamrugał na huk wystrzału, a potem stał z wybałuszonymi oczami i patrzył, jak Francuz pada z wolna na twarz, wciąż trzymając się za krocze i zwijając niczym wyschnięty liść.

– Dzięki – powiedział Grey, przyciskając mocno dłoń do kontuzjowanego oka. Pod powieką wirowały mu barwne kropeczki, ale ból wyraźnie zelżał.

Po chwili odsunął rękę, przekręcił się i wsparł na dłoniach i kolanach; trwał przez jakiś czas w tej pozycji, by dojść do siebie.

– Dobrze – rzucił do Percy'ego, kiedy wreszcie dźwignął się na nogi. – Nieźle.

– Naprawdę? – spytał niepewnym głosem Percy.

Greyowi łzawiło zarówno jedno oko, jak i drugie, a tego zranionego nie mógł otworzyć, ale widział wystarczająco wyraźnie, by zebrać ludzi i ocenić sytuację. Francuzi uciekli, zostawiając na miejscu sześciu zabitych. Ranni, w tym kapral, albo odczołgali się w zarośla, albo zostali odciągnięci przez swych towarzyszy. Grey nie czuł się na tyle dobrze, by ich szukać. Kazał Brettowi dokonać szybkiego przeglądu oddziałów. Nikt nie został ranny oprócz szeregowca Johnstona, którego draśnięto w udo i który kuśtykał ochoczo, przeszukując kieszenie martwych Francuzów.

Grey wydał pospiesznie rozkazy odwrotu, bo nie sposób było się zorientować, jak daleko ta grupa furazowych znajdowała się od głównych sił ani jak szybko może powrócić wraz z posiłkami. Tak więc pozbierano broń i wyruszono z powrotem do obozu.

*

Było już niemal ciemno, kiedy Grey dotarł wreszcie do swojego namiotu. Wcześniej wysłał zwiadowców, przyjął raporty od pułkowych kapitanów, zatelefonował na meldunek od oddziału zwiadowczego, przeprowadził naradę z Ewartem Symingtonem, posłał podporucznika Bretta z pretensjami do kwatermistrza w związku z beczką, która miała zawierać soloną wołowinę, a w której znajdowały się resztki wyjątkowo starego konia, sporządził raport dla Hala i opracował rozkazy na następny dzień – wszystko to zrobił z wilgotnym kawałkiem wełny strzelniczej przyciśniętym do zranionego oka. Pulsowało mu w głowie, ręka go bolała i burczało mu w brzuchu, ale był zadowolony.

To samo podniecenie, które wzbierało mu w piersi, ogarnęło też obóz;

słysząc je było w zgrzytliwym dźwięku oselek, brzęku czajników i śpiewach. Żołnierze niemal zawsze śpiewali podczas biwaków, chyba że byli całkowicie wyczerpani albo przygnębieni, ale pieśni miały różnorodny charakter i dokładnie odzwierciedlały ich nastroje. Główny repertuar stanowiły sentymentalne ballady lub wesołe kuplety, a także pieśni marszowe w czasie – co rozumiałe – marszu.

Gdy jednak wyczekiwano bitwy, pieśni nabierały komicznego i sprośnego charakteru, a to, co do niego docierało, kiedy chodził po obozowisku, mogłoby przyprawić o rumieniec każdego marynarza. Wieści rozeszły się szybko. Francuzi byli blisko i żołnierze wyczuwali krew. Grey pogwizdywał pod nosem.

*

Grey zastał Toma Byrda i Percy'ego w swoim namiocie, pogrążonych w przyjacielskiej rozmowie. Obaj zerwali się na równe nogi, gdy tylko go zobaczyli. Stan jego oka wzbudził zaniepokojenie Percy'ego, a stan munduru zaniepokojenie Toma, który zdawał się bardziej przejmować dużym rozdarcie w kurtce, którą Grey właśnie zdjął, niż bolącym okiem.

– Proszę spojrzeć! – Tom wsunął gwałtownym ruchem palec w otwór w materiale i poruszył nimi, spoglądając oskarżycielskim wzrokiem na Greya. – Przeszło przez podszewkę. Co to było, milordzie? Ostrze rapiera?

– Nie pamiętam... Och, przypominam sobie. To bagnet.

Tom westchnął, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i pomrukując pod nosem, odłożył kurtkę.

– Proszę siadać, milordzie – oznajmił zrezygnowany. – Przyniosę miskę z wodą jęczmienną na pańskie oko.

Grey osunął się na stołek zadziwiająco zadowolony, że może usiąść. W namiocie wyczuwało się smakowitą woń potrawy i gorącego chleba. Zaburczało mu w brzuchu, bo od świtu nie miał nic w ustach. Liczył na to, że Tom przyniesie kolację. Oko mogło poczekać.

– Twoi ludzie... – zaczął, ale Percy przerwał mu z miejsca, parszkając ironicznie.

– Nakarmieni, napojeni, wyczesani, wyszczotkowani zgrzebłem, zaprowadzeni do stajni z przewiązаныmi ogonami... czy raczej upijający się przy ogniskach... Kazałem przydzielić im większą rację piwa, chyba słusznie? Chowają się po krzakach z miejscowymi ladacznicami, ale głodni nie są. Myślałeś, że o nich zapomniałem?

Można się było w tych słowach dopatrywać złośliwości, ale zostały wypowiedziane lekkim tonem i Grey się uśmiechnął, przekrzywiając głowę, by spojrzeć na Percy'ego zdrowym okiem.

– Jestem pewien, że nie przeoczyłbyś niczego, co dotyczy twoich żołnierzy. Zamierzałem powiedzieć, że świetnie się dzisiaj spisali. Przynieśli ci zaszczyt.

Percy zarumienił się na te słowa, ale odrzekł tylko od niechcienia:

– Och. No cóż, to dobrzy ludzie. – Odchrząknął. Wciąż był ochryply od krzyku. – Przynajmniej żaden z nich nie odniósł poważniejszych obrażeń.

– Nie. A ty?

Percy patrzył na niego przez chwilę, potem spojrzął w inną stronę.

– Wciąż drzę – odparł ściszym głosem. – Widać to?

– Nie – zapewnił Grey, nie wspominając o tym, że ze względu na bolące oko, nie zauważyłby prawdopodobnie, że Percy trzęsie się jak galareta. Wyciągnął jednak rękę i położył ją na jego ramieniu, nie wyczuwając ani śladu drżenia. – Nie – powtórzył mocniejszym głosem. – Nie drzysz. Nie widać tego.

– Och. – Percy odetchnął głęboko. – Zatem odczuwam to tylko wewnętrznie. Dobrze. Co powiedział Melton?

Hal miał uwagi, które nie nadawały się do powtórzenia, ale Grey mógł swoje opinie przekazać Percy'emu rano, kiedy byłby spokojniejszy, a Percy mniej zdenerwowany.

– Nic specjalnego. Nie martw się o to.

Potem nie rozmawiali już o niczym w szczególności, nie przejawiając zainteresowania konwersacją; cieszyli się po prostu swoim towarzystwem. Trwało to, dopóki nie wrócił Tom z flaszką brandy i miską mętnego płynu, który jak twierdził, jest wodą jęczmienną z solą, doskonałą na oczy.

Wręczył naczynie Percy'emu i zniknął ponownie, by przynieść kolację. Grey nachylił się nad nim i powąchał jego zawartość.

– Mam to wypić? Jak sądzisz? Czy wylać na głowę?

– Nie obchodzi mnie, co z tym zrobisz, ale sugeruję zdecydowanie, żebyś nie wlewał brandy do oka. Zapieczę, jak się obawiam. A tak w ogóle przyda mi się. – Nalał znaczną porcję do filiżanki i podsunął ją Greyowi. Nie zawracał sobie głowy szukaniem drugiej filiżanki, tylko napił się prosto z butelki, dając do zrozumienia, jak bardzo jest roztrzęsiony.

Grey wolno popijał trunek; nie był zbyt dobry, ale palił przyjemnie w gardło i odrobinę przytępił ból w oku. Mimo wszystko wiedział, że musi zrobić coś z tą wodą jęczmienną. Tom czułby się urażony, gdyby stało się inaczej. Wygrzebał z rękawa chusteczkę, obejrzał ją krytycznym wzrokiem i ocenił, że jest odpowiednia.

– Nie żartowałeś, prawda? – spytał Percy cicho, odstawiając flaszkę.

– Kiedy?

– Kiedy powiedziałeś, że jesteś bestią. – Percy patrzył na niego z podziwem i jednocześnie z odrazą.

Grey nie dbał ani o jedno, ani o drugie.

– Tak jak wszyscy żołnierze – odparł krótko. – Wszyscy ludzie, jeśli już o tym mowa. Przywyknij do tego.

Percy parsknął cicho, co mogło być oznaką rozbawienia.

– Nie musisz mi tego mówić, mój drogi – powiedział sucho. Wstał, wyjął chusteczkę z dłoni Greya i zamoczył ją w misce. – Odchył głowę.

Jego dłoń na szyi Greya była ciepła, dotyk delikatny.

– Możesz otworzyć oko?

Grey spróbował i udało mu się unieść nieco powiekę. Ciemna twarz Percy'ego rozmywała się w mgielce łez.

– Nie jest tak źle – mruknął. – Spokojnie, odpręż się.

Palce Percy'ego rozsunęły powieki zranionego oka i wycisnęły ciecz z mokrej chusteczki. Grey zeszywniał odruchowo, ale stwierdziwszy, że nie boli tak bardzo, trochę się uspokoił.

– Chodziło mi o to, że jesteś o wiele bardziej uczciwy w tej kwestii niż większość ludzi.

– Wątpię, czy to jakakolwiek cnota. – Nagle, poniewczasie, przyszła mu do głowy pewna myśl. – Zastanawiasz się, czy i ty jesteś w wystarczającym stopniu bestią? To znaczy, czy dobrze się spisałeś? Owszem. Tak powinienem powiedzieć.

– Powiedziałeś.

– Naprawdę?

– Tak. Nie pamiętasz?

– Nie – odparł szczerze Grey. – Byłem dość zajęty.

Percy parsknął śmiechem i znów zamoczył chusteczkę w płynie.

– Jestem dostatecznie uczciwy i szczerzy, by przyznać się przynajmniej do niedoświadczenia. Miałeś rację, kiedy mówiłeś, że nie wiadomo, jak ktoś zachowa się w bitwie. Gdybyś nie krzyknął na mnie, żebym zabił tamtego człowieka, stałbym i gapił się, aż podniósłbyś się z ziemi i sam to uczynił.

Grey już chciał się odezwać, żeby się sprzeciwić, ale Percy nachylił się nad nim i pocałował go lekko w usta, owiewając ciepłym oddechem jego zimny policzek.

– Nie potrzebuję otuchy, mój drogi. W żadnym razie. – Wyprostował się i po chwili Grey znów poczuł na oku wilgotną chusteczkę i kojącą ciecz. – Nie okryłem się do końca hańbą, a następnym razem pójdzie mi zapewne lepiej. Chciałem jedynie oznajmić, że rozumiem teraz to, co mi powiedziałaś. I że koniec końców...

– odsunął chusteczkę i Grey zamrugnął – ...liczy się jedynie to, że wciąż obaj żyjemy. I że jestem z ciebie dumny – dodał od niechcienia, znowu zanurzając chusteczkę w misce.

Przerażony i poruszony pocałunkiem, głęboko zażenowany pochwałą, a także zszokowany tym, że Percy pojął, nie tylko instynktownie, sedno sprawy, Grey chciał rzec coś oczywistego: że to był jego obowiązek, ale nagle zjawił się Tom Byrd z kolacją, więc ostatecznie ograniczył się do niepewnego „dziękuję”.

Rozdział 25

Zdrada

Na początku maja książe de Richelieu wrócił do Francji i zastąpił go książe de Clermont, który niechętny angażowaniu swoich oddziałów w działania bojowe, pomimo ich liczebnej przewagi, wciąż bawił się w berka w dolinie Renu. Książe Brunszwiku, który doskonale rozumiał tę taktykę, cierpliwie na nią odpowiadał: a to podchodził do de Clermonta z flanki, a to powstrzymywał jego marsz, a to znowu kąsał tu i ówdzie – i stopniowo, po trochu, spychał armię przeciwnika ku granicy francuskiej.

Pod koniec maja stało się jasne, że Francuzi nie mają się dokąd wycofać. Jeszcze kilka tygodni, może nawet dni, a będą musieli zawrócić i walczyć albo ruszyć w stronę Francji z ujadającym tuż za ich plecami księciem Brunszwiku. Najwyraźniej de Clermont był gotów walczyć.

Wobec tego książe Ferdynand bardzo mądrze i przezornie szykował swe oddziały i polerował armaty, pragnąc być jak najlepiej przygotowany na atak, gdy ten już nastąpi.

Dlatego też Grey spędzał mnóstwo czasu w siodle – przeprowadzał inspekcje kompanii, przyjmował raporty od ich dowódców, spierał się z kwatermistrzami, wydawał rozkazy dotyczące zaopatrzenia, nowego wyposażenia, gdy było to konieczne, przydziału większej liczby mułów (bardzo ich potrzebowano, a zatem stanowiły cenny i drogi nabytek), a także tysiąca innych szczegółów, którymi codziennie musiał się zajmować każdy major.

Kiedy zmierzał w stronę wioski, w której obecnie kwaterował, pomyślał, że ma to wszystko dobrą stronę: pozostawało mu zaledwie półtorej minuty – między chwilą, gdy kładł głowę na poduszce, a tą, gdy zasypiał – na przeżywanie seksualnej frustracji. Tyle czasu potrzebował, żeby oddawać się uśmierzającemu działaniu, jedynemu, jakie w tych warunkach było możliwe; w przeciwnym razie zasypiałby w ciągu trzech sekund.

Otworzył manierkę i pociągnął spory łyk. Był ciepły późnowiosenny dzień, a woda smakowała nie tylko cyną i drewnem bukowym, ale też sokiem drzewnym, słodkim i jednocześnie ostrym. Zamajaczył przed nim Drachenfels – Smocza Skala, ten kamienny szczyt na brzegu Renu, gdzie, jak powiadano, Zygfyrd zabił smoka – spowity w unoszącą się znad rzeki mgłę, z zieleniejącymi winoroślami u podnóża.

Wiosenna pogoda odciskała piętno na wszystkich. Ospali ludzie wpadali na mury podczas warty, odkładali muszkiety i zostawiali je w polu, oddalali się

samowolnie, a potem znajdowano ich leniuchujących pod żywopłotami albo kopcami siana, niejednokrotnie w towarzystwie jakiejś kobiety.

Grey pamiętał swą pierwszą kampanię, kiedy on i Hector wymykali się, by szukać samotności i słodczy pośród wiosennej trawy, pod rozgwieżdżonym niebem, nie czując chłodu wieczorów. Teraz nie mógłby tak postępować, jako oficer i zwierzchnik. Ranga miała swoje przywileje, lecz również strony ujemne. Ale przynajmniej cieszył się wieczorami towarzystwem Percy'ego, nawet jeśli nie mógł wykorzystać tego w pełni.

Wzdychając, zakorkował manierkę i poszukał wzrokiem Richarda Bretta, podporucznika, który mu towarzyszył. Brett był najmłodszym pośród podporuczników, miał zaledwie piętnaście lat i odznaczał się bystrością i pracowitością, ale cierpiał bardziej niż inni w ten wiosenny czas – co wynikało z młodego wieku, jak przypuszczał Grey.

W tej chwili Bretta nigdzie nie było widać, choć jego koń z luźno zwieszającymi się z szyi wodzami paść się zadowolony przy skraju drogi porośniętym bujną zielenią. Przynagliwszy konia w tamtym kierunku, Grey dostrzegł otwartą bramę w murze otaczającym gospodarstwo, a na podwórzu pana Bretta, który opierał łokcie o cembrowinę studni i wbijał pełen uwielbienia wzrok w młodą kobietę, która wciągała właśnie wiadro, uśmiechając się do młodzieńca.

To, że Brett nie mówił po niemiecku, a młoda kobieta najwyraźniej nie знаła angielskiego, nie stanowiło jakiegokolwiek przeszkody w wymianie czułości; ciało posługiwało się własnym językiem.

Czując, na co się zanosi, Grey zsiadł z konia, pozwalając mu na popas.

– Dziesięć minut, panie Brett – zawołał i przespacerował się dalej, znalazł trawiastą połąć i położył się, zakrywając oczy kapeluszem.

Czuł pod sobą ciepło ziemi, w górze zaś równie ciepłe słońce, i po chwili doznał wrażenia, że jego mięśnie rozluźniają się, a myśli przypominające naciągnięte sprężyny puszczają z wolna. Podjął daremny wysiłek skupienia się na rzeczach, którymi powinien się zajmować, ale potem dał sobie spokój. Była wiosna.

*

Powoli zapadał zmierzch i Grey wrócił do wioski, rozmyślając o gałkach przy drzwiach. Jednej w szczególności. Tom załatwił mu pokój na ostatnim piętrze miejscowego Gasthofu: nieduży, ale – rzecz niespotykana w tych okolicach – z drzwiami, które się zamykały.

Lub raczej z drzwiami, które miały zamek. Pasujący do nich klucz jeszcze się nie znalazł, ale Grey był pewien, że takowy istnieje i że lada chwila się pojawi.

Jednocześnie gałka z białej porcelany i śliska niczym skorupka jaja jakby dla zrekompensowania braku klucza albo obracała się luźno na trzpieniu, albo się

klinowała, co w obu przypadkach uniemożliwiało otwarcie drzwi od zewnątrz. Niejeden raz Tom był zmuszony wychodzić przez sąsiednie okno, a potem przesuwać się wzdłuż frontonu, by wśliznąć się do pokoju Greya i otworzyć drzwi od wewnątrz.

Na ten wieczór zaplanowano w sąsiedniej wiosce występy, coś w rodzaju koncertu, z udziałem miejscowych tancerzy. Wybierała się tam większość żołnierzy i wszyscy oficerowie z okolicy, korzystając z dobrotliwej pogody i tymczasowej swobody. Zważywszy na zagadkową naturę gałki przy drzwiach, Grey pomyślał, że być może on i Percy też mogliby skorzystać z sytuacji. Pokażą się przez chwilę podczas owych występów, a w mroku, gdy wszyscy będą upojeni winem, nikt nie zauważy, jak odchodzą – osobno ze względu na dyskrecję – i przemkną z powrotem do zajazdu.

Słońce zaczęło zachodzić, pogrążając ściany Gasthofu i jego sad w mgiełce o barwie pomarańczy i moreli, kiedy wjechał na wybrukowany dziedziniec; koń był spragniony odpoczynku i siana.

Grey ulegał podobnej niecierpliwości, więc nie był szczególnie zadowolony, gdy zatrzymał go kapitan Custis z 9 Pułku.

– Witaj, Grey!

– Custis. – Skinął głową stajennemu i oddał mu wodze, po czym odwrócił się do kapitana. – Chciałeś czegoś ode mnie?

– Nic ważnego – zapewnił Custis wesoło. – Pułkownik Jeffreys mówi, że obiecałeś pożyczyć egzemplarz Wergiliusza, powiedziałem zatem, że dostarczę mu tę książkę, jako że wyznaczono mi zadanie w tej okolicy. Jednak czekając na ciebie, nawiązałem rozmowę z obecnym tu Herr Hauptmannem... – Wskazał głową niewysokiego, szykownego pruskiego kapitana piechoty, który skłonił się i stuknął obcasami. – I wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy usłyszałem, że dziś wieczór w sąsiedniej wiosce odbywa się Maifest!

– Coś takiego – odparł Grey, nie mogąc zapanować nad uśmiechem. Popatrzył na olśniewający horyzont, gdzie brzoskwiniowa barwa przechodziła w koral i lawendę. – I oczywiście będzie za późno, żebyś mógł pojechać z powrotem do obozu, jak już dam ci książkę, więc musisz zostać. Szkoda.

– Tak. A ty się tam wybierasz?

– O, tak. Choć trochę później. Muszę najpierw zająć się rozkazami na jutro.

– Razem z Hauptmannem zachowamy dla ciebie bukłak z winem. Nie wolno mi jednak zapomnieć o książce dla pułkownika.

– Słusznie. Wezmę ją.

Custis i Hauptmann ruszyli za nim po wąskich schodach, dyskutując z ożywieniem o zaletach miejscowej winnicy, która znajdowała się u stóp Drachenfels.

– *Federweisser*, tak nazywają młode, niedojrzałe wino. „Białe jak piórko”,

i takie jest, bardzo lekkie, ale na Boga! Trzy kieliszki i leżysz pod stołem.

– Ty leżysz pod stołem – sprostował Grey ze śmiechem. – Mów za siebie.

– Jest mocne – odrzekł Hauptmann. – Ale musisz pić *Federweisser* ze *Zwiebelkuchen*, plackiem cebulowym, który też tam wyrabiają. Dzięki temu nie cierpisz...

Grey ujął porcelanową gałkę, która jakimś cudem tym razem obróciła się właściwie, i pchnął drzwi. I na chwilę zamienił się w słup soli, zanim zdążył zamknąć je gwałtownym ruchem.

Ale nie dość szybko. Nie dość szybko, by Custis i Hauptmann nie spojrzeli ponad jego ramieniem. Nie dość szybko, by zasłonić ten obraz, który ujrzali: nagi Percy leżący na brzuchu i jasnowłosy niemiecki oficer, też nagi, o białych, zwartych z wysiłku pośladkach.

Ktoś wydał z siebie rozdzierający krzyk. Grey nie potrafił powiedzieć, czy był to Custis, Hauptmann, czy on sam. A może Percy. Bo nie ten drugi mężczyzna; za bardzo zajmowało go to, co robi, oczy miał zamknięte, a twarz wykrzywioną w ekstazie zbliżającej się rozkoszy.

Weber. To nazwisko przemknęło Greyowi przez myśl niczym echo i zniknęło, pozostawiając po sobie całkowitą pustkę.

*

Potem wszystko zdawało się rozgrywać z niezwykłą powolnością. Myśli Greya przypominały mechanizm zegarowy, jedna przechodziła w kolejną z jakąś beznamiętną i pospieszną logiką, podczas gdy obecni – włącznie z nim – poruszali się jak we śnie, obracali się ku sobie i odwracali, a ich twarze, nagle tak do siebie podobne, zdradzały na przemian szok, zdumienie i przerażenie.

Jesteś tu najstarszy stopniem – odezwał się cichy głos w jego głowie, uświadamiając mu to, co się dzieje. – Musisz działać.

Sprawy odzyskały raptem zwykły rytm; zewsząd dobiegały głosy i pospieszne kroki zwabione krzykiem, trzaskiem drzwi. Zdumione twarze, wymamrotane pytania, podekscytowane szepty angielskie i niemieckie. Postąpił krok do przodu i zastukał gwałtownie w drzwi jeden raz, i głosy za jego plecami zamilkły nagle. Po drugiej stronie trwała ogłuszająca cisza.

– Ubierzcie się, proszę – powiedział bardzo spokojnie. – Za pięć minut macie się stawić na dole. – Odstąpił, popatrzył na niewielki tłum i wyłowił z niego twarz jednego z podporuczników. – Niech pan wezwie dwóch wartowników, panie Brett. Na dziedzińcu, i to migiem.

Uświadomił sobie mgliście, że ktoś położył mu dłoń na ramieniu; odwrócił się i zobaczył Custisa.

– Ja się tym zajmę – oznajmił ściszym głosem Custis. – Ty nie musisz. Nie wolno ci, Grey. To twój brat.

Pełne przerażenia współczucie w oczach drugiego oficera było jak bolesne ukłucie wyrywające go z otępienia.

– Nie. – Jego głos brzmiał mu w uszach dziwnie. – Nie. Ja powinienem...

– Nie wolno ci – powtórzył Custis niecierpliwie i pchnął Greya, niemal nim obracając. – Idź, na litość boską. Będzie tylko gorzej, jeśli zostaniesz.

Grey przełknął z wysiłkiem ślinę i dostrzegł twarze gapiów, którzy stali na schodach. I uświadomił sobie, jak koszmarny charakter przybierze plotka, ten skandal, ten *frisson* oburzenia, Schadenfreude, gdy się rozejdzie, że był zmuszony aresztować własnego brata za tę ohydłą zbrodnię.

– Tak – odrzekł, znowu przełknął i wyszeptał: – Dziękuję. – I zaczął schodzić na dół, licząc drewniane stopnie, gdy przesuwwały się pod stopami: jeden, dwa, trzy, cztery...

Liczył dalej swoje kroki, których odgłosy odbiły się nagle od bruku dziedzińca, raz, dwa, trzy, cztery... i przycichły, gdy przechodził przez bramę, stąpając po rozrzuconej słomie i mokrej ziemi. Zobaczył Bretta i wartowników, którzy zmierzali w jego stronę, i podniósł rękę, ale się nie zatrzymał... raz, dwa, trzy, cztery...

Ruszył główną uliczką wioski, nie zważając na błoto, końskie odchody, rozwrzeszczane dzieci i szczekające psy, ze wzrokiem wbitym w Drachenfels, który wznosił się w dali. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem...

Rozdział 26

Pijąc z jamnikami

Obu mężczyzn przekazano dowódcom ich pułków. Hal przebywał w kwaterze głównej z księciem Ferdynandem i pod jego nieobecność kuratelę nad Percym przejął Ewart Symington. Porucznika Webera, Hanowerczyka, odesłano do przedstawiciela grafa von Namtzena.

Symington z taktem, o jaki Grey go nie posądzał, nie wspomniał mu o Percym i najwidoczniej wydał rozkaz, by nikt inny też tego nie czynił. Fakt, iż nie rozmawiano z nim o przybranym bracie, nie oznaczał oczywiście, że nikt o nim nie mówi. Armia, oczekując rozkazów z Brunszwiku, pogrążała się w nudzie i nieróbstwie, które sprzyjało plotkom. Grey zauważał, jak nagle cichną na jego widok pogawędki, i dostrzegał spojrzenia – pełne współczucia albo odrazy – czy umykający wzrok zarówno żołnierzy, jak i oficerów. Było to nieznośne, więc spędzał dni samotnie w swoim namiocie – nie wrócił do zajazdu – choć w tym prowizorycznym lokum panował na przemian upał i chłód.

Gdyby sprawował dowództwo, kazałby się ruszyć żołnierzom – maszerować codziennie od punktu A do punktu B, jeśli okazałoby się to konieczne. Ludzie dosłownie pławili się w lenistwie i choć taka bezczynność z punktu widzenia właścicieli gospód i nierządnic przynosiła korzyści dla miejscowego handlu, stanowiła jednocześnie źródło występku, rozpasania i aktów przemocy, do jakich dochodziło w poszczególnych oddziałach.

Grey jednak nie dowodził i angielskie oddziały wygrzewały się w słońcu, podczas gdy dni wydłużały się z wolna, zmierzając ku przesileniu letniemu. Żołnierze grali w kości, pili, łajdaczyli się i plotkowali.

Pozbawiony towarzystwa, pomijając Toma i własne myśli, które krążyły uparcie po tej samej orbicie – gniewu, strachu, winy – nie miał możliwości kontaktów z innymi, jeśli nie liczyć sporadycznych partyjek szachów z Symingtonem, który w najlepszym razie był pozbawionym emocji graczem.

W końcu, nie mogąc znosić już dłużej poczucia, że tkwi po uszy w czymś nie do zniesienia, Grey pod wpływem desperacji poprosił Symingtona o krótki urlop. Stephan von Namtzen, graf von Erdberg, był jego przyjacielem. Rok wcześniej Greya przydzielono do pułku grafa jako angielskiego oficera łącznikowego. Teraz pułk von Namtzena towarzyszył oddziałom księcia Brunszwiku, ale sam graf nie przybył jeszcze na miejsce; powracał przypuszczalnie do zdrowia w swoim domu myśliwskim, w miejscu zwanym Waldesruh. Od pozycji angielskich dzielił go dzień jazdy.

Grey sam nie wiedział, czy jego prośba o urlop wynika z chęci ucieczki od milczących oskarżeń i domysłów, jakie go otaczały, z pragnienia oderwania się od własnych myśli czy też z przepełnionej zazdrością chęci dowiedzenia się czegoś więcej o partnerze Percy'ego. Jednak Stephan von Namtzen był dobrym przyjacielem, a w tej chwili Grey ponad wszystko potrzebował właśnie kogoś takiego.

Symington spełnił jego prośbę bez wahania i Grey w towarzystwie lojalnego jak zawsze Toma wyruszył do Waldesruh.

*

Waldesruh był domem myśliwskim, co wedle standardów hanowerskich oznaczało zapewne, że jest tam zatrudnionych ponad stu służących. Miejsce to otaczał ciągnący się kilometrami tajemniczy i dziki las i pomimo ciężaru gniotącego serce Grey odczuł ulgę, gdy wraz z Tomem wyłonili się wreszcie z mroku zielonych ostępów wprost na zalany słońcem wypielęgowany teren wokół Waldesruh.

– O – mruknął z podziwem Tom. Ukazała im się siedziba trzykondygnacyjna, wzniesiona z miejscowego bladobrazowego kamienia upstrzonego gdzieś gdzie czerwona i zielona cegła, elegancka i barwna niczym paw. – Nieźle sobie radzi jak na Huna, ten kapitan. Przypuszcza pan, że i księżna tu przebywa? – spytał z nadzieją w głosie.

– Niewykluczone – odparł Grey. – Tutaj, w jego domu, musisz go tytułować grafem von Erdberg, Tomie. „Kapitan” to określenie wojskowe odpowiednie w warunkach polowych. Gdyby przyszło ci zwracać się do niego bezpośrednio, mów: *Herr Graf*. I, na litość boską...

– Tak, tak, nie nazywać ich Hunami, jeśli mogą usłyszeć. – Tom nie przewrócił może oczami, ale przybrał minę męczennika. – Zatem co to takiego graf, jak pan mówił...?

– Landgraf. Angielskim odpowiednikiem byłby w tym przypadku hrabia. – Przynaglił konia i ruszył powoli krętym traktem w stronę domu.

Grey miał nadzieję, że księżna Louisa – obecnie *Gräfin* von Erdberg – nie przebywa tutaj pomimo widocznego zapału Toma, który pragnął za wszelką cenę odnowić znajomość ze służebną księżnej, Ilse. Nie wiedział, jaki charakter ma małżeństwo von Namtzena, ale byłoby mu o wiele łatwiej rozmawiać ze Stephanem bez konieczności długich towarzyskich *pourparlers*, których wymagałaby bez wątpienia obecność księżnej.

Mimo wszystko, jeśli była oddaną mężowi żoną, równie dobrze mogła uważać za swój obowiązek opiekowanie się rannym mężem i pielęgnować go, by powrócił do zdrowia. Grey próbował wyobrazić sobie księżną Louise von Lowenstein w takiej sytuacji, ale bez powodzenia, więc porzucił tę myśl. Jeśli tu

przebywała, to żywił przynajmniej nadzieję, że nie sprowadziła teściowej.

Zbliżali się do domu, a ich przybycie obwieściły okrzyki i pełna podniecenia wrzawa służby; od strony zabudowań gospodarskich już wybiegł stajenny, by zająć się Tomem i końmi, nim zdążyli dotrzeć do kamiennych schodów.

Wilhelm, kamerdyner Stephana, powitał Greya w drzwiach, a jego pociągła twarz promieniała zadowoleniem. Wraz z nim pojawiło się kilka psów, poszczekując i merdając radośnie ogonami na powitanie przybysza.

– Lordzie Johnie! *Willkommen, willkommen!* Głodny po podróży?

– Owszem – zapewnił go Grey, uśmiechając się i klepiąc włochaty łeb stojącego najbliżej psa. – Chętnie coś zjem. Ale może wpierw powinienem się pokazać twemu panu? Albo pani, jeśli przypadkiem znajduje się w domu – dodał ze względu na grzeczność, gdyż obecność psów dowodziła, że księżna jest nieobecna.

Na wzmiankę o pracodawcach po twarzy Wilhelma przesunął się cień bólu.

– Księżna Louisa jest w zamku Lowenstein. Graf... tak, od razu go powiadomię. Naturalnie – powiedział, ale z wahaniem, które sprawiło, że Grey spojrział wymownie na służącego.

– O co chodzi? – spytał wprost. – Czyżby graf wciąż był niezdrów? Nie może nikogo przyjmować?

– Och, czuje się... całkiem dobrze – odparł kamerdyner, choć takim tonem, że Grey dopiero się zaniepokoił. Zauważył też, że służący nie odpowiedział na jego drugie pytanie, a jedynie skinął na gościa, by ten podążył za nim.

Gdyby żywił jakiegokolwiek wątpliwości dotyczące pobytu księżnej w tym domostwie, to zniknęłyby w chwili, gdy przekroczył próg. Było dość czysto, ale panowała tu zatęchła atmosfera kawalerskiego gospodarstwa – czuło się woń psów, tytoniu i brandy.

Za drzwiami salonu można było dostrzec parę oblepionych błotem butów rzuconych od niechcienia pod kominek – dobry znak, pomyślał; Stephan musiał dojść do siebie, skoro jeździł konno – a także niewielki wzgórek kamyków, strzępów papieru, końcówek ołówków, oderwanych guzików, okruchów chleba, monet i innych drobiazgów stanowiących zawartość męskiej kieszeni opróżnionej na srebrną tackę przeznaczoną na bilety wizytowe.

Skoro o tym mowa...

– Czy graf przyjął wielu gości od czasu swego niefortunnego wypadku? – spytał.

Wilhelm rzucił przez ramię zastraszone spojrzenie i pokręcił głową, ale nie odezwał się ani słowem.

Niezbyt dobry znak. Stephan był zazwyczaj niezwykle towarzyskim dżentelmenem.

Kamerdyner zatrzymał się przy schodach, jakby chciał podjąć jakąś decyzję.

– Jest pan zmęczony po podróży, *mein Herr*? Mogę zaprowadzić pana do jego pokoju – zaproponował Wilhelm, nie ruszywszy się jednak z miejsca.

– Ależ skąd – odparł bezzwłocznie Grey, pojmując w lot, o co chodzi. – Może byłbyś tak miły i zaprowadził mnie do grafa? Chciałbym od razu złożyć mu wyrazy szacunku.

– Tak, sir! – Na twarzy Wilhelma pojawiła się niekłamana ulga, a Grey zaczął się zastanawiać, co von Namtzen wyprawia, u licha.

Nie musiał się zresztą długo zastanawiać. Wilhelm zamknął psy w kuchni, a potem poprowadził go, niemal biegnąc, przez cały dom do drzwi na jego tyłach, gdzie zanurzyli się w las i ruszyli przyjemnym zacienionym szlakiem. Grey słyszał dobiegające z dali krzyki – rozpoznał przepelnioną nutą niezadowolenia głos Stephana von Namtzena – a także grzmiący stukot kopyt i... kół?

– *Was ist...* – zaczął, ale Wilhelm pokręcił zdecydowanie głową i skinął na niego.

Grey pokonał następny zakręt szlaku, depcząc kamerdynerowi po piętach, i oto znalazł się na skraju ogromnej łąki wysypanej piaskiem. Wprost na niego, krzycząc niby orzeł i spoglądając dzikim wzrokiem jak jego konie, pędził jeden z germańskich bogów wojny na rydwanie ciągnionym przez cztery rozpędzone rumaki o pyskach zroszonych różową pianą.

Grey uskoczył w bok i padł na ziemię wraz z kamerdynerem, konie zaś przemknęły obok nich w niewielkiej odległości. Potężne kopyta obsypały ich piaskiem i poczuli krople piany, które spadły z pysków rozpędzonych zwierząt.

– Jezu!

Kwadryga – tak, na Boga, była to kwadryga. Cztery konie pędziły pierś w pierś, grożąc w każdej chwili przewróceniem rydwanu, który podskakiwał za nimi jak kamyk odbijający się od powierzchni wody. Mknęły kierowane jedną ręką przez szaleńca, który stał wyprostowany, a obok niego przerażony stajenny trzymający się jedną dłonią rydwanu, a drugą grafa von Namtzena.

Grey dźwignął się z wolna, gapiąc się i ocierając oczy z piasku. Tamci nie zamierzali zawracać.

– Zwolnijcie! – ryknął, ale było już za późno, nawet jeśli usłyszeli go pomimo jazgotu towarzyszącego tej szaleńczej jeździe. Lewe koło rydwanu uniosło się, dotknęło piasku, znowu podskoczyło i przy akompaniamencie wrzasków oderwało się całkowicie od podłoża, podczas gdy konie pogubiły się, wpadając na siebie i skręcając gwałtownie.

Rydwan przewrócił się, wyrzucając swą zawartość w płataninie młócących powietrze kończyn, a konie, ciągnąc za sobą wodze, przegalopowały jeszcze kawałek, nim zatrzymały się gwałtownie wraz z resztkami rozbitej kwadrygi.

– Jezu – powtórzył Grey, nie wiedząc, co mógłby innego powiedzieć.

Na piachu pozostały dwie postaci próbujące się dźwignąć z ziemi. Jednoręki

mężczyzna stracił równowagę i upadł; stajenny próbował chwycić go za drugie ramię, żeby mu pomóc, i został za swe wysiłki zwymyślany.

Wilhelm stojący u boku Greya przeżegnał się.

– Tak bardzo się cieszymy, że pan przybył, *mein Herr* – odezwał się drżącym głosem. – Nie wiedzieliśmy, co robić.

I sądzisz, że ja wiem? – pomyślał Grey.

*

Stajennego odprawiono ze złamaną ręką i posłano po doktora, a konie, nie doznawszy na szczęście żadnej kontuzji, trafiły z powrotem do stajni. Niedysiejszy woźnica rydwana, lekceważąc po rycersku opuchnięte oko i skręcone kolano, powitał Greya z wielką serdecznością, obejmując go i całując w oba policzki, po czym, wsparty na ramieniu Greya, pokuśtykał do domu, gdzie zażądał jedzenia i picia.

Grey i von Namtzen usiedli w fotelach przy ogniu w otoczeniu sfory zziających psów, czekając na kolację i racząc się tymczasem przekąskami i doskonałą brandy w karafce. Panowała atmosfera pozornego spokoju, ale Grey nie dał się zwieść.

– Do końca straciłeś rozum, Stephan? – spytał grzecznie.

Wydawało się, że von Namtzen rozważa jego słowa, chłonąc jednocześnie aromat trunku.

– Nie – odparł łagodnie, wzdychając. – Dlaczego pytasz?

– Dlatego że twoja służba jest przerażona. Mogłeś zabić tego stajennego, wiesz o tym dobrze. Nie wspominając już, że mogłeś skrócić sobie kark.

Von Namtzen popatrzył na Greya znad brzegu kieliszka, unosząc nieco wargi.

– Ty, oczywiście, nigdy nie spadłeś z konia. A jak tam mój drogi przyjaciel Karolus?

Grey okazał niechętnie rozbawienie.

– W pełnej formie. A jak tam księżna Louisa? Och... przepraszam – powiedział, widząc, jak zmienia się twarz von Namtzena. – Bądź tak dobry i zapomnij, że o to pytałem.

Stephan machnął od niechcienia ręką i sięgnął po karafkę.

– Też w formie – odrzekł kwaśno. – Pełnej. Będzie miała dziecko.

– Mój drogi przyjacielu! – Grey był szczerze uradowany i uściśnąłby dłoń Stephana, gdyby mógł, a tak zadowolił się tylko wzniesieniem toastu. – Za twoje powodzenie i zdrowie twojej rodziny!

Von Namtzen uniósł kieliszek, sprawiając wrażenie nieco zażenowanego, ale i zadowolonego.

– Odznacza się rozmiarami tysiącilitrowej beczki rumu – oznajmił skromnie.

– Świetnie – odparł Grey, mając nadzieję, że jest to stosowna odpowiedź, i napełnił oba kieliszki.

Wyjaśniało to zatem nieobecność żony i dzieci: Louisa chciała prawdopodobnie zostać u wiekowej księżny wdowy von Lowenstein, matki jej pierwszego męża – choć Bóg jeden wie dlaczego.

Na stole stała waza z kwiatami – chińskimi chryzantemami koloru rdzy, błyszczącymi w promieniach zachodzącego słońca. Dziwna rzecz w domu myśliwskim, lecz von Namtzen lubił kwiaty albo też lubił je niegdyś. Odsunął teraz wazę niedbale i na blat wylało się trochę wody. Nie zwrócił na to uwagi i sięgnął zdrową ręką po karafkę na tacy. Drgnęło mu lewe ramię, jakby nieistniejąca dłoń chciała wysunąć się po kieliszek; jego twarz wykrzywił spazm irytacji.

Grey nachylił się pospiesznie i przytrzymał szkło, żeby von Namtzen mógł nalać. W nozdrza uderzyła go słodka i paląca woń brandy niczym kontrpunkt dla czystego i gorzkiego zapachu kwiatów. Podał kieliszek von Namtzenowi i mruknąwszy: „salut”, napił się.

Potem ocenił wzrokiem poziom trunku w karafce, myśląc, że nim wieczór dobiegnie końca, będą potrzebowali dodatkowej porcji. Von Namtzen był wielkim, przystojnym mężczyzną o wyraziście wyciosanych rysach twarzy, która teraz wydawała się chudsza i bardziej pomarszczona. Grey miał jednak świadomość, że coś się zmieniło: niezachwiany spokój tego człowieka i jego pogoda ducha zniknęły i obecnie jawił się jako ktoś obcy, zdradzający wewnętrzną nerwowość, serdeczny i zgryźliwy na przemian.

– Nie płacz się tutaj – rzucił bez ceregieli kamerdynerowi, który zjawił się przed chwilą i starał się oczyścić jego odzienie z brudu. – Odejdź i zabierz psy.

Wilhelm posłał Greyowi cierpiętnicze spojrzenie, które mówiło: „Widzi pan?”, potem cmoknął na czworonogi, dając im znak, by poszły do kuchni. Jeden pozostał, rozciągnięty na chodniczku obok kominka. Wilhelm próbował go nakłonić, by i on za nim ruszył, ale von Namtzen machnął ręką, odprawiając kamerdynera.

– Gustav może zostać.

Wilhelm przewrócił oczami i mamrocząc pod nosem coś, co zawierało słowo „Gustav”, wyszedł z psami, które merdały ogonami u jego nóg.

Usłyszawszy swe imię, pies podniósł łeb i ziewnął, odsłaniając delikatnie umięśniony długi różowy jęzor. Ogar – tak uważał Grey, sądząc po uszach i pysku czworonoga – dzwignął się i przytruchtał do von Namtzena, merdając ogonem.

– Co to takiego, u licha? – spytał ze śmiechem Grey wyraźnie zachwycony i w tym momencie napięta atmosfera trochę się poprawiła.

Zwierzak nie był, jak Grey przypuszczał, śmieszniejszy od mopsa doktora Rigby’ego – nie nosił przynajmniej kubraka. Jednak widok Gustava wywoływał uśmiech na twarzy.

Był to pies szczególnego rodzaju, czarny i nieproporcjonalnie długi, o nogach tak przysadzistych, że wyglądały niemal jak amputowane. Z tymi wielkimi, wodnistymi ślepiami i krzepkim długim ogonem w bezustannym ruchu przypominał nieodparcie niezwykle przyjacielską kielbasę.

– Skąd go wytrzasnąłeś? – spytał Grey, nachylając się i podsuwając kłykcie psu, który obwąchał je z zainteresowaniem i jeszcze energiczniej zamerdał ogonem.

– Sam go wyhodowałem. Najlepszy, jakiego udało mi się dotąd uzyskać. – Von Namtzen mówił z niekłamaną dumą, a Grey wolał nie pytać, czym skończyły się inne próby.

– Jest... zadziwiająco silny, nieprawdaż?

Von Namtzen rozpromienił się, słysząc tę pochwałę. Zapomniawszy o irytacji, podniósł psa niezgrabnie jedną ręką, eksponując duży bezwłosy brzuch czworonoga i potężną masywną pierś z wystającym mostkiem.

– Jest stworzony do kopania. – Von Namtzen ujął przednią krótką szeroką łapę obdarzoną grubymi pazurami i poruszył nią dla zademonstrowania umiejętności, o której wspomniał.

– Rozumiem. Co miałby wykopywać? Robaki?

Von Namtzen i Gustav popatrzyli na siebie z czułością, ignorując ową uwagę. Potem pies zaczął się wiercić i jego pan postawił go ostrożnie na podłodze.

– Jest wspaniały – oznajmił graf. – Nieustraszony i niezwykle zajadły w walce. Ale i bardzo łagodny, jak widzisz.

– W walce? – Grey nachylił się, by dokładniej obejrzeć psa, który bezzwłocznie obrócił się ku niemu i wciąż merdając ogonem, wykonał gwałtowny ruch ku górze, po czym oparł się grubymi i krótkimi łapami o jego kolana, a długa morda zaczęła z zainteresowaniem obwąchiwać twarz człowieka. Grey wybuchnął śmiechem i pogłaskał zwierzaka; dopiero teraz dostrzegł blizny na masywnych barkach.

– Z czym on walczył, do diabła? Z kogutami?

– *Dachse* – odparł von Namtzen z wielką satysfakcją. – Z borsukami. Został stworzony do polowania na borsuki.

Gustav znużył się siedzeniem na tylnych łapach. Padł na podłogę i przewrócił się na bok, podstawiając do drapania szeroki różowy brzuch, a przy tym wciąż merdał ogonem. Grey spełnił jego prośbę, lekko rozbawiony. Pies sprawiał wrażenie tak przyjacielskiego, że można było pomyśleć, iż nie odznacza się szczególną bystrością umysłu.

– Borsuki, powiadasz... Zabił jakiegokolwiek?

– Ponad tuzin. Jutro pokażę ci skóry.

– Naprawdę? – Grey był pod wrażeniem. Miał do czynienia z borsukami i nie znał żadnego stworzenia, nie wyłączając człowieka, które chętnie stawiałoby

im czoło. Słysnęły z zajadłości w walce, i to zasłużenie.

– Naprawdę. – Von Namtzen nalał sobie znowu i przez krótką chwilę chłonał aromat brandy, po czym wypił ją jednym haustem w sposób nieelicujący z godnością trunku. Przelknął i zakaszłał, więc musiał odstawić kieliszek, by walnąć się w pierś. – Jest stworzony do wchodzenia pod ziemię – wycharczał z załzawionymi oczami, wskazując głową psa. – Podąży wprost do borsuczej nory i stoczy walkę z jej mieszkańcami.

– Dla borsuków to musi być szok.

Ta uwaga sprowokowała Stephana do śmiechu. Napięcie zniknęło na chwilę z jego twarzy i po raz pierwszy od swego przybycia Grey dostrzegł przyjaciela, jakiego znał niegdyś.

Podniesiony na duchu, napełnił kieliszek Stephana. Zastanawiał się, czy nie zaproponować po kolacji partyjki – już dawno się przekonał, że karty zazwyczaj uspokajają udręczony umysł, założywszy, że nie idzie o pieniądze – ale po namyśle zrezygnował. Stephan z pewnością był biegłym graczem, ale karty wymagały czynności, które tylko podkreślałyby jego kalectwo. Grey omijał wzrokiem rękaw, który kołysał się, ilekroć von Namtzen się poruszył. Górna część ręki pozostała nietknięta, jak zauważył; amputację przeprowadzono, jak się zdawało, powyżej łokcia.

Widząc, jak Stephan odpręża się stopniowo przy kolacji złożonej z jajek, kielbasy i pieczonych *Brötchen*, Grey z niechęcią myślał o tym, by przywołać główny powód swej wizyty. Niezależnie od tego, czy miało to coś wspólnego z utratą ręki czy z osobą księżnej Louisy – gdyż zauważył, że von Namtzen ledwie o niej wspominał, choć o dzieciach mówił z jawną serdecznością – czy wreszcie z czymś innym, okazało się, że Wilhelm martwi się o swego pana nie bez powodu.

Jednak bez względu na stan ducha Stephana, należało poruszyć wiadomą kwestię – a czasu nie pozostało wiele. Czy nie byłoby lepiej, zastanawiał się Grey, zapalić przyjacielowi fajkę, podać mu ją i zaczekać do następnego dnia? Czy też byłoby im obu łatwiej, gdyby zaczął mówić teraz, kiedy ciepło odnowionej przyjaźni stanowiło przeciwwagę dla drastycznego charakteru sprawy? No i wypity trunek; opróżnili do kolacji butelkę białego wina reńskiego, a w karafce pozostał ledwie naparstek brandy.

Postanowił czekać jeszcze trochę, nie bardzo wiedząc, czy ta decyzja wynika z roztropności czy też z tchórzostwa. Rozlał resztkę doskonałego trunku, pilnując, by swój kieliszek zapłacić tylko do połowy. Potem prowadził rozmowę w lekkim tonie, przechodząc od psów i polowania do nieistotnych wiadomości z ostatniego listu kuzynki Olivii, a także do zabawnych opowieści z wojska. Czuł, jak jego emocje, tak dotąd żywe, opadają, a myśli o Percym oddalają się na bezpieczny dystans, i doszedł do wniosku, że kieruje się jednak roztropnością.

Zbliżała się pełnia lata i niebo pozostawało jasne przez długie godziny. Grey

usłyszał, jak zegar wybija dziesiątą. Wilhelm zjawił się chwilę wcześniej, żeby zapalić świece i dolać do karafki, lecz Grey wciąż widział twarz von Namtzena w przygasającym już świetle, które wpadało przez okno.

Twarz ta wydawała się spokojna, ale głębokie bruzdy, których przed rokiem nie było, biegły od nosa do ust, te zaś, niegdyś pełne, przemieniły się w wąską linię, której posępność zniknęła tylko wtedy, gdy Greyowi udawało się sprowokować swego przyjaciela do śmiechu. Zapragnął nagle wyciągnąć rękę, dotknąć pokrytego szczeciną zarostu policzka Stephana i wygładzić te zmarszczki kciukiem. Oparł się tej pokusie i pozwolił, by Stephan ponownie napełnił kieliszki. Niebawem... niebawem miał o wszystkim powiedzieć – kiedy jeszcze mógł mówić.

– Księżyc jest mało widoczny – zauważył Stephan, wskazując głową okno, za którym na lawendowym niebie ponad lasem świecił niewyraźny sierp. – Borsuki wychodzą wtedy częściej ze swoich nor. Może jutro wieczorem wyprowadzimy Gustava. Zatrzymasz się tu na kilka dni, *ja*?

Grey pokręcił głową, przygotowując się na to, co ma nastąpić.

– Tylko dzień albo dwa, niestety. Zjawiłem się tutaj z dość nieprzyjemną sprawą, jak się obawiam.

Stephan miał już nieco mętny wzrok, ale podniósł głowę, przerywając wpatrywanie się w napełniony na nowo kieliszek, i obrócił ku Greyowi twarz, która zdradzała ciekawość i pełne mądrości współczucie.

– Ach *ja*? *Was denn*?

– Oberleutnant Weber – wyjaśnił Grey z nadzieją, że jego głos brzmi normalnie. – Michael Weber. – Miał wrażenie, że wymawia to nazwisko z niejakim wstrętem, i stłumił niepożądane wspomnienia, które powracały, gdy owo nazwisko słyszał albo gdy padało z jego ust: obraz muskularnego, poruszającego się rytmicznie, bladego tyłka, zmiętych płowych bryczesów na podłodze i towarzyszącą owej wizji gorącą falę gniewu. – Chciałbym z nim porozmawiać... jeśli nie masz żadnych obiekcji.

Von Namtzen zmarszczył czoło. Pokręcił głową, przełykając, i skrzywił się, jakby trunek palił go w gardło.

– Masz obiekcje? – Grey uniósł brew.

Stephan znowu pokręcił głową, odstawił kieliszek i otarł usta wierzchem dłoni.

– Nie żyje – oznajmił chrapliwym głosem, jeszcze raz pokręcił głową i odchrząknął hałaśliwie, a po chwili powtórzył wyraźniej: – *Er ist tot*.

Grey już wcześniej zrozumiał, co przyjaciel powiedział.

– Co się stało? – spytał. Jego serce jakby na chwilę zatrzymało się na dźwięk słów von Namtzena, po czym wróciło do życia z bolesnym skurczem.

Von Namtzen sięgnął po karafkę, choć kieliszek wciąż był prawie pełny.

– Zastrzeliłem go – odparł bardzo cicho.

– Ty... – Grey stłumił krzyk, który cisnął mu się na usta, i wziął głęboki oddech. – Jak? – dociekał, siłąc się na obojętność. – To znaczy... dokonałeś jego egzekucji? Osobiście?

– Nie. – W pokoju nie było zbyt ciepło, ale brodę Stephana pokrywała warstewka potu; Grey ją dostrzegł, kiedy przyjaciel odwrócił głowę, sięgając po karafkę. – Musisz zrozumieć. Stałaby przed sądem polowym, powiesiliby go. Rodzina okryłaby się hańbą, a w wojsku służą też inni synowie... Byliby zrujnowani. Znam tę rodzinę od niepamiętnych czasów. Jego ojciec jest moim przyjacielem. Michael... – przesunął dłonią po ustach – ...znałem tego chłopca... od dnia, w którym przyszedł na świat.

Gustav, wyczuwając poruszenie swego pana, wstał i przyczłapał do jego stóp, po czym oparł się ciężko o nogę von Namtzena, jakby chciał mu dodać otuchy. Grey pragnął okazać przyjacielowi współczucie w równie bezpośredni sposób, ale w tej chwili najlepszym wyjściem było milczenie.

Von Namtzen spojrzał Greyowi po raz pierwszy prosto w oczy; nabiegłe krwią białka i nabrzmiące obwódki świadczyły o udęce.

– Nie mogłem pozwolić, by Michaela spotkało coś takiego... i jego rodzinę. – Odetchnął głęboko i zacisnął dłoń na kieliszku, jakby szukając w nim oparcia. – Wyciągnąłem go więc z więzienia, mówiąc, że pojedę z nim do jego wioski. W drodze natknęliśmy się na oddział francuskich furażowych. Wiedziałem, gdzie są. Powiedzieli mi moi zwiadowcy. Była zasadzka. Oddałem Michaelowi pistolet i rapier. Rozkazałem mu wziąć swoich ludzi i zaatakować wroga. – Stephan umilkł, przeżywając wszystko na nowo.

– Jak myślisz... wiedział? – spytał cicho Grey. – O tym, co zamierzasz?

Stephan skinął z wolna głową.

– Wiedział, że ma umrzeć. Widziałem, jak ta myśl tli się w nim, kiedy jechaliśmy. Znasz to – ten moment, kiedy człowiek odrzuca wszystko i nie pozostaje nic prócz *der Kriegswahn*? – Określenie to nie miało angielskiego odpowiednika; może oznaczało „szaleństwo bitwy”. Nie czekając na reakcję Greya, mówił dalej: – Ludzie też wiedzieli. Traktowali go z pogardą, ale na jego rozkaz ruszyli za nim solidarnie, przejawiając lojalność. Michael był zawsze dobrym żołnierzem... bardzo odważnym. Ale to... Uniósł rapier i stając w strzemionach i krzycząc, zaszarżował na Francuzów na czele swoich żołnierzy. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej zajadłości, takiej odwagi, a widziałem wiele podobnych sytuacji. *Er war... ein Prachtkerl* – dokończył tak cicho, że Grey z trudem usłyszał ostatnie słowo.

Oznaczało „wspaniały”, „ośniewająco piękny”. I w tej chwili bliskości zrodzonej ze wspólnego pijaństwa Grey miał wrażenie, że widzi tego człowieka, tak jak widział go Stephan, wspaniałego w pędzie ku zatraceniu, ku kresowi,

wojownika – i coś jeszcze, jego piękno w wymiarze bardziej osobistym, śmiertelnej i przemijającej istoty ludzkiej.

Poczuł się poruszony boleśnie do głębi, a jego zazdrość została stępiona przez ten ostatni obraz uroczego chłopca, tego Webera o twarzy upadłego anioła, widzianej przez chwilę, przyjmującego od Stephana dar szlachetnej śmierci.

Von Namtzen odsunął dłoń od kieliszka i nachylił się niezgrabnie, by poklepać psa, który wydał głęboki pomruk i polizał dłoń swego pana.

– Ale nie zginął – oznajmił ze smutkiem, wciąż pochylając jasnowłosą głowę nad psem. – Nie odniósł nawet rany. – Wyprostował się, ale nie spojrzął na Greya. Wpatrywał się w chryzantemy, które w cieniach nadchodzącej nocy straciły barwę zaschniętej krwi. – Dobrze poprowadził swych ludzi, zabił trzech Francuzów i zmusił wroga do ucieczki. Potem stał samotnie na skraju lasu, podczas gdy jego ludzie rzucili się w pogoń za nieprzyjacielem. I wtedy... odwrócił się i spojrzął na mnie.

Z takim przerażeniem, z taką rozpaczą, że von Namtzen sięgnął odruchowo po pistolet i spiął konia ostrogami, niemal bezwiednie ruszając w stronę Michaela i pragnąc za wszelką cenę odpowiedzieć na ten pozbawiony słów krzyk.

– Zatrzymałem się kilka kroków od niego i strzeliłem mu w serce. Nikt tego nie widział. Zsiadłem na ziemię i wziąłem go w ramiona; ubranie miał mokre, ciało wciąż było gorące po stoczonych walce. – Stephan zamknął oczy. Wydał z siebie głębokie westchnienie, jakby z samego dna duszy. Zdawało się, że uchodzi z niego powietrze, a mocarna sylwetka zapada się w sobie. – Położyłem go na grzbiecie jego konia i zawiozłem do domu, do matki – oznajmił bezbarwnym głosem. – Martwy bohater, którego się oplakuje i czci, nie zaś okryty hańbą zboczeniec, którego imienia najbliżsi nigdy nie mogliby nawet wypowiedzieć.

Zapadła cisza zakłócana jedynie krzykiem wystraszonej słonki wołającej gdzieś w lesie. Potem zahukała sowa, bliżej, a jej milczący cień przemknął za oknem – stanowiła nieodłączny element nadchodzącej nocy.

Grey pragnął coś powiedzieć, ale gniew, brandy i współczucie – dla Webera, Percy'ego, von Namtzena i siebie samego – ścisnęły go za gardło, gorzkie jak woń chińskich chryzantem.

– *Er war ein Prachtkerl* – mruknął nagle Stephan, powtarzając cicho swe wcześniejsze słowa. Nagle odsunął energicznym ruchem fotel, dźwignął się i wypadł z pokoju, powiewając luźnym i pozbawionym kończyny rękawem. Omal się nie przewrócił, potykając się w pośpiechu o psa.

Gustav parsknął zaskoczony i wstał gwałtownie; zamerdał niespiesznie ogonem, nie wiedząc, czy podążyć za swym panem.

– Chodź – powiedział Grey, dostrzegając zdziwienie czworonoga. Uświadomił sobie, że jego głos jest chrapliwy, więc odchrząknął. – *Hier*, Gustav – powtórzył i podsunął psu kawałek zimnej kiełbasy. – Na pewno ci posmakuje. Sam

wyglądasz jak kielbasa – dodał i od razu zrobiło mu się przykro z powodu tej obelgi. – *Entschuldigung* – mruknął przepraszająco, ale Gustav się nie obraził i przyjął kąsek z wdziękiem, merdając ogonem raz w jedną, raz w drugą stronę.

Grey przyglądał się temu przez chwilę, potem zamknął oczy, bo kręciło mu się w głowie. Wiedział, że powinien zawołać Wilhelma. Powinien pójść do łóżka. Powinien... Myśl, która nie zdążyła się ukształtować, odpłynęła. Skrzyżował ręce na stole i położył na nich głowę.

Był bardzo pijany i tylko w połowie świadom własnego ciała. Piekły go oczy, a stawy bolały, jakby dostał gorączki. Płacz pewnie przyniósłby mu ulgę, ale przy tej ilości wypitego trunku był wysuszony jak pergamin, gardło miał suche i lepkie, i jak na zbawienie czekał, aż dopadnie go sen.

Poczuł jakiś miękki ciężar na nodze, a na łydce ciepło psiego oddechu. Wyciągnął na ślepo rękę i zaczął głaskać jedwabisty łeb, wdychając piźmową woń zwierzęcia; pieszczota dłoni powstrzymywała smutne myśli. W końcu brandy i zmęczenie spełniły swój obowiązek i jego ciało się odprężyło. Poczuł pod policzkiem drewno stołu i znów usłyszał głos sowy pohukującej w ciemności.

Kiedy zjawił się Tom Byrd, Grey spał jak kamień, a jamnik Gustav obok niego na podłodze, wsparłszy czujnie nos o jego but.

*

Borsucza nora znajdowała się w odległości około dwóch kilometrów od domu myśliwskiego, jak zapewnił ich łowczy, więc ruszyli przez las, rozkoszując się łagodnością wieczoru. Jako że zbliżało się lato i słońce trwało na niebie jeszcze dobrze po dziewiątej, ich polowanie przebiegało w przyćmionym, zaróżowionym blasku, Greyowi zaś zdawało się, że bierze udział w ekspedycji, której celem jest schwywanie elfów albo wrózek, a nie małego dzikiego zwierzęcia.

W ciągu tego dnia między Greyem a von Namtzenem nie padło ani jedno istotne słowo, ale obaj byli świadomi, że są rzeczy, o których należy porozmawiać. A jako że łowczy i jego syn szli tuż obok, nie spuszczać oka z Gustava, który podążał przed siebie, unosząc długi nos i wychwytyjąc zapachy w wieczornym powietrzu, pozostawała im tylko pogawędka o nieistotnych i nieosobistych sprawach.

Grey nie bardzo wiedział, czego się spodziewać po polowaniu na borsuka. Łowczy odsłonił częściowo norę w zboczu wzgórza i wejście do ciemnego tunelu stało się dobrze widoczne. Gustav zaczął drzeć z podniecenia, gdy wiatr się zmienił, przynosząc ze sobą woń tak wyrazistą, że nawet słaby nos Greya ją wyczuł.

Pies zjeżył kark i zaczął warczeć entuzjastycznie, potem szczekać, jakby rzucał borsukowi wyzwanie. Jeśli ten przebywał w norze, to się nie pokazał. Na znak von Namtzena łowczy spuścił ze smyczy Gustava, który wystrzelił ku wejściu

do tunelu, zatrzymał się na chwilę, by kopać wściekle, wyrzucając spod grubych łap glebę, a później wcisnął szerokie barki w otwór i zniknął, przecząc ogon z podniecenia.

Z dziury dobiegły odgłosy węszenia i drapania i Greya ogarnęło chwilowe przerażenie, gdy wyobraził sobie, jak to jest zagłębiać się w ciemność, w zamknięciu pochłanianym przez ziemię, ze świadomością, że gdzieś z przodu czekają niewidoczne zęby i furia.

Powiedział o tym von Namtzenowi, który wybuchnął śmiechem.

– Psy na szczęście nie są ograniczone przez wyobraźnię – zapewnił Greya. – Żyją chwilą, nie strachem przed przyszłością.

To przekonanie miało swój urok – ale, jak zauważył Grey, wszystko zależało od tego, co się w konkretnym momencie dzieje. W tej chwili Gustav był narażony na atak wściekłego borsuka, a von Namtzen obarczony wyobraźnią zdawał się oczekiwać najgorszego, trzymając Greya za ramię i mamrocząc pod nosem niemieckie przekleństwa na przemian z modlitwami.

Któreś z owych zaklęć musiało być skuteczne, gdyż po pełnej napięcia ciszy coś poruszyło się w wejściu do tunelu i oto Gustav wyłonił się z wolna z podziemnych czeluści, ciągnąc ciało swego wroga.

Psu pozwolono wypatroszyć zdobycz i tarzać się w jej wnętrznościach, nim łowczy odciągnął go triumfalnie, by opatrzeć mu poszarpane ucho, i ruszył w stronę domu. Grey i von Namtzen podążyli za nim.

Słońce schowało się w końcu za drzewami, ale resztki światła wciąż zalewały olśniewającym złotem niebo. Miało niebawem pokryć się szarością, ale przez bardzo krótką chwilę konary odcinały się od niego ostrą czernią; każda gałązka i każdy liść odznaczały się piękną wyrazistością.

Grey i von Namtzen stali i patrzyli, obaj jednakowo poruszeni. Grey usłyszał, jak jego przyjaciel wzdycha głęboko, gdy światło zaczęło przygasać.

– To moja ulubiona pora dnia – wyznał Stephan.

– Naprawdę? Nie wydaje ci się melancholijna?

– W żadnym razie. Wszystko jest pogrążone w spokoju. Czuję się... sam.

– *Allein?* – spytał Grey, ponieważ von Namtzen posługiwał się w tym przypadku angielskim. *Allein oder einsam?* Sam w znaczeniu samotny czy spokojny – ukojony?

– *Allein. In Ruhe* – odparł von Namtzen, uśmiechając się nieznacznie. – Za dnia jestem bezustannie zajęty, a wieczorem pojawiają się ludzie... przyjęcia, rozrywki. Ale nikt niczego ode mnie nie wymaga, kiedy przygasa światło. Podoba ci się to? – Wskazał głową widok, który się przed nimi rozciągał. Wyłonili się właśnie z lasu na szczycie niewielkiego wzniesienia niedaleko od domu myśliwskiego. Poniżej widniało Waldesruh i stajnia, a ich ostre kontury łagodził zmierzch; wydawało się, że dom znika w ziemi i że zakrywają go drzewa

spływające w ciemności i ciszy ze zbocza na tyłach posiadłości.

Myśl, że wszystko zniknie, oni zaś pozostaną sami, by spędzić noc w lesie, mogłaby wydać się Greyowi zniechęcająca, w tym momencie jednak pojmował tęsknotę Stephana i ją podzielał. Być całkowicie samemu, złożyć swe brzemiona u stóp drzew i pozbyć się ich – choćby na chwilę – w pogłębiających się cieniach.

– *Ja* – odparł. – *Wunderschön*.

Tak, podobało mu się.

Potem stali przez kilka minut w milczeniu i patrzyli, jak ostatnie ślady koloru gasną na niebie, jak zarysy gałęzi zaczynają się rozmazywać i mieszać z ciemnością, gdy z ziemi podnosiła się nieuchronnie noc.

– A więc? – odezwał się w końcu von Namtzen, jakby od niechcienia. – O co chodzi?

Grey odetchnął głęboko chłodnym powietrzem i wyjaśnił sprawę możliwie zwięźle.

– Och, jakież to musi być bolesne dla twojej rodziny! Tak mi przykro, mój drogi przyjacielu. – Głos von Namtzena przepełniało współczucie. – Co się z nim stanie, jak myślisz?

– Nie wiem. Stanie przed sądem wojennym. I niemal z całą pewnością zostanie uznany za winnego. Ale wyrok... – umilkł. Wspomnienie Otwaya, którego wleczono krzyczącego na szubienicę, przesładowało go codziennie, ale uważał przesądnie, że jeśli o tym powie, to właśnie tak się stanie z Percym. – Nie wiem – powiedział ponownie.

– Uznają go za winnego – powtórzył von Namtzen, marszcząc czoło. – Jak rozumiem, byli świadkowie oprócz kapitana Hauptmanna?

– Byli. Oficer o nazwisku Custis... i ja.

Von Namtzen stanął jak wryty i wypuścił z ręki worek z zabitym borsukiem, by chwycić Greya za ramię.

– *Grosser Gott!*

– Tak, trafnie to ująłeś.

– Będziesz zmuszony mówić... zeznawać?

– Chyba że dam się zabić przed posiedzeniem sądu wojennego.

Von Namtzen skonsternowany westchnął głęboko, kręcąc głową.

– Co zrobisz? – spytał po chwili.

– Będę żył chwilą – zapewnił Grey, wskazując skrwawiony worek. – I nadzieją, że kiedy nadejdzie moja chwila, ja także wynurzę się z ziemi i znów zobaczę niebo.

Von Namtzen nie roześmiał się, lecz parsknął rozbawiony, i ruszył przez zagajnik kwitnących drzew, które obsypywały ich małąkami białymi płatkami jak śniegiem.

– Byłem nad wyraz zadowolony, gdy usłyszałem, że pułk twojego brata

zostanie przydzielony do oddziałów księcia Ferdynanda – powiedział, siląc się na ton niezobowiązującej rozmowy. – Nie tylko ze względu na jego cenne wsparcie, ale też szansę odnowienia naszej przyjaźni.

– Ja także – odparł szczerze Grey. – Żałuję jedynie, że nie możemy spotkać się wyłącznie jako przyjaciele wolni od ciężaru tej bolesnej sprawy, o której ci opowiedziałem.

Von Namtzen wzruszył ramionami.

– Jesteśmy żołnierzami – oświadczył po prostu. – Nigdy nie będziemy wolni od takich rzeczy. I jest to część naszej przyjaźni, prawda?

Grey nie wiedział, czy Stephan ma na myśli ich profesję, czy też konieczność zaangażowania się w obecną nieprzyjemną sprawę, ale tak czy inaczej, była to prawda. Zaśmiał się krótkim śmiechem zaprawionym goryczą.

– Mimo wszystko – dodał von Namtzen, ściągając brwi – jest to wysoce niefortunne.

– Owszem.

– Nie tylko... to zdarzenie. – Von Namtzen poruszył ręką, co pozbawiło go równowagi, więc się zachwiał, ale po chwili wyprostował i wymamrotał: – *Scheisse!* Nie – ciągnął. – Jest rzeczą niefortunną, że dotyczy zarówno oddziałów angielskich, jak i pruskich. Gdyby chodziło o naszych ludzi i wyłącznie o naszych oficerów jako świadków, zostałoby to załatwione... bardziej dyskretnie.

Grey spojrział na niego, uświadomiwszy sobie, jak skomplikowana jest sytuacja. Dowództwo angielskie nie mogło traktować lekko takiej sprawy w obawie o utratę przychylności niemieckich sprzymierzeńców. Podobne obawy musiały rzutować na sposób działania Niemców wobec sprzymierzeńców angielskich.

– Tak. Czy uczyniłbyś to samo, co uczyniłeś, gdyby nie było mowy o paskudnym procesie i publicznej egzekucji?

– Czy zabiłbym swojego porucznika? – Von Namtzen nie starał się zaklinać rzeczywistości. – Nie wiem. Gdyby obaj byli Niemcami, to możliwe, że zostaliby po prostu usunięci z armii, może uwięzieni na jakiś czas lub skazani na banicję. Sądzę, że nie doszłoby do procesu.

– Zatem to moja obecność, przynajmniej po części, doprowadziła do tego wszystkiego. Jest mi bardzo przykro. – Bóg tylko wiedział, jak bardzo.

Von Namtzen zwrócił głowę w jego stronę i obdarzył go uśmiechem zaskakującej serdeczności.

– Ani przez chwilę nie miałbym pretensji o twoją obecność, Johnie, bez względu na konsekwencje. – Nigdy wcześniej nie posługiwał się imieniem Greya bez jego tytułu, choć ten często go do tego zachęcał. Wymówił je teraz ze wzruszającą nieśmiałością, jakby nie był pewien, czy może sobie pozwolić na podobną poufałość. Odkasznął wyraźnie zakłopotany własnymi słowami i czym

prędzej dodał: – Oczywiście, nigdy nie sposób powiedzieć, co należy uczynić w danej sytuacji. Z jednej strony my, to znaczy armia, nie tolerujemy takich perwersji. Kary są surowe. Z drugiej jednakże... – zerknął na pusty rękaw i skrzywił się – jest Fryderyk.

– Fryd... co, król?

– Tak. Znasz tę historię? – spytał von Namtzen.

– Którą? – rzucił Grey sucho. – Taki człowiek zawsze jest bohaterem przeróżnych opowieści i przypuszczam, że niektóre z nich mogą być nawet prawdziwe.

Von Namtzen się roześmiał.

– Ta akurat jest prawdziwa – zapewnił Greya. – Mój ojciec był obecny podczas egzekucji.

– Egzekucji? – powtórzył niczym echo Grey. – Czyjej?

– Kochanka Fryderyka. – Graf nie sprawiał już wrażenia rozbawionego, ale uśmiechał się krzywo. – Kiedy był młodym człowiekiem, jego ojciec... no wiesz, stary król... kazał mu wstąpić do armii, choć ten nie znosił wojska, bo przerażał go rozlew krwi. Ale nawiązał głęboką więź z innym młodym żołnierzem i obaj postanowili uciec z kraju.

– I schwytano ich, oczywiście – oznajmił Grey, czując nagle w piersi ziejącą dziurę.

– Oczywiście. – Stephan skinął głową. – Sprowadzono ich, obu oskarżono o dezercję i zdradę, a stary król kazał ściąć kochanka Fryderyka na dziedzińcu. Sam Fryderyk był zmuszony patrzeć na to z balkonu. Zemdłał, jak twierdził mój ojciec, jeszcze nim ostrze spadło na szyję skazańca.

Twarz Greya ogarnęło nagle zimno, a brodę zakłuły kropelki potu. Przełknął z wysiłkiem ślinę, próbując zapanować nad oszołomieniem.

– Pozostawała pewna kwestia – ciągnął von Namtzen rzeczowym tonem. – Czy samego Fryderyka powinien spotkać ten sam los bez względu na to, czy był synem króla, czy nie. Ale ostatecznie...

– Pogodził się z nieuniknionym i został żołnierzem, w dodatku wielkim.

Von Namtzen parsknął ironicznie.

– Nie, ale po roku więzienia zgodził się ożenić. Ignorował swoją żonę. Wciąż ją ignoruje. I nie ma dzieci – dodał z dezaprobatą. – Ale ona jest. – Wzruszył ramionami. – Ojciec przekazał mu pałacyk w Rheinsbergu, a on spędził tam wiele lat w towarzystwie muzyków i aktorów, ale potem – znowu wzruszył ramionami – stary król umarł.

I Fryderyk, który uświadomił sobie nagle, że na jego dziedzictwo składa się kilka smakowitych kąsków pod postacią rozczłonkowanej ziemi pożądanej przez Habsburgów, stał się pospiesznie żołnierzem. Następnie zjednoczył swoje terytoria, odebrał Austriakom Śląsk i przed dwoma laty postanowił na dokładkę zaatakować

Saksonię, czyniąc sobie wrogów nie tylko z Austriaków i Saksończyków, ale także z Rosji, Szwecji i Francji.

– No i tak tu się znaleźliśmy – dokończył von Namtzen.

– Król nie uznaje półśrodków.

– Nie. I nie jest też głupcem. Bez względu na obecną naturę jego związków, pozostają one jak najbardziej prywatne. – Stephan mówił o tym raczej posepnym tonem, potem pokręcił głową niczym pies otrząsający się z wody. – Chodźmy, nadciąga zmrok.

Tak, niebawem miało się ściemnić; światło między drzewami już zgęstniało, las robił się mroczny. Ścieżka, która przed nimi biegła, wciąż była widoczna, ale gdy znów zagłębili się w gęstwinę, ziemia pod ich stopami, kamienie i kępy trawy wydawały się prawie niewidzialne. Szli ostrożnie.

Wysilek, jakiego wymagała ta mozolna wędrówka, nie pozwalał na rozmowę; Grey mógł więc rozmyślać o królu Prus i jego kochanku – i o ironii losu, że ten drugi został zgładzony nie za zbrodnie ciała czy uwiedzenie księcia, lecz za zdradę. Podczas gdy kapitan Bates... Zdawało mu się, że te sardoniczne oczy obserwują go z leśnych ostępów, przeto przyspieszył kroku, czując za plecami ciemność.

I nie on jeden. Zdawał sobie sprawę z niepokoju von Namtzena; dostrzegał to w niezgrabnym ruchu jego szerokich barków naprzężonych jakby w obawie przed pościgiem i atakiem.

Po kilku chwilach dotarli na skraj łąki, na której stał dom myśliwski, i obaj wkroczyli z jednaką ulgą w miękką lawendową mgielkę, w rozlewisko światła, wciąż obejmowane dłońmi lasu.

Zatrzymali się na moment, rozglądając się wokół. Von Namtzen obrócił się ku swej siedzibie, ale Grey powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Pokaż mi, Stephan – powiedział niespodziewanie, zaskakując tym i siebie, i przyjaciela.

Von Namtzen miał kamienną twarz.

– *Deinen Arm* – wyjaśnił Grey, jakby było to całkowicie logiczne.

Stephan patrzył na niego przez chwilę obojętnie, potem odwrócił wzrok. Grey już łajał się w myślach za niezręczność, w końcu jednak jego przyjaciel sięgnął do szpilki, która przypinała luźny rękaw do przodu płaszcza.

Zdjął odzienie bez trudu, nie patrząc na Greya, i znieruchomiał z dłonią na fularze.

– *Hilf mir* – szepnął.

Grey przysunął się bliżej i sięgnął obiema rękami za głowę von Namtzena i przez chwilę zmagął się z węzłem. Skóra Stephana była bardzo ciepła, fular wilgotny; nagle ustąpił i Grey rzucił go na ziemię.

– Kiepski byłby ze mnie lokaj – powiedział, siląc się na żartobliwość

i schylając jednocześnie. Dostrzegając kątem oka gardło Stephana z czerwoną pręgą odciśniętą przez materiał. Zobaczył, jak jego przyjaciel przęłyka, i nagle pojął, co musi zrobić.

Zdjął delikatnie i bez trudu koszulę ze Stephana. Mimo że był przygotowany na widok tej ręki, myśl o tym silnym przedramieniu i serdecznej, szerokiej dłoni, których już nie było, napełniła go smutkiem. Kończynę obcięto tuż nad łokciem, rany się zagoiły, choć blizny wciąż odznaczały się ognistą czerwienią.

Stephan naprężył mięśnie, gdy tylko Grey go dotknął i zagwizdał przez zęby, jakby miał do czynienia z nerwowym koniem. Von Namtzen wydał z siebie parsknięcie, lecz nie był to śmiech. Grey przesunął uspokajająco dłonią po jego barku, a kciukiem wzdłuż zagłębienia między mięśniami ramienia.

Przyszło mu do głowy, że von Namtzen ma niezwykle piękną skórę. Piers pokrywał mu meszek ciemnozłoty włosów. Nieskazitelna i gładka, przyciągała dłoń i wzrok.

Jesteś jak porcelana, pomyślał, ale się nie odezwał. I równie delikatny, prawda?

Uniósł kończynę, która nie stawiała oporu, i pocałował leciutko kikut.

– *Schon gut!* – powiedział.

Zobaczył, jak Stephan napina mięśnie brzucha. W wieczornym powietrzu wyczuwał piżmową woń potu von Namtzena i jego ciało też się naprężyło. Ale nie był to odpowiedni czas ani miejsce, ani odpowiedni człowiek. Gdyby Stephan uświadomił sobie, że poczuł do niego pożądanie, zniszczyłoby go to – a świadomość, że sam do tego doprowadził, zdruzgotałaby i Greya, nie miał bowiem złudzeń co do własnej kruchości.

Było jednak coś, co mógł dać Stephanowi; może by nie pomogło – nie pomogło przecież Percy'emu – ale niczego innego nie miał.

– Kocham cię, bracie – rzucił, prostując się i patrząc Stephanowi w oczy. – Zatem nie będziesz próbował się zabić, *ja*?

Wziął koszulę i włożył ją przyjacielowi przez głowę. Później pomógł mu wsunąć ramiona w rękawy i schylił się po płaszcz.

– Myślę, że... byłbyś bardzo dobrym lokajem. – Von Namtzen wypowiedział te słowa bez zastanowienia, a potem zaczerwienił się tak bardzo, że stało się to widoczne nawet w przygasającym świetle. – *Entschuldigung!* Nie... nie chciałem cię urazić.

– Uważam to za wielki komplement – zapewnił go z powagą Grey. – Jestem głodny... chyba pora na kolację?

Rozdział 27

Honorowy postępek

Grey stwierdził, że po powrocie z domu myśliwskiego von Namtzena odczuwa większy spokój umysłu i wszelkie zapytania oraz wyrazy współczucia odbierał z pełną obojętności i nieskazitelną grzecznością, która pozwalała zachować bezpieczny dystans zarówno wobec ludzi, jak i własnych uczuć. Taktyka ta jednak okazała się w przypadku Hala nieskuteczna.

Upłynęło kilka dni od jego przyjazdu, zanim zobaczył się z bratem, który spędzał dużo czasu w towarzystwie księcia Ferdynanda. Zjawił się bez zapowiedzi w namiocie Greya pewnego wieczoru po kolacji i usiadł nieproszony przy stole; Grey pisał właśnie rozkazy.

– Masz trochę brandy? – spytał bez wstępów.

Grey sięgnął bez słowa pod stół i podniósł dzban z bardzo dobrym trunkiem, który dostał od von Namtzena – był częściowo opróżniony, ale sporo w nim jeszcze pozostało.

Hal skinął głową w geście podziękowania, uniósł dzban obiema rękami i napił się, po czym odstawił naczynie i wzdrygnął się nieznacznie. Oparł się na łokciach o blat i ukrył twarz w dłoniach, pocierając z wolna głowę pod peruką. W końcu popatrzył na brata; oczy miał przekrwione po podróży i okolone zmarszczkami, które dowodziły nie tylko zmęczenia fizycznego.

– Widziałeś się od powrotu z Wainwrightem?

Grey pokręcił w milczeniu głową. Wiedział, gdzie przebywał Percy – w niewielkim więzieniu w pobliskiej wiosce. Upewnił się, że jego przyjaciel jest przyzwoicie karmiony, a poza tym starał się o nim nie myśleć. Zresztą bez większego powodzenia, ale mimo wszystko próbował.

– Przypuszczam, że wieści się rozniosły – powiedział głosem chrapliwym, jako że od wielu godzin z nikim nie rozmawiał. Odchrząknął. – Czy księżę wie?

Hal skrzywił się i łyknął brandy.

– Wszyscy wiedzą, choć sprawa nie została jeszcze oficjalnie przedstawiona.

– Podejrzewam, że postawią go przed sądem polowym.

– Dowództwo uważa, że będzie lepiej, jeśli tak się nie stanie.

Popatrzył na Hala.

– Co przez to rozumiesz, u licha?

Hal potarł się po twarzy.

– Gdyby był zwykłym żołnierzem, nie miałyby to znaczenia – odparł stłumionym głosem. Potem odsunął dłoń od twarzy i pokręcił głową. – Skazaliby

go, powiesili albo uwięzili i po sprawie. Ale nie jest zwykłym żołnierzem. Jest cholernym członkiem rodziny. Nie można tego załatwić dyskretnie.

Grey poczuł ściskanie w sercu.

– A co według ciebie można zrobić dyskretnie? Osądzić go i zwolnić z wojska z jakiegoś innego powodu?

– Nie – zaprzeczył Hal bezbarwnym głosem. – Można by tak zrobić, gdyby nikt nie wiedział, co się wydarzyło. Ale w tych okolicznościach... – Napił się brandy i odkaslnął; jego twarz stała się czerwona. – Niestety. To właśnie powtarzał książę Brunszwiku na ten swój precyzyjny i zwięzły sposób. „Niestety”.

Ferdynand miał bardziej niepewną pozycję niż król Fryderyk. Ten był absolutnym panem swojej armii, Ferdynand natomiast dowodził określoną liczbą związanych luźnym sojuszem kontyngentów i odpowiadał przed paroma księżętami za oddziały, które mu dostarczyli.

– Niektórzy z tych książąt są luteranami, skłonnymi traktować takie sprawy... dość surowo. Ferdynand uważa, że nie może ich do siebie zrazić. Nie ze względu na nas – oznajmił z goryczą.

Grey wpatrywał się w blat stołu, przesuując dłonią po drewnie.

– Co więc zamierza zrobić? – spytał. – Dokonać egzekucji Wainwrighta bezzwłocznie, bez sądu?

– Chciałby – odparł Hal, odchylając się na krześle i wzdychając. – Tyle że spowodowałoby to jeszcze więcej zamieszania i wywołałoby skandal. I oczywiście – dodał, sięgając po brandy – poinformowałem go, że byłbym zmuszony wycofać nasze oddziały i złożyć oficjalną skargę królowi czy też królom – naszemu i Fryderykowi, gdyby spróbował potraktować w taki sposób brytyjskiego żołnierza.

Ściskanie w sercu, które Grey odczuwał, nieco zelżało. Odejście pułku Hala nie oznaczałoby zniszczenia armii Ferdynanda, ale byłoby ciosem, a wrzawa, która by się podniosła, mogłaby doprowadzić do rozproszenia innych sprzymierzeńców.

– Co zatem proponują... i co ty proponujesz? – dopytywał się.. – Trzymać go pod kluczem w nadziei, że dostanie gorączki i umrze, tym samym uwalniając was od kłopotu? – Mówił ironicznie, ale Hal spojrzał na niego dziwnie i znów zakaszłał. Sięgnął bez słowa do chlebaka, który położył przy stole, i wyjął z niego pistolet. Był stary i pochodził z niemieckiej manufaktury.

– Chcę, żebyś się z nim zobaczył – powiedział.

– Co? – Grey nie wierzył własnym uszom.

– Wiesz, co się stało z... – Hal szukał odpowiedniego słowa. – Ze współnikiem Wainwrighta?

– Tak, wiem. Od von Namtzena. Naprawdę sugerujesz, że powinienem odwiedzić Percy'ego Wainwrighta i zamordować go w więzieniu?

– Nie. Sugeruję, byś go odwiedził, dał mu to i... nakłonił do honorowego postępku. Tak będzie najlepiej dla wszystkich – dodał Hal cicho, wpatrując się

w stół. – Dla niego również.

Grey podniósł się gwałtownie, niemal przewracając stół, i wyszedł z namiotu. Miał wrażenie, że rozpadnie się na kawałki, jeśli się nie ruszy.

Szedł na ślepo przez obóz głównym traktem między namiotami. Był tylko mgliście świadom spojrzeń ludzi – kilku pomachało albo zawołało do niego, ale nie odpowiedział, a oni się cofnęli, patrząc nań ze zdziwieniem.

„Najlepiej dla wszystkich”.

„Najlepiej dla wszystkich. Dla niego również”.

– Dla niego również – wyszeptał do siebie. Dotarł do końca drogi, obrócił się na pięcie i ruszył z powrotem. Tym razem nikt nie pozdrowił Greya. Wszyscy obserwowali go zafascynowani niczym procesję zmierzającą na szafot. Dotarł do swojego namiotu, odsunął połą i wszedł do środka. Hał wciąż siedział przy stole nad pistoletem i dzbanem z brandy.

Miał wrażenie, że słowa więzną mu w gardle jak grudki żwiru, i przeżuł je wściekle; niemal czuł, jak zgrzytają między zębami.

Jesteś głową rodziny, u diabła! Jesteś jego pułkownikiem, dowódcą. I cholernym bratem – tak jak ja, pomyślał.

Mógł to z siebie wszystko wyrzucić. Ale zobaczył twarz Hała, na której malowało się znużenie wywołane walką – ponownie – i świadomością skandalu, a także krążących plotek. Znużenie odwiecznym zmaganiem, by rodzina przetrwała.

Nie odezwał się. Wziął tylko pistolet i odszedł na bok, żeby schować go do swojego plecaka.

„Ochroniasz wszystkich, Johnie – przypomniał sobie słowa Percy’ego wypowiedziane głosem pełnym współczucia. – Przypuszczam, że nic nie możesz na to poradzić”.

Powrócił do stołu, otworzył niewielki kufer podróżny, w którym trzymał swoje utensylia, i wyjął z niego dwa cynowe kubki.

– Zachowujmy się przynajmniej jak cywilizowani ludzie – oznajmił spokojnie, stawiając naczynia na stole.

*

Percy siedział na drewnianej ławie, która służyła mu za krzesło, łoże i stół. Podniósł wzrok, kiedy drzwi się otworzyły, ale się nie poruszył. Wbił czujne spojrzenie w twarz Greya.

Niewielka pobielona izba lśniła czystością, ale jej woń uderzyła Greya niczym cios. Brakowało tu okna, a powietrze było duszne i parne; przenikał je zapach niemytego ciała i brudnej bielizny. Pomieszczenie pełniło niegdyś funkcję spiżarni. Z belek sufitowych wciąż zwieszały się splecione sznurki cebuli i czarne pęta kaszanki, a ich woń zmagala się z odorem dobywającym się z nieosłoniętego

kubła na nieczystości, który stał nieopróżniony w kącie. Już chciał coś powiedzieć na temat tej niedogodności, ale się powstrzymał, kiwając głową wartownikowi. Wziąwszy pod uwagę jego misję, jakie znaczenie miały takie kwestie?

Między ścianami a dachem izby widniały wąskie szczeliny, a samo pomieszczenie ginęło w cieniach pokawałkowanych przez ruchliwe liście drzewa, które zwieszało swe konary nad budynkiem. Grey zanurzył się w przyćmione, rozproszone światło, odnosząc wrażenie, że porusza się pod wodą; każda jego myśl i gest były jakby spowolnione.

Zamknęły się za nim drzwi. Po chwili kroki ucichły i zostali sami, nie lękając się, że ktoś ich podsłucha. Z dali dobiegały różne odgłosy: szuranie butów, wykrzykiwane rozkazy na dziedzińcu, gwar jakiejś hałaśliwej kompanii w pobliskiej tawernie.

– Traktują cię przyzwoicie? – Te słowa były pozbawione emocji. Wiedział aż za dobrze, jak są nastawieni strażnicy do więźnia oskarżonego o pederastię.

Percy odwrócił wzrok, krzywiąc nieznacznie usta.

– *Ja...* tak.

Grey postawił taboret, który dostał od strażnika, i usiadł. Próbował dziesiątki razy wyobrazić sobie ten moment od chwili, gdy Hal dał mu broń. Ale pozbawiony snu, spocony, chory – zmagał się z tym daremnie. Nie wiedział, od czego miałby zacząć.

– Cieszę się, że cię widzę, Johnie – oznajmił cicho Percy.

– Nie ciesz się.

Percy spojrział na niego zaskoczony, ale spróbował się uśmiechnąć. Grey zauważył, że pozwolili mu się ogolić; policzki miał gładkie.

– Zawsze z radością spotykam się z tobą bez względu na to, z jaką sprawą się zjawiasz. A widząc twoją minę, wątpię, czy chodzi o coś przyjemnego. – Zawahał się. – Czy... będą mnie sądzić tutaj? Czy też odeślą do Anglii?

– Tego nie wiem. *Ja...* – Nie chciał powiedzieć nic więcej. Wyjął z kieszeni pistolet, trzymając go ostrożnie jak jadowitego węża, i położył na ławie. Był naładowany i podsypany, wystarczyło jedynie odciągnąć kurek.

Percy patrzył na niego przez dłuższą chwilę z obojętnym wyrazem twarzy.

– Kazali ci to przynieść? – spytał. – Książę? Melton?

Grey skinął nieznacznie głową, bo miał zbyt ściśnięte gardło, by mówić. Percy przesunął uważnym spojrzeniem po jego twarzy.

– Przynajmniej to nie twój pomysł – stwierdził. – No cóż, to... pocieszające.

Wstał gwałtownie i odwrócił się, wyciągając obie ręce, jakby chciał oprzeć je na parapecie okna, którego nie było. Potem, położywszy dłonie na pobielonych ceglach, opuścił głowę i przywarł czołem do ściany.

– Muszę ci coś wyjawić – oznajmił ścisłym, ale wyraźnym i opanowanym głosem. – Czekałem z nadzieją, że przyjdiesz, bym mógł te słowa wyrzec.

Myślisz, że chcę usprawiedliwiać coś, dla czego nie ma usprawiedliwienia, ale nie na to nie mogę poradzić. Tylko mnie wysłuchaj, błagam. – Stał i czekał.

Grey siedział, wpatrzony w pistolet. Sam go załadował.

– Zatem mów – odezwał się w końcu. Zobaczył, jak plecy Percy'ego poruszają się wraz z oddechem, i wyobraził sobie pod czarnym suknem jego nagie ciało, smukłe i doskonałe.

– Kiedy pierwszy raz poszedłem z mężczyzną do łóżka, zrobiłem to dla pieniędzy – zaczął cicho Percy. – Miałem wtedy czternaście lat. Nie jedliśmy od dwóch dni, matka i ja. Krążyłem po zaułkach, szukając czegoś, co dałoby się sprzedać. Znalazł mnie tam pewien człowiek – Henry, tak go nazywano. Nigdy nie poznałem jego nazwiska. Dobrze ubrany, wysoki, raczej zamożny. Mówił, że jest urzędnikiem sądowym, może rzeczywiście nim był. Zabrał mnie do siebie i kiedy było po wszystkim, dał mi trzy szylingi. Fortunę. – Powiedział to bez ironii.

– I... robiłeś to dalej. Z nim? – Grey starał się nadać głosowi bezbarwny ton.

Percy oderwał głowę od ściany, odwrócił się i popatrzył na niego ciemnymi oczami pełnymi smutku.

– Tak – odparł po prostu. – Z nim, z innymi. Czyniło to różnicę między ubóstwem a zwykłym głodem. I odkryłem, że moje skłonności... mają właśnie taki charakter. – Popatrzył wprost na Greya. – Nie zawsze czyniłem tak dla pieniędzy.

Grey poczuł coś, ale nie wiedział, czy żal, czy ulgę.

– Ja... kiedy pomyślałem... że coś się może między nami wydarzyć... nie przyszedłem do ciebie od razu. Zauważyłeś to, jak sądzę? – spytał Percy.

O, tak, pomyślał.

– Był pewien mężczyzna, nie powiem ci, jak się nazywa, to nieważne. Nazwij go panem A. Był...

– Twoim protektorem? – Grey wypowiedział te słowa tonem pełnym zjadliwości i dostrzegł z satysfakcją, że Percy zaciska szczęki.

– Jeśli tak uważasz – zgodził się lakonicznie Percy i spojrzał Greyowi w oczy. – Nie przyszedłbym do ciebie, dopóki bym z nim nie zerwał. Nie chciałem... jakichkolwiek komplikacji.

– W samej rzeczy.

– Michael... ten człowiek, z którym mnie widziałeś... – Wymówił to imię na modłę niemiecką, jak zauważył Grey. – Znałem go. Wcześniej. Spotkaliśmy się przed rokiem w Londynie.

– Pieniądze? – spytał Grey brutalnie. – Czy...

Percy odetchnął głęboko i odwrócił wzrok.

– To drugie – odparł i zagryzł dolną wargę. – A teraz mu powiedziałem, że nie... że mam kogoś... Nie zdradziłem twego nazwiska – dodał pośpiesznie, patrząc na Greya.

– Dzięki – rzekł Grey, czując, jak drętwieją mu usta.

Percy tym razem nie umknął spojrzeniem.

– Nalegał. Co ci szkodzi, jeden raz? Odmówiłem. A potem... nie była to właściwie groźba, ale wydawało się to dostatecznie jasne... powiedział: a jeśli zaczniesz się mówić? Między niemieckimi oficerami, między naszymi... o mnie?

Dostatecznie jasne, pomyślał Grey posepnie. Czy była to prawda? Czy miało to w ogóle jakiegokolwiek znaczenie?

– Nie mówię ci tego wszystkiego, by się usprawiedliwiać – powtórzył Percy i popatrzył na Greya.

– Dlaczego więc?

– Bo cię kochałem – odparł Percy bardzo cicho. – Od kiedy zaczęło się między nami, nie tknąłem nikogo ani nawet o tym nie pomyślałem. Chciałem, żebyś o tym wiedział.

A zważywszy na jego historię – tak jak ją opowiedział – było to godne szacunku wyznanie uczucia, pomyślał cynicznie Grey.

– Nie możesz zapewnić mi o tym samym, prawda? – Percy, zacisnąwszy usta, wciąż na niego patrzył.

Grey już chciał zaprzeczyć, ale uświadomił sobie, o co chodzi Percy'emu. On też nikogo nie tknął, ale ktoś jeszcze w jego życiu istniał. I gdzie dokładnie przebiegała granica między ciałem a sercem? Nie odezwał się.

– Nie mów mi, że zламаłem ci serce. Wiem, że nie. – Percy był blady, ale na jego policzkach zaczęły wykwiatać rumieńce, jakby Grey go uderzył. Odwrócił się nagle i zaczął powoli i bezgłośnie walić pięścią w białą ścianę. – Wiem, że nie – powtórzył z goryczą.

Jeśli jest twoim zamiarem zrzucić winę za swą klęskę na moje barki... Grey przełknął te słowa. Nie zamierzał się bronić ani wdawać w bezsensowne oskarżenia.

– Perseverance – powiedział bardzo cicho.

Percy znieruchomiał nagle. Po chwili potarł się kilkakrotnie dłonią po twarzy i odwrócił do Greya.

– Co?

– Czego ode mnie chcesz?

Percy patrzył na niego bez słowa. W końcu pokręcił głową, krzywiąc kącik ust, lecz grymas ten nie przypominał uśmiechu.

– Tego, czego chciałem, nie mogłeś mi dać, prawda? Nie mogłeś nawet kłamać, zważywszy na to, jaki z ciebie cholernie honorowy i uczciwy drań. Możesz kłamać teraz? Możesz mi powiedzieć, że mnie kochałeś?

Mógłbym, pomyślał. I byłaby to prawda. Tyle że nie do końca. Nie wiedział, czy Percy mówi pod wpływem paniki czy gniewu, czy może podejmuje wykalkulowaną próbę wzbudzenia w nim poczucia winy, a tym samym prosi o pomoc. Nie miało to w gruncie rzeczy znaczenia.

Powietrze w celi było gęste i nieruchome.

Percy parsknął pogardliwie. Grey wpatrywał się w swoje dłonie.

– Tego chcesz? – spytał w końcu bardzo cicho.

Percy cofnął się odrobinę, spoglądając na niego spod przymrużonych powiek.

– Nie – odparł powoli. – Nie. Za późno mówić o miłości, nieprawdaż?

– O wiele za późno.

Czuł na sobie przenikliwe spojrzenie Percy'ego. Uniósł głowę i zobaczył, że patrzy on wzrokiem człowieka gotowego zagrać o wysoką stawkę. I uświadomił sobie, dlaczego poznaje to spojrzenie – bo sam był hazardzistą. Nie zdawał sobie z tego wcześniej sprawy, ale nie miał czasu się teraz nad tym zastanawiać.

– Chcę swego życia – powiedział Percy, wymawiając każde słowo bardzo wyraźnie. Dostrzegł rozterkę na twarzy Greya, zrodzoną z wahania, czy da się to zrobić... – wyrok więzienia... zesłanie – i z rozważania tego wszystkiego, co owe możliwości mogą oznaczać nie tylko dla Percy'ego, ale też dla Hala, pułku, rodziny. – I swojej wolności.

Nagle Greya ogarnęła bezsensowna furia, tak silna, że przycisnął pięści do ud, by nie zerwać się na równe nogi i nie uderzyć Percy'ego.

– Na litość boską – rzucił, starając się nie mówić głośno. – Zrobiłeś to, narozrabiałeś cholernie... Dlaczego mi nie wspomniałeś? Dopilnowałbym, żeby ten Michael nie stanowił dla ciebie zagrożenia. Swoją drogą, jak mogłeś być tak słaby, tak głupi, by ulegać podobnie nędznej groźbie? Chyba że tego chciałeś i znalazłeś sobie wymówkę... Nie, nic nie mów. Ani jednego pieprzonego słowa! – Uderzył się gniewnie w kolano. – Robisz coś takiego – ciągnął drżącym głosem – i niszczysz nie tylko siebie, ale wikłasz nas wszystkich...

– Wszystkich. Ciebie, twojego cholernego brata, przekłety honor twojej rodziny, chciałeś powiedzieć...

– Tak, przekłety honor naszej rodziny. I honor pułku, którego jesteś zaprzysiężonym oficerem, o czym ci przypominam. Jak śmiesz wymawiać słowo „honor”? A jednak śmiesz... co więcej, śmiesz żądać, bym nie tylko dokonał jakiegoś cudu, który ocali ci życie, lecz też uratował cię przed wszystkimi konsekwencjami twojego szaleństwa?

Nabity pistolet leżał przed nim na ławie; wystarczyło jedynie odciągnąć kurek. Przez jedną krótką chwilę rozmyślał o tym, jak łatwo byłoby go wziąć, odbezpieczyć i strzelić Percy'emu między oczy. Nikt nie zadawałby pytań.

– Nie powiedziałem tego.

Miał zdławiony głos i Grey nie mógł spojrzeć mu w twarz, ale zobaczył, jak te smukłe dłonie zaciskają się i rozwierają na przemian. Panowało między nimi ciężkie milczenie, takie, które rozbrzmiewa niewymówionymi słowami.

Gdzieś z głębi budynku dobiegały hałasy. Głosy, śmiech. Jak to możliwe, by

obok toczyło się normalne życie? Usłyszał, jak Percy bierze głęboki oddech i jak ten oddech go dławi.

– Nie mogłeś mi dać miłości, jak rzekłeś, tylko życzliwość i honor. Tak, to mogłeś mi dać – wyszeptał Percy. Grey spojrzał w jego twarz i dostrzegł, że rumieniec zniknął, że ta jasna skóra znów pokrywa się kredową bladością. – Nie pozostała mi ani odrobina honoru. – Drżały mu wargi; zacisnął je na chwilę. – Jeśli... jeśli łączy nas jeszcze jakakolwiek życzliwość, to błagam cię, Johnie. Ocal mnie.

*

Nie mógł. Nie potrafił znieść wspomnień: Percy'ego w swoim łóżku, Percy'ego w cuchnącej celi i z pewnością nie Percy'ego na poddaszu z Weberem – nie był w stanie rozważać obecnej sytuacji, zdecydować, co robić. Sam już nie wiedział, co czuje, co powinien czuć. W konsekwencji oddawał się codziennym zajęciom i obowiązkom niczym automat – poruszał się, rozmawiał, potrafił się nawet uśmiechać, gdy było to konieczne, ale cały czas zdawał sobie sprawę z tego, że ani na chwilę nie zaprzestał rozmyślać o Percym i sposobach rozwiązania całej sprawy.

Poza zdawkowym pytaniem, czy Percy jest traktowany przyzwoicie, Hal nie wnikał w rezultaty odwiedzin Greya – wystarczyło mu jedno spojrzenie, by zorientować się w niepowodzeniu misji. Pistolet wciąż spoczywał w chlebaku.

List nadszedł tydzień później. Nie widniała na nim żadna wskazówka – dostarczył go niemiecki szeregowy – ale Grey wiedział, od kogo jest.

Powinien wrzucić go do ognia. Krzywiąc się, przełamał pieczęć. Nie było powitania. Czy to ostrożność ze strony Percy'ego – zastanawiał się – by uniknąć oskarżenia adresata, gdyby pismo zostało przechwycone, czy też Percy nie wiedział już, jak się ma do niego zwracać? Pytanie to przestało go nurtować natychmiast, gdy zaczął czytać pierwsze zdania.

Pozostawiam twej wyobraźni ocenę tego, ile kosztowało mnie napisanie owego listu, gdyż ostateczny koszt zależy od ciebie. Bilem się z myślami przez wiele dni, zadając sobie pytanie, czy go napisać, a teraz, napisawszy, czy go przesłać. Kres mych rozważań jednakże jest tym, od czego zacznę: mówić – może oznaczać moje życie; milczeć – może oznaczać twoje. Jeśli przeczytasz me słowa, będziesz wiedział, co wybrałem.

Grey przesunął dłonią po twarzy, pokręcił gwałtownie głową i przeczytał resztę.

Znasz nieco moją historię, włącznie z moimi stosunkami z dżentelmenem, którego będę nazywał A. Pewnego dnia, kiedy przebywałem w jego domu, odwiedził go inny dżentelmen. Odesłano mnie na górę, jako że chodziło o sprawę prywatną. Spoglądając na podjazd, zobaczyłem powóz gościa, bardzo elegancki

ekwipaż, i z pewnością nie był on wynajęty; nie widniał na nim jednak żaden herb ani znak heraldyczny. Po krótkim czasie ten dżentelmen wyszedł i został odwieziony. Nie widziałem go dokładnie, jedynie jego kapelusz, kiedy wyłonił się spod markizy przy wejściu, choć słyszałem, jak zamienił na pożegnanie kilka słów z panem A.

Posłano po mnie, zszedłem więc na dół, pan A. zaś powiedział mi, że jego gość słyszał o małżeństwie twojej matki, a tym samym o mych domniemanych związkach z twoją rodziną, i pragnął wiedzieć, czy poznałem już ciebie albo twojego brata i kiedy dojdzie do ponownego spotkania. A. wspomniał gościowi o moim obiedzie z tobą i Meltonem, dodając, że zostałem zaproszony do salonu lady Jonas. Gość dał panu A. paczkę pieniędzy, by ten mi je przekazał, i poprosił, bym w zamian po opuszczeniu salonu zaprowadził cię na obrzeża Hyde Parku i zostawił niedaleko Grosvenor Gate, jako że pragnie dostarczyć ci tam jakąś wiadomość.

Ponieważ wyglądało to wszystko niewinnie, uczyniłem, o co mnie poproszono. Nie wspomniałeś o niczym przy naszym następnym spotkaniu, uznałem więc rzecz za nieistotną i nie pytałem cię o nic. Nie wiedziałem o twojej przygodzie z dwoma żołnierzami w parku, dopóki mi o tym później nie powiedziałaś. Doznałem szoku, słysząc to, ale nie zorientowałem się, że ów incydent może mieć związek z gościem pana A.

Potem napadnięto nas przy Seven Dials i uświadomiłem sobie, że to ty byłeś celem owego ataku. Przypomniałem sobie gościa pana A. i jego zlecenie i zacząłem się zastanawiać, czy obu tych napaści nie dokonano za jego namową. Na próżno poszukiwałem jakiegoś logicznego wyjaśnienia i dlatego milczałem, choć postanowiłem strzec cię uważnie.

Potem opowiedziałaś mi prawdziwą historię śmierci swojego ojca, a później wspomniałeś o innych osobliwych wydarzeniach, takich jak kartka z dziennika twego ojca odkryta w gabinecie twego brata. W tymże momencie zacząłem podejrzewać, że te wszystkie sprawy mają związek, ale wciąż nie wiedziałem jaki. A ponieważ pułk wyruszał niebawem, sądziłem, że niebezpieczeństwo przestanie ci grozić.

Jak już rzekłem, rozważałem przez jakiś czas, czy napisać do ciebie o tym, co wiem. Sprawa stała się nagląca na początku tego tygodnia. Usłyszałem na korytarzu pod swą celą jakiś głos i uwierz mi, że rozpoznałem w nim gościa pana A. Przez dłuższy czas nie udawało mi się przywołać żadnego strażnika. Gdy wreszcie zdołałem pomówić z jednym, spytałem, kim był ten angielski nieznajomy. Strażnik nie wiedział, nie widział tego człowieka – ale nakłoniłem go, by się o niego rozpytał, i nazajutrz powrócił, by mi powiedzieć, że to chirurg wojskowy, który przybył, żeby przeprowadzić eksperyment medyczny na jednym z więźniów z okropną raną na nodze.

Nie mogę przysiąc, że to ten sam człowiek, a jeśli tak, wciąż nie wiem, dlaczego miałby pragnąć twej zguby, choć przypuszczam, że ma to coś wspólnego ze śmiercią twojego ojca. Jeśli taki charakter ma ów związek, istnieją wszelkie powody, by przypuszczać, że tobie i bratu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Uwierz mi, zawsze ci oddany.

P. Wainwright (podporucznik)

Grey zaklął pod nosem i rzucił list na stół.

Tajemniczy goście i chirurdzy wojskowi – bezimienni. Możliwe, że Percy nie zdołał poznać nazwiska owego chirurga – jeśli gość pana A. był tym człowiekiem albo jeśli w ogóle istniał. Możliwe też, że ten człowiek istnieje i że Percy wie, jak się nazywa, ale pragnie zmusić jego, Greya, do ponownych odwiedzin, by to ujawnić. Nie wspomniał w liście o przekazaniu dalszych informacji w zamian za pomoc, ale sugestia była wyraźna.

– Dobrze się pan czuje, milordzie? – Tom Byrd przyglądał mu się podejrzliwie. – Wygląda pan na drażliwego, jak mawiała moja matka. Może powinien pan puścić sobie krew?

Grey czuł się zdecydowanie drażliwie, ale wątpił, czy puszczenie krwi w czymkolwiek pomoże. Ale...

– Tak – powiedział niespodziewanie. – Idź i spytaj doktora Protheroe, czy może przyjść, gdy tylko będzie to możliwe.

Tom nienawykły do tego, że Grey akceptuje jego medyczne sugestie, sprawiał przez chwilę wrażenie osłupiałego, potem się jednak rozpromienił.

– Bezzwłocznie, milordzie! – Wcisnął pospiesznie do kufra koszulę, którą właśnie zszywał, i czym prędzej włożył płaszcz, ale zatrzymał się w drzwiach, by udzielić jeszcze jednej rady. – Jeśli poczuje się pan tak, jakby krew miała trysnąć panu z nosa, to należy przyłożyć sobie klucz do karku, milordzie.

– Klucz? Po co?

Tom wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale moja mama tak robiła, jak ktoś krwawił z nosa.

– Będę miał to na uwadze – obiecał Grey. – Idź!

Po wyjściu Toma stał na środku namiotu, pragnąc dać upust wściekłości, rozwalić coś, ale powstrzymał go brak czegoś wystarczająco kruchego w zasięgu ręki prócz lusterka do golenia, z którym nie chciał się rozstawać. Nie bardzo wiedział, w jakim stopniu jego gniew wynika z kolejnego dowodu na perfidię Percy'ego – ukrywanie przed nim informacji – a w jakim z ustaleń, jakie Percy poczynił. Było jednak prawdą, że krew pulsowała mu w skroniach. Pomacał nawet ukradkiem nos, ale nic nie wskazywało na to, by miał krwawić.

– Co robisz? – Hal stał w wejściu do namiotu i patrzył na brata zdziwiony.

– Nic. Przeczytaj to. – Podsunął Halowi list.

Hal przeczytał go dwukrotnie. Grey obserwował, jak twarz brata obleka się czerwienią, a żyła na jego czole pulsuje nerwowo.

– Mały gówniarz! – Rzucił kartki na stół. – Zna nazwisko tego chirurga?

– Nie wiem. Prawdopodobnie nie. Możesz iść do niego i go spytać. Ja tego nie zrobię.

Hal mruknął i znów spojrzął na kartki.

– Sądzisz, że coś w tym jest?

– O, tak – odparł zwięźle Grey. – Mógł zataić nazwisko, ale nie widzę powodu, dla którego miałby wymyślić tę całą historię. Jaką by czerpał z tego korzyść?

Hal zmarszczył w zamyśleniu czoło.

– Tylko taką, że nakłoniłby nas, żebyśmy do niego przyszli. By mógł prosić o naszą pomoc osobiście w nadziei, że to skuteczniejsze niż list.

– Nie możemy zaoferować mu żadnej pomocy, prawda? – Grey nie był pewien, czy pragnie to wiedzieć, ale wraz z tym pytaniem rozgorzała w nim jakaś mała isierka nadziei.

– Niewielką. – Hal potarł sobie wargę. – Jeśli zostanie skazany, sądzę, że może się uda użyć wpływów i zamienić egzekucję na więzienie albo zesłanie. Może się uda, powiadam – dodał, zerkając na Greya. – Ze względu na jego ojczyzna.

– Jeśli zostanie skazany – powtórzył jak echo Grey. – Szczerze uważasz, że istnieje jakakolwiek szansa, by tak się nie stało?

– Żadnej szansy – odparł bez ogródek Hal. – Musimy się spodziewać...
A kto to taki?

Był to Tom powracający wraz z doktorem Protheroe, chirurgiem pułkowym, który postawił swoją torbę i teraz patrzył to na Greya, to na Hala.

– Hm... pański służący twierdzi, że jest pan niezdrowy? – Pytanie zostało zadane powątpiewającym tonem. Protheroe był drobnokościstym, ciemnowłosym i przystojnym człowiekiem. I wprawnym chirurgiem, ale bardzo młodym. I pełnym podziwu dla Hala.

– No, niezupełnie – zaczął Grey, zerkając na list leżący na stole, ale Hal pospiesznie mu przerwał.

– Tak, mój brat jest odrobinę niedysponowany. Może zechciałby go pan przebadać? – Posłał Greyowi groźne spojrzenie, zakazując jakiegokolwiek sprzeciwu, i nim ten zdołał pomyśleć o stosownej wymówce, już siedział na taborecie. Doktor obejrzał mu język, białka oczu, pomacał mu wątrobę i zadał mnóstwo poniżających pytań, które odnosiły się do bardziej intymnych funkcji cielesnych.

Jednocześnie Hal wciągnął chirurga w swobodną z pozoru rozmowę o jego pobycie w Prusach... Co sądzi o jedzeniu, jak czują się ludzie... Grey patrzył

gniewnie na brata ponad głową lekarza przyciśniętą do jego piersi, wypowiadając bezgłośnie: „No dalej!”.

– Ma pan dużo do czynienia z kolegami po fachu? – spytał w końcu Hal grzecznym tonem. – Z innymi chirurgami pułkowymi?

– O, tak. – Protheroe grzebał w swojej torbie. Grey skrzywił się. Czekają go upuszczanie krwi, wiedział o tym. – Paru niemieckich doktorów zna się na rzeczy, a książę korzysta z usług włoskiego lekarza, który ma zdumiewające narzędzia. Pokazał mi je kiedyś... Nigdy takich nie widziałem!

– Rozumiem – skwitował Hal i znowu rzucił okiem na list. – Ilu jest angielskich chirurgów, wie pan?

Protheroe wciąż grzebał w torbie.

– Och, pięciu albo sześciu – odparł ogólnikowo. – A teraz, lordzie Johnie, sądzę...

– Zna pan ich nazwiska? – dopytywał się Grey obcesowo.

Protheroe zamrugnął zdziwiony, a Hal przewrócił oczami, nie kryjąc irytacji.

– No, tak... oczywiście. Simmonds, z czternastego. Uważam, lordzie, że pijawki będą w tym wypadku najskuteczniejsze. Pański służący mówi, że prześladowały pana ostatnio bóle głowy...

– To prawda bez wątplenia – przyznał Grey, patrząc z uwagą na zamknięty słoik, który doktor wyjął z torby. – Ale naprawdę...

– Simmonds – wtrącił Hal. – Kto jeszcze?

– Och. – Protheroe podrapał się w zamyśleniu po brodzie. – Entwidge... dobry człowiek, ten Entwidge – dodał wielkodusznie. – Choć trochę młody.

Grey pomyślał, że Protheroe sam nie ma jeszcze dwudziestu czterech lat.

– No i Danner... – Skrzywił się, co miało zapewne oznaczać, że uważa Dannera za szarlatana. – Ma pan pod ręką trochę mleka, milordzie?

– Tutaj, sir! – Tom, który kręcił się w pobliżu, oczekując najwyraźniej tej prośby, podskoczył z dzbankiem. – Będzie najlepiej, jak zdejmie pan koszulę, milordzie – zwrócił się z powagą do Greya. – Nie chciałby pan cuchnąć skwaśniałym mlekiem, gdyby trochę się rozlało.

– W samej rzeczy, nie chciałbym – odparł Grey, spoglądając złym wzrokiem na brata, którego ta sytuacja najwyraźniej bawiła. Zrezygnowany, zdjął koszulę i pozwolił medykowi natrzeć sobie obficie skórę i kark białym napojem.

– Mleko sprawia, że tym chętniej się wgryzają – wyjaśnił Protheroe, poklepując Greya z zapalem.

– Wiem – przyznał Grey przez zaciśnięte zęby. Zamknął odruchowo oczy, gdy Protheroe wyjął ze słoika coś ciemnego i bezkształtnego. Ugryzienie pijawki nie bolało w gruncie rzeczy, z czego zdawał sobie sprawę. Ślina tych stworzeń zawierała jakiś składnik, który uśmierzał owo doznanie. Ale ten kleisty dotyk na skórze budził obrzydzenie, a świadomość, że pijawka powoli i z wielką

przyjemnością napelnia się jego krwią, przyprawiała go o zawrót głowy.

Wiedział, że jest nieszkodliwa, nawet dobroczynna. A mimo to żołądek Greya pozbawiony był jakiegokolwiek poczucia naukowej bezstronności i reagował skurczami pod wpływem obrzydzenia.

Protheroe i Tom spierali się, ile tych wstrętnych stworzeń stanowi optimum: doktor uważał, że sześć całkowicie wystarczy, ale wyłącznie pod wpływem Toma, który był zdania, że jeśli pół łyżeczki lekarstwa jest dobre, to trzy są lepsze.

– Wystarczy, sir, dziękuję. – Grey wyprostował się na taborecie, unosząc wysoko brodę, by uniknąć niepotrzebnego kontaktu z pijawkami, które przysrajały jego szyję niczym kreza. Na czoło wystąpił mu pot, który doktor ocierał, szukając na skroni odpowiedniego miejsca dla jeszcze jednego z tych odrażających stworzeń.

– No, świetnie się sprawdzi – zawołał Protheroe z zadowoleniem, powracając do studiowania osoby Greya, jakby ten był jakimś dziełem sztuki. – Doskonale. A teraz, milordzie, jeśli zechce pan pozostać w bezruchu i pozwolić pijawkom spełniać swe zadanie, wszystko będzie dobrze. Jestem pewien, że odczuje pan niemal natychmiastową ulgę.

Jedyną jak dotąd ulgą odczuwaną przez Greya był fakt, że Hal zrobił się niezdrowo blady i najwyraźniej nie chciał patrzeć w stronę brata. Zawsze to jakaś pociecha, pomyślał zgryźliwie. Całe szczęście, że on sam nie widział tych przeklętych stworzeń.

– Odprowadzę pana, sir – rzucił pospiesznie Hal, widząc, że Protheroe zamyka swoją torbę i zbiera się do wyjścia.

Grey posłał bratu gniewne spojrzenie, ale Hal wskazał tylko list i wyszedł za doktorem z namiotu.

Tom delikatnie okrył ramiona Greya ręcznikiem.

– Żeby się pan nie przeziębził, milordzie.

Był środek dnia i panował skwar, ale Grey za bardzo starał się ignorować makabryczną myśl, że jest odsączany z krwi, by zdobyć się na jakikolwiek protest.

– Przynieś mi trochę brandy, Tom!

Tom nie wydawał się przekonany.

– Uważam, że nie powinien pan pić brandy, kiedy przyłożono panu pijawki, milordzie. Może się zdarzyć, że te małeństwa podchmielą się i odpadną, zanim zdążą wykonać swoją robotę.

– Co za wspaniały pomysł. Przynieś mi brandy, Tom, i to dużo. Natychmiast.

Tom już zamierzał się spierać, ale przeszkodziło mu pojawienie się Hala, który spojrzał na Greya, wzdrygnął się i wyjął z kieszeni tabakierkę z solami trzeźwiącymi. Grey był wzruszony tym dowodem troski o niego, ale wydał z siebie pełen oburzenia okrzyk, widząc, że Hal przystawia fiolkę do własnego nosa.

– Daj mi to! Potrzebuję tego bardziej niż ty.
– Nie, nie potrzebujesz. – Hal odetchnął głęboko, zakrztusił się i dostał ataku kaszlu. – Protheroe przypomniał sobie nazwisko innego chirurga – wychrypiął z załzawionymi oczami.
– Co? O kogo chodzi?
– O Longstreeta – odrzekł Hal, znowu zakaszłał i podał bratu sole. – Arthur Longstreet. Jest tutaj, z Prusakami.
Grey wyjął korek z fiolki i podniósł ją do nosa.

*

Pomijając ciekawe odkrycie naukowe, że brandy rzeczywiście działa na pijawki, skutek wizyty pana Protheroe o niczym jeszcze nie przesądzał.

– Z Prusakami – powtórzył Grey, wciągając na siebie koszulę z uczuciem głębokiej ulgi. – Gdzie dokładnie?

– Protheroe nie wiedział – odparł Hal, pochylając się nad stołem, żeby spojrzeć na pijawkę, która rozciągała się w ekscentryczny i zmysłowy sposób. – Spotkał Longstreeta przypadkowo tydzień temu i zobaczył, że nosi pruski mundur. Ale oczywiście nie zauważył oznak pułkowych. Myślisz, że ten stwór jest martwy?

Grey dźgnął rzeczony i pozbawione czucia stworzenie, po czym podniósł je ostrożnie, trzymając między kciukiem i palcem wskazującym.

– Myślę, że zemdłało. – Wrzucił pijawkę do słoja i otarł skrupulatnie dłonie o spodnie. – Odnalezienie Longstreeta nie powinno sprawić kłopotu.

– Nie – odrzekł Hal w zamyśleniu. – Ale musimy być ostrożni. Jeśli zamierza zrobić coś tobie – albo mnie – nie zawadziłoby mu uświadomić, że o nim wiemy.

– To najlepszy sposób, jak sędzę, by zagwarantować sobie z jego strony nietykalność.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże, poza tym wierzę głęboko, że potrafisz się obronić przed zwykłym chirurgiem – oznajmił Hal z rzadkim u niego uśmiechem. – Nie, nie chcemy wzbudzać jego podejrzeń, ponieważ chcemy z nim porozmawiać. Prywatnie.

Rozdział 28

Hückelsmay

Grey złażał Percy'ego za lekkomyślność i głupotę. Jednocześnie był boleśnie świadom, że sam niejednokrotnie odznaczał się podobną lekkomyślnością i głupotą. Miał po prostu więcej szczęścia. Raz zaledwie kilka sekund ocaliło go przed taką samą klęską, jaka teraz stała się udziałem Percy'ego. Samo wspomnienie tamtego wydarzenia przyprawiało go o zimny pot – tym zimniejszy, że wiedział dokładnie, do czego może to doprowadzić.

Gwałtowny szok i ból zdrady przygasły, pozostawiając po sobie głęboki smutek i poczucie niedoli, które nie opuszczało go ani przez moment.

Armia ruszyła dalej, zostawiając Percy'ego w celi. Tego wieczoru obozowali w pobliżu wioski Crefeld – „wroniego pola”, nazwy niezwykle trafnej. Za dnia na polach roiło się od czarnego ptactwa, a gdy wojsko przechodziło obok, z pokrytych brudami pól zrywały się z głośnym krzykiem całe stada wron.

Zaledwie armia się zatrzymała, dzień miał się już ku końcowi. Powietrze było nieruchome, dym z ognisk wartowniczych mieszał się z mgiełką, która zawsze krążyła nad ziemią; ciemne kłęby zdawały się oplatać kopyta konia, na którym jechał Grey.

Krążył między kompaniami, kiedy zapadała z wolna letnia noc, i zsiadał z wierzchowca, by napić się piwa, zjeść kawałek chleba albo kiełbasy, porozmawiać z kapitanami, porucznikami, kapralami. Odwiedzał każde obozowisko – kiwał głową, uśmiechał się, wymieniał kilka słów z ludźmi, których znał, oceniał od niechcienia nastroje, gotowość i sprzęt. Jednym uchem słuchał narzekań i rozmów oficerów, drugim zaś łowił odgłosy rychłej nocy. Wyczekiwał pauzy w cykaniu świerszczy o zmierzchu, jakiegokolwiek nuty niepokoju w przytłumionych rozmowach i śmiechu żołnierzy, którzy szykowali się do kolacji i odpoczynku. Gdzieś niedaleko czał się wróg.

– Dzień marszu, jak słyszałem, zanim dopadniemy Francuzów – oświadczył Tarleton, jeden z dwóch podporuczników, którzy zawsze ciągnęli za nim w polu, gotowi przekazywać wiadomości, zanosić raporty, wykonywać rozkazy, znajdować jedzenie i ogólnie służyć jako wyrobownicy.

– Gdzieś to słyszał? – spytał z zainteresowaniem młodszy, czyli Brett. – Od tych z Hesji czy od jednego z naszych? – Sprawiał wrażenie podekscytowanego; była to jego pierwsza kampania. Łaknął bitwy.

– No... od porucznika z kwatermistrzostwa – wyznał Tarleton. – Dowiedział się tego od jednego z Niemców, ale nie powiedział, o kogo chodzi. Sądzi pan, że

ma rację, sir? – zawołał do Greya. – Czy rzeczywiście jesteśmy blisko?

Tarleton mógł mieć z osiemnaście lat – Brett piętnaście – i udawał człowieka wielce bywałego. Przeszedł jednak mutację późno i głos wciąż mu się łamał w chwilach napięcia. Słowo „blisko” nabrało niebezpiecznie wysokiego tonu, ale Brett był na tyle mądry, by się nie roześmiać, a gasnące światło ukryło rozbawienie Greya.

– Tak, są blisko – odparł cierpliwie. – Mają artylerię. Przekonają się, że jest powolna.

Tak jak Prusacy Ferdynada, Hanowerczycy i ich angielscy sprzymierzeńcy ścigali armię de Clermonta po dolinie Renu niemal przez cały miesiąc.

Była to żyzna ziemia i mokra – tak bardzo mokra, że gdy kopano latryny, w ciągu dnia napełniały się wodą. Oddziały angielskiej artylerii rozłożyły się z trudem na najsuchszym możliwie skrawku gruntu ku zachodowi. Karolus uniósł łeb, kiedy przejeżdżali obok, i zarzął do koni w parku artyleryjskim. Grey wyczuł, że jego wierzchowiec nagle okazuje zainteresowanie: grzywa się uniosła, a chrapy rozdymały, gdy wilgotne i ruchome powietrze przyniosło woń klaczy.

– No, no, spokojnie, jurny draniu – mruknął Grey, spinając go mocno ostrogą i zawracając. Karolus wydał pełne niezadowolenia parsknięcie, ale posłuchał.

– Ma chętkę, co, sir? – spytał żartobliwie Tarleton.

– Och, spuchnięte jaja każdemu sprawiają kłopoty, prawda? – zauważył Brett, siląc się na ton człowieka światowego.

Grey uniósł brew i pomyślał, że powinien porozmawiać ze swoimi podporucznikami prywatnie i uświadomić im niestosowność obcowania z nierządnicami, ale nie miał nadziei, że takie ostrzeżenia przyniosą jakikolwiek skutek. Batalion zajmował obecną pozycję od rana; aż nadto czasu, by tłum obszarpanych kobiet dotarł na miejsce. Grey unosił się przez chwilę w strzemionach, spoglądając w stronę rzeki, gdzie biegła linia solidnych zabudowań; wszystkie okna płonęły niczym punkty sygnalizacyjne.

Na horyzoncie nie widać jeszcze było tumanu kurzu oznaczającego przybycie ciężkich wozów i poganiaczy mułów, bezładnego tłumu praczek, kucharzy, furazowych, dzieci i żon – oficjalnych i nie tak bardzo – i niewiast, których brak szczęścia zmusił do nędznego żywota w cieniu armii. Ale wszyscy oni mieli pojawić się tu niebawem; do zmierzchu brakowało przynajmniej godziny, a on mógłby założyć się o swoje najlepsze buty, że ta cizba podążająca za żołnierzami rozłoży się na noc jeszcze przed wschodem księżyca.

Teren w tej części doliny Renu był płaski jak flądra, choć żywopłoty i zarośla między polami zasłaniały widok. Z miejsca, w którym się w tej chwili znajdował, dostrzegał wieże jednego, dwóch... tak, trzech kościółków wiejskich, godzących czernią w niebo o barwie roztopionego ołowiu.

Podporucznicy dalej się przekomarzali, prowokując się nawzajem do coraz sprośniejszych uwag. Słuchając tego tylko jednym uchem, Grey uchwycił coś i zwrócił głowę w stronę obu młodych mężczyzn. Był to odruch czysto instynktowny, wynikający bardziej z zaskoczenia niż ze świadomości, że czynili zawołane aluzje do Percy'ego Wainwrighta, ale przyniósł natychmiastowy efekt.

Z ust Tarletona dobył się krótki syk i Brett z miejsca się przymknął. Grey wierzył, że nie była to z ich strony celowa obelga. Żaden nie znał bowiem dobrze Percy'ego i prawdopodobnie nie przywoływał świadomie więzi rodzinnych między okrytym hańbą porucznikiem i Greyem – dopóki nie było za późno.

Za jego plecami zapadła pełna napięcia cisza. Ignorował ją przez chwilę, potem ściągnął wodze.

– Panie Brett? – zawołał przez ramię.

– Sir!

– Proszę się udać do kapтана Wilmota. Zapomniałem mu powiedzieć, żeby dołączył po kolacji do lorda Meltona i księcia w kwaterze polowej. Ta sama wiadomość do wszystkich kapitanów. Potem jesteście wolni.

Nie trzeba było przekazywać tego kapitanom, ponieważ i tak zjawiliby się w kwaterze, a jazda powrotna przez obozowiska zajęłaby Brettowi następne dwie godziny i pozbawiła kolacji. Dawało to jednak młodemu oficerowi okazję do ucieczki, on zaś skorzystał z niej skwapliwie, zawracając konia ze słowami: „Tak jest, sir”, po czym odjechał galopem.

– Panie Tarleton.

– Sir?

Młodzieńcowi załamał się głos, ale Grey nie zwrócił na to uwagi.

– Widzi pan tę wieżę kościelną? – Wskazał jedną na chybił trafił. – Proszę na nią wejść. Rozejrzy się pan po okolicy.

– Tak jest, s... ależ sir! Ściemni się zupełnie, zanim tam dojadę!

– Owszem – przyznał uprzejmie Grey. – Przypuszczam, że będzie musiał pan poczekać do świtu, nim złoży pan raport.

– Ach... tak, sir – odparł Tarleton strapiiony. – Oczywiście, sir.

– Doskonale. I niech pan nie wpadnie do *Landwehr*, jeśli mogę prosić.

– Nie, sir. Do... czego...?

– Do rowu ziemnego. Dużego podwójnego przekopu, kanału wypełnionego wodą. Przejeżdżaliśmy przez niego wcześniej.

– Ach, tego. Nie, sir, nie wpadnę.

Grey pozostał na miejscu, dopóki Tarleton nie zniknął, popędziwszy w stronę odległego kościoła, po czym zawrócił Karolusa. Cieszył się, że jest sam, chociażby przez chwilę. Trzymając wodze jedną ręką, pochylił pod wpływem impulsu głowę, przywarł czołem do końskiego karku i zamknął oczy, czerpiąc

odrobinę pociechy z ciepła swego wierzchowca. Karolus obrócił masywny łeb i parsknął szczerze wilgotnym oddechem w szyję Greya, jakby dając do zrozumienia, że wybacza niespełnienie jego pragnień.

Grey drgnął i się roześmiał.

– W porządku.

Zerkając w stronę niewidocznej klaczy, spętał nogi koniowi i pozwolił mu skubać trawę, sam zaś zaczął się rozglądać za miejscem, gdzie mógłby spokojnie i z ulgą oddać mocz.

Nie było w tej okolicy drzew, a jedynie sady przy gospodarstwach. Omal nie zdecydował się wejść na wzgórek kamieni, który majaczył w mroku, ale zdążył sobie uświadomić, że to jedna z małych kapliczek, które pstrzyły krajobraz jak mrowiska, po czym skupił się na dogodnych krzewach.

Skończywszy, zapiął rozporek i niemal bezwiednie wsunął dłoń do kieszeni. Z ulgą wyczuł szeleszczący papier.

List nadszedł po południu. Początkowo miał zamiar go zignorować, ale rozpoznając zamaszyste pismo Symingtona, otworzył kopertę. Wiadomość była w stylu nadawcy – krótka, bezceremonialna, do bólu konkretna.

„Custis nie żyje” – bez słów powitania, z wyjaśnieniem dołączonym jakby po namyśle: „Biegunka”. Bez podpisu, co dowodziło dyskrecji.

Żywił przypuszczenie, że powinien żałować – może żałowałby później, kiedy znalazłby czas i dość uczuć w sobie. W tej chwili śmierć Custisa, aczkolwiek niespodziewana, wywoływała w nim jedynie uczucie ulgi. Potem przyjdzie pora na inne refleksje.

Wszyscy wiedzieli, co wydarzyło się w Gasthofie. Pozostawało faktem, że tylko on, Grey, Custis i kapitan Hauptmann tę scenę widzieli. Michael Weber już nie żył, Hauptmann pojechał do Bawarii. A teraz Custis też odszedł. Oznaczało to, że on, Grey, jest jedynym naocznym świadkiem przestępstwa.

Hal z typową dla niego obsesyjną bezwzględnością zdobył wszelkie możliwe materiały pochodzące z sądów polowych orzekających w sprawie pederastii – istniało ich zadziwiająco mało, zważywszy na znaną Greyowi powszechność owego występku w kręgach wojskowych. Konkluzja nasuwała się sama, o czym Grey też wiedział od lat. Hierarchia militarna nie lubiła tego rodzaju skandalu, z wyjątkiem sytuacji, oczywiście, kiedy można ukryć skutecznie coś gorszego. Lecz gdy można było przymknąć oko, z pewnością do tego się uciekano.

Z tych samych przyczyn sąd nie był skłonny skazywać oficera za pederastię – chyba że ów oficer nastęczał problemów z innych powodów, tak jak Otway i Bates. Sąd polowy nie akceptował niczego, co nie zostało uznane za relację naocznego świadka.

A teraz on był jedynym świadkiem.

Grey nagle zadrzał, mimo że nie czuło się w wieczornym powietrzu ani

odrobiny chłodu.

Czy mógłby stanąć przed sądem polowym, przysiąc, że będzie mówił prawdę, i skłamać? – zastanawiał się. Gdy wszyscy – nie wyłączając sędziów – wiedzieliby, że to kłamstwo?

Oznaczałoby to koniec jego kariery i miałyby złą reputację. Niektórzy dostrzegliby w tym dowód źle rozumianej lojalności wobec rodziny, inni, a byłoby ich wielu, widzieliby w tym dowód na aprobatę dla skłonności Percy'ego, a może ich podzielenie. Tak czy inaczej, ścigałyby go plotki. Usunięcie z wojska wydawało się nieuniknione, a ten ciągnący się za nim odór skandalu pozbawiłby go wszelkiej nadziei na akceptację angielskiego towarzystwa – czy nawet służbę w obcej armii.

A jednak... chodziło o życie Percy'ego. „Jeśli łączy nas jeszcze jakakolwiek życzliwość, to błagam cię. Ocal mnie” – przypomniał sobie te słowa. Czy mógł wyznać prawdę i zobaczyć, jak prowadzą Percy'ego na szubienicę – albo do więzienia czy na ciężkie roboty – a potem wrócić po prostu do własnego życia?

Przez krótką chwilę oddawał się fantazji o ocaleniu wolności Percy'ego: albo dzięki kłamstwom, albo przekupstwu, a później o wspólnym wyjeździe za granicę. Miał dostatecznie dużo pieniędzy.

By wieść bezcelową egzystencję nieróbstwa z człowiekiem, któremu nie mógł ufać. Nie, nic by z tego nie wyszło.

– Niech cię diabli wezmą, Perseverance – powiedział cicho. – Żałuję, że kiedykolwiek ujrzały cię moje oczy. – Westchnął, pocierając dłońmi przymknięte powieki.

A jednak wcale tak nie myślał, uświadomił sobie. Miał takie odczucia w stosunku do Jamiego Frasera, ale nie Percy'ego. I zrozumiał, o wiele za późno, że kocha Percy'ego Wainwrighta. Ale... czy wystarczająco, by próbować go ocalić za cenę własnego honoru, własnego życia, nawet jeśli nic już między nimi nie pozostało?

No i był jeszcze Hal. Ponownie dotknął kieszeni. Jeśli Symington wiedział o Custisie, wiedział też o nim Hal. Jego brat rozważałby z powagą, co może to oznaczać, i na pewno doszedłby do identycznych konkluzji. Jednak Grey wątpił, czy Hal wyobraziłby sobie taką ewentualność, że on sam mógłby kłamać przed sądem polowym.

Nie miał pojęcia, jak dużo Hal może wiedzieć albo podejrzewać w kwestii jego skłonności; nigdy z nim na ten temat nie rozmawiał i nie zamierzał. Ale gdyby się przyznał, że nosi się z zamiarem popełnienia przed sądem krzywoprzysięstwa, by ocalić życie Percy'ego, Hal uczyniłby prawdopodobnie wszystko, żeby go powstrzymać, włącznie z postrzeleniem. Nie śmiertelnym, jak przypuszczał, uśmiechając się ironicznie na tę myśl; wystarczyłoby jednak, żeby zamknąć go gdzieś pod opieką medyka.

Mimo wszystko nie rozwiązałyby to problemu; Percy cierpiałby w więzieniu, dopóki on, Grey, nie wyzdrowiałby na tyle, by móc zeznawać. Nie... Hal już pewniej zdzieliłby go w głowę, zawinął w worek i kazał przemycić na pokładzie statku handlowego do Chin, a potem oświadczyłby, że Grey zaginął na morzu i...

Stwierdził, że śmieje się bezradnie z tej myśli, a do oczu napływają mu łzy.

– Chryste, Hal, chciałbym, żebyś tak uczynił – powiedział głośno i niespodziewanie pomyślał o Aberdeen, uświadamiając sobie po raz pierwszy, jak bardzo jego brat go kocha. – Chryste, Hal – wyszeptał.

Ocierając rękawem twarz, odetchnął głęboko ciężkim powietrzem i wyczuł słodką woń. Spojrzał w dół i zobaczył stos białych i żółtych kwiatów, które spadły na ziemię potrącone łokciem, kiedy otarł się o niewielką kapliczkę. Zebrał je delikatnie w bukiet i ułożył starannie na małym gzymsie.

Zrobiło się zbyt ciemno, by mógł dostrzec wygrawerowane litery na tabliczce wewnątrz kapliczki, ale jego myszkujące palce odkryły rzymską liczbę – II, jak sądził. Musiała to być jedna ze stacji drogi krzyżowej, o których mówił mu von Namtzen. Ludzie przechodzili od takiej kapliczki do następnej w pobożnej pielgrzymce, rozważając wydarzenia z życia Chrystusa, prowadzące do ukrzyżowania.

Percy, oczywiście, krył w zanadrzu groźbę, której Grey był aż nadto świadom, choć młodzieniec odznaczał się wystarczającą delikatnością, by o tym nie wspominać. Gdyby przyszło mu stanąć pod szubienicą, Percy mógłby ujawnić swój związek z Greyem. Grey nie sądził, by podobne domniemanie dało się udowodnić. Nikt nigdy bowiem nie widział ich w kompromitującej sytuacji, jednakże w tych okolicznościach oskarżenie byłoby dostatecznie niszczyielskie.

Oczywiście, nie mógł dyskutować o tym z Halem.

Nie odznaczał się szczególną pobożnością, ale był obeznany z Pismem Świętym na tyle, by wiedzieć, co wydarzyło się w Getsemani. „Oddał ode mnie ten kielich”.

Spojrzał ponad polami ku Hückelsmay i zobaczył ogniska sygnalizacyjne – stacje własnej drogi do Kalwarii, pomyślał posępnie. Chciałby wiedzieć, co Chrystus uczyniłby, będąc na jego miejscu. Tylko tyle.

*

Został zakwaterowany wraz z kilkoma oficerami brytyjskimi w jednym z gospodarstw niedaleko kanału, w miejscu zwanym Hückelsmay. Pomimo wyczuwalnego napięcia atmosfera w domostwie była przyjazna, w powietrzu unosił się zapach smażonych ziemniaków i pieczeni wieprzowej.

Grey wmusił w siebie trochę jedzenia głównie przez wzgląd na Toma, a potem usiadł w kącie, co pozwoliło mu uniknąć rozmowy z ludźmi.

Znajdował się blisko starannie zamkniętego i zasłoniętego przed nocą okna, ale i tak czuł przeciąg i słyszał od czasu do czasu pochrząkiwanie śpiących świń. Każdy dom w pobliżu *Landwehr* był otoczony małą fosą, która nie tylko zapewniała ochronę, ale też umożliwiała dostęp do wody i pozwalała zażywać kąpieli błotnej świniom wylegającym się tuż obok domostwa.

Powinien wstać i przespać się, jak przypuszczał – miał jednak wrażenie, że sen nie nadejdzie tej nocy łatwo. Pomyślał, że lepiej zostać tu, gdzie przebywali ludzie, niż rzucać się na łożku w ciemności, sam na sam z własnymi myślami.

Uświadomił sobie, że ktoś mu się przygląda, i gdy podniósł wzrok, okazało się, że jest obiektem podziwu małej dziewczynki, która przed nim stała. Nosila schludny fartuszek, czepek i – nieoczekiwanie – okulary, które znacznie powiększały jej oczy, nadając spojrzeniu intensywność. Marszczyła leciutko czoło, jakby nie wiedząc do końca, z kim ma do czynienia.

– *Bitte?* – zwrócił się do niej, wykorzystując to użyteczne niemieckie słowo, które z łatwością mieściło w sobie takie znaczenia, jak „proszę”, „dziękuję” czy „przepraszam”.

Dziewczynka z miejsca dygnęła i zaczęła mu się z uwagą przyglądać.

– Herr Thomas mówi, że mogę z panem porozmawiać, *mein Herr* – oznajmiła.

– Naprawdę? No cóż, wobec tego jestem pewien, że możesz – odrzekł z powagą. – Jak masz na imię, *Kleine?*

– Agnes-Maria. Herr Thomas mówi, że jest pan wielkim lordem. – Zmarszczka na jej czole pogłębiła się odrobinę, a w głosie pojawiła się nuta niepewności, jakby dziewczynka podejrzewała, że została wystrychnięta na dudka.

– Och... coś w tym rodzaju – odparł nieufnie Grey. – A o co chodzi?

Wyjęła z fałdów fartuszka rożek na atrament, gęsie pióro i kartę papieru, a potem położyła owe przedmioty na stole.

– Mam napisać całą stronę, rozumie pan. – Westchnęła przygnieciona ogromem tego zadania i obróciła na niego pełne wyrzutu wielkie niebieskie oczy, jakby to on był winien czekającej ją harówki. – O jakimś obcym kraju. Ale nie pamiętam, co nauczyciel opowiadał o Francji albo Holandii. Thomas jednak mówi, że przebywał pan w Schottland i wie o niej wszystko. Więc sam pan rozumie... – Otworzyła kałamarz na stole i wzięła do ręki gęsie pióro. – Może mi pan powiedzieć, co pan wie, a ja będę to zapisywać.

– Niezwykle pomysłowe – zauważył, uśmiechając się bezwiednie. – Bardzo dobrze. Pozwól, że pomyślę... Od czego by tu zacząć?... Może od tego na początek, gdzie jest Szkocja. Szkocja leży na północ od Anglii.

– Jest tam zimno? – spytała dziewczynka, zapisując wszystko uważnie.

– Bardzo zimno. I bezustannie pada. Przeliteruję ci słowo „bezustannie”...

Ta przyjemna półgodzina spędzona w Szkocji z Agnes-Marią pozwoliła mu

jeśli nie odzyskać spokój, to przynajmniej oderwać się od rzeczywistości. Zatem poszedł do łóżka i zasnął, by śnić o zimnych, wysokich górach i dymie ogniska na przełęczy Carryarick.

Rozdział 29

Bitwa

Grey obudził się nagle w miejscu dalekim od snów, widząc tuż obok, w odległości kilku centymetrów, twarz Tarletona zdradzającą podniecenie.

– Sir! Znaleźliśmy ich! Zaczęło się!

Tak. Wokół niego podnosili się z łóżek oficerowie, przeklinali i potykali się na bosaka, wołali służących, domagali się piwa i nocników.

Tom był już na miejscu. Ściągnął bezceremonialnie z Greya koszulę nocną i niemal jednocześnie włożył nań dzienną.

– Gdzie? – spytał Tarletona, wysuwając głowę z kołnierza. Poprawił odzienie, podczas gdy Tom podsuwał mu spodnie.

– Za tym rowem, sir, Land... ware. – Tarleton niemal tańczył z niecierpliwości na palcach. – Widzieliśmy ich, ja i jeszcze jeden zwiadowca, który siedział na wieży kościelnej. Niebo zaczęło się rozjaśniać i oto się ukazali, skradając się wzdłuż kanału jak tchórze! – Twarz błyszczała mu pod jasnym i miękkim zarostem.

– Dobra robota, panie Tarleton. – Grey się uśmiechnął, wsuwając koszulę do spodni. – Niech pan się ogoli. Potem proszę sprowadzić pana Bretta, zająć się moim koniem i zjeść coś. Obaj coś zjedzcie. Dołączę do was... au! – Dłonie Toma, próbujące rozczesać szczotką splątane włosy, znieruchomiały. – Dołączę do was w stajni. Ruszać! – Machnął ręką, jakby się opędzał od muchy, i Tarleton wypadł z izby niczym spłoszony zając.

– Skoro mowa o goleniu, milordzie... – Sprawne ręce Toma odłożyły szczotkę i sięgnęły po miseczkę z mydłem; po chwili pędzlem z borsuczego włosia zaczął mieszać gęstą pianę o zapachu lawendy.

Siedząc na łóżku, podczas gdy Tom go golił, szybko zaplatał mu włosy i wiązał, Grey zastanawiał się, gdzie jest teraz młoda Agnes-Maria. Prawdopodobnie spieszyła wraz z rodziną za linie angielskie. Jeśli główne siły de Clermonta rzeczywiście przyczyły się za *Landwehr*, to z pewnością Hückelsmay znajdowało się w zasięgu francuskiej artylerii – a Francuzi nie mieli w zwyczaju szanować własności prywatnej.

– Proszę, milordzie. – Tom wcisnął mu w dłonie pistolet, potem schylił się, by zapiąć pas z rapierem. – Nie jest jeszcze nabity. Chce pan wziąć ładownicę czy ma ją zabrać jeden z pańskich chłopców?

– Ja wezmę. Torbę, proch... – Dotknął oporzędzenia przy pasie, sprawdzając wszystko, po czym wsunął szybkim ruchem ręce w skórzany kaftan, który Tom mu

przytrzymawał; nosił go zwykle na polach bitewnych zamiast zwyczajowej kurtki.

Zdawał sobie sprawę z tego, że niektórzy z młodszych angielskich oficerów traktowali ów strój z pogardą, ale wiedział, że tylko nieliczni z nich znaleźli się kiedykolwiek pod ogniem nieprzyjacielskim. On tego doświadczył, i to wielokrotnie. Kaftan nie ocaliłby go przed strzałem z bliska, ale było prawdą, że większość francuskich muszkietów miała bardzo mały zasięg, tak więc mnóstwo kul szło na marne przed osiągnięciem celu. Widziało się je czasem, jak przecinają powietrze leniwie niczym bąki.

Płaszcz, epolety, ryngraf, kapelusz, broń... bułka. Tom, zawsze odpowiednio przygotowany, wcisnął mu w dłoń chrupiącą i grubo posmarowaną masłem niemiecką bułkę. Grey wsunął jej resztki do ust, strzepnął okruchy z kłap i napił się kawy, którą jeden z ordynansów przyrządził nad lampką spirytusową; woń napoju była ożywcza.

Tom przyglądał mu się w skupieniu, mrużąc oczy, by nie pominąć żadnego szczegółu. Choć na jego krągłej i piegowatej twarzy malował się niepokój, nie odezwał się ani słowem. Grey dotknął delikatnie ramienia Toma i ten podniósł wzrok.

– Milordzie?

– Dziękuję, Tom. Już pójdę.

Rejwach z wolna się uspokajał. Oficerowie zbiegali z łomotem po drewnianych schodach, krzycząc do siebie, wzywając swoich podporuczników, w powietrzu unosiła się woń kawy, prochu, czernidła do butów, peruk, fajek i silny odór świeżego moczu, dobywający się zarówno z nocników, jak i przesiąkniętych uryną kawałków czerstwego chleba, którym ordynansi polerowali złote lamówki przy mundurach.

Tom przełknął nerwowo ślinę i odsunął się niezgrabnie.

– Przygotuję panu kolację, milordzie.

– Dziękuję – powtórzył Grey i ruszył do wyjścia. Dotarł do drzwi, kiedy usłyszał krzyk Toma:

– Milordzie! Pański sztylet!

Dotknął odruchowo pasa i niczego przy nim nie znalazł. Obrócił się na pięcie i zobaczył, że Tom trzyma ostrze w dłoni. Wziął je, skinął służącemu głową z wdzięcznością, a potem zbiegł po schodach, wsuwając sztylet do pochwy.

Waliło mu serce. Przyczyniło się do tego po części zrozumiałe podniecenie, które zawsze towarzyszy zbliżającej się bitwie, a po części świadomość, że mógłby się znaleźć na polu walki pozbawiony sztyletu. Nosił go przy sobie od szesnastego roku życia i czułby się bez niego bezbronny.

To, że o nim zapomniał, nie było dobrym znakiem, pomyślał przesądnie; na wszelki wypadek dotknął owiniętej sznurkiem rękojeści.

*

Świnie na dworze wciąż pochrapywały, a rzeka i kanał ginęły w całunie mgły tak gęstej, że Grey zastanawiał się, jak żołnierze na punktach obserwacyjnych zdołali wypatrzeć francuskie oddziały. W powietrzu jednak wyczuwało się świeżość, od czasu do czasu siąpił też deszcz, lecz pogoda nie miała wpływu na ducha walki.

Jechał powoli między formującymi się kolumnami; Brett i Tarleton, dosłownie kipiący entuzjazmem, trzymali się tuż za nim. Czuł w członkach pulsowanie tego samego podniecenia – napływało falami od ludzi, którzy spieszyli na pozycje w brzęku metalu i przy akompaniamencie przekleństw.

„Jak to działa? – napisał jego ojciec w swoim kampanijnym dzienniku po bitwie pod Sheriffmuir. – Jak jednakie emocje udzielają się ludziom bez jakiegokolwiek gestu, bez choćby najdrobniejszego słowa? Czy chodzi o pewność, radość, rozpacz czy furię towarzyszącą atakowi, nie sposób dostrzec, jak się rozprzestrzenia. Po prostu nagle się pojawia. Na czym polega mechanizm tego łańcucha?”. Grey nie wiedział, ale czuł to.

– Hej! – krzyknął ku oddalającym się plecami gołogłowego żołnierza. – Hej, Andrews! Zgubiłeś coś?

Wyjął szablę kawaleryjską i schylił się, po czym nadział zgrabnie na czubek ostrza zmiętoszony tricorne, nim ktokolwiek zdążyłby go zdeptać. Kapelusz wydał metaliczny dźwięk, bo Andrews, podobnie jak wielu jego towarzyszy z piechoty, naszpikował wewnątrz paskami żelaza, by lepiej chroniło przed uderzeniem.

Przynaglając Karolusa do szybszego kroku, Grey umieścił kapelusz na głowie wystraszonego Andrewsa, wywołując tym huragan śmiechu u jego kompanów. Skłonił się nonszalancko, kiedy oddali mu honory, i nie starał się ukryć rozbawienia. Powietrze było przed bitwą jak wino, a oni wszyscy upajali się niespokojnym wyczekiwaniem.

Pomyślał z zadowoleniem, że prezentują się dobrze. Co prawda topornie w porównaniu z wystrojonymi Prusakami, ale poza tym odznaczali się nieokiełznanym duchem i chęcią walki.

– Kapral Collet! – ryknął i trzydzieści głów obróciło się ku niemu. Zdołał utrzymać w całości kompanię Coletta przez ponad dwa lata – największą i najlepszą z tych pod jego dowództwem – szkoloną i odznaczającą się taką sprawnością, że działała jak jeden organizm. Widok, który napawał serce dowódcy radością.

– Sir! – odezwał się Collet, biegnąc obok niego.

– Poprowadźcie swoją kompanię na czoło kolumny. Uformujcie się po lewej stronie. Wy jesteście skrzydłowym. Obracacie się na sygnał kapitana Wilmota.

– Sir, tak, sir! – Poznaczona bliznami twarz Coletta rozpromieniła się z powodu tego zaszczytu. Pognał z powrotem do swoich ludzi, rzucając

szczekliwym głosem rozkazy. Ludzie zaczęli wiwatować i ruszyli truchtem, ramie przy ramieniu, jak stado szczególnie krwiożerczych owiec.

Wrzawa. Całkowity chaos, ale chaos zdyscyplinowany. Kaprale nawołujący swoje kompanie krzykiem do zachowania szyku, porucznicy i kapitanowie krążący na koniach tam i z powrotem i pilnujący swoich dywizji. I huzarzy pełniący funkcję posłańców, przemykający pospiesznie przez ten tłum jak płotki przeciskające się przez ławice czerwonych ryb.

Z postrzępionej mgły wyskoczyła nagle jakaś świnia i pogalopowała w panice między żołnierzami jednej z dalszych kompanii, wywołując pohukiwania i wrzaski. Jeden z niemieckich oficerów ją zastrzelił, a wtedy niewielka zgraja harpii popędziła przez formujące się szeregi i dopadła zdobyczy z nożami, zmuszając żołnierzy, by ją obchodzili szerokim łukiem. Grey westchnął, wiedząc, że kiedyś przedstawi mu rachunek za tę świnie.

Te podążające za obozem niemieckim kobiety – nierządnice, żony, w większości wściekłe bestie, bez względu na swój status – przywierały niczym rzepy do armii, wlokąc się tuż za nią nawet podczas bitwy, gotowe grabić i plądrować przy najmniejszej nadarzającej się okazji. I niech Bóg ma w opiece tego, kto znalazł się na ich drodze, pomyślał Grey, obserwując rzeź świni.

Przez gęste powietrze przedarł się dźwięk trąbki i Karolus zarzucił łbem z głośnym parsknięciem. Grey poczuł gwałtownie bolesne ukłucie; tak bardzo pragnąłby dzielić tę chwilę z Percym. Nie starczyło jednak czasu na żal. Armia posuwała się naprzód.

*

Nie było mowy o podstępym działaniu. Połączone siły księcia Ferdynanda liczyły ponad trzydzieści dwa tysiące ludzi, francuskie i austriackie czterdzieści siedem tysięcy. To kwestia – o ile wszystko, co czyniła armia, dało się tak określić – szybkości, siły, taktyki i woli.

Do Greya podjechał szybko młody huzar, którego rozpie-rało podniecenie i poczucie ważności, i przekazał mu list.

Zawierał jedno słowo: „Powodzenia”.

Grey uśmiechnął się i wsunął kartkę do kieszeni. Kilka minut wcześniej wysłał identyczną Halowi. Był to ich obyczaj, gdy tylko sytuacja pozwalała – życzyć sobie powodzenia przed bitwą. Gest Hala cenił tym bardziej, że wiedział, iż brat w powodzenie nie wierzy.

Plan księcia Ferdynanda jawił się jako śmiałe novum: piechota miała się rozciągnąć i objąć zasięgiem lewą flankę Francuzów, pruska kawaleria utrzymywać przewagę, a artyleria zmierzać ku pozycjom, które zapewniały przygwożdżenie dywizji na prawej flance. Natomiast 46 Pułk miał stanowić awangardę tego okrążającego manewru.

Grey zdecydował się na szablę kawaleryjską, dlatego że odpowiadał mu jej ciężar i że była bardziej widoczna. Uniósł ją teraz i ryknął:

– Kompania naprzód! Szybko... marsz!

Brett i Tarleton podjęli ten okrzyk, który dotarł do sierżantów przez kolejne szeregi, i kolumny zaczęły poruszać się ze zdumiewającą szybkością, zamieniając ziemię w czarne błoto.

Nad grząskim gruntem unosiły się kłęby mgły, która jednak nie znikwała. Pomimo pojawiającego się deszczu – z każdego miejsca w różnych językach rozbrzmiewał ten sam krzyk: „Pilnować, żeby proch był suchy, do diabła!” – dzień nie był chłodny, a ludzie, choć przemoczeni, zdradzali pogodny nastrój.

Niedaleko *Landwehr* Grey zjechał trochę na bok, by poobserwować swoich ludzi w marszu i wsłuchać się w coraz wyraźniejsze odgłosy francuskich i austriackich linii, które formowały się po drugiej stronie kanału. Sam *Landwehr* stanowił poważną przeszkodę – dwa wypełnione wodą rowy, każdy o szerokości trzech metrów, z masywnym pasem ziemi pośrodku, niemal pięciometrowym – ale mimo wszystko niezbyt szeroką. W tym miejscu porastały ją drzewa i krzewy. Nie widział nieprzyjaciela za zasłoną mgły i liści, ale bez trudu go słyszał – Francuzi, pomyślał.

Krzyki, wiwaty, odległe skrzypienie kół wozów z amunicją, kiedy działa przetaczano na wyznaczone pozycje... Potem to wszystko stłumił grzmot werbli, gdy pruska kawaleria Ferdynanda pojawiła się w zasięgu słuchu przy *Landwehr*, po stronie Greya, prowadzona przez dobosza na koniu. Smoczy Jeźdźcy, tak nazywali samych siebie, z typową niemiecką skłonnością do dramatyzmu. I tak też wyglądali. Wszyscy bez wyjątku wysocy, wyprostowani w siodłach i piękni w swej chwale. Wzruszył się na ich widok.

Karolus na odgłos werbli drgnął, parsknął i wykonał ruch, jakby chciał się do nich przyłączyć. Był niegdyś koniem kawaleryjskim – kochał werble i uwielbiał parady. Grey szarpnął wodze, ale ogier wciąż tańczył i zarzucał łbem.

Karolus wprawiał w niepokój także konie podporuczników i Grey nie był przekonany, czy Brett i Tarleton zdołają zapanować nad swoimi wierzchowcami. Cmokając, zawrócił konia i wjechał między drzewa porastające *Landwehr*, a jego dwaj oficerowie podążyli tuż za nim.

Wciąż słyszał werble kawalerii, ale konie, nie widząc swych pobratymców, trochę się uspokoiły. Wierzchowiec Bretta schylił łeb, chcąc napić się z kanału, i Grey skinął podporucznikowi głową.

– Nie za dużo – rzucił odruchowo, dzieląc uwagę między odgłosy docierające z tyłu i z lewej strony, gdzie zbierały się pozostałe pułki brytyjskie, by zaatakować prawą flankę Francuzów. Podwójny rów *Landwehr* był pełen aż po brzegi, wezbrany od niedawnych deszczy; zobaczył przepływającą szybko rdzawą wodę, która niosła ze sobą żdźbła trawy.

– Co to jest? – usłyszał głos wystraszonego Bretta i spojrzał w kierunku wskazanym przez podporucznika.

Po drugiej stronie rowu między drzewami widać było kilka niewyraźnych, wysokich, ostro zakończonych kształtów. Zamrugał i pojął, na co patrzy, kiedy jeden z tych kształtów wziął zamach i rzucił czymś w ich stronę.

– Granaty! – ryknął. – Chować się, chować się!

Pierwszy spadł w odległości półtora metra na prawo od niego i eksplodował, ciskając we wszystkie strony glinianymi odłamkami. Kilka trafiło Karolusa, który spłoszył się gwałtownie, potem cofnął i przysiadł na zadzie, gdy kolejne granaty uderzyły w pas ziemi między rowami. Te, które odpaliły, jasno błyskały, inne toczyły się jak spadłe jabłka, zgaszone i unieszkodliwione w błocie, w kilku lonty syczały niczym węże.

Grey chwycił jedną ręką wodze, drugą sięgnął po pistolet. Nagle poczuł na twarzy ciepło krwi spływającej do oka. Wyciągnął broń i wypalił na oślep. Z niedaleka dobiegł huk i woń prochu; Brett i Tarleton też strzelali.

Usłyszał grzmot kopyt; wierzchowiec Bretta, bez jeźdźca, przemknął obok. Gdzie...? Rozejrzał się... tam. Brett spadł z siodła, a teraz podnosił się z ziemi umorusany błotem.

– Cofnij się! – krzyknął Brett, zawracając Karolusa.

Grenadierzy też się cofali poza zasięg broni palnej, ale zdołali rzucić jeszcze jeden ładunek, i to z powodzeniem. Kula niebieskiej gliny z lontem tryskającym iskrami wylądowała w trawie u stóp Bretta.

Chłopak patrzył na nią jak zahipnotyzowany.

Kierując się doskonałym refleksem, Grey uderzył konia ostrogami i pogalopował w stronę Bretta. Karolus wpadł na niego i zwałił go z nóg. Nie było czasu na myślenie, na to, by skierować wierzchowca w inną stronę – koń drgnął gwałtownie, napinając mięśnie, i przeskoczył przez rów. Wylądował na przeciwległym brzegu z takim impetem, że Grey poczuł, jak uderza zębami o zęby, po czym sprężył się jeszcze raz i pokonał drugi rów, ślizgając się na mokrej trawie, podczas gdy bezradny jeździec mógł tylko przywierać do jego szyi.

Grey poczuł, jak za ramię chwyta go jakaś ręka i ściąga z konia. Runął na ziemię, walcząc zaciekle. Bił na ślepo łokciami i kolanami, po czym wyrwał się i przetoczył po ziemi z krzykiem:

– *Lauf! Lauf!*

Dał się słyszeć wrzask człowieka, który chwycił wodze Karolusa, a potem tętent kopyt, gdy wierzchowiec pogalopował we mgłę. Grey nie miał czasu martwić się o wierzchowca. Grenadier, który go zrzucił z konia, już przykucnął z czujnym wyrazem twarzy i sztyletem w dłoni. Za jego plecami było jeszcze trzech czy czterech innych, którzy spoglądali oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

– Poddaj się – powiedział po francusku grenadier. – Jesteś moim jeńcem.

Grey nie marnował czasu na odpowiedź. Upuścił podczas upadku szablę, ale leżała na ziemi kilkadziesiąt centymetrów dalej. Dysząc i przelękając, skinął na grenadiera, prosząc o cierpliwość, zrobił kilka kroków i podniósł ostrze. Potem wciągnął w płuca powietrze, uniósł broń oburącz nad głowę i rzuciwszy się przed siebie, ciął w szyję przeciwnika z niezachwianym zamiarem pozbawienia go głowy. Udało się to połowicznie, a impet uderzenia omal nie połamał mu kości ręki.

Grenadier runął do tyłu, a tryskająca z szyi krew nie mogła zmasać zdumienia malującego się na jego twarzy. Grey zatoczył się, z trudem dzierżąc szablę w dłoni, wiedział jednak, że utrata ostrza oznaczałaby natychmiastową śmierć.

Dwaj grenadierzy przyklękli, starając się pomóc swemu rannemu towarzyszowi. Inny się cofał, usta pod wąsami miał rozwarłe z zaskoczenia i grozy. A ostatni, niech go diabli porwą, wzywał pomocy, grzebiąc jednocześnie gorączkowo w swoim plecaku. Grey zaczął się wycofywać, trzymając w pogotowiu skrwawione ostrze.

Grenadierzy nie byli wyszkoleni w walce wręcz; nie musieli. Ale w pobliżu czaiło się wielu żołnierzy biegłych w tej sztuce i kilkadziesiąt mogło zjawić się tu w ciągu paru sekund. Grey przesunął rękawem po twarzy, próbując otrzeć oczy z krwi. Piekła go skóra na głowie; został pewnie ugodzony odłamkiem pierwszego granatu.

Tymczasem grenadier zdążył już wyjąć z plecaka jeszcze dwa granaty – wypełnione prochem gliniane kule wielkości pomarańczy. Przy pasie nosił mosiężną tubę z syczącym lontem wolnotłącym; zakaszłał, gdy dym owionął jego twarz, ale nawet nie mrugnął.

Wbił czarne oczy w przeciwnika i przytknął lont jednego granatu do lontu wolnotłącego, potem drugiego. Po twarzy Greya spływały pot i krew, piekąc go w oczy.

Jezu. Z odległości zaledwie dwóch metrów nie mógł chybić. Grey dostrzegł, że żołnierz odlicza, poruszając bezgłośnie ustami.

Grey odwrócił się i pobiegł przed siebie ile sił w nogach. Z tyłu wybuchła wrzawa głosów i głośny łoskot eksplodującego granatu. W plecy i uda uderzyły go mocno jakieś drobne kawałki, ukąsiły w nogi, ale nie zdołały przebić skórzanego kaftana.

Francuzi ruszyli za nim. Słyszał tupot stóp i pełne wysiłku postękiwanie, kiedy rzucali granaty. Przerażenie dodało mu skrzydeł; biegł szaleńczym zygzakiem między pniami drzew, podczas gdy huk eksplozji poruszały wściekle krzewami, zmuszając gawrony i kosy do krzykliwej ucieczki ku chmurom.

Zatrzymał się gwałtownie i omal nie upadł. O Chryste.

Obróciły się ku niemu zdziwione twarze żołnierzy francuskiej kompanii, po chwili pojawiło się na nich zrozumienie, kilku już zdjęło z ramion muszkiety i zaczęło je pospiesznie ładować. Nie sposób było ich ominąć. Za nimi... za nimi ciągnęły się nieskończone szeregi żołnierzy, zwarta masa niebieskości i bieli.

Nagle drzewami wstrząsnął potężny wybuch, a przez zarośla na przeciwległym brzegu kanału przeleciała kula armatnia, niespełna sto metrów od miejsca, w którym stał. Zaczęła się bitwa.

Lord John Grey zasalutował niedbale wystraszonej piechocie wroga, zwrócił się w prawo i pośród spóźnionego gradu kul muszkietowych i eksplozji granatów wgramolił się na wysoki brzeg i wskoczył do *Landwehr*.

*

Nie umiał pływać, ale i tak było to bez znaczenia. Jako że dźwigał ponad sześć kilogramów sprzętu, zanurzył się od razu jak kamień w strumieniu pęcherzyków powietrznych przenikających jego ubiór. Dotknął mulistego dna. Zgiął w panice kolana i podskoczył, unosząc się nieznacznie. Zanurzył się z powrotem i poczuł, jak buty grzęzną mu w mule. Szarpał się na oślep w mętnej wodzie, próbując za wszelką cenę zrzucić z siebie płaszcz, i uświadomił sobie po chwili, że wciąż ściska w dłoni szablę; puścił ją. Paliła go pierś, nabrzmiewając bezowocnym, niepowstrzymanym pragnieniem oddechu.

Zsunął płaszcz do połowy, starając się ze wszystkich sił znaleźć w płucach choć odrobinę powietrza. Sięgnął do klamry pasa, ale nie zdołał jej rozpiąć, przeto znów zaczął zmagać się z płaszczem. Nie mógł już dłużej wstrzymać cennego oddechu i uwolnił go z ulgą i żalem.

Wciąż starał się rozpaczliwie zdjąć z siebie ten przeklęty płaszcz, który utknał przekrzywiony na ramionach, i rzucił się szaleńczo, walcząc z mrokiem, szlamem, ciężarem wody, odzieniem, butami, łaknącą powietrza pierś, przeklętą ładownicą, której pasek owinał się wokół jego szyi i mógł go udusić, zanim by się utop... do ciężkiego diabła!

Coś uderzyło go mocno w rękę. Pełen paniki, widział oczyma duszy obraz rekinów, zębów, krwi... cofnął się gwałtownie.

Idiota, pomyślał, odwołując się do resztek przytomności w ciemniejszym umyśle. Jesteś w cholernym kanale.

A potem wyciągnął całkiem spokojnie dłoń i ujął to, co uderzyło go w rękę. Korzeń drzewa wystający z brzegu. Pomachał wokół niego delikatnie drugą ręką i odnalazł płataninę korzeni – zbitą masę, wiązki i drzewne łodygi, pieprzone mnóstwo korzeni. Ściągnął przez głowę ładownicę, puścił ją, ujął mocno korzenie, wydobył z mułu jeden but i zaczął się wspinać.

Jego twarz przebiła powierzchnię wody w hańsacie powietrza tak cudownym, że nie dbał o to, czy ten oddech będzie ostatnim.

Przywierał do korzeni przez kilka minut niczym ślimak, kończyny mu drżały, a serce waliło od tych zmagania; po prostu oddychał. Potem, kiedy nieco odpoczął, uświadomił sobie, że wypłynął pod nawisem trawiastej ziemi. Żaden francuski strzelec go tu nie wypatrzy – był niewidoczny.

Zewsząd dobiegały odgłosy wrzawy, ale nie nad głową, a z tego, co mógł wychwycić, nic nie dotyczyło jego osoby. Rozkazy wykrzykiwano po francusku; kompania piechoty miała się wycofać. Przywarł czołem do zimnego błotnistej brzegu, zamknął oczy i czekał. Oddychał.

*

Żałował straty szabli. Pistolet wciąż tkwił za pasem, Bóg jeden wie, jakim cudem – ale zamoczony i bezużyteczny. Pozostał mu tylko sztylet jako jedyna skuteczna broń, choć zważywszy na sytuację, nie miało to większego znaczenia.

Znajdował się po niewłaściwej stronie *Landwehr*, gdzie przycupnął pod krzewem, przemoknięty i zmarznięty, a od kilkunastu tysięcy wrogich żołnierzy dzieliło go zaledwie kilkadziesiąt metrów. Nie, sztylet też nie miał znaczenia.

Wyjrzał ostrożnie przez zarośla i słysząc to, co zdołał usłyszeć, mógł się z grubsza rozeznąć w przebiegu bitwy. Większość artylerii znajdowała się po jego lewej stronie – prawej flance Francuzów. Działa strzelały sporadycznie z obu stron – artyleria sprawdzała zasięg pocisków. Mnóstwo hałasu w dali po jego prawej stronie i chmury dymu towarzyszące kolejnej kanonadzie. Niewiele; nie było jeszcze bezpośredniego starcia. A więc podstęp się udał i de Clermont dał się zaskoczyć. Werble w oddali, krótkie bum, bum, bum. Kawaleria wciąż się przesuwała.

Zatem oddziały Ferdynanda okrążyły zgodnie z planem lewą flankę, Francuzi i Austriacy, zagubieni, próbowali zawrócić, by odpowiedzieć na atak. Tam właśnie powinien się teraz znajdować, dowodząc swoimi ludźmi, w samym centrum. Pełen frustracji, popatrzył na przeciwległy brzeg – pusty. Bóg jeden wiedział, co się dzieje. Brett i Tarleton musieli zapewne ruszyć od razu, żeby powiedzieć komuś... komu? – zastanawiał się. Cierpła mu skóra na myśl o Ewarcie Symingtonie przejmującym jego dowództwo. Mógł tylko mieć nadzieję, że obaj podporucznicy dotrą wcześniej do Hala.

Nie przejmował się tym, co Hal by mu zrobił. Postanowił, że pomyśli później, jeśli w ogóle przeżyje.

Miał trzy możliwości do wyboru: siedzieć, trzęsąc się z zimna, i liczyć na to, że ktoś się na niego natknie; pójść przed siebie i poddać się pierwszemu napotkanemu oficerowi francuskiemu, jeśli zdoła tego dokonać, zanim go zabiją, albo spróbować dotrzeć na sam koniec *Landwehr*, gdzie mógł przejść przez kanał i przyłączyć się do swoich oddziałów.

Tak. Jedyny wybór. Wahał się przez chwilę i zastanawiał, czy zrzucić

prześnięty wodą czerwony płaszcz, ale w końcu tego nie uczynił. Bez niego zostałby najprawdopodobniej zastrzelony za dezercję przez jedną ze stron. Żył nadzieję, że ktoś po tej angielskiej go zauważy i udzieli mu pomocy.

Skóra na głowie wciąż była wrażliwa i wilgotna – palce pokryła czerwień, kiedy jej dotknął – ale przynajmniej krew nie ściekała mu już po twarzy. Po krótkim rekonesansie opuścił schronienie w krzewach i zaczął się czołgać przez cienką zaslonę zarośli.

Pragnął rozpaczliwie ruszyć w prawo, by odnaleźć swoich ludzi. Teraz prawdopodobnie znajdowali się w odległości niemal dwóch kilometrów i toczyli bój, jeśli wszystko poszło należycie. Po lewej od bliższego końca *Landwehr* dzieliło go nie więcej niż dwieście metrów, a to, co słyszał, to było starcie głównie artyleryjskie. Znacznie bezpieczniejsza sytuacja dla pojedynczego człowieka poruszającego się pieszo. Wiedział, że jeśli nie zbliży się do obsługi jakiegoś francuskiego działa na tyle, by mogli zabić go z pistoletów, ryzyko trafienia przez zabłąkany pocisk armatni jest stosunkowo niewielkie.

Wszystko szło dobrze, pomijając drobne niebezpieczeństwa, dopóki nie zobaczył mostku, który przecinał kanał na końcu *Landwehr*. Siedziała na niej grupka kobiet, obserwując z żywym zainteresowaniem bitwę.

Markietanki, jeśli sędzić po ubiorach, w dodatku mówiące po niemiecku, ale nie potrafił rozpoznać akcentu – pruskiego albo austriackiego – do diabła. Jeśli były Prusaczkami, to zapewne okazałyby jakoś ślad szacunku wobec brytyjskiego oficera. Austriaczki jednakże... Przypomniawszy sobie tamtą świnie i ostre noże w rękach kobiet. Minęły zaledwie dwie godziny od zaszlachtowania zwierzęcia, a wydawało się, że znacznie więcej.

Przybrał groźną minę, położył dłoń na bezużytecznym pistolecie i ruszył w stronę kobiet. Zamilkły i po chwili wpatrywało się w niego pięć par oczu, w których malowała się zimna kalkulacja. Jedna z niewiast uśmiechnęła się i dygnęła przed nim, ale ani na chwilę nie spuściła z niego wzroku, on zaś wyczuł w jej towarzyszkach pełne napięcia wyczekiwanie.

– *Guten Tag, mein Herr* – powiedziała. – Pływał pan?

Zachichotały, odsłaniając zepsute zęby; ich oddech cuchnął.

Skłonił się sztywno, ale nie wyrzekł ani słowa.

– Co tu robisz, angielska świnio? – spytała druga po niemiecku, uśmiechając się tak szeroko, że naprężyły jej się policzki. – Taki z ciebie tchórz, że wiejesz przed walką?

Popatrzył na nią obojętnym wzrokiem i znów się skłonił. Dwie odsunęły się nagle, jakby chciały go przepuścić. Nie widział ich dłoni schowanych w zakamarkach spódnic i wyczuwał w powietrzu niemal gorączkowe napięcie.

Uśmiechnął się uprzejmie do jednej z nich, przechodząc po mostku, potem puścił rękojeść pistoletu, zacisnął pięść i walnął kobietę w podbródek. Wszystkie

wrzasnęły, prócz tej uderzonej, która runęła do tyłu i przeleciała przez niski murek. Rzucił się przed siebie biegiem, dostrzegając kątem oka spódnicę kobiety, unoszącą się na wodzie niczym rozłożysty kwiat.

Coś rąbnęło za nim z ogłuszającym hukiem. Spojrzał przez ramię. Wielki odłamek pocisku artyleryjskiego trafił w sam środek mostka, którego połowa zniknęła, a wraz z nią większość kobiet. Pozostała jedna i teraz w szoku patrzyła na niego z drugiego końca drewnianej przeprawy.

Rzucił się w stronę działa, które zniszczyło mostek, ufając, że jego mundur ocali go przed postrzeleniem. Rozrywało mu płuca, mokre odzienie ciążyło, ale przynajmniej znajdował się już blisko swoich linii.

Była to niewielka bateria: trzy armaty, jedna obsługa angielska – zauważył charakterystyczny błękit mundurów. Nikt do niego nie strzelał, ale działa po stronie francuskiej nie dawały tym ludziom chwili wytchnienia. Tuż obok niego nisko i śmiertelnie niebezpiecznie przeleciała kula, po czym strzaskała nieduże drzewo, po którym pozostał drgający kikut.

Potykał się, ledwie mogąc oddychać, ale znajdował się już dostatecznie blisko swoich. Prawie. Zatrzymał się gwałtownie, zgiął w pół i oparł dłonie o kolana, łapiąc spazmatycznie powietrze. Obok krzyczeli ludzie: rytmiczny głos pruskiego dowódcy, przerywany angielskim, piskliwym z przejęcia. Nie wiedział, czy te wrzaski są skierowane do wroga czy angielskiej obsługi działa. Podniósł wzrok, by się przekonać.

Do obsługi. Stało się coś, co zdemoralizowało tych ludzi – ciężka kula spadła w odległości trzech metrów od niego i zagłębiła się w ziemi. Poczul wstrząs od impetu uderzenia. Porucznik darł się na podwładnych, próbując ich zmobilizować... Grey otarł rękawem twarz i odwrócił się, żeby spojrzeć na drugi brzeg rzeki. Kobieta na zniszczonym moście zniknęła.

Nagle za jego plecami odezwał się jakiś głos pełen absolutnego zdumienia i Grey się odwrócił w stronę porucznika, który krzyczał chwilę wcześniej.

Po ziemi zaczęła skakać kula niczym płaski kamyk odbijający się od powierzchni wody, uderzyła w zagrzebaną w gruncie skałę, uniosła się wysoko i trafiła oficera w głowę, odrywając ją od karku.

Z ciała, które wciąż stało na nogach, trysnęła fontanna krwi, unosząc się na kilkadziesiąt centymetrów w górę. Jej strugi chlusnęły na twarz i pierś Greya, oślepiając go i przenikając swym gorącym mokre odzienie. Dysząc, otarł rękawem oczy i zdążył jeszcze zobaczyć, jak ciało porucznika pada na ziemię, a ręce rozkładają się bezwładnie. Rapier, który wcześniej trzymał, wysunął mu się z dłoni i teraz połyskiwał srebrzyście w trawie.

Grey chwycił go odruchowo i obrócił się błyskawicznie w stronę obsługi działa, która już zaczęła się cofać od dymiącej armaty. Najbliżej znajdował się bombardier z lontownicą w ręku. Grey trzepnął go płazem rapiera w skroń i rzucił

na lufę działa, potem podskoczył do żołnierza, którego zadaniem było ubijanie pocisku w lufie, patrzącego nań tak, jakby ujrzał samego szatana z piekła rodem; z twarzy pokrytej sadzą wyzierały przerażone białka.

– Podnieś to! – ryknął Grey, dźgając rapierem ubijak, który upadł na trawę. – Zrób to, niech cię diabli wezmą! Ty... wracaj do swoich obowiązków, niech cię lichy... wracaj, mówię!

Jeden z ładowniczych próbował wcześniej przemknąć obok niego. Teraz się zatrzymał, przewracając w panice oczami i szukając drogi ucieczki.

Grey chwycił go za ramię, obrócił nim i wpakował mu kolano w pośladki, wrzeszcząc przy tym. Miał krew w ustach; zakrztusił się i splunął, kopnął ładowniczego, który grzebał bez przekonania w stosie pocisków pod ochronną płachtą. Ten z wyciorem już umknął. Grey widział rozwiane poły jego niebieskiego płaszcza.

Rzucił się instynktownie w tamtą stronę, ale uświadomił sobie, że nie pora ścigać dezertera, więc obrócił się wściekle do pozostałych.

– Ładować! – warknął. Wyrwał bombardierowi lontownicę i dał mu znak, by zajął miejsce uciekiniera.

Pozostali natychmiast wzięli się do roboty, zerknawszy pospiesznie na rozjuszonego Greya. Bombardier był nieporadny, ale pełen dobrych chęci. Grey wydał im szczekliwym głosem rozkazy, raz, potem znowu i po chwili poczuł, jak odzyskują wyćwiczony rytm działania, a ich ruchy nabierają szybkości, jak uwalniają się stopniowo od przerażenia, pochłonięci bez reszty obsługą działa.

Głos miał ochrypliwy. Wiatr porywał większość jego słów, a pozostałe były ledwie zrozumiałe – widział jednak, że ci ludzie reagują na rozkazujący ton, więc nie przestawał wrzeszczeć.

Gdzieś blisko strzelało działo, ale nie potrafił się zorientować, czy jest przyjacielskie, czy wrogie, bo otaczały go chmury czarnego dymu, przysłaniając wszystko.

Zaczął padać deszcz i przemoczone ubranie Greya znów zrobiło się zimne. Wziął lont wolnotłący od bombardiera i sztywnymi, nieporadnymi palcami z trudem wsuwał zapalony lont do otworu zapałowego, ale zmusił się do zachowania odpowiedniego rytmu, wykrzykując rozkazy głosem, który łamał się jak kruche żelazo. Gąbka. Oczyścić lufę. Otwór zapałowy. Ładować pocisk. Przybić. Ładować przybitkę. Przybić. Sprawdzić otwór zapałowy. Cofnąć się! I syczący mały płomień pewnie zmierzał w stronę otworu zapałowego, on zaś nie miał w ogóle pojęcia, że tym ognikiem kierowała jego dłoń.

Chwila bezruchu, potem huk i gwałtowny odrzut działa. Pierwszy strzał go ogłuszył. Był świadom swojego krzyku tylko dlatego, że drapało go w gardle. Podniósł z ziemi mały kłęb wilgotnej przybitki i pospiesznie wepchnął sobie trochę do ucha. Niewiele pomogło.

Deszcz się nasilił, przenikając dym i smak krwi świeżością, która przyniosła ulgę obolałej piersi. Proch... czy został odpowiednio zakryty? Tak, chłopiec, który nad tym czuwał, był na swoim stanowisku. Ogorzały, o oczach szeroko otwartych ze strachu, trzymał rozciągnięte płótno nad beczkami, zmagając się z porywistym wiatrem.

– Gąbka! – krzyknął Grey i usłyszał to słowo przytłumione w swej głowie, jakby dotarło gdzieś z bardzo daleka. – Ładunek! Przybić!

Zwlekał chwilę przed kolejnym strzałem, by popatrzeć – jak dotąd strzelał, nie zastanawiając się nad kierunkiem czy skutkami. Starał się nie mrugać, kiedy działo wypaliło, podskakując niczym żywa istota i wydając grzmot; zdawało się, że sama ziemia drga, choć tak naprawdę drgało tylko jego ciało.

Pocisk poszybował wysoko i spadł kilkanaście metrów od pozycji artylerii francuskiej. Gdy dym został nagle przegnany przez wiatr, zobaczył czerwone mundury i czarną chmurę, którą parsknęła lufa francuskiej armaty. Pocisk ominął szerokim łukiem jego pozycję, on zaś skalkulował pospiesznie prędkość wiatru, wykrzykując jednocześnie rozkazy – przesunąć czopy, obniżyć lufę... o jeden stopień? Dwa?

Teraz dostrzegł kłębiącą się biel, zieleń i błękit – masę piechoty za francuskim działem.

Czy powinien się zdobyć na interesujący manewr, który polegał na wystrzeleniu pocisku bardzo nisko, tak aby skakał raz za razem przez falangę wroga? – zastanawiał się. Za armatą ujrzał niezmierną ciżbę francuskich i austriackich mundurów, doskonałą... Mógłby uznać, że grunt jest zbyt grząski, ale przed chwilą widział, jak tę samą technikę z powodzeniem zastosowano. Zacisnął zęby i spojrzał odruchowo na martwego porucznika, dostrzegając dopiero teraz, że jego ciało spoczywa pod jedną z kapliczek wyznaczających drogę krzyżową. Dziewiątą, jak się zorientował, ale nie miał czasu wpatrywać się w widniejący na niej obraz.

– Pięć! – zawołał, obserwując uważnie przesuwającą się linię francuską. – I jeden na zachód!

Ten z ubijakiem już wsadzał go do lufy, a chłopiec od prochu podbiegł, by mu pomóc, podczas gdy ładowniczy wyjęli czopy i znów je osadzili, a potem rzucili się na przodek działowy i obrócili lufę...

– Ładować!

Deszcz gwałtownie pojawiał się i przestawał padać. Kiedy ustał na chwilę, Grey otarł twarz rękawem i poczuł, jak jakaś ciecz – woda, pot, krew – spływa pod płaszcz z jego splecionych w warkocz i związanych włosów.

– Ognia!

Na Boga, okazało się to skuteczne i jego podkomendni wznieśli okrzyk radości, ujrzawszy, jak kula skacze po polu, powalając na swej drodze Francuzów

niczym kręgle.

– Jeszcze raz, jeszcze raz! – ryknął, waląc pięścią w zamek armaty.

Jeden już czyścił lufę jak szaleniec, nie czekając na rozkaz, a dwaj wsuwali kolejny ładunek w gardziel armaty.

– Padnij! – wrzasnął Grey i rzucił się płasko na ziemię wraz z obsługą działa, kiedy tamci odpowiedzieli ogniem, a ich pocisk wałał w odległości dwóch metrów.

Wstali, drąc się jak demony i wygrażając pięściami. Francuscy kanonierzy uradowani celnością swego strzału podskakiwali jak pchły. Grey był zmuszony ryknąć i okładać płazem rapiera plecy jednego ze swoich ludzi, żeby przywołać ich do porządku.

– Przesunąć działo! Przesunąć i wycelować w nich! Pospieszcie się, do diabła!

Uświadamiając sobie nagle swą niepewną pozycję, która dawała szansę, ale też narażała na niebezpieczeństwo, jego podkomendni szybko zabrali się do roboty i przesunęli działo tak, by lufa była wymierzona dokładnie we francuską armatę. Tamci przestali z miejsca wiwatować i zaczęli pospiesznie szykować swoje działo.

Francuzi wiedzieli już, jak strzelać, i byli pewni, że pobiją przeciwnika. Grey wyszarpnął zza pasa bezużyteczny pistolet i rzucił się na francuskie pozycje, drąc się jak opętany i wymachując pistoletem i rapierem. Wydawało się, że ziemia – niewyraźna plama trawy i błota – kołysze się pod jego stopami.

Działa angielskie i francuskie dzieliło może ze dwieście metrów. Znajdował się dostatecznie blisko, by widzieć rozwarte ze zdziwienia usta Francuzów, kiedy ich oficer uświadomił sobie, co Grey zamierza, i zaczął sięgać gorączkowo po pistolet. Grey natychmiast zawrócił i pognął jak zając z powrotem ku swoim ludziom. Przeskakując nad niskimi krzewami i biegnąc zygzakiem, szukał schronienia w ruchomych kłębach dymu. Nie potrafił się zorientować, czy Francuz strzela do niego; w powietrzu rozbrzmiewał ogień broni palnej i dźwięk trąbki. Przeklęta kawaleria, pomyślał. Zawsze staje na drodze, do diabła...

– Uskocz! – rozległ się niewyraźny krzyk i Grey rzucił się szczupakiem w mokrą trawę, kiedy jego działo plunęło ogniem. Nie sprawdzając nawet skutków strzału, pokonał resztę drogi, wyczerpany i zdyszany, przy wiwatach swoich ludzi.

– Jeszcze raz – wydyszał. – Dołóżcie im jeszcze raz!

Żołnierze już się szykowali. Wciśnięto mu w dłoń lontownicę, a on sięgnął po lont, ale za bardzo drżała mu ręka. Chłopak od prochu chwycił drgający koniec lontu, wepchnął go do otworu zapalowego i odciął kawałek tak pospiesznie, że nóż drasnął dłoń Greya, który tego nawet nie poczuł.

– Odsunąć się – wysapał i przyłożył syczący lont do otworu zapalowego.

Nastąpiła chwila pozbawionego tchu wyczekiwania, a potem świat zniknął w wybuchu ognia i ciemności.

*

Odzyskał przytomność, mając wrażenie, że tonie, i zaczerpnął powietrza, po czym znieruchomiał w objęciach bólu tak dotkliwego, że wyobraził sobie jakąś krwiożerczą istotę, coś czerwonego, poznaczonego czernią, pulsującego i wirującego niczym fajerwerk. I ostrego. Czuł, jak to coś rozrywa mu płuca. Musiał odetchnąć, krzyczałby, gdyby miał odrobinę oddechu, krawędź noża tej bezlitosnej istoty przecinała jego ciało jak masło. Wniknęła w pierś i przycisnęła go do ziemi z miażdżącą siłą.

– Majorze! Majorze!

Ktoś go dotknął, a on wysunął gwałtownym ruchem rękę, po omacku szukając pomocy. Boże, dopomóż, nie mógł oddychać...

Pchnęło go coś twardego i nagle leżał na boku zwinięty w kłębek, podrygując z bólu przy każdym odruchowym kaszlnięciu, ale musiał kasłać, nie mógł, nie mógł przestać, w pierś kłuły go ostre szpikulce powietrza, jakby wdychał zbitą masę szpilek, wreszcie ponownie stracił na chwilę przytomność.

– Majorze!

– Cholera, o cholera, o cholera! – usłyszał tuż obok.

Zgadzał się z tym całkowicie, ale nie był w stanie tego powiedzieć. Wciąż kasłał, ale już nie tak bardzo; z ust ciekła mu ślina – strumyczki w sadzy. Zdawało się, że skomle przy każdym oddechu, który wstrząsał jego ciałem.

Czuł czyjeś dłonie: dotykały go i chwytaly gorączkowo, ciągnęły za płaszcz, za kończyny. Wydał z siebie oszalały głos sprzeciwu i poczuł, jak skrzypią mu kości – Chryste, usłyszał, jak skrzypią. Obok przemknęła zbita masa zieleni, brązu, błękitu i czerwieni, on zaś uświadomił sobie mgliście, że ma otwarte oczy.

Zamrugnął przez ciekące potokami łzy, zobaczył czarne szpikulce zlepionych rzęs i zimny szary kamień przy twarzy.

Jezus upada po raz trzeci, pomyślał.

Ktoś wrzeszczał nad jego głową, wydając z siebie niezrozumiałe dźwięki. Gdzieś w pobliżu grzmociła armata. Czuł drżenie ziemi, czuł, jak zamiera w nim serce przy każdym kolejnym huku, i pragnął, by skończyło się to raz na zawsze; tak bardzo bolało...

– Jezu! Patrzcie na tę krew! Nie przeżyje!

– Ręka, pozwól mi przewiązać mu rękę...

– Nie da rady, nie da rady, jest oderwana!

– Nie, widziałem, jak porusza palcami, cofnijcie się... cofnijcie, do wszystkich diabłów!

Zdawało się, że te głosy docierają przez mgłę jakiegoś hałasu, przez coś mknącego jak wodospad, którego huk wypełniał mu uszy. Wciąż słyszał łoskot dział, ale i on powoli zanikał, cichł gdzieś w oddali. Ból jakby skurczył się w sobie

i tkwił w jego piersi, jarząc się niczym płynny i ciężki kawał metalu wyrzucony z kowalskiego paleniska.

Mówili teraz coś o armacie – nie mógł nic zrozumieć, nie mógł się skupić na słowach; wszystkie przepływały obok rwącym strumieniem jak nieodłączna część wodospadu, ogłuszająca. Woda... ciepła woda. Opływała go, ubranie miał przemoczone, czuł strużki na karku, na żebrach, mokry materiał przywierał do jego brzucha.

– O Jezu – powiedział jakiś głos nad nim. – Tyle krwi.

*

Znajdował się w jakimś pokoju pełnym światła. Ranny, został ranny. Chwycił się odruchowo za jądra. Ich krzepiąca obecność wynagradzała w jakiejś mierze rozdzierający ból, który przenikał jego ciało przy każdym ruchu, wciąż dostatecznie silny, by wyrwać mu jęki z ust.

Coś przesunęło się przez światło i po chwili ktoś się nad nim pochylił.

– Milordzie! – głos Toma Byrda rozbrzmiał tuż przy uchu Greya. Wyczuwał w nim strach i nadzieję. – Szybko, szybko! Zawołajcie księcia... odzyskał przytomność!

– Księcia? – wychrypiał Grey. – Co... Hala?

– Tak, pańskiego brata. Zaraz tu będzie, milordzie, proszę się nie martwić. Chce się pan napić wody, milordzie?

Pragnął wody bardziej niż niebios, ziemi czy bogactw bajkowego Wschodu. Był mgliście świadom, że ktoś spiera się o to, czy powinien się napić, ale nieoceniony Tom warknął niczym borsuk i odsunął osobę stojącą mu na drodze.

Gdy zimny brzeg naczynia dotknął jego ust, przełknął łyk wody.

– Powoli, milordzie – przestrzegł Tom i wsunął dłoń pod głowę Greya. – Powoli. O, tak. Niech pan chłepcze jak pies, po trochu.

Chłęptał, pragnąc więcej i chcąc, by woda zwilżyła wyschnięte na wiór usta i gardło. Pijąc, czuł lekko miedziany smak krwi z pękniętej wargi. Przez krótką chwilę ekstazy nie istniało nic, z wyjątkiem rozkoszy, jaką dawała woda. Jednak naczynie zabrano, Tom zaś złożył delikatnie jego głowę na poduszce, a on wlepił spojrzenie w sufit, dysząc płytko.

Zignorował ból w piersi i rękę dzięki tej wodzie, ale teraz uświadomił sobie, że nie może zaczerpnąć pełnego oddechu. Miał wrażenie, że lewą część jego ciała obejmuje coś twardego, i nagle przywołał na pamięć słowa, które ktoś wypowiedział, że oderwało mu rękę.

Drgnął gwałtownie, starając się podnieść głowę i zobaczyć, i sięgnął prawą dłonią ku drugiemu bokowi.

– O Jezu! – Przed oczami zatańczyły mu kolorowe światełka, a na całym ciele wystąpił zimny pot. Lewa ręka była jednak na swoim miejscu, dzięki Bogu.

Wciąż przywierała do niego, choć z pewnością w nie za dobrym stanie. Spróbował poruszyć palcami, co okazało się błędem.

– Niech pan ani drgnie, milordzie! – W głosie Toma pobrzmiwało przerażenie. – Nie wolno. Lekarz mówi, że mogłoby to pana zabić!

Nie miał co do tego wątpliwości. Ból powrócił i usadowił się na jego piersi, pozbawiając go tchu i uporczywie próbując zatrzymać mu serce.

Leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi zębami, łykając powietrze. Wyczuwał wyraźny zapach świń tuż obok. Pomyślał, że to pewnie jedno z gospodarstw niedaleko Hückelsmay.

– Tom... co się stało?

– Mówią, że rozerwało armatę, milordzie. Ale bitwa została wygrana – dodał, choć Greya nieszczególnie to w tej chwili obchodziło. – Pan Brett omal nie utonął w kanale, ale pan Tarleton go wyciągnął.

W izbie byli teraz też inni ludzie, nie wiedział ilu. Głosy mamroczące z powagą. Tom gadał mu do ucha jakieś bzdury, nie chcąc bez wątpienia, by to, o czym się mówi, do niego dotarło. Grey podniósł prawą rękę, ale opadła bezwładnie, zbyt słaba, by uciszyć Toma. Nie chciał niczego słyszeć.

Głosy ucichły i się oddaliły. Tom umilkł, ale został przy nim, ocierając mu pot z twarzy i szyi i zwilżając od czasu do czasu wargi wodą z glinianego naczynia.

Czuł narastającą gorączkę, przebiegłą, ledwie dostrzegalną w porównaniu z bólem, ale miał jej świadomość. Odnosił wrażenie, że powinien walczyć, skupić myśli na walce z gorączką, ale był zbyt zmęczony, mógł jedynie oddychać – tylko płytki haust za każdym razem.

Może zasnął, a może za bardzo się rozproszył. Nagle zdał sobie sprawę, że głosy powróciły, a wraz z nimi Hal.

– W porządku, Johnie? – Brat ujął jego zdrową rękę i ścisnął.

– Nie.

Dłoń zacisnęła się mocniej.

– Widzi pan, milordzie? – dobiegł inny głos z drugiej strony.

Grey otworzył jedno oko na tyle, by dostrzec poważnego osobnika o pociągłej twarzy i surowych ustach skrzywionych z niezadowolenia, a być może z troski o niego. W głowie pojawiło się nazwisko tak nagle, jakby owo oblicze zostało opatrzone stosowną tabliczką – Longstreet. Pan Longstreet, chirurg wojskowy.

– Cholera – rzucił i zamknął oko.

Hal znowu ścisnął mu dłoń, sądząc zapewne, że to reakcja na ból.

W nogach łóżka pojawił się ktoś inny, tym razem mówiący po niemiecku. Tęgi osobnik w zielonym mundurze, celujący w Greya palcem. Ten gest miał w sobie coś ostatecznego.

– ...należy amputować, tak jak mówiłem.

Grey był ledwie przytomny, ale usłyszał te słowa i machnął zdrową ręką w słabym geście protestu.

– ...raczej umrze – dokończył ktoś chrapliwym i skrzeczącym głosem. Nie przypominał jego głosu i przez chwilę Grey się zastanawiał, kto to powiedział. Jednak Hal patrzył na niego gniewnie, odwracając z miejsca uwagę brata od doktora.

Grey usta miał spierzchnięte i poruszał językiem, rozpaczliwie próbując je zwilżyć. Zmusił ciało do wysiłku i dźwignął się z łóżka, czując w lewym boku ogień.

– Nie... pozwól im – zwrócił się do niewyraźnej twarzy brata i zapadł się w ciemność przy pełnych niepokoju krzykach.

Kiedy znów się ocknął, okazało się, że jest przywiązany do łóżka. Sprawdził pospiesznie, ale jego lewa ręka wciąż była na miejscu. Obandażowana, spoczywała w łupkach i bolała straszliwie, znacznie bardziej niż poprzednim razem, kiedy się obudził, ale nie miał ochoty narzekać.

Nie był specjalnie zdziwiony, słysząc, że chirurdzy znów się spierają – tym razem po niemiecku. Jeden uparczywie przekonywał Hala, że jest to bezcelowe, ponieważ „on” – chodziło o niego, jak się domyślał – i tak niewątpliwie umrze. Drugi – chyba Longstreet, choć człowiek ten mówił także po niemiecku – upierał się, że Hal powinien pozwolić chirurgom wykonać swoją robotę.

– Nie wyjdę – oświadczył Hal, którego głos dobiegł gdzieś z bliska. – I nie umrze. Nie umierasz? – spytał, widząc, że Grey jest przytomny.

– Nie. – Jakaś pocziwa dusza ponownie zwilżyła mu wargi. A słowo, które wypowiedział, dobyło się z niego szeptem, ale było wyraźne.

– Dobrze. Nie umieraj – poradził Hal, potem podniósł wzrok. – Byrd, popilnuj drzwi. Nikomu nie wolno tu wchodzić, chyba że zadecyduję inaczej. Rozumiesz?

– Tak, milordzie! – Dłoń spoczywająca na ramieniu Greya uniosła się, a on sam posłyszał po chwili pospieszne kroki Toma i odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Z całkowitym spokojem i jasnością uświadomił sobie, że przyniosłoby to korzyści wielu ludziom – również jemu – gdyby umarł w wyniku odniesionych ran.

Percy? Odczuwał tylko przyćmiony ból na myśl o nim, ale zachowywał dziwną trzeźwość umysłu. Zwłaszcza w odniesieniu do Percy’ego. Custis nie żył. Gdyby i on miał umrzeć, nikt nie mógłby zeznawać przed sądem polowym, a bez świadków podobne oskarżenie było wykluczone.

Czy Percy’ego zwolniono by dzięki temu? Prawdopodobnie. Jego kariera byłaby skończona, ma się rozumieć. Lecz armia wolałaby dyskretną dymisję niż rozgłos i skandal towarzyszące temu procesowi.

– Uważasz, że to moja wina, tak jak powiedział? – spytał swego ojca, który

stał przy łóżku, spoglądając nań z góry.

– Nie wydaje mi się. – Ojciec potarł się palcem wskazującym pod nosem, jak zwykł to czynić, kiedy się nad czymś zastanawiał. – Nie zmusiłeś go do tego.

– Ale czy miał słuszość, jak myślisz? Zrobił to tylko dlatego, że nie mogłem dać mu tego, czego pragnął?

Książę, wyraźnie zbity z tropu, ściągnął brwi.

– Nie. – Pokręcił z wyrzutem głową. – To nielogiczne. Każdy człowiek wybiera własną drogę. Nikt inny nie ponosi za to odpowiedzialności.

– Co jest nielogiczne?

Grey zamrugał i zobaczył, że Hal przygląda mu się ze zmarszczonym czołem.

– Co jest nielogiczne? – powtórzył jego brat.

Grey próbował odpowiedzieć, ale mówienie okazało się takim wysiłkiem, że tylko zamknął oczy.

– No dobrze – ciągnął Hal. – W twojej piersi tkwią kawałki metalu. Wyjmą je. – Po chwili wahania jego palce dotknęły delikatnie dłoni Greya. – Przykro mi, Johnny – powiedział ściszym głosem. – Nie chcę, by dali ci opium. Będzie bardzo bolało.

– Czy... masz wra... żenie, że to dla mnie... coś nowego? – Wysilek związany z mówieniem przyprawił go o zawrót głowy i niepowstrzymaną niemal chęć kasłania, ale twarz Hala się rozjaśniła, więc gra okazała się warta świeczki.

– Dobry chłopak – wyszeptał Hal i ścisnął mu dłoń, a potem ją puścił, żeby poszukać czegoś w kieszeni. Okazało się – kiedy już Grey zdołał utkwic w tym wzrok – że to wiotki kawałek skóry, który wyglądał tak, jakby obrabiała go pracownice hordy szczurów.

– Należał do ojca – wyjaśnił Hal, wsuwając ten przedmiot Greyowi między zęby. – Znalazłem to pośród jego starych utensyliów kampanijnych. Pradawne ślady zębów – dodał, starając się bezskutecznie uśmiechnąć. – Choć nie wiem czyich.

Grey przeżuwał ostrożnie, zadowolony, że dzięki temu nie musi udzielać odpowiedzi. Smak był dziwnie przyjemny i nagle pojawiło się wspomnienie jamnika Gustava, który gryzł z ukontentowaniem kawałek wołowej skóry.

Ów obraz przypomniawszy mu jednak coś jeszcze – ten ostatni raz, kiedy widział von Namtzena, i ostrą woń chryzantem, i jeszcze bardziej ostry zapach potu Percy'ego i kubła z nieczystościami. Odwrócił gwałtownym ruchem głowę, chcąc być jak najdalej od wszystkiego. A potem ktoś się nad nim pochylił, on zaś zadrżał, gdy odsunięto kołdrę.

Jego uwagę zwrócił jakiś metaliczny dźwięk. Znowu obrócił głowę i zobaczył, jak Hal sprawdza odbezpieczony pistolet, siada na stołku, kładzie sobie broń na kolanach i obrzuca Longstreeta chłodnym spojrzeniem.

– Niech pan przystępuje do dzieła.

Grey poczuł nagle zimno, gdy zdjęto mu z piersi opatrunek, a potem usłyszał syk metalu i głębokie, pełne niecierpliwości westchnienie chirurga. Palce Hala zacisnęły się na jego dłoni.

– Trzymaj się, Johnny. – Głos miał opanowany. – Nie puszcze cię.

Część V
Redivivus

Rozdział 30

Biegły w sprawach serca

Na początku września Grey powrócił do Anglii, do Argus House. Kiedy już wydobrzał na tyle, by opuścić lazaret w Crefeld, wysłano go do domu myśliwskiego von Namtzena, gdzie spędził dwa następne miesiące, powracając z wolna do zdrowia pod czułą opieką gospodarza, Toma Byrda i jamnika Gustava, który przychodził co wieczór do sypialni, skomlał, dopóki nie wciągnięto go na łóżko, a potem sadowił się wygodnie na stopach Greya, by jego psia dusza nie włóczyła się po nocy.

Krótko po powrocie Greya do Anglii odwiedził go Harry Quarry, dzieląc się z nim plotkami pułkowymi, Grey zaś musiał się w odpowiedzi jedynie uśmiechać albo kiwać głową.

– Jesteś zmęczony – zauważył niespodziewanie Quarry. – Pójdę już, żebyś mógł odpocząć.

Grey chciał zaprotestować uprzejmie, ale po prawdzie był bliski omdlenia; pierś i ręka bolały go koszmarnie. Próbował się podnieść, ale jego przyjaciel dał mu znak, by tego nie robił. Przystanął jednak w drzwiach z kapeluszem w dłoni.

– Miałeś jakieś wiadomości od Meltona? To znaczy od czasu powrotu?

– Nie. Dlaczego pytasz? – Ból ręki stawał się nie do wytrzymania, więc nie mógł się doczekać, kiedy Harry sobie pójdzie, a Tom założy mu temblak.

– Myślałem, że może ci mówił... ale przypuszczam, że nie chciał zakłócać ci spokoju.

– O czym? – Ból w kończynie wydał się nagle mniej istotny.

– O dwóch rzeczach. Arthur Longstreet wrócił do Anglii. Chirurg pułkowy... Znasz go?

– Tak – przyznał Grey i przysunął odruchowo rękę do piersi, której lewa strona pokryta była świeżymi szramami. Tom poczynił uwagę, że jego pan wygląda jak ktoś, kto stoczył walkę na szable. – Powiedział, dlaczego Longstreet tu jest? – Zastanawiał się, z jakiego powodu Hal miałby mu tego nie mówić.

– Zwolniony z czynnej służby – odparł bezzwłocznie Quarry. – Został postrzelony w płuca pod Zorndorf. O ile wiem, jest w kiepskim stanie.

– Ach. Fatalnie – rzucił bezwiednie Grey, ale trochę się odprężył. A zatem Longstreet nie stanowił już zagrożenia – jeśli kiedykolwiek je stanowił. Grey z chęcią by z nim porozmawiał, ale Hal bez wątpienia uznał, że nie ma pośpiechu w tej sprawie, i zamierzał czekać do swego powrotu z kampanii.

– Powiedziałeś: o dwóch rzeczach. – Otrząsnął się z zamyślenia. – A ta

druga?

Quarry spojrział na niego z głębokim współczuciem, ale odpowiedział burkliwym tonem:

– Przewieźli Wainwrighta do Anglii. Nie wyznaczono jeszcze posiedzenia sądu, ale niebawem się to stanie. Prawdopodobnie chodzi o początek października. Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć – dodał Harry już łagodniej.

W pokoju było ciepło, ale Grey poczuł dreszcz na ramionach.

– Dziękuję – odrzekł. – Gdzie... gdzie teraz jest? Wiesz może?

Harry wzruszył ramionami.

– W małym więzieniu w Devonshire – wyjaśnił. – Ale na czas procesu przeniosą go zapewne do Newgate.

Grey chciał spytać o nazwę tej miejscowości w Devonshire, ale nie uczynił tego. Uznał, że lepiej nie wiedzieć.

– Tak – mruknął i dźwignął się, żeby odprowadzić Harry'ego. – Dziękuję ci... Harry.

Quarry skrzywił się, co miało oznaczać uśmiech, po czym włożył kapelusz i wyszedł.

– Dobrze się pan czuje, milordzie? – Tom, który od czasu Crefeld nie oddalał się od swego pana na odległość nie większą niż dwa metry, podszedł z temblakiem, przyglądając się Greyowi z wielką troską. – Pułkownik Quarry pana zmęczył. Jest pan błądy, słowo daję.

– Nic dziwnego – odparł Grey zwięźle. – Nie wychodzę od trzech tygodni z domu. No dobrze – oznajmił pod wpływem nagłego impulsu. – Idę na spacer. Bądź tak dobry, załóż mi ten temblak i przynieś pelerynę, Tomie.

Tom już chciał zaprotestować, ale widząc wyraz twarzy Greya, nie odezwał się i westchnął.

– Dobrze, milordzie – zgodził się zrezygnowany.

– Tylko żebyś za mną nie szedł!

– Nie zamierzam, milordzie – zapewnił Tom, umieszczając temblak na miejscu i czyniąc to nieco energiczniej, niż należało. – Zaczekam, aż jakiś uliczny handlarz przyprowadzi pana do domu, jak już padnie pan na ulicy, dobrze?

Grey zdobył się na uśmiech.

– Wrócę o własnych siłach, Tomie. Obiecuję.

– Phi – mruknął Tom.

– Powiedziałeś „phi”? – spytał z niedowierzaniem Grey.

– Ależ skąd, milordzie. – Okrył ramiona Greya peleryną. – Miłego spaceru, milordzie – rzucił grzecznie i się odsunął.

Ta rozmowa wystarczyła, by Grey zawędrował aż na koniec Hyde Parku, gdzie oparł się dla złapania oddechu o balustradę. Rany na piersi zagoiły się całkiem przyzwoicie, ale z powodu wysiłku czuł się tak, jakby jego płuca wciąż

były naszpikowane kawałkami gorącego metalu, który mógł w każdej chwili przeniknąć do krwi.

Początek października... Miesiąc. Może jeszcze mniej. Skupiony na tym, aby przetrwać, przez jakiś czas nie myślał o niczym innym. Minnie, Olivia i Tom robili wszystko, by nie narażać go na jakiegokolwiek nieprzyjemności. Jeśli Hal naprawdę wspominał w listach o Percym, to Minnie z pewnością tała te wieści.

Odetchnął ostrożnie i płytko, potem głębiej, wyczekując z niepokojem gruchotu w piersi, ale niczego nie usłyszał. A więc dobrze. Wyprostował się i odsunął od balustrady. Ręka pulsowała mu i bolała pomimo temblaka, ale nie zwracał na to uwagi. Nie miał pojęcia, co czeka go w październiku – ale, tak jak obiecał Tomowi, postanowił wrócić do domu o własnych siłach. Zaczął powolną wędrówkę wokół parku, a myśl o Percym gnębiła go i czuł się tak, jakby miał żelazne okowy na nogach.

*

Chrzest Cromwella Percivala Johna Malcolma Stubbsa odbył się tydzień później w odległości zaledwie trzech metrów od miejsca jego narodzin. Olivia, trwając w uporze – niektórzy nazywali to przewrotnością – który charakteryzował całą rodzinę, nalegała, by nadać dziecku takie, a nie inne imię, a ponieważ jej mąż był nieobecny i nie mógł się sprzeciwić, sprawa została przesądzona.

– Masz coś przeciwko temu? – spytała Greya. – Jeśli tak, to zrezygnuję. Jestem pewna, że Melton by się nie zgodził, ale nie ma go tutaj, więc nie może niczego zakazać.

– Pytasz mnie jako de facto głowę rodziny? – Uśmiechnął się nieznacznie pomimo okoliczności. Przyszła do ogrodu, gdzie Tom zmuszał go do siedzenia każdego popołudnia i twierdził uparcie, że domownicy są zaniepokojeni, wiedząc, iż wciąż leży w łóżku i patrzy w sufit.

– Oczywiście, że nie – odparła Olivia. – Pytam, ponieważ... no, bo pytam.

Powinien ją powstrzymać. Był to prywatny chrzest, z udziałem jedynie członków rodziny i kilkorga przyjaciół, ale ludzie i tak by gadali. Matką chrzestną dziecka została Lucinda, lady Joffrey. Sir Richard zeszywniał bez wątpienia, kiedy usłyszał, jak pastor wymawia imiona maleństwa, i popatrzył ostro na Greya.

Grey jednak był uodporniony na takie spojrzenia, a także wszelkie słowa. Poruszał się okryty zasłoną miękkiej szarej mgły, która tłumiała wszystko i sprawiała, że czuł się niewidzialny. Od czasu do czasu przenikało ją jednak coś nieoczekiwanego, bezwzględного i raniącego niczym tkwiące w jego piersi odłamki szrapnela, przebijające się jeden za drugim ku powierzchni. Zeszłego tygodnia była to wizyta Harry'ego, tego dnia zaś światło.

Na zewnątrz niebo zasnuwały chmury, ale teraz przebijało się przez nie słońce i potok barwnej iluminacji pogrążył duchownego i rodziców chrzestnych

w miękkim blasku czerwieni, błękitu i zieleni.

Przestrzeń tuż obok niego miała postać płytek podłogowych. Nagle wydała mu się istną otchłanią.

Odwrócił wzrok, czując, jak wali mu serce, a dłonie się pocą. Po chwili zauważył, że przygląda mu się Olivia, na której twarzy malowała się troska. Skinął jej głową, zmuszając się do uśmiechu, ona zaś odprężyła się odrobinę i znów skupiła uwagę na niemowlęciu w ramionach Lucindy.

Wypowiadał słowa formuły chrztu automatycznie, nie słysząc ich nawet. Powietrze wokół niego drgało od dźwięku piszczałek organowych i pobrzękujących rapierów; po plecach spływał mu pot.

Lucinda zdjęła dziecku koronkowy czepek i ze stroika chrzestnego wysunęła się główka Cromwella Percivala Johna Malcolma Stubbsa, okrągła niczym kantalupa. Grey powstrzymał niestosowny śmiech i w tej samej chwili poczuł przeszywający ból zrodzony ze świadomości, że nie może się odwrócić i dostrzec w oczach Percy'ego takiego samego rozbawienia.

Percival to nie było nawet właściwe imię. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć o tym Olivii, ale się rozmyślił. Może to niejedyny sekret wciąż skrywany przez Percy'ego, ale jedyny, jaki mógł dla niego zachować Grey.

Wyznaczono datę posiedzenia sądu: trzynasty października, jedenasta przed południem. Gdyby mieli powiesić Percy'ego na podstawie zeznań Greya, czy powinien się upierać, by zrobili to z „Perseverance'em”?

Lucinda kopnęła go w kostkę, a wtedy uświadomił sobie, że wszyscy na niego patrzą.

– Powiedz: „Wierzę” – nakazała mu szeptem.

– Wierzę – odparł posłusznie.

– Chrzczę cię, Cromwellu, Percivalu, Johnie, Malcolmie w imię Ojca...

Dosłyszał plusk wody odległy niczym deszcz.

Powinienem jej wyjawić, że to „Perseverance”, pomyślał w przypływie nagłej paniki. A jeśli tylko tyle po nim zostanie?

Ale było już za późno. Zamknął oczy i poczuł, jak znów napływa miękka mgła, by otulić go pocieszająco swą szarością przetykaną blaskiem obrazów świętych i męczenników.

*

– Nie wyglądasz dobrze, Johnie. – Lucinda Joffrey krążyła wokół niego, przyglądając mu się uważnie ponad wachlarzem.

– Zdziwiasz mnie, madame – odparł grzecznie. – Zrobiłem wszystko, by uchodzić za okaz zdrowia.

Skwitowała jego replikę wymownym spojrzeniem, złożyła z trzaskiem wachlarz i stuknęła nim w jego pierś. Drgnął, jakby go ugodziła szpilką broszki.

– Nie... do... brze... – Stukała go rytmicznie wachlarzem przy każdej sylabie, on zaś cofnął się gwałtownie, byle dalej od niej. Przyjęcie z okazji chrztu odbywało się w ogrodzie przy Argus House, a ucieczkę uniemożliwiał staw za jego plecami. – Popatrz na niego, Horry – zwróciła się do swego towarzysza, Horacego Walpole’a. – Jak on wygląda?

– Zupełnie jak księżna Kendal – odrzekł z miejsca zapytany. – Kiedy widziałem ją ostatnim razem, dwa dni przed jej nieodżałowanym zgonem.

– Dziękuję, panie Walpole – powiedział Grey, rzucając rozmówcy ironiczne spojrzenie.

– Co nie znaczy, by jego lordowska mość miał więcej smaku niż moja lady Kendal. – Walpole odwzajemnił się takim samym spojrzeniem. – Odcień pańskiego ubrania nie jest czymś, na co sam bym się zdecydował, wzięwszy pod uwagę kolor pańskiej twarzy. Nie odpowiada w pełni karnacji jednej z moich ukochanych maleństw – wskazał głową karafkę na pobliskim stoliku, w której przyniósł kilka złotych rybek ze swojego domu przy Strawberry Hill jako prezent dla Minnie – ale przypomina nieco ten odcień.

– Musisz zobaczyć się z lekarzem, Johnie – poradziła Lucinda, opuszczając wachlarz i odsłaniając swe cudowne oczy, w których malowało się szczere zaniepokojenie jego stanem.

– Nie mam ochoty.

– Znam pewnego człowieka, to mój znajomy – oznajmił Walpole, jakby pod wpływem nagłej inspiracji. – Biegły w schorzeniach klatki piersiowej. Z przyjemnością przedstawię was sobie.

– Jakież to miłe z twojej strony, Horry! Jestem przekonana, że każdy, kogo polecasz, musi być cudotwórcą. – Lucinda otworzyła w geście wdzięczności wachlarz.

Grey, który nie był już aż tak chory, by nie móc dostrzec szytego grubymi nićmi spisku i kiepskiego aktorstwa, przewrócił z rezygnacją oczami.

– Proszę mi podać jego nazwisko – powiedział, zgadzając się dla świętego spokoju. – Umówię się listownie na spotkanie.

– Och, nie ma potrzeby – odrzekł wesoło Walpole. – Doktor Humperdinck bardzo pragnie zawrzeć z panem znajomość. Przyśle po pana swój powóz. Jutro o trzeciej po południu.

– A ja będę tutaj, by dopilnować, byś do niego wsiadł – dodała szybko Lucinda, przykuwając go świdrującym wzrokiem.

– Widzę, że nie ma dla mnie ucieczki – odparł Grey z westchnieniem. – Niech będzie.

Lucinda zareagowała zdziwieniem, a potem niepokojem na tę niespodziewaną kapitulację. W rzeczywistości brakowało mu siły na coś więcej niż symboliczny opór i tak naprawdę, jak stwierdził, nie obchodziło go to specjalnie.

Jakie zresztą miało znaczenie?

– Panie Walpole – rzucił, wskazując głową stół. – Obawiam się, że mój siostrzeniec Henry zaraz wypije pańskie ryby.

W zamieszaniu wywołanym akcją ratunkową, a następnie ceremonialnym przeniesieniem ryb do ich nowego domu, Grey mógł wymknąć się niepostrzeżenie i posiedzieć w bibliotece.

Wciąż tam przebywał, trzymając na kolanach sztukę Moliera, której nawet nie zaczął czytać, kiedy padł na niego cień. Podniósł wzrok i znów zobaczył niewysoką i wątłą postać, czcigodnego Horacego Walpole’a, który przystanął przy fotelu Greya.

– To straszna rzecz – oznajmił cicho bez odrobiny afektacji.

– Tak.

– Rozmawiałem ze swym bratem. – Czyli hrabią Orford, jak przypuszczał Grey. Walpole był najmłodszym synem zmarłego premiera i miał trzech braci, ale tylko najstarszy mógł się pochwalić jakimikolwiek wpływami, choć znacznie mniejszymi niż ojciec. – Nie może pomóc przed procesem, ale... jeśli... – Walpole się zawahał, podjąwszy najwyraźniej decyzję, by użyć słowa „jeśli” zamiast „kiedy” – pański... – Jeszcze dłuższe wahanie.

– Mój brat – dopowiedział cicho Grey.

– Jeśli zostanie skazany, hrabia postara się o złagodzenie wyroku. Mam też... przyjaciół w sądzie, ale proszę mi wierzyć, moje wpływy nie są wielkie. Zrobię jednak, co w mej mocy. Przynajmniej tyle mogę panu obiecać.

Walpole nie był przystojny, odznaczał się cofniętą brodą i wysokim, dość płaskim czołem, ale miał inteligentne ciemne oczy zdradzające zwykle ciekawość albo jakąś psotę. Teraz spoglądały spokojnie i bardzo ciepło.

Greyowi brakowało słów. Powiązanie z taką sprawą stanowiło dla Walpole’a wielkie ryzyko. Żył spokojnie, a jego życie osobiste nigdy nie było przedmiotem publicznego zainteresowania i takie musiało pozostać na zawsze. Poświęcenie własnej prywatności do tego stopnia, by angażować się w podobnie haniebną rzecz, to niezwykle gest, poza tym Grey nie zaliczał się do jego najbliższych przyjaciół, choć oczywiście ojciec Walpole’a przyjaźnił się z księciem.

Wątpił, czy Walpole jest świadom natury jego spraw miłosnych albo czy cokolwiek podejrzewa, nie mówiąc już o związku z Percym. Nawet gdyby tak było, nigdy nie napomknąłby o tym słowem, tak jak Grey nie wspomniałby o Thomasie Greyu, poecie i zarazem długoletnim kochanku Walpole’a.

Podniósł dłoń i przez chwilę ścisnął rękę Walpole’a z wdzięcznością. Walpole uśmiechnął się niespodziewanie i serdecznie.

– Proszę zobaczyć się z Humperdinckiem – poradził. – Pomoże panu, jestem tego pewien.

*

Grey miał wrażenie, że nazwisko Humperdinck jest mu skądś znane, choć nie potrafił skojarzyć go z żadną twarzą, tak więc był szczerze zdumiony, gdy stanął przed dżentelmenem, którego po raz ostatni widział w pozycji leżącej na sofie w klubie White'a, na wpół zeszywniałego i w przekrzywionej peruce po jakimś nagłym ataku.

Doktor Humperdinck był teraz zaróżowiony i zdrowy, ale dało się zauważyć ślady tamtego wydarzenia: lekkie jąkanie, opadanie lewej powieki i powłóczenie lewą stopą, co zmuszało go do chodzenia o lasce. Odłożył ją i usiadł w swoim gabinecie, prosząc, by Grey uczynił to samo.

– Lord John Grey – powiedział, obrzucając swego nowego pacjenta spojrzeniem zamyślonych i bystrych niebieskich oczu. – Znam pana, prawda? Nie mogę jednakże przypomnieć sobie okoliczności naszego poprzedniego spotkania. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan brak manier. Zeszłej zimy miałem pewien wypadek, coś w rodzaju apopleksji, i od tamtej pory, jak stwierdziłem, moja pamięć nie jest już taka jak dawniej.

– Przypominam sobie owo spotkanie – odparł z uśmiechem Grey. – Doszło do niego na trotuarze pod klubem White'a.

Doktor zamrugał zdziwiony.

– Naprawdę? Był pan tam?

– Tak, mój brat i ja.

Doktor chwycił go za rękę i ścisnął mocno.

– Mój drogi panie! Tak się cieszę, że znów się spotykamy. Nie tylko z powodu zrozumiałej radości, jaką mi to sprawia, ale też dlatego, że naprawdę sobie pana przypominam! Sądziłem, że wszelka pamięć o tamtym wieczorze zaniknęła całkowicie, a oto teraz pojawia się jakiś jej fragment! Boże, sir, tchnął pan we mnie nadzieję, że może i inne wspomnienia z czasem powrócą!

– Jestem pewien, że tak – przyznał Grey z uśmiechem. Nieskrywana radość doktora pozwoliła mu uwolnić się na chwilę od własnej melancholii, choć o wielu sprawach sam chciałby zapomnieć. – Nie przypomina pan sobie, dokąd pan szedł tamtego wieczoru? – spytał z ciekawością, zdejmując płaszcz i rozpinając na polecenie lekarza koszulę.

Humperdinck pokręcił głową, grzebiąc w kieszeni.

– Nie, pamięć zawodzi... – Wyprostował się z jakimś małym ostrym instrumentem w dłoni, wyraźnie zdziwiony. – Klub White'a – wyszeptał jakby do siebie. Potem, gdy jego spojrzenie nabrało ostrości, zwrócił się do Greya, podniecony i pełen zapału. – White! – zawołał i chwycił pacjenta ponownie za rękę, zapominając o trzymanym przez siebie narzędziu. – Przypomniałem sobie!

– Au!

– Och, bardzo przepraszam, sir, czyżbym pana skaleczył? Nie, nie, wszystko

w porządku, to tylko nieznaczne draśnięcie, wystarczy zabandażować... Mówili mi, że znaleziono mnie pod White's Chocolate House, oczywiście, ale kiedy usłyszałem, jak wymawia pan tę nazwę... White! – znów zawołał radośnie. – Szedłem do White'a!

– Ale... – Grey powstrzymał się w ostatniej chwili, by nie powiedzieć: „Ale nie jest pan członkiem tego klubu”, bo w przeciwnym razie Holmes, zarządca przybytku, od razu rozpoznałby doktora. – Miał się tam pan z kimś spotkać? – spytał tylko.

Doktor zacisnął wargi, zastanawiając się intensywnie, ale po chwili uznał, że to bezcelowe.

– Nie – odrzekł z żalem, wyciągając świeży bandaż z szuflady. – Przypuszczam, że tak musiało być, ale zupełnie tego nie pamiętam. Jeśli to prawda jednakże, ów dżentelmen, z którym miałem się spotkać, rozpoznałby mnie. Och, no cóż, muszę na tym poprzestać. Może odzyskam z czasem więcej wspomnień, które powrócą same z siebie. Cierpliwość to mimo wszystko wielka cnota – zauważył filozoficznie.

Pół godziny później skończył badanie okraszone serdecznymi i wnikliwymi pytaniami i powrócił do swej wcześniejszej uwagi natury zasadniczej.

– Cierpliwość, lordzie Johnie – oznajmił zdecydowanym tonem. – Cierpliwość to najlepszy lek niemal we wszystkich przypadkach. Gorąco ją zalecam, choć jest rzeczą zadziwiającą, jak niewielu ludzi może przyjmować ten konkretny specyfik. – Roześmiał się jowialnie. – Mniemają, że źródłem ozdrowienia musi być ostrze albo butelka, i czasem tak jest, czasem tak jest. Z grubsza jednakże uważam, że ciało potrafi samo się uleczyć. I umysł – dodał w zamyśleniu, patrząc z ukosa na Greya, który zaczął się z niepokojem zastanawiać, w jakim stopniu doktor w trakcie tej rozmowy poznał jego umysł.

– Nie sądzi więc pan, że te pozostałe odłamki są dla mnie niebezpieczne? – spytał, zapinając koszulę.

Doktor skrzywił się w odruchu zawodowej dwuznaczności.

– Nigdy nie ma pewności w takich sprawach, lordzie Johnie, ale uważam, że nie. Mam nadzieję, że nie. Myślę, że sporadyczny ból, jaki pan odczuwa, jest jedynie rezultatem podrażnienia nerwów i całkowicie nieszkodliwy. Powinien z czasem zaniknąć zupełnie.

– Z czasem – mruknął Grey do siebie, kiedy wracał do Argus House. Wystarczało mu to w zupełności, jeśli rzecz tyczyła ciała. Zapewnienie, że najprawdopodobniej nie umrze, czyniło cuda; nie odczuwał bólu ani w piersi, ani w ręce. Jeśli jednak chodzi o umysł... tam czasu było coraz mniej.

Rozdział 31

Notabene

Grey poczuł się wielce podniesiony na duchu po wizycie u Humperdincka, ale wciąż nie miał nic szczególnego do roboty. Nie wydobrał jeszcze na tyle, by powrócić do swych obowiązków, a z braku jakiegoś pożytecznego zajęcia dryfował niejako bez celu. Wybierał się do Befszyka i nagle łapał się na tym, że wędruje po obrzeżach Hyde Parku albo spaceruje pośród rozkrzyczanych straganiarzy w Covent Garden. Siadał do jakiejś lektury, by ocknąć się godzinę później i zobaczyć, że ogień w kominku przemienił się w rozżarzone główne, a książka spoczywa na kolanach nadal otwarta na pierwszej stronie.

Nie była to melancholia. Wciąż widział tę otchłań, ale odwracał od niej zdecydowanie wzrok i stawał plecami do jej wabiącej krawędzi. Nie, to coś innego – poczucie, jakby czekał na coś, bez czego nie mógł wieść dalej swej egzystencji – a jednak nie miał pojęcia, co to takiego ani jak to znaleźć.

Jego codzienna korespondencja w tym czasie nie grzeszyła obfitością. Przyjaciół, którzy wyrażali współczucie i składali zaproszenia, zraziły bezustanne odmowy i choć kilka upartych osób wciąż go odwiedzało albo pisało do niego – chociażby Lucinda Joffrey – z reguły dawały mu spokój.

Patrzył zatem z nikłym zainteresowaniem na list, który kamerdyner położył obok talerza. Nie miał oficjalnej pieczęci, dzięki Bogu, ani też nie wyglądał na pismo pułkowe. Gdyby tak było, z ochotą wrzuciłby go do ognia. Każdego dnia oczekiwał zawiadomienia o sędzie Percy'ego – lub o jego śmierci – i lękał się przeczytać którąś z tych wiadomości.

Zaczekał, aż posiłek dobiegnie końca, i zabrał list do ogrodu, gdzie w końcu otworzył go, siedząc pod czerwonym bukiem. Był od doktora Humperdincka; dostrzegł podpis i zmiąłby kartkę z obrzydzeniem, gdyby nie dojrzał również pierwszego zdania.

„Przypomniałem sobie” – brzmiał początek.

Grey zaczął czytać.

Mój drogi lordzie Johnie...

Przypomniałem sobie. Nie wszystko, to pewne; w moich wspomnieniach wciąż tkwią poważne luki. Jednak dzisiejszego ranka powróciło niespodziewanie nazwisko człowieka, z którym miałem się spotkać u White'a. Był to Arthur Longstreet, ja zaś, o czym jestem przekonany, zostałem wezwany w celu udzielenia porady medycznej.

Niestety, wciąż mam pustkę w głowie, jeśli chodzi o kwestię, w której

Longstreet pragnął się ze mną skonsultować; to samo tyczy jego zawodu i miejsca zamieszkania.

Przypuszczam, że się z nim nigdy nie spotkałem, gdyż nie potrafię skojarzyć twarzy z nazwiskiem. Jeśli wezwano mnie wówczas listownie – mogło tak być, choć nie pamiętam, to owo pismo nie znajduje się wśród mojej korespondencji.

Czy jest pan przypadkiem znajomym pana Longstreeta? Jeśli tak, byłbym niezwykle zobowiązany, gdyby zechciał mi pan przesłać wskazówki co do miejsca jego pobytu, bym mógł napisać do niego i wyjaśnić, o co chodzi. Nie chcę nadużywać pańskiej uprzejmości, ale ponieważ odnoszę wrażenie, że dotyczyło to porady medycznej, wolałbym nie rozpytywać u White'a, a tym samym ujawnić nieumyślnie prywatnych spraw pana Longstreeta. Oczywiście, jeśli nie zna pan tego dżentelmena, będę zmuszony to uczynić, wpierw jednak pragnę odwołać się do naszej znajomości i pańskiej dobrej natury.

*Ze szczerymi podziękowaniami,
Pozostaję pańskim sługą,
Henryk van Humperdinck*

Grey wciąż siedział pod bukiem, kiedy zjawił się jeden z lokajów z herbatą.

– Milordzie? Pani Stubbs mówi, że potrzebuje pan pokrzepienia.

Grey był zamyślony, ale nie aż tak bardzo, by umknął mu władczy charakter owego stwierdzenia.

– Naprawdę? – spytał sucho.

Wziął filiżankę i powąchał ostrożnie jej zawartość. Rumianek. Skrzywił się i wylał wszystko na grządkę roślin iglastych.

– Podziękuj mej kuzynce za serdeczną troskę, Joe. – Wstał, wziął z tacy ciastko, odkrył, że ma nadzienie malinowe, i je odłożył. Maliny przyparowały go o wysypkę. Sięgnął po chleb z masłem. – A potem każ podstawić powóz. Muszę kogoś odwiedzić.

*

Dom Longstreeta był skromny. Ludzie zasobni nie zostawiali chirurgami wojskowymi i choć kuzyn Longstreeta mógł bez wątpienia postawić w zakładzie dwadzieścia tysięcy funtów, jak zauważył Grey, krewni ze strony doktora musieli być o wiele mniej zamożni.

Nigdy nie słyszał, by Longstreet się ożenił. Przyjęła go wyraźnie zaskoczona służąca w średnim wieku, która oddaliła się pospiesznie w poszukiwaniu doktora, pozostawiając Greya w małym, schludnym salonie. Jego ściany, półki i szafki pełne były pamiątek należących do człowieka, który spędził większość życia za granicą: dwa niemieckie kufle do piwa, trzy emaliowane francuskie tabakerki, zestaw noży zdobionych techniką markieterii, cztery pokryte jaskrawymi kolorami

i końskim włosiem groteskowe maski, których proveniencji Grey nie potrafił określić... Jak wszystko na to wskazywało, Longstreet lubił przedmioty w kompletach składających się z identycznych sztuk.

Grey miał nadzieję, że owa tendencja sugeruje zamiłowanie doktora do kompletności.

Niepewny krok i świszczący oddech obwieściły przybycie właściciela tych artefaktów. Longstreet podupadł fizycznie, jak zauważył Grey, ale wciąż był sobą. Zwykle szczupły, odznaczał się teraz chudością, kości twarzy i nadgarstków przypominały ostrza, a skóra przybrała dziwnie szary odcień, który w ten deszczowy dzień w świetle wpadającym przez okna jawił się jako niebieskawy. Doktor wspierał się ciężko na lasce, a jego gospodyni obserwowała go z pewnym napięciem, jakby mógł w każdej chwili upaść, ale nie starała mu się pomóc, choć dało się wyczytać z jej twarzy, że bardzo tego pragnie.

Jego oczy nie zmieniły się jednakże: były wciąż czyste, trochę gniewne, na wpół rozbawione. Bez śladu zdziwienia.

– Jak się pan czuje, lordzie Johnie? – spytał.

– No cóż, dobrze, dziękuję. – Grey skłonił głowę. – I dziękuję szczerze – dodał grzecznie. – Rozumiem, że to panu w znacznej mierze zawdzięczam swe ocalenie.

Czy tego chciałeś, czy nie, pomyślał.

Longstreet skinął głową i osunął się powoli na fotel, przyglądając się gościowi z uwagą.

– Miał pan... nieco więcej szczęścia niż ja. – Dotknął lekko piersi poruszanej ciężkim oddechem. – Kula przeszła... przez oba płuca.

– Przykro mi to słyszeć – zapewnił Grey szczerze, a Longstreet wskazał mu drugi fotel. Grey przysunął go sobie i usiadł.

– Konsultował się pan z doktorem Humperdinckiem w związku ze swoim stanem? – spytał. Początek rozmowy dobry jak każdy inny.

Longstreet zdziwił się.

– Z Humperdinckiem? Ja? Dlaczego?

– Jest biegły w schorzeniach klatki piersiowej, czyż nie?

Longstreet wpatrywał się w niego przez chwilę, potem zaczął sapać niepokojąco.

– Czy... tak... panu... powiedziano? – zdołał wreszcie z siebie wydusić, a Grey uświadomił sobie, że ten człowiek się śmieje. – Kto... kto, u diabła, wysłał pana do niego?

– Tak, tak – przyznał Grey nieco zirytowany. – A nie jest?

Longstreet zaniósł się kaszlem, po czym przyłożył chusteczkę do ust i pokręcił głową.

– Nie – wychrypiał i przez chwilę ciężko oddychał. – Jest biegły

w zaburzeniach umysłowych, zwła... zwłaszcza tych o charakterze melan... cholijnym. – Longstreet popatrzył na niego, nie kryjąc rozbawienia. – Pomógł... panu?

– O dziwo, tak. – Grey zdołał zapanować nad głosem, tłumiąc nagłą złość na Lucindę Joffrey. – Przysłał mnie do pana.

– On? – W szarych oczach pojawiła się nagle czujność. – Dlaczego? Nie zna mnie.

– Nie? – Grey uznał, że lepiej nie wspominać o zaburzonej pamięci doktora Humperdincka... w każdym razie chwilowo. – Zatem dlaczego umówił się pan z nim u White'a w tamten wieczór, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy?

Longstreet znowu przycisnął chusteczkę do ust i zakaszłał, ale dla Greya stało się jasne, że to tylko wybieg, by zyskać więcej czasu do namysłu, a on nie zamierzał pozwalać mu na taką przewagę.

– Nie starał się pan, czego jestem pewien, uzyskać fachowej porady dla siebie – powiedział. – A więc dla kogoś innego. Człowieka, który nie mógł sam przyjść do Humperdincka. – Obserwował uważnie twarz Longstreeta, ale nie dostrzegł na niej czujności czy satysfakcji z powodu sugestii, że chodzi o mężczyznę. Dobrze, zatem też nie kobieta, mimo że początkowo myślał, że żona albo kochanka, a więc to nie jego sprawa.

Longstreet odjął chusteczkę od ust i teraz patrzył na Greya spod przymrużonych powiek, próbując się najwyraźniej zorientować, ile doktor Humperdinck mu wyjawiał.

– Pacjenci lekarza mają prawo do poufności – wyrzekł powoli. – Jestem pewien, że doktor Humperdinck nie zdradziłby...

– Doktor Humperdinck nadal odczuwa skutki apopleksji, jakiej doznał tamtego wieczoru – wtrącił szybko Grey. – Wspomnienia w większości powróciły, ale wciąż nie jest do końca sobą. Niestety. – Spojrzał wymownie w nadziei, że rozmówca odniesie wrażenie, iż zdolność osądu i poczucie etyki zawodowej Humperdincka poniosły uszczerbek. Z niechęcią podważał reputację doktora, ale rozum był bezwzględny i podpowiadał mu, że to jedyna droga do poznania prawdy.

Longstreet zacisnął usta, marszcząc w zamyśleniu czoło, ale nie patrzył już na Greya, tylko skupił się na czymś, co tkwiło w jego głowie, jakby pragnął to zakwestionować. Sięgnął odruchowo ku stołowi, gdzie obok kasetki na cygara leżała stara fajka z pianki morskiej.

– Najgorsze jest to, że nie mogę już palić – wyznał, przesuwając czule palcami po cybuchu w kształcie syreny. Jej zgrabne piersi głaskane latami połyskiwały złotem. – Fajka pomaga w myśleniu.

– Muszę kiedyś tego spróbować – oznajmił sucho Grey. – Osoba, dla której pragnął pan uzyskać poradę doktora Humperdincka...

– Nie żyje. – Słowa te spadły niczym ostrze siekiery, przerywając brutalnie rozmowę. Żaden z mężczyzn nie odzywał się przez blisko minutę. Grey słyszał swój zegarek, który co pół godziny wygrywał melodię, ale czekał bez zniecierpliwienia.

Coś się jednak jakby uwolniło; czuł to, tak jak wyczuwa się mysz skradającą się w kątach pokoju, ale nie miał pojęcia, co to takiego. Longstreet utkwiał wzrok w fajce, a usta mocno zacisnął. Podejmował jakąś decyzję i Grey wiedział, że jeśli odezwie się zbyt pochopnie albo powie coś niewłaściwego, mysz czmychnie z powrotem do dziury. Czekał. Chrapliwy oddech Longstreeta był niemal zagłuszany przez trzask drewna palącego się na kominku.

– Mój kuzyn – oznajmił w końcu doktor. Podniósł głowę i napotkał spojrzanie Greya. – George. – Wymówił to imię z czułością i żalem.

– Moje kondolencje – powiedział cicho Grey. – Nie słyszałem o tym, że lord Creemore umarł.

– W zeszłym tygodniu. – Longstreet położył sobie fajkę na kolanach. – *Le roi est mort; vive le roi.*

– Słucham?

Longstreet uśmiechnął się ironicznie.

– Jestem spadkobiercą kuzyna. Jestem teraz lordem Creemore, cokolwiek dobrego może to dla mnie oznaczać. – Co... co... – Odchrząknął i odetchnął urywanie, po czym kaszlnął i pokręcił głową. – Jak pan sądzi, lordzie Johnie, co jest ważniejsze? – spytał wyraźniejszym głosem. – Życie człowieka czy honor jego imienia, kiedy już umrze?

Grey rozważał te słowa. Pytanie go zaskoczyło, ale zostało postawione z całą powagą.

– Co do mnie – odrzekł powoli – powinienem rzec, że po pierwsze, zależy to od samego człowieka. A po drugie, że człowiek, którego życie było pozbawione honoru, nie może go oczekiwać po śmierci.

– Ach. Ale nie powiedziałem „honor człowieka”, lecz „honor jego imienia”. To, jak się spodziewam, uderza pana jako coś znacznie trafniejszego?

– Chodzi panu o honor jego rodziny. – Tak, uderzyło go celnie, zgodnie z zamiarem. Zapanował jednak nad sobą. – Ceniłbym to, owszem. Ale honor nie jest jedynie tym, co postrzega świat, sir, ale tym, czym jest. I powtarzam, że nie da się oddzielić człowieka od jego honoru.

– Nie – przyznał w zamyśleniu Longstreet. – Przypuszczam, że to prawda. – A jednak... jego twarz zdawała się mówić równie jasno jak słowa. Toczył jakąś wewnętrzną walkę i Grey pomyślał nagle, że może zna jej naturę.

– Jest pan wszak lekarzem – przypomniał. – Niewykluczone, że z pańskiego punktu widzenia zachowanie życia musi być najwyższym dobrem bez względu na wszelkie okoliczności.

Longstreet – Grey wciąż nie potrafił myśleć o nim jako o lordzie Creemore – obrzucił go pełnym łęku spojrzeniem, ale Grey nie potrafił ocenić, czy to dlatego, że trafił w sedno, czy chybił całkowicie.

Pojawienie się gospodyni z herbatą dało im chwilę wytchnienia. W niewielkim domostwie pomimo płonącego ognia powietrze było chłodne i wilgotne. Lewa ręka bolała Greya w miejscu złamania i był wdzięczny za ciepło gorącej porcelany w dłoniach i aromat napoju. Pomijając zadowolenie, jakie dawała herbata, drobne rytuały, jakich wymagała, stłumiły panujące między mężczyznami napięcie.

– A więc był pan lekarzem swego kuzyna? – spytał Grey zdawkowo, jakby prosił doktora o przysunięcie cukiernicy.

Longstreet zapanował już nad sobą, a gorąca herbata przywróciła odrobinę koloru jego wychudzonym policzkom. Skinął głową.

– Tak. I nie umarł na syfilis ani na żadną tego rodzaju wstydliwą chorobę. Proszę nie sądzić, że właśnie o to chodziło w moim pierwszym pytaniu.

Demencja i obłęd to równie wstydlive choroby jak choroba weneryczna, jeśli nie bardziej, ale Grey nie chciał jeszcze o tym wspominać. Większość medyków, których znał, nie odznaczała się zbytnią delikatnością uczuć, Longstreet zaś był chirurgiem wojskowym – albo był nim niegdyś – a zatem uodpornił się na najbardziej odrażające fizyczne schorzenia.

– Na co zmarł? – spytał Grey obcesowo.

– Na puchlinę wodną – odparł Longstreet bez najmniejszego wahania. Albo była to prawda, albo przygotował sobie tę odpowiedź zawczasu. Grey pomyślał, że zapewne prawda.

– Pański kuzyn zmarł bezdzietnie, skoro został pan jego spadkobiercą – zauważył. – Istnieje jakaś rodzina prócz pana?

Longstreet pokręcił głową, mrużąc powieki przed parą unoszącą się z filiżanki.

– Tylko ja – odrzekł cicho. – Tytuł umrze wraz ze mną.

Grey nie próbował przekonywać, że Longstreet może się jeszcze ożenić i spłodzić synów; sam nie był lekarzem, ale napatrzył się w życiu na śmierć. To, że się o nią ostatnio otarł, uświadomiło mu brutalnie jej obecność. Usłyszał westchnienie dobywające się ze zniszczonych płuc Longstreeta.

– A zatem – ciągnął niespiesznie – jeśli to honor pańskiego rodowego imienia budzi w panu troskę...

Na twarzy doktora pojawił się cierpki grymas, który nie przypominał uśmiechu.

– Sądzi pan, że gdy umiera imię, nie ma potrzeby strzec jego honoru?

– Będzie go pan strzegł za cenę własnego? – Pytanie to padło jakby samoistnie, zaskakując Greya nie mniej niż Longstreeta.

Doktor otworzył usta i zaczął poruszać nimi bezgłośnie. Potem podniósł filiżankę i napił się pospiesznie, jakby chcąc powstrzymać słowa, które cisnęły się na usta. Drżały mu ręce, kiedy odstawiał naczynie; Grey usłyszał cichy stukot spodka.

– Nie – odparł Longstreet ochryple. – Nie – powtórzył już bardziej zdecydowanie. – Nie, nie będę. Nie potrafię zrozumieć, co skłoniło Humperdincka, by panu powiedział, ani ile panu powiedział...

Popatrzył na Greya, ten jednak przezornie milczał.

Było bardzo prawdopodobne, że Humperdinck nic nie wiedział, jako że nie miał okazji rozmawiać z Longstreetem przed atakiem apopleksji, chyba że Longstreet zdążył mu coś zdradzić, kiedy umawiali się na owo pierwsze spotkanie. Grey pomyślał, że najlepiej dać do zrozumienia, iż wie, o co chodziło.

– Mój kuzyn był jakobitą – oznajmił zniechęcająco Longstreet.

Zaskoczyło to Greya, ale tylko nieznacznie uniośł brwi, choć serce zabiło mu żywiej.

– Wielu nimi było i jest nadal. Chyba że ma pan na myśli...

– Wie pan, co mam na myśli. – W głosie Longstreeta wciąż pobrzmiwała chrapliwa nuta, ale sam głos był mocny, a spojrzenie pewne. Podjął decyzję.

I opowiedział o spisku mającym na celu zgładzenie króla, tyle że, oczywiście, w centrum angielskiego spisku stał nie książę Pardloe, lecz hrabia Creemore.

– I dowiedział się pan o tym... kiedy?

– W tamtym czasie. – Longstreet spuścił wzrok, palce przesuwaly się niespokojnie po łuskowatym ogonie syreny. – Nakłaniano mnie... bym się do nich przyłączył. Odmówiłem.

– Niezbyt bezpieczne – zauważył sceptycznie Grey. – Dla nich albo dla pana.

– Tylko mój kuzyn wiedział. On mnie nakłaniał. Próbował przekonać o... słuszności ich sprawy. Wierzył w nią – dodał cicho wciąż ze spuszczoneym wzrokiem, jakby słowa i argumenty kierował do małej syreny. – Że Jakub Stuart to prawowity władca.

– A więc jego motywy były całkowicie bezinteresowne?

Longstreet uniośł głowę, w jego oczach malowała się zawziętość.

– A czyż inni nie postępowali tak samo?

Grey wzruszył ramionami, godząc się z tym. Longstreet ze swej strony zgodził się z czymś innym.

– Bez względu na motywy, jakimi kierował się George, te, którymi kierowali się inni spiskowcy, miały różny charakter. Nie znałem ich wszystkich. George nie zdradził mi ich nazwisk, dopóki do nich nie przystałem. Dość rozsądne – przerwał, by zakasać.

– Nie znał pan wszystkich... ale kilku pan znał?

Longstreet skinął niespiesznie głową i odchrząknął.

– Markiz Banbury. Katolik... cała jego rodzina była gorliwie katolicka. Kiedy... kiedy pański ojciec się zabił, markiz zbiegł do Francji. Umarł tam kilka lat temu. Inny człowiek... nigdy nie poznałem jego nazwiska. George nazywał go panem A.

A. jak Arbuthnot? – zastanawiał się Grey ze ściśniętym żołądkiem.

– Wiedział pan o tym... i nic nie powiedział?

Longstreet odchylił się nieznacznie na fotelu, patrząc uważnie na Greya, potem pokręcił głową.

– Spytałem pana, co jest ważniejsze – życie czy honor? Sam się o to pytałem. Wielokrotnie. A wtedy... wybrałem życie kuzyna, nie swój honor. Pański ojciec już nie żył. Nie mogłem tego zmienić. Powinienem był wydać lorda Creemore, wiem. Nie mogłem jednak tego uczynić.

– W końcu co to szkodziło? – rzekł Grey, zaciskając pięści, by nie uderzyć Longstreeta. – Pozwolić, by honor mego ojca został zbrukany, a jego rodzina żyła w przekonaniu, że popełnił samobójstwo? – Nie próbował nawet ukryć emocji w swym głosie i Longstreet skulił się nieznacznie, po czym odwrócił wzrok.

– Wybrałem życie kuzyna – powtórzył tak cicho, że jego słowa były prawie niesłyszalne. Po chwili uniósł głowę i spojrzał raptownie na Greya. – Co pan ma na myśli... Przekonanie, że popełnił samobójstwo? Przecież się zabił. Nie... nie popełnił samobójstwa? – Po raz pierwszy w głosie doktora pojawiła się niepewność.

– Nie, do diabła – odparł Grey. – Został zamordowany, a ja zamierzam odkryć, kto to uczynił.

Longstreet ściągnął brwi i popatrzył Greyowi głęboko w oczy, jakby chciał postawić jakąś diagnozę. Zamrugnął parę razy, potem wstał gwałtownie i wsparty na lasce, opuścił bez słowa pokój.

Grey siedział skonsternowany i zastanawiał się, czy pójść za doktorem, który jednak nie wyglądał na niedomagającego czy szczególnie obrażonego. Czekał więc, obchodząc niespiesznie pokój i oglądając zbiór osobliwości, które doktor gromadził latami.

Po kilku chwilach usłyszał stukanie laski i odwróciwszy się od gzymsu kominka, zobaczył Longstreeta ze znajomą książką w dłoni, oprawioną w surową skórę, o pocerniałej i miejscami wytartej okładce.

Doktor podał ją Greyowi, oddychając ciężko, ten zaś omal nie wyrwał mu jej z ręki i poczuł, jak ogarnia go panika.

– Pomyślałem... że może... chciałby pan to odzyskać. – Longstreet wskazał głową książkę.

– Ja... tak. – Grey spojrzał na niego, choć z trudem mógł oderwać wzrok od

tego niewielkiego woluminu. – Skąd pan to ma?

Longstreet usiadł, twarz miał niemal siną i dyszał z takim wysiłkiem, że mógł się zdobyć tylko na gest bezradności.

Grey wstał i poszukał w kieszeni płaszcza flaszki, z której nalał szczerze do fusów w filiżance Longstreeta. Potem podniósł ją do jego cienkich niebieskawych warg, przypominając sobie, jak dłonie doktora czyniły to samo w przypadku nieprzytomnego Humperdincka w tamten zimowy wieczór w klubie White'a.

Upłynęło trochę czasu, zanim Longstreet zdołał odpowiedzieć, ale w końcu wyznał:

– Znalazłem to wśród rzeczy mojego kuzyna i zabrałem po jego śmierci.

– Ale wiedział pan wcześniej, że się u niego znajduje? Strona z dziennika została zostawiona w gabinecie Hala przed śmiercią lorda Creemore, ale biorąc pod uwagę okoliczności, wydawało się mało prawdopodobne, by okulały z powodu podagry i cierpiący na opuchlinę lord mógł przekraść się niezauważony do dowództwa pułku, podczas gdy Longstreet w mundurze mógł dokonać tego bez trudu.

– On... mi pokazał. Kiedy go przycisnąłem. Wiedziałem, gdzie szukać.

– Przeczytał pan ten dziennik? – Zdawało się, że skóra okładki pali Greya w palce. Pragnienie otwarcia dziennika, by ujrzeć, jak ojcowskie pismo nagle ożywa, było nieprzeparłe.

Longstreet oddychał już swobodniej.

– Przeczytałem.

– Czy on... mój ojciec... napisał coś o spisku jakobickim?

Longstreet skinął głową i znów łyknął z filiżanki.

– Tak. Wiedział trochę, podejrzewał znacznie więcej, ale postępował na tyle rozważnie, by uciekać się do szyfru, gdy pisał o sprawach istotnych. Mojego kuzyna nazywał Bankiem. – Doktor skrzywił w uśmiechu kącik ust. – Było jeszcze trzech, których wymienił z imienia: Makbet, Fleance i Siward. Wydaje mi się, że Siward to człowiek o nazwisku Arbuthnot... Victor Arbuthnot. Nie wiem, kim są pozostali.

Grey czuł pulsowanie krwi w palcach dotykających dziennika.

– Powiedziałem, że byłem zmuszony wybierać między prawdą a życiem swego kuzyna, no i wybrałem George'a, na dobre i na złe – ciągnął Longstreet. – Ten wybór jednak nie zwolnił mnie z odpowiedzialności, jaką nadal ponosiłem. Nie interesuję się polityką: jeden szarlatan na tronie jest wart drugiego, a jeśli papież knuje, czyni to także Fryderyk Pruski. – Zaciśnął dłoń na małej syrenie i spojrzał na Greya. Głos mu wyraźnie złagodniał. – Ale uważałem, iż moją powinnością jest zapobiegać w miarę możliwości dalszym szkodom. Gdyby którykolwiek z tych ludzi nabrał przekonania, że pańska matka wiedziała to, co pański ojciec, mógłby ją bez trudu zabić, zamiast ryzykować, że ujawni jego

tożsamość.

Matka musiała się lękać właśnie tej ewentualności, jak i pewności, że Hal weźmie sprawy w swoje ręce, jeśli odkryje prawdę. Zatem przedsięwzięła wszelkie możliwe środki – upozorowała samobójstwo ojca, wysłała młodszego syna do Aberdeen i sama opuściła kraj. A potem milczała przez siedemnaście lat. Czekala.

– Czy wie? – spytał zaciekawiony Longstreet. – Kto zabił pańskiego ojca?

– Nie. Gdyby wiedziała, kto to był, zabiłaby go, zapewniam pana – odparł Grey.

Longstreet nie krył zaniepokojenia.

– Mówi się, że kobiety bywają zdumiewająco mściwe – zauważył refleksyjnie doktor.

– Jeśli sądzi pan, że milczała, sir, to nic pan nie wie o kobietach. Ale ponieważ nie była pewna, kto jest mordercą, rzeczywiście milczała. I właśnie dlatego... – Słowa zamarły mu na ustach, gdy coś sobie nagle uświadomił. – Dlatego przesłał pan stronicę mojemu bratu, a drugą mojej matce? – Podniósł dziennik. – Z powodu jej bliskiego małżeństwa z generałem Stanleyem?

Longstreet pokręcił głową, oddech w jego płucach przypominał westchnienia wiatru w nadbrzeżnych wierzbach.

– Nie... dlatego, że mój kuzyn umierał. Było dla mnie jasne, że jest bliski śmierci, niemal poza zasięgiem sprawiedliwości czy jakiegokolwiek człowieka. Inni... gdyby...

Grey tracił cierpliwość.

– Dlaczego nasłał pan na mnie braci O'Higginsów?

Longstreet zmarszczył czoło.

– Kogo?

– Dwóch żołnierzy, którzy próbowali zasadzić się na mnie w Hyde Parku. – Przyszło mu do głowy, że Longstreet z pewnością zna nazwisko opiekuna Percy'ego, pana A. Pokusa, by o to spytać, była przeogromna, ale gdyby się dowiedział, pokusa odnalezienia tego człowieka byłaby jeszcze większa. A potem co?

Longstreet zmagał się z oddechem, tak jak Grey zmagał się z pierwotnymi instynktami.

– To... Nie chciałem, by doznał pan jakiegokolwiek krzy... krzywdy.

– Nie doznałem – odparł zwięźle Grey. – Nie przy tej okazji. Ale później zostałem zaatakowany niedaleko Seven Dials. To też pańskie dzieło?

Longstreet skinął głową, przyciskając dłoń do piersi.

– Ostrzeżenie. Oni... w obu przypadkach mieli tylko pozbawić pana przytomności i zostawić w pańskiej kieszeni trze...cią kartkę z dziennika. Nie spodziewałem się, że będzie pan wal...czył.

– Przykro mi z tego powodu. – Grey potarł się po lewej ręce. Zdjął wcześniej

temblak i teraz czuł w kończynie pulsowanie. – Jaki był cel tej farsy, u licha?

Longstreet odchylił się na swoim fotelu, ciężko dysząc.

– Sprawiedliwość – odrzekł cicho. – Niech pan to nazwie ulgą dla mego sumienia. Wybrałem swego kuzyna, tak jak mówiłem. Ale przed kilkoma miesiącami stało się dla mnie jasne, że umiera. A w chwili gdy znalazłby się poza zasięgiem sprawiedliwości... mogłem powiedzieć prawdę. Nie byłem jednak na tyle odważny, by uczynić to otwarcie... nie wówczas. – Po jego twarzy przemknął uśmiech. – Miałem wtedy coś do stracenia. – Przeczytał dziennik uważnie i wybrał trzy kartki. Na każdej był wymieniony Victor Arbuthnot. – Tylko to łączyło te stronice.

Pozostawienie kartki w gabinecie Meltona miało wzbudzić zaniepokojenie; druga kartka, przesłana hrabinie, miała ten niepokój spotęgować, a trzecia, dostarczona Greyowi po napaści, miała zagwarantować, że te stronice zostaną z uwagą przestudiowane – nazwisko Arbuthnot od razu rzuciłoby się w oczy, Greyowie zaś wyruszyliby na jego poszukiwania. Po tak długim czasie, jaki upłynął, Arbuthnot z pewnością wyznałby prawdę. A jeśli nie... Longstreet wciąż mógł ujawnić ją w jakiś inny sposób.

– Udało się w gruncie rzeczy – przyznał Grey, choć ten fortel wciąż budził w nim niezadowolenie. – Lecz Arbuthnot też nie wiedział, że mojego ojca zamordowano.

„Co jest ważniejsze – spytał go Longstreet – życie człowieka czy honor jego imienia, kiedy już nie żyje?”. Jedno i drugie, pomyślał Grey. Longstreet wybrał; on, Grey, wyboru nie miał.

– Kto zabił mego ojca, u diabła? – dopytywał się z gniewem.

– Nie wiem. – Doktor z każdą chwilą sprawiał wrażenie bardziej wyczerpanego, zmuszony coraz częściej zaczerpnąć oddechu; kaszlał chrapliwie i gwałtownie. Grey mimo woli poczuł współczucie dla tego człowieka. Longstreet wysunął niemal bezwładną rękę w stronę dziennika. – Wie pan... to, co ja wiem.

Grey siedział przez chwilę, czując brzemię pytań, które go nurtowały. Jednakże Longstreet nie znał odpowiedzi na większość z nich, a Grey nie mógł się zdobyć na to, by spytać o tę jedną rzecz, o której doktor wiedział: nazwisko pana A.

Wstał i wziął dziennik. Nagle przyszło mu na myśl ostatnie pytanie, na które Longstreet mógł znać odpowiedź.

– Mój brat wyzwał na pojedynek Nathaniela Twelvetreesa – powiedział niespodziewanie. – Wie pan dlaczego?

Longstreet, nieco zdziwiony, otworzył oczy i podniósł wzrok.

– A pan nie wie? Och, rozumiem. Przypuszczam, że Melton nigdy nie poruszał tej sprawy. Twelvetrees... uwiódł mu żonę.

Grey poczuł się tak, jakby Longstreet uderzył go z całej siły w pierś.

– Uwiódł mu żonę? – Uświadomił sobie z przerażeniem i jednocześnie z ulgą, że Longstreet nie miał na myśli Minnie, tylko Esmé, pierwszą żonę brata – piękną Francuzkę. Zmarła w połogu wraz z dzieckiem.

Czy było to dziecko Hala? – zastanawiał się głęboko poruszony. Pamiętał wielki żal brata z powodu jej śmierci, ale nie rozumiał w pełni jego uczuć. Teraz jego serce płonęło bólem.

– Dziękuję – odrzekł, nie bardzo wiedząc, co innego mógłby powiedzieć doktorowi, i ruszył ku drzwiom. Przyszło mu do głowy coś jeszcze. Odwrócił się z ciekawością. – Ostatnia rzecz. Zabiłby mnie pan? Gdyby mój brat nie był obecny przy tym, jak wyjmował pan odłamki z mojej piersi?

Longstreet odchylił głowę i obrzucił Greya uważnym spojrzeniem; w jego oczach, wciąż żywych w tej pociągłej i wychudzonej twarzy, malowała się pełna ironii inteligencja. Pokręcił z wolna głową.

– Gdybym spotkał pana w ciemnej uliczce... może. Gdyby...śmy zmierzyli się w pojedynku... z pewnością – urwał, by odetchnąć. – Ale przyszedł pan do mnie... jako pacjent. – Znowu zakaszał i poklepał się po piersi. – Pierwsze: ...nie szkodzić – wychrypiał i zamknął oczy.

Gospodyni, która stała dotąd milcząco w zaciemionym holu, weszła do pokoju, nie spojrzawszy na Greya. Zbliżyła się do Longstreeta, uklękła przy nim i odsunęła mu włosy z twarzy; dotyk kobiety był czuły i delikatny. Longstreet nie otworzył oczu, ale wyciągnął niespiesznym ruchem rękę i przykrył jej dłoń.

Grey odprawił wcześniej powóz, bo nie wiedział, jak długo może ta rozmowa potrwać. Bez trudu znalazłby dorożkę, ale wolał się przejść; nie zwracał nawet uwagi na to, dokąd zmierza.

W jego głowie panował chaos z powodu ujawnionej prawdy, szoku, domysłów i frustracji, a pod tym wszystkim krył się ból zrodzony z myśli o ojcu, matce, Hалу.

Ucisk w piersi sprawiał, że każdy oddech był wysiłkiem, ale Grey nie martwił się o ten tkwiący w nim jeszcze odłamek metalu; przystawał od czasu do czasu, gdy brakowało mu tchu. W końcu zawędrował nad Tamizę, gdzie znalazł odwróconą do góry dnem małą łódź płaskodenną i usiadł na niej z dziennikiem wetkniętym pod płaszcz, a potem obserwował nurt brązowej wody, która chlupotała przy brzegu wraz z przypiływem. Wyczerpany, uwolnił się od wszelkich rozważań, a jego umysł ogarniała z wolna pustka.

Spadł na niego przelotny deszcz, ale wraz z zachodem słońca chmury na niebie zaczęły się przeredzać.

Konkluzja to po prostu punkt, w którym rezygnuje się z myślenia. Zrezygnował i gdy dźwignął się z łodzi, stwierdził, że konkluzja niczym perła w muszli przybrała w jego głowie konkretny kształt.

Był spowiednikiem Longstreeta. Nadszedł czas, by poszukać teraz swojego.

Rozdział 32

Sprawa honoru

– Zrobiłem, jak pan prosił, lordzie Johnie – oznajmił Dunsany ściszym głosem, jakby ktoś mógł ich podsłuchiwać, choć siedzieli w bibliotece zupełnie sami.

– Tak jak... och! – Grey przypomniał sobie poniewczasie swoją prośbę, by James Fraser miał możliwość pisania listów. – Dziękuję, sir. Czy z owego eksperymentu... wyniknęły jakieś rezultaty? Wie pan coś o tym?

Dunsany skinął głową, marszcząc z troską wąskie czoło.

– Wysłał pewną liczbę listów, łącznie dziesięć, jak sędzę. Zgodnie z pańskim życzeniem nie otwierałem ich... – jego wyraz twarzy dowodził, że uważa to za poważny błąd – ...ale zwróciłem uwagę na adres. Zostały przesłane do pewnego miejsca na pogórzu szkockim, do niejakiej pani Murray, dwa zaś do Rzymu, pozostałe do Francji. Sporządziłem listę nazwisk... – Zaczął grzebać w szufladzie biurka, ale Grey powstrzymał go gestem dłoni.

– Dziękuję, sir, może później. Czy otrzymał jakieś odpowiedzi?

– Tak, kilka. – Dunsany zdawał się wyczekiwać pytania, ale Grey skinął tylko głową, nie zapytawszy o szczegóły.

Kwestia ukrywających się jakobitów, niegdyś tak ważna, zeszła na dalszy plan. Jak to powiedziała jego matka? Niech przeszłość grzebie zmarłych. Przypuszczał, że tak właśnie musi być, bo przeszłość była tym, z czym mógł sobie teraz poradzić.

Wiódł dalej rozmowę z Dunsanym, wyrażając zainteresowanie sprawami Helwater, a później słuchał miejscowych plotek przekazywanych mu przez lady Dunsany i Isobel, ale tak naprawdę nic do niego nie docierało. Zauważył jednak, że stosunki między lordem i lady Dunsany uległy znacznej poprawie; podczas herbaty siedzieli blisko siebie, a ich dłonie stykały się ze sobą nad pieczywem i masłem.

– Jak miewa się wasz wnuk? – spytał w pewnej chwili Grey, słysząc płacz, który dolatywał gdzieś z góry.

– Och, wspaniale – odparł rozpromieniony lord Dunsany.

– Wyrzynają mu się zębki, biedactwu – dodała lady Dunsany, choć nie sprawiała wrażenia poruszonej cierpieniem wnuka. – Jest dla nas taką pociechą.

– Ma sześć zębów, lordzie Johnie! – rzekła Isobel jak ktoś, kto dzieli się niezwykle istotną i ekscytującą wiadomością.

– Doprawdy? – odparł grzecznie. – Jestem zdumiony.

Myślał, że ten posiłek nigdy się nie skończy, ale stało się inaczej i mógł

wreszcie umknąć do swego pokoju. Nie zajrzał tam jednak, tylko zszedł cicho tylnymi schodami i wyszedł na zewnątrz. Ruszył w stronę stajni.

*

Jeden ze stajennych pracował na padoku, ale Grey odprawił go nieznacznym ruchem dłoni. Nie dbał o to, czy ktokolwiek uzna jego chęć rozmowy z Jamiem Fraserem sam na sam za coś osobliwego – tak czy owak, inni stajenni byli do tego przyzwyczajeni.

Fraser nakładał siana do żłobów i ledwie raczył spojrzeć na Greya, gdy ten wszedł do stajni.

– Zaraz skończę – oznajmił. – Chce pan posłuchać o listach, jak przypuszczam.

– Nie – odparł Grey. – Nie o to chodzi. W każdym razie teraz.

Fraser popatrzył na niego bacznie, ale Grey dał mu znak, by nie przerywał, więc dalej zajmował się swoją robotą. Wrócił z drugiego końca stajni, gdy wszystkie żłoby były już napełnione.

– Porozmawia pan ze mną jak mężczyzna z mężczyzną? – spytał Grey bez zbędnych wstępów.

Fraser wyglądał na zaskoczonego; zastanawiał się przez chwilę, potem skinął głową.

– Porozmawiam – rzekł ostrożnie, a Grey pomyślał, że Fraser może sądzi, iż chodzi o Genewę.

– To dotyczy moich spraw – zapewnił. – Nie pańskich.

– Doprawdy? – Fraser wciąż zachowywał dystans, ale oczy nie spoglądały już nieufnie. – Co to za sprawy, sir? I dlaczego ja?

– Dlaczego pan... – Grey westchnął, po czym usiadł na stołku i skinął na Frasera, by uczynił to samo. – Ponieważ jest pan uczciwym człowiekiem, panie Fraser, wierzę, że udzieli mi pan rzetelnej odpowiedzi. Poza tym, do diabła, jest pan jedynym człowiekiem, z którym mogę rozmawiać szczerze.

W oczach Frasera znów pojawiła się nieufność, ale usiadł, oparł widły o ścianę i oznajmił jedynie:

– Zatem niech pan mówi.

Grey powtarzał sobie to wszystko wielokrotnie podczas podróży z Londynu, starając się ułożyć możliwie zwięzłą opowieść. Nie było potrzeby wdawania się w szczegóły, więc nie przytoczył żadnych. Ani słowa o zdradzieckich gałkach u drzwi.

– Na tym polega mój dylemat – wyznał na koniec. – Jestem jedynym świadkiem. Bez mojego zeznania nie zostanie skazany ani potępiony. Jeśli skłamię przed sądem, stracę honor. Jeśli nie – będzie to kres jego życia albo wolności.

Jako że mówienie z taką otwartością przynosiło niewymowną ulgę, Grey

przypomniawszy sobie z bolesnym ukłuciem, że czuł to samo, opowiadając Percy'emu historię śmierci swojego ojca. Taka rozmowa dawała więcej niż godziny rozważań. Dzięki temu, że wyłuszczył całą rzecz Fraserowi, w jego umyśle pojawił się jasny wybór.

Fraser słuchał uważnie opowieści, ściągając nieznacznie rude brwi. Teraz patrzył w ziemię, wciąż marszcząc czoło.

– Ten człowiek jest dla pana kimś bliskim – oświadczył w końcu. – Ale bliskim wedle prawa, nie więzów krwi. Żywi pan do niego jakieś uczucia poza zobowiązaniami wynikającymi z przynależności do pańskiego rodu? Życzliwość? Miłość? – Ostatnie słowo zostało wypowiedziane bez szczególnego nacisku.

Grey pomyślał, że Fraser ma na myśli jedynie miłość, jaka istnieje w rodzinie. Podniósł się ze stołka i zaczął chodzić niespokojnie tam i z powrotem.

– Nie miłość – rzekł w końcu. – I nie życzliwość.

Pozostało trochę jednego i drugiego, owszem, ale w ostatecznym rozrachunku nie mogły go do niczego przymusić.

– A więc będzie to sprawa honoru? – spytał cicho Fraser. Wstał w otocze blasku padającego ze stajennej lampy.

– Tak – odparł Grey. – Ale co tu jest honorem?

Fraser wzruszył nieznacznie ramionami, Grey zaś dostrzegł błysk rudych włosów uchwyconych przez zabłąkany promyk światła przenikający szczelinę w deskach poddasza.

– To, co dla mnie jest honorem, nie musi być honorem dla pana, majorze. Dla mnie, dla nas, naszym honorem jest rodzina. Nie chciałbym widzieć żadnego krewniaka jako skazanego bez względu na jego zbrodnię. Ale – dodał, unosząc brew – odrażająca zbrodnia zostałaby ukarana. Przez wodza klanu, przez krewnych – nie przez sąd.

Grey stał nieruchomo.

– Rozumiem – rzekł powoli. I rzeczywiście rozumiał, co Fraser pojmuje przez honor. Ostatecznie było to proste, a ulga wynikająca z podjęcia decyzji przyćmiewała świadomość trudności, z jakimi należało się jeszcze zmierzyć. – To sprawa honoru, ale nie chodzi o moją reputację. W ostatecznym rozrachunku – ciągnął z rozmysłem – nie mogę zachować honoru i ujrzeć, jak wieszają go za zbrodnię, za którą ponoszę część winy, a uniknąłem konsekwencji jedynie za sprawą przypadku.

Fraser zeszywniał.

– Zbrodnię, za którą ponosi pan część winy... – mówił wyraźnie, a świadomość prawdy i odraza ujawniały się dobitnie w brzmieniu jego słów. Umilkł, nie chcąc powiedzieć nic więcej, ale widać było, że nie potrafi na tym poprzestać. – Ten człowiek... jest nie tylko pańskim przybranym bratem, ale... pańskim... – Szukał odpowiedniego określenia. – Kochankiem?

– Tak, był moim kochankiem. – W tych słowach powinna pobrzmiwać gorycz, ale stało się inaczej. Może pobrzmiwał w nich smutek, ale przede wszystkim ulga zrodzona z wyznania.

Fraser jednak parsknął pogardliwie i Grey obrócił się ku niemu nierozważnie.

– Nie wierzy pan, że mężczyźni mogą się kochać?

– Nie – odparł Fraser bez ogródek. – Nie wierzę. – Zaciskał przez chwilę usta, a potem dodał, jakby przymuszony przez uczciwość: – Nie w taki sposób przynajmniej. Miłość braci, krewnych... tak, oczywiście. Albo żołnierzy. Rozmawialiśmy... o tym.

– O Sparcie? Owszem. – Grey uśmiechnął się niewesoło. Toczyli pewnego wieczoru bitwę pod Termopilami w jego kwaterze w więzieniu w Ardsmuir, posługując się solniczkami, kośćmi do gry i guzikami mankietów na mapie nakreślonej kawałkiem węgla na blacie biurka. Był to jeden z wieczorów ich przyjaźni.

– Miłość Leonidasa do jego ludzi... jeden za drugiego jako wojownicy. Tak, to dostatecznie prawdziwe. Ale żeby... wykorzystywać mężczyznę w taki sposób... – Uczynił gest zaprzeczenia.

– Tak pan sądzi, prawda? – Grey już czuł, jak pulsuje w nim krew; czuł jej żar w piersi. – Czytał pan Platona, wiem o tym. A że jest pan człowiekiem wykształconym, mogę zakładać, że słyszał pan o świętym zastępie z Teb?

Na twarzy Frasera pojawiło się napięcie i pomimo przyćmionego światła Grey dostrzegł u niego rumieniec.

– Słyszałem – odparł krótko.

– Kochankowie – powiedział Grey, uświadamiając sobie, że jest cudownie rozgniewany. – Wszyscy żołnierze. Wszyscy kochankowie. Każdy mężczyzna i jego ukochany. „Kto porzuci ukochanego albo zawiedzie go w godzinie niebezpieczeństwa?”. – Popatrzył Fraserowi twardo w oczy. – I co pan na to, panie Fraser?

Oczy Szkota zrobiły się czarne.

– Powiem – odrzekł, odmierzając słowa jak monety – że tylko mężczyźni, którzy nie są zdolni posiadać kobiety, albo tchórze, którzy się ich boją, muszą uciekać się do takich nieprzyzwoitości, żeby ulżyć pożądaniu. A kiedy słyszę, że tym samym tchem wymawia pan słowo „honor...”. Jeśli chce pan wiedzieć, ściska mnie w żołądku. I co pan na to powie, milordzie?

– Powiem, że nie chodzi mi o nieprzyzwoitości żądzy, i jeśli życzy pan sobie rozmawiać o takich rzeczach, pozwolę sobie zauważyć, że widziałem większe nieprzyzwoitości, jakich doznawały kobiety ze strony mężczyzn, tak jak i pan. Obaj walczyliśmy w armiach. Powiedziałem „miłość”. I czym według pana jest owa miłość, że może być ona zarezerwowana jedynie dla mężczyzn, których

pociągają kobiety?

Na policzkach Frasera wciąż widać było plamy rumieńca.

– Kochałem żonę ponad życie i uważałem tę miłość za dar od Boga. Śmie mi pan mówić, że uczucia... jakiegoś zbrojeńca, który nie potrafi mieć do czynienia z kobietami jako mężczyzna, tylko poluje na bezbronnych chłopców... że to jest miłość?

– Oskarża mnie pan o polowanie na chłopców? – Grey zacisnął palce tuż przy rękojeści sztyletu. – Powiadam panu, gdyby był pan uzbrojony, odpowiedziałby pan za to tu i teraz!

Fraser odetchnął przez nos; wydawało się niemal, że wrze z gniewu.

– Niech się pan tylko do mnie zbliży, a pożałuje pan – rzucił pogardliwie. – Czy jestem uzbrojony, czy nie, nie jest pan władny mnie pokonać.

– Tak pan sądzi? Powiadam panu – odrzekł Grey, tak bardzo starając się stłumić furię w głosie, że ten dobywał się z jego ust niemal jako szept – powiadam panu, że gdybym miał wziąć pana do swego łóżka, przyprawiłbym pana o krzyk. I klnę się na Boga, zrobiłbym to.

Potem próbował sobie przypomnieć, co się wtedy stało. Czy się poruszył, refleks zaś i wyszkolenie bojowe przeważyły mgłę wściekłości, która go zaślepiała? Czy też to Fraser się poruszył, a jakaś resztką rozsądku zmieniła jego zamiar w tejże sekundzie, gdy rąbnął pięścią?

Próbował, ale nie znalazł odpowiedzi. Nie pamiętał niczego, z wyjątkiem szoku wywołanego impetem siły, kiedy pięść Frasera uderzyła w deski tuż obok jego głowy, i tchnienia gorącego oddechu na twarzy. I wrażenia obecności, bliskości ciała, i poczucia jakiegoś niepowstrzymanego fatum.

Później znalazł się na dworze, łapiąc spazmatycznie powietrze jak tonący i zataczając się na osłep w blasku zachodzącego słońca. Tracił równowagę, ale nie znalazł oparcia. Potknął się, wyciągnął rękę w poszukiwaniu ostoi i chwycił się jakiegoś sprzętu gospodarskiego.

Wzrok mu przejaśniał, oczy łzawiły – ale nie widział ani padoku, ani wozu, którego koła się przytrzymał, ani domu i trawników w dali. Widział twarz Frasera. Kiedy powiedział, że... Jaki demon podsunął mu tę myśl, te słowa? „Przyprawiłbym pana o krzyk”.

O Chryste, o Chryste. Ktoś je jednak podsunął.

Wzbierało w nim coś, swoiste wrażenie, jakby gdzieś w głębi jego brzucha pękło jakieś naczynie krwionośne, i ten płyn wypełnił go w ciągu kilku chwil, narastając z taką mocą, że nie mógł nad nim zapanować. Musiał zwymiotować albo...

Dysząc ciężko, szarpnął rozporek. Kilka chwili desperackich ruchów dłonią i wszystko się z niego wydobyło. Wyrzuty sumienia i tęsknota, wściekłość i żądza i inne uczucia, których nie potrafiliby nazwać nawet na torturach – wszystko to

pomknęło niczym rtęć wzdłuż jego kręgosłupa, między nogi, i wybuchło strumieniami, przywodząc na myśl wino wyciekające z dziurawego bukłaka.

Stracił siłę w nogach. Osunął się na kolana i tkwił w tej pozycji, chwiejąc się z zamkniętymi oczami. Nie doznawał niczego prócz uczucia niewypowiedzianej ulgi.

Po kilku minutach – albo godzinach – uświadomił sobie obecność słońca, ciemnoczerwonej plamy w czerni pod opuszczonymi powiekami. Chwilę później zdał sobie sprawę, że klęczy na pokrytej kałużami ziemi podwórza, z czołem przyciśniętym do koła wozu, że spodnie ma luźne i że wciąż zaciska kurczowo dłoń na członku.

– O Chryste – wyszeptał.

Drzwi stajni wciąż były uchylone, ale z mroku panującego wewnątrz nie docierały żadne odgłosy.

*

Grey wyjechałby od razu, gdyby nie wymogi grzeczności. Przesiedział ostatnią kolację z państwem Dunsany, odpowiadając automatycznie na ich uwagi i nie słysząc ani słowa, a potem udał się na górę, by powiedzieć Tomowi, żeby się zaczął pakować.

Tom zdążył się już do tego zabrać, świadom nastroju swego pana. Podniósł wzrok znad składanych rzeczy, kiedy Grey otworzył drzwi, a na jego twarzy malowało się przerażenie tak ogromne, że przeniknęło bez trudu skorupę zobojętnienia, która otaczała Greya od południa.

– O co chodzi, Tomie?

– Och... o nic, milordzie. Myślałem, że to może znowu on, a nie pan.

– On?

– Ten wielki Szkot, stajenny, którego zwą Alexem. Był tutaj. – Tom przełknął z wysiłkiem, tłumiąc mężnie resztki niebywałego zapewne szoku.

– Co, tutaj?

Żaden stajenny nie przekroczyłby progu domu, chyba że wezwany przez lorda Dunsany'ego w celu wyjaśnienia jakiegoś niewłaściwego zachowania. W przypadku Frasera wydawało się to jeszcze mniej prawdopodobne; budził w domownikach przerażenie i nie wolno mu było wyjść poza kuchnię, w której dostawał posiłek.

– Tak, milordzie. Załedwie kilka minut temu. Nie słyszałem nawet, jak otworzył drzwi. Spojrzałem po prostu, a on już tu stał. Napędził mi strachu, słowo daję!

– Nie wątpię. Czego chciał, u licha? Mówił coś? – Mógł się jedynie domyślać, że Fraser postanowił mimo wszystko go zabić i zjawił się w tym celu. Sam nie wiedział, czy o to dba.

Szkot według Toma nie odezwał się ani słowem. Pojawił się nagle znikąd, przeszedł obok jak duch, położył na biurku kawałek papieru i wyszedł tak cicho, jak się zjawił.

– Tam, milordzie. – Tom wskazał głową biurko, przelitykając nerwowo ślinę.
– Nie chciałem tego dotykać.

W rzeczy samej, leżała tam pomięta kartka, postrzępiony kawałek wyrwany z większego arkusza. Grey wziął ją ostrożnie, jakby mogła w każdej chwili wybuchnąć.

Okazała się brudnym kawałkiem papieru, przezroczystym miejscami od plam oleju i wydającym ostrą woń; zapewne używano go do owijania ryb. Czym posłużył się jako inkaustem? – zastanawiał się Grey, przesuwając kciukiem po powierzchni. Od razu powstały czarne smugi, które rozmazały się na skórze. Sadza ze świec zmieszana z wodą, pomyślał.

Liścik był zwięzły i nie nosił podpisu.

Uważam, że jego lordowska mość pragnie schwytać dzikie gęsi w locie.

– No cóż, dzięki za opinię, panie Fraser! – mruknął, zmiął papier w kulkę i wepchnął ją do kieszeni. – Możesz być gotów rano do wyjazdu, Tomie?

– Och, nawet za kwadrans, milordzie! – zapewnił gorliwie Tom, a Grey uśmiechnął się odruchowo.

– Wystarczy rano, jak sądzę.

Nie zmrużył jednak w nocy oka, obserwując wczesnojesienny księżyc, który wschodził nad stajniami, wielki i złoty, a potem coraz mniejszy i bledszy, by w końcu pojawić się pośród gwiazd, przesunąć nad domem i zniknąć.

*

Grey doczekał się odpowiedzi – albo jednej z wielu. Wiedział, że Percy nie umrze i nie spędzi reszty życia w więzieniu, jeśli on może temu zapobiec. Tyle postanowił. Zdecydował też, że nie będzie kłamał przed sądem. W żadnym razie. Nie mógłby. Wobec tego musiał znaleźć jakiś inny sposób.

Jak właściwie chciał to osiągnąć, nie było dlań jeszcze jasne, lecz zauważył, że bezustannie powraca wspomnienie wizyty u kapitana Batesa w Newgate i że w owym wspomnieniu zaczyna pojawiać się mgliście pewien pomysł. Jawił się jako absolutnie szalony, ale Grey nie martwił się tym szczególnie, bo już dawno przestał się przejmować takimi rzeczami jak stan swego umysłu.

W czasie gdy rozważał szczegóły owego mglistego planu, musiał się jednak uporać z jeszcze jedną odpowiedzią.

W pierwszej chwili, widząc ten jednozdaniowy list Fräsera, założył, że to szyderstwo i odmowa. A biorąc pod uwagę charakter ich ostatniego spotkania, przyjął owo założenie bez najmniejszych zastrzeżeń.

Jednak nie potrafił wymazać z pamięci tamtej katastrofalnej rozmowy – nie

w sytuacji, gdy skrywała odpowiedź na dylemat dotyczący Percy'ego. I ilekroć powracało do niego jej echo, tylekroć pojawiała się też twarz Jamiego Frasera i ogarniał go gniew i wstyd, i na nowo przeżywał koszmar tamtej ostatniej chwili.

Ten list nie nosił znamion szyderstwa. Fraser mógł bez trudu go wyszydzić – robił to zazwyczaj, prawdę powiedziawszy – ale tym razem stało się inaczej. Żaden z nich tego nie pragnął, ale żaden też nie mógł zaprzeczyć owej szczerości, która się nagle między nimi narodziła.

Spodziewał się, że będą się teraz unikać jak ognia, chcąc, by wspomnienie o tym, co wydarzyło się w stajni, zbladło, tak aby przy następnej wizycie w Helwater mogli rozmawiać w sposób cywilizowany, obaj świadomi tamtych chwil brutalnej szczerości, ale nie przyznając się do niczego. Fraser jednak go nie unikał – nie całkowicie. Grey rozumiał doskonale, dlaczego ten człowiek postanowił zostawić list, zamiast z nim porozmawiać; on sam nie mógłby spotkać się z Fraserem twarzą w twarz, w każdym razie nie tak szybko.

Powiedział mu, że ceni jego opinię jako uczciwego człowieka, i była to prawda. Nie znał nikogo równie szczerego – często aż do bólu. Co prowadziło do nieuniknionej konkluzji, że najprawdopodobniej Fraser dał mu to, o co go prosił. Nie wiedział tylko, co to, u diabła, znaczy.

Nie mógł wrócić do Helwater, bo zabrakłoby czasu, nawet gdyby sądził, że przyniesie to jakąkolwiek korzyść. Znał jednak jeszcze jednego człowieka, który z kolei znał Jamiego Frasera. Tak więc udał się we czwartek do Boodle'a na kolację, świadom, że spotka tam Harry'ego Quarry'ego.

– Znalazłem pierścień, Harry – oznajmił bez wstępów Grey, siadając obok Quarry'ego w palarni, gdzie jego przyjaciel raczył się poobiednim cygarem. – Taki jak twój.

– Co, ten? – Quarry spojrzał na swoją dłoń. Nosił tylko jeden pierścień z emblematem masońskim.

– Tak – potwierdził Grey. – Znalazłem taki sam. Chciałem cię spytać, czy nie wiesz, do kogo należy.

Quarry zmarszczył czoło, ale po chwili twarz mu się rozjaśniła.

– Chyba do Symingtona – odparł z miną magika wyciągającego z rękawa kolorowe szarfy. – Mówił, że jeden gdzieś się zapodział... ale to było miesiące temu! Chcesz powiedzieć, że miałeś go przez cały ten czas?

– Tak sądzę – wyznał Grey przeproszającym tonem. – Znalazłem go pewnego dnia w swojej kieszeni. Widocznie zabrałem go przez przypadek. – Włożył dłoń do kieszeni i, nachylając się, opróżnił jej zawartość na blat małego stolika między fotelami.

– Ale z ciebie sroka, Grey – mruknął Quarry, grzebiąc ostrożnie w tych resztkach. – Dziwi mnie, że nie zakładasz gniazd. Nie, oczywiście, Melton to robi. A co to takiego, na Boga? Przebijak do podków?

– Jego część. Myślę, że może pan to wyrzucić, panie Stevens. – Grey wręczył odłamany kawałek metalu zarządcy, a ten przyjął go z miną człowieka, któremu wręczono cenny i rzadki przedmiot.

– Co to jest? – Henry wyjął z małego stosu kawałek papieru i zaczął mu się z uwagą przyglądać, marszcząc przy tym czoło. – Trochę cuchnie.

– Aaa. To jest...

– „Uważam, że jego lordowska mość pragnie schwytać dzikie gęsi w locie” – przeczytał Quarry. Milczał przez chwilę, potem spojrzał na Greya. – Skąd to masz?

– Od jednego Jamesa Frasera, niegdysiejszego jakobity. – Grey, dostrzegając coś w twarzy Quarry’ego, nachylił się do niego. – Czy to coś w ogóle znaczy, Harry?

Quarry wydał nieco policzki i rozejrzał się, by się upewnić, że nikt ich nie słyszy. Uświadomiwszy to sobie, pan Stevens oddalił się taktownie, zostawiając ich samych.

– Fraser – odezwał się w końcu Quarry. – Niejaki James Fraser. No, no. – Quarry był poprzednikiem Greya jako zarządca więzienia w Ardsmuir i znał dobrze Jamiego Frasera, na tyle dobrze, by trzymać go w kajdanach. Wyglądził krawędź kartki, rozmyślając. – Przypuszczam, że byłeś zbyt młody – ciągnął. – I rzadko się to słyszało podczas powstania w czterdziestym piątym. Ale Stuartowie cieszyli się i nadal cieszą niejakim poparciem w Irlandii, jak sądzę. I cokolwiek to znaczy, młodszy arystokraci irlandzcy, którzy byli zwolennikami Starszego Pretendenta, nazywali siebie „dzikimi gęsiami”. – Podniósł zaciekawiony wzrok. – Szukasz przypadkiem irlandzkich jakobitów, Grey?

Zaskoczony Grey zamrugął.

– Prawdę mówiąc, Harry, nie mam najmniejszego pojęcia – wyznał. – Może tak. – Wziął ze stosu rupieci pierścień Symingtona i podał Quarry’emu. – Dopilnujesz, żeby Symington dostał to z powrotem, kiedy wróci?

– Oczywiście – zapewnił Quarry, patrząc nań ze zmarszczonym czołem. – Ale dlaczego sam mu tego nie oddasz?

– Nie wiem, gdzie wtedy będę, Harry. Może w Irlandii... goniąc dzikie gęsi. – Grey wsunął resztę rzeczy do kieszeni i uśmiechnął się do Quarry’ego. – Dziękuję, Harry. Ciesz się swoim cygarem.

Rozdział 33

Przyjęcie pożegnalne

Okolice kościoła St. Giles znane były jako Rookery, gdzie roiło się od irlandzkiej biedoty. Wąskie uliczki rozbrzmiewały przekleństwami, krzykami i dźwiękiem dzwonów kościelnych. Tom Byrd powoził, trzymając jedną ręką lejce, a drugą opierając na pistolecie za pasem.

Gdy koń zastukał kopytami o bruk Banbridge Street, Grey wychylił się z wozu z szylingiem w dłoni. Błysk metalu niczym magnes przyciągnął obdartego chłopca, który stał w wejściu do jakiegoś domu.

– Wasza miłość? – Chłopak nie mógł się zdecydować, na co ma patrzeć: na monetę, na Greya czy na zawartość wozu.

– Rafe i Mick O’Higginsowie – powiedział Grey. – Znasz ich?

– Wszyscy ich znają.

– To dobrze. Mam coś, co do nich należy. Możesz mnie do nich zabrać?

Chłopiec wysunął gwałtownym ruchem rękę w stronę monety, ale wiedział już, na czym powinien skupić uwagę. Jego czujne spojrzenie spoczęło na wozie.

– Tak, wasza miłość. Są teraz na stypie u Kitty O’Donnell na końcu O’Grady Street. Ale tędy pan nie dojedzie – dodał, odrywając na chwilę uwagę od wehikułu.

– Musi się pan cofnąć i pojechać Filley Lane. Tak będzie szybciej.

– Pokażesz nam, gdzie to jest? – Grey miał na podorędziu drugą monetę, ale zanim zdążył ją zaoferować, chłopiec usadowił się już na koźle obok niego i wykręcił szyję, żeby popatrzeć na automat.

Grey zatrzymał się wcześniej na obrzeżach St. Giles i tam zdjął dwie płachty, które zakrywały dyskretnie obiekt podczas jazdy przez Londyn wraz z górną gablotą, tak więc jaskrawo pomalowana figura była teraz doskonale widoczna, jadąc niczym imperator na wozie; jej ramiona ledwie się poruszały, a tułów obracał w odpowiedzi na okazjonalny ruch mechanizmu.

Tom Byrd, który dzierżył lejce, spojrzał podejrzliwie na ich przewodnika i mruknął coś pod nosem, ale cmoknął na konia i począł prowadzić ostrożnie ekwipaż przez zasłane odpadkami ulice. Grey i chłopiec byli zmuszeni co jakiś czas zsiadać z wozu, żeby usunąć z drogi to i owo – rozbite beczki, górę zepsutej kapusty, a raz nawet zdechłą świnię. Odległość jednak nie była wielka i w ciągu pół godziny dotarli do miejsca przeznaczenia.

– Tam? – Grey popatrzył z powątpiewaniem na budynek, który wyglądał tak, jakby miał się lada chwila zawalić. Pomijając niepewność konstrukcji, sprawiał wrażenie miejsca, do którego nikt zatroskany o swe bezpieczeństwo nie chciałby

wejść. Z alejki wyglądały umorusane sadzą twarze, wylegujący się na ulicy ludzie podnosili się odruchowo z rękami w kieszeniach, a wejście pozbawione drzwi ziało czernią niczym wrota piekieł.

Gdzieś wyżej, wewnątrz owej rudery, ktoś grał na blaszanej fujarce jakąś rzewną melodię.

Grey wziął oddech, żeby spytać, czy chłopiec może wejść do środka i sprowadzić braci O'Higginsów, ale nagle ze środka dobiegł odgłos otwieranych drzwi, a gwałtowny przeciąg przyniósł ze sobą odór, który utkwił Greyowi w krtani i przyprawił go o mdłości.

– Do diabła! – zawołał Tom Byrd. Wyjął czym prędzej chusteczkę z rękawa i przyłożył ją sobie do nosa. – Co to takiego?

– Coś martwego – odparł Grey, starając się nie oddychać. – Albo ktoś martwy. I od dawna.

– Kitty O'Donnell – wyjaśnił rzeczowo ich przewodnik. – Mówiłem, że jest stypa, no nie?

– Mówiłeś – przyznał Grey i sięgnął do torby, oddychając płytko przez nos. – Sądzę, że zgodnie z obyczajem należy dorzucić coś do poczęstunku żałobników.

Ku jego zaskoczeniu chłopiec się zawahał.

– No, tak jest, sir, nie inaczej. Tylko że... no cóż, widzi pan, to stara Ma O'Donnell.

– Martwa kobieta?

– Nie, to jej matka.

Rzeczywiście, obyczaj nakazywał zaoferować co najmniej dzin żałobnikom, którzy zjawili się na stypie, wyjaśnił chłopiec, kilka pensów na pochówek też było mile widziane. Ale Kitty O'Donnell cieszyła się popularnością i przyszło wielu ludzi, a czas upływał tak miło na śpiewach i opowieściach, że wypito cały trunek i wysłano po jeszcze więcej, zatem wydano na niego wszelkie datki i nic nie zostało na całun.

– Więc zrobiła to jeszcze raz – oznajmił chłopiec, wzruszając ramionami.

– Co zrobiła... urządziła następną stypę?

– Tak, sir. Ludzie bardzo poważali Kitty. A byli też tacy, którzy nie dowiedzieli się na czas i nie przyszli, i tak... – Spojrzał niechętnie w stronę wejścia. Ktoś zatrzaskał wewnętrzne drzwi i smród trochę zelżał, choć wciąż był wyczuwalny nawet przy wszelkiego rodzaju innych woniach typowych dla tej okolicy.

– Jak długo już leżą tam te zwłoki? – spytał Tom przez chusteczkę.

– Prawie dwa tygodnie – odparł chłopiec. – Stara Ma zgarnęła sześć datków i przez cały czas jest pijana jak bela. Ludzie, co mieszkają na dole, mają tego cholernie dosyć. – Wskazał głową pozbawiony okien budynek. – Ale kiedy próbowali się poskarżyć, żałobnicy, co to jeszcze nic nie wypili, zaczęli im

sprawiać kłopoty. Więc Rose Behan, ta, co mieszka na dole z sześcioma dziećmiakami, poszła do Rafe'a i Micka, żeby się dowiedzieć, czy mogą się tym zająć. I tak sobie miarkuję, sir... nie chcąc zniechęcać waszej miłości do dobrego uczynku... że może powinien pan tu zaczekać?

– Może i powinienem – mruknął Grey. – Jak długo...

Wewnętrzne drzwi otwały się nagle z impetem i dało się słyszeć łoskot, a smród się nasilił i tak zgęstniał, że stał się niemal widoczny. Rozległo się głucho uderzenie, gdy jakieś ciężkie ciało stoczyło się na dół; fujarka umilkła raptownie. Teraz docierały odgłosy kłótni i tupot, a kilka chwil później ukazał się jakiś diabelnie pijany, starszy człowiek. Zataczał się i mamrotał coś pod nosem, z wysiłkiem posuwając się tyłem.

Ścisnął kostki u nóg tłustej, niechlujnej kobiety, którą przeciągał bardzo powoli przez próg. Kobieta była albo martwa, albo po prostu zalana w trupa. O ile Grey mógł się zorientować, nie stanowiło to wielkiej różnicy. Jej głowa podskakiwała na bruku, spod czepka wysuwały się pozlepiane szare włosy, a podarta spódnica owinęła się wokół zwiędłych ud. Tak drastyczny widok wystarczył, by Grey czym prędzej odwrócił wzrok przez wzgląd zarówno na skromność własną, jak i tej kobiety.

Za tą małą procesją kroczył jeden z braci O'Higginsów, który wysunął głowę na zewnątrz, marszcząc czoło.

– No dobra, Paulie, zabieraj tę starą sukę do swojej żony i dopilnuj, żeby wróciła, jak już biedna Kitty zostanie przyzwoicie oplakana, rozumiesz?

Stary dżentelmen skinął z powątpiewaniem głową, mrucząc coś pod nosem, ale kontynuował swą znojną wędrówkę w głąb ulicy, a obfity zad jego towarzyszki zostawiał szeroką brudę w warstwie spadłych liści, psich odchodów i resztek spopielonego drewna z kominków i palenisk.

– Czy ktoś nie powinien mu pomóc? – spytał Grey, obserwując tę scenę. – Wydaje się dość ciężka.

– Och, broń Boże, sir – odparł O'Higgins. Zdawało się, że dopiero teraz dostrzegł Greya. – Nie jest ciężka. To jego siostra. – Przesunął wzrokiem po zawartości wozu z wystudiowanym znużeniem. – A co też sprowadza waszą miłość na O'Grady Street?

Grey kaszlnął i odsunął chusteczkę od ust.

– Mam propozycję, która może okazać się korzystna dla nas obu, panie O'Higgins. Znajdzie się tu jakieś przyjemniejsze miejsce, gdzie dałoby się pogadać?

*

Tom został przy wozie, trzymając pistolet w pogotowiu, Grey zaś ruszył za O'Higginsami do zapuszczonej tawerny, gdzie na ich widok jedno z pomieszczeń

na tyłach zostało bezzwłocznie opróżnione. Grey zauważył to z zainteresowaniem; najwidoczniej właściwie ocenił wpływy, jakimi mogli w St. Giles pochwalić się bracia.

Wciąż miał trudności, by odróżnić jednego od drugiego, ale to i tak nie miało znaczenia. Rafe był starszy i Grey zakładał, że właśnie on będzie przede wszystkim mówił. Jednak obaj słuchali z uwagą, ograniczając się do jedynie zdawkowych obiekcji.

– Przyjęcie pożegnalne Jacka Flynna? – spytał Rafe, jeśli istotnie był to Rafe, i wybuchnął śmiechem. – Jasne, i będzie wielka uroczystość. Jak powiadają, zostawił wszystkie dochody swojej dziewczynie z przykazaniem, by wydała każdy grosz na flaszkę.

– A zatem sądzicie, że będzie tam mnóstwo ludzi?

Jack Flynn był słynnym rozbójnikiem grasującym na gościńcach; mieli go za dwa dni powiesić w Tyburn. Podobnie jak w przypadku wielu znanych złodziei spodziewano się dużego „przyjęcia pożegnalnego” w Newgate z udziałem dziesiątków – czasem setek – przyjaciół i życzliwych, którzy zjawiali się gromadnie w więzieniu, by pożegnać się z nim odpowiednio i odprowadzić z fasonem na miejsce egzekucji.

– Och, w samej rzeczy – zgodził się Mick, jeśli rzeczywiście był to Mick, kiwając głową. – Zjawi się ogromny tłum. Flynna wszyscy lubią.

– Doskonale. I nie będzie problemów, żeby zabrać tam wasz automat dla tym większej zabawy na przyjęciu? Może z kilkoma kompanami, którzy będą go nieść? A jeden będzie wyraźnie zalany w trupa?

Dwie pary irlandzkich oczu błysnęły z rozmysłem. Automat z wróżbami mógłby być największą i najbardziej dochodową atrakcją, zwłaszcza podczas pożegnania rozbójnika.

– Nic łatwiejszego, sir – odpowiedzieli jednym głosem.

Stypa Kitty O'Donnell pozwoliła na dobrą sprawę wprowadzić pewne udoskonalenia do pierwotnego planu Greya. Początkowo myślał o wykorzystaniu jedynie gabloty, sam zaś mechanizm zostałby usunięty i pozostawiony w więzieniu. Ale skoro można było zdobyć zwłoki...

– Musi być świeży, rozumiecie, i odznaczający się z grubsza podobieństwem – uprzedził Grey. – Ale nie chcę, żebyście kogoś zabijali – dodał pospiesznie.

– Nie będzie żadnych kłopotów pod tym względem, wasza miłość – rzekł z przekonaniem jeden z O'Higginsów. – Małe słówko w ucho księdza i będziemy mieli, co nam potrzeba. Ojciec Jim zna każde zwłoki, które lądują w Rookery. I nie jest tak, że nie chcemy okazać im szacunku – zapewnił solennie. – Zostaną przyzwoicie pochowane, prawda?

– Postaram się, by pogrzeb był jak najbardziej okazały – obiecał Grey. Miał urządzić pogrzeb anglikański, ale przypuszczał, że świat się z tego powodu nie

zawali. To, że znajdowano w Newgate martwych więźniów, to nic niezwykłego. Ani władze więzienia, ani przedstawiciele armii nie stawialiby jakichkolwiek pytań, jak sądził: pierwsi nie chcieliby przyznać, że stracili więźnia, a drudzy tylko by się radowali, że pozbyli się kłopotu, uniknąwszy procesu i skandalu.

O'Higginsowie wymienili spojrzenia i wzruszyli ramionami; wydawali się usatysfakcjonowani, choć Rafe uznał za stosowne przypomnieć o czymś.

– Wasza miłość zdaje sobie sprawę, że przestępca, co to ucieka z więzienia, jest na miejscu wieszany, nieważne, za co go wsadzili?

– Tak, panie O'Higgins. Podobnie jak ci, którym udowodni się pomoc w ucieczce. Wszyscy, którzy w niej pomogli.

Strażnicy, którzy zorientowaliby się w oszustwie, mieliby do wyboru: albo podnieść krzyk i sprawić, że ich zaniedbanie wyszłoby na jaw, albo uznać po cichu, że niejaki Percival Wainwright umarł na gorączkę więzienną... Hal nie był hazardzistą i nie lubił zakładów w przeciwieństwie do Greya, który już dawno przestał rozważać szanse powodzenia tego przedsięwzięcia.

Pokrytą zarostem twarz Irlandczyka rozjaśnił uśmiech odsłaniający przerwy między zębami.

– W porządku, sir, dopóki jesteśmy czysti, że się tak wyrażę. Czy wasza miłość wybierze się z nami, żeby obejrzeć zabawę?

– Ja... – urwał nagle. Nie pomyślał o takiej możliwości, chociaż mógł. Nieogolony, mając na sobie brudne proste odzienie, pośród bandy irlandzkich obwiesi zdołałby wejść niezauważony do więzienia; przeniósłby wraz z innymi zwłoki do celi Percy'ego, a potem patrzył, jak młodzieniec wymienia się z trupem na ubrania. Byłby wśród tych, którzy trzymając w ramionach jego ciepłe i żywe ciało, wyprowadzą go w przebraniu pijaka i złożą w trumnie. I Percy jako zmarły krewny braci O'Higginsów pojedzie do Irlandii i do Susannah Tomlinson, podczas gdy bezimienne zwłoki zostaną pospiesznie spalone.

Przez chwilę jego ciało niczym żywy ogień rozpałało pragnienie, by ujrzeć Percy'ego jeszcze raz, by go dotknąć. Odetchnął głęboko i płomień zgasł.

– Lepiej nie – odparł z niekłamanym żalem i wręczył braciom niewielką pękatą sakiewkę. – Powodzenia, panie O'Higgins.

Rozdział 34

Księżna Pardloe

Po prywatnym – ale uroczystym – pogrzebie Percivala (sic!) Wainwrighta Grey stwierdził, że nie ma nic szczególnego do roboty. Wciąż był zbyt osłabiony, by powrócić do służby, ale zbyt zdrowy, by leżeć w łóżku. Ogarniało go przygnębienie i niepokój, bo nie mógł się na niczym skupić. Pełna współczucia rodzina z ulgą zostawiała go samemu sobie.

Rankiem trzynastego października stał w ogrodzie swego brata i markotny wrzucał okruchy chleba do stawu z rybami, próbując wzbudzić w sobie radość, że nie musi stawiać się przed sądem i zeznawać.

Poniewczasie zdał sobie sprawę z obecności Toma Byrda, który towarzyszył mu już od jakiegoś czasu.

– Co? – spytał z gwałtownością, o jaką przyprawiał go markotny nastrój.

– To ci Irlandczycy, milordzie – odparł służący, a ton jego głosu dowodził, że mówi w imieniu całego domostwa, które nie aprobuje tej wizyty.

– Jacy Irlandczycy?

– Włóczędzy, milordzie. Zna ich pan, jak twierdzą? – Intonacja tych słów sugerowała, że nie może to być prawda.

– Och, jego miłość zna nas bardzo dobrze, to pewne.

Tom obrócił się gwałtownie, wyraźnie obrażony na widok dwóch obdartych i nieogolonych osobników, którzy stali tuż za nim, uśmiechając się szeroko.

– Włóczędzy, tak? – rzucił jeden z nich, podchodząc bliżej, i trącił Toma łokciem w bok. – A ty jesteś papieżem, co, przyjacielu?

– Pan O’Higgins. I pan O’Higgins. – Grey poczuł, jak na jego twarzy pomimo zaskoczenia pojawia się uśmiech. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedykolwiek ich ujrzy.

– Ci sami, wasza miłość. – Jeden – Grey nie wiedział, czy to Rafe – skłonił się z szacunkiem. – Proszę nam wybaczyć, że przedłużyliśmy urlop, sir. Mieliśmy do załatwienia pilne sprawy rodzinne. Jestem pewien, że wasza lordowska mość wie, jak to jest.

Grey zauważył, że Mick – jeśli rzeczywiście to Mick – ma grubo zabandażowaną rękę. Opatrunek był świeży, ale poplamiony krwią.

– Wypadek? – spytał, a O’Higginsowie wymienili spojrzenia.

– Pies mnie ugryzł – wyjaśnił obojętnie Mick, po czym wsunął kontuzjowaną kończynę do kieszeni. – Wróciliśmy, żeby zgłosić się do służby, sir.

Co oznaczało, jak Grey przypuszczał, że w Irlandii zrobiło się dla nich zbyt

gorąco i że postanowili schronić się pod skrzydłami armii. Ponownie.

– Naprawdę? – zapytał.

– Tak, sir. Dostarczyliśmy bezpiecznie tamtej damie pańską wiadomość. Przekazała nam list, żebyśmy oddali go panu po powrocie. – Irlandczyk pogrzebał w płaszczu zdrową ręką, ale nie znalazł tego, czego szukał. – Masz to, Rafe?

– Oczywiście, że nie, niezdaro. Ty to miałeś.

– Nigdy w życiu. Myślę, że ostatnim razem ty to miałeś.

– Niech cię diabli wezmą, kłamiesz jak pies. Nie miałem.

Grey przewrócił oczami i skinął na Toma, który sięgnął do kieszeni i wyjął garść monet.

List znalazł się w cudowny sposób, O’Higginsowie zaś przyjęli kolejną hojną nagrodę za swe usługi, zapewniając, że robią to z niechęcią i że na nią nie zasługują, po czym zostali odesłani, by zameldować się u kapitana Wilmota w koszarach. Łatwo się domyślić, jaką radość sprawi Wilmotowi ich widok.

Grey dał znak Tomowi, by sprawdził, czy O’Higginsowie rzeczywiście opuścili dom bez srebrnych sztućców i innych cennych przedmiotów, i już w samotności wyjął list.

Był zaadresowany nieznanym charakterem pisma: „Major John Grey”, bez jakichkolwiek innych wskazówek. Serce zaczęło walić mu jak młotem, on zaś nie potrafiłby przysiąc na Biblię, czy to ze strachu, czy też dlatego, że żywił nadzieję.

Wsunął kciuk pod zakładkę koperty, dostrzegając, że została zapieczętowana, ale że samej pieczęci brakuje; pozostała tylko czerwona smuga po wosku. Można się było tego spodziewać – choć wiedział, że przyciśnięci do muru O’Higginsowie zarzekaliby się święcie, że list został im przekazany w takim właśnie stanie.

Zawierał kilka stron; na pierwszej znajdowała się krótka wiadomość:

Jeśli czyta pan te słowa, majorze, spełnił pan obie me prośby i niniejszym składam panu podziękowania. Sądzę jednak, że zasługuje pan na coś więcej, i oto przekazuję to panu. Czy zechce pan to wykorzystać, zależy od pana; ja już do tego nic nie mam.

Pański pokorny sługa,

Michael Bates, kapitan, Straż Konna

Jego pierwszym uczuciem była ulga zmieszana z rozczarowaniem, ulga przemożna, a niebawem pojawiła się ciekawość.

Przeszedł do następnej kartki. Przed jego oczami, na papierze, widniało nazwisko Bernarda Adamsa i Grey usiadł na krześle, a potem zaczął czytać.

Czynię to wyznanie jako człowiek skazany, wiedząc, iż niebawem umrę. Mówię zatem prawdę, co potwierdzam przysięgą, żywiąc nadzieję w Bogu.

Po raz pierwszy spotkałem pana Adamsa na przyjęciu w domu lady Joffrey

ósmego kwietnia zeszłego roku. Pan i pani T. też tam byli, pani T. zaś spędziła trochę czasu na rozmowie ze mną sam na sam. Kiedy oddaliła się na chwilę, Adams podszedł do mnie i powiedział bez wstępów, że to ładna kobieta, ale bez wątpienia kosztowna. Jeśli chciałbym się dowiedzieć, jak zdobyć trochę pieniędzy, powinienem odwiedzić go w następnym wtorek w jego domu.

Moja ciekawość została rozbudzona, tak więc udałem się tam. Zaprowadziwszy mnie do swej biblioteki, pokazał mi plik listów podpisanych przeze mnie i zawierających obietnice spłacenia przeróżnych długów karcianych i innych, niekiedy bardzo znacznych. Nie kryłem szoku. Pokazał też pewną korespondencję przesłaną mi przez panią T., jej charakter zaś świadczył niedwuznacznie o naturze naszego związku. Zniszczyłoby to nas oboje, gdyby zostało publicznie ujawnione.

Pojmując, że znalazłem się za sprawą pana Adamsa w bardzo niekorzystnym położeniu, spytałem, jakie ma wobec mojej osoby zamiary.

W liście opisano następnie ze szczegółami, jak kapitana Batesa wciągnięto w intrygę, której celem było zdobycie i przekazywanie pewnej liczby dokumentów. Wymieniono nazwiska Ffoulkesa, Otwaya i Jeffordsa; inni też byli w to zamieszani, jak uważał Bates, ale nie znał ich tożsamości. Ffoulkesa wciągnięto do spisku, oferując mu pieniądze, tak przynajmniej sądził kapitan, Otwayowi i Jeffordsowi zaś zagrożono ujawnieniem ich skłonności.

Bates ukradł liczne dokumenty z kilku gabinetów w Whitehall; był tam dobrze znany i nie wzbudzał podejrzeń. Przekazał dokumenty Adamsowi, który według kapitana zbierał informacje też od innych ślepych wykonawców jego poleceń.

Napaść na Adamsa została sfingowana. Plan polegał na tym, że Bates miał spotkać się nad brzegiem Tamizy niedaleko Lambeth z Adamsem, który zamierzał przekazać kapitanowi mały kuferek zawierający wszystkie wspomniane dokumenty. Łódź już rzekomo czekała. Bates, pozorując walkę, zraniłby lekko Adamsa dla niepoznaki, a potem wsiadł do łodzi i popłynął do Francji, gdzie dostarczyłby dokumenty bratu pani Ffoulkes. W kufierku znajdowały się nie tylko oficjalne papiery, ale też dowody na długi Batesa, listy pani Tomlinson i pewna suma pieniędzy. Po przybyciu do Francji mógłby zniszczyć te kompromitujące dlań materiały, posłać po panią Tomlinson i żyć sobie spokojnie.

Adams powiedział mi, że Otway i Jeffords zamierzali upozorować włamanie do jego domu, potem zniknąć, ale że zatrzymałby dokumenty, dopóki nie zostałyby mi przekazane. Dowiedziałem się później od Otwaya, że Adams miał tam swoich ludzi, którzy rzucili się na niego i Jeffordsa w chwili, gdy wchodzili do domu. Adams tymczasem pospieszył na nasze spotkanie, gdzie czekali już inni wynajęci przez niego ludzie.

Pojawili się, gdy zgodnie z planem ranilem lekko pana Adamsa nożem w rękę, tak jak było umówione, i mnie schwykali.

Nie wiem, co stało się z dokumentami. Adams miał ze sobą niewielki kuferek, ale upadł na ziemię w trakcie walki i okazał się pusty. Wie pan, co się potem wydarzyło.

Zeznanie urywało się nagle.

Zostało podpisane przez kapitana Michaela Batesa w obecności naczelnika więzienia Newgate i – ostatni dowód swoistego poczucia humoru Batesa – niejakiego Ezekiała Poundstone’a, kata.

Grey złożył starannie kartki. Było to krótkie, jasne zeznanie, ale zawierało konieczne szczegóły – nazwiska, daty, miejsca – a także charakter paru dokumentów, które Bates zdobył na polecenie Adamsa.

Stał i patrzył przez chwilę na staw, nieświadom tego, gdzie się znajduje i na co patrzy.

Jak wszystko tego dowodziło, plan Adamsa polegał na tym, by to Bates, Otway i Jeffords zostali obwinieni o kradzież dokumentów. Nie mógł przewidzieć tego, co wydarzy się naprawdę – że sama kradzież zostanie zatuszowana, spiskowcy skazani za niezgodny z naturą występki, nie zaś za kradzież i zdradę, które, oczywiście, były jak najbardziej z naturą zgodne.

Jaką rolę odegrał w tej sprawie Ffoulkes? Przypuszczalnie miał negocjować z Francją, wykorzystując krewnych swej żony jako pośredników między nim a szpiegami Ludwika. Kiedy Ffoulkes się zastrzelił? – zastanawiał się. Wydawało się, że dawno temu, ale wspomnienia Greya o wszystkim, co wydarzyło się wcześniej niż dnia poprzedniego, nie były wiarygodne. Przypomniał sobie jednak pewną rzecz i bez zwłoki wszedł do domu. Udał się do biblioteki, po czym zaczął przetrząsać szufladę, w której zwykł chować przeróżne papiery, aż znalazł pobrudzoną i postrzępioną stronicę gazety, w której zagięciach wciąż wyczuwało się leciutką woń kawy.

Sięgnął czym prędzej do zeznania Batesa, żeby sprawdzić datę. Nie, Ffoulkes zastrzelił się kilka dni przed aresztowaniem kapitana, Otwaya i Jeffordsa.

Kradzież wyszłaby na jaw bardzo szybko, bo Adams nie mógł zwlekać z wykonaniem tej części planu, która miała chronić go przed oskarżeniem. Ale co z drugą częścią? Dostarczeniem skradzionych materiałów do Francji? Wraz ze śmiercią Ffoulkesa ta ścieżka mogła być zamknięta.

Złożył ponownie list i wsunął go do kieszeni. Wszystkie te pytania mogły poczekać. Najważniejsze okazało się to, że miał w ręku narzędzie, dzięki któremu był władny otworzyć usta Bernardowi Adamsowi, tak jak otwiera się beczkę solonych śledzi. Ktoś na szczeblach władzy powinien zobaczyć ten list – ale jeszcze nie teraz.

– Nordman! – zawołał, wychodząc do holu. – Wezwij powóz, proszę. Wyjeżdżam.

*

Dom Bernarda Adamsa nie był okazały, ale odznaczał się elegancją – klejnot architekta Inigo Jonesa osadzony w małym prywatnym lasku. Grey nie miał nastroju do podziwiania scenerii, ale zauważył niewielki kamienny budynek oddalony nieco od głównej siedziby, jego zdobienia zaś dowodziły niezbicie, że to niegdysiejsza kaplica katolicka. Adams nie był jednakże katolikiem – w przeciwnym razie nie mógłby piastować żadnej funkcji w rządzie.

W każdym razie nie mógł nim być otwarcie.

– Irlandzki jakobita – mruknął do siebie Grey. – Jezu.

Droga Adamsa ku władzy zaczęła się od stanowiska sekretarza Roberta Walpole'a i Grey oczami wyobraźni ujrzał tak wyraźnie, jakby ta scena rozgrywała się w tej chwili, postać wysokiego, schorowanego premiera wspartego ciężko na swym sekretarzu – swym irlandzkim sekretarzu – zmierzającego ścieżką, by złożyć wizytę wdowie po księciu Pardloe.

Zaciskając szczęki tak mocno, że aż zazgrzytały mu zęby, pokonał zdecydowanym krokiem schody i zapukał do drzwi.

– Sir? – Kamerdyner był Irlandczykiem. Greyowi wystarczyło to jedno słowo, by się zorientować.

– Twój pan. Pragnę się z nim widzieć.

– Ach. Przykro mi, pana nie ma.

Grey chwycił służącego za ramię i pchnął go, wchodząc do domu.

– Sir!

– Gdzie on jest?

Kamerdyner rozejrzał się dzikim wzrokiem, jakby chciał wezwać pomocy.

– Powiedz mi, gdzie jest, a odejdę – obiecał Grey. – W przeciwnym razie... będę zmuszony sam go poszukać. – Miał przy pasie rapier i teraz położył dłoń na jego rękojeści.

Kamerdyner sapnął z przerażenia.

– On... pojechał spotkać się z księżną Pardloe.

– Co? – Grey pokręcił głową przekonany, że się przesłyszał, ale służący powtórzył swe słowa już pewniej, ponieważ uznał, że mimo wszystko nie zostanie przeszyty na wylot.

– Księżna Pardloe, sir. Przysłała tego ranka wiadomość... Byłem przy tym, kiedy pan ją otworzył i... ach, przypadkowo ją podejrziałem.

Grey skinął głową, z trudem panując nad sobą.

– A dowiedziałeś się przypadkowo, gdzie ma dojść do tego spotkania? I kiedy?

– Przy Edgware Road, w domu zwanym Morning Glory, o czwartej – wypalił kamerdyner.

Grey puścił bez słowa rękojeść rapiera i odszedł. Czuł się oszołomiony

i stracił równowagę, jakby ktoś nagle wyszarpnął mu dywan spod stóp.

To było niemożliwe – a jednocześnie nie mogło takie być. Nikt prócz jego matki nie posłużyłby się tym tytułem. I stanowił on wyzwanie dla Adamsa. To na pewno ona. Ale jak wróciła do Londynu i co, na Boga, wyprawiała?

Owładnięty strachem, pobiegł ścieżką w stronę ulicy, gdzie czekał powóz. Morning Glory. Znał ten dom: niewielki, elegancki budynek należący do rodziny Walpole'ów. Co...?

– Edgware Road! – krzyknął do woźnicy, wskakując do środka. – Szybko!

*

Domostwo wyglądało na opuszczone: okiennice zamknięte, fontanna na frontowym dziedzińcu sucha, sam dziedziniec zaśłany spadłymi liśćmi. Dom sprawiał wrażenie siedziby, której mieszkańcy wyjechali na wieś, wcześniej zaś zakryli meble płótnami i zwolnili służbę.

Nie było też śladu powozu, konia, jakiegokolwiek żywej istoty. Grey wchodził na schody ostrożnie, potem stał przez chwilę, nasłuchując. Panowała tu cisza zakłócana jedynie wołaniem gawronów na konarach nagich drzew w ogrodzie.

Ujął gałkę przy drzwiach; obróciła się w jego dłoni. Z wolna uwalniając wstrzymywany oddech, otworzył drzwi i wszedł z wielką ostrożnością do środka.

Meble były pozakrywane, jak zauważył. Przystanął i znów zaczął nasłuchiwać. Żadnych głosów, żadnych dźwięków prócz własnego oddechu. Znał ten dom, bywał tutaj podczas wieczorów muzycznych – śpiewała żona obecnego hrabiego Orford albo przynajmniej tak jej się wydawało.

Wszystkie drzwi znajdujące się w foyer stały otworem prócz jednych. Domyślił się, że prowadzą do biblioteki. Położył dłoń na rękojeści rapiera, ale nie dobył ostrza. Adams był drobnym człowiekiem i starszym od niego o dwadzieścia lat; uznał, że nie potrzebuje broni.

Ujął gałkę z chińskiej porcelany, pomalowaną w róże i dotykając jej, poczuł bolesne ukłucie, ale nie miał teraz czasu rozmyślać o takich rzeczach. Pchnął lekko drzwi i spojrzał wprost w lufę pistoletu, wymierzoną dokładnie w niego.

Rzucił się w bok, chwycił krzesło i w ostatniej chwili powstrzymał się, by nie cisnąć nim w osobę trzymającą broń.

– Jezu! – Stał przez chwilę jak skamieniały, a potem, drżąc na całym ciele, postawił krzesło i się na nie osunął.

– Co tu robisz, na Boga? – spytała ostrym tonem jego matka, opuszczając pistolet.

– Mógłbym spytać cię o to samo, matko. – Serce waliło mu w piersi, a z każdym uderzeniem czuł przeszywający ból w lewej ręce. Oblął go zimny pot.

– To sprawa prywatna – stwierdziła kategorycznie. – Zechcesz wyjść, do wszystkich diabłów?

Nie zwrócił uwagi na jej niestosowny język.

– Nie wyjdę. Co zamierzałaś? Zastrzelić na miejscu pana Adamsa? Czy ten pistolet jest nabity?

– Oczywiście, że nabity – zapewniła poirytowana. – I gdybym chciała zabić go na miejscu, już byś nie żył. Odejdź!

– Nie – odparł krótko, wstając, i sięgnął po broń. – Oddaj mi to.

Cofnęła się dwa kroki, wciąż trzymając blisko piersi pistolet, który był nie tylko naładowany, ale miał też odciągnięty kurek, jak zauważył.

– Proszę, byś wyszedł, Johnie – powiedziała jak najspokojniej, choć dostrzegł przyspieszony puls we wgłębieniu jej krtani i nieznaczne drżenie dłoni. – Musisz odejść, i to natychmiast. Opowiem ci wszystko, przysięgam. Ale nie teraz.

– Nie ma go. Nie przyjdzie. – Tyle mu zaświtało w głowie. Dochodziło prawie wpół do piątej; słyszał tuż przed swoim przybyciem bicie dzwonów. Gdyby Adams zamierzał się zjawić, już by tu był. A to, że go nie było...

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

– Adams – powtórzył. – Czy to Bernard Adams zabił ojca?

Z jej twarzy zniknęła wszelka barwa, ona sama zaś usiadła znienacka na sofie. Oczy miała zamknięte, jakby nie mogła unieść powiek.

– Coś ty zrobił, Johnie? – wyszeptała. – Co ty wiesz?

Zbliżył się i usiadł obok niej, po czym wyjął pistolet z jej dłoni, która opadła, nie stawiając oporu.

– Wiem, że ojciec został zamordowany – odparł łagodnie. – Wiem o tym od tamtego ranka, kiedy go znalazłaś. Byłem tam, ukryty w oranżerii.

Zszokowana, otworzyła raptownie oczy; były jasnoniebieskie, takie jak jego.

– Kiedy wróciłaś? – spytał. – Czy sir George wie?

Pokręciła wolno głową.

– Wróciłam... trzy dni temu. Oznajmiłam mu, że chcę pojechać do Londynu na ślub przyjaciółki. Sam wróci za miesiąc. Nie miał obiekcji.

– Miałby, gdyby wrócił i przekonał się, że nie żyjesz albo że cię aresztowano. – Odetchnął i poczuł, jak jego serce uspokaja się z wolna. – Powinnaś była nam powiedzieć – rzekł. – Mnie i Halowi.

– Nie. – Pokręciła głową, znowu zamykając oczy. – Nie! Nigdy by nie spoczął. Wiesz, jaki on jest.

– Tak, wiem – odparł Grey, uśmiechając się bezwiednie. – Jest taki jak ty, matko. I ja.

Drżąc, schyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach, wstrząsana dreszczami.

– Straciłam męża – wyszeptała. – Nie chciałam stracić synów. – Podniosła głowę i rzuciła mu szybkie i rozpaczliwe spojrzenie. – Myślisz, że nic nie wiem o mężczyznach? Zwłaszcza o tobie i twoim bracie? Albo o generale?

– Co masz na myśli?

Wydała z siebie cichy dźwięk, który mógł być śmiechem albo szlochem.

– Wierzysz, że mogłabym ci o tym powiedzieć... któremuś z was... i oczekiwać, że żaden nie zacznie drążyć tej sprawy bez względu na niebezpieczeństwo?

– No, oczywiście, że nie. – Patrzył na nią, jakby nie pojmował. – A co innego moglibyśmy zrobić?

Przesunęła drżącą dłonią po twarzy i obróciła się do ściany, gdzie wisiało ozdobne lustro.

– Czy byłoby lepiej, gdybym miała córki? – spytała zwierciadła z niekłamaną szczerością. – Nie – odpowiedziała sama sobie. – Poślubiłyby mężczyzn, niestety. – Zamknęła na chwilę oczy, chcąc bez wątpienia nad sobą zapanować, potem je otworzyła i obróciła się ku niemu, już spokojniejsza. – Gdybym wtedy wiedziała, kto to jest, powiedziałabym Halowi – oznajmiła z przekonaniem. – W każdym razie powiedziałabym, gdybym zdecydowała, jak najlepiej rozwiązać tę sprawę. Ale nie wiedziałam. A on... a potem ty... narażalibyście się, nie wiedząc, na czym polega niebezpieczeństwo albo co może wam grozić. Nie, nie. Nie mogłam do tego dopuścić.

– Chyba masz rację – przyznał z niechęcią, a ona parsknęła ironicznie. – Ale się dowiedziałas. – Przyszło mu do głowy, że nigdy się nie pogodziła ze śmiercią księcia, co wzbudziło w nim podziw, że czekała, cierpliwie czekała przez cały ten czas, wypatrując sposobności, by poznać i zniszczyć człowieka, który zabił jej męża. – Jak odkryłaś, że to Adams?

– Zaszantażowałam Gilberta Rigby.

Grey otworzył bezwiednie usta.

– Co? Jak?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Kapitan Rigby... przypuszczam, że muszę go nazywać doktorem Rigby... jest hazardzistą. Zawsze nim był, a ja miałam go na oku. Wiem, że roztrwonił większość rodzinnego majątku, kiedy w zeszłym roku sprzedał miejską rezydencję, którą w spadku pozostawił mu jego ojciec. Teraz wykorzystuje fundusze przekazywane na rzecz jego szpitala. Poprosiłam więc Harry'ego Quarry'ego, by zasięgnął dyskretnie języka i wykupił długi Rigby'ego. – Sięgnęła do skórzanego etui, które leżało na stoliku obok sofy i je otworzyła. Znajdował się w nim plik papierów. – Pokazałam mu to i zagroziłam, że wszystko ujawnię, jeśli mi nie zdradzi, kto zabił Gerarda.

Co rzekł doktorowi Longstreetowi? „Gdyby wiedziała, kto to był, zabiłaby go, zapewniam pana”.

Grey był zszokowany, ale niespecjalnie zaskoczony.

– I zrobił to.

– Myślę, że odczuł wielką ulgę – odparła z nutą zdziwienia w głosie. –

Gilbert nie jest złym człowiekiem, tylko słabym. Nie potrafił wyznać wtedy prawdy. Kosztowałoby go to wszystko. Ale był szczerze poruszony tym, co się stało... Powiedział, że nie wie, czy rzeczywiście Bernard Adams zabił Gerry'ego, i przez cały czas uspokajał sumienie, wmawiając sobie, że Gerry musiał popełnić samobójstwo. Ale stanąwszy wobec prawdy i tego – obrzuciła ironicznym spojrzeniem etui – przyznał się. Mimo wszystko wciąż ma coś do stracenia.

– A ty nie? – spytał Grey, wciąż urażony na myśl, że planowała zmierzyć się z Adamsem sama.

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Bardzo dużo – odparła beznamiętnie. – Ale i ja jestem hazardzistką i mam w sobie ogromne pokłady cierpliwości.

Uniósł pistolet i opuścił ostrożnie kurek.

– Czy brałaś pod uwagę ryzyko, że cię schwytają? – dopytywał się. – Nawet gdybyś zdołała udowodnić, że Adams zabił ojca? Wyznanie Rigby'ego to jeszcze nie dowód. Jest bardzo prawdopodobne, że zostałąś powieszona. Co pomyślałaby o tym sir George?

Nie kryła zaskoczenia.

– Co? Za kogo mnie masz?

– Nie chcesz chyba, żebym odpowiadał, matko. Co masz na myśli?

– To, że nie zamierzałam go zabijać – odrzekła z oburzeniem. – Co by to dało? Poza niewielką satysfakcją z zemsty, cóż by mi przyniosło odebranie mu jego nędznego życia? – dodała gorzko. – Nie, zamierzałam zmusić go, by przyznał się do zbrodni. – Wskazała głową stół, a Grey zauważył obok czarnego etui podręczne biureczko do pisania. – Potem pozwoliłabym mu odejść. Mógłby wyjechać z kraju, gdyby chciał. Rzecz wyszłaby na jaw. Straciłby wszystko, co się dlań liczyło, a ja mogłabym przywrócić Gerry'emu honor. – Jej głos zadrzał przy ostatnim słowie, Grey zaś pod wpływem nagłego impulsu podniósł dłoń matki do ust.

– Dopilnuję tego – szepnął. – Przysięgam.

Po jej twarzy płynęły łzy, ale wzięła głęboki oddech i zapanowała nad głosem.

– Gdzie on jest? Adams?

– Ucieka, jak sądzę. – Przekazał, co usłyszał od jego kamerdynera. – Podejrzewa prawdopodobnie, że masz jakiś dowód i dlatego się nie zjawił. No i jeszcze to... – Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął garść drobiazgów, pośród których znajdowało się pośmiertne doniesienie kapitana Batesa.

Przeczytała je w milczeniu, potem powróciła do pierwszej strony i przeczytała wszystko ponownie.

– A więc wyjechał – stwierdziła bezbarwnym głosem, kładąc kartki na kolanach. – Wziął pieniądze i uciekł do Francji. Wystraszyłam go, a on zniknął.

– Nie opuścił jeszcze kraju – wyjaśnił Grey, siląc się na przekonujący ton. –

A nawet gdyby uciekł... stracił już pozycję i reputację. Sama mówiłaś, że nie chcesz odbierać mu życia.

– Nie chcę – odparła przez zaciśnięte zęby. – Ale to – uderzyła papiery wierzchem dłoni, zrzucając je na podłogę – jest dla mnie bezużyteczne. Nie dbam o to, czy świat pozna Bernarda Adamsa jako przestępcę i zdrajcę. Pragnę przywrócić honor twemu ojcu!

Grey schylił się, żeby pozbierać papiery, a potem schował je do kieszeni.

– W porządku – powiedział i wziął głęboki oddech. – Znajdę go. – Zawahał się, patrząc na matkę.

Siedziała sztywno, prosta niczym lufa muszkietu, ale sprawiała wrażenie bardzo małej i drobnej. Nagle jej twarz zaczęła zdradzać swój wiek.

– Czy mam cię odwiedzić... do domu? – spytał, nie bardzo wiedząc, o jaki dom może chodzić. Ten przy Jermyn Street był zamknięty. Czy miał ją zabrać do domostwa Minnie? Serce w nim zamarło na myśl o zamieszaniu, jakie by to wywołało.

– Nie – odparła, pomyślawszy najwidoczniej o tym samym. – Mam powóz. Pojadę do domu generała. Idź.

– Tak. – Nie oszedł jednak, w każdym razie nie od razu. W jego głowie kłębiły się myśli, lęki, przypuszczenia, niesprecyzowane plany. – A jeśli będziesz potrzebować... pomocy... a mnie nie będzie w pobliżu...

– Wezwę Harry'go Quarry'ego – oznajmiła matka zdecydowanym tonem. – Idź, Johnie.

– Tak, tak, to... – Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. – Czy Quarry wie? O wszystkim?

– Na pewno nie wie. Od razu powiedziała by Halowi.

– Zatem jak nakłoniłaś go, by... – Wskazał głową skórzane etui. Ku jego zdziwieniu matka się uśmiechnęła.

– Jeszcze jeden szantaż – wyznała. – Harry pisuje erotyki, bardzo eleganckie w samej rzeczy. Uprzedziłam go, że wszyscy się o tym w pułku dowiedzą, jeśli nie spełni mojej prośby. Było to całkiem proste – dodała z nutą zarozumiałości. – Można sobie poradzić z mężczyznami. Trzeba tylko wiedzieć jak.

*

Grey był tak zdumiony odkryciem, że podgeniusz to w rzeczywistości Harry Quarry, że ledwie zauważał, dokąd zmierza, i w rezultacie pokonał prawie pięćset metrów, nim przypomniał sobie o powozie, który czekał w bocznej uliczce niedaleko Morning Glory. Zawrócił pospiesznie, zastanawiając się, od czego zacząć poszukiwania Bernarda Adamsa.

Uważał za bardzo prawdopodobne, że matka ma rację. Adams zamierzał wyjechać do Francji. Jeśli tak, to czy wszedłby na pokład statku wypływającego

z najbliższego portu? W takiej sytuacji zdołałby go dopaść, miał bowiem przewagę godziny, może nawet dwóch. A jeżeli Adams planował najpierw wyruszyć łodem i wsiąść na statek w jakimś odleglejszym porcie, by zmylić pogoń?

Czy się jej spodziewał? Postępował zapewne, opierając się na przekonaniu, że księżna dysponuje dowodami jego działalności i postępów, ale upłynęłoby kilka dni, nim zapoznałaby z owymi dowodami – jeśli istniały – ludzi, którzy mogliby podjąć stosowne działania.

Jeśli zaś nie spodziewał się pogoni... ale opuścił zniemacka swój dom, nie zabrawszy ze sobą jakichkolwiek rzeczy osobistych...? Dowodziłoby to zamiaru pospiesznej ucieczki...

Pochłonięty tymi rozważaniami, niemal biegnąc gnany niepokojem, Grey pomylił uliczkę, w której pozostawił powóz, przekonany, że woźnica zmęczył się czekaniem i odjechał, potem jednak uświadomił sobie swoją pomyłkę i zawrócił. Nim odszukał wehikuł, był przepocony, pulsowało mu w ręce, a pierś zaczęła palić. Ujął klamkę drzwi powozu, otworzył je na oścież i już miał wsiąść, gdy nagle znieruchomiał, ujrawszy, że ktoś tam siedzi.

– Mam nadzieję, że wasza miłość czuje się dobrze – oznajmił grzecznie jeden z braci O’Higginsów. – Diabelnie dużo czasu zajęła panu pańska sprawa i proszę mi wybaczyć, że to mówię.

Grey padł na siedzenie, ocierając rękawem pot z czoła.

– Co tu robisz?

– Czekam na pana, to oczywiste. – Wychylił się przez okno i zawołał do woźnicy: – Ruszaj, chłopcze. Tam, gdzie ci powiedziałem, i pospiesz się!

– I gdzie to jest? – Grey odzyskiwał oddech i przytomność umysłu i teraz przyglądał się nieufnie O’Higginsowi.

– Dowództwo pułku, ma się rozumieć – odrzekł Irlandczyk. – Tam będzie.

– On?

O’Higgins przewrócił oczami.

– Bernard Adams. Kiepski Irlandczyk z niego, na dodatek wredny odszczepieniec – odparł z nabożną miną i się przeżegnał.

Grey padł na poduszki, uświadomiwszy coś sobie.

– Przeczytaliście list Batesa.

– No, owszem – przyznał O’Higgins bez cienia wstydu. – Był szokujący, bez dwóch zdań.

– Nawet się nie domyślasz, jak bardzo – oznajmił sucho Grey, który czuł się już nieco lepiej. – Dlaczego uważasz, że Adams jest w kwaterach pułku? A skoro o tym mowa, skąd się tu wzięłeś?

– Och, poszedłem za waszą miłością, kiedy opuścił pan dom Adamsa – powiedział Irlandczyk beztrąsko. – Mój brat podążył za panem Adamsem, kiedy on wyszedł z domu tuż przed panem. Proszę się nie martwić, nawet jak odejdzie,

zanim dotrzemy na miejsce, Rafe przyczepi się do niego jak rzep do psiego ogona.

– Ale dlaczego on...

– No, pieniądze, a co innego? – wyjaśnił Mick, jakby to było oczywiste. – Schował je w naszym wrózbicie. I poszedł do gabinetu pańskiego brata, żeby je odzyskać. Ale nie wiedział, że ich już nie ma. – Irlandczyk uśmiechnął się radośnie. – Pomyśleliśmy, że się panu odwdzięczymy i zaprowadzimy waszą miłość do niego.

Grey gapił się na O'Higginsa, ledwie zauważając nieprzyjemne chybotanie pędzącego po kocich łbach powozu.

– Znaleźliście je. Pieniądze. – Nagle przyszło mu coś do głowy. – Były tam jeszcze... jakieś papiery?

– Och, tak, zbutwiałe śmieci wetknięte pod mechanizm. Spaliliśmy je – oznajmił O'Higgins swobodnie. – A jeśli chodzi o to, czy znaleźliśmy jakieś pieniądze, nie mogę powiedzieć, sir. Ale rzeknę, że mając sposobność przemyśleć sobie wszystko, zdecydowaliśmy, Rafe i ja, że koniec końców armia nie za bardzo nam odpowiada. Wrócimy do Irlandii, jak już załatwimy tę sprawę.

Powóz pokonał ze stukotem kół następny zakręt i konie, parskając, zatrzymały się na rogu Cavendish Square. Zbliżał się koniec dnia; kwatery pułkowe świeciły prawdopodobnie pustkami. A na to właśnie czekał Adams, jak Grey sobie uświadomił.

Rzucił woźnicy kilka monet, obrócił się ku budynkowi i zobaczył przygarbioną postać, która wyłoniła się z ciemności i podeszła do nich.

– Jest w środku? – spytał Mick, a Rafe skinął głową.

– Dopiero co wszedł, nie będzie nawet pięciu minut. – Spojrzał na Greya, potem popatrzył na fasadę budynku. – Nie trzeba mówić wartownikowi, jak mi się zdaje – powiedział. – Wasza miłość chce się z nim rozmówić jak mężczyzna z mężczyzną? Dopilnujemy, żeby nie wyszedł, ja i Mick. – Oparł się o framugę drzwi. Nie przypominał w niczym żołnierza, ale z pewnością robił wrażenie, trzymając dłoń na solidnej pałce z dębiny.

– No... owszem – odrzekł Grey. – Dziękuję.

Drzwi nie były zaryglowane. Wszedł do środka i przystanął, nasłuchując. Poczul na karku strużki potu. Wokół panowała cisza, aż w uszach dzwoniło.

Wszystkie drzwi na parterze były zamknięte. Gabinet Hala znajdował się na górze. Grey niemal odruchowo dobył ostrza ruszył ku schodom.

Nie starał się tłumić odgłosu kroków, bo nie miało znaczenia, czy Adams usłyszy jego kroki.

Na górze było zupełnie pusto i niemal ciemno, nie licząc gasnącego blasku słońca, który wpadał przez okno na końcu korytarza. Z prawej strony jednak dostrzegł srebrzystą smugę; drzwi gabinetu Hala stały otworem.

Co powinienem czuć? – zastanawiał się, idąc korytarzem i wystukując

obcasami miarowy rytm niczym bicie serca. To wszystko tak długo trwało, nie mógł uwierzyć, że sprawa zmierza ku końcowi.

Adams go usłyszał. Stał przy biurku, na jego ziemistej twarzy malowało się napięcie. Odprężył się trochę, ujrawszy Greya, i wsparł się o biurko.

– Och, lord John – powiedział. – To pan. Szukałem właśnie...

– Wiem, czego pan szukał – przerwał mu Grey. – To bez znaczenia.

Adams spojrzał na niego czujnym wzrokiem.

– Obawiam się, że źle mnie pan zrozumiał, sir – zaczął.

Grey uniósł rapier i przysunął ostrze do piersi mężczyzny.

– Dobrze rozumiałem. – Jego głos brzmiał mu w uszach dziwnie; był obojętny i spokojny. – Zabił pan mojego ojca, a ja o tym wiem.

Adams otworzył szeroko oczy spanikowany.

– Co? Pan... Ależ to nonsens! – Cofnął się pospiesznie, machając rękami. – Doprawdy, sir, muszę zaprotestować! Kto panu nagadał takich... bzdur?

– Moja matka – odrzekł Grey.

Adams zbladł, odsunął gwałtownym ruchem ostrze i rzucił się do ucieczki. Zaskoczony, Grey skoczył za nim i zobaczył go biegnącego co sił w nogach korytarzem, na którego końcu stał krzepki Rafe O'Higgins trzymający w pogotowiu pałkę.

Grey ruszył szybko, Adams zaś obrócił się rozpaczliwie i zaczął szarpać gałkę najbliższych drzwi, które okazały się zamknięte. Twarz mu stężała, kiedy Grey zbliżył się doń, i przywarł plecami do framugi, zaciskając palce na drewnie.

– Nie może mnie pan zabić! – zawołał głosem piskliwym ze strachu. – Nie jestem uzbrojony.

– Tak jak nie był uzbrojony karaluch, którego rozdeptałem w swojej kwaterze zeszłego wieczoru.

Adams trwał jeszcze w miejscu przez chwilę, ale gdy Grey zbliżył się na odległość pchnięcia, stracił panowanie nad nerwami i uskoczył, po czym wyminął przeciwnika, biegnąc ile sił w nogach.

Nie miał dokąd uciec. Przed nim ciągnął się korytarz, długi i ciemny tunel, oświetlony jedynie poświatą szarego zmierzchu, wpadającym przez wysokie okno na końcu – okno, które otwierało się na pustą przestrzeń o głębokości dziesięciu metrów. Adams walił w zamknięte drzwi, wzywając przeraźliwie pomocy, ale nikt mu nie odpowiedział – wszystkie pokoje były zamknięte. Przypominało to koszmar senny i Grey zastanawiał się przez krótką chwilę, czy to on śni ten koszmar, czy Adams.

Grey gonił resztkami sił, więc nie ruszył w pościg. Serce pulsowało mu boleśnie przy każdym uderzeniu, w uszach rozbrzmiewało echo własnego oddechu. Szedł powoli korytarzem, stawiając kroki ostrożnie. Rękojeść ostrza stała się śliska w jego spoconej dłoni. Zataczał się i ocierał ramieniem raz o jedną, raz o drugą

ścianę.

Następne drzwi za gabinetem Hala otworzyły się i na zewnątrz wyjrzała zaciekawiona głowa. Pan Beasley. Adams go dostrzegł i rzucił się w jego stronę.

– Pomocy! Proszę mi pomóc! Jest szalony, chce mnie zabić!

Pan Beasley podsunął okulary na nosie, obrzucił spojrzeniem Greya, który przemierzał chwiejnym krokiem korytarz z ostrzem w dłoni, po czym wskoczył do gabinetu Hala jak kret do nory. Zatrzasnął drzwi, ale nie zdążył ich zaryglować, nim Adams walnął w nie całym ciężarem ciała.

Obaj mężczyźni wpadli do gabinetu, Grey zaś pospieszył jak najszybciej i zjawił się w chwili, gdy pan Beasley skoczył w stronę biurka, co utrudniał mu Adams czepiający się jego nogi. Starszy wiekiem urzędnik pozbawiony teraz okularów i peruki chwycił nóż do listów leżący pośród pobojuwiska na blacie i z miną wyrażającą głębokie oburzenie dźgnął nim Adamsa w rękę.

Adams zawył z bólu i puścił przeciwnika, po czym zwinął się w kłębek jak kot. Pan Beasley z walecznym błyskiem w oku podniósł obiema dłońmi trzeci tom *Histoire de la dernière guerre de Boheme* i walnął nim z wielką siłą w głowę Adamsa.

Grey wsparł się jedną ręką o framugę drzwi, a wrażenie zamknięcia w jakimś koszmarze sennym jedynie się pogłębiło.

– Proszę zostawić go mnie, panie Beasley – odezwał się łagodnie, widząc, że starszy człowiek łapie spazmatycznie oddech i rozgląda się za jakąś nową bronią.

Pan Beasley zamrugał, patrząc na niego spod przymrużonych powiek, ale potem skinął głową i bez słowa wycofał się na korytarz. Wskoczył do swojej urzędniczej nory i zamknął za sobą drzwi.

– Wstawaj – zwrócił się Grey do Adamsa, który próbował wpełznąć pod biurko Hala. – Wstawaj, powiedziałem! Albo wbiję ci rapier prosto w ten twój tchórzliwy tyłek, przysięgam. – By zilustrować swą groźbę, dźgnął Adamsa w pośladki końcem ostrza, minister zaś wrzasnął z przestachu i walnął głową o biurko.

Jęcząc i czołgając się, Adams wynurzył się spod mebla i na stanowczy gest Greya dźwignął się z podłogi.

– Nie. – Przełknął z widocznym wysiłkiem ślinę i otarł dłonią usta. – Błagam pana, sir. Niech pan mi nie odbiera życia. Byłby to poważny błąd, zapewniam pana.

– Nie chcę twojego pieprzonego życia. Chcę przywrócić memu ojcu dobre imię.

Po twarzy Adamsa spływał pot, peruka przekrzywiła się na głowie, odsłaniając cienką szczecinę posiwiałych włosów.

– I jak chce pan tego dokonać? – spytał ośmielony obietnicą Greya, że nie zostanie zabity.

Grey zbliżył się do niego szybko, chwycił go za fular i pociągnął z całej siły, aż Adams zrobił się czerwony na twarzy, ale atakował rozcapierzonymi palcami i kopął. Udało mu się trafić raz Greya w goleń, ale ten nie zwrócił na to uwagi. Fular pękł z trzaskiem; zdawało się, że lada chwila tak samo może się stać z wybałuszonymi oczami Adamsa, który ukląkł, chwytając się teatralnym gestem za szyję.

Grey odrzucił rapier i dobył sztyletu. Przyklęknął na jedno kolano i znalazł się twarzą w twarz z Adamsem, chwycił go za ramię i przysunął czubek noża do dolnej powieki jego oka. Skończył już z groźbami; krótkim, miękkim ruchem wbił ostrze i nim obrócił.

Wypuścił z dłoni sztylet i usłyszał, jak uderza z brzękiem o podłogę. Wrzask Adamsa przypominał odległy i stłumiony dźwięk, jakby dochodzący spod wody. Wszystko wokół Greya pływało; zamknął oczy, chcąc ochłoniąć z oszołomienia.

Musiał się zdobyć na ogromny wysiłek, by wstać, bo wydawało mu się, że na jego barkach spoczywają stukilogramowe worki z piaskiem. Dźwignął się jednak i stanął niepewnie. Zalewały go fale gorąca i zimna, mięśnie klatki piersiowej paliły niczym ogień, lewa ręka przypominała martwy ciężar u boku.

Adams zgięty wpół przyciskał obie dłonie do oka, wydając z siebie wysoki i zawodzący dźwięk. Papiery porozrzucane na biurku Hala były upstrzone kroplami krwi.

– Moje oko! Moje oko! Oślepiłeś mnie!

– Zostało ci jeszcze jedno, dzięki któremu spiszesz swe wyznanie – powiedział Grey, staniając się ze zmęczenia. Jednak zbierając resztki sił, krzyknął podniesionym głosem: – Panie Beasley! Jest pan mi potrzebny!

Rozdział 35

Wyrzekam się ich

Reginald Holmes, główny zarządca White's Chocolate House, spędzał spokojny wieczór w swoim gabinecie, przeglądając rachunki członków klubu. Właśnie zadzwonił na kelnera, by ten przyniósł mu następną whisky, wielce pomocną przy owym zadaniu, kiedy z sal na dole dobiegły go piekielne odgłosy awantury – krzyki, wiwaty, hałas przewracanych mebli, co sprawiło, że trącił kałamarz i wylał atrament.

– Co się dzieje, na litość boską? – spytał gniewnie, wycierając kałuże chusteczką, kiedy w drzwiach pojawił się jeden z kelnerów. – Czy ci ludzie nigdy nie śpią? Przynieś mi szmatkę, Bob.

– Tak, sir. – Kelner skłonił się z szacunkiem. – Przybył książę Pardloe, sir, ze swoim bratem. Przekazuje wyrazy szacunku i prosi, by zszedł pan na dół i był świadkiem rozstrzygnięcia zakładu zapisanego w księdze.

– Książę... – Holmes wstał, zapominając o plamie atramentu na rękawie. – I chce rozstrzygnąć zakład?

– Tak, sir. Jego książęca mość jest bardzo pijany, sir – dodał kelner delikatnie. – I przyprowadził znaczną liczbę przyjaciół znajdujących się w takim samym stanie.

– Tak, słyszę.

Holmes stał przez chwilę, zastanawiając się. Z dołu dobiegły go głośne chóralne śpiewy. Wziął księgę rachunkową i gęsie pióro, po czym odszukał stronę z nagłówkiem „Hrabia Melton”. Przekreślił te słowa równą linią i zmienił na „Książę Pardloe”, a potem umieścił zamasyście pod spodem nową pozycję: „Szkody”.

Śpiewacy zdążyli już dojść do nie najgorszej wprawy wokalne.

Nie pójdziemy do domu aż do rana,

Nie pójdziemy do domu aż do rana,

Nie pójdziemy do domu aż do rana,

Dopóki blask dnia się nie pojawi!

– Przynieś beczkę Santo Domingo z dwudziestego pierwszego – poinstruował kelnera, notując coś pospiesznie. – Zapiszę to na rachunek Jaśnie Oświeconego Księcia.

*

Z bólem głowy i podkrążonymi oczami, lecz nieskazitelnie odziany, lord John Grey zajął nazajutrz wyznaczone miejsce obok chrzcielnicy w kościele Świętego Jakuba. W ramionach trzymał kilka metrów białego atłasu oraz koronki z Mechlin, w których kryła się jego chrześnica, lady Dorothea Jacqueline Benedicta Grey. Minnie zastanawiała się przez pewien czas, czy nie nadać swej córce imienia Prudence, ale Grey odwiódł ją od tego, dowodząc, że byłoby rzeczą nieroztropną obarczać dziecko tak uciążliwym domniemaniem przyszłej cnoty.

Generał, który dopiero co wrócił z Indii Zachodnich, i lady Stanley też byli obecni. Stali blisko siebie, ona zaś opierała dłoń na jego ramieniu w geście małżeńskiej czułości. Grey uśmiechnął się do matki, która odwzajemniła mu się tym samym, a po chwili przysunęła się do niego zaniepokojona, gdy dziecko zaczęło się wiercić i on omal go nie upuścił.

Ratując wnuczkę przed upadkiem, Benedicta doświadczoną ręką poprawiła szatkę i z niepewną miną zwróciła synowi dziecko, gotowa w każdej chwili przyjść niemowlęciu z pomocą.

Minnie znajdująca się po drugiej stronie chrzcielnicy popatrzyła na niego surowo, ale była zajęta poskramianiem trzech synów, którzy zachowywali się cicho, ale wiercili niczym odziane w atłasy robaki. Hał, tuż obok niej, zdawał się zasypiać na stojąco.

Pan Gainsborough, portrecista, którego najęto w celu uwiecznienia uroczystości chrztu, przycupnął w zacienionej części kościoła, gdzie udzielał wskazówek swemu pomocnikowi i co chwila odrywał wzrok od szkicownika, by spojrzeć na rozgrywającą się przed nim scenę. Uchwycił wzrok Greya i dał mu znak, by uniósł wyżej brodę i obrócił się do światła.

Grey kaszlnął grzecznie i odwrócił się tymczasem do pastora, który akurat do niego przemawiał.

– Czy wyrzekacie się szatana, który jest głównym sprawcą grzechu? Czy wyrzekacie się próżnego przepychu i chwały świata i wszystkich pożądlivych pragnień tegoż, a także zmysłowych pragnień ciała, abyście nie podążali ich śladem ani im nie ulegali?

– Wyrzekamy się ich. – Siostra Minnie, matka chrzestna, stała obok Greya i wraz z nim powtarzała te słowa cichym głosem.

– Czy wierzycie w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi? I w Jezusa Chrystusa, syna Jego jedyne, Pana naszego, narodzonego z Maryi Dziewicy, umęczonego i pogrzebanego, który powstał z martwych i zasiada po prawicy Ojca...

Grey spojrział w pogrążoną we śnie twarzyczkę niewinności i zaklął w duchu. Nie wiedział, czy zdoła wierzyć. Ale postanowił, że dla tej dziewczynki spróbuje.

*

Po chrzcie rodzina pojechała powozem do rezydencji Greyów na skraju Hyde Parku. Drzewa pyszniły się jesienną wspaniałością; ich spadające liście porywał wiatr, spod kół zaś wzbijały się czerwień, złoto i brąz.

Minnie wraz z siostrą udała się na górę, żeby zanieść dziecko do jego pokoju, ale chłopcy domagali się jedzenia i zrzuciwszy buty, atłasowe płaszcze i krawaty, oblegli ojca, prosząc o posiłek.

– Chcę herbatniki z migdałami, papo!

– Nie, szarlotkę z rodzynekami!

– Słodką tartę! – pisnął Henry, wzbudzając powszechny aplauz.

– Tak, tak, tak, tak! – powtarzał Hal, starając się bezskutecznie uciszyć wrzawę. Przyłożył dłoń do głowy, która nadal była w kiepskim stanie. – Chodźcie, kucharka coś nam znajdzie, jak mi się wydaje. – Przynaglił swój oddział do marszu, ale potem zatrzymał się i popatrzył na Greya, trzymając dłoń na drzwiach prowadzących do kuchni. – Czy zechce pan uczynić nam ten honor i zjeść z nami słodką tartę na śniadanie, milordzie?

– Z największą chęcią – odparł John, uśmiechając się szeroko. – Jaśnie Oświecony Książę.

Oddał płaszcz lokajowi i ruszył za nimi, ale przystanął, ujrawszy swe nazwisko. Na srebrnej tacy przy drzwiach pozostawiono poranną pocztę, a na samym wierzchu leżał list zaadresowany do lorda Johna Greya. Marszcząc czoło, wziął go do ręki. Kto mógłby przysłać tu list? – zastanawiał się.

Przełamał pieczęć i rozłożył dwie kartki. Na pierwszej widniał rysunek: szkic Forum Romanum. Rozpoznał ten widok rozciągający się ze szczytu Kapitolu. Wiadomość na drugiej kartce była krótka, nakreślona wyraźnie i starannie.

Mewy na Tybrze wołają przez całą noc, wołają twe imię.

– Ave! – krzyczą.

– Ave.

Podpisu oczywiście nie było.

– Ave – cicho rzekł Grey – *atque vale, frater meus*. Witaj i zegnaj.

Przysunął kartkę do płomienia świecy i trzymał tak długo, aż ogień zaczął parzyć go w palce, potem rzucił ją na tacę, na której papier zamienił się po chwili w popiół. Rysunek zachował – by pamiętać.

Od autorki

Hogg house. Kiedy lord John zauważa, że ciało Genevy nie spoczywa *in some hogg house or desolate shed*, nie chodzi mu o to, że jej rodzina mogła ją złożyć w chlewie. *Hogg house* to miejsce przechowywania wysuszonego torfu.

Homofobia. Jestem niezwykle zobowiązana zarówno Nortonowi Rictorowi (*Mother Clap's Molly-House*), jak i Byrne'owi Fone'owi (*Homophobia: A History*) za wnikliwe uwagi na temat postrzegania i traktowania homoseksualistów w połowie osiemnastego wieku. Cytaty w tej książce, odnoszące się do społecznego i prawnego ścigania homoseksualistów, zostały zaczerpnięte z wyżej wymienionej książki i są autentycznymi wyjątkami z gazet i periodyków tamtego okresu.

Horace Walpole. Jeden z najbardziej znanych epistolografów pierwszej połowy osiemnastego wieku, a zbiór jego korespondencji jest równie cenny dla każdego, kto bada ten okres, jak pamiętniki Samuela Pepysa dla badaczy czasów wcześniejszych. Czwarty syn Roberta Walpole'a (pierwszego hrabiego Orford, który w większym lub mniejszym stopniu był twórcą urzędu premiera, choć sam odmawiał używania tego tytułu), Horace, nie zajmował się polityką, ale odznaczał się niezwykłą wnikliwością – wspartą dowcipem i ironią – jeśli chodzi o społeczne, wojskowe i polityczne procesy swego środowiska.

Uprzedzenie. Mówiąc o fobiach... historyczne postawy wobec Irlandczyków, Szkotów etc. zostały przedstawione zgodnie z duchem epoki (materiału dostarczyły pisma z tamtych czasów), nie zaś z wymogami współczesnej poprawności politycznej (np. określenia w rodzaju: Irlandczycy zbierają się „jak pchły” i inne pogardliwe uwagi zostały zaczerpnięte ze źródeł z tamtego okresu, cytowanych w *London Life in the Eighteenth Century* autorstwa M. Dorhoty George i *Dr. Johnson's London* autorstwa Lizy Piccard.

Uwagi na temat Szkotów

O ile wiem (sądząc po publikacjach z epoki), wszyscy mieszkańcy Wysp Brytyjskich (łącznie z samymi Szkotami) posługiwali się słowem *Scotch* w odniesieniu do ludzi (a także whisky) aż do lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy to Szkocka Partia Narodowa zyskała na znaczeniu.

Zauważyliście zapewne, że pierwsze, co robi reprezentacja polityczna jakiejś mniejszości, to modyfikuje nazwę, tym samym potwierdzając niejako jej niezależność – tak więc czarnuchy (*negroes*) stały się czarnymi albo

Afroamerykanami, Indianie rdzennymi mieszkańcami Ameryki. Na tej samej zasadzie *Scotch* przybrało formę *Scots* (należy tu wspomnieć, że wyraz *Scots* jako określenie narodu z pewnością funkcjonował już wcześniej, jednakże *Scotch*, *Scotchman* etc. były także akceptowane i powszechnie używane. Kiedy powstała Szkocka Partia Narodowa, uznano je za wysoce obraźliwe).

By rzecz była jeszcze bardziej skomplikowana, określenie *scots* odnosi się również (tak historycznie, jak i współcześnie) do dialektu szkockiego czy też języka, zależnie od okoliczności (i znów na zasadzie politycznego aktywizmu). Spytałam przyjaciółkę – znaną lingwistkę i dziekana wydziału humanistycznego na renomowanym uniwersytecie – jak w kręgach językoznawczych postrzegany jest *scots*: czy jako dialekt angielski, czy odrębny język? Moja przyjaciółka (Angielka) rozejrzała się, by mieć pewność, że nikt nas nie słyszy (uczestniczyłyśmy w cocktail party otoczone przez zamożnych absolwentów, z których żaden nie był Szkotem ani lingwistą), ściszyła głos i powiedziała: „No cóż, jeśli ktoś jest Szkotem, uważa, że to odrębny język. A jeśli nie jest, to tak nie uważa”.

W każdym razie słowem *Scotch* i jego pochodnymi (*Scotchman*, *Scotchwoman*) posługiwali się wszyscy, włącznie z samymi Szkotami, aż do połowy dwudziestego wieku (mam książkę z dowcipami sir Harry’ego Laudera, popularnego szkockiego komika z lat czterdziestych i pięćdziesiątych; słowo *Scotch* odnosi się tam cały czas do ludzi). Wciąż można znaleźć to określenie w książkach publikowanych jeszcze później, ale mniej więcej w latach siedemdziesiątych *Scot*, *Scots* i *Scottish* stały się *de rigueur*, a wyraz *Scotch* zaczął odnosić się wyłącznie do whisky i 3M’s, marki przezroczystej taśmy samoprzylepnej. Jednakże w wieku osiemnastym słowo *Scotchman* było w powszechnym użyciu.

Wojna siedmioletnia

Podjęłam świadomą decyzję, by nie zamieszczać w powieści szczegółowych wyjaśnień, map etc., dotyczących politycznych, militarnych i geograficznych niuansów wojny siedmioletniej. Choć był to złożony i fascynujący konflikt – stanowiący pod wieloma względami pierwszą „światową wojnę”, gdyż toczył się na kilku kontynentach i angażował dosłownie wszystkie kraje europejskie i ich kolonie – nie jest to w gruncie rzeczy książka o wojnie siedmioletniej, lecz książka o żołnierzu.

Lord John Grey, major w armii Jego Królewskiej Mości, to zawodowy żołnierz. Nie pyta, czy jakaś sprawa jest warta jego wysiłku albo życia; walczy, ponieważ uważa, że jest to jego obowiązek i powołanie. Tak więc poza wskazaniem teatrów działań wojennych i krótkich wzmianek o ważnych bitwach czy wydarzeniach skupiałam się na szczegółach codziennego życia oficera

angielskiego, nie zaś na szerszych zagadnieniach związanych z wojną.

Jeśli chodzi o miłośników wojskowości zainteresowanych wojną siedmioletnią, istnieje mnóstwo dostępnych materiałów – zbyt wiele, by je tu wymieniać. Tym jednak, którzy lubią zwięzłe omówienia, polecam *The Seven Years' War* Daniela Marstona, część jego serii Essential Histories (ISBN 1-84176-191-5, Osprey Publishing Ltd., London, 2001).

Pułki armii brytyjskiej

W związku z nazewnictwem pułków brytyjskich – opierającym się głównie na systemie kolejnych liczb – byłam zmuszona zapożyczyć faktyczny numer pułku z tego okresu dla fikcyjnego pułku księcia Pardloe. Prawdziwy 46 Pułk Piechoty podlegał księciu Kornwalii i był też znany jako „Lekka piechota kornwalijska” albo „Czerwone pióra”.

Uwagi na temat umundurowania

W czasie wojny siedmioletniej w związku ze znaczną liczbą politycznych uczestników konfliktu istniała ogromna różnorodność, jeśli chodzi o umundurowanie. Na przykład wielu ludzi, znając określenie *redcoats* („czerwone płaszcze”) odnoszące się do żołnierzy brytyjskich w osiemnastym wieku, sądzi, że wszystkie mundury angielskie były czerwone, nie jest to jednak zgodne z prawdą. Żołnierze artylerii królewskiej nosili w tym czasie mundury niebieskie, podczas gdy żołnierze artylerii francuskiej – co mogło być mylące – mundury czerwone.

Podziękowania

Pragnę podziękować wszystkim miłym ludziom, którzy udzielali mi potrzebnych informacji i okazywali pomoc w trakcie pisania tej powieści. Na szczególną wdzięczność zasługują:

Richard Jacobs, historyk z Krefeld, i jego żona Monika, którzy oprowadzili mnie po polu bitewnym pod Krefeld (Crefeld to starsza, osiemnastowieczna pisownia) i Landwehr, wyjaśniając szczegóły lokalnej geografii.

Pracownicy małego muzeum w Hückelsmay – gdzie w ścianie domu wciąż tkwią kule z czasów bitwy pod Krefeld – za serdeczne przyjęcie i pożyteczne informacje.

Barbara Schnell i jej rodzina, bez której – prawdopodobnie – nigdy nie usłyszałabym o Krefeld.

Howarth Penney za życzliwe zainteresowanie i wyjątkowo pożyteczny dar, czyli *Titles and Forms of Address* (A&C Black, Londyn), która to książka okazała się niezwykle pomocna, jeśli chodzi o niebezpieczne meandry brytyjskiej arystokratycznej nomenklatury. Jakikolwiek błąd w tej kwestii jest albo zawiniony przez autorkę, albo stanowi przykład autorskiej licentia poetica. Choć staramy się osiągnąć najwyższy stopień ścisłości historycznej, od czasu do czasu zmyślamy pewne rzeczy (tak przy okazji, pierwsza osoba liczby mnogiej nie jest w tym przypadku „królewska”; mam tu na myśli siebie i ludzi, którzy żyją w mojej głowie). Książę (*duke*) jednakże jest tytułowany Wasza Miłość (*Your Grace*), a jego młodszy syn to lord.

Horace Walpole, ten zagorzały epistolograf, którego dowcipne i szczegółowe listy były oknem pozwalającym mi wejrzeć w osiemnastowieczne społeczeństwo.

Projekt Gutenberg za umożliwienie dostępu do całej korespondencji Walpole’a.

Jamnik Gus i mops Otis Stout (alias Herkules), które pozwoliły mi łaskawie posłużyć się ich osobowościami (tak, wiem, że jamniki nie były hodowane w osiemnastym wieku, ale jestem pewna, że jakiś pełen inwencji niemiecki wielbiciel psów wpadł na pomysł stworzenia tej rasy, zanim uczyniło to AKC (American Kennel Club – amerykańskie towarzystwo kynologiczne). Borsuki istniały już od dawna.

Christine Reynolds, strażniczka aktów własności paryskiego kościoła Świętej Małgorzaty, za niezwykle cenne informacje dotyczące historii i konstrukcji kościoła, w tym bardzo przydatnego opisu antresoli z organami, gdzie można urodzić dziecko, i Catherine MacGregor za wskazanie kościoła Świętej Małgorzaty

i za znalezienie pani Reynolds.

Patricia Fuller, Paulette Langguth, Pamela Patchet i bez wątpienia kilkanaście innych osób, których imię nie zaczyna się na „p”, za informacje dotyczące osiemnastowiecznych publicznych wystaw sztuki i historii konkretnych artystów i ich obrazów.

Philip Larkin, którego niezwykle odkrywczy portret pierwszego księcia Buckingham (wystawiany obecnie w Królewskiej Galerii Portretu w Londynie) stanowił jeden z pierwszych załączków mojej inspiracji literackiej (ani ja, ani pan Larkin nie potraktowaliśmy księcia Buckingham złośliwie).

Laura Watkins, do niedawna w Stanford Polo Club, za fachowe opinie na temat rowów na torach jeździeckich.

Panie z Lallybroch za to, że pozwoliły swej najlepszej pracownicy dobrze zapowiadającego się burdelu użyzyć swego imienia.

Karen Watson, nasza londyńska korespondentka z Królewskiego Głównego Urzędu Celno-Podatkowego, za to, że przemierzała niczym detektyw historię i zaułki swego ukochanego miasta, by nadać wiarygodność wędrownikom geograficznym lorda Johna.

Laura Bailey za wnikliwe uwagi i rady dotyczące osiemnastowiecznych strojów i obyczaju.

David Niven za zabawne i szczerze autobiografie *The Moon's a Ballon* i *Bring on the Empty Horses*, które zawierają celne spostrzeżenia na temat funkcjonowania pułku brytyjskiego (a także pomocne informacje, dzięki którym można przetrwać długą i oficjalną kolację). Także George MacDonald Fraser za jego *MacAuslan in the Rough*, zbiór opowieści o życiu w szkockim pułku w czasach drugiej wojny światowej.

Issac Trion, którego nakreślona odręcznie mapa bitwy pod Krefeld w roku 1758 zdobi moją ścianę i której skrupulatnie oddane szczegóły zdobią moją opowieść.

Różni panowie (i różne panie), którzy byli tak mili, że przeczytali i skomentowali sceny erotyczne (jeśli chodzi o kwestię będącą przedmiotem zainteresowania publicznego, sondaż dotyczący jednej z takich scen przyniósł następujące rezultaty: oceny pozytywne: chcę dowiedzieć się więcej – 82%; oceny negatywne: przyprawia o skrępowanie – 4%; trochę szokujące, ale nie odstręczające – 10%; nie mam zdania – 4%).

